

Biblioteka Pedagogiczna CEN
nr inw.: KG - 20893



BC Cimelia / 20893

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

TOM DRUGI.

CZYTELNIA

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓŚUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

PRZEZ

ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

TOM DRUGI.

Branisław Paleczny

LWÓW.

NAKŁADEM AUTORA.

Z DRUKARNI ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH.
Pod bezpośr. zarządem uprzyw. dzierzawcy Alex. Vogla.

1867.

F. H. Wetstein
Księgarnia antykwerska
Ul. Szpitalna.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Druga połowa roku 1837 i cały 1838. — Przybycie do Liworno — kwarantana — smutna wiadomość z domu. — Poeta osiada we Florencyi — przywiązane do miasta tego wspomnienia Danta — towarzyskie stósunki. — Wiersz „Do Księgarza“ — Poema Piasta Dantyszka o piekle — „Podróż na Wschód.“ — Znajomość z księżną Survilliers — mania muzykalna we Włoszech. — Niespodziewany epizod w życiu — p. Aniela M. — Sonety. — Zygmunt Krasiński w Florencyi — korespondeneya Słowackiego z matką na czas dłuższy przerwana — wyjazd jego do Francyi. — Na kilka miesięcy przedtem druk Anhellego, jako też Poematu o Piekło. — Rozbior krytyczny Anhellego.

Dnia 17 czerwca 1837 okręt, na którym wracał Słowacki ze Wschodu, zawinął we Włoszech do portu. Był to port miasta Liworno. Stósownie do obowiązujących tam w czasie owym przepisów, podróżni przybywający ze Wschodu zmuszeni byli zaraz po wyjściu z okrętu odbywać kwarantanę. I Słowacki formalności tej przykręj poddać się musiał. Klauzura ta trwała dla niego przeszło 3 tygodnie. Dnia 11 lipca dozwolono mu przenieść się wreszcie do miasta. Wtedy kazał się zawieść do tegoż znowu hotelu, w którym nocował rokiem pierwej, kiedy spieszył z Genewy do Rzymu powitać krewnych, którzy tam na niego czekali. Dziwnym trafunkiem, dano mu teraz nawet tensam znowu pokoik, który i wtedy zajmował. Chętnie dał się wprowadzić do numeru tego Słowacki. Miło mu było widzieć się przez dni kilka w kąci, którego wszystkie sprzęty odświeżały mu w pamięci tę przeszłość tyle jeszcze nie dawną, a tak zupełnie jednak różną od chwil obecnych. Przed rokiem miał przed sobą krainę, o której

pięknościach mówiła mu wyobraźnia wszystkimi urokami poezji. Miał zobaczyć Rzym i wszystkie przepychy jego. Wiedział, że w nim oczekuje go i coś droższego jeszcze, aniżeli wszystkie przepychy świata — rodzina, przywiązana do niego. Teraz widział się opuszczonym przez wszystkich swoich — może na zawsze. Wracał z świata poezji w stósunki znane sobie, powszednie, rzeczywiste, uregulowane aż do przesytu — pełne prozy, tęsknoty, samotności — nawet fizycznie blade i wypłowiałe w porównaniu z tém wszystkiém, z czém się pożegnał...

„Prawda to, co powiadają ludzie wschodni, że kto raz tamtego powietrza zakosztował, to jeżeli może, nazad tam znów powraca pomimo wszystkich niewygód ciągłej podróży. Tak tam dziwnie lekkie jest życie, że mi teraz Europa ciemną się wydaje. Poczerniały domy — zgęstniało powietrze — na zwierciadło marzeń ktoś chuchnął i zamglił szkło... Chciałbym jeszcze raz być na Libanie.“ (z listu z dnia 24 listopada 1837 r.).

Przez cały czas wędrówki swojej po różnych częściach świata nie miał Słowacki ani jednego listu od matki. Inaczej to być nie mogło. Matce Juliusza nie było nigdy wiadomo, gdzie syn ję bawi i jak się długo w którym miejscu zatrzyma. Odbierała listy od niego zawsze znacznie po czasie. Niektóre z nich ginęły nawet po drodze. Nie było zatem możliwości utrzymywać z nim jakąkolwiek korespondencją, dopóki nie powrócił do Europy. Juliusz to pojmował i nie spodziewał się też, dopóki podróż trwała, żadnych wiadomości z Krzemieńca. Lecz teraz — wychodząc z kwarantany — niecierpliwie i z bijącym sercem wyglądał chwili, która mu przyniesie owe listy, jak się spodziewał, czekające już na niego w tém włoskiem portowym mieście. Trwoga go zdejmowała na tę myśl, co w nich wyczyta. Co się tam dzieje w jego kółku rodzinném? czy matka zdrowa? czy wszyscy... Nie śmiał nawet domówić końca tego pytania. A jednak nasuwało mu się ono pomimowolnie i ciągle, jak widmo jakie, przytomne i nurtujące w głębi tajemnych jego myśli. Nadaremnie się opędział przed ciężkiem jakimś przecuciem, które go dręczyło, ilekroć o Krzemieńcu pomyślał.

Pierwszy list, który otrzymał i który w rzeczy samej już od kilku tygodni na niego czekał, nie zawierał w sobie nic takiego, coby było mogło usprawiedliwić owę trwogę, jakiej doznawał. Donosiła mu w nim matka, że się powodzenie i zdrowie wszystkich w domu w tym samym znajduje stanie, co dawniej. W dni kilka potem doręczono Słowackiemu list drugi — i teraz dopiero nastąpiło, czego się on obawiał i co przecuciem przewidywał przez cały czas przymusowego pobytu swego w zamknięciu kwarantany. W liście było doniesienie o nowym zgonie w gronie rodziny. Za tyłu innemi drogami mu osobami, których nie miał biedny nasz tułacz nigdy już w życiu oglądać, poszedł i ojciec jego matki, patriarcha całej rodziny.

„Więc już i ten starzec w kontuszu, którego pomarszczone powieki błyszczały łzami przy moim odejściu, nie przywita mnie wracającego! — Nasza rodzina podobna jest do żorawi, które widziałem na pustyni egipskiej. Jeden się porwał — wszystkie za nim poleciały długim szeregiem w błękit — i wkrótce jęku ich słyszać nie było.“ (Z listu z dnia 21 sierpnia 1837, pisanego z Florencji).

— Nie mając powodu dłuższego przebywania w mieście, ważnem jako punkt handlowy, ale jak wiadomo bardzo mało posiadającym w swych murach takich warunków, któreby zająć mogły umysł artysty albo poety, po dwóch czy trzech dniach wypoczynku porzucił nasz podróżnik Liworno i pojechał do stolicy Toskanii. Było to w połowie lipca. — Słowacki nie umiał w owym czasie zdać sobie dokładnie sprawy z tego wszystkiego, co względem siebie zamierza na przyszłość. Mianowicie nie wiedział zgola, które miasto i któryby kraj obrać sobie za miejsce stałego odtąd pobytu. Florencji, pod tyłu najróżniejszymi względami ciekawej i zdolnej zająć każdego, kto tylko szuka duchowego pokarmu i wielkich wzorów sztuk pięknych, słynącej z cudnego położenia w najprzyjemniejszej części Włoch całych, ojczyzny tylu znakomitych pisarzy i w ogóle kolebki całej pięknej literatury włoskiej — Florencji mówię nie znał naówczas wcale jeszcze poeta nasz. Owoż właśnie z tego powodu postanowił tam się udać i tam spędzić przynajmniej kilka najbliższych miesięcy, dopóki mu oko-

liczności nie pozwoliły powziąć ostatecznych zamiarów nadal co do swego losu na świecie. Był w owych latach we Florencyi osiadły od dość dawnego już czasu malarz Polak, nazwiskiem Zaidler, rodem także z Krzemieńca, dobry znajomy całej Słowackiego rodziny. Juliusz wiedział o jego tam bytności już przedtem i zaraz za przybyciem swoim do miasta dopytał się o niego. Przy Zaidlera pomocy wyszukał sobie mieszkanie, składające się z dwóch gustownie umeblowanych pokoi, za które płacił miesięcznie 27 franków. Było ono położone na ulicy *Via dei banchi* pod numerem 4216. Później mieszkanie to zamienił na inne — w domu własnym Zaidlera.

Życie Słowackiego we Florencyi, o ile z listów jego wnosić można, nie było połączone z tym pożytkiem i z temi przyjemnościami, z jakimi by niezawodnie było połączone nie tylko dla innych, lecz nawet i dla niego samego — wśród innych okoliczności. Serce jego było stęsknione. Piękności natury, skarby sztuki już mu nie wystarczały. Raczej przesycony on już był wrażeniami tego właśnie rodzaju, przeżywszy pod ich wyłącznym wpływem tyle już czasu samotnie. Potrzebował on teraz raczej towarzystwa ludzi, ludzi znajomych, bliskich, kochających, kochanych. Silniej niż kiedy, tęsknił do kraju i do rodziny. Przenosząc się myślą daleko, patrzył na to wszystko, co go naokół otaczało, obojętnie. Wśród przepychu rzeczy, które drugich zachwycają, często się nudził.

„O jakżebym chciał usiąść kiedy na trawie przed domkiem Teofila, wtenczas kiedy Ty matko masz przyjechać wieczorem!... Widzieć na drodze pył przybliżającego się powozu, który mi Ciebie przywozi — potem rzucić się w Twoje objęcie — wyplakać się z wszystkich żalów na Twojem sercu — wyskarżyć się Tobie ze wszystkich zawiedzionych nadziei i uspokoić się nareszcie przed słońca zachodem, aby widzieć, jak ta złota gwiazda zachodzi nad Teofila łanami — cicha — rozpromieniona — podobna jasnemu żywotowi pocziwego człowieka... Za jeden taki spokojny wieczor, za jeden taki zachód słońca oddałbym wszystkie dni zachodnie mego życia“...

... „Od czterech prawie lat miałem zawsze koło siebie rodzaj familii. Zawsze kilka godzin w dniu przechodziło mi z ludźmi. W podróży nawet zawsze miałem jedną różową i

uśmiechającą się twarz koło siebie. To też teraz często się sam znajdując w mojem samotnem mieszkaniu, zadziwiony jestem długością cichych godzin, zwłaszcza wieczorem. Kilka listów z Genewy przyczyniło się do tej niespokojności. Tam przekonani byli, że ja wyszedłszy z kwarantany, zaraz nad jezioro Lemanu polecę. Nie widząc mię, dziwią się — płaczą — nareszcie myśląc, że mi brak pieniędzy przeszkadza, nalsali mi przed kilku dniami jakąś osobę, która chciała mi koniecznie pożyczyć na konto pani Patteg tyle franków, ilebym potrzebował. Ujęło mię to, choć nie przyjąłem pieniędzy. Teraz odbywam z sobą wielkie walki, czy jechać, czy nie, — i chciałbym mieć kogoś, coby mi tę wątpliwość rozwiązał. Nieraz mię wabi mój spokojny kominek w Genewie, moje drzewa i fioletki kwitnące w złotem zimowem słońcu. Nieraz zatrzymuje mię przypomnienie różnych nieprzyjemności, od których wyjazdem do Włoch uwolniłem się“...

... „Nie dziw się, moja droga, że ja nigdyś taki odłudek, dzisiaj się lękam samotności. Dawniej sny moje i złote nadzieje na przyszłość otaczały mię w koło — dawniej teraźniejszość była dla mnie jakby tylko sienią, prowadzącą do czegoś lepszego. Teraz się to wszystko naopak obraca. Ale na Boga, jeszcze się nie poddam zniechęceniu, i Ty droga moja, łagodnymi słowy dopomóż mi do tego“... (z listu z dnia 21 sierpnia 1837).

Długie rozmyślanie, gdzie się na dłuższy czas urządzić, czy by pozostać we Florencyi, czy też raczej powrócić znowu na brzegi genewskiego jeziora, skończyło się wreszcie na tém, że się pierwszeństwo włoskiemu miastu dostało. Przyczyniły się do tego głównie zbyt nagleżliwe listy z Genewy, w których go, że tu użyję jego słów własnych, jak niewolnika naglono, aby koniecznie rzucił Florencyą i nad jezioro wracał.

„Sylka (pani Hersylia Januszewska), protektorka Eglantyny, wypchnęłaby mię gwałtem i zapakowała na statek parowy; lecz ja odpisałem tak nareszcie, że mi teraz zupełną wolę zostawiają robić, co mi się podoba. Listy między nami rzadsze są teraz. Ona już utraciła nadzieję powrotu mego, a ja nie chcę ję ożywiać na nowo. Siedzę więc przez zimę tutaj i najmuje mieszkanie w domu Zaidlera“...

„Przepędziwszy tu zimę i popracowawszy trochę, chciałbym na wiosnę pojechać do wielkiego miasta (Paryż) — z książką pod pachą, jak student, z suknią splamioną atra-

mentem, z piórem za uchem — i znów oddać wielki ukłon
mojej królowej Sławie, jako wierny jej do śmierci blazen“...
(z listu z d. 3 października 1837).

Zamiar wystąpienia po tak długim milczeniu na nowo
w szrankach publicznych i odezwania się jako narodowy poeta —
nie teraz dopiero zajmował myśl Słowackiego. Już odsiadując
kwarantanę w Liworno rozmyślał on nad szeregiem publikacji,
które zamierzał niebawem przyprowadzić do skutku. Wiersz żar-
tobliwy „Do księgarza“, ogłoszony dopiero w zbiorze dzieł
Juliusza pozgonnych, zaczynający się od tej strofy:

Jeszcze chodzą przed oczyma
Róże, palmy, wieże, gmachy,
Kair, Teby, Tyr, Solima —
Mój Eustachy!

wiersz ten, mówię, właśnie wtedy był napisany. Zamawiał sobie
w nim wojażer nasz, przybywszy do Europy, wpół żartem a wpół
na seryo przedewszystkiemu względy wydawcy pism polskich we
Francyi (Eustachego Januszkiewicza), i już naprzód snuły mu się
przed oczyma owe rozliczne kłopoty, jakich z konieczności dozna-
wać muszą pisarze, nim plody swoje do rąk publiczności oddadzą.

Lecz ty wyrwiesz mi z latargu,
Ty pomieszasz róż zapachy
Księgarskiego wonią targu,
Mój Eustachy!
Będę tobie wdzięczny za to,
Przypomnisz mi kraj i Lachy
Zniechęceniem, troską, stratą,
Mój Eustachy! itd.

Targ księgarski, zniechęcenie, troska, strata i inne tym po-
dobne rzeczy, same przez się bardzo niemiłe, miały więc dla Sło-
wackiego teraz po tak długim wypoczynku prawie powab jakiś —
urok nowości.

Nimby się jednak odnowiła z temi wszystkimi praktykami
dawna znajomość, chciał poeta nasz pierwój napisać koniecznie

coś o podróży swojej po Wschodzie. Miał to być dług, oddany
najbliższej przeszłości, którą przebył. Podobnej daniny domagała
się od niego także i terażniejszość, która mu właśnie płynęła, a
raczej miejscowość, w której żył. Wszystko we Florencyi prze-
mawiało do niego wspomnieniami wielkiego wieszczą, który się
w tém mieście narodził, spędził w niem znaczną część życia, a
potém ujrzał się w konieczności pójść na wygnanie i tulać się
daleko od niewdzięcznej ojczyzny — do samej śmierci.

„Czasem idę do kościoła Santa Croce i stoję przed
pomnikiem Danta, a posąg jego ponury, patrzący z wysoka
na mnie, zdaje mi się mówić jakieś wyrazy natchnienia.
Czasem idę do Galeryi i wpatruję się w Wenus Medycej-
ską, chcąc aby piękność jej przeszła do mojej duszy“...

...„Ulubionym moim księżycowym spacerem jest jeden
bok katedralnego kościoła. Nieraz marzę sobie, że tak cho-
dził po tych kamieniach zamyślony Dante. Wyznam Ci je-
dnak, droga Mamo, że mi często dystrakcją sprawiają zgra-
bne i ładne Florentynki. Nigdzie podobnych figurek nie wi-
działem i wybrałbym łatwo sto dziewczątek, w które gdyby
mi Bóg tylko pozwolił włożyć duszę podług mego upodoba-
nia, to w każdej ze stu mógłbym się dziś zakochać szale-
nie. Takie, jak są, przyciągają oczy, ale nie serce“... (z d.
21 sierpnia 1837).

Pod wpływem takich więc wrażeń — doznając z powodu sa-
meo miejsca to roztargnienia, to inspiracyi — pracował Słowacki
we Florencyi nad dwoma utworami.

Jeden z nich był mniej rozległego zakresu i został wykonany
w całości: Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa, o
Piekle. Pomysł do niego zawdzięczał autor niewątpliwie miej-
scu, gdzie bawił, i wspomnieniom do niego przywiązany.

Drugi poemat był zamierzony w daleko rozleglejszych roz-
miarach. Miał on objąć w sobie celniejsze wrażenia i przygody
zaszłe w ciągu kilkomiesięcznej podróży autora po Grecyi, Egipcie
i Palestynie, opowiedziane tym tonem lekkim jak lot motyla,
którego z takim powodzeniem i Byron także użył niegdyś do zło-
żenia w kształt poematu wspomnień swojej pierwszej podróży.
Ale nastrój angielskiego poety w poemacie Childe-Harold
zdaje się być więcej smutny... Był to pierwsza próba Słowackie-

go w tym rodzaju poezji. Okazuje się tak z tej już pracy, jako i z drugiej, znacznie późniejszej, z Beniowskiego, że miał Słowacki szczególny dar do składania tych strof dziwacznych, wypowiadających posłuszeństwo wszelkim utartym prawidłom sztuki, mieszejących w jedną gmatwaninę wszystkie żywioły poezji, wszelkie uczucia człowieka — a jednak zajmujących i porywających każdego w najwyższym stopniu. Czy się czytelnik z autorem zgadza, czy nie; czy przyklaskuje gorzkiej ironii, z jaką tenże smaga wszystko, co mu się w stosunkach tegoczesnych widzi przewrotnem, czy się gorszy jego szyderstw zachwalstwem: w każdym razie podziwiać musi geniusz pisarza, maczającego pióro w łzach i żółci z taką łatwością i z takim skutkiem. — Całość poematu, o którym mowa, miała się składać z kilkunastu — sądząc z tego, co zostało dokonaniem, przynajmniej z 15 albo 20 pieśni. Praca nad nim przerwała się już na pieśni szóstej, z niewiadomego powodu. — Trudno jest obecnie o tym poemacie jako całości wyrzucić zdanie stanowcze. Ale zdaje się, że gdyby cały plan tegoż był przeprowadzony do końca, miałaby w nim literatura nasza niewątpliwie jedno z cenniejszych dzieł poetyckich, jakkolwiek niektóre ustępy razilyby może wybredniejsze umysły — i czasem słusznie...

Sześciopieśniowy urywek poematu, o którym tu mówimy, został w całości ogłoszony dopiero w zbiorze pism Słowackiego pośmiertnych. Autor w późniejszych latach do druku wcale już oddawać go nie zamierzał, co widać stąd, że jeden ustęp z niego prawie dosłownie jest wcielony do Beniowskiego. — Pierwotny tytuł był: *Podróż z Neapolu do Ziemi Świętej*. Zamieniliśmy to na nieco ogólniejszy napis: „*Podróż na Wschód*“, z powodu że o Ziemi świętej nie jeszcze w tych sześciu pieśniach nie ma. —

Wspomniałem wyżej, że w pierwszych czasach pobytu Słowackiego w Florencji było jego zamiarem wyjechać do Paryża już z wiosną roku 1838. Do tego nie przyszło. Cały ten rok 1838 przesiedział poeta nasz ciągle jeszcze w Florencji, tak iż cały czas życia jego w tym miejscu doszedł ostatecznie przeciągu blisko 18 miesięcy. Jednym z głównych powodów tego odraczania

wyjazdu do coraz dalszych miesięcy był właśnie ten o *Podróż* poemat, a raczej pewien brak natchnienia i zapału, który ukończenie jego opóźniał i utrudniał. Oto, co o tem znajdujemy w liście z dnia 2 kwietnia 1838 r.

... „Korzystałbym natychmiast z wolnych skrzydełek, aby przelecieć kawalek błękitnego morza, dotknąć piórami szczytu Alp śnieżystych i powędrować jeszcze dalej, gdyby mię nie zatrzymywały tu jeszcze niedokończone moje prace; przyrzekłem bowiem sobie, że z prózną teką nie pojadę do wielkiego miasta piszących waryatów. Doznaję prawie wyrzutów sumienia, że dotąd nic ani o piramidach ani o grobowcu Chrystusa nie napisał. Ale jak mówi dawna piosneczka: serce nie sługa — nie zna co to pany itd. tak i ja o mojej imaginacji powiedzieć mogę. Zrobiłem spostrzeżenie, że dla nas ludzi z pod północnej gwiazdy niedźwiedzia, Włochy są antyimaginacyjną krainą. Mój starszy i wielki Pierwszy (?) bawiący tu dawniej przez lat kilka, nie nie napisał — i dopiero przybywszy między błędne żorawie, zaczął śpiewać i rymy łać obficie. Z tego wnoszę, że imaginacji potrzebne jest ojezyste, a przynajmniej zbliżające się do ojezystego powietrze; potrzebna jest także atmosfera napelniona westchnieniami ludzi czujących i oświeconych; potrzeba nareszcie trochę poklasków, trochę cienia drzew niepospolitych i smutnych, jakimi są laury, a w niedostatku tych, sosny i jodły litewskie. Tego wszystkiego braknie tu. Więc dobranoc marzeniom“...

To niekorzystne pod poetycznym a raczej kreacyjnym względem mniemanie o Włoszech wypowiadał Słowacki już i przed wyjazdem swoim do Grecji, jeszcze w listach z Neapolu pisanych. Musiało to zatem być u niego spostrzeżenie przydłuższem doświadczeniem stwierdzone. I teraz, we Florencji, często w tenże sposób określał swoje usposobienie.

„Cokolwiek bądź (pisał d. 19 maja 1838), muszę się wyrwać z tej dżdżystej Florencji, chociaż tu raj prawdziwy dla ludzi ze szczupłym dochodem, ale raj materyalny — prowadzący za sobą dziwne uśpienie władz umysłowych. To dziwnie, że ja, co ze łzami prawie wyjeżdżałem z libańskiego klasztoru, gdzie tylko dni 40 jak na pokucie przesiedział, a takiej wyjeżdżając doznałem tęsknoty, jak gdyby miło mi było życie z tymi dobrymi mnichami przepędzić, czuję, że z Florencji bez żadnego żalu wyjadę! Pierwszy raz mieszkanie moje nie przywiązało mię do siebie, choć

bardzo ładne i poetyczne. Osoby mi przyjazne nie utonęły mi w sercu, słowem, jestto dla mnie dziwny fenomen — ta oziębłość dla wszystkiego i dla wszystkich. Czy to już starość? Lecz ja tak mało używałem serca mojego, że jeszcze młode być musi. Chciałbym się znów odhartować w jakiej nauce suchej i dającej mi codzień nowe zagadki, jak matematyka. Ten kto doznał przesycenia idealnych marzeń, zrozumie i pojmie tę żądzę. Tęskno mi prawie za najsuchszymi godzinami życia, za moją niegdyś biurową pracą. Zdawałoby się prawie mogło, że władza moich zachceń zwaryowała. Lecz dosyć tego, boję się bowiem, abym pisząc tak, nie zasłużył na te smutne: „a dobrze ci tak!“ „a na co...?“ Skończ sama, droga moja, tę wymówkę, na co poleciałem jak pliszka nad szerokie morze, kiedy dosyć szerokie były dla mnie stawy trzcina obrosłe, i na co się zakochałem w Wenerze Medycejskiej? na co się zapatrzyłem na posąg Danta stojący w Santa Croce — dla czego pokochałem orły gubiące się w szczelinach lawin szwajcarskich — na co strząsałem owoce Hesperyd na pomarańczach wschodnich rosnące, kiedy mogłem tylko spokojnie iść do Zolobów albo pod Łysą Górę i strząsać sobie przezroczyście wiśnie w naszych rodzinnych ogrodach? Wyszedłem był na szeroki gościniec, i ten mię odprowadził daleko, nie wiedzącego, gdzie idę; a teraz wędruję przy blasku słońca umarłych... Niech mi Twoje błogosławieństwo towarzyszy! Życie jedno stracone jest tak małą rzeczą, że nie warto żałować, kiedy stracone na niczym.“

Tak pisywał w napadach melancholii i zniechęcenia. W innych chwilach inaczej on sądził jednak o kolejach swego żywota.

...„Jak mię też Bóg wysłuchał! Ja go zawsze dziekiem prosiłem, aby mi dał poetyczne życie. To też on wszystko tak klei, żeby serce moje napelił najpoetyczniejszymi wrażeniami. Prowadzi mię po błękitnych morzach, nad brzegami wód spokojnych i na góry chmurami okryte i na szczyty piramid“...

„O! wiele ja miałem cudownych chwil w życiu! Na co więc ta gorycz, z jaką czasem piszę o stanie mojej duszy? Gwiazda, co mi świeci, piękniejsza jest od wielu innych“... (z listów z d. 3 października i 21 sierpnia 1837, z Florencyi).

— Dodajmy teraz do tego wewnętrznego wizerunku poety w ciągu jego pobytu we Włoszech, kilka rysów towarzyskiego pożycia, jakie go otaczało.

Oprócz Zaidlera, z którym się we Florencyi dopiero poznał i w domu jego zamieszkał, oprócz Zenona Brzozowskiego, towarzysza podróży, który na czas krótki pojawił się tu znowu, zastał on tu znajomą sobie jeszcze z czasów rzymskich rodzinę hr. Hermanostwa Potockich. Do tego przybyło jeszcze poznanie się z hr. Zdzisławem Zamojskim. Z Potockimi robił niekiedy wycieczki w przyległe okolice. Z panem Zdzisławem miewał rozmowy — jak się wyraża — podobne do platońskich. Oprócz tego bywał też czasem w domu księżnej Surveilliers, i u pani Komar, która spędzała tam wtedy zimę z córkami.

O księżnej Surveilliers jest kilka zajmujących szczegółów w listach Słowackiego do matki, które tu przytaczam.

„Księżna Surveilliers spotkawszy mię raz na ulicy z Hermanem Potockim, żądała aby mię ten ostatni jój prezentował, i musiałem więc z nią w karecie siedzącą zrobić znajomość. Jestto córka Józefa (Bonapartego, brata Napoleona I), a wdowa syna Ludwika — mała osobka — bardzo mała — z twarzą dosyć przyjemną — bardzo bogata — bardzo wielka amatorka sztuk pięknych — dosyć dowcipna, ale czasem nieśmiała w rozmowie, przynajmniej ze mną. Jestto jedyny dom florencki, gdzie bywam“...

„Co środy znajduję tam koło dobrze dobrane, starające się dowcipem naśladować paryskie zgromadzenia. Jedni rysują szkice, drudzy gadają o literaturze, o sztukach pięknych. Muzyka tylko tam nie wchodzi. Dobrze! Bo gdzie muzyka się wciśnie, zwłaszcza we Włoszech, to zaraz bierze górę i staje się panem zgromadzenia i zamyka usta i głowy zasklepia. U Włochów pierwsza Cantatrice — *c' est un grand homme!* Innę wielkości nie znają na ziemi, tylko wielkość gardła.“

Daléj Słowacki żartobliwie dodaje:

„Tytuł mój wojażera egipskiego, pielgrzyma do Ziemi świętej, bardzo mi teraz pomaga w towarzystwie. Moge czasem poprawiać Lamartina — czasem nadawać sobie trochę kolorytu i postawy rycerzy Tassa — czasem robić się mistyczną anegdotą, rodzajem Giaura — czasem karykaturuję siebie, wiażąc na kark wielbłąda — słowem że wyciągam różnymi sposobami korzyść z odbytych wędrowek, które i w samotnych moich godzinach bawią mię, jak sen piękny“... (z listów z d. 24 listopada 1837, z 22 lutego i 2 kwietnia 1838 r.).

Z powyższej wzmianki o przecenianiu muzyki w Włoszech możnaby wnosić, że Słowacki był jej nieprzyjacielem. Zapewne, nie był on ani entuzystą ani też wielkim mistrzem w tej sztuce; niemuzycznym jednakże nie był, owszem sam nawet pielegnował muzykę. Miewał w mieszkaniu swoim zawsze najęty fortepian i niejedną szarą godzinę wygrywaniem na nim zapelniał; a jeżeli kiedy, to właśnie w pierwszych miesiącach po powrocie z podróży wschodniej wiele czasu na to poświęcał.

„Całe godziny teraz gram z nót na fortepianie (donosił np. w liście z d. 3 października 1837) i bardzo w muzyce postępuję. Zacząłem ją lubić i nabrałem cierpliwości. Wziąłem abonament na nóry i coraz nowe przegrywam. Muzyka i moje umysłowe prace zabierają mi dzień i wieczór cały“...

Kilka miesięcy później (d. 2 kwietnia 1838) donosił, że przez ciąg zimy wielkie poczynił postępy w czytaniu nót; dodaje jednak następujące wyrazy:

„Przeklinam Foka (był to niegdyś jego metr muzyki w Wilnie), że mię gamy, prostej gamy nie nauczył. Biegłości mi płynnej braknie i dla tego ludzie, którzy się na czuciu nie znają, a tylko sypanie grochu w grze lubią, nie nie pochwalą w moim melodyjnym talencie. Czy znacie koncert z Krakowiaka Chopina? Prześliczny! ale trudny jak dyabeł“...

Ale ażeby wrócić do głównego przedmiotu, t. j. do stósunków Słowackiego z towarzyskim światem florenckim: dodajmy, że chociaż mu tam na znanych domach nie brakło, w których i często bywał i mile był widziany, rodzaj ten życia wcale jednak mu nie wystarczał.

„Od niejakiego czasu — pisał d. 2 stycznia 1838 — dałem się wciągnąć mimowolnie w świat i już od kilku tygodni prowadzę życie pełne roztargnienia, co mię męczy i nudzi. Żałuję, że zostałem na zimę we Florencji; nie bowiem nie pracuję i z rozpaczą myślę o moim 28 roku życia, kończącym się na marnościach światowych“...

„Braknie mi tu bardzo towarzystwa młodych ludzi. Nie mam z kim żyć po przyjacielsku, a ci, o których wyżej wspominam, choć są bardzo dobrze ze mną, tyle wad mają i taki niedostatek w uczuciowych skarbach, że zawsze między nami są progi do przejścia i nigdy ich nie przestąpimy.“ (d. 24 listopada 1837).

Niekorzystne to mniemanie o rodakach, którzy z nim mieli znajomość i życzliwi byli dla niego, w tém zdaje mi się miało głównie przyczynę, że mierzył ich wszystkich podług skali najmiłszego sobie ze wszystkich swoich przyjaciół, podług skali genialnego Zygmunta. Często się myślał przenosił w czasy, kiedy wspólnie obydwa bawili w Rzymie. Nie było wtedy Krasińskiego we Włoszech — przepędzał zimę z roku 1837 na 1838 w Wiedniu. Stósunki między nimi były utrzymywane tylko listownie.

„Zenonek czasem mi z Wiednia hieroglifami o swoich zabawach pisze. Z téjże samej stolicy przychodzą mi miłsze listy od przyjaciela niegdyś mojego w Rzymie, który mi przypomina przechadzki po willi róż*), marzenia w Kolizeum i wszystkie inne smutne spacery po ruinach Cezarów.“ (d. 24 listop. 1837).

„Nie mam tu zachęcenia do pracy, nie mam porady. Nie mam nawet jednej osoby, którejbym się mógł zapytać, czy moje dziecko głupie jest czy rozumne; albowiem sobie nie wierzę i niespokojny jestem... Nie mam nikogo, coby mię ożywił — i podniósł trochę. Żał mi, że nie mam tu Zygmunta K., którego towarzystwo w Rzymie miało dla mnie umysłowie mówiąc, lekarskie, uzdrawiające skutki“...

...„Serce moje znów się napelnia jakimiś nieograniczonymi zachceniami (pisał w listach z października i z następnych miesięcy r. 1837); dziwna jakaś, czcza melancholia dręczy mię. — Chciałbym się kochać, ale nie wiem w kim... Teofilowie już Ci musieli powiedzieć, droga moja, że to jest jedno z najgłówniejszych żądań mojego teraz życia! Gadałismy z nimi o tém nieraz, siedząc na balkonie domu św. Łucyi w Neapolu, czekając aby się księżyc pokazał nad Wezuwiuszem i rzucił nam kolumnę światła przez morską zatokę. Otóż znów rok przeszedł cały, a ja się nie kocham... Co to będzie? — Poznałem tu ładną jak anioł Amerykankę, i to był kamień probierczy mojego ostyłego serca. Zdawało mi się zrazu, że to była jedna z nimf Niagary — podobna do tych widm, które Manfred wywoływał z tęcz nad wodospadami, i już miałem zachwycić ognia z jej błękitnych oczu: kiedy mię odstręczyła od niej jej ciągła wesołość — ciągly prawie uśmiech na rozkwitłych ustach. Włożyłem więc znowu jak ptak głowę pod skrzydło i pograżyłem się w moje sny melancholiczne“...

*) Willa Mills na Palatynie.

Snów tych marzących przedmiotem nie była już jednak uwielbiana tyle w Genewie przed kilku laty Marya W. Oddalenie i co do czasu i co do miejsca, ujęło jęj wspomnieniom wiele uroku w wyobraźni Juliusza. A mylne doniesienia, którym on dawał wiarę, zamieniły życzliwość dla niej nawet w zupełną obojętność. Już więc zdolny był mówić o niej spokojnie — nawet zimno — prawie powiedziałbym złośliwie!

...„Mówią, że się Chopin z Maryą W., a niegdyś moją Maryą ożenił. Może poszła za niego trochę z przyjaźni dla mnie, bo mówią ludzie, że Chopin do mnie jak dwie krople podobny. Jak to sentymentalnie, pójść za człowieka podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało! Stałość i niestałość harmonizują się w takim zdarzeniu — i podług Suedenborga, już w niebie nie z dwóch, ale z trzech dusz robi się jeden anioł po śmierci. Ale w tym przypadku niech Marysia na mnie nie liczy. Wolę się do innej jakiejś światłej istoty w niebie przylepić. Dla niej dosyć — Orfeusza! Skrzydła tego anioła będą z siedmiu pedałów, a z klawiszów ząbki“... (z listu z d. 2 kwietnia 1838).

W parę miesięcy potem ocknęły się znowu w Słowackim nadzieje i uczucia, na brak których w sercu swoim tyle się skarżył. W ciągu lata r. 1838 przybyła do Florencji zamożna pewna rodzina z Podola czy Ukrainy, złożona z czterech osób, z ojca, matki, córki i jakiegś już w dojrzałych latach kuzynki. Córce, która nas tu głównie interesuje, było na imię Panna Aniela. Otóż do niej to były później napisane owe dwa cierpkie Sonety z napisem: „Do Anieli M.“ drukowane dopiero pomiędzy pośmiertnymi pismami, w tomie I. Jakkolwiek cały ten epizod w życiu Juliusza pozostał bez konsekwencji, dla samego jednak choćby tylko wyjaśnienia rzeczonych sonetów przywiode tu ustępy z jego korespondencji, mające związek z tą rzeczą. Znajomość z państwem M. zrobił Słowacki w czasie, gdzie się już na dobre zabierał do wyjazdu z Florencji. Wyjazd właśnie w skutek tego znowu się odwlekał. Otóż, co pisał właśnie z tego powodu w liście z d. 21 sierpnia 1838 r.

„Znalazłem ludzi, którzy mnie lubią, kochają i chcą zatrzymać; więc jeszcze na jakiś czas zostanę. Tymi ludźmi przyjaznymi jest dom M....., kuzynów Z. i ta panienska, od której on odebrał niegdyś rekuzę, która go w me-

lancholią i w dalekie kraje zagnała. Sam stary M. dobry i wiele gadający człowiek, do tyła mi robił grzeczności, że nareszcie przełamał mój zwyczaj samotnika i przyzwyczaił mię do tego, że co wieczora prawie z nimi na gawędzie czas trawię. Żona jego dla interesów pojechała tu stąd na Ukrainę i chciała bardzo być w Krzemieńcu, aby Ciebie poznać i o mnie Tobie mówić. Czy jęj droga przez nasze miasteczko wypadnie, nie wiem; ale jeszcze kilka dni temu, M. mówił mi, że od Ciebie droga spodziewa się upoważnienia, aby wziął nademną opiekę i rząd samowładny.... Nawet pani M., dla wszystkich dość zimna, ze mną jest dobrze i nawet z szacunkiem. Kuzynka ich, panna Helena, w wieku już, nabożna i słaba, także się uśmiecha, kiedy przychodzi. Słowem, jakżem miał wyjechać, kiedy może w Paryżu nie znalazłbym nikogo, coby mi sprzyjał, a tu są tacy, co mię z otwartymi rękami przyjmują?“

O wszystkiem tedy i o wszystkich matce donosił, tylko nie o osobie, któraby była mogła właśnie najwięcej ją zaciekać. Uzupełniając rzecz z ulotnych wzmianek, rozrzuconych po innych listach, spróbujemy my z naszej strony dodać tu wizerunek panny Anieli. Była to panienska zajmująca — nie tyle piękna, ile miła i kształtna — bardzo starannie wykształcona i co nazywają myśląca; ale... że użyjemy słów własnych korespondencji, „strasznie popsuta“, albowiem była to pani w domu, samowładnie rządząca nad ojcem i nad matką. Poecie naszemu okazywało całe jęj mimowolne postępowanie, że musiała ona nim być zajęta. Uważały to i osoby dalsze, bywające w tym domu. Każde jego przyjęcie sprowadzało rumieniec na lica panienski. Widząc przychylność całego domu ku sobie i tak życzliwe usposobienie w osobie, która i na nim, ile ze wszystkiego wnosić, korzystne od pierwszej chwili sprawiła wrażenie, zaczął się Juliusz panną Anielą coraz żywiej zajmować. Że jednak miała ona różne też swoje słabostki, których jako baczny obserwator nie mógł nie widzieć, trzymał więc uczucia i kroki swoje na wodzy, namyslał się, doświadczał, zwłóczył, tak iż postępowanie jego mogło się wydawać chłodnem i chwiejnem. Mimo wszystkich oznak przywiązania ze strony panny, a grzeczności ze strony rodziców, czegoś on temu wszystkiemu, co niby widział, niezupełnie jeszcze dowierzał, choć powia-

da, że były wyraźne kroki ze strony trzecich osób, które go zachęcały, ażeby jawnie i stanowczo w roli konkurenta wystąpił.

„Może to był sen i przywidzenie z mojej strony; ale jakże było nie śnić, kiedy mi często ojciec gadał przy stole nawet i otwarcie takie np. słowa: Popracuj nad sobą, popracuj i zakochaj się, a ja cię ożenię. Na co panna płonała, a ja nie wiedziałem, co myśleć“...

Dalszego wątku tych stósunków nie podejmuje się dopowiedzieć czytelnikowi, szczegóły bowiem w listach o tém nie dają dokładnego wyobrażenia. Zdaje się, że wmieszanie się w rzecz nieproszonych przyjaciół, intrygi jakieś, w części może uwięzienie wuja Juliusza, które zaszło na Wołyniu właśnie w ciągu tego stósunku, a przedewszystkiém owo zbyt wyczekujące zachowanie się konkurenta w obec panny z wyobraźnią nieco exaltowaną, pozwoliło przeminać chwili najsposobniejszej i nadało myślom p. Anieli taki późniój kierunek, iż się wszystko między nimi skończyło ostatecznie na niczém. Słowacki wyjechał potem do Paryża; ona z rodzicami pozostała jeszcze na rok następny pod niebem włoskiem i — rzecz dziwna, umarła we Florencyi w kilka miesięcy po wyjeździe Juliusza. —

„Może z mojej strony było nadto dумы, która się téj panience mogła opieszałością wydawać; gdyby jednak miała szlachetniejsze uczucia, rozumiałaby dlaczego tak nienaturalczywie starałem się o nią. Ona miała miliony, jam nie mógł jój nic dać nawzajem. Ale to już przeszło. Ona mię teraz widzi z nieba — bo już nie żyje!..

...„Przyznam Ci się jednak, droga moja, iż kiedym się o jój śmierci dowiedział, cierpiałem. Bo choćby to było u niej chwilową tylko myślą, aby mię wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jój to nadało w oczach moich postać litośnego anioła, a śmierć jój dopełniła obrazu. Iż razy teraz chodząc po ciemnych alejach tutejszego ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jój cień rumieni i spuszczaając oczy przede mną pyta się: dla czegoś mię nie kochał? Śmierć ją upiększyła w moich oczach“... (Z listu już pisanego z Paryża, d. ? listop. 1839 r.).

Powyższe doniesienia o śmierci p. Anieli przeniosły nas mimowolnie w czasy Słowackiego paryskie. Jeszcześmy jednak do nich nie doszli. Cofnijmyż się zatem myślą teraz o rok cały na-

powrót, ażeby dopełnić wizerunku zajęć jego florenckich, w ciągu roku 1838.

Właśnie w czasie pierwszej swojej znajomości z rodziną M., przystąpił był Słowacki do urzeczywistnienia wspomnianego już powyżej zamiaru, odezwać się wreszcie znowu jako autor publicznie występujący i w szybkiej kolei wydawać teraz jedną pracę po drugiej. Od czasu ogłoszenia *Kordyana* (1834) aż do owej pory, czytająca publiczność prawie zupełnie go była straciła z oczu. Chodziło o to, żeby złożyć teraz przed nią cały snop plonu usiłowań czteroletnich i nieprzerwanych, choć podejmowanych w ukryciu, i zająć jako pisarz miejsce sobie należne. Słowacki miał wtedy chwilowy zamiar, przenieść się właśnie z tego powodu do Paryża niezwłocznie, i pisał pod wpływem tego postanowienia do matki dnia 10 lipca (1838), co następuje:

„Wyjeżdżam 25 tego miesiąca do Paryża, albowiem wysłałem tam przedemną jedno moje maleńkie dzieciątko, które już w tych dniach musiało się na świecie pokazać. Nie wiem, jaki będzie los jego i bardzo ciekawy jestem, czy mu się powiedzie na świecie, zwłaszcza że mu zamierzam wkrótce za przyjazdem nowych dać braciszków. Pierwszy z tych chłopczyków, którego już puściłem z opieki, nazywa się Anhelli. Melancholiczną i trochę chrystusową ma twarz — wielką prostotę w ubiorze — i niepodobny jest do niczego. Zaczynam więc znów życie mniój opasłe. Więcej dla mnie ciekawe będą dni i godziny. Interesują mnie także moi dawni znajomi, których od pięciu lat nie widziałem. Jeżeli źle mi będzie pomiędzy nimi, uciekam znów w góry alpejskie lub pirenejskie, i osiadam w nich na zawsze, jak pustelnik.“

Zapowiadziany wyjazd Słowackiego z Florencyi już w ciągu lipca, nie przyszedł wprawdzie do skutku, z wiadomych nam już przyczyn; nie przeszkodziło to jednakże wyjściu z pod prasy owego dzieła w najbliższym czasie. Imię autora tym razem było wyrażone na tytule. Takowy brzmiał krótko:

„Anhelli — przez Juliusza Słowackiego.“ Paryż, 1838. 12^o str. 108. — Przedmowy żadnej.

Kiedy Słowacki ujrzał przysłany sobie do Florencyi pierwszy egzemplarz téj książki, donosił o tém w wyrazach, które żywo

przypominają i radość jego i owę przesadnie szczęśliwą pewność siebie, wzbudzoną w nim za ukazaniem się dwóch pierwszych tomów „Poezyi“, wydanych przed sześciu laty w drukarni panny Kory.

„Przedwczoraj (powiada w liście z d. 21 sierpnia 1838) miałem dzień miły dla mnie. Oto przysłano mi z Paryża moje ostatnie dziecko, które 11 dni dopiero żyje, w ładną sukienkę ubrane, potulne, melancholiczne, prosto mówiące, dziecko słowem, które ja kocham bardzo i o którym zaręczano mi, że mu się dobrze powiedzie. Odebrałem je z rana w niedzielę — więc porzuciwszy obojętnie, ubrałem się i poszedłem na śniadanie; ale mię coś ciągnęło do domu i do mego dziecka. Więc już chciałem powracać spiesźnie; ale przypomniałem sobie, że jest niedziela, że kościoły otwarte, że Bóg tak jest dobry dla mnie. Więc poszedłem do wielkiej, ciemnej, pustej katedry i stanąwszy w pośrodku, zacząłem myśleć o Bogu, aż oczy moje napęłniły się łzami. Upokorzyłem się, bo mi się zdawało, że tego ranka urósł nieco i że Bóg upokorzenie moje widzieć będzie, jak gdyby jaka z najwyższych kolumn upadała przed nim. Otóż takie były myśli moje, takie uczucia po odebraniu tego nowego płodu. Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny!... Potem poszedłem do M. pochwalić się, i jadłem z nimi obiad, wesoły jak rzadko bywa i dosyć kontent ze świata. — Chrzcziny tego nowego dziecka bez żadnego kosztu obeszły się, albowiem uprzednie moje na niego zapracowały — i jeszcze mi coś zostało.“

Już w parę miesięcy potem — w drugiej listopada połowie — wyprawiony został do Paryża do druku drugi rękopis. Było „Poemat o Piekło“, a zatem ostatnie, najświeższe dzieło ze wszystkich, jakie naówczas autor miał w tece. Ofiarował je w przypisaniu „Żałosnej ludu polskiego Wdowie“, a rozumiał przez te słowa miasto Warszawę. Kilka wierszy stanowiących właśnie tę dedykację, na pierwszej karcie poematu, mają podpis „dnia 15 listopada 1838 r. z Florencyi“. Była to niezawodnie data dnia, w którym rękopis był oddawany na pocztę. Książka została odbita i weszła w obieg księgarski zapewne z końcem jeszcze tegosamego roku, chociaż zwyczajem księgarskim położono na tytule cyfrę roku następnego. Cały tytuł był taki:

Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o Piekło, przez Juliusza Słowackiego. Paryż 1839. Format 12°.

Zwyczajem moim nie mogę udzielić czytelnikowi o tém dziele żadnej osobistej wzmianki autora zaczerpniętej z jego poufnych zwierzeń. Piérwsza to publikacya, o której najgłębsze milczenie w całej jego korespondencyi. Dzieło samo nie było tego powodem, lecz zdarzenia uboczne. Listy Słowackiego ukazują w tém miejscu przerwę i to nader znaczną. Od 21 sierpnia 1838 aż do 24 czerwca 1839, a zatem przez całe 10 miesięcy, nie odebrała matka poety ani jednego słowa od syna. Powodem tego milczenia była ta okoliczność, że w jesieni 1838 r. brat jej Teofil dla jakichś podejrzeń o winy polityczne w domu własnym na wsi na Wołyniu został aresztowany, a następnie wyrokiem sądów wojennych wskazany na wygnanie. Jako miejsce wygnania była mu naznaczona Perma w głębokiej Rosyi. Ściągnęło to, jak się samo rozumie, i wszelkiego rodzaju nieprzyjemności i niemałe straty materyalne na tę całą rodzinę. Pani Becu była z tego powodu trzymana przez 5 miesięcy pod śledztwem w Kijowie, i nie mogła od owęj chwili już utrzymywać stósunków z synem. I Juliusz, któremu wiadomość o tém wszystkiém doniesiono z boku natychmiast, nie śmiał jako wychodzić listami swymi kompromitować matki i zawiesił z tego powodu zupełnie korespondencyą. Tak więc niepodobno mi jest udzielić bliższych szczegółów o stósun-kach i krokach mego poety, o ile takowe przypadają na przeciąg rzeczonych 10 miesięcy.

Piérwszym, który mu przywiózł tę smutną z kraju wiadomość, był Zygmunt Krasiński. Przybył on do Florencyi w miesiącu październiku (1838) i pocieszał w téj ciężkiej niedoli jak mógł, biednego towarzysza swojego, dopóki tenże bawił jeszcze we Włoszech. Ile mu wdzięczny był Juliusz za tę jego serdeczną przyjaźń, o tém najlepiej przekonywa wiersz wtedy napisany do niego, w chwili kiedy wyjeżdżał już z Florencyi. Wiersz ten, przez niedopatrzienie niezamieszczony w zbiorze pism jego pozgon-nych, był następujący:

DO ZYGMUNTA.

„Żegnaj, o! żegnaj archaniele wiary,
Coś przyszedł robić z mojem sercem czary,
Coś w lzy zamienił jego krew czerwoną,
Wyrwał je z piersi, wziął we własne łono,
Ogrzał, oświecił — by nie poszło w trumnę
Ani spokojne mniej, ani mniej dumne.

„Więc gdzieś, daleko, u boskiego celu
Chwała dla ciebie, o serc wskrzesicielu!
A dla mnie pokój dla ducha i kości,
Bo tym obojgu trzeba — spokojności...
Lecz jeśli ducha nadechodzą morderce,
Lecz jeśli walka jest: — daleś mi serce!

Florencya 4 grudnia 1838.“

Na zakończenie rozdziału, w którym chciałbym wyczerpnąć wszystko, co tylko miało związek z pobytem Słowackiego we Florencyi, przejdę od biografii do krytyki. Powiedziało się wyżej, że na czas ten florencki przypada ogłoszenie dwu tomików, nakładem własnym autora drukowanych w Paryżu. Tu pora zastanowić się nad tém, co się w takowych mieści. Poemat *Piasta Dantyszka o Piekło* przejdę milczeniem. Nie jest to utwor z liczby cenniejszych. Nie daje powodu ani do szczególnych pochwał ani też do ujemnych wywodów takich, którychby każdy czytający sam sobie nie potrafił utworzyć. Poemat ten i w pierwszej chwili małe sprawił wrażenie i później nie potrafił zjednać sobie rozgłosu. W tym razie zgadzam się i ja najzupełniej z wyobrażeniami o tém ogółu. To jedno mógłbym chyba dodać do nich, na podstawie bliższego obeznania się z życiem ówczesnym Juliusza, że praca, o której tu mówimy, była że tak powiem okolicznościowa, wywołana samą miejscowością jego ówczesnego pobytu. Była to rzecz pisana w stanie ducha mniej podniosłym.

Natchnienie prawdziwe nie dawało tu poecie tych skrzydeł, na których w innych czasach wznosił się nieraz w najwyższe sfery twórczości. Był to więc plód woli i rozmysłu, niż bezpośredniego rzutu fantazyi... To też, właśnie z przyczyn powyższych, nie nastęrczają się z okazji tego poematu do powiedzenia ani nawet takie uwagi, któreby choć ubocznie mogły mieć jakąś ważność przy określeniu kierunku i stanowiska poety w czasie, kiedy to pisał. Inaczéj za to ma się rzecz z drugą jego publikacją z czasów florenckich, pochodzącą z lat, kiedy przemieszczał się w Genewie. Nad nią warto zastanowić się nieco dłużej.

Pospolicie spotyka wszystkie Słowackiego utwory zarzut, że są zbyt trudne do rozumienia. Po dokładnem rozpoznaniu osobistych okoliczności, dotyczących poety, mniemana niezrozumiałość dzieł jego okaże się przesadą. Prawdziwie uzasadnionym pozostanie powyższy zarzut tylko w obec jednego poematu. Tym poematem jest *An heli*. Nie wiem czy jest, czy był kto dotąd tyle szczęśliwy, żeby się mógł pochwalić, że w nim na wskrósł przyniósł cały autora zamiar. Pomimo tego — rzecz dziwna! — nieprzystępność i niejasność w całym *Anhellego* układzie doznaje w wyjątkowy jakiś sposób szczególnej pobłażliwości u wszystkich. Cudny język, dziwnéj czystości formy, kilka postaci wymarzonych z nieźrównaną poezją i te ustępy poszczególne, tu i owdzie po całym dziele rozsiane, które już same przez się zostawiają jakiś smętny obraz w myśli czytającego, wystarczyły *Anhellemu* za przepustkę w charakterze jednej z najlepszych kreacyi.

Zygmunt Krasiński, kiedy się dowiedział o śmierci Słowackiego, pisał do przyjaciół jego w Paryżu zajętych właśnie pogrzebem: — „Połóżcie mu napis na grobie: *Autorowi Anhellego*, a ten jeden wystarczy dla zapewnienia mu sławy na pokolenia przyszłe.“ — Ze słów tych widać, że autor *Irydyona* najwyżej stawiał *Anhellego* między wszystkimi utworami zgasłego przyjaciela. A skoro tak wysoko dzieło to cenił, zdawałoby się, że je musiał i doskonale rozumieć. Czy je rzeczywiście rozumiał? o tém zdania mogą być różne. Odzywał on się i w rychlejszych już latach, za życia jeszcze Juliusza, po kilka razy i przy różnych sposobnościach w podobny sposób o tym utworze. W liście

do Romana Z. (Zaluskiego? *) wprost nawet dotknął punktu, o który nam tutaj chodzi. — „Na żaden sposób (tak się list rzeczony zaczyna) nie mogę uznać za prawdę i słusność niesprawiedliwości wyrządzonej przez publiczność Juliuszowi. Zapytam się: w czym go nie rozumieją? Ty pierwszy powiedz mi, czegoś w nim nie rozumiał?... I mówiąc w dalszych wyrazach z tego właśnie punktu widzenia o niektórych jego pismach z osobna, mianowicie o „Trzech Poematach“ i Balladynie, tak pisze dalej: — „Teraz o Anhellim. Zaprawdę potrzeba potęgi uroczej, genialnej, nadzwyczajnej, by Sybiru otchłań tak wyстроить w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd. Gdym czytał, wzdychałem — tęskno mi było, żal się mnie Boże, do Sybiru! Przez kilka nocy Sybir śnił mi się jakby Eden melancholijny. Wiesz że mówią, iż czasem duch samobójstwa niesłychane obiecuje rozkosze, szepce do ucha i ludzi i nęci i porywa. Otóż piekło Sybiru nie przestając być piekłem, przybrało w Anhellim taką uludę dziwną, prześliczną i straszną, okropną i ponętną zarazem“...

Czy te słowa — zresztą tak poetyczne, przekonywają o tém, że ten co je pisał, wnikał w wewnętrzną myśl Anhellego: o tém sąd pozostawiam czytelnikowi. Podobnie ogólnikowej treści są i uwagi Krasińskiego o Anhellim wyrzeczone rok później w artykule o Słowackim, danym do Tygodnika **). Więcej wprawdzie szczegółowe były myśli jego o tém udzielone K. Gąszyńskiemu w roku 1838 z Wenecyi ***): jednakże i one żadną miarą nie wystarczają na to, żeby nam dziś wytłómaczyć, dlaczego Krasiński stawiał tak wysoko poemat, z którego, jak widzimy, równie nie byłby umiał zdać sprawy dostatecznej, jak wszyscy.

Był snąć w owém pokoleniu poetów jakiś dziwny pociąg do tajemniczości w artyzmie, tak iż mglista zagadkowość dzieł poe-

*) List ten był pisany w r. 1840 dnia 13 maja w Rzymie. Ogłoszono go w Dodatku Czasu 1859 r. w zeszycie na miesiąc marzec.

**) Tygodnik Literacki poznański, rok 1841, str. 181.

***) Obacz Wyjątki z listów Z. Krasińskiego, strona 43.

tyckich nie była poczytywana za ułomność, lecz raczej przydawać miała uroku częściom obrazu więcej wydobytym na światło. Co tonało w pomroku, choć nie przemawiało do oka, mówiło do wyobraźni. A ta po swojemu — u każdego czytelnika inaczej — dopełniała tego, co w obrazie było zakrytém. Nie chodziło o to, co poeta zamierzał, ale co się dawało marzyć nad książką, w duszy własnej. Było to, jak z utworami muzyki, które także wzbudzają myśli w słuchaczach, ale zazwyczaj w każdym inne i aż do pewnej granicy zupełnie dowolne...

Nie stósuję jednakże tego, co tu mówię, do całej osnowy Anhellego. Jest w tém dziele dobra połowa szczegółów, w których się mieści świadomy zamiar poety. Spróbujmy, czy nie potrafimy choć tę część poematu odsłonić.

Ażeby to ułatwić, powiedzmy sobie przedewszystkiém, że autorowi bynajmniej nie chodziło w Anhellim o krainę sybirską, choć z niej zrobił pozorną scenę swojej powieści, ani też o stósunki wygnańców i osiedleńców sybirskich. Ktoby to wszystko chciał brać dosłownie, musiałby co krok sprzeczać się z poetą, wytykając mu to nieznaną przedmiotu, to brak podobieństwa do prawdy. Zaraz na samym początku poematu czytamy, że przyszli wygnańcy w liczbie około 1000 osób na ziemię sybirską i zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać w nim razem w zgodzie i w miłości braterskiej. A kiedy już dom ów stanął, wtedy każdy zajął się swoją pracą, oprócz ludzi, którzy chcieli aby ich nazywano mądrymi i zostawali w bezczynności mówiąc: oto myślimy o zbawieniu ojczyzny... Słowacki wprawdzie osobiście nie znał Sybiru; ale równie jak każdemu z nas, nie mogło i jemu nie być wiadomém, że ani pierwsze, ani drugie pomiędzy wygnańcami zasłanymi do téj krainy żadną miarą nie mogłoby być praktykowaném. — Również nie miałyby sensu w znaczeniu dosłowném ta cała scena z dziećmi i popem na tatarskim koniu siedzącym, która jest opisana w rozdziale IIIcim (wydanie lipskie, str. 109). To jest obraz rzeczywistych stósunków, lecz nie pod niebem sybirskiem. — Podobnie nie słyszał też nikt w Sybirze „o turmach i o wtrąconych do nich więźniach, których twarze smutne i blade patrzą się przez kraty

w niebo“ (rozdział IV str. 111). Cały ten ustęp wzięty jest niezawodnie z rzeczywistego życia, lecz do sybirskich stosunków to nie przystaje. — Scena ukrzyżowania trzech fanatyków, z których każdy przez własnych ziomków zostaje przybitym na krzyż za swoje mrzonki (rozdział X str. 126 i 127) — i to są znowu rzeczy, których na Sybirze nawet rozbudzała wyobraźnia poety nie będzie śmiała umieszczać, — chyba w allegorycznym znaczeniu, w sensie symbolicznej przenośni. — W drugiej połowie XIgo ustępu (str. 131 — 133) ukazuje autor wstającą z grobu w kształcie płomienia postać biskupa, którego kości pogrzebane są w śniegach sybirskich. Ze słów, jakie biskup ten mówi do Anhellego, widzi każdy, że to Soltyk. Mielizbysmy przypuszczać, że to pomyłka poety? Nie miało by być i Słowackiemu wiadomym, że grób Soltyka znajduje się na Wawelu, a miejsce wygnania jego było z tej strony Uralu?..

Mógłbym to dowodzenie znacznie przedłużyć; myślę jednak, że i to, co powiedziałem dotąd, wystarcza, ażeby przyjąć za punkt wyjścia w rozborze niniejszym przypuszczenie, że w Anhellim przez Sybir i przez wygnańców sybirskich rozumieć koniecznie trzeba co innego, jak to co na razie sam brzęk słowa nasuwa. —

Poeta daje widocznie w dziele obecnym wizerunek doli całego narodu, przegląd wszystkich jego stosunków, obraz i cierpień, które znosimy od drugich, i win, jakie sami przeciw sobie popełniamy. Sybirem podobalo mu się nazwać całe nasze położenie społeczne. Obejmuje więc w tym wyrazie kraj nasz cały przedewszystkiem, a potem emigracją z r. 1831, nakoniec i wszelkie strony świata zaludnione wygnańcami polskimi, nie wyłączając zresztą z liczby takowych także i pustyń sybirskich.

Upatrywaćby można w tém wszystkiem coś artystycznie niewłaściwego, coś... że powiem, naciągniętego. Użyty symbol słabo odpowiada podłożonemu sobie znaczeniu. Odnieść to należy na karb osobistych też jedynie okoliczności poety, że użył tej właśnie formy. Anhelli był pisany w Genewie. Stała Słowackiemu wtedy ciągle przed oczyma owa olbrzymia biała góra, o której mawiał w listach swoich, że „jest podobna do snycerskiego po-

sagu sybirskiej krainy“. Ten widok codzienny zakutego w lody i śniegi Mont-Blanc, odbity w wyobraźni, przyjął w się zwolna wszystkie medytacje poety o ojczyźnie i o rodzinie, o szczęściu którego nie zaznał, o samotności, na którą był wskazany... Z czasem w duchu jego tak się jedno i drugie zlało, że mu się już czuć nie dawała niepokrewność i nawet sprzeczność między tłem a obrazem, między formą a rzeczą samą. Obydwie strony w fantazyi jego spłynęły w jedność, nierozłącznie spojeną. Owinęło się zaś około téjże jeszcze i coś trzeciego, co także było tylko skutkiem przypadkowych owoczesnych osobistych stosunków: — mówię o stylu biblijnym, jakim jest napisany Anhelli *).

Odnosząc Anhellego w taki sposób do symbolicznego rodzaju poezyi, uważam za potrzebne rzucić tu mimochodem jeszcze tę ogólną uwagę, że symbolika w sztuce może być dwójaka. Mogą w jęj zakresie być same takie tylko przenośnie, które ściśle wyobrażają myśl sobie podłożoną i po za granicę téjże myśli wcale nie przesięgają. W takim razie ruch i kształty użytych form symbolicznych stosują się wiernie i niewolniczo do wewnętrznego swego znaczenia. Wszystko w nich tém znaczeniem przesiąkło, a po za okrąg tego znaczenia ani krokiem już dalej pomysł symboliczny nie idzie. To jest symboliczność ścisła — łatwa wprawdzie do odgadywania i przezroczyta, ale skostniała, uboga w artystyczne powaby i jakby spętana tém czémś drugim, sobie obcym, co w nią włożono. Bywają znowu utwory symboliczne zgoła odmiennéj natury. Figury i znaki w zakresie téj drugiej symboliki, stworzone pierwotnie na to, żeby coś takiego znaczyły, czém same przez się nie są, wprawdzie z razu przyjmują na się piętno podłożonego sobie znaczenia, ale na tém bynajmniej nie poprzestają. Zostawszy raz wywołane do życia, jako udzielne twory fantazyi, zatrzymują ruch i nadal w własnym swoim kierunku; skutkiem czego wynikają z nich kształty zewnętrzne i sytuacje takie, które nie mają żadnej wreszcie wspólności z pierwotnym, z głównym znaczeniem. W takim razie

*) W tomie I na stronie 241 wspomnieliśmy, że czytanie pisma św. było w owych latach codziennym zwyczajem Słowackiego.

allegoryczność miesza i wkle się ciągle z bezpośrednią dosłownością utworu. Sceny i kształty znaczą rzecz, o wyrażenie której z założenia głównie chodziło, ale dają też oprócz tego i więcej jeszcze, to jest dają i siebie same. Tak powstaje symboliczność swobodna, fantastyczna, będąca nieskończenie trudniejszą do rozumienia, aniżeli tamten jej rodzaj, ale wolna od tej martwoty i sztywności, na jaką z natury rzeczy wskazane są symboliczne tworzywa poprzedniej kategorii. Ten drugi rodzaj symboliczności jest najwłaściwszym w zakresie twórczości poetyckiej: i do tego jej rodzaju policzyć też należy i Anhellego.

Względna zatem trudność do rozumienia tego utworu (gdyby się kończyło na takiej tylko trudności), byłaby prostym tylko następstwem przyjętej formy, a raczej rodzaju poezji, w którym jest wykonany Anhellego. Taka trudność nie byłaby wadą. Ustępy Anhellego jednakże, nadarżające się, jak każdy przyzna, dość często, które się całkiem usuwają z pod możliwości wykładu, okazują, że autor nieraz zbyt się daleko dawał fantastyczności porywać i przesadzał niekiedy w dobrych chęciach otoczenia symboliczności poezją i cudownością. W tym więc całe źródło mglistości i wszystkich w ogóle wad Anhellego. —

Przystępuję teraz do szczegółowego przeglądu myśli Słowackiego w dziele niniejszym.

Poeta daje na samym początku wizerunek widocznie emigracyi naszej ówczesnej. Exystencją jej nienormalną, między obcymi, na tułactwie, zowiąc figurycznie życiem w Sybirze, powiada:

„Przyszli wygnańcy na ziemię sybirską i obrawszy miejsce szerokie, zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i miłości braterskiej; było ich zaś około tysiąca ludzi z różnego stanu.“ Mieli ci nieszczęśliwi między sobą utrzymywać nadzieję, „bo nadzieja przejdzie z nich do przyszłych pokoleń i ożywi je“. Mieli czuwać nad sobą, „bo byli jak ludzie stojący na podniesieniu“...

I rzeczywiście „przez jakiś czas był pomiędzy nimi wielki porządek i wielki smutek; albowiem nie mogli zapomnieć, że są wygnańcami i że już nie zobaczą... chyba Bóg zechce —“

Lecz czasy tego porządku i smutku nie były długie. Niektórzy tylko z nich zajęli się swoją pracą. Niebawem znaleźli się między nimi, „którzy chcieli aby je nazywano mądrymi i zostawali w bezczynności, mówiąc: Oto myślimy o zbawieniu ojczyzny“... I okazało się aż zbyt rychło, że ten zastęp wygnańców był tylko jedną plagą więcej dla społeczeństwa, z łona którego wyszedł. — „Dobrzy byłiby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieniła w ludzi złych i szkodliwych; albowiem serca ich były słabe. Byli ludem starym, których wskrzесиć na duchu cudem jest“...

To więc wizerunek pierwszy stanu społeczeństwa naszego — w latach, w których był pisany Anhellego.

Począwszy od rozdziału III do IX. ciągnie się cała galeria podobnych tegoż stanu obrazów. Jestto niejako wędrówka dantejska przez cały obszar stosunków exystencji ówczesnej narodu. Figura fantastyczna, Szaman, prowadzi przez to społeczne piekło poetę, jak w Komedyi Boskiej Wirgili prowadził włoskiego wieszca. Ci dwaj spotykali na drodze swojej różne potępione za swoje przeszłość osobistości. Anhellego spotyka się z równie potępionymi, lecz nie indywiduami, ale stosunkami, spotyka się z cierpieniami kolosalnymi narodu, które się już zamieniły w stały obyczaj, w panujący i niezmienny stan rzeczy...

Cała ta część dzieła i najartystyczniej jest wykonana i najłatwiej poddaje się wyrozumieniu. Nie ma potrzeby zatrzymywać się tu nad składającymi ją ustępami z osobna. Wszystkie obrazy są wzięte z rzeczywistego życia. Wprawdzie otacza je zawsze pewna ornamentyka fantastyczna, cudowność, która analizy nie znosi. Zrażać się tym nie należy, taki już bowiem jest cały sposób poematu, który mamy przed sobą. A bardzo zmyślnie też postąpił sobie poeta, że ku końcowi tego przeglądu narodowych cierpień i pokut (na str. 126) od niechcenia rzucił słowo, które ten cały szereg obrazów, pod względem ich formy, pozwala uważać za rzeczy ukazane że tak powiem na tle widzenia, za sen. „I przekonany był Anhellego, że widzenie kopalni snem było, albowiem nie wiedział, jak z nich wyszedł.“ —

Na dalszych kartach, od rozdziału dziesiątego poczynawszy, następuje że tak powiem, wytłómaczenie, dlaczego dzieć się mogą pod okiem bożem takie monstrualności społeczne. Autor wraca do owego zastępu tysiąca ludzi mieszkających w wspólnym domu, pozostawionych przy woli własnej, od których zaczął całe swoje opowiadanie. W obrazach co tylko przeprowadzonych przed oczyma naszymi, odsłonił co naród znosi i cierpi. W scenach, co teraz następują, przychodzi mu okazać, co to społeczeństwo czyni. Ma on tu na oku, jak się już rzekło, przedewszystkiem ówczesną emigracją. Ale jak emigracja była tylko odbłaskiem tego wszystkiego, czém naród cały wtedy był w sobie i co był czynić gotów, gdyby tylko na to pozwalały okoliczności: tak też i całe opowiadanie, które tu poeta daje, nie do samych tylko emigracyjnych stosunków ściągać należy, ale do całej sumy postępowania i zabiegów w narodzie, o ile takowe nawet w daném położeniu były wynikiem własnych instynktów i jako czyny wolnej woli stanowiły o doli społeczeństwa w przyszłości. — Cóż się tedy dzieje pośród owęj liczby wygnańców, co mieli mieszkać razem w zgodzie i miłości braterskiej i czuwać nad sobą, gdyż byli jako ludzie stojący na podniesieniu? — Poeta odsłania jeden rys tylko w ich usposobieniu ówczesném. Czy że nie dostrzegał innych wad, które toczyły i toczą ustrój społeczny nasz, czy że nie chodziło mu, jak tylko o symboliczne naznaczenie tego stanu chorobliwego, ku czemu wystarczała już i ta jedna skązówka: — dość że podnosi tylko samą nieudolność polityczną owych tysiąca ludzi, jako znamię, które cechuje wszystkie ich kroki. Marzycielstwo, fanatyzm, bezmiłość itd. są to już tylko drugorzędne przymioty i wyniki głównej winy, jaką odsłania, a którą wedle niego jest ta nieuleczona jakaś zapamiętałość, z jaką społeczeństwo nasze, jakby fatalizmem jakimś pędzone, chcąc ojczyznę zbawić, tylko coraz głębszą dla niej wykopuje mogiłę...

Owi wygnańcy tedy, mówi poeta, sobie samym zostawieni, po niedługim czasie klócić się zaczęli pomiędzy sobą. „I podzielili się na trzy gromady; a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny. Więc pierwsza na czele miała grafa Skir, który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontusze i nazywać

się będą szlachtą, jakby z Lachem na nowo przybyli do kraju pustego. A druga miała na czele żołnierza chudego imieniem Skartabellę, który chciał ziemię podzielić i ogłosić wolność chłopów i równość szlachty z żydami i cyganami. A trzecia na czele swoim miała księdza Bonifata, który chciał kraj zbawić modlitwą i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny, iść i ginąć nie broniąc się, jak męczennicy... —

W taki więc sposób oznaczywszy hasła, które czasu owego, kiedy był pisany Anelli, rzeczywiście wiele już sprawiały wrzawy w teorii, a w późniejszych latach po kolei odegrały rolę swoje w praktyce: maluje poeta w dalszym opowiadaniu zachowanie się tych gromad w stosunku wzajemnym jednej do drugiej.

Gromada Skartabelli, uzbrojona w siekiery, gotuje się do rozprawy z drugimi gromadami w swój sposób, w polu. Siła i siekiery mają tedy podpomóc prawdzie. Ale nim przyszło do walki, nabożny zastęp Bonifata poddaje radę, żeby ten spór raczej przed sądy Boga wytoczyć. Rada została przyjęta, stawiają tedy trzy krzyże, na każdym ma być przybity męczennik swego stronnictwa. „A kto najdłużej żyć będzie, przy tym zwycięstwo.“ — Wystąpili więc trzej rycerze, którzy za swoje przekonanie śmierć ponieść chcieli. Nie byli wybrani losiem, lecz z własnej woli. Bardzo trafnie, z wielką znajomością stosunków, dodaje do tego poeta: — „Nie byli to gromad wodzowie, lecz jedni z najmniejszych“...

„I zawieszono na krzyżach ludzie owe obłąkane i przybito im ręce ćwiekami; a ten co był na prawo krzyczał: równość! A ten co był z lewej krzyczał: krew! Wiszący zaś pośrodku mówił: wiara!“ — Nadaremnie, kiedy ich przybijano do krzyża, dał się słyszeć głos z nieba wołający: „Co wy czynicie?“... Dopiero kiedy było po czasie, kiedy ludzie owi trzej na krzyżach swoich skonali, dopiero wtedy tłumy zaślepione przejrzały, że się to nie godziło. Porwane strachem, rozbiegły się wtedy samopas, każda gromada w inną stronę, aby tak brojąc coraz gorzej, ostatecznie rozprząc się do reszty i zatonać w zgiełku, śmiechu i wrzaskach, w szczekaniu kielichów i brudnych pieśniach.

— „Wichry rozsiewają dębu nasiona i roznoszą je po ziemi; lecz wichry te będą przeklęte, co wasze mowy i rady do ojczyzny zaniosą. Oto obraziliście ludy téj ziemi — i z oszczepami stoją czyhając na was; psy ich nawet czyhają, aby z was którego rozedrzeć.“

Te słowa prawdy wkłada autor w usta Szamana. Szaman je wypowiada wygnańcom i zostaje za to przez nich zamordowanym. Prawdy jednak z nim razem zabić oni nie potrafili. Kończy się z nimi, jako im było przepowiedziano, że pomrą marnie przed dopełnieniem się czasu. W wielkim dniu zmartwychwstania, w chwili tryumfu sprawiedliwości, nie ma już na ziemi ani śladu po tych ludziach ani po szopie, którą sklecieli swemi rękami. Ich nienawiści wzajemne, ich smutki, ich rzekoma miłość ojczyzny, ich szamotania się gorączkowe strawiły się same w sobie. Wrogowi nie zaszkodziły, dla nich samych były przekleństwem i zgubą.

Póty pierwsza połowa dzieła.

Na tém ciemném tle rozpaczliwych stósunków, w przeciwstawieniu do tych typów potępionych w massie i jako massa pozostawionych też w głębi obrazu, spostrzegamy na pierwszym planie kilka postaci z osobna zwracających na się uwagę. Ich oblicza także są smętne, ale idealne. Sympatya nasza jest z niemi. Widać ze wszystkiego, że je wymarzyła miłość artysty. Oto w samym środku téj grupy widzimy pogrążonego w zadumaniu młodziana, z obliczem ku zachodowi zwróconém — to Anhelli. U stóp jego klęczy schylona jak pokutnica niewiasta — Ellenai. Przed nimi idzie Szaman, mędrzec sybirskich pokoleń. A w górze, jak uroczne widzenie, wznosi się świetlana postać anioła — Eloë... O napisanie gorzkiej satyry, o samo tylko potępienie naszego społeczeństwa, nie mogło chodzić poecie. Miał on niewątpliwie przed oczyma jakiś zamiar dodatni, wdzięczniejszy, kiedy tworzył ten poemat. Obaczymy, czy go nie odgadniemy z oblicza której z tych czterech przedniejszych figur obrazu.

Nim powiem o Anhellim, co mam na myśli, niech mi wolno będzie powiedzieć choć słowo o autorze. Słowacki w życiu swoim mało zaznał szczęścia. Żył samotny, opuszczony, często

nawiedzany przez rozpacz. Nieraz zadawał sobie pytanie, dlaczego cierpi? Szukał przyczyn, rozmyślał nad celami, dla których dostała mu się taka właśnie rola w podziale; lecz — odpowiedzi na zapytanie to nie znajdował. Poeta nasz nie pojmował jasno bytu swojego na ziemi. Nie widział przed sobą celu swojego, ani nie umiał zdać sobie sprawy ze stósunku, w jakim zostawał do reszty społeczeństwa.

To co człowieka dręczy jako niedocieczona zagadka, zazwyczaj bywa nieustającym tematem jego rozmyślań. Żeby się pozbyć téj myśli męczącej umysł, zwyczajny człowiek najchętniej o tém gada, z kim tylko może. Badacz rozpoczyna o takiej kwestyi dzieło uczone. Artysta, poeta... tworzy sobie z téj wewnętrznej męki serca swojego w wyobraźni ideał i znajduje już przez to samo zadowolenie, że go ogląda przed sobą przedmiotowo, jakby to było coś osobnego, w czém jak w zwierciadle przejrzyć się można.

Taka praca albo doprowadza do rozwiązania tajemnicy, albo przynajmniej do pewnego oswobodzenia się od niej. Jestto jakby zadośćuczynienie popędowi, który dopóki zamknięty, nie daje miru. Jestto jak ze smutkiem, jeśli takowy kogo nawiedzi. Samo wynurzenie i podzielenie się nim z drugimi przynosi ulgę. Najdotkliwszą jest boleść, kiedy nie ma się na nią nawet przed kim poskarżyć. Powiernik czyjś zgryzoty już przez to samo, że słucha, staje się pocieszycielem. Słowem, jest w człowieku potrzeba wygadania tego, czém przepełnione jest serce; a poeta czyni potrzebę téj zadość — tworząc.

Otóż i autor Anhellego chciał pozbyć się téj ciągłej myśli, która go prześladowała pytając: — Dlaczego ty cierpisz? Na co ty się rodziłeś, jeżeli takie miało być twoje życie? Czy twoje smutki zdadzą się na co? Dlaczego drudzy ludzie, dlaczego bracia twoi żyją inaczej?... Chciał mówić poeta nasz pozbyć się tych trapiących wątpliwości ducha swojego za pośrednictwem twórczej pracy, i miał przekonanie, że stawiając w wyobraźni przed sobą człowieka, to samo co on zajmującego stanowisko na świecie i obdarzonego podobnym duszy nastrojem, w idealnym, skoń-

czonym wizerunku tej wymarzonej natury znajdzie zwierciadło, zdolne rozwiązać niejedną i z własnych jego zagadek.

Bohater jego poematu — nie jestto zatem prosta, pochlebiająca osobistej próżności kopia tylko osoby autora. Jestto ideal i prototyp — ale wymarzony w tymże kierunku. Jest on pod względem położenia swego na zewnątrz także jednym z liczby owych tysięcy ludzi, zasłanych na wygnanie. Tęskni do ojczyzny, do normalnej doli społecznej, równie boleśnie, jak oni. Lecz krom tej jednej z nimi wspólności, nie ma między Anhellim a tym tłumem wygnańców żadnego podobieństwa. Widzimy w nim człowieka wyjątkowego. Drogi jego takie, że po nich idzie samotny, smutny... Będąc „czysty jak lilia biorąca z wody liście i kolory niewinne“, pozostaje z dala od tych nienawistnych i gorączkowych zapędów, na jakich tamci zużywają swoje siły, znajdując przynajmniej złudzenie, że coś działają. „W duszę Anhellego wlana jest miłość serdeczna dla ludzi i litość.“ Pomimo tego jednak, ta jego wyższość duchowa nie staje się nikomu do niczego przydatną. Anhellemu zbywa na sile, któraby wzięła panowanie nad resztą ludzi i czy to z ich wolą, czy mimo ich woli sprowadziła ich z tej drogi błędnej, po której idą. Anhellego siła nie jest z tego świata. Jestto w społeczeństwie poeta. Zamieszkał w nim anioł poezji i zamienił go całego na swoje tylko narzędzie — czyli jak to po kilka razy wypowiada w dziele swoim Słowacki: „Anhelli opętany jest przez Anioła.“ Właśnie przeto, najwznioślejsze uczucia jego zużywają się w sobie, nie przetwarzają się w czyny. Całe życie jego upływa mu więc beczynn timer, w odosobnieniu — w niewysłowionym smutku. Nie widać, żeby z tego wynikał jakiś owoc — czy to dla niego samego, czy dla pokolenia, pośród którego żyje, czy dla ojczyzny.

A jednak powiada o tym człowieku Szaman: — „Oddany jest na niego większy ciężar, niż mogą unieść inni, a by w nim było odkupienie“ (str. 107). Jest zatem konieczność i cel takiego życia, tylko że Anhelli tego nie wie o sobie i nie powinien, nie może o tym wiedzieć. Inaczej bowiem cierpienia i smutek ten nie miałyby już ani tego stopnia ani tego znaczenia.

To zdaje się być kluczem najwłaściwszym do rozumienia roli,

w jakiej wymarzył poeta bohatera swego utworu. Ta smutna egzystencja bez pociech i bez świadomości celu, któremu służy, przeprowadzona jest od początku do końca tak logicznie, jednolicie i z tak wyraźnym zamiarem, że wątpić wcale nie można, iż o to właśnie autorowi chodziło.

Ażeby się o tem przekonać, zestawmy wydatniejsze momenta, zapomocą których odsłania się charakter tej idealnej natury.

— „Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie, mówi Anhelli o sobie. Sąto gwiazdy tesame, które mnie widziały młodym i szczęśliwym? Dlaczegoż nie powstanie wichra, co mnie z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą? Dlaczego ja żyję?

„Oto już jednego włosa nie ma na głowie mojej z tych, które były dawniej; oto się nawet kości we mnie odnowiły: a ja zawsze pamiętam... A nie ma jednej kawki w powietrzu, któraby nie spała przez jedną noc życia w spokojnym gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał.

„Chciałbym umrzeć. Bo zdaje mi się, że gdy będę umarłym, to sam Bóg pożąda tego, co ze mną uczynił.“ (str. 130).

— To są uczucia, pod wpływem których widzimy go w środku zawodu. — Nie mniej smutne, posępniejsze jeszcze, są ostatnie Anhellego chwile na ziemi. Przeżył wszystkich swoich, patrzył na zgon obu istot, które na ziemi były jedyne, co go kochały (Szaman i Ellenai); dożył zagłady i całego owego pokolenia, do którego rodem należał, a które wśród bezowocnych szamań z losem i pośród przekleństw wzajemnych zmarniało, nie pozostawiając ani znaku po sobie. Pozostał sam jeden w swoim świecie Anhelli — „jak harfa z porwanymi strunami“. I oto czasy mają się ku dopełnieniu, straszne przesilenie się waży i dzień odrodzenia jest bliski. Jeszcze jedna noc, noc długa, okropna, ciemna, „sybirska“, lecz tylko jedna: a „dzień wielki“ po tej „nocy wielkiej“ zaświta. Ale Anhelli o tem wszystkiem nie wie! Aniołowie, którzy przychodzą zwiastować mu śmierć, nie mówią mu ani słowa o tem, co ma nastąpić w tak bliskim czasie. Mówią do niego słowami, których dźwięk taki, jakby się wszystko skończyło. Opuszczają go, wyrzekłszy co mu mieli zwiastować, jakby nie było żadnej już pociechy dla niego. Wyraźnie

chodzi o to pocie, aby to życie, idealne i ofiarne, zgasiło już w tym strasznym zmierzchu między świtem ufności a nocą rozpacz, w tym duchowym półświecie nadziei i beznadziei, które jest największą ze wszystkich męczarni serca. Pod tym tylko warunkiem będzie z życia człowieka tego ofiara, godna stanąć za odkupienie... Dopiero po spełnieniu się życia takiego nastąpić może chwila... oczekiwana!

W takito sposób tłómaczę sobie cały ów obraz w rozdziale XV, gdzie się znajduje kilka wyrażen i pomysłów, które z innego punktu widzenia byłyby albo trudne do zrozumienia albo nawet zdolne wykładu, wręcz przeciwnego przekonaniom poety. Mianowicie mam tu na myśli to miejsce:

„I rzekli mu aniołowie: Oto przyszliśmy ci zwiastować, że dzisiejsze słońce wstanie jeszcze, lecz jutrzejsze nie pokaże się nad ziemią.

„Przyszliśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą okropność, niż jakiej ludzie doznali kiedy: samotność w ciemnościach.

„Przyszliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli, wściekli od krwi ludzkiej, a ty jesteś ostatni.

„A jesteśmy ci sami, którzy przed wiekiem przyszli do chałty kołodzieja i usiedli za jego stołem w cieniu lip pachnących.

„Lud wasz wtenczas był jako człowiek, który się budzi i powiada sobie: oto mię rzecz miła czeka o południu i weselić się będę wieczorem.

„Zwiastowaliśmy wam nadzieję, a teraz przyszliśmy zwiastować koniec i nieszczęście, a Bóg nie kazał nam wyjawić przyszłości.“ (str. 142).

— Pomimo skarg, jakimi odpowiada na te Aniołów słowa Anhell, ciemna zasłona przyszłości nie zostaje mu odchylna. Zaledwie mimochodem, w formie pytania, tonem wątpliwego niejako przypuszczenia, nasuwają mu Aniołowie myśl, która gdyby mu była oznajmiona jako pewność zwiastowana z ich strony, byłaby osłoda jego niedoli, a nawet wynagrodzeniem sowitem za wszystkie cierpienia jego:

„A wieszli ty, czy od spokojności twojej nie zależy żywot jaki, a może żywot i los milionów?

„Możesz jest wybrany na ofiarę spokojną, a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny i być rzuconym w ciemność dla przestachu zgrai?“ (str. 144). —

W ostatnim dopiero rozdziale przypuszczenie to otrzymuje piętno prawdy i pewności. Wypowiada je tam poeta powtórnie, przez usta Eloj, w sposób dowodnie ukazujący, że to jeden zowników w obrębie jego przekonań, i że w tej myśli zawarte było całe założenie, jakie podjął w dziele niniejszém: — „On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca.“ (str. 147).

Lecz w tej formie słów tych już nie słyszał Anhell, jako nie miał słyszeć i tryumfalnych hasel, które równocześnie powstawały już natenczas na ziemi i „jakoby szum burzy wielkiej“ powoływały „ludzi silnych do życia, a do zmartwychwstania narody.“ Chwila ta przyszła dopiero nazajutrz po jego zgonie. Ten zgon cichy i samotny, po życiu bez żadnych pociech, miał być właśnie warunkiem nadejścia czasu, którego obrazem kończy się cały poemat.

Na tém kończę, com miał do powiedzenia o główniej postaci w tym utworze.

— O Szamanie i innych osobistościach w skład Anhellgo wchodzących, wystarczy i krótkie słowo. Szaman jest tylko fantastyczną postacią, allegoryą. Zupełnie mylném byłoby rozumienie, że w nim uosobiony jest geniusz sybirskich antochtonów. O sybirskie mądrości nie chodziło wcale pocie. Że go autor stawia jako króla i kapłana ludów tamtejszych, to tak obojętne, jak że Szaman jest ubrany w futra i korale, a na głowie ma wieniec z węzów nieżywych zamiast korony. Jestto wszystko tylko fantastyczny ornament — proste następstwo tego, że w ogóle takiej formy i tej przenośni za tło poematu użyto. Skoroć się rzecz niby dzieje w Sybirze, toć i mędrzec ów na jej przestrzeniach musiał się zjawić. Wicęć jednak w fantastycznej jego postaci istotnego znaczenia nie ma, jak że to jest plastyczne uosobienie tego wszystkiego najwznioślejszego, czego ani w tłumie owych tysięcy wygnańców, ani nawet w Anhellim nie ma. Chodziło o to, ażeby pośród tego pokolenia, przywalonego fatalizmem

szalu i grzechu, dać się czasem odezwać głosowi siły i prawdy, chociaż jęj nikt więcej między nimi nie słucha, tylko poeta Anhellu. Chodziło dalej o okazanie, że to wszystko boże i żywotne, czego pełen jest Szaman, nie ma za naczynie i za narzędzie swoje owęj generacyi wygnańców, lecz zostaje zewnątrz nich — a więc... w obcym człowieku. Szaman jednakże (powiada poeta) nauczył się tego wszystkiego od ojców naszych, „których znał i widział jak żyli bogobojnie“ (str. 106). A zatem mądrość jego jestto własna nasza tradycja narodowa, ale nie będąca w posiadaniu obecnych pokoleń — tradycja jak dla dzisiejszych ludzi, zapomniana. — Rola Szamana w poemacie jest zresztą jedną z podrzędnych. Działanie jego tylko pozornie zdaje się być wydatniejszem, niżeli niem jest w istocie. Oprowadzanie bowiem owo Anhellu po różnych miejscach kraju, „ażeby mu ukazać wszystkie cierpienia ludu jego i wszystkie nieszczęścia tej ziemi“, jestto tylko złudzenie wyobraźni czyli środek artystyczny, na to użyty, ażeby połączyć z sobą rozrzucone wizerunki narodowej martyrologii i nadać im ciąg jakby akcji jednolitej. Rzeczywiście ruch ten odbywa się w duszy własnej Anhellu. Jestto widzenie...

Ellenai zdaje mi się być w poemacie jeszcze więcej podrzędnej tylko wagi. Jestto tylko akcesoryum do Anhellu. Wyobraża jedyną z znikomych osłód, która mogła zastąpić temu zbolełemu sercu jakiś cień ludzkiego szczęścia. Ellenai idzie za Anhellim, podziela jego samotność, kocha go jak siostra i więcej... ale to wszystko miało trwać tylko znikomą chwilę. — Chodziło widocznie poecie o to, ażeby ukazując, jak u stóp jego przedwczesną śmiercią umiera jedyna, która go rozumiała, tém posępniejszym jeszcze uczynić obraz smutku piérwszorzednej w dziele osoby.

Uboczne napomknięcia o przeszłości tej niewiasty zdają mi się rzeczą dla głównego pomysłu już obojętną. Poeta przedstawia w niej pokutnicę. Nie wiadomo, czy dało mu do tego powód jakie osobiste przypomnienie z życia własnego, czy też może tylko biblijny obraz Magdaleny klęczącej u stóp Chrystusa posłużył mimowiednie za wzór do odtworzenia go tutaj. Bądź co bądź — nie upatrujemy w tém wszystkiém niczego więcej, jak tylko przy-

padkowe, w taki właśnie przeprowadzone sposób wykończenie obrazu. Postać Ellenai miała być wydotaliowana — autorowi się podobało dokonać tego w tych rysach; mógł on być użyć do tego i innych środków, a wrażenie całości byłoby pozostało to samo.

Najwięcej fantastycznym tworem imaginacyi, do tego stopnia, że niepodobno tu już wchodzić w rozbiór jego znaczenia, zdaje mi się być w Anhellim Eloë. Pierwotnie zapewne przesunęła się przez myśl autorowi intencya, wprowadzić w skład poematu uosobienie Sławy. Nie miała to być owa sława rozgłosna, stugębna, z zimną admiracyą po świecie roztrębująca czyję wielkość i nieśmiertelność, jak sobie takową zwykle wyobrażamy; ale raczej rzewna, cicha, łzawa pamięć po zmarłych, przywiązana do mogił, gdzie leżą ich kości, i zarazem obecna w sercach, dla których te mogiły są drogie i swoje. Takięj to sławy pragnął dla siebie poeta nasz i taka też tylko jęj postać zdawała mu się godną znaleźć miejsce w jego obrazie. Stworzywszy sobie symbolicznie wcielenie tego pomysłu, widząc go w kształcie niewieściego anioła „z białemi skrzydłami i ze smutną gwiazdą na włosach, który chowa umarłe i strzeże ich grobów“, zadumał się autor nad tą cudną postacią. I fantazyja jego tworca pochwyciła tę allegoryą w swój zakres. Myśli poety popłynęły daleko: znalazły się całe dzieje, cały rodowód dla tej istoty anielskiej. Symbol sztywny przetrworzył się w życie, w imię, w romans i pokutę za niego, przemienił się w dziewicę zdolną uczuć ludzkich i spłacającą cierpieniem wszystko, co w tych uczuciach bywa niższego sfery czystych aniołów.

„Oto się zowie Eloë, a urodziła się ze łzy Chrystusowej na Golgocie, z tej łzy która wylana była nad narodami.

„Gdzieindziej napisano jest o Anielicy tej, jako zgrzeszyła ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów i umiłowała jednego z nich, i poleciała za nim w ciemność.

„A teraz jest wygnaną jak wy jesteście wygnani, i ukochała mogiły wasze i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: nie skarżcie się, lecz śpijcie!

„Przywyknij do niej za życia, albowiem będzie na mogile

twojej stapać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jój, abyś się nie obudził, gdy mówić będzie.“ (str. 131).

Owoż więc i cała powieść, która się jak bluszczyk zielony owinęła koło pomysłu, nie będącego pierwotnie niczem więcej jak tylko allegorią. Powstał w taki sposób ideał dziwnej czystości w wykonaniu — eteryczny i niebiański, że i pędzel mistrza z Fiezioli nie stworzył nic więcej serafickiego. Ale symboliczne znaczenie ulotniło się z tego obrazu.

I tak pozostaje niejeden szczegół, niejeden inny jeszcze ustęp w *Anhellim*, który analizy nie dopuszcza. Jestto ta treść jego połowa, która i wynika ze samej tylko fantazy, i nie przemawia, jak do fantazy. Ubolewać trzeba, że jeśli miało już dzieło to w taki sposób być wykonane, nie ma przynajmniej wydatniejszej granicy pomiędzy miejscami tego właśnie rodzaju a szczegółami, które coś znaczą. Przez zręczniejsze rozdzielanie światła i cieni, jako też przez baczniejsze przestrzeganie miary wszędzie właściwej, mógł być poeta ten dział fantastyczny i tylko akcesoryalny widoczniej odznaczyć od symbolicznych poematów ustępów. Tego zupełnie zaniedbał.

Drugi zarzut możnaby *Anhellemu* uczynić ze strony wniosku, który z niego wynika. Ziszczenie się pragnień narodowych, a w najgorszym razie odrodzenie innych społeczeństw, ma wedle Słowackiego być więc zawisłym od takich cichych ofiar, od takich niekrwawych męczeństw, jakim był cały zawód *Anhellego* na ziemi. Miałoby to rzeczywiście być prawdą? Trzebaż, ażeby najczystszy i najlepszy w narodzie marnieli w beczynnym smutku? żeby konali samotnie jako nieświadome misji swojej narzędzia przeznaczenia czy opatrności, domagającej się... „odkupienia“? Czy społeczeństwu zda się to na co, że ten i ów — wyrzucony z zastępu czynnych — strawi się w samotności i melancholii? Czy taką idealną protestacją daje się co naprawić? Czy łzami, które tylko Bóg widzi, spłaca się wina pokoleń, które żyły i które żyją? Czy to wystarcza?

Są pytania, na które i milczenie jest odpowiedzią, a do takich pytań niezawodnie należą i obecne. Doktryna ostatecznie przeprowadzona w *Anhellim* jest mętna i fantastyczna. Gubi się ona

w nieznurtowanych głębinach mistycyzmu. Mistycyzm ten w pojęciu o przeznaczeniu swoim na świecie, jako poety, daje się wprowadzić poniekąd zrozumieć u Słowackiego. Położenie jego było w owych latach, kiedy utwór ten pisał, tak smutne pod każdym względem, że wcale się dziwić nie można, iż go znajdujemy przywalonego takim brzemieniem moralnego znękania. Bezwzględnie i przedmiotowo jednak rzecz biorąc, trudno to inaczej nazwać, jak zbłąkaniem — szukaniem wyjścia z trudności na drodze, która do celu nie wiedzie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Rok 1839 i 1840. — Poeta osiada w Paryżu i wydaje Trzy Poematy, toż Balladynę. — Korespondencya z Krasińskim. — Kilka słów mimochodem rzuconych o wartości wydania „Wyjątków z listów Z. Krasińskiego“. — Słowa Krasińskiego o Mickiewiczu, Słowackim i Cieszkowskim. — Stósunki Juliusza z matką zawieszają się na nowo. — Życie jego w Paryżu — stósunek do Emigracyi — Amnestya. — Wychodzi z druku Mazepa i Lilla Weneda. Powstają nowe dzieła: Krakus — Wallenrod — Beatryx Cenci — dramat Beniowski i niektóre pomniejsze rzeczy, to wierszem, to prozą pisane. —

Niedługo po napisaniu owego wiersza „Do Zygmunta“, oznaczonego datą dnia 4 grudnia 1838 r., któryśmy zamieścili w poprzedzającym rozdziale, i w każdym razie zapewne jeszcze przed Nowym Rokiem, opuścił Słowacki piękną stolicę Toskanii i przeniósł się do Paryża. Z przyczyny przerwy w jego korespondencyi do matki, o której powodach wspomnieliśmy już w rozdziale poprzednim, nieznane mi są bliższe szczegóły podróży i przybycia poety do wielkiego miasta, jak zwykł był zawsze Paryż nazywać. Mianowicie niewiadomo mi, czy jechał przez Szwajcaryę i czy po drodze odwiedził dawne swoje gospodynie genewskie.

Stanąwszy na miejscu, Słowacki zajął się zaraz wydawnictwem dzieł swoich. Trzy poematy, w różnych czasach i różniejszych jeszcze miejscach powstałe, t. j. Ojca Zadżumionych, „W Szwajcaryi“, i Wacława, pomieścił w jednym tomiku i wydał go pod napisem:

Trzy Poematy, przez Juliusza Słowackiego. Paryż 1839. 12^o str. 121.

Niezwłocznie potem wyszła:

Balladyna, tragedia w 5 aktach, przez Juliusza Słowackiego. Paryż 1839. 12^o str. 212.

Obydwa te dzieła wyjść musiały z pod prasy najdalej około końca miesiąca lutego. Tygodnik Literacki poznański w numerze z dnia 18 marca donosi o nich, jako o nowościach będących już w rękach publiczności.

Balladyna była więc czwartą już z kolei Słowackiego publikacją w tym drugim jego autorskim zawodzie. Od czasu wydania Anhellego minęło już było kilka miesięcy. Napróżno brał poeta nasz do ręki różne ówczesne pisma czasowe, czy w nich nie znajdzie śladu wrażenia, jakie dzieło to sprawić mogło na czytelnikach. W żadnym z nich nie było, czego szukał. Wprawdzie pojawiła się recenzya Anhellego niezbyt głęboko w przedmiot wchodząca w Tygodniku Literackim poznańskim (autorem jęj był Ne-pomucen Sadowski); lecz to nastąpiło dopiero później, w numerach kwietniowych 1839 r. W chwili, kiedy się drukowała Balladyna, dochodziły poetę na to najlubiejsze jego dzieło ze strony bliższych znajomych same tylko skargi, że Anhellego niepodobno rozumieć. A w dalszych kołach zalegało o nim, jak o wszystkim, co przed tém wydał, — milczenie głuche.

Z tego to powodu dołączył autor do Balladyny przedmowę, ułożoną w kształcie listu do jedynego między ludźmi, o którym wiedział, że słyszy i rozumie głos jego.

Cudny ten list zaczyna się od przypowieści, którą miano mu opowiadać w Grecyi nad Salaminą zatoką.

„Stary i ślepy harfiarz z wyspy Scio przyszedł nad brzegi morza egejskiego, a usłyszawszy z wielkim hukiem łamiące się fale, myślał że szum ów pochodził od zgiełku ludzi, którzy się zbiegli pieśni rycerskich posłuchać. Oparł się więc na harfie i śpiewał pustemu morza brzegowi, a kiedy skończył, zadziwił się, że żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego pieśni nie zyskała oklasku. Rzucił więc harfę precz daleko od siebie, a te fale, które śpiewak mniemał tłumem ludzkim, odniosły złote pieśni

narzędzie i położyły mu je przy stopach. I odszedł od harfy swojej smutny Greczyn, nie wiedząc że najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal egejskiego morza utonął“.....

Następnie daje autor kilka przesłicznie, choć nie zbyt jasno wypowiedzianych wskazówek, jakby chciał ażeby była rozumiana ta nowa jego tragedia; wreszcie kończy temi słowami:

„Rozpisałem się długo, a zamierzyłem był tylko napisać:

„Autorowi Irydyona

na pamiątkę

Balladyne

poświęca

Juliusz Słowacki.“

Odpowiedź, która na to ze strony Krasińskiego nadeszła, znajduje się w rękach moich. Stanowi ona pierwszy w szeregu dziesięciu listów, przez tegoż poetę do Juliusza pisanych, które się znalazły w pozostałych tegoż papierach. Korespondencya ta całkowita przypada na czas od 23 lutego 1840 do 12 kwietnia 1843 r. *).

Wydawca powszechnego zbioru listów Krasińskiego, których tom pierwszy wyszedł p. t. „Wyjątki z listów Zygmunta Krasińskiego“ (Paryż, 1860), wyrażony pod przedmową literami K. G. (zapewne pan Konstanty Gaszyński), miał także już, jak się zdaje, przed sobą kopie rzeczonych dziesięciu listów. Dziwną jednakże jest rzeczą, że nie chciał, czy nie mógł, czy też wreszcie nie umiał wydawca zrobić z nich ani tyle użytku, ażeby ich ogłoszenie zdało się komu na co. W ogóle pojąć nie umiem, czego chciał pan Gaszyński czy też rodzina zmarłego, wydając rzeczoną książkę? Najprzód bowiem porozrzucono wszystkie listy poety na różne kategorie, najdowolniej przyjęte, nie trzymając się wcale ciągu czasu, w jakim były pisane. Jeżeli cały cel oddania do rąk publiczności listów prywatnych wielkiego człowieka na tém jedynie zależy, ażeby to rzuciło jakieś światło

*) Nadmieniam, że kilka wyjątków, tylko wyjątków, z tych listów godnych ogłoszenia w całości, dano już w Dzienniku Literackim Lwowskim r. 1852 i 1857.

na jego życie, na genezę jego wyobrażeń i że tak powiem, na całe dzieje jego wewnętrznego istnienia: toć oczywiście nie można objawów tego wszystkiego porządkować inaczej, jak tylko w naturalnym ciągu i ładzie, a takim jest jedynie porządek czasu. Ale to jeszcze byłaby najmniejsza wada rzeczonej publikacyi. Pan Gaszyński pozwolił sobie i okrawać jeszcze listy Zygmunta! i jak okrawać! Z dziesięciu tych listów do Słowackiego pisanych, które znam w całości, mogę brać najlepszą miarę o generalnej zasadzie, podług której tam rozstrzygano, które ustępy są niby to stosowne do publikacyi, a które znowu mniej zajmujące. Co tylko w liście było prawdziwie ciekawem, co tylko miało jakie takie odniesienie czy to do chwili czy też do indywidualności obojga osób korespondujących ze sobą, to wszystko podobało się szanownym wydawcom właśnie odrzucić! A wcielono do książeczki same tylko miejsca ogólnikowe, filozofematy, *loci communes*, sentenecy itp. któreby mógł każdy do każdego napisać, z tą chyba jedną różnicą, że stylem nie dorównałby Krasińskiemu. Na dobitkę zaś, ażeby konfuzyja była co się zowie gruntowna, uważano tam jeszcze za stosowne, nie tylko zataić chwilę, kiedy który taki z listu poety wycinek był napisany, ale i do kogo był wyrzeczony! Przecież Krasiński miał zwyczaj kłaść na listach swoich dokładne daty i roku i miejsca i dnia nawet, kiedy co pisał! A tam tylko miejsce i liczba roku są położone. Oznaczenie zaś dnia i miesiąca zmazano, jakby to było rzeczą zgola obojętną, wśród jakich chwilowych okoliczności myśl która w duchu poety zabłysła. Zapewne, najczęściej wszystko to jedno jest, czy kto co powiedział z początku roku, czy z końca, szczególnie jeżeli to dotyczy zwyczajnego człowieka. Ale kiedy sprawa z wielkimi ludźmi, których żywot prędzej czy później będzie przedmiotem szczegółowych dociekań, to nieraz na takiem wskazaniu wszystkich towarzyszących okoliczności właśnie najwięcej zależy. A któż je wskazać potrafi, jeżeli nie będzie dokładnie wiedział, gdzie i kiedy się co działo? Kto wydaje czyje listy, a zatem materiały dopiero do późniejszego opracowania: ten przewidzieć tego naprzód nie może, który szczegół się okaże czasu swojego w ważnych punktach właśnie rozstrzygającym, a

który jest pobocznej i obojętnej wagi. Wydawca listów pośmiertnych powinien dać wszystko w takiej postaci, jak to jego ręką doszło, i uważać wszystko za nietykalne! Co się tyczy wreszcie osób, do których listy Krasińskiego były pisane, te osłonięte są taką tajemniczością, jakby to komu zbrodnią było i wstydem, że z nim korespondował Krasiński! Tylko o pierwszym dziale listów wiemy, że były pisane do pana Konstantego, i o ostatnim, że do dzieci poety. Dwa zaś pośrednie działy, gdzie właśnie mieszczą się i okruciny rzeczonych dziesięciu listów do Słowackiego, te zaległa mistyczna zagadkowość do tego stopnia nieprzenikniona, że nawet wiedzieć nie można, ile się tam ukrywa osób, które odbierały te listy.

„Pragnąc, aby ta książka — mówi pan Gaszyński w przedmowie — mogła bez przeszkody krążyć po całym obszarze dawnych ziem polskich, musiano tymczasowo usunąć z niej wiele ważnych i znakomicie pięknych listów. (— A czemużby takich listów nie ogłosić osobno?) Z wszystkich zaś innych zamieszczono jedynie główne (?) ustępy, stanowiące pewną artystyczną całość.“

Mnie się zdaje, że o artystyczną całość nie chodzi wcale w ogłaszających się zbiorach korespondencji, zwłaszcza prowadzonej z różnymi osobami; lecz jedynie o autentyczność i sumienność. Listy Krasińskiego zresztą same przez się całość taką będą składały, bylebyście je tylko dali tak, jak były napisane, bez użycia nożyc niepowołanej ręki. I pod tym też tylko dopiero warunkiem mogło być nastąpić rzeczywiście to co wyrzekł pan Gaszyński na końcu swojej przedmowy jako nadzieję, to jest: że „każdy czytelnik, który dawniej tylko uwielbiał — teraz ukocha autora tych listów i stanie się pośmiertnym jego przyjacielem.“

Ale dajmy temu już pokój i powróćmy do rzeczy.

Ogłoszona w r. 1839 Balladyna z ową na czele przedmową nie zaraz doszła ręką Krasińskiego. Spotkał on się z dziełem tem dopiero w kilkanaście miesięcy później, za przybyciem swoim do Rzymu w r. 1840. I wtedy też dopiero podziękował Juliuszowi

za owe serdeczne słowa wymierzone do siebie, listem długim i zajmującym, z którego warto tu przytoczyć kilka ustępów*).

.... „Widać, że Cię nie doszły nędzne wiersze, ale nie nędzne myśli pod ich strzępami ukryte, któremi przed sześciu tygodniami dziękowałem Tobie za twoją pamięć — za twój list. Wtedy dopiero doszły do mnie słowa twoje, chociaż napisane przed rokiem. Com przed laty myślał o siostrze Aliny, to samo do dnia myślę. *Midsummer night's dream!***) Nic doskonalszego, a jednak rzeczywistszego co do formy i treści swojej nie ma na świecie...“

... „W Tobie leży jeden ze znaków, że to, co poczytuja za umarłe, nie umarło. Życie twoje duchowe jest tak wzniosłe, że mi zawsze jest jakoby znakiem zmarłych wstania. Znam takie trzy duchy, każdego wielkim w swoim okręgu... Jeden przeszedł — minął — zostawił za sobą obelisk granitowy wśród pustyni — obelisk stoi — ten co go postawił, uczy Szwajcarów, jak nie mają nigdy umieć po łacinie... Drugi posiadał wszystko, na czem zbywało pierwszemu — posiadał język polski, tak jak się posiada kochankę, gotową na każde skinienie... na śmierć, gdy każesz, na życie, gdy spojrzysz — posiadał i objął ten język magnetyzera cudną potęgą, tak że nie on za językiem, ale język za nim goni i prosi się jego i mówi mu: „Ot! cały twój jestem — każ, a posłucham — zawołasz, przybiegnę — mrukniesz w niebo, polecę tam — wskażesz piekło palcem, zstąpię do piekła — chcesz bym stwardniał w bryłę? patrz, marmur ze mnie — bym w gaz się ulotnił? patrz, jakem błękitny, i znów śniady, a przezroczysty, płynny, prawie już nie będący — jednak zawsze twój.“ — Ten drugi duch zagarnął pod siebie wszystkie widnokreśli wyobraźni. To, co w pierwszym było jednością — twardą, granitową, w siebie garnącą świat, w pewne ciaśniejsze kluby niż sam wszechświat chwytającą — tu się stało rozplynieniem, powrotem

*) To co tu daję, może zarazem posłużyć za próbkę, w jakim to stosunku mają się autentyczne listy Zygmunta do tych okieřezowanych fragmentów, które znamy za pośrednictwem ich paryskiego wydawcy. Z całego np. tego długiego listu dano tam tylko urywek 18 wierszowy, zawierający bardzo obojętną dla każdego, chociaż skądinąd poetycznie sformułowaną definicyą Poezyi. Wszystko inne zaś poczytano jakby za niebyłe. Mówię o urywku na str. 193 i 194, zaczynającym się od słów: „Poezya, moim zdaniem...“

**) Angielski tytuł sztuki Szekspira „Sen Noce Letniej.“

do szerzy, do płynności światła — do gry tęcz — do fal muzyki — do woni kwiatów — do wszystkiego, co tylko chce się rozprysnąć i rozwiać na wszystkie strony, by znaleźć nieznalezione Boga. Jest forma panteistyczna niezawodnie w tym drugim duchu. On stoi jak szyba mórz wśród wszechświata, i odbija wszystkie słońca — księżyce — anioły — bogi — szatany, co się przesuwają nad nim. W nim właśnie jest jedność ich wszystkich. Stąd pochodzi, że czasem ludzie jego własności nie umieją odkryć, bo im zawsze chodzi o to, co mają najbliżej pod nosem, nie o to, co nad głowami ich się dzieje — a to jednak dzieje się w niebie... Ten drugi duch... ty wiesz, że to Ty! — Trzeci... to August Cieszkowski, ale ten należy do Filozofii. Otóż z was trzech odgaduję łącznie, że ziemia, co was wydała, zieloną jest i że na jej mogiłach kwiaty porosną...

... „Zresztą ty lepiej to wszystko wiesz odemnie. Mojem zdaniem, komu zaraz sypną się wieńce laurowe, ten znać że dyabłą bufonadę, przystępną, zrozumiałą natychmiast wszystkim powiedział. Kto ma nigdy nie umierać, niech poczeka trochę, aż żyć zacznie. Wszystko co tylko ma styczność z wiecznością, powoli się odbywa.

... „Julu, zaklinam Cię, nie dbaj o te gwary, co kiedyś nawróca się do Ciebie. Trzymaj naksztalt harfy eolskiej dusze twoje wyżej nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba. Niech myśli Boga — promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej, — a nie myśli ludzi — redakcyje paryskie — zdania — uwagi — naprawy. Przymięszaj trochę żółci do twoich lazurów. Obaczysz, jak ten ziemski pierwiastek chemiczny ziemię przynęci do Ciebie. Więcej jest wątrób na ziemi, niż serc. Ach! jakże Cię wtenczas będą rozumieć wątroby. Dalej, niezawodnie żółć jest w poemacie tym klejem, co spaja rozerwane cząstki jego bytu, co świat cały przeistacza w jego osobę. Spróbuj, oni o to się domagają. Dopiero uczują Twoję rękę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy im spadnie ciężka — kościasta na skronie. Dopóki wzniesiona w powietrzu — i ku gwiazdom — ku przybytkowi Boga: dopóty oni myślą, że to biała lilia rosnąca niewinnie na łąk błękitnych przetrzeni. Do korda i na sejmik — rąbać mi i siekać — a zostawiwszy trupy na placu, znów porósć w skrzydła i zawisnąć na niebie“...

Tęj rady Słowacki posłuchał i z dobrym skutkiem, jak się to pokazało; ale dopiero po roku.

List kończy się takim ustępem:

„Bądź zdrow — bądź szczęśny — bądź kochany! — nie mówię bądź sławny, bo będziesz nim. Nie życzę nikomu tego, co mu bogi dały. Dotąd wielki artysta, tylko artysta Cię obejmie, zgruntuje, zrozumie. Ale ty zstąpisz niżej — ty wsiąkniesz w serca malutkich. Gdybym miał i ja narzecie jedną Ci uwagę uczynić, to jedyną tylko bym uczynił: Granit rzucić pod twoje tęcze. Tęcza gdy łukiem się zakala po niebie, winna stopy śliczne oprzeć na podstawie granitowej, to jeszcze ją lepiej tęczą robi. — A teraz myśl o mnie, pamiętaj o mnie... Tobie tortury zaczęły, mnie skończą życie... Oddasz mi kiedyś ten napój pociechy, który zawsze sączyłem tobie — a nie tak z czary mózgu mego, jak z serca. Bądź mi sercem kiedyś — kiedyś w przyszłości! Sciskam Cię, jak dawniej nad drogą bolońską“...

To wszystko wyjmujemy więc z listu Krasieńskiego z dnia 23 lutego roku 1840, datowanego z Rzymu. Rok ten pamiętny jest w życiu tego poety z ogłoszenia „Trzech Myśli Ligęzy“ —

Tymczasem, w ciągu jeszcze poprzedniego lata, rozpoczęła się na nowo korespondencya między naszym poetą a jego rodziną. Ułatwiły się cokolwiek stósunki. Wuj Słowackiego był jeszcze trzymany na wygnaniu, ale czujność władz przestała już tyle ciężać na jego krewnych. Zagadnięto tedy znowu Juliusza nowinami z Krzemieńca i ośmielono do odezwania się wzajem. Pierwszy z listów jego do matki, stanowiących ten drugi, że tak powiem, rozdział korespondencyi pomiędzy nimi, ma datę 24 czerwca 1839 r. —

Wielka to jednakże już różnica między listami Słowackiego pisanymi teraz a dawniej! Pisywał on odtąd już tylko rzadko i krótko, i udzielał wiadomości o rzeczach jedynie obojętnych, ogólnych. Częstokroć nawet dopiero odgadnąć trzeba, o czém właściwie mówi Słowacki, kiedy używa słów zupełnie trywialnych i skądinąd zgola co innego znaczących. Ukryta myśl nawet i takich miejsc jest wprawdzie pod politycznym względem bardzo niewinna; ale jemu wyraźnie o to chodziło, ażeby zatarte były wszelkie ślady, że te listy pochodziły od niego. Dlatego też unikał odtąd systematycznie wszelkich wzmianek o zawodzie i powołaniu swoim jako pisarza, i nie donosił o dziełach, które

pisał albo wydawał. Ten brak najciekawszej właśnie i najważniejszej strony jego korespondencji daje mi się czuć bardzo, kiedy ten rozdział piszę. Nawet osobę i imię swoje przez czas pewien zastępował inną osobistością i inną nazwą. Zaczął pisywać do matki jako niby jakaś młoda jej przyjaciółka czy też wychowanka. Nazywał się więc Zosia; Matkę tytułował: Moja kochana Sally (Salomea było jej imię). Niekiedy zaś, kiedy mu już konieczne wypadało dobitniej mówić o sobie, wyrażał się w taki sposób, jakby mówił o kimś trzecim. Imię tej osoby było natenczas *Mr. Jules d'Avallon*, jakiś niby to Francuz. Równie też rzadko kiedy dawał datę czasu i miejsca, skąd co pisał. Zwykle było to zupełnie pomijane milczeniem; niekiedy Paryż był zastąpiony jaką miejscowością krajową; tak np. znajdujemy list jeden pisany niby z Podhorzec...

Niezawsze jednak umiał Słowacki utrzymać się w granicach tej przybranej roli przez ciąg całego listu! Natura jego zbyt była nieprzedmiotowa i zbyt bezpośrednia, żeby się nie był miał zapominać niekiedy. Tak na przykład, począwszy list z razu w charakterze Zosi, na dalszych jego stronicach mówił: byłem, widziałem, zdrów jestem itp. Często napotykały i co do istotnej nawet osnowy takie nieostrożności i niekonsekwencje. Gdyby listy te były ściągły na się uwagę urzędowych listów literatury badaczy, przekonany jestem, że właściwy autor byłby łatwo odkryty w tej analizie filologicznej. Nam dzisiaj jednak pochopność ta autora do wypadania z roli może być tylko dogodną i dla celu naszego najkorzystniejszą.

Owoż, na zasadzie tych listów, znajdujemy Juliusza w ciągu lata 1839 w tym samym stanie moralnym, w jakimśmy go widzieli w latach poprzedzających. Mieszkał w stancyi najętą na ulicy *des Pyramides* pod Nr. 6. Żył samotnie, pracował wiele, od emigracyjnych zatargów trzymał się zdala.

... „Bylbym szczęśliwym, gdyby mi nie brakło familijnego życia; żyję bowiem jak mnich — a Ty nie pojmiesz, jakto serce przez takie życie usycha; jak zamierają wszelkie uczucia, jakby sama natura mściła się, że się od jej zwyczajnych dróg oddalamy. Mam teraz na świecie kilku

przyjaciół takich, którzy mię szacują i bronią; ale ci wszyscy są odemnie dalecy. A tu otoczony jestem ludźmi, do których przylgnąć nie mogę. Zazdrośni bowiem są — małego serca — niezdolni ani uczuć ani pojąć szlachetnych myśli; słowem są to zatarte szelagi, zimne, spleśniałe! Najwięcej więc czasu przepędzam sam, pisząc sobie i bazgrząc różne awantury i przywidzenia, z czego taka korzyść, że mi życie złą i różnemi okrywają tęczami. Są to miłe mi okienka w chacie mojej, przez które widzę wiele rzeczy i twarzy znajomych. Czy życie takimi snami zajęte życiem jest, nie wiem; ale to pewna, że mię od wielu rozpaczy broni i czasem przyjemność sprawia.“ (z listu pisanego niewiadomo w którym miesiącu, ale w roku 1839).

Takich wyrzekań na emigracyą paryską bardzo wiele jest w listach Słowackiego ówczesnych.

„Koledzy moi zepsuci są biedą — życie z nimi bardzo niemiłe! Wystaw sobie, droga, ludzi znudniałych, którzy o niczém gadać nie chcą i nie umieją, ludzi, którzy się odłączyli zupełnie od towarzystwa jak wykleci, i żyją między sobą, nudząc się wzajemnie. Robią, co mogą, abym ich nienawidził! Mam jednak i pomiędzy nimi pewną powagę, którą mi nadaje czystość moja wewnętrzna. Wolałbym szczerą miłość, ale tej nie ma pomiędzy nami, a stworzyć jej nie mogę!“

.... „Nuda miejskiego życia, stan pieniężny etc. wywiera zgubny wpływ na umysł. Są dnie, których niczém zająć nie można. Człowiek się rzuca w kraj imaginacyi i żyje w nim. Ale są reakcye okropne, w których umysł nudzi sam siebie. Wtenczas ani wieczór przepędzony na graniu w wista, ani gawronienie się po ludnych ulicach nie jest lekarstwem. Świeżość umysłu traci się, a nabycie wiadomości, których nikomu udzielić nie można, czyni umysł podobnym do spiżarni zawałonej spleśniałymi wiktuałami.“ (z listu z d. ? listopada 1839).

... „O! gdyby tylko 200 dukatów na rok! Żylibyśmy oboje w jakiej willi otoczonej różami i pomarańczami we Florencyi. Czasem posłuchałabyś śpiewów włoskich — czasem i ja bym Ci sam za towarzystwo wystarczył. I takby nam płynęły dni — niebardzo świetnie, ale miło, z błogosławieństwem bożem dla obojga. Czyż i tyle skromnego szczęścia nie można uprosić u Boga? Myśl, myśl nad tem, droga moja, a choćby przyszło część tego co mamy stracić, ja tak życie nasze urządzę, że nam wystarczy. Wierz

mi, droga! Ja nie mam żadnych snów wielkości, a i Ty może nie bardzo chcesz złoczonego szczęścia“... (z listu z d. 24 czerwca 1839).

Tylko takie miejsca czytając, pojąć można, dlaczego tyle talentów, tyle zapału, tyle gotowości do ofiar, ile jej było w Emigracji ówczesnej, wydało jednak tak mało plonu dla kraju pożytecznego i znędzniało, jak ów kwiat egzotyczny, pozbawiony ożywczej rosy i grzejącego promienia słońca. W ten tylko sposób zrozumieć można, dlaczego Mickiewicz we dwa, najwięcej we trzy lata po przybyciu do Paryża na emigracyę, tworzyć zupełnie zaprzestał; dlaczego wszystko, czego się tylko tknęła ręka tych biednych wygnańców, przybierało jakiś krzywy kierunek, wiało technieniem chorobliwem i mimo najpoczeiwszych chęci, więcej szkodziło niżeli pomagało...

Byli to ludzie w samej rzeczy, jak się Słowacki wyraża, zepsuci biedą i samotnością, strawieni nieszczęściem i tą ciągłą tęsknotą, która się stawiała tém niecierpliwszą i tém zapędliwiej przechodziła w niewyrozumiałość wzajemną, posuniętą do wysokiego stopnia, im bardziej przedmiot bezpośredni działania ginał z oczu tych nieszczęśliwych. Nienaturalność atmosfery, którą na obcej ziemi przymuszeni byli oddychać, i brak celu dalszego życia przy ciągłych rozczarowaniach — oto co nam tłumaczy wszystko...

A jednak żyli oni w silnem przekonaniu i wierze, że ich cierpienia nie będą nadaremne! Stali na stanowiskach swoich, jak jaka stracona czata, i uważali sobie za obowiązek dotrwać na zajętych posterunkach do końca.

W r. 1840 zapowiadane były w krajach pod berłem rosyjskiem na korzyść pewnych kategorii wychodźców politycznych niejakię ulaskawienia i ulgi. Przy téj sposobności poruszono w gronie Emigracji pytanie: czyby z téj amnestyi nie należało korzystać? Zdania były różne. Ostatecznie zdaje się jednak, że w skutek owęj amnestyi mało kto powrócił do kraju.

Ważne jest miejsce w jednym z listów Juliusza, ściągające się właśnie do téj okoliczności. Powtórzę je tu dosłownie, zatrzymując sposób alegoryczny, jakim się w owęj porze zwykły był wyrażać.

„Przejeżdżając przez wioskę moję pan Andlej, mówił mi, że widział Ciebie, że gdy widział, płakałaś — i to mi serce rozdarło. Ale Ty wiesz, gdybym ja mogła porzucić moję kuzynkę ślepą i sparaliżowaną, już byłabym dawno z Tobą, już bym Ci służyła z całą miłością biednej dziewczyny a Twoję niegdys wychowanki. Nieszczęśliwy ten świat, że nie pozwala nam robić, cobyśmy chcieli, ale nas wiąże i krępuje różnemi wymaganiami i obowiązkami! Oby przynajmniej Twój brat nie był opuszczony w powszechnem, jak slysze, ulaskawieniu! oby już był przy Tobie! (z listu z d. 21 października 1840).

Z tém się wiąże ów wiersz Słowackiego Do Matki, ogłoszony dopiero w wydaniu pozgonnem, który jeszcze lepiej uczucia ówczesne autora wyraża:

Zadrży ci nieraz serce, miła Matko moja,
Widząc powracających i ulaskawionych.
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja,
Tak uparte wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiem, że wróceniem mojęm lat bym ci przysporzył; —
Wszakże gdy się spytają, czy twój syn powraca?
Mów — syn twój na sztandarach jak pies się położył
I choć wołasz — nie idzie, oczy tylko zwraca...

Oczy zwraca ku tobie!... Więcej nie nie może —
Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłumaczy;
Lecz woli tutaj konać, niż iść na obrozę,
Bo woli zamiast hańby — pić czarę rozpaczy!

Przebacze mu, o moja ty piastunko droga,
Że się tak zaprzepaścił i tak zaczeluścił;
Przebacz... bo gdyby nie to, że opuścić Boga
Musiałby — toby ciebie pewno nie opuścił!

— Pomimo wszystkich tych smutków i przeciwności, autorska energia Słowackiego w owych czasach trzymała się jednak krzepko i rosła przy ciągłej pracy. Wydawnictwo dzieł dawniejszych, a teraz przeznaczonych do ogłoszenia, także szło swoim

torem. Na samym początku 1840 (w ciągu miesiąca stycznia albo lutego) wyszedł dramat niegdyś przez autora na spalenie skazany, a teraz zapewne częściowo przerobiony:

Mazepa, tragedia w 5 aktach przez Juliusza Słowackiego. Paryż. 1840. 12^o str. 145.

Krytyka tej sztuki przez K. Libelta pojawiła się w Tygodniku Literackim poznańskim już w numerze z d. 30 marca 1840, okoliczność popierająca powyższy wniosek o chwili wyjścia Mazepy.

Niezwłocznie potem opuściła prasę praca zupełnie nowa, świeżo napisana:

Lilla Weneda, tragedia w 5 aktach przez Juliusza Słowackiego. Paryż. 1840. 12^o str. 154.

Była drukowana w ciągu miesiąca kwietnia, jak tego dowodzi data, położona przez autora pod przedmową. Przedmowa ta, przesłanicznie napisana, jest znowu w formie listu do Krasińskiego. List ten nazwałbym prawie poetyczniejszym, niż sam poemat. Dziwnie pięknym jest mianowicie zakończenie tych kartek:

„A teraz, kiedym ci się wypowiadał, usiądź na ułamku jakiejś dawniej ruiny, albo pod cieniem Wirgilowego lauru i niech cię gwarząca moja przeszłość otoczy! — Usiądź nad kryształową jaką i smętną wodą, abyś z książką moją mógł to zrobić, co zamysłona z białą różą w rękę dziewczyna: to jest, oberwać ją liść po liściu, rzucić w wodę płynącą i pytać się losu listków o los człowieka. A zniszczywszy tak ciało Lilli Wenedy, odtwórz ją na nowo w myśli swojej większym blaskiem odzianą — i piękniejszą sto razy — i niech ta postać do nas obojga należy! niech będzie jako łańcuch łączący dwóch Wenedów ręce, nawet w śmierci godzinie! — A tych dwóch wodzów... czy ty myślisz Irydyonie, że tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie ludziłem się słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak we wspomnieniach powiążą i na jednym stosie postawią? — Ty mię wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach i mówił mi do ucha słowa nadziei i zmartwychwstania, albo wiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie!“

Autor Irydyona był owego lata, w którym go doszły te słowa, na ciełe chory, a na duchu znękany. Bawił w Karlsbadzie

natenczas. Byłby mógł i wtedy to samo już powiedzieć o sobie, co rokiem później pisał do innej osoby:

„Sądziłem, że przeznaczon do życia wśród ludzi żywych; — nie wiedziałem, że ulice z grobów będą domem moim, umarli towarzystwem, kościół największy świata — salą godową; posagi białe mroźnego blasku — koleżeństwa dawnego zastępcami; równin mazowieckich — kampania rzymska przypomnieniem; — i że młodość moją tak bezczynnie strawię, tak chorobliwie zeżrę, tak nikczemnie utracę!...“

Odpowiedział Słowackiemu natenczas listem, który w szeregu owych dziesięciu mnie znanych zajmuje drugie z kolei miejsce.

„Drogi Julu — tak się zaczyna ów list, datowany z Rzymu z dnia 19 grudnia 1840 — i Lilla i list twój odane mi są. O pierwszej, już temu 5 tygodni, długi a długi do ciebie wyprowadziłem artykuł. Iżaliś go odebrał?*) Przeczytałeś skargę białej dziewczyny? Uznałeś w głębi serca jej prawo do skargi? i rozrzewniłeś się nad nią? Czy cię zły duch Szekspira nie popchnął do niesprawiedliwego ofuknięcia się na klęczącą u stóp twoich?“...

Z tych słów godzi się wnosić, że było coś w Lilli Wenedzie, z czego nie zupełnie był zadowolony Krasiński. Może nam się uda w przyszłym rozdziale odgadnąć, o co mu też chodziło.

— A teraz przechodzę do rzeczy, na której wyjaśnienie niecierpliwie pewnie czytelnicy moi czekają. Powinienbym powiedzieć na podstawie listów poety, które dzieła jego nowe powstały w tym czasie stałego już odtąd pobytu jego w Paryżu, za powrotem z Włoch. Na nieszczęście w listach Słowackiego odpowiedi na to nie znaleźć. Spotyka się w nich tylko, i to po kilka razy, zapewnienie, że ciągle pracuje, że wiele pisze; ale bliższych o tém szczegółów nie ma.

„Teraz żyję, jak mogę; bazgrzę sobie i czas mi upływa, a tak prędko, że prawdziwie przerażam się jego szybkim znikaniem“ —

Oto w taki to ogólny i lakoniczny sposób wzmiankował w latach owych poeta o swoich literackich zajęciach.

*) Artykułu, o którym tu mowa, nie znaleziono między papierami Słowackiego.

Biorąc w pomoc rezultaty, do jakich mię doprowadziło głównie rozpatrzenie się w pozostałych Słowackiego papierach, obejmujących jużto utwory całkowite za życia jego nie drukowane, już szczątki, urywki i fragmenty rozmaitych rzeczy nie dochowanych w całości: nie waham się stawić na pewne twierdzenia, że cały ten szereg lat od 1839—1842 stanowił w życiu naszego wieszca w ogóle okres kulminacji jego talentu, energii i dzielności. Wszystko prawie, co tylko było owocem owój epoki, bez różnicy czy było ogłoszonym już przez samego autora, czy teraz dopiero w wydaniu naszym, okazuje w nim łatwość tworzenia, samodzielność, trzeźwość duchową, takt artystyczny i w ogóle dojrzałość, do jakiej nigdy przedtem zbliżyć się nie potrafił. W 30 tedy roku życia stanął Słowacki na tej wyżynie artyzmu, jaką w ogóle zająć było mu przeznaczonym w ciągu jego zawodu. Samo się rozumie, że ta wyżyna jego najwyższa nie była to doskonałość bezwzględna. Nie mogła ona być nawet ani względna jego doskonałością. Boć wątpliwości to nie podlega, że gdyby nie te smutne okoliczności, w jakich ciągle życie jego płynęło, gdyby mianowicie nie fatalna owa przyniesiona przez Towiańskiego zaraza ducha i mistyka, która jak prawdziwe dopuszczenie i kara boża, w roku 1842 obłąkała tyle znakomitych i pierwszego rzędu mężów naszych żyjących na emigracji, a między nimi i Słowackiego: — to ciągły postęp jego jako wieszca narodowego idąc takimże torem i dalej, byłby ostatecznie osiągnął zupełnie innego kresu. W obec atoli tego wszystkiego, co zaszło i na czem się skończyło: czas ów powyżej wskazany — byłato stosunkowo jego najświetniejsza epoka.

Pomiędzy ogłoszeniem *Balladyny* (1839) a *Beniowskim* (1841), powstały w ogóle następujące dzieła nowe:

Nasamprzód w tym szeregu widzimy wspomnianą już wyżej i wydaną w r. 1840 *Lillę Wenedę*, niejako kontynuacją pomysłu, na tle którego *Balladyna* była osnuta. Autor zamierzał „z Polski dawniej utworzyć fantastyczną legendę, z ciszy wieków wydobyć chóry prorockie“... „Uśmiechnij się teraz Irydyonie — pisał do Krasińskiego w przedmowie do *Balladyny* — bo oto naśladować francuskich poetów, powiem ci, że *Balladyna* jest tyl-

ko epizodem wielkiego poematu w rodzaju *Aryosta*, który ma się uwiązać z sześciu tragedji czyli kronik dramatycznych.“ — Otóż drugą taką kronikę dramatyczną, drugą taką przedwiekową Polską legendę miała stanowić właśnie *Lilla Weneda*.

A trzecią była tragedia *Krakus*. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy — byłto utwór dokonany niedługo po napisaniu *Lilli*, i w tymże samym sposobie. Na nieszczęście, z dramatu tego nie pozostało więcej, jak tylko początek. Między autografami poety znalazł się z tej sztuki tylko jeden arkuszyk, listowego papieru, nader drobnym zapisany pismem, prawie bez żadnych poprawek i z dokładnym zawsze oznaczeniem nazwisk osób prowadzących z sobą dyalog. Z tego wnoszę, że to był już odpis na czysto. W brulionie bowiem zwykł był Słowacki naznaczać tok dyalogu w taki jedynie sposób, że przy każdej jego przerwie dawał na początku wiersza tylko linijkę, na znak, że tu zaczyna mówić kto inny. Zresztą w brulionach jego bywają też dość częste przekreślenia i odmiany. Skoro zaś upoważnia wszystko do wniosku, że rzeczony arkuszyk mieści w sobie text już przepisywany: godzi się w każdym razie być zdania, że *Krakus* był utworem całkowitym, a nie urywkiem; urywków bowiem i tylko napoczętych robót nie zwykł był Słowacki nigdy przepisywać na czysto. Przeciw twierdzeniu temu nie dowodzi niczego, że nie ma obecnie z *Krakusa* więcej, jak tylko te cztery pierwsze sceny, które dopiero dało poznać czytającej publiczności lwowskie wydanie. W ogóle chcąc sobie to wytłómaczyć, że między pozgonnemi Słowackiego pismami tyle znalazło się fragmentów, wiedzieć należy, że nie miał on nigdy zwyczaju używać do pisania poszytów. Czy to komponując, czy też munduując rzecz już skończoną — zapisywał on zawsze arkuszyk za arkuszykiem; a kiedy rzecz była doprowadzona aż do samego końca, składały się te pojedyncze arkusze w zwitki, i w tym stanie, niezeszyte, składane bywały między plikami najrozmaitszych innych papierów. W wyjątkowych tylko razach i nie inaczej jak z powodu szczególnych chyba okoliczności (np. jeżeli ktoś drugi miał się zająć przepisaniem autografu), zwitki takowe były zszywane w poszyty i tworzyły całość nie tak już łatwą do

rozprószenia. Przy wielkiej poniewierce, jakiej papiery Słowackiego później podłec musiały, (powiedzieć tego nie umiem, czy to było po jego zgonie, czy jeszcze za życia, kiedy pod wpływem Towianizmu zmienił kierunek i nie cenil sobie prac z przed roku 1842), było to rzeczą bardzo naturalną, że z owych zwitków luźnych arkuszy ginęły całe partye, a niekiedy przepadało i wszystko, z wyjątkiem kilku albo jednego tylko arkusza, szczególnie ocalonego trafem. Za takito arkusz przypadkowo dochowany z całości, uważam i fragment, o którym tu mówimy. A potwierdza mię w tém mniemaniu i ta jeszcze okoliczność, że arkusz, w którym fragment ten się mieści, zapisany jest jak najnabiej aż do samego dołu, i rzecz się urywa w takim miejscu, że widocznie musiał tu być jakiś ciąg dalszy...

Co się tyczy pytania, jakie przedmioty zamierzał Słowacki opracować w dalszych dramatach, to jest w kontynuacji Lilli Wenedy, Krakusa i Balladyny: na to odpowiedzieć nie umiem. Miejsce mianowicie czwarte i piąte musi pozostać na zawsze niezapełnionem, brakuje tu bowiem nawet dla domysłów wszelkiego punktu oparcia. Ostatniem ogniwem tego fantastycznego łańcucha pieśni, z sześciu złożonego dramatów, mógł być utwor osnuty na dziejach dogorywającej Litwy pogańskiej, który także dochował się tylko w urywku i dany jest w wydaniu lwowskiem pod nazwiskiem **Wallenrod**. Za trafność téj nazwy nie zaręczam, w rękopisie poety bowiem żadnego tytułu nie było, gdyż sztuce téj w ogóle braknie początku; i oświadczam z góry, że jeżeliby kto twierdził, iż tu dzielny Witold więcej na bohatera sztuki zakrawa, niż melancholijny z rozdartem sercem Wallenrod, to i ja bardzo pojmuje powody takowego mniemania. Patrząc atoli na rzecz tę ze stanowiska naszego poety, zdawało mi się, że większa, a przynajmniej głębsza i poetyczniejsza rola do odegrania była tu przeznaczona znurtowanemu nieszczęściem charakterowi mistrza Krzyżaków, aniżeli normalnej i doraźnie działającej naturze Kiejstutowicza. Takieto jedynie powody skłoniły mię do nazwania sztuki téj „Wallenrodem.“ Spis osób, dany na czele tego fragmentu, jest także tylko dodany przez wydawcę, a nie przez poetę; jakoż ani wątpię, że na téj małej ilości figur nie kończyło się

w całym organizmie dramatu. Zaprzeczyć nie można, że niektóre z charakterów są nader silnie rzucone. W ogóle ujmuję w tym urywku kompozycya pełna prostoty i prawdy, ciągły ruch akcyi, zawikłanie różnostronnych interesów prowadzone z dramatycznością i życiem, sceniczność bacznie przestrzegana w całym układzie — słowem zalety, na jakich nieraz dawniej zbywało nawet ogłoszonym Słowackiego dramatom. Nieodżałowana szkoda, że i ta praca nie doczekała się lepszych dla siebie czasów inaczej, jak tylko w tym stósunkowo tak drobnym już tylko szczątku! Szczątek ten stanowiłby pierwszą połowę całej sztuki, gdyby nie brakło początku aktu pierwszego. Rękopis, w którym się znalazły te sceny, jest własnoręczny; stanowią go dwa arkusze listowego papieru, zapełnione równie drobnem pismem, jak w Krakusie. Pierwszy arkusz, nieodszukany w pozostałych papierach, zawierał w sobie expozycyą i niewątpliwie to wszystko, czego sztuce braknie obecnie z początku. Ocalone dwa arkusze szły zaraz po nim. A zdaje się, że być kiedyś musiały i te 3 lub 4 dalsze arkusze, które mieścily w sobie drugą połowę tragedyi; cała bowiem powierzchowność ocalonej części manuskryptu jest tego rodzaju, że koniecznie przypuścić trzeba, iż to jest tylko wyrwany środek z całości.

Co się zaś tyczy drugiego urywku, który w wydaniu lwowskiem dołączony jest do Wallenroda, jako dodatek pod napisem Walter Stadyon: uważam go za robotę zgola odrębną, w innym jakimś czasie pisaną i nie mającą bliższego związku z tamtym utworem, nad przypadkową tożsamość osoby bohatera. Byłto, zdaje mi się, pomysł luźnie rzucony od ręki i nigdy już potem nie prowadzony dalej. Znalazłem go między tysiącem innych rzeczy — w książeczce, w której zapisywał sobie Słowacki różne noty i spostrzeżenia.

Po Lilli Wenedzie, Krakusie i Wallenrodzie, wymieniam jako czwartą pracę Słowackiego na te lata przypadającą, dramat pod tytułem „Jan Kazimierz.“ Daje o nim wiadomość P. Reitzenheim w broszurze swojej francuskiej o Juliuszu Słowackim, wydanej w Paryżu r. 1861. Autor broszury, jeden z bliższych niegdyś znajomych poety, mówi o dramacie niniejszym w sposób, który dowodnie przekonywa,

że mu takowy był znany jako całość skończona i zupełna. Przy tém robi uwagę, że w żadnym innym Słowackiego utworze nie dochodziła dosadność i dokładność artystyczna do tego stopnia, co tutaj. Mianowicie charaktery Jana Kazimierza, Czarneckiego, toż obojga Radziejowskich miały być oddane w sposób prawdziwie godny Szekspira. Te pochwały P. Reitzenheima wzbudzają tém więcej żalu, że i ten utwór tak znakomity przepadł prócz kilku scen, któreśmy odszukali w zamęcie papierów pozostałych i wcielili do fragmentów dramatycznych, objętych w trzecim tomie pism pośmiertnych. Sceny rzeczzone przypadają prawdopodobnie na akt Iszy, w każdym razie na pierwszą połowę sztuki; znalazły się pisane drobnymi literkami, własną ręką poety, i zapełniały wszystkie jeden arkuszyk takiegoż papieru, jaki był użyty do Krakusa, do Wallenroda i w ogóle do tych wszystkich rzeczy, które w owych latach powstały. To rozstrzyga o czasie, w którym być musiał napisany Jan Kazimierz. Cały zewnętrzny pozór arkuszyka, o którym tu mówimy, przekonywa dostatecznie, że stanowił pierwotnie tylko część rękopisu, złożonego niegdyś z kilku podobnych arkuszy. Przy wyraźnym świadectwie p. Reitzenheima niepodobna o tém wątpić, że i ten tedy dramat czasu swego był dziełem doprowadzonym do końca i dopiero w późniejszym czasie podległ zniszczeniu.

Piątą pracą dramatyczną, powstałą w tymże ustępie życia, była **Beatryx Cenci**. Była pisana w roku 1840, w pierwszych miesiącach.*) — Tragedyą tę oddano mi w rękopisie w nader charakterystycznej postaci, ani nawet nie przypuszczając, żeby w tych 6 arkuszykach, w których się ona mieściła, miała znajdować się całość. Arkusze były i tutaj rozleciane, nieponumerowane. Zapeł-

*) Wiadomość tę można uważać za pewną. Między papierami Słowackiego znalazła się luźna karta, z napisem jego ręki: „Tragedya — **Beatryx Cenci** — napisana — 1840 roku.“ W Tygodniku Poznańskim donoszono w r. 1840 już dnia 18 maja, że się dramat Słowackiego pod tym tytułem właśnie drukuje w Paryżu. Doniesienie to było co do głównej rzeczy, t. j. co do druku, przedwczesne, a nawet zupełnie mylne. Ale nasuwa wniosek co do czasu powstania tej sztuki.

niał je dyalog, którego rozłożenie między mówiące osoby oznaczone było najczęściej samymi tylko kreskami. Żadnych odznaczeń, gdzie się scena jaka kończy a zaczyna nowa. Słowem rękopis ten był w takim stanie, że po długich nadaremnych usiłowaniach złożenia sześciu arkuszy owych w taki sposób, żeby się rzecz dała powiązać z sobą w ciąg jakiś: nabrano już przekonania, że i to tylko są urywki, a raczej szczątki niestanowiące całości, z powodu że kilku arkuszy widocznie braknie. Mianowicie sprawiało to trudność w zorientowaniu się w rękopisie, że nie można było dopatrzeć, gdzie właściwie jest początek tragedyi. Byłto bowiem dopiero pierwszy koncept utworu, brulion, w którym nie tylko dużo było ustępów przekreślonych, a potem zastąpionych nowymi pomysłami, rzuconymi na papier w miejscu nieraz bardzo odległym od sceny, do której rzecz należała, ale nawet zdarzały się tam czasem wsunięte i kawałki zgoła do tego przedmiotu nienależne, np. pochodzące z *Lilli Wenedy* itp. — Przy troskliwem staraniu udało mi się przecież wniknąć w plan budowy całej tej sztuki. Uznawszy dwie sceny — niedokończone i zgoła też nie wiążące się z żadnym miejscem właściwego tekstu *Beatryczy* — za przelotne tylko projekta do pomysłów, w ciągu już pracy uznanych przez autora za mniej właściwe, i usunawszy takowe na bok: zrekonstruowałem cały pozostały materiał tego dramatu w taki sposób, iż nie dodając ani słowa od siebie, złożyłem objątek wszystkich 6 arkuszyków w jeden nieprzerwany ciąg akcyi. — Wspominam tu o tém wszystkiem tak szczegółowo z tej przyczyny, ponieważ pozór i stan rękopisu sztuki niniejszej rzuca światło na te wszystkie arkuszowe urywki ocalone z innych utworów, o których wspomniałem wyżej. Miała się niewątpliwie i z nimi rzecz zupełnie, jak tutaj, tylko że przypadek był dla *Beatryczy Cenci* łaskawszy i sprawił, że z rozproszonych arkuszyków tą razą ocalały wszystkie.

Na ostatek odnoszę, z pomiędzy prac Juliusza dramatycznych, do tejsze pory owe dwa urywki, które pod nazwą **Fragmentów z dramatu o Beniowskim** zamieściłem na samym końcu tomu trzeciego. Te urywki zapełniają w rękopisie dwa osobne arkusze, nie mające jeden z drugim żadnego związku. Format i

rodzaj papieru, toż cała powierzchowność pisma i tu znowu zupełnie jest taka sama, co w utworach wymienionych powyżej. Na tém też opieram domysł, że i ten dramat musiał być owocem czasu między 1839 a 1841. Zato nie śmiem nie rozstrzygać co do pytania, czy i obecny utwor stanowił kiedyś całość zupełną. Można by przytoczyć ważne powody, mówiące za tém i przeciw temu. Przeciw przypuszczeniu całości dramatu „Beniowski“ przemawia sama exystencja poematu wydanego pod tymże tytułem. Zdaje się, że poematu tego nie byłby rozpoczynał Słowacki, gdyby był miał w tece ukończony dramat, osnuty na przygodach téjżesaméj osoby. Z drugiéj znowu strony sama już powierzchowność ocalonych tych dwóch arkuszy, w których się urywki niniejsze mieszczą, wskazuje na to, że i to musiały być części jakiegoś dłuższego manuskryptu. Niemniej potwierdza ten domysł i ów wiersz, w kształcie Parabazy wstawiony pomiędzy aktem drugim a trzecim, w którym autor w własnej swojej osobie przemawiając do czytelnika, wspomina o takich scenach jako już przeprowadzonych, których nie znaleźć ani w jednym ani w drugim fragmencie. Oczywista rzecz zatem, że w każdym razie kreacya ta musiała być przynajmniej większych natenczas rozmiarów i że była dalej posunięta ku końcowi, aniżeli się to obecnie zdaje, wnosząc z ocalonych ustępów. Szkoda wielka, że utwor tak zupełnie od wszystkiego odmienny, co tylko Słowacki kiedykolwiek napisał, i w ogóle wyjątkowego rodzaju w całej literaturze naszej, nie doczekał się czasu publikacyi w zupełniejszej postaci!

Tyle o pracach Słowackiego ówczesnych w scenicznym zakresie poezyi. — Na owe także lata przypadają niektóre poezye krótsze, częstokroć niemaléj artystycznej wartości. Mianowicie „Wiersz na sprowadzenie zwłok Napoleona,“ „Do Matki,“ i „Pogrzeb Kapitana M.“ *) zaliczyć można do najpiękniejszych rzeczy, jakie liryka polska wydała.

*) Był to kapitan Józef Meisner, zmarły w Paryżu dnia 23 października 1840, w 39 roku swego życia. Emigracyjne pisma donosiły z wielkim żalem o zgonie tego znakomitego oficera z czasu powstania 1831 roku.

Nakoniec choć krótkiem słowem wspomnieć tu jeszcze należy o dwóch urywkach napisanych prozą, które były czasu swego drukowane w poznańskim Tygodniku Literackim, przez kilka numerów roku 1840 i 1841. Jeden z nich był tam zatytułowany „Święcone u J. O. Ks. Radziwiłła Sierotki;“ drugi „Preliminaria peregrynacyi do ziemi św. J. O. Ks. Radziwiłła Sierotki.“ Pod tym drugim napisem złączyłem je oba w jedno i zamieściłem w tomie Iszym Pism pośmiertnych pomiędzy rzeczami prozą. Jestto tylko rzut jakiś urywkowy. Ile wnosić można, autor zapewne więcej w tym przedmiocie nie pisał, jak tylko to co dano w Tygodniku.

Jak wiadomo, rozgłosne „Pamiętki Soplicy“ pojawiły się po raz pierwszy z druku w Paryżu w roku 1839. Zrobiły od razu wiele wrażenia. Witwickiego przedmowa, dana na czele téj publikacyi, postawiła talent nieznajomego jeszcze naówczas autora od razu na jednym z najwyższych szczytów wziętości literackiej. Każdy gawędy te czytał, każdy je pod pierwszém wrażeniem uroku opowiadania podziwiał. Sowizdrzalska i na tle dziejów przeszłego wieku niezbyt mądrze się malująca postać księcia Karola Radziwiłła, w obrazie Rzewuskiego przybrała wszelkie pozory genialnego magnata, który żył nibyto tylko na usługi braci szlachty i dla dobra rzeczypospolitéj. Nie wiedzieć skąd i naco, ale od tego czasu książę Panie Kochanku liczony być zaczął powszechnie do najpopularniejszych ludzi i do najpoetyczniejszych figur naszej przeszłości, do czego się później tém więcej jeszcze przyczynił tegoż autora Listopad.

Pośród téjto więc admiracyi powszechnéj tak talentu (na co zgoda), jak i dążności autora „Pamiętek“, chwycił za pióro Słowacki. Spróbował stworzyć coś także w tymże rodzaju. Nie umiem sobie wprawdzie w sposób stanowczy z tego zdać sprawy, czy rzeczywiście w dobrej wierze puścił się drogą wskazaną i był na moment niczém więcej, jak tylko naśladowcą pana Soplicy: czy też raczéj, jak rozumiem, dlatego tylko wziął pióro Rzewuskiego do ręki, ażeby własnym jego językiem, rubasznym i staropolskim, i w tymże samym idąc kierunku, w którym on sobie zdobył wawrzyny, w kierunku mówię bezwarunkowego uwiel-

bienia pieczeniarnstwa dawniej szlachty w stosunku do magnatów, a obłudy tych ostatnich w stosunku znowu do szlachty — napisać niejako komentarz o etycznej wartości tego wszystkiego, co się tak bardzo w osobie Radziwiłła i otaczającej go hałasty podobało naszej publice. Ubolewać nad tym jednym tylko należy, że sobie obrał Słowacki za bohatera tej parody nie już księcia Karola, ale inną osobistość z tejże rodziny, to jest księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła Sierotkę, który żył w XVI wieku, i że na tę światobliwą, prostoduszną i prawdziwie *moris antiqui* postać dziejową przeniósł stylem i sposobem Rzewuskiego wszystkie owe sowizdrzalskie fantazje i wybryki magnackie, w puste pozory dewocyi i dobroduszości przybrane, któremi ósmnastowiekowy Radziwiłł „panie Kochanku“ umiał tumanić łatwowiernych do tego stopnia, że go nie pozbawiła tej sztucznej popularności ani bitwa pod Słuckiem, gdzie nienajzaszczytniej hetmanił, ani konfederacya radomska, w której w tak prawdziwie smrotny sposób dał się nadużyć do odegrania roli figurantamarszałka...

Ten tedy zamiar wydrwienia rogatą dumy, schowanej pod płaszczykiem bononii, był zupełnie na miejscu wobec uroszczeń, za których wyraz można było uważać już ową pierwszą książkę późniejszego Jarosza Bejły. Lecz sposób, jakim zamiaru tego chciał dokonać wtedy Słowacki, uważam za chybiony. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł nie zasłużył sobie na taką profanacyą. Zresztą zdaje mi się, ile sobie przypominam, że ówczesna publiczność odczytała te urywki w Tygodniku Literackim, nie domyślając się wcale, w jakiej dążności one były pisane. Przyjęła rzecz za dobrą monetę. —

Dla dopełnienia obrazu całej tej części życia autora Ballady, nie pozostaje, jak tylko przywieść jeszcze jeden wyjątek z jego korespondencji owego czasu. Nie zaszkodzi, jeżeli będziemy też jeszcze mieli wyobrażenie, jak poeta obdarzony tak potężną zdolnością, pisarz tak płodny, właśnie w porze największej dojrzałości i twórczości swego geniuszu, był urządzony w swoim mieszkaniu. Warto doprawdy, żeby na podstawie własnych słów

Słowackiego, tętnących zresztą takim godzeniem się na ten los oplakany, jakiego wtedy zażywał, zrobił sobie czytelnik w własnej myśli porównanie między dołą autora Polaka, a Francuza, Niemca albo Anglika. Porównanie to nie bardzo będzie pochylnem dla społeczności naszej, tyle zawsze skłonnej wierzyć w swoje zamiłowanie rzeczy ojezystych...

Ażeby było zrozumiałem, co tu przytoczę, muszę nadmienić, że w owych czasach Słowacki otrzymał od matki jakąś część majątku ojezystego w kapitale od razu sobie przysłanym, zamiast co dawniej bywały mu dostarczane od czasu do czasu tylko kwoty pomniejsze, rozchodzące się natychmiast na bieżące potrzeby życia. Ta możność rozrządzania znaczniejszym na raz funduszem, poddała mu myśl sprawienia własnych sprzęców i najęcia sobie mieszkania rocznego. Otóż właśnie z powodu rzeczonych okoliczności udzielał w liście z d. 12 kwietnia 1840 roku następujących szczegółów:

„Nasz znajomy pan d' Avallon*) mieszka teraz na rue Castellane Nr. 11. Jeżelibyś chciała droga od niego jakich sprawunków, to pisz do niego pod tym adresem. Co się mnie tyczy, przyszła mi teraz myśl osiedlić się trochę stałej w miasteczku, gdzie panna Kora była mi niegdyś przyjaciółką. Potrzebowałam, aby mię coś powstrzymało od ciągłego włóczenia się po świecie, zrobiłam więc — co? Już może myślisz, że twoja Zosia poszła za męża. Nie, bynajmniej! Kupiła sobie tylko meble i mieszka niby u siebie, a nie w zajezdnym domu. Wypadnie z tego jakaś oszczędność, a zawsze większa daleko jest wygoda i przyzwoitość. Do kupienia gratów pomagał mi dobry Gaszyński. (Mówi o p. Gaszyńskim malarzu, przebywającym teraz w Galicji). Z nim razem włóczyliśmy się po magazynach i licytacyach. Bawiło mię to urządzenie się i wejście we własne gospodarstwo: a Gaszyński notował wszystkie moje dziecinne uniesienia i będzie ci je kiedyś czytał z książki. I tak nająłem sobie mieszkanie na 6 piętrze (niech ci to dowiedzie, że mam dobre piersi i nogi). Na 6 piętrze nająłem więc malutkie 2 klateczki, ale czyste i porządne z widokiem na cudzy ogród, co jest tu rzeczą prawie cu-

*) Mówi tu Słowacki o sobie samym i daje sobie to nazwisko francuskie z obawy, żeby matki nie kompromitować, gdyby wysyłała listy do niego pod własnym jego imieniem.

downą, bo mało jest ludzi, którzy z okien mogą widzieć drzewa, zieloność i rozległy horyzont niebieski, a dla mnie to wszystko było nieodbitnie potrzebnem, zwłaszcza horyzont, w który utopiwszy oczy, czuję jakiś cichy smutek i dalekie wspomnienia, tak miłe mi teraz, odkąd wszystko, co kocham, jest w przeszłości. I ty, Sally moja! Ileż razy, gdy w ostatnią błękitną widokregu zapatrzę się linią, zda mi się, że w tej mgle jest coś twojej istoty i myśli o tobie rozlanych. Nie dziw się, że dziwnie piszę. Mówiłam Ci, że z okien moich widzę drzewa: wiosna je teraz rozwija, słońce złoci, ptaszki w nich świergocą; dziś dzień moich imienin, dziś ludzie z palmami chodzą po ulicach, wszystko mię rozrzewnia, aż mi łzy zalaly oczy. O moja!..., Świat ten, do któregoś się niegdyś z taką niespokojnością wyrwała z twoich ramion, nie dopisał mi, nie zaspokoił. Żadne moje uczucie nie wyrosło! strudzona chcę wrócić do Ciebie — nie mogę...

„Przerwałam pisanie tego listu, aby się uspokoić i skończyć weselszymi myślami. — Chciałbym*) ci opisać moje apartamenty, abys ty się choć myślał czasem do mnie przenieść mogła. Otóż wchodzi się do mieszkania mojego przez maleńką kuchenkę, która mi nie jest wcale potrzebna, albowiem nie mam własnego gospodarstwa. W tej kuchence stoi machinka drewniana z robinetami, napelniona wodą; i to nazywa się: *une fontaine*, sprzęt dla tak wysoko mieszkającej konieczny. Potem następuje salonik prostokątny, mający sześć kroków długości, a 5 szerokości. Na kominku lustro w złotych ramach, przed kominkiem kanapka szafirowem suknem pokryta i para podobnych krzeseł... Używane już, ale jeszcze dobrze wyglądają te sprząciki — stoliczek mały mahoniowy, zielonem suknem pokryty, na którym piszę, dwa brązowe lichtarze na kominku... i oto całe umeblowanie mojej pierwszej klatki! W sypialnym pokoju, dwa razy większym od pierwszego, mam paradne łóżko z dywanikiem wschodnim pod nogami, z kapą szafirową — komodę — mały *table de nuit* okrągły, i parę krzeseł takich jak w pierwszym pokoju. Wszystko to konieczne było potrzebne i nie ma znanadto... Ale wszystko porządne i cieszy mię, albowiem mieszkanie najwięcej wpływa na humor. Płacę za nie 25 dukatów na rok, co na tutejsze strony jest bardzo małą kwotą. Od-

*) W liście istotnie jest chciałbym: nasz poeta często wypada z roli.

dzwierny mi służy, to jest czysci pokoje i ściele łóżko, i dostaje za to 13 zlot. na miesiąc. Tak uregulowawszy się, jestem cichą i spokojną w mojej klateczce ptaszyną, pracuję, rozmyślam, a Gaszyński teraz namówił mię, żem się wzięła do malarstwa. Nie uwierzysz Sally droga, jak mi papier naklejony, pędzel w rękę i kolory rozarte przypomnialy dawne dziecinne lata“...

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Zdanie o wierszu „W Szwajcaryi“ — uwagi o Wacławie — granica aż do której służy poecie prawo traktowania historii podług swojej fantazyi. — Myśl autora w „Ojcu Zadżumionych“ — niewłaściwość wykładu dzieł poetyckich z allegorycznego punktu widzenia. — Mazepa: dawniejsze sądy o tym utworze — jego wprowadzenie na scenę — jego rozbiór. Niejednokrotna nad nim praca odbija się w jego budowie — brak tragiczności w roli głównej daje powód do mylnego pojmowania tego dramatu. Rzut oka na Szekspirowego Otella — na Lira. — Cechy i konieczne warunki charakteru bohaterów tragicznych — z tego punktu widzenia rozbiór roli Amelii. Konkluzja o wartości całego dzieła.

Wylczyliśmy w poprzedzającym rozdziale cały szereg dzieł Słowackiego, wydanych w ciągu kilku miesięcy. Trzy Poemata — Balladyna — Mazepa — Lilla Weneda. Można do nich dołożyć i Beatryx Cenci, jako sztukę napisaną w owymże czasie. Sąto stósunkowo najlepsze jego i zarazem najniezawisłej od obcych wpływów wykonane utwory. Odrębność sposobu Juliuszowego najwidomiej w nich się odsłania. Tymto rzeczom przedewszystkiem zawdzięcza poeta nasz to świetne w literaturze stanowisko, jakie ostatecznie zająć potrafił.

Przystępuję w rozdziale niniejszym do udzielenia krytycznych spostrzeżeń moich o pomienionych publikacjach, jako też do rozwinięcia przy tej sposobności kilku myśli o poezyi w ogóle, o ile ciasne granice zadania mego na to pozwolą.

W tomiku zatytułowanym „Trzy Poemata“ były objęte trzy odrębne powieści: Ojciec Zadżumionych, W Szwajcaryi i Wacław. Była to po Kordyanie pierwsza książka Słowackiego, którą publiczność od razu uznała za jedno z najwdzięczniejszych

zbogaceń narodowej poezyi. Szczególnie podobał się wszystkim pierwszy poemat.

Ażebym się nie rozmijać z porządkiem czasu, którego się tu ciągle trzymamy, zwróćmy nasamprzód uwagę naszą na utwór zajmujący w tej publikacji pośrednie miejsce. Wiersz „W Szwajcaryi“ pochodzi z roku 1835, którego okoliczności i w nich położenie poety staraliśmy się w swoim miejscu uprzytomnić czytelnikowi. W taki sposób odsłania się niejedno, co ułatwia wniesienie w skład tej z niezrównanym wdziękiem wykonanej sielanki. Budowa jej i całe przeprowadzenie nie ustępuje w niczem najlepszym kreacyom Słowackiego. Owiewa ją wprawdzie pewna tajemniczość a raczej zagadkowość, nie pozwalająca czytelnikowi wniknąć w sam środek dramatu uczuć, które się w dalekiej odległości przed oczyma jego malują. Ale to wynika z zamierzenia poety. Tego że tak powiem odstępu między opowiadaniem a tymi, co opowiadania słuchają, chciał autor: i wszystko na to jest obliczone.

Osnowa wiersza tego jest nieskończenie prosta. Spotykamy się z parą, którą łączy miłość, następnie i przysięga: oba te węzły rozrywa los jakiś — nienazwany nawet z imienia, niweczący to szczęście w samym zawiazku... I oto cała już treść sielanki — mimo prostoty i najzupełniejszej zużytości przedmiotu, przeprowadzonej jednak z taką świeżością barw, w sposób tak zgoła nowy i z tak dokładną a mistrzowską genezą tych wszystkich przejęć, z jakich się sprawy tego rodzaju między ludźmi kojarzą, że opowieść dziejów tak krótkich urasta na poemat, a zajmuje jak dramat. Że się z tego materiału udało Słowackiemu stworzyć coś podobnego, w tém główną oczywiście była przyczyną poetycka jego potęga, zdolna i na najmniejszej rzeczy wycisnąć znamię wyższości. Przyczyniło się może do podniesienia przedmiotu i tło, na którym rzecz osadził, uwite z najpiękniejszych rysów przyrody, jakich tylko dostarczyć mogły góry, łąki, jeziora i wodospady Szwajcaryi. Najwięcej jednak ułatwiła osiągnięcie takiego skutku ta okoliczność, że poeta podobnie jak Goethe w Werterze, Mickiewicz w Dziadach itd. odtwarzał tu zdarzenia rzeczywiste, uczucia własne. Wprawdzie powieść jego

w porównaniu z tém wszystkiém, co do niej dało powód, mieści w sobie więcej szczegółów wymarzonych aniżeli istotnych. Tylko sam bowiem początek i zawiązek stósunku, tylko pierwsze kroki na téj różanej, promiennój drodze mogły być i zapewne były przedstawione wedle tego, co zaszło. Dalszy przebieg, środek dramatu był już dosnuty z wyobraźni. Równie też i koniec jego, jeżeli chodzi o szczegółowe rysy, nie był dosłownie takim w rzeczywistości. Obudzenie z tego słodkiego snu na jawie odbyło się w duchu poety i inaczej i rychlej, niż w poemacie. Grunt rzeczy jednakże nie był już wymarzony w téj części. Zakończenie sielanki podyktowała istotna, wewnętrznym stanem duszy poparta prawda. Stan ten żywcem odbił się w dziele — bez domieszkania uczuć zmyślonych. Poeta czuł całą boleść usposobienia, które właśnie malował. Czerpiąc z osobistej przeszłości, nie potrzebował przyzywać tu do pomocy téj siły, która tworzy z niczego, lecz spisywał, co dyktowało zboliałe serce, niezdolne pogodzić się z tém, co zaszło...

Prawda zatem i zmyślenie, rzeczywistość i poezya, miłość człowieka i geniusz artysty podały tu sobie ręce, ażeby złożyć utwor, w którym nie wiedzieć, co wprzód i co więcej podziwiać, czy idealność całej inwencji, czy realizm i swobodę naiwną, z jaką najmniej szczegół jest opisany. Każdy rys zdaje się być wzięty z natury, całość obrazu jednak ma w sobie coś nadziemskiego. Nie znam w żadnej literaturze dzieła, w którejby przedmiot miłosny był traktowany z takim platonizmem, a przecież tak plastycznie*).

*) Dołączam tu zdanie o poemacie niniejszym, Zygmunta Krasińskiego. — „Jestto tak prześlicznie idylliczne a zarazem tragiczne, tak oderwane a zarazem prawdziwe, że nie podobnego o miłości marzonej nie znam w żadnym języku. Są tam takie szklistości, takie przeczroczą, takie bańki tęczane, takie wieńce świeżych wisien nad główkami śnieżnych gołębi, takie przymilania się natury szwajcarskiej, nachylania się gór i słupów z łodu ku sercu, które kocha i szczęsném jest, że czytając zdarzało mi się wykrzykiwać po sto razy w duszy: „Niech go dyabli porwą! Kto po nim potrafi wiersze pisać? Trzeba bezczelnym być, by się brać do pisania wierszy po

Niżej już nieco stawilbym **Wacława**. Był to poemat rokiem późniejszy od wiersza, który właśnie zostawiamy za sobą. Napisał go Słowacki w ciągu pierwszego swego pobytu we Włoszech, jak się zdaje ze wszystkiego, mianowicie w Sorrento (1836). Jeżelibyśmy mieli go cenić według samej tylko zewnętrznej i artystycznej wartości, zasadzając takową na wdziękach stylu, na sile kolorytu, na zdolnej zaciekać osnowie, na umiejętném wprowadzaniu kontrastów (szczególniej w pierwszej połowie), na mistrzowskiem rzeźbieniu szczegółów itp. to sąd nasz o Wacławie wypadłby świetnie. Pod tym względem nie ustępuje on najlepszym utworom w tymże rodzaju Byrona. Pomimo tego jest coś jednak w téj całej rzeczy, co wrażenie jój osłabia i przy czytaniu sprawia uczucie... prawie powiedziałbym niesmaku. Byron podejmując rzeczy podobne, poczynął sobie bardzo trafnie, że je przenosił albo w czasy znacznie odległe, albo na dalekie gdzieś konce świata. Zwyczajnie sceną jego powieści jest Wschód — Mauretania — wyspa jaka nieznanego nazwiska — okręt na falach jakiego morza itp. Inaczej rzecz się ma z dziełem naszym. Słowacki daje tu przedmiot oznaczony, narodowy, bliski, świeży — przedmiot, który każdemu z nas już skądinąd jest znany. W tém upatruję właśnie cały powód, dla którego — nie można inaczej powiedzieć, jak tylko, że zaszła jakaś pomyłka w samym wyborze tematu. Najprzód bowiem jest coś przeciwnego uczuciu, wciskać się w czyje sprawy domowe. Przewyciężenia potrzeba, żeby publicznie przetrząsać winy i anormalności czyje, jeżeli się takowe (jak tu po większej części) tylko własnej jego osoby tyczą, a nie oddziaływały na sprawy szersze, niż obręb murów jego pałacu, niż zakres stósunków jego rodziny. Jeżeli przekroczenia i monstrualności tego rodzaju mają w sobie warunki zajęcia powszechniej uwagi w imię ogólnie ludzkich względów: artysta ma wszelkie prawo podejmowania takich przedmiotów; lecz takt i jakiś instynkt wymaga, żeby rzecz w téj ogólnie ludzkiej sferze została, a nie płała się w osobiste, domowe, rodzinne skandale.

przeczytaniu wierszy Juliusza!..“ (Obacz list Krasińskiego do R. Z. udzielony w Dodatku miesięcznym *Czasu*, tom 13ty, strona 520).

Marya Malczeskiego niezmiernie na tém zyskała, że zdarzenia, które zaszły krótko przed pierwszym rozbiorem Polski, w wiadomym punkcie dzisiejszej wschodniej Galicyi, w domu znanym i głośnym, przeniesione zostały przez poetę i w jakieś czasy dalekie, kiedyto jeszcze zdarzały się napady tatarskie, i w miejsca równie nieoznaczone, szeroko dla wyobraźni otwarte, w miejsca że tak rzekę mityczne — na Ukrainę. Zajmuje tam więc czytelnika tylko sam jedynie wypadek, tylko charakter osoby, wmieszanych w sprawę, i osób tych namiętności. Ale kto te osoby? gdzie ich szukać? kiedy żyły? o tém u Malczeskiego ani słowa. Bo że dzisiaj dokładnie wiemy, jaka jest historyczna podstawa tej okropnej powieści: to skutek późniejszych dopiero komentarzy. Poeta z nimi nic nie miał do czynienia i pozostają też one poza ramami poematu. Inaczej to wszystko u Słowackiego. Podejmując przedmiot, właśnie w skutek sławy dzieła rychlejszego poety obłożony wszystkimi przyborami osobistości i historyzmu: miał tu do pokonania już zupełnie inne trudności. Z jednej strony miał do liczenia się z ustalonymi faktami; z drugiej wkraczał w zakres kroniki że tak powiem rodowej, w sprawy domu znanego w kraju, żeby to był dość swobodny i dość właściwy zakres dla twórczości prawdziwie poetyckiej. Nawet gdyby się był najstaranniej trzymał rzeczywistych wydarzeń, a w niczem nie popuszczał wodzów fantazyi: nawet wtedy poemat jego miałby pozór jakichś plotek, pamfletu*).... Tém gorzej zaś dla Słowackiego, (i to jest drugi zarzut, który przeciw „Wacławowi“ podnoszę), że zamiast obliczać się z historią, owszem aż zanadto się rozmijał z faktami rzeczywistości! W krótkiej przedmowie autor wprawdzie zapewnia, że „od prawdziwych nie odstępując podać, starał się tylko ile możności zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności.“ Ale ani podania nawet nie usprawiedliwiają niejednego rysu, znajdującego

*) W tym też sensie wspominał o Wacławie Krasieński w liście do Gaszyńskiego w roku 1839. — „To znakomity poeta, powiada o Słowackim. Jednak w Wacławie potknął się — Malczeskiemu nie dostrzymał kroku. Nie jest to poemat — raczej paszkwil; nie jest to poezja — raczej anekdota“...

się w poemacie, a sprzecznego z tém wszystkiém, co jest skądinąd wiadomém o tych stósunkach.

Tak np. sędziwy wiek kochanka niegdyś Maryi, a później założyciela Targowicy, mamy skreślony między innymi w następujący sposób:

„Niegdyś widziano go w gromadném kole.
Jak trup śród ludzi, jak upiór przy stole.
Zimne po sercach przechodziło mrowie,
Kiedy co mówił, gdy pił jakie zdrowie;
A gdy wziął kielich w rękę trupa, siną,
W kielichu krew się zdawała, nie wino.
Każdy co z gości do stołu zasiadał,
Nie znał go prawie, nigdy z nim nie gadał;
Gdy wszedł — nie wstawał nikt przed tym człowiekiem,
Choć orderami był srebrny i wiekiem“ itd.

Że tu jest wiele przesady, że w wierszach ostatnich braknie nawet na wewnętrzném podobieństwie do prawdy: to zapewne czuje każdy, kto tylko miejsce to czyta.

W ustępie szóstym poeta wprowadza, jako jedynego towarzysza samotnych chwil tego starca, syna jego z pierwszej żony, któremu on jednemu ufa i sprzyja.

„Nareszcie uciekł od ludzi i słońca.
A przy nim tylko jak anioł obrońca
Maleńki, blady i nierozkwitniony
Był smutny synek jego pierwszej żony.
To jedno dziecko przy nim czuwa, tleje,
Jako różyczka przy cedrze, więdnije“... itd.

Usuwać zupełnie na bok uwagę, że cała exystencja tego syna z pierwszej żony należy do fikcyi. Każdy wprawdzie, kto tylko czytał Maryę (a kto jęj nie czytał?) pomyśli sobie przebiegając ten ustęp, że to nie może być prawda! Lecz jak powiedziałem, nie robię z tego jeszcze Słowackiemu zarzutu. Tego wszelako zbyć milczeniem nie można, że odstępując tu autor od

dat rzeczywistych, zaplatał się w sprzecznościach nie tylko z Malczeskim, ale nawet ze sobą samym. Wszakże powiada sam o Wacławie, że kiedy tenże był kochankiem i mężem Maryi, był wtedy młodym. „Znałem ja grafa Wacława za młodu“ itd. (ustęp XIII). Teraz go przedstawia, jako starca już przypruszonego siwizną, jako człowieka „srebrnego orderami i wiekiem.“ Jeżeli tedy pomiędzy tamtym czasem a obecną chwilą tyle wody upłynęło: to jakżeż może synek jego pierwszej żony być i w tej jeszcze porze „dzieckiem maleńkiem i nie-rozkwitnionem“?... Jestto oczywiście nie tylko zboczenie od faktów powszechnie znanych, lecz i w sobie niepodobieństwo.

Podobnie wiele jest rysów, sprzecznych z powszechną a uzasadnioną o tym wiedzą powszechną, w tém wszystkiém, co Słowacki o starym wojewodzie natrąca.

W ustępie XIV powiada:

„Mówią, że ojciec Graf w turmę zamknięty
Umarł przed sądem — a drudzy, że ściety
(za utopienie Gertrudy czyli Maryi) —

„Niktże tej śmierci pomścić się nie umie

Na krwi wysokiej, na wyniosłej dumie?

Niktże — prócz syna, co za te popioły

Ojcowi musiał miecz pokazać goły“... itd. itd.

W ustępie XXIV powtarza się to raz jeszcze i to nie tylko szczegółowiej, ale i pewniej, bo już nie w formie głuchej wieści („mówią“), ale sam syn starego wojewody, sam Wacław w zeznaniu przed spowiednikiem to opowiada. Tymczasem rzecz jest wiadoma, że ani podobnego upokorzenia ojciec Wacława za występki swój nie doznał, ani też Wacławowi nikt śmierci ojca jako zbrodni przez niego popełnionej nie wytykał. Od tego zarzutu wolny był zupełnie Szczęsny Potocki.

Niemniej niestosownym się zdaje cały ów wymysł, jakoby Wacław został otruty — i to jeszcze popiołami swych antenatów (!). — Miłostki żony jego z jakimś „Greczynem w Arnauta stroju“, który samowładnie domem ich trzęsie i wcale się nie tai z władzą tą swoją, także zgola nie przystają do tego, co...

rzeczywiście było. Wreszcie i sam zgon nagły grafiniej, czy to w skutek trucizny, podanej jej nie wiedzieć dlaczego i przez kogo, czy z innych przyczyn, nieodwołalnych — zdaje się być bardzo słabym szczegółem w całej inwenyi. Słowem, pełno jest rzeczy, które w czytelniku wywołują niezadowolenie i protestacyą, nosząc na sobie znamiona zbyt oczywiste zmyśleń. To, co się w tym domu działo, tego poeta po większej części nie zużytkował. Co dał natomiast, tego nie było. Ma się tedy rzecz z całym tym poematem, jakby z obrazem jakiejś katastrofy skomplikowanej, która — bez podpisu, nie wiedzieć co przedstawia, a jak powiesz, co ma znaczyć, to każdy ubolewa nad brakiem podobieństwa do rzeczy albo też nad nieznaną przedmiotu.

Ażeby nie być fałszywie rozumianym, tłómaczę się wyraźniej, że nie to za niewłaściwość w dziele tém poczytuję, iż sobie autor pozwolił, traktując zdarzenia rzeczywiście zaszłe, czerpać i z własnej wyobraźni; lecz raczej, że sobie tej swobody pozwolił w tych właśnie szczegółach, w tych właśnie miejscach obrazu. — W teorii i abstrakcyjnie rzecz biorąc, nie chciałbym ja holdować ani zasadzie tych, którzy poecie w pracach zaczerpniętych z historii żadnej nie pozwalają wolności, ani też wyobrażeniom przeciwnego obozu, według których artysta z siebie tylko czerpie, a materiałem historycznym samowładnie się posługuje. Tych ostatnich wyobrażeń najdalej może posuniętym przedstawicielem był Göthe, który mówiąc o jednej z sztuk Manzoni (Carmagnola) wyrzekł owe słowa przez tylu innych już powtórzone: — „Für den Dichter ist keine Person historisch; es beliebt ihm seine sittliche Welt darzustellen und er erweist zu diesem Zwecke gewissen Personen aus der Geschichte die Ehre ihren Namen seinen Geschöpfen zu leihen.“ — Przy całej czci dla powagi Göthego, śmiem tu być innego przekonania. Prawdziwe warunki powodzenia artystycznego zdaniem mojem niezawodnie zajmują między obydwoma ostatecznościami pośrednie miejsce. Poecie służy bez wątpienia prawo puszczenia się w ślady swego natchnienia, które go unosi w krainę ideałów, w sferę prawd wiekuistych, w świat ogólnych dążeń, mających do czynienia raczej z przyszłością, niż z ubiegłym i stęgniałym

już czasem. Badanie mozolne kronik i lękliwe rozmierzanie cyrklem tego wszystkiego, co mu służy za materiał, nie jest zadaniem artysty. Holdowanie przesadnie archeologii zabija wszelką poezją, równie jak i kopiowanie obecności z fotograficzną wiernością nie stanowi bynajmniej sztuki. A zatem z zasady byłbym za pozostawieniem wszelkiej wolności fantazyi poetyckiej, kosztem nawet prawdy dziejowej. Z drugiej strony jednakże jest okoliczność, która tę wolność fantazyi potężnie ogranicza, a to w interesie samej sztuki. Artysta i pisarz pamiętać powinien o tem, że illuzya jest pierwszym wszelkiej sztuki warunkiem. Właśnie dlatego nie może dzieło jego treścią swoją stawać w sprzeczności z pocuciem, ze świadomością, z wiedzą i wreszcie instynktem tych wszystkich, dla których się właśnie pisze. Żle bardzo byłoby dla nowego utworu, gdyby takowy na samym wstępie spotykał się z opozycją z powodu samej już swojej materialnej osnovy. A opozycja taka niezawodnie zajdzie mu drogę w każdym razie, gdzie autor nie poszanował uświęconej prawdy dziejowej. Na nic się nie zda poecie przyoblec coś choćby we wszystkie cuda natchnienia, jeżeli czytelnik sprawę wytoczoną zna już skądinąd i widząc, że się takowa miała w rzeczywistości inaczej, jak w jego opowiadaniu, czuje przy każdym kroku, że ma przed sobą nie prawdę ale bajkę, nie wskrzeszenie tego co żyło, ale mrzonki bujnej imaginacyi, więc... sfalszowanie rzeczywistości.

Stądto, nie tylko przez cześć dla dziejów, ale ze względu na ściśle artystyczne potrzeby, są rzeczy, których pod żadnym warunkiem niewolno przeistaczać poecie, jakoto charaktery osób powszechnie znanych w narodzie, wypadki stanowczej doniosłości w następstwach, pewien ogólny koloryt i nastrój wieku, słowem wszystko to, co nawet niebadaczowi z zawodu znanem jest w zakresie pewnego społeczeństwa.

Natomiast wolno poecie bujać na skrzydłach wyobraźni w tych przestworach pobocznych i mniejszej wagi, które historii w jej podwalinach nie tyczą. Wolno mu zmyślać artystycznie, jeśli dzieło jego powstaje w zakresie historycznie nierozjaśnionym. Ujdzie mu nawet minąć się niekiedy z wiedzą przeszłości udokumentowaną studjami, jeśli tę przeszłość po swojemu odtwarza

w języku narodu, stojącego nieco opodal od sceny zdarzeń opowiadanych i właśnie przeto mało lub przynajmniej nie zbyt szczegółowie obeznanego z istotnym tychże zdarzeń przebiegiem. Dlatego łatwiej też jest zawsze poetom obrabiać rzeczy, wzięte z dziejów postronnych, aniżeli przedmioty narodowe*). W pierwszym razie publiczność przyjmuje bez oporu i mniej wierny wizerunek czy to charakteru jakiej historycznej wielkości, czy jakiej katastrofy dziejowej, jeżeli tylko artystycznym warunkom kreacya czyni zadość. W drugim razie przeciwnie kontroluje go w najmniejszym nawet rysie ta cała suma miejscowej znajomości stosunków, która w mniejszej lub większej części jest własnością każdego wykształconego członka tej społeczności. Najmniejsze tedy w razach takich uchybienie już wywołuje niesmak. Najnieznaczniejszy rozdzźwięk między wyobrażeniami o tem ogółu a przedstawieniem artysty sprawia ferment w duchu czytającego, a ferment taki żadną miarą nie należy do warunków korzystnie nastrajających do sądzenia nawet i o artystycznej wartości dzieła.

Oczywiście nie idzie za tem, żeby pisarz schlebiał popłacałym w publice przekonaniom. Do najwznioślejszych jego obowiązków należy, stawać gdzie potrzeba i w wyraźnej nawet

*) Niewątpliwie mniej trudu kosztowało Schillera obmyślenie planu Dziewicy Orleańskiej lub Don Karlosa, aniżeli wynalezienie tragicznej osnovy do Wallensteina. W niemieckim języku, dla Niemców, jest Dziewica Orleańska wyborną sztuką, podobnie i Marya Stuart i w ogóle wszystkie tragedye tego poety, zaczerpnięte z dziejów obcych. Przełożmy je na dotyczące języki, albo co gorsza, każmy im być utworami oryginalnymi każdej w swoim narodzie, Dziewicy Orleańskiej w francuskim, Don Karlosowi w hiszpańskim itd. a przekonaliśmy się, że tyleby tam zaraz dało się słyszeć ujemnych uwag o samej stronie ich zewnętrznej i przedmiotowej inwencji, że i podziw dla artystycznej doskonałości témsamem doznałby potężnego ograniczenia. Nie ma rzeczywście większej trudności, ani też większego tryumfu dla poety, jak obrabiać czy to dla teatru czy w innej poetyckiej formie rzecz historyczną, narodową, a zadowolić publiczność. Rzadko to tylko zdarzyć się może. I właśnie też dlatego życzyliby należało, ażeby się pisarze nasi przy wyborze przedmiotów tak wyłącznie nie zamykali w samym tylko narodowym obrębie.

sprzeczności z ogółem. Lecz niech to będzie w tych tylko razach, gdzie poeta może być pewnym, że prędzej czy później będzie wygrana po jego stronie. Czyli innemi słowy: tylko lepsza znajomość wypadku, o który chodzi, tylko chęć większego zbliżenia się do prawdy, tylko cel wznioślejszego postawienia wytoczonej idei upoważnia artystę do wystąpienia z nowymi pomysłami.

Wywód powyższy nie daje się wprawdzie zastosować dosłownie do poematu, leżącego właśnie przed nami. Koleje życia człowieka, którego młodość tak idealnie w powieści swojej wystawił Malczeski, a którego dalsze czyny tak posępnie się odbijają na tle dziejów ojczystych — koleje te, mimo to wszystko, nie dosięgają sfery istotnie historycznej. Późniejsze dni jego płynęły bez publicznego rozgłosu. Starość jego dogasała w ponurym choć złocistym wnętrzu pałacu, zapelnionego chyba tylko ciżbą rezydentów i pieczeniarzy, wyzyskujących próżność magnata. Po za Targowicą (która w obrazie Słowackiego ginie gdzieś w głębi i nawet w spowiedzi zbyta jest kilku tylko słowami), mamy w Szczęsnym Potockim osobistość raczej prywatną, chociaż ród, towarzyskie położenie, majątek itp. nadawały mu jakieś cechy wyższości nad zwykły poziom. Z tem wszystkiem, właśnie z przyczyny tych wyjątkowych okoliczności, i koniec tego człowieka i stosunki jego domowe znane są prawie każdemu. A Słowacki wystawiając z nich niejedno w sprzeczności z tem, co rzeczywiście było, postawił się mimowolnie na jednej linii z pisarzem, który się dopuszcza przeistaczania historycznych pewników. —

Przychodzi mi teraz słów kilka powiedzieć o wierszu umieszczonym na czele tego tomiku, o „Ojcu Zadżumionych“. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy, była to pomiędzy trzema poematami najpóźniejsza praca poety, owoc samotnych jego dumań w pustelnicznym owym klasztorze na szczycie góry Libanu (rok 1837). I ani wątpić, że niejedno rys rzeczywisty zawiera się w owęj strofie, gdzie autor kładzie w usta skarżącemu się ojcu po stracie wszystkich, którzy go otaczali, owe słowa rozpacz:

Wracam na Liban, do mojego domu —
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: starcze! gdzie są twoje działki?
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie, pogrzebione
Tam pod grobowcem tym okropnym Szecha —
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem
Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?!

Trudne jest zadanie krytyki wobec rzeczy, mającej pod każdym względem prawo nazywać się arcydziełem w swoim rodzaju. O pochwały trywialne i o wykazywanie zalet, dla każdego widocznych, w razach takich chodzić nie może. Do zarzutów nie ma żadnego pola. Nie pozostaje tedy i przed „Ojcem Zadżumionych“, jak tylko schylić czoło i odkładając pióro na bok powiedzieć, że ani między Słowackiego tworami ani w całej naszej literaturze nie ma rzeczy, któraby wykończeniem, zwięzłością, siłą, prawdą, wreszcie mistrzostwem niezrównanym w urozmaiceniu szczegółów przewyższała ten straszną grozy poemat. Czém posąg Laokoona, czém grupa Nioby w rzeźbie, tém to w poezji. Jeżeli chodziło o przedstawienie ciosów nieszczęścia, walącego się na głowę upatrzonęj istoty, dopóki takowa nie wyda z siebie ostatnięj lzy, ostatniego jęku, i przestając już prawie czuć po ludzku, nie zamieni się w marmur, z suchą powieką zdolny rozpamiętywać swoje boleści: to tego zamiaru zupełnie tu dopiął poeta. Taki zaś zdaje mi się być właśnie wszystek cel jego w dziele obecnem, usprawiedliwiony dostatecznie okolicznością, że tego rodzaju zdeptanie całego szczęścia czyjego zdarza się nieraz na ziemi naszej — nie pytając o przyczyny, dlaczego się zdarza? Przyczyny te pozostaną niedocieczone, mimo wstytkiego, jak je tam sobie każdy tłómaczy.*)

*) Z powyższém sformulowaniem zamiaru autora w tym poemacie wiem że nie wszyscy się zgodzą. Przedmiot jego bywa i inaczej

Załatwiwszy rzecz z poematami, przechodzę do rozbioru dramatów, a nasamprzód do rozbioru **Mazepy**, który między nimi

wykładany. Zaczny i utalentowany nasz pisarz, p. Józef Szujski, odczytał niedawno temu na posiedzeniu Towarzystwa Naukowego krakowskiego rozprawę, w której Ojca Zadżumionych rozbiera, niepowszednie piękności tego dzieła podnosi i z Kochanowskiego Trenami je porównywa. Rozprawa ta była potem i drukowana w Rocznikach Towarzystwa. (Roczników poczet trzeci, tom XI, w roku 1866). Pomimo niepospolitych zalet, jakie w pracach rzeczonoego pisarza wszędzie uznaje, a bez których żadną miarą nie jest i rozbiór, o którym tu wspominam: znajduję w nim jednakże i takie zdania, na które nie mógłbym przystać. Mianowicie nie sędzę, żeby między treścią Ojca Zadżumionych a naszym położeniem narodowym obecnym był jaki istotny związek. Szanowny Autor rozprawy zdaje się kłaść na to znaczny przycisk. — „Przymuszeni jesteśmy, są jego słowa, pomimo woli uznać w poemacie Słowackiego więcej, jak fantastycznego życia Wschodu obrazek, więcej jak skończone dzieło sztuki liryczno-epicznej treści; — bo wieszczce przeczucie wypowiedziane w roku 1837 o bezprzykładnego sieroctwa czasach... „Źródła jego trzeba nam szukać w myślach wieszczych autora o drogiej jego sercu sprawie narodowej. Tam zrodziła się konieczność utworzenia tego strasznego poematu; stamtąd pochodzi jego natchnienie, jego barwa, jego właściwości... „Arab sierocy Słowackiego jest nie czém inném, jak jedném z strasznych marzeń o domowych sprawach, jedném przeczuciem wieszczem więcej, jedną chwilą krzyżowej drogi, którą serdeczną krwią serca oznaczył poeta siedząc w namiocie pustyńnym, a sięgając myślą Ojczyzny. Rodzina jedna, rodzina wielka odbywa pielgrzymkę ku światu przyszłości — ale nim go zobaczy, prawo świata każe jęj odbywać kwarantanę zdrowia — prawo świata postawiło jęj straż, lekarza i sędziego.. Tymczasem powiód morowej zarazy owiał rodzinę. Może to z tęsknoty za światem przyszłości, może z braku bliskich, chwytanych celów życia — może na widok tego lekarza i straży. Umiera więc jeden po drugim z członków rodziny dotknięty zarazą. A za każdym wypadkiem przedłuża się środek ostrożności — kwarantana... Takie marzenie mogło nawiedzić autora w pustyńnym namiocie. I z tego marzenia wyszło widno, ofiara kwarantany i cywilizacji — starzec bez dzieci, bez przyszłości — bez nadziei. Bóg stanął przed poetą w postaci pogańskiej, w postaci niszczyciela, sojusznika gwałtu i fizycznego zwycięstwa. I zawołał poeta do tego Boga:

O bądźże ty mi pochwalony Allah
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,

wszystkimi jest najrychlejszej daty. Wyszedł on z druku dopiero w roku 1840, przyjęty został przez publiczność dość zimno,

Zarazą, która dzieci me wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki,
O Allah! Akbar Allah! jesteście wielki! —

Przyczyłem dosłownie cały przydłuższy ten wywód głównie z tęg przyczyny, ażeby omawiając go po swojemu w skróceniu, nie skrzywić w czém mimowolnie myśli szanownego autora. Przyznaję, że jest w tém wszystkiém, cośmy przywiedli, wiele zmyślności. Nie przeczę, że jest i pewien pozór trafności w takim wykładzie zamiaru Słowackiego. Pomimo tego jest mojem najgłębszém przekonaniem, że się pan Szujski za daleko posunął. Podkłada poematowi znaczenie, o którym zdaniem mojem nie tylko nie marzył poeta wtedy, kiedy go pisał, ale którego nawet trafunkowo, to jest po za świadomą wiedzą poety, w tém dziele nie ma. Tłumaczyć tak Ojca Zadżumionych, jest to robić z niego allegoryą. Zyskuje nibyto na tém znaczenie poematu, że się pod jego widzialną że tak powiem podstawą odsłania druga, i głębsza i żywotniejsza, niż tamta. Ale korzyść ta w gruncie jest wielce wątpliwą natury. Skoro się bowiem z tego allegorycznego punktu widzenia znacznie szczegółowo examinaować wszystko w utworze naszym: okaże się, że wiele i bardzo wiele rzeczy nie odpowie zgoła założeniu, o jakie chodzi. Z czegoby wynikał ten chyba tylko wniosek, że się dzieło niniejsze... wcale nie udało poecie.

Gdyby szanowny krytyk był się ograniczył do następującego twierdzenia: że między obrazem, jakiemu jest poświęcony poemat, a usposobieniem osobistém i narodowo-społeczném Słowackiego była niejaka analogia — a to o tyle, że poemat przedstawia ciągły szereg ciósów w jednego człowieka bijących, choć tenże nie takiego nie popelniał, żeby można było rozumieć, dlaczego mimo wielkości Boga czuwającego nad nami dzieje się taka krzywda nieszczęśliwemu, — poeta zaś jako członek swego narodu nieraz i nie dziesięć razy z punktu wyjścia innych premissów dochodził w samotnych swoich dumaniach do tegoż rezultatu, i właśnie przeto teraz, przy zdarzonej sposobności, z namietnością oskarżyciela i z prawdziwém *con amore* artysty maluje tę jaskrawą bezopatrność i bezlitość, w małych i wielkich rozmiarach praktykującą się wszędzie w świecie... gdyby powtarzam takie tylko było twierdzenie p. Szujskiego: nie miałbym nic przeciw temu do powiedzenia.

Ale jego dowodzenie idzie o wiele dalej i odsłania między poetą a Arabem nie pokrewieństwo stanowisk, lecz allegoryą.

Tłumaczenie utworów poetyckiej literatury naszej w sposób allegoryczny jest w ogóle między nami dosyć zwyczajną rzeczą.

przynajmniej nie sprawił tego wrażenia, co np. Kordyan, Anelli albo Trzy Poematy. Niebawem po pojawieniu się Mazepy, wystąpił poznański Tygodnik Literacki z krytyką (obacz rok 1840, Nr. 13). Była to krótka wprawdzie i nie wdająca się zbyt w szczegóły krytyka, ale znakomitego pióra. Autorem jej był Karol Libelt. Lubo niejedno w dramacie na korzyść poety podniesiono, i uznano w Mazepie zalety, dające powód do chlubnych o autorze nadziei na polu dramatycznej poezji: ogólny rezultat jednakże rzeczonożego rozbioru nie był zachęcającym do dalszych na tej drodze usiłowań. Z wytkniętych błędów, największa część rzeczywiście sąto miejsca najsłabsze w tej kompozycji: nie brak atoli i na zarzutach takich, do których wytknięcia nie byłoby pewnie przyszło, gdyby krytyk miał być sposobność wysłuchać, co na obronę swoją byłby powiedział poeta; albo gdyby przynajmniej poeta już w owym czasie był uważany za tę znakomitość w swoim zawodzie, za jaką go w późniejszych dopiero latach uznano. — Podobnie mniej korzystnie musiał też czasu swego sądzić o Mazepie i Z. Krasiński. Wyrażając się tylekroć i w listach i publicznie z pochwałami o celniejszych utworach Słowackiego, nigdy on do ich liczby nie dołączył tego dramatu. Wziętość obecna tej tragedii była tedy wynikiem dopiero czasów późniejszych. Zdaje się, że dopiero przedstawienie Mazepy na sce-

Każdy utwór głębszej treści, Nieboska Komedia, Irydyon, Król-Duch, nawet Lilla Weneda itd. spotykają czytelników, którzy zamiast zaśtosować do nich to, co tak trafnie wyraził Schiller:

„Welchen Leser ich wünsche? — Den unbefangenen, der sich, Mich und die Welt vergisst und in dem Werke nur lebt“, raczej w dzieła te wnoszą swoje pojęcia i ideały, pospolicie im podkładając to co ich boli. A że boleści i utrapienia nasze są ciągle jedne, więc schodzi na to, że się najrozmaitszym dziełom prawie ciągle jeden temat podsuwa, jakby się one wszystkie kręciły w jakimś kole zaczarowanym, około jednego tylko punktu. Byłaby to dziwna jednak jednostronność i ubóstwo naszej narodowej poezji, gdyby się rzeczywiście tak rzeczy miały... W ogóle uważam przypuszczenie allegoryzmu za ostatni i w razach tylko rozpaczliwych właściwy klucz do dobierania się w intencje dzieł wszelkiej sztuki. Czasem trzeba zrobić użytek i z niego, jako i jam sobie tego pozwolił przy Anhellego rozbirozie. Lecz im rzadziej się tej metody chwytamy, tém lepiej.

nie zwróciło nań powszechniejszą uwagę. Była to pierwsza naszego poety sztuka, która się doczekała tego zaszczytu ze strony naszych teatrów. Odegrano ją po raz pierwszy w roku 1851 (a więc we dwa lata po zaszłej śmierci jej autora) w Krakowie, na benefis panny Ceneckiej. Przyjęcie było dobre, w skutek czego też Mazepa nieraz potem był powtarzany, lecz tylko na scenie krakowskiej. Następnie grano go w tłumaczeniu gdzieś w Niemczech, a nawet zdaje się, że reprezentacya niemiecka o lat kilka wyprzedziła owę pierwszą krakowską.* Na scenie lwowskiej przyszło do przedstawienia Mazepy dopiero w roku 1861. Teatr publicznością był przepełniony, a coraz powtarzające się tak w ciągu aktów, jak w przestankach oklaski i wywoływania celniejszych artystów, wymownie świadczyły o powszechnym zadowoleniu widzów, choć gra aktorów tylko w niektórych rolach czyniła zadość słusznym wymaganiom. Od tego czasu i we Lwowie weszła ta sztuka w poczet rzeczy częściej grywanych. Najsilniejsze wrażenie sprawiła ona jednak dopiero w trzy lata później, kiedy na tejże scenie wystąpił w roli Wojewody znakomity artysta warszawski Richter, którego znakomity talent miało wtedy miasto nasze sposobność poznać w kilku występach gościnnych. Gra wyborna i mistrzowska p. Richtera oddziaływała korzystnie i na innych artystów, uczestniczących w rzeczonej reprezentacji.

Tak więc Mazepa ze wszystkich prac dramatycznych Słowackiego nie tylko był pierwszym, który sobie zdobył miejsce i uznanie na scenie, ale onto dopiero utorował do niej drogę i drugim niektórym tegoż poety sztukom: Maryi Stuart, Balladynie, a nawet i Mindowie. Próba z Mindową jednakże się nie udała: sztuka jest słaba (i była zresztą odegrana tylko przez grono amatorów). Reprezentacya Balladyny, raz tylko jeden dotąd, lecz przez artystów z zawodu, w teatrze lwowskim doprowadzona do skutku, także nie wypadła bardzo korzystnie — nie tyle z powodu braku warunków po temu w sztuce samej, ile dla innych

*) Przekład niemiecki dokonany był przez Augusta Dracke i jest drukowany w *Bühnen-Repertoire des Auslandes*. Berlin 1842—46, tomik XIV, numer 111.

przyczyn, które w swoim miejscu wskażę. Marya Stuart utrzymuje się w repertoryach teatralnych, choć nie z takim powodzeniem, jakiegoby się można spodziewać po mistrzostwie jej autora. Lilli Wenedy nie ośmielono się grać dotąd nigdzie. O dramatach, które dopiero wydanie dzieł pozgonnych przyniosło, w tej mierze trudno dziś jeszcze przesądzać. Słowem, okazuje się, że jak obecnie rzeczy się mają, Mazepa jest głównym filarem sławy Słowackiego jako scenicznego poety, i godzi się wnosić, że zapewne nim pozostanie i nadal; w żadnym bowiem drugim jego utworze nie ma już tyle zawikłanej i bogatej w niespodziane zwroty intrygi, tyle ruchu i prądu dramatycznego, tyle scen wstrząsających najwyższą tragicznością; co większa, w żadnej drugiej scenicznej swojej pracy nie potrafił się Słowacki tak utrzymać w karbach utartej i zwykłej rutyny teatralnej, z wyłączeniem wszystkich owych własnych swoich w sposobie właściwości, do których się publiczność powszednia chyba dopiero przyzwyczaić będzie musiała...

Na tém przyznaniu scenicznych zalet Mazepie jednak zadanie moje poprzestać mi nie pozwala. Przedsięwziąłem sobie mówić o Słowackiego dziełach, nie wedle tego, jakie do nich znaczenie z tej albo owej przyczyny przywiązuje dzisiejszy ogół, ale ze stanowiska prawdziwych wymagań sztuki. Pod tym względem jest o Mazepie niejedno do powiedzenia. Całej osnowy utworu tym razem brać pod rozbiór nie ma przyczyny. Są zato niektóre ustępy jego, o których już to w obronie poety, już wytykając mu uchybienia, niech mi będzie wolno rzucić kilka uwag aforystycznych.

Rzućmy okiem na dzieło to przedewszystkiém jako na całość. Tu krytyka znajduje najwięcej dla siebie pola. Główna wada w kompozycji tej tragedyi zdaje się polegać na tém, że jest pewna czy niejasność czy też niejedność w całym téjże przeprowadzeniu, że jest pewien niestósunek między aktem pierwszym a dalszymi. Niestósunek ten widać w całym sposobie wprowadzenia intrygi; widać go w długo trwającej wątpliwości, kto bohaterem sztuki? widać go nawet w niestósowném jej nazwaniu —

według imienia osoby, która tylko podrzędne w porównaniu z drugimi zajmuje miejsce.

Wszystko to ma zaś taki ścisły związek ze sposobem, jak dramat obecny powstał, że niepodobna mi nie powrócić tu raz jeszcze do tego punktu.

Przypominam więc, o czém się już w tomie pierwszym mówiło, że Mazepa byłto plód pracy Słowackiego jesiennej w r. 1834. Dnia 7 listopada rzeczonego roku donosił autor nasz matce, że tę sztukę właśnie ukończył. W kilka zaś miesięcy później, 5 lutego 1835, wspomniał w liście, że ją spalił...

Pomimo to, po kilku latach przyszło jednak do tego, że się Mazepa przecie pojawił w druku.

Byłoby tu ważném rozstrzygnąć pytanie, czy dzieło, które mamy przed sobą, było nowym utworem, a tamten Mazepa rzeczywiście został rzucony w ogień; czy też jest ono owym Mazepą z roku 1834, ocalonym w jakim brulionie, albo zgola nie oddanym na pastwę płomieniom, lecz tylko może chwilowo zagrożonym podobną katastrofą?

Za pierwszym przypuszczeniem t. j. za rzeczywistém znieszczeniem pierwszego rzutu Mazepy, przemawia następująca wzmianka o Juliuszu Słowackim, dana w jednym z ostatnich numerów poznańskiego Tygodnika Literackiego z r. 1839: — „Pan J. Słowacki pracuje, jak nam donosi, nad nowym dramatem polskim pod tytułem Mazepa. Jego życzeniu, abyśmy odwołali pogłoskę, iż i on należy do redakcyi Pszonki, czynimy niżej zadość.“

Doniesienie powyższe, mające wszelkie cechy pochodzenia z autentycznego źródła, poprzedziło wyjście z druku Mazepy o miesiąc albo najwięcej o dwa miesiące. Zdaje się przeto pod każdym względem zasługiwać na wiarę i najzupełnięj rozstrzyga wprowadzoną tu wątpliwość co do czasu powstania sztuki w jej obecnej postaci. Przyjąć tedy można za rzecz zupełnie pewną, że dany do druku Mazepa był czémś inném, jak ów pisany w Genewie dramat z roku 1834. Czy jednak nie weszły do tej nowiej redakcyi jakie ustępy z dawniejszego Mazepy, odszukane w papierach i bynajmniej nie zniszczone, to w każdym razie inne

pytanie. Co do mnie: kiedy się zapatruję na obecny skład niniejszego utworu, zdaje mi się, że w nim odkrywam części pochodzące niezawodnie z czasów genewskich. Żeby rzeczy zbytecznie nie przedłużać, zwrócę uwagę dla poparcia mojego zdania na jedno tylko tego właśnie rodzaju miejsce.

Czy przypomina sobie czytelnik zakończenie drugiego aktu w Mazepie? Jestto owa scena, dość niejasna w obecnym układzie sztuki, gdzie do zamyszonego Zbigniewa zbliża się niewidziana przez niego Amelia i stając przed nim, uderza go lilią po twarzy.

AMELIA.

„Cóż tak smutny?

ZBIGNIEW.

Nic — głowa mi cięży jak olów.

(Amelia daje Zbigniewowi lilię — lecz Ksiądz, który szedł za nią i stoi obecnie przy niej, wyrywa kwiat z ręki Amelii i mówi srogo:)

KSIĄDZ.

Daj do kościoła — lilia jest kwiatem aniołów.“ —

Otóż wcale o tém nie wątpię, że to całe miejsce wcielone tu zostało z pierwszej redakcyi.

W jednym z listów Słowackiego, pisanych w témże miejscu, gdzie powstał pierwszy „Mazepa“, i w czasie o mało co późniejszym (w liście z dnia 30 czerwca 1835), znajduje się wyrażenie, które świadczy, że obraz użyty za osnowę w powyższej scenie dramatu, był i wtedy jeszcze obecny w pamięci Słowackiego. Piśze on tam matce pół żartobliwie, pół smętnie o osobie, do której całą sympatją swego serca w tym czasie był przywiązany, o p. Maryi W., i powiada, że i ona także „zapłynęła trochę w kraj ideału i że o niczym nie marzy, jak o pustelnicznym domku, nad rzeczką — o czarnej sukience — o lekarstwach dla chłopów — o topolach szumiących nad pustelnią — i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem... kiedyś. Tym mnichem kartuzem mam być ja, nie kto inny. Dowodzę jęj jednak czasem, że jaki pan podkomorzyc w krainie Lachów — dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wasy, podkówki

i ostrogi, wybije z głowy pustelniczny domek, a ja nie będę mógł kartuzowém wspomnieniem zdobyć liliowęj duszy dla aniołów“...

To miejsce w liście posłużyć może poniekąd za komentarz do zbyt może symbolicznej sceny, co tylko przytoczonej z Mazepy. Równocześnie zaś może stanąć i za dowód, że w tym dramacie znajdują się niewątpliwie ustępy z redakcyi jego z roku 1834 całkowicie zatrzymane w składzie jego obecnym. Boć trudno uwierzyć temu, żeby np. scena powyższa była mogła w roku jeszcze 1840 być wykonaną na tle tegoż samego obrazu, który przesunął się był przelotnie przez wyobraźnię poety pięć laty pierwej.

Owoż wnoszę z tego wszystkiego, że Słowacki w końcu roku 1839 i początku 1840 Mazepę nie tworzył, ale tylko przerabiał. Nad robotami tego rodzaju cięży zwykle jakiś fatalizm. Dawny zamiar poety nie daje się zupełnie pogodzić z nowym. Dawne niedostatki kompozycyi ustępują zwykłe miejsca... nowym znowu niedogodnościom. Rzecz się naprawia i psuje równocześnie. Zdaje się, że i ówczesna praca naszego wieszczu nie stanowiła wyjątku od tęg tak powszechnej reguły. Szczegóły dramatu zyskiwały może na wykończeniu: jednolitość ucierpiała z powodu takowego przelewu.

Stało się z Mazepą, jak z Don Karlosem Schillera, o którym sam autor jego przyznawał, iż widać to po nim aż nadto, że to nie plód jednej wiosny, ani odlów jednego rzutu. W pierwszej połowie dramatu niemieckiego poety toczy się wszystko około postaci infanta hiszpańskiego, w drugiej stanowczo mu wyrasta nad głowę jego przyjaciel (Markiz Poza), gromadzący w roli swojej odtąd całą wagę intrygi, jakby był bohaterem tragedyi.

Na tento karb wyjątkowych okoliczności, dotyczących samego już sposobu, w jaki powstała sztuka którą mamy przed sobą, kłaść więc wypadnie niedostatki, które wytknąć zamierzam. Zdaje się, że w pierwotnym kształcie Mazepy najznacniejszą rolę w całym przebiegu intrygi dzierżył w rękach paź królewski, którego też imieniem dramat został nazwany. Z tęg redakcyi najwięcej pozostało w obrębie dwóch pierwszych aktów. Mianowicie

godzi się wnosić, że akt pierwszy pozostał z niej prawie nietknięty w obecnym składzie. Stądto też na początek właśnie utworu, na expozycją, przypadło najwięcej takich ustępów, które słusznie zaczepiać może krytyka, jako psujące przejrzyłość akcyi. Są to szczegóły, nie tylko nie należące do rzeczy, ale nawet rzucające na nią światła fałszywe i zwodnicze.

Tak np. zapytać można, co znaczy w Mazepie to zaraz na samym wstępie dane wprowadzenie figury kasztelanowej Robronckiej, która się zupełnie gdzieś zapodziewa w dalszych aktach? Rola ta w dramacie jest co się zowie zbyt zbyteczna, a spotykamy ją tu nałożoną kolorami, jakby to był jeden z pierwszych całego zawiązania czynników. Jest to żuk, co nie widzi dla siebie żywiołu jak tylko w kale, i radby wszystko, co jeszcze kałem nie jest, w brud i zgniliznę zamienić. Pomijam, że taka kasztelanowa jest ze strony dziejowej prawdy anachronizmem. Nie można sobie wprowadzić wieku Jana Kazimierza wystawiać jako czasów co się zowie arkadyjskiej czystości. Działy się i wtedy już rzeczy, o których się naszym tuzinkowym epoki tej wielbicielom ani nie śniło. Lecz był przynajmniej zawsze wtedy na tém, co się zdrowego tu albo owdzie dziać mogło, jakiś pokost przyzwoitości i dekoracyi pozornej, która dopiero w drugiej ósmnastego wieku połowie ulotniwszy się w nicość, odkryła zepsucie w całej nagości. Takie to beczelnej otwartości typem skończonym jest właśnie pani Robroncka. Autor przeniósł tę paskudnicę wielkiego świata żywcem z epoki Poniatowskiego i niesłusznie ją umieścił na tle czasów o całe sto lat rychlejszych. Ale jak rzekłem, dajmy tu pokój historii i nie zaczepiajmy tej figury z powodów, które nie mają bezpośredniej wspólności z sztuką. Lecz właśnie to względy sztuki najsilniej protestują przeciwko wprowadzeniu roli tej w dramat. Jest to w nim co się zowie piąte koło u wozu. To też toczy się ono przy nim tylko przez ciąg pierwszego aktu—a potem odrzucone zostaje na bok, żeby darmo nie zawadzało biegowi dalszej osnowy.

Wątpić wcale nie można, że w pierwotnej postaci „Mazepy” musiała Kasztelanowa zajmować o wiele ważniejsze miejsce. Poeta zdaniem mojem zblądził, że w przerobieniu nie przydzielił jej

znaczniejszej roli, jeśli ją już koniecznie chciał zatrzymać w dramacie. Chodziło tu widocznie o owo tak jaskrawie rzucone zarekomendowanie paza królewskiego przed Amelią (a zarazem i przed widzami), włożone w scenie 3ciej i 4tej pierwszego aktu właśnie w usta pani Robronckiej. Do tej funkcji nie nadawał się snadnie żaden inny z ludzi tragedji, któryby tu mógł godnie zastąpić Kasztelanową. Nie można tego jednak uznać za dostateczną przyczynę, zatrzymania tej figury w obecnym kształcie dramatu.

Równie uważam za niefortunny tylko wynik dwukrotnie podejmowanej pracy nad niniejszym utworem owę przydłuższą scenę opowiadaną (drugą w akcie I), w której dowiadujemy się od pana Chrzastki o śmiesznym zajściu zakulisowem pomiędzy jakimś Marszałkami dwóch stronnictw sobie przeciwnych, wjeżdżającymi równocześnie w bramę zamku Wojewody. Chodziło widać autorowi o odsłonięcie obłudy, o skonstatowanie dumy zawistnej, przywdziewającej zawsze płaszczyk popularnej w obec drugich uniżoności, jako cechy owego wieku w ogóle, a rzeczonych dwóch naczelników szlachectwa w szczególności. Może dążność taka właśnie w pierwszej redakcyi Mazepy wynikała ze założenia. (Wszakże i sam Wojewoda nie zdaje się być wolnym od podobnego przymiotu. Klęka w akcie I przed królem i zabiera się do ściągania mu z nóg obuwia... A potem jaka дума odchyła się w tym czło-wieku nawet i przeciwko królowi!) Owoż opowiada pan Chrzastka, jak żaden z owych Marszałków wziąć kroku przed drugim nibyto nie śmiał. I jeden krzyczał: niegodny! i drugi — niegodny! A skoro tylko koniec końcem jeden poważił się wreszcie ruszyć z miejsca i wjeżdżać do zamku jako pierwszy, to się drugi tak tém oburzył, że przyszło do bijatyki... W obecnym składzie Mazepy cała ta scena nie ma najmniejszego związku ani z główną osnową sztuki, ani nawet z żadnym ubocznym jej szczegółem. Tych dwóch Marszałków wcale nie spotykamy na scenie. Artystycznie wklejony jest ten epizod niezręcznie, bo za pośrednictwem przydłuższego tylko o nim opowiadania, które zawsze dramatyczność oziębia. Pomysł sam, kulminujący w obrazie utknięcia w ciasnym korytarzu dwóch tych szlachciców „brzuch z brzu-

chem, nos z nosem“, także jest i niesmaczny i nawet bodaj prawdopodobny. Słowem jestto scena pod każdym względem tak niepotrzebna, że w interesie reputacji „Mazepy“ życzyć wypada, ażeby przynajmniej kiedy się daje rzecz tę na scenie, czynili tu reżyserowie, co do ich obowiązku należy.*)

Najbardziej jednak niefortunne następstwem tej w różnych czasach podejmowanej pracy nad sztuką obecną, będzie niezaprzeczenie szczególna niejasność włożonego w nią zamiaru. Czytelnik widzi się przez cały ciąg Mazepy w niepewności, o co tu głównie chodzi? Ani sposób znaleźć tu sobie ów punkt konieczny widzenia, z któregoby cała budowa dzieła we wszystkich zakątkach swoich dała się okiem przejrzeć na wylot. Niemalą trudnością okazuje się co do Mazepy nawet wyrozumienie, której z figur w nim działających przydzielono rolę bohatera lub bohaterki dramatu?... Pod tym właśnie względem chwiejność jest szczególnie uderzająca! W pierwszym akcie tak sobie postępuje Słowacki, jak gdyby mu chodziło raczej o zamaskowanie rzeczywistej intencji. Opowiadanie stariej Kasztelanowej, co się zowie szczegółowe o tym „złotym sowizdrzale“, który wszystkim głowy zawraca, jeszcze nim się Mazepa w zamku Wojewody pojawił; zaraz potem awanturnicze przyjście tegoż na scenę oknem i ta nieznużona ruchliwość, z jaką on od pierwszej chwili wszystkie kąty domu wojewodzińskiego osobą swoją zapełnia — wszystko to dane jest w taki sposób, i tak wydatnymi rysami, że kto nie zna dalszej historii, ani chwili wątpić o tem nie może, że w tejto figurze gromadzi się cały interes. Równie prawie ważnym czynnikiem akcji jest Mazepa i w akcie drugim. Zuchwałe spotkanie się jego z młodą żoną Wojewody rankiem w ogrodzie — skarga, z jaką ona właśnie z tego powodu zaraz potem występuje przed

*) W rzeczy samej dawany był we Lwowie w r. 1864 Mazepa po raz pierwszy z wykluczeniem zupełnym całej tej sceny, z niewątpliwą korzyścią dla ogólnego wrażenia. — Żałować należy, że żadną miarą przez wzgląd na związek pozwolić sobie nie można podobnego wyrzucenia lub choćby tylko skrócenia tych scen, gdzie występuje Kasztelanowa.

królem — bezpośrednio teje skargi następstwa — wreszcie zajęcie między Zbigniewem a Mazepą w wyborniej owej scenie, w której z razu obaj walczą ze sobą, a potem się godzą i przyjaźń zawierają: są to właśnie najcelniejsze tego aktu ustępy. Na mocy scen powyższych, widzowie tworzą sobie od razu pewne wyobrażenie o wzajemnym stosunku osób do sztuki wprowadzonych. Rolę Mazepy poczytując za pierwszorzędną, właśnie przeto rozumieją, że schwycili już w ręce tę nitkę Aryadny, która ich będzie wiodła przez wszystkie przeguby dalszej zawikłanej intrygi. Rozpoczyna się akt trzeci. Mazepę zamurują w alkanie Wojewodziniej. Mniemany bohater... ze sceny na długo znika. Pod koniec czwartego aktu zjawia się wprawdzie na nowo. Lecz — tylko już w roli sprawozdawcy i pomocnika w sprawie, która nie z niego idzie, nie jego najglówniej tyczy i nie od niego zależy!.. Natomiast wydostaje się na wierzch, od trzeciego aktu począwszy, inna postać. Postać ta w aktach początkowych zajmuje miejsce poślednie. Rośnie ona i tam już wprawdzie przed oczyma naszymi, lecz tak zwolna, tak gdzieś stojąc na drugim planie obrazu, tak pod osłoną cienia rzuconego przez inne około niej figury, że kiedy wreszcie w owej pełnej dramatycznych efektów scenie, w której przychodzi do zamurowania alkiwy, spotykamy się z Wojewodą oczy w oczy, jako z demonem bezlitości i grozy, który cały ruch akcji porywa w swoje ręce, ażeby tego władztwa nie oddać odtąd już nikomu drugiemu aż do samego końca dramatu: — to doznajemy uczucia jakby... jakiegoś zawodu. Widząc się tu zmuszonymi do powiedzenia sobie, że więc Wojewoda jest tą najdramatyczniejszą ze wszystkich figur, której patos ma stanowić właściwy tragedii przedmiot: doznajemy niemilego uczucia, żeśmy się tego domyślili tak późno i że wrażenia nasze, otrzymane aż dotąd, trzeba że tak powiem przedstawiać na inne miejsce...

Ale co ze wszystkiego najgorsze, to że i ten drugi, ten nowy punkt widzenia nie długo zaspakaja! Przebiegłszy tragedya całą myślący czytelnik żadną miarą zgodzić się na to nie może, żeby wszystkie włókna jej osnowy zbiegać się miały w rękę starego meza Amelii. Są charaktery w tym dramacie, są motywa

w całym jego rozprowadzeniu, w które wniknąć z tego punktu widzenia wcaleby było niepodobieństwem. Zatem nie pozostaje, jak chyba powiedzieć sobie, że jedno z dwojga: albo dramat ten zupełnie się autorowi nie udał, albo ktoś inny chyba musi być w nim charakterem centralnym... Jeśliby o to tylko chodziło, kto w Mazepie ma najczynniejszą rolę, kto najjaśniej wybucha namiętnościami, kto najwięcej ze wszystkich huczy i drugich tyranizuje, wreszcie czyja rola dla aktora jest najwdzięczniejszą do odegrania itp. to nie przeczę, że na te wszystkie zapytania odpowiedziećby tylko można wyrazem: Wojewoda! Pokazuje się wszelako właśnie z obecnej sztuki, że na definicyą tego, co to jest być bohaterem utworu scenicznego, nie wystarczają te zewnętrzne kryteria. Najczęściej one wprawdzie spotykają się z przyjętą rzeczą tej definicyą; prawdziwa wszelako istota takowej na czém innym polega. Bohaterem dramatu jest ta jedynie figura, która idealnie zajmuje sam jego środek: tak iż wszystko, co tylko do treści dzieła należy, okazuje się być promieniem wynikającym z téjto roli centralnej. Rola Wojewody żadną miarą nie ma tego stosunku ani do innych figur, ani do całości sztuki. Ze stanowiska wytkniętego przypuszczeniem, jakoby Wojewody namiętność była tu głównym tematem, na podobieństwo szekspirowego Otella, tylko z tą od niego różnicą, iż tu ta monstrualna zazdrość rozwija się na tle dawnego obyczaju polskiego — z tego mówię stanowiska niepodobną jest rzeczą wcale rozbierać Słowackiego Mazepę.

W Szekspira sztuce wszystko się na to składa, ażeby Otella krok za krokiem wprowadzić w ten szal tragiczny, który całe szczęście jego niweczy i przywodzi go do tego, że żonę niewinną i którą tak serdecznie kocha, morduje. Okoliczności nadzwyczajne, mające miejsce przy zaślubieniu Desdemony — przekleństwo ze strony jej ojca — niemniej rodowe, a raczej rasowe pochodzenie Otella — jego osobista przeszłość, szpetność jego powierzchowności — nareszcie przewrotna niegodziwość Jaga, który się wziął na to, żeby małżonków powaśnić: — wszystko to zbiega się w tym jednym punkcie, żeby wzbudzić w Otellu tę kolosalną namiętność, pod której władzą go oglądamy w drugiej połowie

utworu. W dziele Słowackiego nie się zgola na to nie składa, żeby obudzić w głowie Wojewody podejrzenia i nienawiść przeciw Amelii. Ani jej przeszłość, ani teraźniejsze jej zachowanie, ani nawet skryte skłonności nie dają do tego wcale powodu. Nie ma podżegacza, któryby sztucznie obudzał podejrzliwość w jej mężu. Całym źródłem zazdrości w Wojewodzie jest jego własna zapalczywość, jego zaślepienie, upor, duma — i trochę fatalizmu w zbiegu samych przypadkowych okoliczności. Te momenta żadną miarą nie wystarczają na to, żeby z tego charakteru utworzyć figurę, którejby cierpienia i postęпки były dostatecznym materiałem do stworzenia tragedyi...

Okazuje się tedy, że można przeczytać z natężoną uwagą całą tę sztukę Słowackiego, można ją widzieć kilka razy odegraną na scenie — i być w prawdziwym kłopotcie, co odpowiedzieć na to, jeżeliby kto zapytał: o czyję namiętność w niej głównie chodzi i kto w niej jest pryncypalną postacią? Był oczywiście już nawet spór o to w lwowskich pismach czasowych, po odegraniu tam po raz pierwszy Mazepy. W jednym dzienniku dano wzmiankę o tej reprezentacyi, rozwiniętą z założenia, że główną rzeczą jest w tym dramacie rola Amelii. Drugi dziennik wystąpił przeciwko temu twierdzeniu, dowodząc, że nie Amelia, lecz Wojewoda ma w Mazepie pierwszorzędne znaczenie. Nie byłoby dziwu, gdyby się był odezwał jaki głos trzeci, forytujący znowu na protagonistę tej sztuki szlachetnego, pełnego najwznioślejszych instynktów, a tak nieszczęśliwie kończącego w niej swój zawód Zbigniewa... Sam ten fakt, że mógł być spór taki względem tego pytania, upoważnia do wniosku, że założenie autora w Mazepie przeprowadzone być musi w sposób jakiś nieodpowiedni celowi. Nieodpowiedniość ta, o ile się nazwać daje chwiejnością jakąś w prowadzeniu wątku dramatycznego, mogła być tedy, jak się to już rzekło powyżej, skutkiem samego sposobu pracy autora nad tym utworem.

Jest jednak i druga jeszcze przyczyna, dla której Mazepa pod wskazanym wyżej względem nie czyni zadość koniecznym wymaganiom krytyki. Za przyczynę tę poczytuję brak znamion

rzeczywiście tragicznych w roli, która w tragedii naszej stanowić miała właśnie sam środek jeśli nie działania, to przynajmniej cierpienia tragicznego. Taką jest rola Amelii. O czym ażeby się przekonać, chcemy choć jednym rzutem oka spojrzeć na całą rzecz sztuki naszej z punktu widzenia poety i w jego duchu.

Słowacki miał wprawdzie całe współczucie dla cierpień, dla boleści, dla łez, dla pragnień serca ludzkiego. Kochał istotę człowieczeństwa, ale... kochał ją i pojmował tylko w szczególnych, w upatrzonych i wyidealizowanych jednostkach. Dla ogółu, dla „tłumu“ — poeta nasz nie miał serca. Wielką liczbę odsuwał od siebie z wzgardą. Połowa jego poezji — jestto nieustanna walka z człowiekiem, jakim tenże jest w massie, w rzeczywistości, w obowiązujących społecznych formach, słowem w tej rzeszy tysięcy, która najszlachetniejsze indywidua pochłania, zamieniając im życie na jeden szereg nieprzerwanych goryczy, przykrości, rozczarowań, a w danym razie i udręczeń.

Zamierzył sobie i w obecnej sztuce wystawić dolę ziemską biednej takiej jednostki, osobistymi przymiotami upoważnionej do lepszego losu, niż jaki ją spotyka w jej otoczeniu. Tą jednostką, tą jedyną postacią w całym dramacie, z którą autor bezwarunkowo sympatyzuje, jest Amelia.

Przypadkową i obojętną zupełnie to jest rzeczą, że ją umieścił na tle stosunków naszych XVII stulecia, za panowania Jana Kazimierza. Cały akt pierwszy Mazepy w wielu względach przeznaczonym wprawdzie zdaje się na to, żeby nam przewrotność wiekowi temu właściwą w różnych napomknieniach naznaczyć. O wiek siedemnasty jednakże i o jego w narodzie naszym zdrożności bynajmniej tu nie chodziło. Jakiegokolwiek czasy byłby autor rzucił za tło utworowi swojemu, w każdym razie byłby on w nich ze stanowiska swego odsłonił złe przemagające nad dobrem. Pessimistą był nasz poeta. Że tu z przypadkowych przyczyn miał należeć do działających osób Mazepa, którego przygody w pierwszej redakcji sztuki zapewne traktowane były dosadniej: — stało się mimowolnie, że owa właśnie epoka posłużyła obrazowi za ramy, przez co ten obraz otrzymał pozory historycznej tragedii.

Rzeczywiście nie ma tu zgola historycznych żywiołów i z tego punktu nie można autorowi czynić żadnych zarzutów.

Biorąc rzecz w tym duchu, jak jest dana, przypatrzmy się z bliska bohaterce dramatu. Widzimy ją od pierwszej chwili postawioną w położeniu nader trudnym. Jest żoną człowieka, do którego nie zbliża jej ani wiek ani serce. Całe usposobienie Amelii, tkliwe i potulne, a ile wnosić, nawet i stosunki towarzyskie dawniejsze, nie rymują z jej położeniem w tym domu. Wojewoda — to magnat, starzec, człowiek popędów impetycznych i samowładnych, dumy twardej i samolubnej. Popędliwość jego zdolna jest wystawić na szwank życie nawet najdroższych osób.*) Zślepienie jego nie zna granic, jeżeli raz weźmie zapęd w pewnym kierunku. Nie jest on wprawdzie wyzuty z uczuć ludzkich, które na spodzie serca ukryte, lepsze są niżeli jego postępowanie; ale się wstydzi okazać, że je ma!

„Ba! pańskiemu czolu

Coś cięży, coś dolega — wstyd samego siebie.

Ja go znam. On się przedź pod zamkiem zagrziebie,

Niż przyzna się do żalu (*tego co uczynił*).

To panisko dumne!

Ja go znam: taki dzieckiem był i pójdzie w trumnę.

Ja go znam — to dotkliwy jest pan na honorze.“ —

Tak go opisuje stary sługa, który nie na to te słowa mówi, żeby Wojewodę oskarżać, ale raczej żeby go uniewinnić; dobiera więc słów ile możliwości eufemistycznych na określenie tej szorstkiej i samolubnej natury.

A Amelia? — Posłuchajmy co o niej trzepie stara Kasztelanowa, kiedy ją widzi raz pierwszy:

„Cóż to jest za dziewczeczka? Ze skrzydeł motyla

Trzewiczki ma — na głowie bez żadnego fiocha — —

*) Powiada mu Zbigniew w akcie III: — „Ojcze, o! będzie ze mną tak jak z moim bratem, Którego ty zabiłeś przed laty niechający“

ZBIGNIEW.

To Mościa Dobrodziejko, jest moja macocha.

KASZTELANOWA.

Ta młodziutka? To jeszcze dziecko! — A proszę cię

Bądźże mi przyjaciółką, moje piękne dziecko!

Uważaj mię jak swoje. — Cóż? jaka ty ładna!

A to panie Zbigniewie cud! Z sąsiadek żadna

Nie wyrówna. — Nie płoń się, starój wolno mówić“...

Takto więc dobrane jest ono stadło. Kto je złączył? — Bogu wiadomo. Poeta o tém nie mówi. Łatwo odgadnąć, że wzajemna skłonność nie była tu dziewczęstwem. Groźny rozkaz rodziców, albo krewnych lub opiekuna — to była niezawodnie cała przyczyna, dla której znalazła się biedna sierota w objęciach możnego pana. Po takim ślubie, jakie być może pożycie? Amelia wprawdzie ani słowem nie skarży się na swą dolę, gdyż ją pocziwie, ulegle, cierpliwie znosi. Ale podobno bynajmniej nie rozmija się stara Robroncka z istotną prawdą, kiedy powiada już w chwili pierwszego poznajomienia się z młodą Wojewodziną:

„Tobie tu jak białemu gołębiowi w klatce,

Ten zamek bardzo smutny, tobie trzeba słońca.“

Owoż w takichto stósunkach postawioną kobietę wprowadza Słowacki w zawikłania, które jako wyjątkowe, nieprzewidziane i nie od jej woli zawisłe, trudność jej położenia przemieniają w zawód pełen okropności i męki. Widzimy w Amelii przedmiot pokuszeń i ubliżeń, posądzeń i oskarżeń, nakoniec ofiarę brutalnej bezlitości — i to ze strony osób, których rzeczą właśnie było bronić czci i pokoju takiej istoty — jeżeli już nie na mocy praw i wynikających z nich obowiązków w sferze rodziny, to z mocy najwyższej politycznej władzy nad społeczeństwem. Król, wystawiony tu w całej szkaradzie cynizmu — dworzanin jego, lekkomyślny, niesumienny, zepsuty światem, choć nie bez szlachetnych usposobień, które niekiedy dają się z ust jego słyszeć — pasierb, rozmiłowany i niby idealny, gotów życie dla Amelii poświęcić i nawet poświęcający je w końcu, ale bez

najmniejszego pożytku, gdyż miłość jego jest występna, a z takich źródeł wynikają same tylko zgubne następstwa, choćby były zamierzane w najlepszej myśli... nareszcie sam Wojewoda, w zaślepieniu dochodzący zadanego sobie obrazu — nie tam, skąd ta obraza wyszła, ale na osobie najboleśniej właśnie oną obraza dotkniętą: — oto najgłówniejsze typy w dramacie, których działanie samowiednie i bezwiednie składa się na to, żeby intrygę rozpoczętą tak zgmatwać, tak spletać, tak zwickać w jeden labirynt nierozdzierznionych nieporozumień, iż życie na takim świecie staje się dla tej bezbronnej, niewinnie potępionej kobiety niepodobieństwem i zmusza ją do przecięcia tego pasma zawikłań — samobójstwem.

Otóż nastrocza się pytanie, czy natura z takich stworzona żywiołów, czy rola w taki przeprowadzona sposób, nadawała się na charakter, zajmujący to główne miejsce w dramacie, jakie zapelnia nasza heroina w Mazepie?

Nie tylebym tu jeszcze był skłonny kłaść przycisk na tém, że rola Amelii, jako przeważnie bierna, nie zdaje się być w należytych stopniu dramatyczną w ogóle. Przyznaję wprawdzie, że utarte nasze o poezyi pojęcia, czy takowe są wysnute z teorii sztuki, czy w praktyczny pozyskane sposób z rozpatrywań najcelniejszych arcydzieł, żądają tego koniecznie, ażeby z rąk bohatera dramatu wychodziła rzeczywista inicjatywa całego przebiegu sprawy, która się toczy. Pierwszorzędne role bywają i powinny być nie tylko najsympatyczniejsze dla widzów, ale i najwięcej czynne. Na tém polega głównie cała ich waga jako dramatycznych czynników. Od tej reguły jednakże w sferze poetyckiej praktyki zdarzają się przeciw czasom wyjątki. Król Lir Szekspira na przykład przeprowadzony jest przez całą sztukę jako zupełnie biernie tylko zachowująca się osobistość. Z wyjątkiem pierwszej sceny, gdzie Lir dzieli królestwo swoje między dwie córki najstarsze, a trzecią niesprawiedliwie wydziedzicza i od serca swego odtrąca, cały dalszy przebieg tragedii jestto już ciąg nieprzerwany samych ciosów niewdzięczności i prześladowań, które na starca tego spadają. Mimo tak przeważnej bierności bohatera tragedii, zaliczają przeciw wszyscy rzeczony utwor

największego z dramatycznych wieszczów europejskich do jego najgenialniejszych robót...

Na mocy tak wymownego przykładu ze strony dawniejszej dramaturgii, byłoby tedy to uszło i naszemu poecie, że stworzył heroinę w tej sztuce w sposób, jak ją widzimy przeprowadzoną. Jego Amelia choć nierównie więcej znosi, aniżeli czyni, zajmuje przecież już przez to sam środek w rozbiegu akcji, że działanie innych osób bez wyjątku do niej i tylko do niej się ściąga. W jej roli tedy mamy węzeł, łączący w jedno wszystkie szczegóły. A brak dramatycznej czynności może tu być tłómaczony uwagą, że przecież to postać niewieścia...

Natomiast upatruje stanowcze uchybienie poety co do charakteru Amelii w innej okoliczności. Bohaterka Słowackiego niczem się sama nie przyczynia do tego, że z jednej strony przewrotność i namiętności otaczających ją osób, z drugiej sam nawet zbiég przypadkowych okoliczności przeciwko niej się obraca. Amelia nie wyzwała rzeczywistości do walki; nie zaczęła jej wcale! — Bez zaciągnięcia samochcąc winy, żadna rola nie sprawia prawdziwie tragicznego wrażenia. Kara i cierpienia mogą być nierównie sroższe niż przewinienie: owszem, im nierówniejszy jest ten stosunek, tém więcej na tém zyskuje dotycząca osobistość tragiczna. Ale jakiś powód do tego wszystkiego, co jej znosić przychodzi, koniecznie musi być przez nią dany. Cierpienia i gorzkie rozczarowania Lira nie byłyby miały miejsca, gdyby nie własna jego wola, z niesprawiedliwością i ślepotą i uporem wyzywającym w czyn zamieniona na samym wstępie tragedii. Wszystko, czego tenże potem od dzieci swoich doznaje, są to tylko następstwa jego własnego czynu. Dał do nich powód, wywołał je: chociaż dopiero nieprawość drugich jest źródłem, z którego wszystko z jaskrawością wynika...

Podobnego przyczynienia się do cierpień, jakie w naszym dramacie znosić przychodzi Amelii, żadną miarą dopatrzeć się nie można w całym jej postępowaniu. Rola jej tak jest przeprowadzona, że jej nigdzie nie zarzucić nie można. Są wprawdzie w pierwszych scenach aktu Igo, są i w dalszym toku sztuki takie miejsca, które — jeżeli się po raz pierwszy dramat ten czy-

ta — zdają się na razie być zdolnemi wykładu, źle uprzedzającego o tej osobie.*) Wykład takowy prostuje się jednakże na jej stanowczą korzyść, w dalszym toku działania. — Nawet w stosunku Amelii do Zbigniewa, nie można nic takiego upatrzeć, coby ją potępiało. On nią zajęty od pierwszej chwili, to prawda. Ona jednakże ani nie podziela tych uczuć, ani się nawet nie domyśla, że jest kochaną. Stąd też ta naiwna swoboda, z jaką się z pasierbem swoim obchodzi (np. na końcu aktu II, w owej scenie z lilią). Dopiero w akcie trzecim, kiedy słyszy od Zbigniewa, że odjeżdża i to na zawsze — kiedy go widzi przed sobą walącego się bezwładnie na kolana i na pożegnanie żądającego błogosławieństwa — na całą wieczność: — wtedy dopiero otwierają się przed oczyma Amelii widoki, równie jej dotąd nieznanne, jak uczucia, które i w niej samą teraz dopiero się rodzą. Po mistrzowsku przeprowadził Słowacki tę skalę psychicznych odkryć, tę rosnącą stopniowość usposobień, słowem tę genezę miłości zapalającej się w wolnym aż dotąd sercu jak prochy iskrą dotknięte — niby z nienacka, raptownie, nagle, doraźnie, a jednak nie bez tych przejść pośrednich, niewidomych zwyklemu oku, bez których nie ma potężnych wzruszeń w naturze ludzkiej. Przychodzi więc w taki sposób jakoby do wyznania miłości.

W tej scenie jest perypetya roli Amelii, a razem z nią byłby tedy i pozór winy, którą niby popełnia i za którą pokutuje następnie.

Pozór rzeczony atoli złudnym się okazuje natychmiast. Bezpośrednio po wyrzeczeniu mimowolnym pierwszych słów zdradzających jej stan wewnętrzny, odzyskuje matka Zbigniewa świadomość

*) Mam tu na myśli np. owe słowa: „O Boże, król!“ które wymawia Amelia, słysząc wystrzał armatni zwiastujący przybycie Jana Kazimierza. Podobnie wątpliwymi zdawać się mogą i wyrazy „O Boże!“... „Tak mi coś na sercu smutno!“ z którymi się odzywa, kiedy Mazepa z natręctwem jej się narzuca. Nie są to jednak objawy niepewności siebie samą w obec tych ponętnych ułud i stąd trwogi o przyszłość, ale przeczucia możliwych nieprzyjemności, uzasadnione świadomością okoliczności.

obowiązku swojego i silną wolą nie tylko broni się przeciwko uczuciu, które ją z nienacka już owładnąć poczęło, ale je nawet i zstrząsa z siebie.

...„Jaka plama

Dla mojej czystej duszy tak z Waćpanem gadać!

Jak gdybym rozumiała! — Nie chcę o nic badać —

Ja będę wiecznie Boga za ciebie prosiła. —

Nie bój się: my niewinni! Bóg cierpienia zsyla,

Ale można spokojność wyprosić u Boga.

Ja Pana żegnam wiecznie“... itd. itd.

Gdyby Amelia odkrytą miłość pasierba od razu tym to-nem była odsunęła od siebie, byłoby to wprawdzie może jeszcze chwalebniej, niż jak się stało. Czyby to jednak było z jej stanowiska takim aktem heroizmu, jak się to komu może wydaje? — to mi się widzi inne pytanie. Stoicyzm taki tegoby tylko dowodził, że Amelia nic nie czuła dla Zbigniewa; że go odprawiła... bo ją to nic nie kosztowało. Nie ma w tém wielkiego tryumfu, być tam zwyciężcą samego siebie, gdzie nie ma żadnej walki, gdzie nawet pokuszenia nie było. Doznać całej potęgi uludnego na bezdroża pociągu, a jednak ten pociąg stłumić szlachetnie i na razie: to dopiero i chwała i zasługa prawdziwa.

Okazuje się zatem, że nawet w tych zawikłaniach z pasierbem nie podlega postępowanie Amelii żadnym zarzutom, z zwyczajnego moralnego stanowiska ją sądząc. Lecz właśnie ta jej wyższość nad wszelkie z tego względu zarzuty nie odpowiada koniecznym żądaniom sztuki. Warunki tragiczności wymagały czego innego. Im doskonalszą w ogólności jest Amelia kobietą, tém jest słabszą heroiną dramatu. Bo wśród wszystkich tych cierpień, które jej przychodzi znosić w dalszej osnowie tragedii aż do ostatniej sceny, widzimy w niej tylko nie winną ofiarę, pokutującą za zdrożności, których nie było. A tragedii celem nie jest bynajmniej wystawiać ofiary i męczenniki, lecz namiętności ludzkie, na tle których nawet wiekuiste ideje przybierają kierunek doczesny i ku ziemi ciężący...

Nie tylko ze strony wymagań sztuki, ale i z etycznego punktu widzenia rzecz ta nie może być nazwaną inaczej, jak

złudzeniem poety. Cierpienia ani nie zasłużone, ani nie wynagrodzone — to najwyższy fałsz w świecie ducha! W doczesnej rzeczywistości wypadków takich wprawdzie niestety aż nadto. Ale doczesna rzeczywistość — to ustęp całości, której tak początek jak koniec idzie po za granicę widnokregu śmiertelnych. Nie dziw tedy, że jej nie rozumiemy. Poezya jest odbiciem nieskończoności. Poezya nie jest na to, żeby powtarzała ułomności nędznej naszej egzystencji na ziemi.

Desdemona w sztuce Szekspira, w której także zazdrość męża stanowi główną sprężynę akcji, ma na pozór wiele podobieństwa do naszej bohaterki. I ona kończy smutnie, a zupełnie niewinnie. Ale z jakąż to starannością baczny był na to ten niezrównany mistrz w swojej sztuce, ażeby usunąć od nieszczęśliwej żony Otella tę woń i aureolę idealnej doskonałości, która w dramacie równie jest nie na miejscu, jak skończone i bezwarunkowe zbrodniarstwo. Cały akt pierwszy Otella temu jest poświęcony, ażeby przeprowadzić przed oczyma widzów w roli Desdemony antecedenecy, w obec których dalsza jej dola jest tylko logiczną wynikłością własnych jej... jeśli nie lekkomyślnych, to zawsze nierozumnych, jeśli nie płochych, to w każdym razie excentrycznych i na oślep popełnionych postępów. Mianowicie oddanie ręki takiemu człowiekowi — jest tam nie tylko aktem jej własnej woli, ale mu towarzyszy jeszcze jaskrawe nieposłuszeństwo przeciwko ojcu, z którego domu podstępnie i obłudnie ucieka. Rzuca się tedy na to burzliwe morze, które ją ma pochłonać, samowolnie i przy niebłogosławieństwie rodzicielskiem. A Amelia w Słowackiego Mazepie i z tej strony jest bez zarzutu.

— Ujmując pod jeden widok wszystko, com w powyższém o obecnej sztuce powiedzieć za potrzebne uważał, przyznaję jej więc z jednej strony niepospolite zalety sceniczności, dla których też dramat ten na zawsze pozostanie równie dla widzów jak dla utalentowanych aktorów pożądaną pozycją w repertoryach; obok tego jednak zarzucam jej rażącą niejasność co do zamiaru, dla którego była pisana. Wydobywszy zaś z pomiędzy różnych możliwych założeń, jakie się nastrecają, to jedno, w którym się

ostatecznie mieścić zdaje rzeczywista myśl autora, przychodzimy do uznania, że przeciwnie jednemu w tej dążności protestować konieczne trzeba. —

Rozmiar dzieła tego nie pozwala zastanawiać się nad pojedynczymi ustępami Mazepy, o których byłoby wiele do powiedzenia. Są w tej sztuce wielkie piękności, na które wartoby było zwrócić uwagę. Są też i mniej szczęśliwe już to wiązania scen między sobą, już rzuty charakterów (np. Jana Kaźmierza), któreby konieczne wytknięte być powinny. Lecz zbyt duża rozwlekłość nie byłaby tu na miejscu; poprzestaję zatem na rozpatrzeniu powyższem samych tylko ogólnych względów.

Rozbior Balladyny i Lilli odkładam do osobnego rozdziału. Dla urozmaicenia rzeczy rozdział ten nastąpi na dalszych dopiero kartach. Teraz zaś przeprowadzam czytelnika znowu do ustępu z biografii poety.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Rok 1841 i pierwsza połowa 1842go. — Stósunek między Słowackim a Mickiewiczem Słowackie zdanie o Panu Tadeuszu. — Mickiewicz profesorem w Lozannie. W r 1840 otrzymuje katedrę w Collège de France w Paryżu. Wieczór artystów i poetów — improwizacye — wymówki. Nowa niechęć z okazji ofiarowanego Mickiewiczowi puharu — bezimienny artykuł w Tygodniku Poznańskim — odpowiedź w Trzecim Maju — Beniowski. Wrażenie tej publikacyi — dalsze takowej następstwa — pojedynek. Artykuł Krasińskiego w Tygodniku Poznańskim burzę poniekąd ucisza. — Wracają spokojniejsze stósunki — otucha i rezygnacya — czynność autorska wzrasta. Dalszy ciąg Beniowskiego — Niepoprawni — Złota Czaszka — Książę Niezłomny.

Na samym schyłku roku jeszcze 1840 zaszło zdarzenie, które przeważnie wpłynęło na rodzaj i na dążność niektórych robót Słowackiego w roku następnym. Mówię o zajściu pomiędzy nim a Mickiewiczem na owej uczcie na cześć Adama wyprawionej w Paryżu po pierwszej tegoż prelekcyi. Okoliczność ta — znana każdemu, kto tylko czytał Beniowskiego, lecz tylko w najogólniejszych zarysach — zasługuje, ażeby ją tu podjąć szczegółowo i opisać w duchu rzetelnej prawdy. Były wprowadzić czasu swego artykuły o tém w pismach czasowych. Zdarza się też niekiedy słyszeć i dzisiaj jeszcze ustne opowiadania o owym pamiętnym wieczorze, i to od osób, które utrzymują, że były na nim obecne. Ponieważ atoli w pierwszych więcej przebiega stronnicości jak dobrzej wiary, a w drugich, to jest w ustnych opowiadaniach, daleko więcej bywa znowu bujnej fantazyi, aniżeli wierniej pamięci: — nie dziw zatem, że to tak niedawne zdarzenie zasunęło się już prawie w krainę mytu. Do istotnych faktów przymieszało się wiele zmyśleń i niepotrzebnych ubarwień. Obaczmyż tedy, ile

w tém wszystkiém, co sobie dzisiaj o tém rozpowiadają, mieści się wątku rzeczywistego.

Znane już nam są dokładnie nieporozumienia pomiędzy dwoma tymi poetami naszymi, o ile takowe odnoszą się do czasów dawniejszych, kiedy to jeszcze Słowacki mieszkał w Paryżu w pierwszych latach po rewolucyi. Przypominamy sobie, że pochodziły one z różnych pobudek. Wrodzona drażliwość, będąca zawsze słabą stroną Juliusza — współzawodnictwo — różność kierunków — zausznictwo nierozsądnych przyjaciół — nakoniec rzeczy niektóre w Dziadach: oto okoliczności, które wtedy napępiały serce młodszego wieszczu coraz większą przeciwko Adamowi goryczą, aż go wreszcie taką ku niemu nienawiścią uniosły, że obrzydziwszy sobie całe otoczenie swego antagonisty i nie mogąc już wysiedzieć na miejscu, ujechał z Francyi nad jezioro genewskie. Od tego czasu stósunków pomiędzy Juliuszem a Adamem nie było właściwie żadnych. Co sobie o tém wszystkiém myślał wtedy Mickiewicz, nie wiem. Sądę, że siedząc dumnie na swoim tronie jako pierwszy narodowy poeta — ignorował co zaszło i uważał to wszystko za dziecinstwo. Juliusz — ile namiętniejszy i młodszy, a do tego w jednym punkcie skrzywdzony w samej istocie, zatrzymał niechęć przeciwko niemu i nadal. Przedmową do *Lambra*, *Kordyanem* — rzucał to wręcz, to ubocznie rękawicę Mickiewiczowi do boju: Mickiewicz nie widział żadnej potrzeby, ażeby ją podnosić. Potém między nimi ucichło wszystko. W dziełach drukowanych Słowackiego nie ma już ani śladu tego co wrzało u niego w sercu. Ale odzywały się za to od czasu do czasu w listach jego wybuchy żywionej nienawiści przeciwko autorowi *Dziadów*. W r. 1834 pojawił się nowy Adama poemat — *Pan Tadeusz*. Słowacki mieszkający wtedy jeszcze w Genewie, nie otrzymawszy go jeszcze do rąk i tylko z samej wieści wiedząc o jego wyjściu, donosił matce (d. 13 lipca 1834) w tych słowach o tém:

„Adam wydał poema nowe pod tytułem *Pan Tadeusz*. Nie znam jeszcze tego dzieła, bo w kurs nie puszczono. Wiem tylko, że *Pan Tadeusz* jestto szlachcic na Litwie, który się awanturuje między 1811 a 1812 rokiem“...

W daleko jeszcze uszczypliwszych wyrazach udzielał później wiadomości o Mickiewiczu, że się ożenił (w liście z d. 7 listopada 1834). Dopiero w końcu tegoż roku złamało się wreszcie ostrze tego gniewu i uprzedzenia. Był już wtedy w stanie pisać o nim Słowacki nie tylko nienamiętnie, ale nawet z uwielbieniem. Tego cudu dokazały... czary prawdziwej poezyi! Dokazało go mistrzowskie, pogodnym i miłościwym duchem owiane dzieło Adama — właśnie ów *Pan Tadeusz*, który jeszcze w lipcu „awanturował się“ tylko! Przeczytał go autor *Kordyana*, wszedł w siebie, schylił czoła przed geniuszem: i zapomniawszy wszelkich uprzedzeń, w duchu i sercu — myślą — podał rękę ze łą w oku wieszczowi, który mu dawniej tyle dokuczył... Było tryumf dla tego poematu — największy może tryumf ze wszystkich, jakie mu się kiedykolwiek odnieść zdarzyło. Było to zarazem nie mniej chlubne świadectwo i o szlachetnych, wyższych instynktach natury Słowackiego...

„Wszystko, co zniknęło w przeszłości — pisał d. 18 grudnia 1834 — ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos. Adama nowy poemat obudził także we mnie wiele dźwięków przeszłości. Bardzo piękny poemat! podobny do romansu *Walterscota*, wierszem napisanego. Dom szlachcica maluje się wybornie — heroina poematu choć gęsi pasie, ma jakąś w sobie świeżość dawnych opisów — coś dziwnie zachwycającego prostotą! Wiele opisów miejsc, nieba, stawów, lasów jest mistrzowską ręką skreślonych — natura cała żyje i czuje. Poemat raczej żartobliwy niż smutny; a jednak często z najweselszych na pozór miejsc smutek ujmuje człowieka. Jestto poema zupełnie innego rodzaju, niż wszystkie dotąd Adama utwory. Nadewszystko jest w tym poemacie opis łowcy dmącego w róg myśliwski — cudowny opis! Trochę mi przypomniał pana *Jakóba* trąbiącego w lesie. I drugi opis żyda grającego na cymbałach, także prześliczny. Chciałbym, abyście ten poemat prędko czytać mogli. — Co do samego autora, piszą mi z Paryża, że żyje dobrze z młodą żoną, a żona ta ma być piękna i ładnie gra na fortepianie. Nie dziw, bo córka *Szymanowskiej*. Co wieczora mnóstwo naszych ziomków schodzi się do mieszkania poety i bawia go; a on ciągnąc dym z cybucha — słucha i uśmiecha się. — Co za sprzeczność z moimi samotnymi wieczorami! Niech będzie ze mną, jak Bóg chce, w tej samotnej wędrówce życia!“...

Od tej pory w korespondencji naszej nie znaleźć już ani cienia uprzedzeń przeciwko Mickiewiczowi. Przeciwnie, wspominał zawsze o nim Słowacki z wyraźną życzliwością; i jeżeli mu wypadło donosić o nienajpomyślniejszym jego powodzeniu (a do takich doniesień na nieszczęście najczęściej zdarzała się sposobność): mówił o tym zawsze ze współczuciem i żalem. Z oburzeniem udzielał np. w maju 1835 wiadomości, że pierwszy poeta polski, mimo dwóch co rok dzieł wydawanych, do tego stopnia niedostatek cierpi w Paryżu, iż nawet służbę odprowadzić musiał... „Czy tam u was (zapytywał) miejsce na policach bibliotek kalendarze zajmują?“ — Z równym ubolewaniem w trzy lata później (w r. 1838 w Florencji) wspominał o „rzemieślniczéj“ i upadłej też próbie Mickiewicza, napisania dramatu francuskiego dla której ze scen paryskich, do czego tenże był zniewolony jedynie brakiem środków niezbędnych na wyżywienie rodziny.

Za przybyciem swoim powtórnym do Francji (w samym końcu r. 1838), poeta nasz nie zastał Mickiewicza w Paryżu. Mało co przedtem tenże przeniósł się był do Szwajcaryi. Objął tam w akademii lozańskie katedrę literatury łacińskiej, powierzoną sobie właśnie z końcem tegoto roku.*) Nie można tedy owych skarg Słowackiego na małość, na zawiść, na sekiarstwo polityczne i oswiałość Emigracji, które w małej tylko części przytoczyłem w poprzedzających rozdziałach, żadną miarą tak tłumaczyć, jakoby się cobydz z tego wszystkiego stosować znowu miało do osoby Adama. Do innych zgół ludzi to odnosić należy.

Dopiero w r. 1840 w miesiącach jesiennych nastąpił przyjazd Mickiewicza do stolicy Francji celem objęcia co tylko utworzonej katedry historii literatur słowiańskich w Collège de France. Była to jedna z najświetniejszych chwil w jego życiu. Miał zająć stanowisko, do którego w pierwszych czasach przywiązywano wa-

*) Z této przyczyny więc owo o Mickiewiczu wyrażenie w przytoczonym powyżej liście Krasińskiego, że „uczy Szwajcarów, jak nie mają nigdy umieć po łacinie“. Ale dla czego to „nigdy nie mają“? tego sobie w ustach Krasińskiego wcale wytłómaczyć nie umiem.

żność ogromną, ważność daleko sięgającą po za zakres szkoły, nauki i tylko literackich zagadnień.

Była to pierwsza sposobność dla Francuzów, a przez nich i dla całego zachodu, zajrzeć w samo wnętrze tego olbrzymiego plemienia, którego przeszłość i położenie obecne, stosunki wzajemne i dążność, słowem cała tak fizyczna jak duchowa natura była dla reszty Europy aż do tej chwili prawdziwie „kraią nieodkrytą“. Zdawało się to być rzeczą nieobliczonej wagi, który z członków tej wielkiej rodziny ludów powołany zostanie na tłumacza tych wszystkich światodziejowych zagadnień, jakie się wiążą z kwestyą słowiańską. Przez czas pewien, czas krótki wprowadzić, ale dostatecznej długości, aby interesowanych do żywego zaniepokoić, ważyło się w gabinecie francuskim, komu by tę katedrę powierzyć. Czy miałby być powołany na to stanowisko który z uczonych czeskich, czy Rosyanin jaki, czy Polak? Polska a Rosya — to dwa przeciwne sobie bieguny, czy spojrzym na przeszłość odwieczną obojga tych narodów, czy też na ducha, co je obecnie ożywia i dalszą im przyszłość wytyka. Od tego, w jakim duchu i z jakiego punktu widzenia będzie wyrzeczone pierwsze słowo tej polityczno-naukowej analizy Słowianstwa: od tego zależeć miała cała przyszłość i polityki rządu i opinii narodu francuskiego w stosunku do wschodu Europy. Z natężoną tedy uwagą patrzyła Emigracya polska na te szale chylące się przez czas jakiś w niepewności pomiędzy względami już to na narodowość, już też i na osobistość przyszłego profesora. Wreszcie namysły ministryalne co do tego wyboru zostały rozstrzygnięte. Zostały rozstrzygnięte na korzyść narodu, który w Słowiańszczyźnie najwięcej dotąd położył zasług około cywilizacji. Z otuchą i radością najżywszą doniosły pisma emigracyjne krajowi, że Polak i to mąż tak znanego patryotyzmu, tak wielkiej nauki i natchnienia, ma w stolicy cywilizowanego świata odkrywać, tłumaczyć i nauczać, co to jest Słowiańszczyzna. Wielki wieszcz, mówiono sobie, często jest nie tylko nauczycielem, ale i prorokiem. Może on będzie zachodnim ludom odkrywał nie tylko przeszłe ale i przyszłe skarby tych ludów...

W takich-to więc wyrazach pisały o tém naówczas pisma; tak sobie zadanie téj katedry tłómaczyli wszyscy, którzy pojmo-
wali ważność téj sprawy i znali Mickiewicza.

Nie brakło wprawdzie i na takich w Emigracyi, którzy nie bardzo temu dowierzali, żeby się wielki ten poeta zdołał okazać równie wielkim i w sferze ścisłej nauki, zwłaszcza że prelekcye miały być dawane w języku obcym. Bądź jak bądź — tak ci, co wierzyli w jego uzdolnienie do tego, jako i owi co utyskiwali, że siły swoje przecenił przyjmując taki ciężar na siebie, w tém jednym pomiędzy sobą nie różnili się wcale, że patrzeli na Mickiewicza w dniach owych, jako na człowieka którego słowo może rozstrzygać będzie o kierunkach przyszłości umysłowej w całym świecie słowiańskim. —

Pierwsza prelekcya odbyła się d. 22 grudnia 1840. Druga miała nastąpić — z przyczyny świąt Bożego Narodzenia — w tydzień dopiero potem. W téjto więc chwili, pomiędzy pierwszym wystąpieniem a drugim, z powodu otrzymanej katedry i z okazji urodzin i imienin Adama, przypadających jak wiadomo na dzień 24 grudnia, była wyprawiona owa uczta, o której tu pomówić zamierzaliśmy.

W sam tedy dzień Bożego Narodzenia p. Eustachy Januszkiewicz, ziomek i przyjaciel poety z czasów jeszcze uniwersyteckich, zaprosił na wieczór do siebie solenizanta i oprócz niego około 40 innych osób. Byli to sami prawie rodacy i przyjaciele, wielbiciele, koledzy szkolni albo towarzysze Adama w jakimkolwiek zawodzie sztuki. Oprócz muzyków Chopina, Szczepanowskiego, Fontány i Edmunda Larissa, znaleźli się tam prawie wszyscy znacniejsi pisarze nasi emigracyjni, kilku generałów polskich i wiele innych znakomitości już to stale, już chwilowo w Paryżu wówczas przebywających. Znaczna liczba z pomiędzy osób przytomnych na tém zebraniu nie żyje już dzisiaj, że tu tylko wspomnę Ludwika Platę, Chopina, Izidora Sobańskiego, gen. Michała Mycielskiego itd. Rozmawiano, grano, śpiewano, słowem bawiono się wybornie, wreszcie zasiedli do stołu i napełnili się kielichy...

Niebawem zaczęto wnosić zdrowia — improwizowano.

Pośród różnych improwizacyi, któremi przeplatano biesiadę, zdaje się że najprzód się ze swoją odezwał właśnie Słowacki.*) Głównym celem jego przemówienia było oddanie należnego hołdu pierwszemu z wszystkich wieszczów słowiańskich. Do tego jednakże uznania jego pierwszeństwa przymieszało się mimowolnie i cokolwiek goryczy. Zaczął bowiem Słowacki zwyczajem swoim mówić też nieco i o samym sobie, o swoim pierwszym wystąpieniu i o zimnem przyjęciu, jakiego i wtedy i ciągle jeszcze doznaje. To go rozgrzało, wzburzyło. Jękla struna w jego sercu, w którą uderzyć w pierwszej chwili właściwie nie zamierzał. Z uwielbienia wywiązała się skarga... Nie obeszło się też przy tém i bez przymówki zwróconej wprost do samego Adama, któremu wytykał, że zbyt jest dumny i zanadto zwykł lekceważyć swoich

*) Dlatego używam tu tego zwrotu, nie ręczącego za pewność faktu, ponieważ rzecz to byłaby bardzo ważna, wiedzieć na pewne, kto też pierwszy kogo zaczął, a bałamutne źródła, z których głównie zmuszony jestem czerpać o tém wiadomość, okoliczność tę bardzo sprzecznie ze sobą przedstawiają. Wymieniam tu z źródeł rzeczonych niektóre tylko ważniejsze: Artykuł pod tytułem „Improwizatorowie“ w Tygodniku Literackim poznańskim, rocznik IV, str. 60, pełen najbujniejszej przesady, a jak sądzę, i faktycznych przekręceń. Inny artykuł, zatytułowany „Kraśński o Słowackim“, ogłoszony przez R. Z. w Dodatku Czasu 1859 tom XIII, str. 515, był pisany, jak to widać ze wszystkiego, dopiero w kilkanaście lat później i dlatego też jest pełen mylnych dat co do czasu, a może równie nie ze wszystkiemi pewny i co do reszty osnowy. — Dalej przypominam zakończenie Vtej pieśni Benio-wskiego, jako też Rzecz o Nocy Letniej przez Kraśńskiego, pióra samegoż Słowackiego. (Rzecz o Nocy Letniej jest wcielona do I tomu Pism pośmiertnych; pierwotnie pojawiła się w Trzecim Maju, nr. z d. 29 kwietnia 1841). I te nawet autentyczne wspomnienia nie są pisane w taki sposób, żeby bezpiecznie można było na nich polegać. Nakoniec należą tu listy Juliusza do matki, wprawdzie bardzo ważne i zajmujące co do tego przedmiotu, ale niezupełnie zgodne z tém wszystkiemi, co w pierwszej chwili sam on o tém drukował, a zatem także wymagające wielkiej ostrożności w czerpaniu z nich. Tylko z połączonej porównawczej baczności na te wszystkie świadectwa razem da się wyrozumieć rzetelna prawda, a przynajmniej to co się do niej najwięcej zbliża.

towarzyszów w zawodzie. „Lubo wiersze z ust Słowackiego — mówi jeden z świadków owego zdarzenia — wydobywały się w przerwach, z niejaką trudnością i przyciskiem, wszakże wznośli się do najwyższej poezyi. Były wprost i od razu z duszy jego wylane, wyrzeczone z wielkim zapalem. Że się jednak zbyt wyraźnie w nich przebijała duma i zarozumiałość: wrażenie jakie sprawił w ogóle, nie wypadło na jego korzyść. Nie znalazł wśród obecnych w tej chwili tego uznania, na jakie skądinąd genialny jego talent zasługiwał i któreby niechybnie był pozyskał, gdyby namiętność mniej była jaskrawo odzywała się z jego zresztą mistrzowskiej improwizacyi.“

Ze słów samegoż Słowackiego, wyrzeczonych w Beniońskim, można wyprowadzić wniosek, który potwierdza, że w takimto duchu rzeczywiście wypowiedziana być musiała owa miana natenczas przezeń do Mickiewicza improwizacya.

„Jam ci powiedział, że jak bóg litewski,
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyśka;
A w ręku twém krzyż jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska.
Tak mówiąc — ja syn pieśni, syn królewski,
Padłem“...

W dalszej jednak strofie uderza zaraz w inne tony, w tony twarde i wyzywające. Powiada:

„Jam zwolna serca mego rwał kawały.
Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał,
A wszystkie tak grzmiały jeszcze, jako skały.
Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał
Boga, a teraz kawałki spadały.
Jam zbił — lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?
Za błękitami był bój i zwycięstwo —
Ludzie nie widzą we mnie, tylko męstwo.“

Zaprawdę! Gdybyś mię widział, narodzie,
Jak ja samotny byłem i ponury,
Wiedząc że jeśli mój grom nie przebodzie,
Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury!
Już przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,
Wolałem ręką krzemienieckiej góry,

Ażeby weszła rozpedzić tę ciemną
Zgraję i stanąć za mną — lub podemną.

Bo się kruszyło we mnie serce smętne.
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych
I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —
Ja, co mam także kraj... łak pelen kwiatnych,
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
A która także mię kochać powinna!“

Owoż na takie mniej więcej przemówienie Juliusza powstał z miejsca swego Mickiewicz. „Twarz jego przybrała anielską postać, bo dusza z głębi tajników na wierzch wystąpiła. Zdało się nam — słowa artykułu w Tygodniku poznańskim — iż jakaś dziwna, niepojęta światłość skronie jego otoczyła. Niebawem wychodzi z ust jego potok słów, najpiękniejszych myśli i rymów, z taką siłą, gwałtownością i mocą, jak wody Wisły lub Dunajca, kiedy przerwawszy zapory z przepełnionego wylewają się koryta. Był to pęd niewstrzymany, który nam oddech tamował“...

Improwizacya Adama trwała bez przerwy blisko pół godziny. Z nalany pułarem w ręku, zaczął od podziękowania obecnym za ich życzliwe uczucia. Potem przeszedł do ogólniejszego przedmiotu. Biorąc asumpt ze spełnionego kielicha, jako symbolu ofiary, bez której nie ma ani wiary ani miłości: wskazywał, na czém zawisała siła poezyi, gdzie jej źródło prawdziwe i co powołaniem poety. Wytlómaczył przytomnym, dlaczego to błogosławił mu Bóg w jego zawodzie. Między innemi zapamiętano następujące wiersze, które miał wtedy powiedzieć:

„Ja rymów nie dobieram i wierszy nie składam:
Takem wszystko napisał, jak tu do was gadam.“

„Oto jeszcze niedawno (miał ciągnąć dalej), kiedym się zabierał mówić o literaturze słowiańskiej przed obcymi, żaden nawet z moich przyjaciół w słowa moje nie wierzył. Wszyscy mię odbiegli, odstąpili — rozumiejąc że się porwał na rzecz, której nie podolał. Jednym się zdawało zuchwalstwem gadać w obcym

języku, inni o zbytek miłości własnej mię obwiniali, a nie wiedzieli, że oto tu (pokazując na serce), tu Bóg złożył słowa prawdy, które ja mocen jestem na wszelkie języki tłómaczyć...“

W ciągu téj improwizacyi zwrócił mowę i z osobna do Słowackiego. Wyrzucał mu podobno jego grzechy poetyckie, wskazywał, czego duchowi jego braknie i dlaczego to on doznaje od narodu ciągle tak zimnego przyjęcia. Trzeba — mówił mu — pozbyć się zbytecznej dumy, trzeba koniecznie wzbudzić w sobie miłość i wiarę, te jedyne źródła poezyi, i puścić się oną drogą, która jest naszą...

„Wiedźcie, że dla poety jedna tylko droga:

W sercu szukać natchnienia i dążyć — do Boga!“

Z drugiej jednakże strony przyznał mu także i to, co mu się należało. Nie przepomniął nawet owéj okoliczności, że kiedyś, dawno, dawno, bo w Wilnie jeszcze, kiedy matka Juliusza pokazywała mu pierwsze skromne próby jego poetyckiego talentu, że on (Adam) już jój wtenczas był przepowiedział, że wielka i świetna przyszłość czeka jój syna...

„Tém wziął mię za serce“ — są własne słowa Juliusza w liście jego z d. 10 listopada 1841, pisanym do pani Becu, w ustępie gdzie dotyka szczegółów owego zajścia. „I tego wieczora byliśmy z sobą jako dwaj bracia. Ściskaliśmy się, chodziliśmy opowiadając sobie nasze przeszłe zatargi... Gdyby nie ludzie, którzy to wszystko popsuli, byłoby dotychczas między nami zupełnie dobrze.“ itd.

Na pamiątkę dnia tego i improwizacyi, która wszystkich najżywszém napelniła uwielbieniem dla Mickiewicza, ofiarowano mu w kilka dni potém przepyszny puchar srebrny. Oprócz różnych emblematów, symbolicznie wskazujących na rodzaj zasług położonych przez wielkiego poetę, był na nim napis: „Adamowi na pamiątkę d. 25 grudnia 1840 r.“

Otóż tento puchar srebrny miał stać się znowu powodem, że owa zgoda pomiędzy poetami co tylko zawiązana, rozerwała się wkrótce. Zapaliła się na nowo w Słowackim niechęć najpierw do wszystkich wielbicieli Adama, a pośrednio i do niego samego.

Żądano bowiem od Juliusza, ażeby on właśnie za tę improwizacyą wręczył ów puchar Mickiewiczowi. Słowacki się tém obraził, propozycyą odrzucił. Tłómaczył sobie żądanie w taki sposób, że chodziło — jak się sam w liście wyżej już nadmienionym wyraził — „przyjaciółom jego antagonisty o to, aby go zbić i strącić z pozycyi i ukonstatować owym krokiem uznanie jego wasalstwa.“ Odrzucenie propozycyi — nie bez cierpkich zapewne uwag z jednéj jak i drugiéj strony — powiększyło kwasy między Słowackim a pewną frakcyą Emigracyi. Wielcy ludzie do małych interesów pochwycili rzecz w swoje ręce. Nowiniarze i obnosiciele plotek ujrzeli się na płódném polu działania. Wreszcie ażeby dokuczyć do żywego i bez tego już zbyt drażliwemu poecie, napisał któryś z nich ów artykuł pod napisem „Improwizatorowie“ dla Tygodnika poznańskiego, podpisany literami N. O. (litery jak rozumiem, fałszywe, zwykły manewr ludzi tego rodzaju). W tym artykule wieczór ów wyprawiony przez Januszkiewicza opowiedziany był nie tylko stronniczo, ale i z różnymi przydatkami, opromienić nibyto mającymi poezyi i cudowności urokiem owę północną godzinę. Wiarogodność tych przydatków nie zdaje się być wielką. I wysmiał je też później Słowacki, kiedy w Trzecim Maju parodującym tonem przypominał czytelnikom, co w Tygodniku czytali, „o jednéj sławnej noey zimowéj, o improwizujących dwóch poetach, o łzach słuchaczy, o słabości nerwów i mdleniu krytyków, o uzdrowieniu chorych, i że miała nawet rozlać się w sali woń konwalii i różane światło jutrzeńki...“ Owoż takimto poetycznym niby mytyzmem ubarwiony był ten pana N. O. artykuł w Tygodniku. A wreszcie z zbytecznej poetyczności wkradło się do niego i coś jeszcze, czego nie można inaczej nazwać jak pozytywnym fałszem. Oto miał Adam w swojej improwizacyi oświadczyć wręcz Juliuszowi „że on wcale nie jest poetą.“ Na mocy listu Słowackiego z d. 10 listopada 1841 do matki, w którym on punkt ten „wielkiém kłamstwem“ nazywa, i wobec porównanych z tém różnych innych okoliczności, śmiało twierdzić można, że tego Mickiewicz nie powiedział.

Przed pojawieniem się jeszcze rzeczonego artykułu w Tygodniku poznańskim (znajduje on się tam w N. 8mym z d. 22 lutego 1841 r.), kręcił już Słowacki bicz niemiłosierny na wszystkich, na których miał z jakiegokolwiek powodu anse. Uderzyć na Mickiewicza samego, zdaje się, że nie było bynajmniej pierwotnym jego zamiarem. Ale inni, mniejsi, hulaśliwi, niedorzeczni i śmieszni, i zresztą kto tylko broił, ci mieli wszyscy przy tej zdarzonej sposobności dostać *pro memoria* na długie czasy.

Owa uczta grudniowa, a raczej dalsze takowej następstwa, przypomniały mu słowa, które do niego był rokiem pierwój pisał oddalony jego przyjaciel. Odczytał list ten Kraszińskiego na nowo i bardzo trafiła mu teraz do przekonania owe wyrazy:

„Przymieszaj trochę żółci do twoich lazurów. Obaczysz, jak ten ziemski pierwiastek ziemię przynęci do ciebie! Więcej jest wątrób na świecie, niż serc. Ach, jakże cię wtenczas będą rozumieć wątroby!... Dopiero uczują twoją rękę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy im spadnie ciężka, kościasta na skronie... Do korda i na sejmik! rąbać mi i siekać! a zostawiwszy trupy na placu, znów porósć w skrzydła i zawisnąć na niebie!“...

Leżała czasu owego na biurku Słowackiego rozpoczęta niedawno temu robota, o której już nadmienilem powyżej, dramat fantastyczny z czasów konfederacji barskiej, osnuty na przygotowaniach Maurycego Beniowskiego. Zaniechał więc teraz autor dalszej pracy nad tym utworem, odłożył na bok sceny, które już były zrobione, i podjął tensam przedmiot na nowo, ale już w innym tonie i w innej formie, w formie poematu. Połączył z sobą tradycje sztuki Ariosta i Byrona. Co tylko było polotu i rozbijał fantazy w Orlandzie, co miękkiej melancholii i głębokości w Childe-Haroldzie, co żółci i wzgardy szydnej w Don Juanie: to wszystko znalazł on po swojemu w jakiś epizodyczny, uskakujący i dziwny, ale genialny i sobie tylko właściwy sposób i zamknął w swoich oktawach. Tak powstał ów szczególny poemat, którego pierwsze pięć pieśni miały wkrótce potem wyjść niespodziewanie z pod prasy, jako osobny tomik.

Jak już powiedziałem, chodziło zrazu Słowackiemu jedynie o wyszydzenie w nim tych wszystkich drobnych niedorzeczności,

które się działy w jego najbliższym otoczeniu i których żądłka i jemu samemu niekiedy czuć się dawały. Szczególniej wziął na cel całą ową zniechęconą sobie frakcją emigracyi, której organem było katolicko-demokratyczne pismo czasowe, wychodzące wtedy w Paryżu pod tytułem *Młoda Polska*. Zabiegi jego przeciwników pomiędzy Emigracją uderzały nań też niekiedy i ze strzelnicy poznańskiego Tygodnika Literackiego, w rubryce doniesień literackich. Drugim z kolei tedy grzesznikiem, który miał zostać osmagany w Beniowskim, drugim kozłem ofiarnym, wskazanym na pokutę za siebie i za drugich, miał być „filozoficzny“ Tygodnik.

Redaktor Tygodnika Antoni Woykowski był i z natury i z zasad swoich człowiekiem aż nadto zgodnym z takimi usposobieniami, jak te, pod których wpływem powstawał nowy Słowackiego poemat. Ale jak każde do fanatyzmu posunięte sekciarstwo, czy ono tam jest religijne, czy też społeczne, podlega pewnemu rodzajowi ślepoty: — tak też i zaciekłość redaktora Tygodnika, w gruncie może pocziwa, ale zbyt namiętna i bardzo przesadna, nie była zdolna spokojnym okiem spoglądać na to, co się działo na świecie. Stąd też widziała ona krótko, a potykała się aż zbyt często. Prace współpracowników Tygodnika poznańskiego były po największej części wysokie, znakomitej wartości i nie bez słusznej przyczyny miało też czasu swego to pismo wiele rozgłosu po wszystkich prowincjach kraju. Redaktor sam ze swęj strony mało co kiedy pisał. Zapelniał on tylko rubrykę wiadomości literackich bieżących. Chwytał bez braku, co bądź mu tam kto z nowinek podsunął, byleby tylko każde słowo miało silną wonią tego co nazywał „postępowością“. To też na ostatniej stronie Tygodnika pojawiały się w rzeczy samej dość często artykułiki szczególne w swoim rodzaju, które mogły już drażnić, już też rozśmieszać Słowackiego. Inne byłyby one tylko śmieszły; ale Słowacki przy znanęj swojej drażliwości i aż zbyt czułej skłonności do obrazy, jeżeli chodziło o jego autorstwo, brał te rzeczy na seryo i bardzo był niełaskaw na te ryczałtowe, jednym pociągiem pióra dokonywane krytyki, jakich sobie tam pozwalano.

Tak np. wyczytał on w Nr. 17 Tygodnika z r. 1840 o jednym z najpiękniejszych dzieł swoich, przed jego jeszcze wyjściem, następującą krytykę: „P. Juliusza Słowackiego tragedia „Lilla Weneda“ wyjdzie wkrótce z druku. Jest ona (jak nam jeden z szanownych literatów donosi), równie jak i pierwsze plody tego autora, mało zrozumiała dla czytającego.“

W 20 numerze tegoż roku takie rzeczy znalazł znowu o sobie: „Słowacki wydrukował nową tragedią Beata Cenic (*sic*). Trudno (pisze jeden z najszanowniejszych korespondentów) wyobrazić sobie większego steku zbrodni, pominąwszy tę dążność, która dziś i samym Francuzom obrzydła. Cóż Polak ma wspólnego z Włochami? Autor ten posiada szczególniejszą łatwość; w dniach kilkunastu buduje dramat, a Witwicki powiada o nim, że ledwie się tytułu jednej jego tragedii na pamięć nauczy, to już druga wychodzi; stąd też wszystko mu przez głowę, a nie przez serce nie przechodzi, utwory jego nie absorbują mu jak innym pisarzom życia.“

Było w tém jednym może trochę prawdy, że się Słowacki zanadto kochał w przesiąkłych okropnościami tematach do dramatycznego opracowania. Ale pomylił się jednak bardzo ów „najszanowniejszy z korespondentów“, kiedy oceniał tę sztukę, jak gdyby ją był czytał, i donosił że ją autor wydrukował. A najfatalniej się potknął, kiedy zarzucał razem z Witwickim pocie budowanie całych sztuk dramatycznych przez samą tylko głowę i w dniach kilkunastu. Chociaż bowiem Słowacki drukował wtedy jeden utwór za drugim, to były to rzeczy dawniejsze, w różnych latach życia pisane.

W 1szym numerze Tygodnika r. 1841 takie znowu było głupiuchne doniesienie o jednym z najgenialniejszych utworów Krasińskiego, o Trzech Myślach Ligenzy: „Po Henryku Ligenzie, zmarłym w Morreale, pozostałe pisma, wyszły w Paryżu, zawierają: 1. Syn Cieniów, 2. Legenda, 3. Syn (*sic*) Cezary. W przedmowie wydawcy pana Mielikowskiego uderzył nas dziwny dziś już podpis: Mielikowski przydomku i herbu Godawa.“

Po tém wszystkiém ukazał się w piśmie Woykowskiego ów już nam znany artykuł o zajeściu między Słowackim a Mickiewiczem na wieczorze u p. Januszkiewicza. A w kilka tygodni później przybyła do tego jeszcze taka znowu wzmianka o Nocy Letniej, którą Krasiński bezimiennie co tylko wtedy był wydał: „W Paryżu wyszło dzieło Noc Letnia. Słabe naśladowanie stylu Krasińskiego! Bez myśli i ładu.“ (Obacz Tygodnika Literackiego Nr. 14).

Tego już było Słowackiemu zanadto! Stawiał on dzieło to przyjaciela swojego bardzo wysoko, a przywiązywał do niego tém więcej ceny, że je i lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał. Bo jak wiadomo, w każdym prawie utworze autora Irydyona są rzeczy najściślejszy mające związek z własną osobistością poety. Jeżeli zaś gdzie daje się szczególniejsze spostrzegać ten reflex osobistych cierpień i zmartwień: to właśnie w téjto kreacji. Słowackiemu były znane cokolwiek tajemnice serca Zygmunta. Wiedział on, że ten wieniec poetycki na jego czole drogo przezeń był okupiony i że też nie ze samego lauru był on uwity, jak się to światu zdawało. Pod laurami wpijały mu się w ciało nieraz kolce cierniowe... To też kiedy dostał do rąk „Noc Letnią“, zrozumiał od razu ten jęk bolesny szlachetnego człowieka, którego życie było ciągłą walką z fatalizmem okoliczności. W czém jedni widzieli tylko tkanę brylantowej fantazyi, a inni politycznej szukali allegoryi: to dla Juliusza było bolesną skargą, protestacją pełną żywotnej rzeczywistości... Opisał więc zaraz po przeczytaniu powieści w poufnym liście autorowi wrażenia i mniemania swoje o Nocy Letniej. Otrzymał na to odpowiedź, która właśnie leży przedemną. Stanowi ona trzeci z porządku list Krasińskiego w szeregu owych dziesięciu pisanych do naszego poety.

„Skąd ten akord? (taki początek listu). Gdzie się ta harfa odezwała? Kto dał wieszczom wzrok sztyletowy, sięgający w głąb dusz ludzkich i odkrywający, co te dusze kryć chcą, pragną — nie zdołają? — Są straszne prawdy, raczej rzeczywistości — wzorem lekkich motyli igrające po murawach téj ziemi, a pełne jadu wewnątrz, a rojące się z samej dłoni przeznaczenia...“

... „Dzięki sercu twojemu za list twój i szczegóły w nim zawarte, duchowi twemu za wzrok przenikliwy, który on rzucił w samą iszczęzną ducha mego — tam, aż tam, gdzie z niewidzialności zaczynają powstawać owe krzysztalki myśli — czucia — natchnienia, z których długie całkie zra-
stają się struny harfy wewnętrznej w człowieku! Dotknąłeś palcem każdego z tych wymoczków krzysztalowych — po-
łożyłeś dłoń całą jako szeroka na duszy mojej, tak że dusza odjęknęła: — „prawda!“ I jedyną może nagrodą, jaką tu wezmę, nagrodził mi za tyle cierpień w jedną pieśń zwi-
zanych“...

... „Ale teraz, o poeto, nie dotykaj rany śmiertelnej, którą krew nasza się wylewa wiecznie, aż kropla po kropli, cała z nas wypłynie i w cudze serca się wcieliwszy, nas samych bezżywnymi marami zostawi!... Nie próbuj też zanadto niezgłębianych serc! Gdy puścisz w morze kotwice, nie widzisz gdzie poszła, bo głęb morska ciemna. Ale czy wiesz, czyś tam czasem na co żyjącego żelazem nie trafił i tego nie rozdarł, nie rozranił, nie przebił? Długo czekać musisz, aż krew z przepaści wzniesie ci się aż nad fale i krzyknie: „okrutnyś!“ Może nie doczekasz jej się nawet — odejdiesz wprzód, nigdy nie dowiesz się o ranie, którąś zadał. Wierz mi, bądź raczej jak anioł światła i dźwięku, a experymenta zostaw staremu Wilowi *) i anatomikom. Rozwiódź tęczę cichą a promienną nad tymi, dla których życie gorzką było rzeczą...

„Ściskam Cię z głębi duszy. Każdy list twój będzie mi smętnym a białym gołębiem.“ (Data listu: Rzym, d. 16 marca 1841).

Kiedy te wyrazy Krasiński kreślił, znane mu już były świe-
że zajścia między Słowackim a Mickiewiczem. Doniósł mu o nich był sam Słowacki, donosili także i inni. Nie było mu niewiadomym, że improwizacja jego przyjaciela sprawiła w ogóle nieko-
rzystne wrażenie i że sądy o nim paryskie po większej części tego były rodzaju, że uwłaczały i jego znakomitęj zdolności poe-
tyckiej i jego już położonym około literatury zasługom. Z tego powodu zasiadł, czy też zamierzył właśnie wtedy zasięść do na-
pisania rzeczy krytycznej o Juliuszu Słowackim toż znaczniejszych jego utworach, i właśnie przeto rzucił w liście, który tu mamy przed sobą, następujące jeszcze słowa godne uwagi:

*) Szekspirowi.

„Jeśli macie tam z Księstwa dzienniki, tak około kwietnia, maja i aż do połowy czerwca: pilnuj, czy w nich nie znajdziesz pewnych myśli bratnich a szczerych, a już nie w biurku zatekłych, lecz wolném okapanych powie-
trzem. Gdy je czytać będziesz, nie myśl o ich treści, bo to, co w sobie masz, znasz przecież, a tam o tém tylko mowa; ale pomyśl, że w willi róż było niegdyś dwóch ludzi, co sobie ślubowali przyjaźń i dochowali jej. A wte-
dy to może rozwidni twoje niektóre marzenia o niestałości uczuć w ludzkich sercach.“

Owoż po takichto właśnie antecedenyach co do Krasiń-
skiego i Nocy Letniej, wpadł więc w ręce Słowackiemu ów nu-
mer Tygodnika poznańskiego z d. 5 kwietnia, w którym poczi-
wy Woykowski rozstrzygał jednym zamachem, że owa powieść —
to ramota i słabe tylko naśladowanie stylu Krasińskiego, zresztą
bez myśli i ładu...

Był już prawie na ukończeniu wtedy Beniowski, a przy-
najmniej ta część jego, która miała wtedy być drukowana. Po-
wplatane już były po różnych poematu tego ustępach wycieczki
pełne szyderstwa przeciw krytyce poznańskiej. Po przeczytaniu
jednakże rzeczonego numeru, za długo zdawało się Słowackiemu
cierpliwie czekać chwili, gdzie dzieło jego będzie do rąk publi-
czności oddane. Zapragnął rychlejszego odwetu. Poczował się do
obowiązku odezwać się natychmiast w obronie utworu przyjaciela.
Chwycił tedy za pióro i nie już jako poeta, lecz w roli zwy-
czajnego fejletonisty wystąpił w Trzecim Maju (numer z d.
29 kwietnia 1841) z artykułem prozą pisanym, w którym wy-
powiadając całe swoje uwielbienie dla tej tak obosiecznie powi-
tanęj przez Tygodnik kreacyi, dał w końcu należną temu pismu
odprawę za wszystkie uchybienia. Artykuł ten Słowackiego był
podpisany początkowymi literami nazwiska: J. S. Miał zatem
wszelkie cechy otwartego wystąpienia osobistego. A ponieważ na-
darzyła się przezeń sposobność pomówienia bez ogródki o tém i
owém, rzucił w nim przeto pogrom i na to grono niepowołanych
Adama wielbicieli, z którego rozchodziły się tylko baśni i pod-
niety do dalszych pomiędzy nimi niesnasek. Jakkolwiek słowa te
jego wprost ku Mickiewiczowi nie były wymierzone, nie obeszło

się tam jednak mimowoli bez cierpkich wyrażeń takich, które można było ściągać pośrednio i do niego samego.

To były tedy pierwsze słowa, publicznie i wręcz wyrzeczone w tej sprawie. Słowacki oczekiwał, że Adam po takim kroku, uczynionym z jego strony nie bez goryczy, ale też i nie bez szczerości, uzna za słuszne zaprzeczyć plotkom, roznoszonym na różne strony bez jego woli i wiedzy. Ale i Mickiewicz nie był teraz już zupełnie po nad poziomem pewnego uprzedzenia. Nie uczynił, czego się Juliusz spodziewał, i trwał i nadal w uporczywem milczeniu, jakby niemi upoważniał wszystko, co zaszło, i przyjął solidarność w odpowiedzialności za wszystko.

Terazto dopiero powstały owe dumne, namiętne i tak nieogłędnie wyzywające do walki strofy, umieszczone na samym końcu pieśni piątej poematu, który się właśnie wtedy pojawił w księgarniach pod tytułem:

Beniowski, poema przez Juliusza Słowackiego.

Lipsk (właściwie Paryż), 1841, 120 str. 176.)*

Wrażenie, jakie ta nowa publikacja w pierwszej chwili w emigracyjnych kołach sprawiła, i dalsze zajścia z tego wynikłe najlepiej poznamy, jeżeli tu przywiodę własne opowiadanie o tém autorze, dane w jednym z listów jego pół roku później pisanych.

„Ostatni mój maleńki (Beniowski) zły jest; ale był potrzebny, był konieczny. Celu swojego dopiął — i więcej jeszcze, bo zwrócił wszystkich oczy i stał mi się teraz strażą. Z jego powodu miałem zajście, o którym dawniej pisałem — nie z Adamem, ale z jednym mniejszym. Lecz wszystko to od Adama poszło... Trzeba Ci wiedzieć, że Adam o tém kłamstwie dla niego uczynionem niby nie wiedział; przynajmniej tak mi to teraz mówił. Ale powinien był wiedzieć — i odepchnąć!..

Tu opisuje Słowacki, jaka rzeczywiście była owa grudniowa Mickiewicza improwizacja, o ile się takowa do osoby jego ściągała. Ustępek ten opuszczam, gdyż to już znamy.

*) Drukował się Beniowski w Paryżu i to w ciągu pierwszych 20 dni miesiąca Maja, jak to wyrozumieć można z doniesień o tém w numerach Trzeciego Maja z d. 12 i 21 maja 1841.

„Po tém tłumaczeniu obwiniaj mnie droga, że nie był — podług Twego w liście dawnym frazesu, zupełnym aniołem. Ale pomyśl, że żar leży w ustach moich i że ja nie mogę nigdy scierpieć niesprawiedliwości. Zresztą bądź pewną, że moja biografia będzie kiedyś zupełnie szlachetną, choć teraz, kiedy idę po wschodach ciągłych w górę, często muszę być w niektórych chwilach niepodobnym do siebie. Dosyć, że przed malutkim moim uchylił ci czoła, który nigdy przedtém nie oddali mi pokłonu. A mnie smutno, że zejść musiał z mojej podstawy, aby właśnie wtenczas przyznano mi, że jestem na nię. Opisuję Ci to z wielkiem znudzeniem, bo te rzeczy już od kilku miesięcy uciły w mém sercu i teraz doskonale jestem usadowiony w moim krześle ze słoniowej kości. Rzadko przede śmiercią otrzymać, aby się ludzie sami za niesprawiedliwych uznali. Wydrzeć im to siłą jest bardzo miło. — Tymczasem, kiedy się mój malutki pokazał, a ja byłem we Frankfurcie, gdzie przepędziłem całą wiosnę,*) zrabani antagoniści moi zrobili kollegium, co ze mną robić: i przekonani, że ja w niebytności mojej dlatego wystawiłem na harc mego chłopczyka, aby strażaków uniknąć, postanowili... wyzwać mnie na pojedynek. Wiedziałem to bardzo dobrze, i przepowiedziałem nawet wyjeżdżając z Frankfurtu osobie, którą pomimo wszystkiego los mój cokolwiek interesował. Jakoż skorom tylko powrócił do mego pustego domku, stawił się poseł od jednego z wysmianych w IIIciej pieśni, podając mi albo do podpisania bardzo głupio zredagowany papier, albo wyzywając na bój śmiertelny.**)

*) Wzmianki tej o bytności Słowackiego w owym czasie we Frankfurcie nie umiem bliżej wyjaśnić czytelnikowi. Ściąga się do nię kilka podobnych natrąceń w listach z owego czasu, ale takowe zawsze są tylko dorywcze.

**) Zdaje się, że ma tu Słowacki na myśli tę mianowicie strofę w IIIciej pieśni Beniowskiego:

„Imię krytyki? — nie, krytyków. — A ba!

Któż z nich ma imię? Z. K. — S. K. — E. K.

Mówią, że młodą Polskę pisze — baba!

Ale ja widząc, jak kasa i szczeka,

Sądzę że jezuita — a ma draba,

Który tłumaczy na język człowieka

Hymny, przestrogi, pacierze i lekcje

W dyabelskim napisane dyalekcie.“

się droga spodziewać, że przyjął z najzimniejszą krwią to ostatnie. Antagonista mój wtenczas uczuł, że ma cokolwiek słabe nerwy. Naprzód zwlekał; a gdy ja nagle, przywieziono go nareszcie, bo bawił na wsi; ale przywieziono podobnego do trupa i zupełnie zdeorganizowanego, kiedy ja przez 5 dni bawiąc się jak zwykle z kolegami w cerklu naszym, tak dobrze pokryłem do ostatniego momentu pięciodniową niespokojność, że potem — gdy się dowiedziano, każdy się dziwił, iż ze mnie bynajmniej tego nie spostrzegł. A jednak wyznam Ci, że te 5 dni, w których pisałem do Ciebie, do niej (?) i do Zygmunta, były mi bardzo gorzkie. Nakoniec dnia naznaczonego, prześpiawszy się najspokojniej, wstałem o 5 z rana — ubrałem się — zjadłem kilka ciasteczek i wypilem szklankę starego wina. Potem wyszedłem sam, bo mię mój sekundant miał czekać aż za miastem. Ponieważ miałem dosyć czasu, szedłem więc piechotą. Przechodząc przez targ kwiatów, kupilem sobie różę za grosz, aby ją mieć przez cały czas w rękę i potem w złym lub dobrym wypadku zrobić z niej prezent mojej dręczycielce. Potem wszedłem do kościoła, gdzie trafiłem na samo po skończonej mszy błogosławieństwo. Nie czekałem więc dłużej i wesoły poszedłem dalej. Szczerze ci mówię, że ta rzecz miała dla mnie jakiś powab rycerski i piękność. Ale los mię zawiódł u kresu. Albowiem przez traf nadzwyczajny jeden z przyjaciół sędziwych mego antagonisty dowiedziawszy się o tém, wpadł naprzód do mnie i mnie już nie zastał. Pobiegnął więc do nich i widząc, że bynajmniej nie mają ochoty, otrzymał łatwo, że od rzeczy odstąpili. Kiedy ja więc czekam ich, widzę przybywających parlamentarzystów, którzy najprzód mię chcą wypróbować i jeżeli można, do exkuz jakich namówić. Ale wtenczas nie stało mi zimnej krwi: zacząłem łajać wszystkich, tak że nawet sekundantowi memu dostało się. Wtenczas oświadczyli mi nareszcie temi słowy: „z kimże ty się chcesz bić? czy z wiatrem? — oni odpowiadają...“ Na takie słowa uśmiechnąłem się tylko. Poznałem, że do końca byli lisami, i zapaliwszy cygaro, porzuciłem ich wszystkich z wielką wzgardą. Ale tak się nie skończyło, bo wszyscy razem zaciągnęli mię do jednego z parlamentarzystów, gdzie mi podczas śniadania nadskakiwano jak zwie-

A zatem zapewne któryś z tych panów K. albo też sam redaktor Młodej Polski uczuł się obrażonym i żądał satysfakcyi od Słowackiego.

rzowi dzikiemu, którego trzeba ułagodzić. Przyprowadzono także mego antagonistę, któremu rozplakanemu podając rękę, powiedziałem: no, jeśli mamy się pogodzić i zapomnieć o tém, to trzeba zapomnieć na zawsze. — Zapomnieliśmy więc i jesteśmy z sobą dość dobrze. Inni także, którzy go do tego podzegli, teraz robią pierwsze awanse — słowem wyszedłem z tego zupełnie czysto i przekonałem ich, że zawsze jestem gotów poprzec całą osobą to co usta moje wyrzekną. — Piszę to z takimi szczegółami tylko dla Ciebie, albowiem szlachetność każe mi o tém wszystkiém milczeć i nigdy nie wspominać, chyba z ich strony jakie kłamstwo wywołało otwartość moję. — Teraz pozostawałoby mi opisać moje wypadki, dotyczące się serca mego, ale na ten raz zamilczę muszę, bo prawdziwie nie wiem, o czém pisać i jak pisać. Wszystko było snem smutnym, dość podobnym do wszystkich snów ludzkich. Ale dobre to: wyrwało mię z odrętwienia. Kiedyś, droga moja, i o tém Ci napiszę — ale tylko dla Ciebie. Chciałbym, ażebyś droga schowała ważniejsze z listów moich, bo to będzie najszczyśszy ślad życia mego. Dziennika nigdy nie pisałem, a może jeszcze Bóg da, że samemu miło mi będzie odczytać te wszystkie bez awantur przygody.“ (Z listu z d. 10 listopada 1841 z Paryża).

Właśnie w ciągu tych zatargów pomiędzy Słowackim a całym gronem jego antagonistów zaszła skądinąd okoliczność, o której warto tu wspomnieć, zdaje się bowiem, że znacznie ona wpłynęła na takie właśnie zajścia owego rozwiązanie. Oto zaraz po wyjściu Beniowskiego pojawiła się w Tygodniku Literackim poznańskim bezimienna, ale znakomicie napisana rozprawa, przez 3 numery rzeczzonego pisma idąca, p. t. „Kilka słów o Juliuszu Słowackim“ (1841 Nr. 21 — 23). Była to rzecz niezawodnie pochodząca z pióra autora Irydyona i niewątpliwie tasama, której wyjście na miesiąc kwiecień lub maj zapowiedziane było Słowackiemu jeszcze w liście Krasieńskiego z d. 16 marca, któryśmy prawie cały przytoczyli powyżej. *)

*) Twierdzenie moje co do autorstwa Krasieńskiego względem rzeczzonego artykułu opieram na wewnętrznych tylko poszlakach. Jeżeli bowiem porównamy myśli w nim rozwinięte, a nawet i wyrażenia, z tém wszystkiém, co Krasieński w owymże czasie pisał do pana R. Z. (w liście, który ogłoszono w Dodatku Czasu 1859 r.

Owoż artykuł ten, choć pisany o kilka, a może kilkanaście tygodni pierwój, nim jeszcze opuścił był prasę Beniowski, tak się dziwnie nadawał do danej chwili, że prawdziwie mógłby być uważany za komentarz do owych słów, na samym końcu tej części Beniowskiego rzeczonych do Mickiewicza:

..... „Bądź zdrów wieszczu!

Tobą się kończy ta pieśń, dawny Boże!

Bądź zdrów! — A tak się żegnają nie wrogi,

Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi.“

Główna osnowa bowiem owych „Słów o Juliuszu Słowackim“ obraca się właśnie około porównania ze sobą sprzecznych stanowisk tych dwóch poetów. Krasiński wychodzi od założenia, że oddzielnie pojąć nie można nikogo i niczego na świecie; albowiem „każdy szczegół choćby wyglądał na całość, jest tylko płynącą częścią wyższej całości“. Zatem też i Słowackiego wtedy tylko spodziewa się ocenić należycie, jeżeli w nim okaże krok że tak powiem dalszy w rozwoju poezji po Mickiewiczu. Charakterystyki Mickiewicza ostatecznym wynikiem jest wedle niego to, że „czem Alp ogromy, czem piramidy pustyni, czem wszystko, co nieporuszone i wieczne: tém dzieła tego poety. Przemaga w nich nadewszystko siła dośrodkowa, siła wcielań i twierdzeń — wola i czucie i wiara. One są granitowem jądrem naszej literatury.“ — Lecz świat nie na jednej tylko sile stoi, nie jednym tylko twierdzeniem i wcieleniem żyje. „Gdyby przestał na tym jednym wyłącznie kierunku, stałby się nierozdzielnością, skupiłby się w punkt jeden.“ Trzeba

Tomie XIII str. 519), jeżeli postawim obok tego i słowa, które wyrzekł był o Słowackim dawniej Krasiński w listach do niego, któreśmy w części przytoczyli powyżej: — to okazuje się oczywiście, iż to wszystko musiało z jednego tylko pióra wypłynąć. Zresztą stwierdza ten wniosek i sama zgodność czasu i miejsca, w którym się rzeczony artykuł pojawił, z zapowiedzią Krasińskiego wyrzeczoną o kilka miesięcy pierwój. Nakoniec i styl, tak odrębny, jak Krasińskiego, rozstrzyga do reszty wątpliwość, jeśliby jaka miała być jeszcze co do tej okoliczności. —

mu tedy drugiej jeszcze siły, siły przeciwnej, odśrodkowej, która mu przypomina, że z nieskończoności jest i w nieskończoność wrócić ma. Ta siła druga rozdziela w świecie fizycznym to co płynne i lotne, od tego co zsiadłe i twarde; przemienia go po połowie w atmosferę i na jej wysokościach coraz go lotniej grą światła, pędem elektryczności rwie i rozbiera. Tak czyniąc, „z republikańską ironią pisze światłem błyskawic na wierzchołkach granitu, na planety skroniach: *moriturus*.“ — Ponieważ w każdej sferze istnienia te dwa kierunki razem istnieć muszą: znajdujemy je zatem i w królestwie sztuki, poezji. Pierwszą siłę, dośrodkową, wyobraża w poezji polskiej przedewszystkiem Mickiewicz: siły odśrodkowej wyobrazicielem pierwszorzędnym jest Słowacki.

I mając już teraz widocznie te dwie tylko osobistości poetyckie na względzie, tak mówi dalej Krasiński o antagonizmie sił owych przeczących sobie w każdym obrębie istnienia:

„Ich harmonia zowie się życiem, ich sprzeczności są tylko złudzeniem; mogą wprawdzie w danym czasie na danym miejscu przybrać pozór walki; ale to zawsze doczesnym; nie wiecznym; cząstkowym, nie powszechnym zjawiskiem. Całość albowiem jest zgodą, nie bójką; pojednaniem, nie rozdziałem; dobrem i prawdą, nie złem i fałszem. I to co walczy z sobą na tym padole, tam — po nad wszystkimi padolami, w górze i niebie ducha, wiąże się i zlewa razem w wielkie światło i w pokój serdeczny.“

Mickiewicz, zdaniem autora, wyobraża w literaturze naszej głównie pierwiastek rzeźbiarski; podczas gdy Słowacki urodził się w niej muzykiem, w którego muzyce płyną farby Correggia i Rafała, niesione Bethowena tonami.

„Jeśli wam Michała Anioła potrzeba, czemuż go żądacie, czemuż go wyglądacie — wy, wśród których on już się objawił? Nie patrzcie naprzód, nie zazierajcie w przyszłość, ale owszem odwróćcie się ku dniom co ubiegły, a wasz Michał Anioł ukaże się wam. Jedna z rąk jego spoczywa na posagu Litawora, a druga zawieszona w górze nad ciągiem postaci umarłych, narodowych, przekutych już także w posagi wiecznego wspomnienia. Tym uwiecznionym na imię: Pan Tadeusz! Na równie ogromną epopeję żaden z nowożytnych narodów dotąd się nie zdołał“...

„Słowacki w logicznym rozwijaniu się sztuki polskiej jest drugim momentem. Objawiła się w nim odśrodkowa siła, siła odwcielań i zaprzeczeń, której pęd poczęty z dołu a bijący ku górze, stara się jak muzyka ciągłym drganiem cząstek i roztapianiem kształtów wyrazić westchnienia wszystkich ciał natury i rwania się wszystkich myśli ducha ku niewidzialnemu światu nieskończoności. Zaprawdę w kierunku tej siły coś panteistycznego przebija. Onaby chciała, gdyby przemóc mogła i jedyną stać się panią, wszystko we wszystkiem stopić i porównać; samaby się rozwiała własnymi skrzydłami — utonęłaby i zaginęła w tém, ku czemu dąży; wszelkie stworzenie zatraciłaby w Bogu, jak w otchłani. To co ona ukochała, nigdy przy niej, nigdy z nią nie przebywa, ale coraz wyżej i błędniej i dalej ciągnie ją za sobą. Każde stanowisko ona musi przekroczyć, każdą formę podnurtować i do prysnięcia przymusić — i jej samej ostateczną formą jest jej treść własna, jest to co stanowi formę oceanu, to co rozprężliwość światła, to co falistość elektryczności — żądza wieczna, ruch nieskończony.

„Czém więc w naturze płynność i rozmdlewanie się, czém chmury co chwila zmienne, płynące nato, by przepaść i znieznaczyć, ale nie w nicości, jedno w niebie; czém przewrotność barw na tle opalowej białości, czém szmery rozmarzonych strumieni i szum daleki morza, czém owe melodye śpiewu, które gasną oddalając się coraz wyżej i szerzej: — tém jest poezja Słowackiego w literaturze naszej. Każda jej cząsteczka misterniej, filigranowej roboty, jak drobny kwiateczek. Jej ogół zaś przez to właśnie, że siły odwcielań jest formą, ma za formę ciągle pojedynczych cząstek stawianie i znoszenie, tworzenie i niszczenie — i utrzymuje się następstwem tych znoszeń; raczej ruchem niż postacią — tak jak muzyka. Stąd ciągle pozór ironii i kaprysu, stąd pęd niewstrzymany, ale lekki, przejrzysty na wskrós, idealny.“

W końcu przechodzi autor do ocenienia stylu Juliusza i w nim właśnie upatruje najglówniejszy objaw jego potęgi.

„Styl jest najogólniejszą formą każdego utworu sztuki; nim jak przedzą, i z niego jak z materiału, snuje pasmo swoje całe poeta. Siła odwcielań, panująca i przemagająca w Słowackim, w tę tylko najpowszechniejszą ostateczną formę dokładnie wcielić się może. Styl Słowackiego, to on sam, to ducha jego kierunek, roztapianie się nieustanne na

wszystkie strony. Nikt też tak smukle, gibko, fantastycznie po polsku nie pisał. Chyba tak Liszt gra, jak on wiersze pisze. Biegna kniemu tłumem miary, rymy, obrazy, a on je despotycznym kaprysem posyła, gdzie chce — każe im płynąć, a płyną — więc się powoli, a pełzną — wlecieć, a wzlatują i lecą, jak orły. Język pod jego twórczym tchnieniem musi rozrabiać się i przerabiać bez końca, musi wszystkie kształty przybrać... itd.

Słowem, konkluduje autor:

„W czarnoksiężstwie stylu Słowacki stanął tak wysoko, że nikt wyższym nad niego, a równym — rzadko kto.“

To są najważniejsze myśli w owej rozprawie. Rzucił w nią Krasiński jeszcze także kilka uwag o niektórych Słowackiego utworach z osobna wziętych; takowe jednakże mają za zadanie raczej objaśnić tylko to, co o nim powiedział w ogólności, aniżeli wdawać się w szczegółowy rozbiór nad nimi.

W ten sposób tedy miał być ze stanowiska bezstronnej, umiejętnej krytyki rozwiązany ów antagonizm pomiędzy Mickiewiczem a Słowackim — z korzystnym i pochlebnym dla obojgu uznaniem. A więc i na mocy tegoto sądu dwaj ci poeci stanęli niejako przeciw sobie, jako sprzeczne a jednak uprawnione potęgi, „jak dwa na słońcach swych przeciwnych bogi.“ Słowacki, lubo tu nazwany drugim, a zatem dalszym momentem po Mickiewiczu, nie został przeto przez Krasińskiego postawiony wyżej nad niego. Przeciwnie, współlistnienie i wzajemna konieczność obu stawia ich niejako na jednej linii ze sobą. Przyjść ma dopiero trzeci moment, który ich obu zawrze w sobie i złoży. Ten tylko i ten dopiero będzie wyższy od nich obojgu. —

Gdybym miał wyrzec zdanie moje o powyższej charakterystyce poetów: rzekłbym, że piszę się na nią, ale pod tém zastrzeżeniem, że co tu o nich powiedziano, ani nie jest zupełnym, ani też nie wynika bynajmniej z logicznej konieczności. Był takim J. Słowacki, to prawda! ale był dlatego, bo był; a nie — że takim być musiał. Odsunawszy zatem z twierdzeń autora na bok to wszystko, co wygląda na formułkę i co traci dyalektykę, można bez trudności zgodzić się na te zresztą tak poetycznie

wyrzeczone spostrzeżenia o niektórych właściwościach formy (tylko formy!) Słowackiego. O jego zato ideach, o jego że tak powiem filozoficznem stanowisku w poezji nie rozwiódł wcale uwag swoich genialny autor rozprawy. Na tęto zaś wewnętrzną dzieł poetyckich istotę, zdaje mi się, że odrębność każdego pisarza przedewszystkiem polega. Styl i forma bowiem — to rzecz osobista i prawie powiedziałbym prywatna, skutek tysiąca czynników, z których przynajmniej połowa może iść na karb przypadku. Przeciwnie dążności i ideały — to już nie przypadłości indywidualne, ale je rodzi z siebie wiek, a piastunem ich naród, w łonie którego się żyje. Można je podjąć i umiłowac i być ich głosicielem wśród braci; można być na nie głuchym i ślepym; można być ich wrogiem i w miarę sił opóźniać ich przechodzenie w życie. Według tego, jak sobie kto pod rzeczonym względem poczyną, zabieramy to albo owo stanowisko w arenie społeczeństwa. Tu się tedy kierunki sił pojedynczych najwybitniej znamionują i ważą — bez różnicy, czy kto do narodu przemawia pieśnią, czy z mównicy sejmowej, czy z katedry akademickiej, czy wreszcie ze stopni tronu, lub z konia...

Bądź jak bądź, publiczne owo odezwanie się o Słowackim, choć było bezimienne i nie ze wszystkiem dokładne, zaważyło jednak na szali. Było to pierwsze rozumne i bezstronne słowo o naturze jego poezji, wyrzeczone przez ówczesną krytykę. To musiało pokrzepić energią ducha poety. Godzi się wnosić, że podobnych dowodów uznania mieć on w owym czasie musiał i więcej. Autor Beniowskiego przestał być nawet dla ogółu zwyczajnych odczytywaczy nowości literackich obojętną i odosobnioną od reszty literatury figurą. Zaczęto teraz więcej niż kiedy przypominać sobie i o dawniejszych jego pracach. Rozchodziły się one z półek księgarskich żywiej teraz na różne strony, niż kiedykolwiek przedtem. — „Po dziesięciu dopiero latach (licząc od r. 1832) — pisał poeta do jednego z dalszych krewnych *) — książki mo-

*) Do stryjecznego brata swego Władysława Słowackiego List ten pisany r. 1845, zamieszczono przed kilku laty w *Gazecie Codzienniej warszawskiej* (r. 1860).

je zaczęły, tak jak twoje łany, ziarno mi posiewane oddawać.“ — Ten odbył na jego dzieła był dla autora pocieszającym. Nie przeto tylko, że się tym sposobem poprawiła i materyalna jego exystencya. Szlachetniejszą nad tamte względy i wyższą nieskończenie pociechę sprawiało mu to wynikające stąd przekonanie, że więc nie nadaremnie znosi wygnanie, samotność a czasem i niedostatek, i że nie jest już podobnym do owego harfiarza na wyspie Chios, który przemawiał tylko do głuchych morza egejskiego bałwanów...

To też począwszy od owęj chwili, czerstwiejszy już jakiś stan duszy przebija w jego korespondencji. Miejsz z nię takich, jak np. następujące, mógłbym teraz wiele przytoczyć:

... „Gdyby mi trzeba było wytłómaczyć, dlaczego mi lepiej na tym świecie dziś niż wczora, nie umiałbym wcale tego uczynić. Są lata napelnione nudą i troską, w których się człowiekowi zdaje, że przebywa pustynie. Nic mu wtenczas w porę nie przychodzi. Dobro każde na złe mu wychodzi. Usiłowanie żadne skutku nie bierze. Są to lata dążeń, gorączki, podróży, upragnień; zachęć, bolu — złe słowem i bezsenne lata! Lecz nagle, jeżeli Bóg nam sprzyja, uczuwamy, że wszystko się odmienia, że życie staje się pełniejszém, że jedni ludzie zupełnie się przeciw nam deklarują, drudzy są naszymi przyjaciółmi. Jest coś w sercu, co nas o tém ostrzega. Może to zmiana jakaś w zdrowiu, w systemacie nerwowym; ale dobrą ona jest i mnie teraz weselę. Tak dawno nie widzieliśmy siebie, że gdybym cię listem chciał o stanie mego serca, o zmianach charakterystycznych mego humoru uwiadomić, potrzebaby list zrobić dziennikiem dni prawie i wypadków. Bo rozważywszy rzeczy, nie dla mnie bardzo szczęśliwego nie zdarzyło się. Jestem jak zawsze dość samotnym, pracuję, dumam, ale ta czczość jakaś, która mi prace i dumania moje obrzydzała, zniknęła. Widzę, że mnie Bóg nie zapomniał w niebie, i to mi daje dziwną dumną spokojność. (Z listu z d. 15 lutego 1841).

... „O! ileżbym ja rzeczy miał Tobie do powiedzenia, gdybyśmy się kiedyś spotkać mogli. Jak często płakałabyś i uśmiechałabyś się radośnie, słuchając o moich przygodach! Wierz mi, że tak żyłem, abym o wszystkiem szczerze mógł mówić z Tobą, jak z Bogiem. I potrzeba mi, aby to wszystko, co we mnie dźwięk jakiś wydało, odbiło się choć

raz w sercu Twojem, abys Ty nie myślała, że daleki od oczu Twoich, inną drogą niż należy poszedłem. Przyjedź, droga moja, a zapoznamy się na nowo, i kochać się będziemy na wieki. W szczęśliwych nawet chwilach życia mojego, gdzie powinienbym był o wszystkim zapomnieć, myśl o Tobie zachmurzała mi czoło i wtrącała mię w tęsknotę. Trzeba mi koniecznie, abys położywszy rękę Twoję na mojej schyłonęj głowie, rozgrzeszyła mię z moich win dawnych i z tęg ciagle trwającęj winy, że nie jestem przy Tobie. Jeszcze Ci raz powtarzam, bo wiem że Ci to serce rozraduje, że mi teraz na świecie lepiej i szczęśliwiej, a ja nie jestem jak ci ludzie nierozsądni, którzy nigdy terazniejszego dobrze nie czują i Bogu nie są zań wdzięczni. Cierpliwy, spokojny i smutny, przeżyłem nudne chwile życia, teraz z uśmiechem patrzę na to, co minęło, — i Ty się, droga, uśmiechnij i kochaj mię wesolo i z nadzieją.“ (List bez bliższego oznaczenia daty, ale niezawodnie pisany w miesiącu sierpniu lub wrześniu roku 1841).

Słowa, które teraz przywiode, malują jeszcze wymownięj ówczesne usposobienie poety, pełne pogodnęg rezygnacyi, a nawet — o ile to w jego położeniu być mogło — zadowolenia ze swego losu:

....Cóżbyśmy dzisiaj robili siedząc przy wiejskim kominie, gdyby nas los nigdy był nie rozłączył? Możebyśmy utyskiwali na zimno i dym w pokoju i na inne cierpkie życia trudności: a teraz wiemy, że Bóg o nas pamięta i jest naszym dłużnikiem... Może Ci się te wszystkie wyrazy dziwnymi zdadzą? Może nie będziesz wiedziała, że ja tę prostą filozofią pisząc łez mam pełne oczy i łkaniem zadławiony oddech. Ale z tego papieru wydobędzie się coś także, co Ci płakać każe...“ (d. 10 listopada 1841).

To spojrzenie pełne otuchy w przyszłość, ta łzawa wprawdzie, ale uśmiechnięta pogoda, dawnięj tak rzadka na czole naszego wieszczą, sądzę że nie byłaby mogła i teraz gościć na niem dłużej nad chwilę, gdyby była pochodziła jedynie z powodzeń zewnętrznych, z tryumfów już odniesionych. Z powodzenia — już doznanego i przyznanego, radują się w nieskończoność chyba tylko blahe umysły. Wyższe natury najprędzē same o niem zapominają. W zawodzie autorskim, a pewnie i w każdym innym, nie to sprąwia istotną rozkosz duchową, czego tam kiedyś szcęg-

śliwie się dokonało, ale czēm właśnie myśl jest obecnie zajęta, jeżeli instynkt mówi poecie, że powstające dzieło okaże się godnēm dawniejszych. Sama ta rozkosz tworzenia, ta pewnoć siły swojęj wewnętrznuj, ta bezpośrednia świadomość, stwierdzająca się każdym pociągiem pióra, że w zapasach z trudnościami sztuki ciagle się idzie naprzód: — oto zdaje mi się, co stanowi największe, a nawet podobno jedyne prawdziwe źródło tego zadowolenia w duchu, bez jakiego aniby pojąć można, że się ktoś jeszcze temu powołaniu poświęca.

Owoż godzi się z tego wszystkiego, co się z listów przytoczyło, wnosić i o Słowackim, że czynność jego autorska szczególniej być musiała ożywioną w ciągu owego czasu, i że snac był kontent więcj niż kiedy z porozpoczynanych prac swoich, skoro doznawał wtedy tyle zadowolenia w samotnęg swojęj pracowni.

Z żalem jednak przychodzi mi tu wyznać, że tylko bardzo niedokładną dać potrafię wiadomość o tēm wszystkim, co Słowackiego zajmować mogło w r. 1841 i 1842. Jak wiadomo, listy jego z całego tego jego życia okresu nie zawierają w sobie żadnych szczegółów tęg właśnie treści. Jedynym śladem rzeczy, o którą nam chodzi, sąto już tylko chyba pisma, po zgonie poety znalezione w jego papierach, a niedawno dopiero temu publikowane. Takowe wszelako nie stanowią ani połowy tego wszystkiego, co być niewątpliwie musiało.

Jedną tedy z prac takich niezawodnie na owe lata przypadających, był to ciąg dalszy Beniowskiego. Poemat ten całkowity miał się składać z czterdziestu czterech takich pieśni, jak owe pięć, co wyszły z druku w roku 1841. Tyle ich przynajmniej autor zapowiedział w jednęg ze zwrotek pieśni trzecięg. Po jego śmierci znaleziono kilkanaście arkuszy, zapisanych nabitēm i drobnēm pismem, zawierających dalszy ciąg poematu, o którym mowa. Bylto dopiero pierwszy rzut, często przemazywany, z różnymi dopisami po bokach karty, słowem brulion. Tworzy obecnie ten autograf dwa zeszyty, zapewne dopiero po śmierci autora spojone, i pewną ilość kart luźnych, które są oczywiście

już tylko szczątkami znaczniejszej liczby arkuszy stanowiących niegdyś jeden ciąg nieprzerwany, a w późniejszej poniewierce poniszczonych do tego stopnia, że to co z nich zostało, już się nie daje spoić w wątek ciągły i jednolity. Z takichto arkuszy i kartek luźnych, częstokroć nawet podartych, złożyłem na domysł pieśń VI-tą, XI-tą, XIII-tą i XIV-tą, nadstawiając próżnie textem niezapełnione krótkim streszczeniem prawdopodobnej osnowy, daném na wstępie każdój z tych pieśni. Za porządek i kolej tych urywków ręczyć atoli nie mogę, gdyż skazówek do zestawienia ich należytego zupełnie braknie w rękopisie. Inne pieśni t. j. VII-ma do X-tą ocalały w zupełności, bo się mieściły w zeszytach. Pieśni XII-tą braknie początku.

Mając obecnie przed sobą wydobytą w taki sposób z pod rumowiska ruinę poematu i częściowy abrys jego całości, żałować tego przedewszystkiém należy, że właśnie te części dzieła, na które przypadają same tylko urywkowe ustępy, obejmowały (jak wnosić można na pewne) najciekawsze zdarzenia. Ambasada krymska, ocalona prawie w całości, mniej się za to może podobać. Czy całe dzieło było kiedy dokonane? czy stanowiło całość wymierną? — rozstrzygnąć tego nie mogę. Myślę wszelako, że na zupełném zaokrągleniu brakowałoby Beniowskiemu, choćby on nawet w całej swojej zupełności był do nas doszedł. Przyczynę pewnej niewymierności tego poematu, w samym już planie, upatruję w tém, że się poeta zbyt często odrywał od pracy nad nim. Porzucał go, żeby przedsiębrać i wykonywać tymczasem inne rzeczy; a straciwszy w taki sposób pęd wzięty z początku, przy ostudzonym zapale odtwarzał go tylko sztucznie w sobie, kiedy wracał znowu do prowadzenia dalszych pieśni Beniowskiego.

W ogóle praca nad tym utworem przeciągnęła się dobrze aż w czasy towianizmu, przynajmniej do r. 1844. Tak np. w jednym miejscu wspomina poeta z ironią o Trentowskiego Cybernetyce. Takowa wyszła, jak wiadomo, w roku dopiero 1843. A zatem w tymto dopiero czasie najrychlej mógł być pisany ten ustęp. Z takiego zaś traktowania przedmiotu w różnych chwilach i w coraz innych usposobieniach ducha wynikło, jak naturalna, że

autor zmieniał co do niektórych części dawniejsze swoje postanowienia. Obalał i niszczył nieraz to, co już stało; a natomiast dopisywał lub projektował ustępy nowe. Wszystko to zaś robiło się na osobnych, ulotnych arkuszach. Dziś trudno bardzo odgadnąć, jak to wszystko autor spoić ostatecznie zamierzał, zwłaszcza że jak się rzekło, bardzo wiele z tego i poginęło. To też nie dziw, że przedstawia się dzisiaj cały ten utwór w bardzo chaotycznej postaci.

Powyższe spostrzeżenie usprawiedliwiają też najzupełniej dyspozycje cząstkowe, jakie znalazłem w trzech różnych miejscach manuskryptu, rzucone względem wykonać się mających dalszych pieśni poematu. Porównyując te projektowane dyspozycje ze sobą, okazuje się, że nie tylko się one pomiędzy sobą nie zgadzają, ale i ta część Beniowskiego, która ostatecznie została wykonaną, nie odpowiada żadnej z nich w zupełności.

Na drugiem miejscu, jako pracę niewątpliwie napisaną także w r. 1841, ale dopiero po ogłoszeniu Beniowskiego, wymieniam dramat napisany wierszem rymowym, w 5 aktach, który odbito pod tytułem „Niepoprawni“ w III tomie Pism pośmiertnych. Jestto znowu jeden z tych rzadkich Słowackiego utworów, które się wyjątkowo zachowały w całości, pomimo że się to dzieło znalazło tylko w brulionie. Obiegające po różnych rękach odpisy niniejszego dramatu, w kilka lat dopiero po śmierci autora z tego brulionu zrobione, nosiły napis „Nowa Dejanira“. Kto tę nazwę pierwszy sztuce tej nadał, powiedzieć tego nie umiem; ale co jest niezawodna, to że nie dał go sam poeta; w brulionie bowiem własnoręcznym nie ma żadnego tytułu. Uchyliłem przeto napis ten nie wiedzieć skąd narzucony, w przekonaniu że takowy nie tylko nie wyraża rzeczy, o którą chodzi, ale nawet utrudnia trafne spojrzenie na dążność tego dramatu, przeważnie satyryczną. Głównemi figurami są w nim oczywiście owe cztery śmieszne typy, wzięte z wyższej warstwy naszego społeczeństwa, która obok przykładów, przynoszących jej pod każdym względem zaszczyt i chlubę, niestety bynajmniej nie cierpi braku i takich

typów przewrotnych, do których pomimo wszystkich klęsk, jakich i ogół narodu i dotyczące nawet indywidua osobiście doznały, w zupełności daje się zastosować owo wyrzeczenie Napoleona o Burbonach, że się niczego nie nauczyli i niczego nie zapomnieli.— Zawikłanie kończy się wprawdzie z zadowoleniem wszystkich osób działających w dramacie; ale ten koniec przyjemny jest okupiony życiem człowieka, który przy całej swojej gburowatęj nieogładzie zawstydza tak pseudopoetyczne uniesienia pana Fantazego, jak sielankową niby bezinteresowność hrabiny Respektowej. Mamy tu zatem przeciwstawioną półdziką bezpośredniość Czerkiesa wykwin-towi naszej rzekomej cywilizacji, a sens moralny komedii bardzo rymuje ze znanymi słowami autora Pieśni o Ziemi naszej, wyrze- czonemi o „półpankach podolskich“.—

Trzecią kreacją, którą odnoszę do tegoż czasu, jest dramat ocalony zaledwie w mniejszej swojej połowie, niewiadomego tytu-łu, na domysł tylko przezwany *Złotą Czaszką* i pod tym też na- pisem ogłoszony w wydaniu lwowskim. Znalazł on się tylko w brulionie, na trzech arkuszach stanowiących jeden zeszytek, ale ze wszystkimi oznakami, że zeszyteków takich musiało da-wniej być więcej. Odmienny format i gatunek papieru, jako też cokolwiek większy kształt pisma, upoważniają do wniosku, że to utwór z innych czasów, jak wszystkie te poety naszego pra- ce, o których mówiliśmy w rozdziale jedenastym (Wallenrod, Jan Kaźmierz, Beatryx itd.); a znowuż sama forma „*Złotej Czaszki*“ zdaje mi się być skazówką dostateczną do bliższego jeszcze oznaczenia okresu życia autora, w którym mogło to być pisane. Albowiem prozę przeplatają tu ustępy wykonane wier- szem krótszym, ośmiozgłoskowym, którego Słowacki dawniej ni- gdy nie używał w dramatach,*) tak iż godzi się wnosić, że wła-

*) Fragmenty dramatu *Beniowski* wprawdzie mają już tenże sam rodzaj wiersza; ale to utwór fantastyczny, którego wcale liczyć nie można do robót scenicznych, o których tutaj mówię. Zresztą być mogło, że już i rzeczone fragmenty otrzymały ten rodzaj wiersza w skutek jakiego impulsu ze strony studyów nad Kalderonem.

ściwie dopiero praca nad przekładem *Książęcia Niezłomne- go* mogła go naprowadzić na myśl spróbowania tego rodzaju wier- sza i w oryginalnych utworach. W dalszych latach, jak wiadomo, zupełnie on się ku téj formie wiersza przechylił (X. Marek, Sen srebrny). Że zaś rzeczony przekład Kalderona, jak się to poniżej wskaże, przypada na lata, które tu mamy przed sobą: wnoszę zatem, że i *Złota Czaszka* była owocem czasu mię- dzy r. 1841 a 1842.

Jeżeli się godzi wnosić o całości, z ocalonego téjże początku, zdaje mi się, że *Złota Czaszka* byłaby należała do najle- pszych dzieł Słowackiego. Pozostałe z niej sceny są pełne życia i ruchu, a co najważniejsze, nawskróś narodowej fantazyi. Poeta przenosi nas w czasy owe pamiętne z różnych i klęsk narodowych i wysilen bohaterских za panowania Jana Kaźmierz. Miejszem zdarzeń jest rodzinny jego Krzemieniec. Tu więc wprowadza nas do jednego z dworków szlacheckich, gdzieś w zaciszu na przed- mieściu leżących, i zawięzuje sprawę na tle domowego życia i obyczaju ówczesnej szlachty. Ale dworek ten prywatny domoro- słego szlachcica przypiera, że tak powiem, do wielkiego gmachu sprawy powszechnéj. Składają się tedy i zdarzenia publiczne i zajścia familijne na zadzierzgnięcie w téj sztuce węzła dramaty- cznego. Duszą wszystkiego, co się dzieje, jest pan Strażnik krze- mieniecki, szlachcic niezamożny, ale dzielnej fantazyi. To też nie tylko od równych sobie jest on powszechnie szanowanym, ale nawet i panowie trafić do niego umieją, kiedy chodzi o posłu- żenie rzeczy pospolitéj. Stawał on za młodu już w niejednych terminach. Bywał, jak to mówią, i na wozie i pod wozem i już z niejednym nieprzyjacielem wiary świętej miał do czynienia. Dał on im się tam wprawdzie wszystkim dobrze w znaki, ale i oni oddali mu dobre za nadobne! Z jednej jakiejś bardzo gorącej przeprawy uniósł pan Strażnik z placu czerep tak pokiereszowany szablami, że okazała się potrzeba nadłożyć chyba już złotą bla- chą te dziury w głowie, na których polatanie już się skorupek czaszki nie było można doszukać. Nosi tedy od tego czasu na głowie czaszkę złotą... i właśnie przeto sąsiedzi go też z esty-

my pod tym już tylko przydomkiem znają. Serdeczna, dzielna to postać! jak się zdaje, główna osoba w dramacie.

Nie mogę pominąć tu milezieniem jednej uwagi, która mi się nasuwa z powodu sztuki niniejszej. Dramaty Słowackiego w ogóle nie grzeszą nigdy przesadą realizmu. Przeciwnie, właściwą im jest jakaś poetyczność czy idealność, posunięta czasem o wiele dalej, niżby sobie można życzyć. Są to nieraz — powiedziebmy można — więcej zajścia między ludźmi wyjątkowymi, którzy i gadają i myślą jakoś jak Słowacki — po poetycku: aniżeli przeprawy między ludźmi, jakimi ich Pan Bóg stworzył. Dramaty Juliusza mają pewne podobieństwo do obrazów Guido Reniego z tym kolorytem eterycznym i oświeceniem srebrzysto-błękitnawym, które więcej przypomina lazury niebios, oblane światłem księżyca w pełni wśród pogodnej jakiejś nocy czerwcowej, niż pełnobarwne rozłogi ziemskie o godzinie południowej pod gorącymi promieniami słońca. Otóż warto zauważyć, że zgola inaczej rzecz się ma ze Złotą Czaszką. Tu wyjątkowo realizmowi otworzono wrota na oścież: i weszło go do dramatu, ile go się tylko dało pomieścić. Okazuje się zatem, że i w ten ton nie trudno więc było uderzyć Słowackiemu, jeżeli tylko uważał to za stosowne. Że zaś do tego przyszło właśnie tym razem, to zdaniem mojem stąd pochodziło, że wprowadził tu autor same figury wzięte z życia i niezawodnie osobiście sobie znajome. Chodziło tu widocznie o oddanie choć raz w życiu, swemu rodzinnemu miasteczku tego honoru i hołdu, jaki zazwyczaj odbierają od poetów ich kąciki ojezyste. Miał spożytkowany tu być artystycznie Krzemieniec i te wszystkie reminiscencje poety, które się wiązały z krzemieniecką jego przeszłością. Ani zatem wątpię, że ten pan Milewicz, ten Gwardyan ze Zakrystyanem, ten Strażnik z całą swoją rodziną, nawet ten Skopek i Jankiel — byli to wszystko sami dobrzy niegdyś znajomi autora. Wszakże nawet ów tylko po imieniu tam wspomniany organista franciszkański Fok musiał sobie tego imienia pożyczyć od człowieka, który żył rzeczywiście i był... Słowackiego metrem muzyki! I tak się rzecz miała zapewne ze wszystkimi nie tylko charakterami działającymi

w tej sztuce, ale i miejscami, rzeczami, zwyczajami do niej wprowadzonymi. Był więc tym razem Słowacki podobny do malarza, który komponując jaki karton historyczny, przedstawiający sceny z dawno ubiegłych wieków, umieszcza na nim same tylko twarze znajome, same portrety rodziny swojej, przyjaciół, znajomych, słowem osób najbliższych swego serca.—

Nakoniec odnoszę także już do lat owych przekład jednej z najcenniejszych sztuk Kalderona, „*El Principe constante*“, **Książę Niezłomny**, chociaż tenże dopiero we dwa lata później (1844), już po ogłoszeniu Księdza Marka, wyszedł z druku.— Słowacki od dawna czuł w sobie pewien pociąg ku Kalderonowi. Jeszcze za pierwszego swego pobytu w Paryżu w r. 1831, wtrącił był taką wzmiankę o Kalderonie do jednego ze swoich listów:

„Brałem teraz lekcje hiszpańskiego języka i już teraz doskonale rozumiem Donkiszota. Nic równego, jak *Don Quixote*! Uczyłem się po hiszpańsku jedynie dla Kalderona tragedji, ale dotąd ich nie skosztowałem. Coto dla mnie będzie za źródło! Jest ich kilka set!... (z d. 20 października 1831).

W późniejszych latach, kiedy przebywał we Włoszech, znowu sobie przypominał o Kalderonie.

„Czasem chodzę rano do biblioteki (donosił o sobie z Florencji), czytać po hiszpańsku Kalderona i usypiam się jego brylantową i świętości pełną imaginacją.“ (d. 3 października 1837).

Z tém wszystkiem w owych czasach zajmowanie się tym hiszpańskim poetą musiało być tylko jednak dorywcze; nie widać bowiem w ówczesnych dziełach Słowackiego żadnego jeszcze wpływu tej „brylantowej imaginacji“. Język jego wprowadził zawsze był bujny i barwny i kwiecisty, ale nie w kalderonowym rodzaju. Zresztą widne były w pracach jego dawniejszych studia nad innymi wzorami: zrazu nad Byronem, później przeważnie nad Szekspirem.

Dopiero utwory z lat najpóźniejszych, **Książę Marek i Sen srebrny Salomei**, okazują przejęcie się zupełne duchem

dramaturgii hiszpańskiej. To mi służy za skazówkę, że bliższa znajomość z najpotężniejszym w tej dramaturgii mistrzem przypaść musiała na czasy, które napisanie obu tych co tylko nazwanych dzieł Słowackiego bezpośrednio poprzedziły, a zatem na lata, których dzieje kreśliły w tym rozdziale. A jeżeli w którym, to w tymto czasie także dokonany być musiał i niniejszy przekład sztuki *El principe constante*. — Jestto praca, godna pod każdym względem pióra autora Lilli Wenedy. Zbliżenie się do oryginału czy to pod względem dosłowności w szczegółach, czy artystyczne- go odtworzenia całej że tak rzekę fizjonomii tej hiszpańskiej kreacji, nie pozostawia nic do życzenia. A pomimo tej wierności przekładu, taka tam wydatność każdej myśli, takie zaokrąglenie każdego zwrotu, taka w każdym pociągu pióra doraźność i wyrazistość, że ażeby należycie ocenić zalety tego przelewu, trzeba tylko wziąć do ręki jakie w innym języku tłumaczenie tegoż dramatu. August Wilhelm Schlegel np. uchodzi, jak wiadomo, w literaturze swojej za jednego z najszcześniejszych tłumaczy arcydzieł obcych. A jednak kiedy jego przekład tej samej sztuki kalderonowej porównujemy z naszym, to się pokazuje, że u Schlegla sens wewnętrzny tekstu bywa bardzo często jakby zamglony, tak iż niełatwo cały tam pomysł autora jednym objęciem ogarnąć: podczas gdy dykcja Słowackiego wnika w umysł, jakby to był oryginał, nie tłumaczenie.

Dla tychto właśnie też zalet niniejszej pracy, zdało mi się, że ją odnieść należy do czasu przed opętaniem się poety naszego mglistymi mrzonkami towianizmu; bo potem — nie sędzę, żeby się jeszcze był potrafił Słowacki utrzymać w karchach tych przedmiotowych warunków, które razem wzięte stanowią zadanie i obowiązek tłumaczącego autora. W przeciwnym razie byłby choć od czasu do czasu ów duch nowy i niespokojny, co w nim od owej pory zamieszkał, targał gwałtownie ośnowę pierwowortu i przekształcał ją po swojemu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Rozbior Balladyny. — Skąd pochop do podjęcia pomysłu takiej tragedii? Analogie z tragikami starożytnymi — o ile duch wieków naszych przedhistorycznych żyje w płodach wyobraźni ludowej? „Maliny“ A. Chodźki i „Lilie“ Mickiewicza. — Główne idee w Balladynie — jak się takowe zbiegają w ostatecznym węźle dramatu? Znaczenie ustępów fantastycznych — jaki ich związek z całością sztuki? Rzut oka na „Sen Noce Letniej“ Szekspira. Rozbior charakteru bohaterki dramatu — rozwój jej roli — kolej działających na jej wolę pobudek. Analogie Balladyny z Lirem Szekspira — zapożyczenia z Makbeta. — Ogólne zdanie o tej sztuce.

Wracam teraz do rozbioru dzieł Słowackiego i podejmuję wątek, przerwany z końcem przedostatniego rozdziału. Pomówmy przedewszystkiem o **Balladynie**.

Z. Krasiński, który dał się słyszeć z zdaniem swoim o tym utworze przy różnych sposobnościach, a zawsze w takich słowach, iż wątpić nie można, że obok Anhellego stawiał Balladynę najwyżej między wszystkimi dziełami przyjaciela swojego,*) wyraził się w jednej ze swoich korespondencji (w liście do K. Gaszyńskiego), że jestto dzieło, które „w głowie Słowackiego duch Szekspira porodził.“ Nie przeczę temu bynajmniej, że niektóre szczegóły tragedii obecnej przypominają mistrza tego utwory. Jeżeliby jednak chodziło o ścisłą odpowiedź na zapytanie, kto pierwsze pulsy pomysłu do Balladyny że tak powiem, poruszył i rozwinął

*) Obacz mianowicie artykuł jego o Słowackim w Tygodniku poznańskim Literackim rok IV, str. 181. — List do R. Z. zamieszczony w Dodatku Czasu r 1859 Marzec str. 523. — W dziele „Wyjątki z Listów Z. K.“ strona 50 i 51. — Listy jego do Słowackiego, dotąd w całości nie ogłoszone drukiem, z których udzieliłem wyinków dotyczących w poprzedzających rozdziałach.

w wyobraźni Juliusza, to byłbym zdania, że ta inicjatywa wyszła od dawniejszego niż Szekspir a jednak bliższego nam wszystkim wieszczu. Niewątpliwie był Słowackiemu przewodnikiem na tej drodze nasz Kochanowski, autor *Odprawy Posłów*, a za jego pośrednictwem starożytna grecka tragedia.

Mieliśmy już sposobność przekonania się na podstawie własnych zeznań Juliusza, do jakiego stopnia posunięte u niego było rozmiłowanie w tym zygmunto wskim ojcu poetów, i jak mianowicie w owych latach, które Balladynę zrodziły, zwykł był nasz młody romantyk rozczytywać niemal codziennie klasyczne twory starego piewcy „Sobótek“. Czyżby nie był on miał zwrócić na to uwagi, że jedna lutnia, że właśnie pierwsza i taka lutnia w narodzie naszym, umiała wydać tony tak na pozór sobie przeciwne? że pierwsze umnicze spożytkowanie świętojańskiej pieśni ludowej, i pierwszy odlów w słowie polskim form greckich, były dziełem — téjsaméj ręki?... W Balladynie są obydwaj żywioły. Co większa, są tam ustępy, z których doraźnie bije woń, owiewająca w tak właściwy sobie sposób mianowicie owę pierwszą polską próbę dramatu, ów epizod homerowej tradycji, wskrzeszony do życia pod czarnolesską lipą, przy pisaniem dzbanie miodu staropolskiego, na wesele autora łacińskiej książki o rzymskim senacie i przytém... Hetmana wielkiego koronnego. Nie w myślach ani pojedynczych szczegółach to podobieństwo w Balladynie do *Odprawy Posłów* uderza. Słysząc je w rytmie, w tonie, w całym że tak rzekę nastroju ducha i lutni.

Próba Kochanowskiego przeniosła myśl Juliusza w owe wieki sofoklesowe, których „*Odprawa Posłów*“ była słabym tylko jeszcze odbłyskiem. Nie umiem powiedzieć, o ile tragicy greccy znani być mogli autorowi naszemu. Dokładnej ich znajomości oczywiście on nie posiadał. O czytaniu ich w pierwotworze nie może być nawet mowy. Bogdaj nawet i przekłady takowych na jaki język nowoczesny, np. na francuski, mógł on mieć przed sobą w Genewie. Nie ma tego ani śladu w jego ówczesnych listach. Nie ma też i w dziele samém żadnej zgola skazówki na to, żeby pod bezpośrednim przywodem starożytnych fantazyja jego była

miała kształty nadawać Balladynie. Mimo to wszystko śmiem twierdzić, że miał on tu przed oczyma tradycje Eurypidowe, a dowodzą tego i wyrazy niektóre rzucane w przedmowie do *Lilli Wenedy*. Czyto więc dalekie przypomnienie rzeczy słyszanych albo czytanych niegdyś w kraju kierowało tu jego myślą, czy też wpadło mu teraz właśnie dopiero w ręce jakie pismo przygodnie traktujące o dramaturgii greckiej: — dość że zaczął on rozmyślać nad kwestyą, czyby z sfery, z której starożytni mistrzowie wydobywali owe kreacje taki urok wywierające na całym narodem ogółem, nie dały się i w dzisiejszej jeszcze epoce wywoływać postaci i powieści, równie silnie działające na wyobraźnię?

Dramat grecki mieści się cały w obrębie stosunków heroicznych, więc przedhistorycznych, bajecznych. Z tej tylko kopalni, przez ojca wszystkich poetów, przez Homera jeszcze otwartą, wynosili Grecy materiał do przelania go na arcydzieła sceniczne. Świat rzeczywisty i codzienny, nawet i świat dziejowy, o ile go dosięgała pamięć opatrzona w daty i dokumenta — była to kraina, której wyobraźnia tragiców starożytnych nie nawiedzała wcale. Na tym stałym, suchym łądzie, ubitym stopą zwyczajnych śmiertelników, oni ani nie widzieli ani nie przypuszczali poezyi. Wybiegali myślą swoją tylko na otwarte i wolne morze przedbytu historycznego, którego nie krępowały żadne więzy konwencji ani w mniemaniach ani w ustanowieniach...

Czyżby nasze narodowe podania, po za widokiem pewnych dziejów leżące, miały być dla poety mniej wdzięczną niwą? Miałyby zamglone naszych herosów postaci, żyjące do tej pory w potężnej ludu pamięci, być zdolne tylko wspomnień w piosence gminnej? Nie jestże to kruszec surowy, który i dzisiaj jeszcze, i u nas także, dałby się odlać na dzieło szczerzotłój, artystycznej poezyi, byleby tylko jęła się tej pracy ręka prawdziwie powołana do tego? Napróżnoż zdaje się gminowi naszemu, że słyszy i teraz jeszcze po lasach tętent łowca niewidzialnego i psów łajanie po nocy; że go dochodzą z pod przezroczystych fal Gopła albo Bałtyku dzwony pokutne miast potępionych; że się wydobywają w pewnych dniach roku, z pod porośłych mchem odwiecznym

gruzów kruszwickich, jęki jak gdyby wzywające litości; że dziewica ujęta snem nieprzespanym — tam pod mogiłą niedaleko Krakusowego grodu — kiedyś zbudzi się jeszcze i powróci na ziemię, żeby zaznać, co to szczęście, co to luby... swojego rodu —

Skutkiem takichto rozmyślań nad znaczeniem nie zużytych dotąd podań naszych mytycznych — z punktu widzenia pokrewieństwa takowych ze sferą tragedii starożytnej, wpadł poeta nasz na kierunek praktyki poetyckiej, w którym wydatniej niż we wszystkiem inném, miała się odsłonić oryginalność genialnej jego fantazyi. Powziął zamiar, stworzyć na tle podań rzeczonych cały cykl dramatycznych utworów. Miał on się składać z sześciu odrębnych tragedii. Pierwszą pracą na tej drodze była właśnie *Balladyna*, dzieło rzeczywiście tego rodzaju, że mógł się autor o niem w liście do matki wyrazić, że otwiera ono nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą; że jest całę podobne do starej ballady — ułożone tak, jak gdyby gmin je układał, — przeciwne zupełnie prawdzie historycznej — czasem (słowa autora) przeciwne podobieństwu do prawdy, ludzie jednak w niem są prawdziwi i mają w sercu nasze serca...

Ta ludowość, widna w całym sposobie przeprowadzenia *Balladyny*, nie było jednak cel, o któryby poecie było chodziło jako o rzecz najgłówniejszą. Było to raczej mimowolne tylko następstwo wyboru przedmiotu, a raczej wyboru sfery, w którą zamierzał wlać życie. Odtwarzać u nas wieki mytyczne — jest to w ostatecznym skutku to samo, co malować kolorami wyobraźni gminu naszego.

Starożytnym tragikom łatwiej było radzić sobie w tej trudnej pracy przelewania mglistych przeddziejowych wspomnień w kształty plastyczne. Najprzód bowiem wiek, w którym żyli, nie tyle był odsunięty od czasów, z których ów materiał czerpali. Wyznawali tę samą religią, co ich bohaterowie bajeczni; kierowali się w życiu temi samemi pojęciami, wierzyli w tenże wymiar sprawiedliwości, w tenże rodzaj opieki ze strony niebios nad światem. A potem, leżała przed nimi otwarta księga Homera! W księdze

tej widziały kanon wiary i tradycyi ojczyściej tak dobrze owe pokolenia, które wojnę peloponeską toczyły. Jak generacye, z łona których wyszła *Ilias* i *Odysea*. Platon, wyobraziciel epoki najpiękniejszego myśli greckiej rozkwitu, co chwila się posługuje przytoczeniami z tych narodowych rapsodyi, rozstrzygając niemi nieraz najzawilsze i najoderwańsze zagadnienia filozoficzne.

My takiego zabytku, takiego przedchrześcijańskiej Polski zwierciadła nie posiadamy. W historycznym względzie bardzo mało, w obyczajowym nie nam wcale o niej nie jest wiadomo. Czujemy to wprawdzie wszyscy, że wyobrażenia nasze, choćby były urobione na tle stósunków nawet najdawniejszej naszej historycznej epoki, nie mogą przystawać do tych wieków zamierzchłych, które od czasów bolesławowskich przedzieliła cała nieskończoność różnic tak wiary jak powszechniej kultury. Uznajemy zatem nieodzowną konieczność wyszukania sobie do tego barw i kształtów zgola odrębnych. Lecz skąd je wziąć? jak je sobie urobić? — w tém właśnie trudność niepokonana!

Jedyną drogą, jaka się tu nastęrcza, jest chyba pójść w ślady za Chodakowskim i szukać u ludu ostatnich śladów tej cywilizacji rodzimiej, która w wyższych warstwach równocześnie z przyjęciem chrześcijaństwa ustąpiła miejsca obcej ducha ogłędzie. Tą drogą puścił się też tutaj Słowacki.

Wprawdzie i ten sposób nie koniecznie wiedzie do celu. Od czasu wystąpienia właśnie wspomnianego entuzjasty dla wszystkiego, co tylko gminne — mija już oto połowa wieku. Pomimo usiłowań tak pierwszych jak późniejszych zwolenników tego kierunku, pomimo tak nieznużonego zbierania pieśni ludowych, skazek, przysłówi itd. prowadzonego systematycznie przez lat dobrze 30 po wszystkich kraju zakątkach, nie otrzymaliśmy żadnego promienia światła, któreby potrafiło przedrzeć zasłonę tej krainy zaczarowanej i uczynić ją widną dla oczu naszych. Co gorsza, trzeźwe i umiejętne badania zgromadzonych w ów sposób materiałów odebrały nawet w zasadzie kredyt wynikiem poszukiwań w tym zakresie podejmowanych. Szacowna książka Berwińskiego niepomahała zachwiać wiarę w możność odszukania klucza, o któ-

ry chodzi, w zasobach tej tak zrazu przecenionej spuścizny. Trudno się już po dziś dzień ludzi nadzieją, żeby choć nawet w przyszłości okazać się miała pomoc jaka dla badań naszych — z tej strony.

Mimo to wszystko, aczkolwiek więc nie dla historii, to dla poezji mają poszukiwania rzeczono wszelako wielką doniosłość. Natura pieśni gminnej ma w sobie zawsze coś ożywczego. Sposób, w jaki nieuczona, tradycyjnym tylko instynktem powodująca się wyobraźnia warstw sielskich wystawia sobie rzeczy, może być dla artysty przydatnym już dla tego samego, że się różni od sposobu pojmowania takowych przez wyższe klasy. Jest w tym sposobie ludowym zawsze jakaś cząstka rodzinnych, samorodnych pierwiastków. Aczkolwiek wobec bezwzględnej prawdy nie można go pożytywać za autentyczny i nieomylny wizerunek pierwotności słowiańskiej, to konwencyjnie wszelako on za takowy dość powszechnie uchodzi i ma prawo zastępować go w sztuce. Historyk z dokumentami w ręku wykaże w wyobrażeniach gminu późniejsze albo obcego pochodzenia naleciałości. Ogół narodu, biorący rzeczy mniej ściśle, uczuje w nich woń wieków będących dla uczonego zagadką, i efekt poetyczny będzie więc osiągnięty.

Takimto więc instynktem świadomie czy mimowiednie, lecz w każdym razie trafnie wiedziony Słowacki, zamierzył w obecnym dramacie swoim zawrzeć obraz świata i tego „co się na nim tak dziwnie plecie“ w duchu fantazyi gminnej. Postawił się myślą jakby w położeniu naiwnego prostaczka, co snuje swoje skazkę na tle popielowych stuleci nie znając wcale kronikarskich o tychże czasach powieści. Za punkt zarodny wziął sobie myśl kilku ballad, a raczej kilku piosnek ludowych, których surowy materiał w części już był wtedy przerobiony artystycznie przez współczesnych poetów. Głównie dostarczyła mu treści znana owa, bo na całej przestrzeni kraju naszego przez lud śpiewywana powiastka o dwóch córkach prostej wieśniaczki, w równym stopniu pokochanych przez jakiegoś wielkiego pana, które wysłano na maliny, ażeby samo szczęście rozstrzygło, która z nich ma zostać żoną rycerza. Powiastka ta, słabiuchno przela-

na w kształty ballady przez Al. Chodźkę, była wielona już wtedy do zasobów piśmiennej literatury. Drugim źródłem, z którego mógł zaczerpnąć autor Balladyny niejedno, były Lilie Mickiewicza. W Malinach Chodźki mowa tylko o zewnętrznych zdarzeniach. W Liliach odsłania się i wewnętrzny stan duszy owej zbrodniarki, „której nie żał było rozboju, ale tylko strach kary.“

„Ach pójde aż do piekła,
Zniosę bicze, pochodnie:
Byleby moje zbrodnie
Wieczysta noc powlekła! “ —

Na tém tle zewnętrznych zdarzeń i wewnętrznych usposobień, wklających się w jeden ciąg zbrodniczo przebitego żywota, stawil poeta i inne jeszcze figury. Ten pustelnik siwy, co zna siłę każdego ziela i leczy wszystkie słabości, a za młodu władał berłem jako dziedziczny król ludu — ten dobry rycerz od stóp do głów w zbroję zakuty, po całym świecie jeżdżący, żeby karcić występki, a pódawać rękę pokrzywdzonemu — ta matka uboga, której się własna córka zostawszy wielką panią wyparła — ten kusiciel w postaci niemieckiego przybłedy — ten król dzwonkowy, czarodziejskim sposobem przemieniony z prostego chłopca — ten piorun z nieba, uderzający w winowajcę, którego przymusiły okoliczności do wydania na samego siebie wyroku... wreszcie te nadmysłowe, cudotwórcze, fantastyczne istoty, żyjące między ludźmi i niepomału wpływające na ich postanowienia: — wszystko to są rysy ze wszech miar odpowiednie wyobrażeniom ludu naszego, a nawet i żyjące z osobna w jego powieściach.

Poety dziełem — że je natchnął pełniejszym życiem, że otworzył wnętrze ich serc, że je połączył, że z połączenia tego stworzył świat nie tylko nowy, ale zdolny w najwyższym stopniu zająć uwagę człowieka stojącego na wysokości dzisiejszego usposobienia warstw wykształconych. Podłożył bowiem zawikłaniu, na pozór wymarzonemu przez dziecięcą fantazyą, ideje wiekiście prawdziwe. Pod osłoną stósunków, materialnie biorąc miejscowych i znikomych, ukrył filozofemat ogólny, wynik długich rozmyślań swoich

nad tokiem spraw i kolei ludzkich, nad tym czterowierszem tak znanym wieszczą czarnoleskiego:

„Wszystko się dziwnie plecie

Na tym tu biednym świecie!

A kto by chciał rozumem wszystkiego dochodzić,

I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.“

Ten problemat nierozwikłany, tę niepojętą dla rozumów naszych zagadkę, to godło powtórzone i przez Malczeskiego na czele Maryi, pokusił się w Balladynie nasz Juliusz poddać pod analizę. Jeśli przełożymy stworzone przez nich plastyczne kształty poezji, na język myślącego rozumu, wypowiemy całe przekonanie poety w tych kilku słowach: Ostatecznie składa się wprawdzie wszystko na świecie podług woli Opatrzności. Ona jedna ostatecznie wszystkiemi i wszystkimi kieruje. Ale opatrzność bezpośrednio nie działa. Są siły, czy raczej prądy, z osobna i najróżniejszymi drogami i w najrozmaitszych kierunkach działające na to wszystko, co zwiemy przedzą życia czyjego. Biorąc wpływy te poszczególnie, okazuje się, że nigdy się to nie łączy, ku czemu nawodzi i prze i popycha moment taki osobny. Rezultat dopiero i suma zawikłania tych wszystkich sprężyn razem: — to jest co ostatecznie kieruje światem. W tém też właśnie połączeniu ich wszystkich objawia się Opatrzność. —

A jakież są te poszczególne impulsy, którym podlegają uczynki nasze?

Nasamprzód nasze własne zamiary, rachuby, słowem postanowienia ludzkie.

Jeśli nie prawie zawsze, to nader często ślepy przypadek, ten niewinny figlarz mieszający nam szyki.

Nie mniej znaczy tu i demonizm, ta potęga wyższa nie raz nad wolę i nad rozum człowieka — już to w własnem sercu brojąca, już kusząca nas z otoczenia.

Daléj: logika zdarzeń, nieodzowny fatalizm czynów, któreśmi spełnili sami. Co tak trafnie wyraził Schiller: — „Das ist der Fluch der bösen That, dass sie fortzeugend Böses muss gebären.“

Nakoniec — wprawdzie bardzo rzadko i wyjątkowo: Palec boży, ta bezpośrednia interwencja niebios, działająca, kiedy wszystkie stopniowania pośrednictw ludzkich zawiodły...

Pospolicie w życiu kładziemy przycisk wedle usposobienia naszego to na téj, to na owéj, ale zwykle na jednéj tylko z pomiędzy pięciorga potęg, w połączeniu tu wyrażonych. Człowiek praktyczny i racjonalny, wierząc w bezwzględną prawdę przysłówia, „jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz“, składa zazwyczaj wszystko na własną wolę ludzką. Umysł lekki lub materyalny wszystko odnosi do przypadku. Zabobonni w każdym zdarzeniu widzą utajoną władzę złego, lub wreszcie w pewnych razach dobrego, któreto władze prowadzą klientów swoich prostym gościńcem do piekła albo do nieba. Fataliści koją zmartwienia domowe i publiczne rezygnacją, i prawią że co się stało, stać się musiało — nie pytając wcale o to, skąd wychodzi ten ślepy przymus. A religianci, w mniej wzniosłym znaczeniu tego wyrazu, upatrują we wszystkiemi cuda i wszystkiego dobrego się spodziewają tylko od cudów.

Autor Balladyny przyjął wszystkie pięć wyobrażeń za prawdziwe, a raczéj uczynił je dopiero prawdziwemi właśnie przeto, że żadnego z nich nie wykluczył. Pojednał je i połączył je wszystkie, i ustąpiował jako piętrzące się władze, na obraz i podobieństwo coraz wyższych instancji rządzących światem...

Przeprowadzenie tego pomysłu stanowi właśnie mistrzowską stronę dzieła leżącego przed nami. I tylko z tego punktu widzenia Balladyna, mimo wszystkiego coby w niej wytknąć można jako niedostatek, a raczéj jako nadmiar (z téj właśnie strony najwięcej bowiem możnaby dziełu temu zrobić zarzutów), okazuje się rzeczywiście najgłębszą może kreacją Słowackiego, w każdym razie utworem godnym jego geniuszu.

Żeby się o tém przekonać: przejdźmy do szczegółów.

Przedewszystkiemi określimy sobie chwilę dziejową, na którą przypada zmyślenie, służące za ośnowę dramatu.

Dzieje nasze zapamiętały przesilenie się czasów, dokonane w skutek upadku dynastji Popielów na rzecz Piasta i jego rodziny.

Na tę to chwilę ostatnich rządów rodu popielowego, przed powołaniem jeszcze Piasta do tronu, przenosi fikcyą swoją Słowacki. Byłyto czasy posępne. Przekleństwo i jego skutki, jak woń zło-wieszczą przenikająca powietrze, obejmowały kraj cały. Ostatni z Popielów, czwarty tego imienia, dostał się do władzy nad na-rodem zdradą i zbrodnią. Zepchnął z tronu starszego brata, a po ujęciu tegoż z stolicy, pozostałe po nim sieroty okrutnie zgła-dził ze świata. Od tego czasu minęło lat 20. Dawniejszy książę, już zapomniany przez wszystkich, pędzi życie w głębokich lasach jako pustelnik. Nikomu nie wiadomo, kto się ukrywa w osobie tego pustelnika, ale chatka jego często bywa nawiedzana przez ludzi potrzebujących dobrej rady czy to w chorobie, czy inną jakiej przygodzie. Od czasu objęcia rządów przez nowego monar-chę, zlewają się na Polskę wszelkie nieszczęścia. Popiel IV pa-nuje po tyrańsku. Co gorsza, dawniejszy książę usuwając się na wygnanie, potrafił unieść z sobą koronę królewską. Była to ko-rona cudowna, od czasów Lecha z błogosławieństwem noszona przez wszystkie pokolenia dziedziczących rządy nad Polską. Przy-wiazał do jej dziejów poeta myt, zaczerpnięty z własnej fantazyi, niepospolitej piękności poetycznej, myt sięgający jeszcze oddaleń-szej przeszłości, bo aż kolyski Chrystusa... Skutkiem nadzwyczajnych kolei, jakie klejnot rzeczony kiedyś przechodził, miał on władzę cudowną.

„Korona Lecha sławną niegdyś była!

W niej szczęście ludu, w niej krainy siła

Cudem zamknięta“...

Korona fałszywa i podrobiona, której przywłaszczyciel uży-wał, nie miała żadnej mocy, a przekleństwo nań rzucone przez ojca dzieciąt zamordowanych działało.

Nie tylko przeto nękały naród pomory, głód, szarańcza i nieznane nigdy dawniej okrucieństwo panującego, ale zepsucie do-stało się i do serc ludzkich. Ludzie w całym królestwie stawali się coraz gorsi...

Na tém tle poczyna się akcyja dramatu. —

W przedmowie powiada autor, że jego tragedia, że jego Balladyna „wychodzi na świat z aryostycznym uśmiechem na twarzy, urągając się z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie.“ Wyrażenie to ściąga się głównie do aktu pierwszego, w którym zamiary ludzkie i ironia ślepego przypadku dziwnie się z sobą krzyżują.

Oto stoi przed nami młody, dorodny i dzielny rycerz, pan warownego zamku i licznych do koła włości. Zamyśla poszukać sobie żony. Chciałby uczynić wybór jak najszczęśliwszy. Nie za-ślepiea go ani żądza wielkości ani ponęta bogactw. Nie uwodzi się nawet samymi powabami urody. Pragnie znaleźć dziewczę

„Białą, jak w rękę anielskiego stróża

Kwiat lilijowy: niech jej słowik śpiewny

Zazdrości głosu, a synogarlica

Wiernością zrówna. Gdzie taka dziewczica?“

Nie ufając własnym zabiegom, ogląda się za pewniejszym sposobem ustalenia swojego szczęścia. Udaje się do pustelnika, o którym słyszał, że mu nikt nie zrówna rozumem, i prosi go, ażeby mu albo wskazał taką dziewczynę, albo przynajmniej po-wiedział, co czynić, żeby ją znaleźć. Obydwaj wspólnie układają, co im się widzi najlepsze. Stało na tém, że nie ma Kirkor szukać sobie kochanki ani pod złocistymi dachami królów, ani nawet w pańskich pałacach. Po za tymi wysokimi progami, mó-wi Popiel trzeci, owym pustelnikiem będący, rzadko kiedy prze-mieszkuje to, czego Kirkor pragnie.

„Tylu ludzi biegło

Z pierścionkiem ślubnym za marą wielkości,

A prawie wszyscy wzięli kość niezgody,

Zamiast straconej z żebra swego kości.“

Więc ty postap sobie inaczej. Niech cię złocista karetą wie-zie do jakiej niskiej lepianki. Szukaj prostoty, a resztę zostaw losowi.

„Ani się wahaj, weź pannę ubogą,

Żeń się z prostotą, i niechaj ci błogo

I lepiej będzie, niżbyś miał z królowną.
 Do biednej chaty idź synu na pewno!
 Niechaj ci pierwsza jaskółka pokaże,
 Pod jaką belką gniazdo ulepiła.
 Gdzie okienkami błysną dziewic twarze,
 A dach słomiany —

tam czeka na cię żona karna, miła, niewinna“...

Jak widzimy, rozum ludzki uczynił tedy w sprawie tej wszystko, co tylko zrobić mógł, ażeby się nie pomylić. Postanowienie Kirkora zapadło z zachowaniem wszelkich ostrożności — odwołał się do doświadczenia — kierują nim chęci najlepsze: — i do czegoż go to doprowadziło? — Oto przypadkiem wywraca się i łamie powóz jego na jakimś mostku. Niedaleko tego mostku jest siolo, a w niem oczywiście różne ubogich ludzi chatki pod strzechą; ale przypadek chciał, żeby Kirkor szukający noclegu zajechał do tej właśnie między niemi, w której mieszkała matka Balladyny i Aliny. Trzeba było znowu szczególnego przypadku, że się naszemu rycerzowi oba dziewczęta porówno spodobały. Przypadkiem, ni stąd ni zowąd, przyszło stariej wdowie do głowy, żeby wybór, która z jej córek ma zostać jego małżonką, zrobić zależnym znowu od przypadku, t. j. od zbierania owych malin, na które wysłano obie dziewczyny... Postanowienie więc Kirkora i pustelnika w to godziło, żeby się wyrzucić wszelkich świetności i mieć za to pocziwą, choć biedną żonę. A ślepy, bezmyślny, psotny przypadek podsunął mu... Balladynę!

Ale pocie naszemu nie wystarczało, okazać ironią tego niewinnego psotnika w samych tylko téjże ironii objawach. Chciał on go okazać i w widomych jego kształtach. Chodziło o nadanie ciała temu abstrakcyjnemu słowu: przypadek... W tymto celu wprowadził on tu w sam środek rzeczywistych działań ludzkich, świat fantastyczny. Współdziałanie świata czarodziejskiego pierwotna wyobraźnia ludowa wszędzie przypuszcza. Moment ten zatem wziął autor Balladyny, jak wszystko w tym dramacie, od ludu. Ale wycisnął na nim swój stempel. Podłożył mu, wprowadzicie w fantastyczny sposób, znaczenie, które może

być zrozumiałem i dla dzisiejszej reflexyi. Goplana, Skierka, Chochlik i cały ten świat — lekki, jak bańka mydlana, powiewny jak liść ajeru, znikomy jak barwy tęczy, krzyżujący czasem szkolniwie uczynki ludzkie, a w gruncie dobroduszny i nigdy ze złym zamiarem — to tylko więc poetyczne, po arystostowsku pomyślane uosobienie przypadku.

Rozumie się samo przez się, że w pomyśle tak eterycznie powiewnym, jak cały ten dział obecnego dramatu, nie można spodziewać się, żeby każde poszczególne w nim słowo, każdy rys, każdy że tak powiem puls rozigranej imaginacyi autora wytrzymał rozbiór rozkładającej krytyki. Niepodobna zagadywać każdego tutaj szczegółu: a na co ty tutaj? a co ty znaczysz?... Pedanterya przesadna psuje wszystko w razach podobnych. Sztynię i na szczudłach samych tylko rozsądkowych pojęć kroczącej allegoryi Słowacki dawać tu nie zamierzył. Dobrą połowę ruchu w tém falowaniu złudnej fantazmagoryi zdać trzeba na karb bujań fantazyi, która się nie poczuwa do ścisłego rachunku z tego, co czyni. Lecz weźmy tę fantastyczność współdziałającą w naszym dramacie w całym onęj ogóle: a przyznamy, że tylko w taki sposób można jej znaczenie wykladać.

Cała postać Goplany, wszystko co tylko ona czyni, wszystko czego nawet sama doznaje: to tylko zmysłowe uwiadomienie przypadku. Istota ta napowietrzna, uwiana z zorzy i woni, lekka jak chmurka płynąca niebem — poetyczna do przesady, pocziwa od stóp do głowy, cały świat duchów i duszków mająca na rozkazy, słowiki ucząca piosnek, jaskółki z wiosną zbudzająca z topieli, zaścielająca niwy tęczami kwiatów... taka istota rozmilowuje się w prozaicznym pijaku, w rumianym, głupkowatym i sprośnym Grabcu! Nie jestżeto prawdziwa ironia losu? Oto ją widzimy wychodzącą za pierwszym wiosny powiewem z pod toni Gopla, na dnie którego spędziła zimę. Nie marzy o niczem, tylko o piękności człowieka, który tej zimy w jeziorze owem się topił. Niewymownie tęskni do niego. Pragnie co rychlej ujrzyć go znowu i być od niego kochaną, tak jak go sama kocha. Goplana nie wie — kto jej kochanek? Nie zna go jeszcze.

Nie była zdolna objąć wzrokiem należycie całej jego postaci, kiedy był zanurzony w przerebli. Trwało to krótko — zresztą była to pora martwój niemocy i jakby skamieniałej sennieści, której Goplana przez ciąg zimy podlega wraz z całą przyrodą poddaną pod jej rozkazy jako królowej jednego z działów natury. Był to więc dla niej stan snu i jawy na poły. Kochankiem Goplany będzie zatem każdy człowiek, który pierwszy zajdzie jej teraz drogę... I oto przyszedł był na to miejsce młody pasterz, figura żywcem wykrojona z jakiej sycylijskiej sielanki, sentymentalny, westchnieniami tylko żyjący Filon. Nienasycony w tęsknocie, cały zatopiony w łzawych dumaniach, wędruje on przez świat cały i szuka wymarzonej kochanki. Ale ideał jego pozostaje „nieznalezionym, jak się wyraża, obrazem“ w sercu tylko jego żyjącym. Ani żniwiarki, ani nawet królowy nie potrafiły poetycznej jego duszy natchnąć zachwytem. Nie ma dla niego szczęścia na ziemi. Chyba tajemnicze łono wód wyda kiedy taką istotę, jakiej on szuka. Chyba mgły powiewne zrodzą dla niego kochankę. Do mgieł takich stósując to co extatycznie maluje, powiada Filon:

„Nieraz poglądałem

Na białe płótna, łąk jasną zielenią

Słońcu podane, rojąc serca szaleń

Że z bieli płócien, jako z morskiej piany

Alabastrowa miłości bogini

Wyjdzie na słońce“...

Otóż nakoniec wyszło w samej rzeczy z głębi Gopla coś bardzo podobnego do tej „alabastrowej bogini.“ Goplana — to stworzona dla Filona kochanka! Filon — to wymarzony kochanek dla niej. I cóż? czy się pokochali wzajemnie? Czy się znaleźli? — Bynajmniej! Jedna chwila popsula wszystko. Filon wprawdzie przechodził przez owo miejsce, ale niestety przyszedł na nie za wcześnie i — przeszedł. Za ledwie odszedł, wynikała z wód fantastyczna królowa Gopla. I spotyka na swojej drodze — kogo nasamprzód? Spotyka gburowatego parobka, który jej miłość odpycha! Ona mu ~~mu~~ szepce o czystości dziewiczej, o malinach i

poziomkach, które będzie dla niego rwała, o rozłogach łąk i gajów, które wieczorem wspólnie nawiedzać mają.

„Będziemy błądzili,

Kiedy księżyc przyświeca, kiedy słowik kwili,

Nad falą szklistych jezior, pod wielkim modrzewiem

Będziemy razem marzyć przy księżycu...“

A Grabiec ani rozumie tego wszystkiego! Nazywa Goplanę rybą, galaretą, szklaną zmorą, koczokodanem... a jej poetyczne ekspektoracje odpłaca, chwając sobie karczmę i gorzałkę, dziewczuchy wiejskie przy sianożęciu itp. Nie jestże to wszystko prawdziwą igraszką losu, którą tak powszechnie uważamy za synonim z przypadkowością? Nawet ów nieodłączny od wyobrażenia przypadku przymiot, ślepotę, widocznie chciał poeta przedmiotowo wystawić w roli Goplany, kiedy jej każe do osmołonego, „w czerwonej umazganego rudzie,“ same sprośności gadającego pijaka, mówić takie słowa, jak „piękny młodzieńcze!“ — „słowa jego wonne przynosi wiatr wiosenny do mojego ucha“, —

„Niech zorza różana

Pierwsze mu blaski na oblicze rzuci;

Lecz niech się zorza na poły zasmuci

I płaczem rosy słońce tak przesłoni,

Aby łagodne, powiek nie raziło“ itd.

Kontrasty te sprawiają wrażenia śmieszne; ale z punktu widzenia samej tylko humorystyki nie mogłyby być dostatecznie wytłómaczone.

Podobnie uwidomieniem zrzążeń samej tylko przypadkowości nazwać należy całą tę interwencję, jakiej się Goplana względem działań ludzkich dopuszcza. Grabiec nie chce przychodzić wieczorem do Goplany, gdyż właśnie wieczorami czeka na niego za borem Balladyna, z którą on ma znajomość. Ażeby go skłonić ku sobie, widzi się Goplanę w konieczności usunąć stąd ową dziewczynę. Usunięcie to nie może być ze szkodą dla Balladyny, bo Goplana jest dobra, szkodzić nikomu nie chce. Lecz można ją z tych stron oddalić w jaki inny sposób, bez szkody dla niej.

Oto właśnie szuka Kirkor dziewic po świecie, co mieszkają w ubogich chatkach. Niechże zajędzie do chaty Balladyny! niech ona właśnie zostanie wielką panią... Na rozkaz królowej swojej, sprawa to Skierka, że się załamuje ów mostek pod powozem Kirkora! Ale Kirkor mógłby i z tego jeszcze miejsca do niejednej innej lepianki trafić. Skierka go tedy wie dzie echem napowietrznej muzyki, właśnie do mieszkania matki dwóch dziewczyn, które mu pani jego wskazała. Skutkiem okoliczności, że Skierka nie zrozumiał dokładnie danego sobie rozkazu, zlewa on czary miłosne zamiast na jedną, na obie siostry. Tak więc jego to sprawa, że pokochał nasz rycerz i Balladynę i Alinę porówno. Z tego wynika nowa trudność, nowa zawilość. Z obiema niepodobna się żenić, trzeba koniecznie wybrać sobie jedną tylko, — a jak to zrobić, kiedy obie krasawice porówno nęcą ku sobie? Myśl wysłania córek na malinowe wyścigi wychodzi znowu od Skierki. Uosobienie przypadku szepnęło stariej wdowie do ucha, żeby rzecz zdać na przypadek: i tak cały ruch akcji, w zakresie pierwszego aktu, kierowany jest, jak widzimy, przeważnie tą właśnie sprężyną przypadkowości, przyrodzianej w kształty fantastycznego świata.

Upatrując takie znaczenie w fantastycznych ustępach Balladyny, wiem o tym, że inni inaczej je sobie tłómaczą. Według ich zdania powodował się tu poeta chęcią uzupełnienia charakteru epoki, na tle której sprawa się dzieje, przez dołożenie do osnowy dramatu, i tego czarodziejskiego wątku, tak integralnie należącego do tkanki wszystkiego, co tylko sobie o tych czasach snuje wyobraźnia ludu naszego. Oprócz tego miało i o to chodzić tu Słowackiemu, ażeby cudownością złagodzić okropność właściwej akcji. Na akcyą tę, według zdania dawniejszych recenzentów, istoty fantastyczne wewnętrznego wpływu w tym dziele bynajmniej nie wywierają; gdyż co tylko się w nim dzieje, dzieje się z czysto ludzkich pobudek; a moment czarodziejski wszystko to tylko jakby dla ozdoby samej owiewa...

Obydwa te powody nie zdają mi się tu wcale wystarczające. A twierdzenie, jakoby między fantastycznym a ludzkim światem

w tym dramacie nie miało być żadnego przyczynowego związku, wydaje mi się wręcz mylném. W początkowej części Balladyny ze sfery tej wychodzą właśnie najważniejsze powody. W dalszych dopiero częściach moment ten cofnięty zostaje w głąb obrazu i zastępują go inne sprężyny działania. A nawet i tam jeszcze działa niekiedy przypadek (np. w scenie czwartej aktu IIIgo, gdzie za sprawą czarodziejskich tych istot dostaje się zaginiona korona królewska na głowę Grabca). W ogóle w pierwszym akcie daje świat fantastyczny impulsu prawie do całego nawiązania wydarzeń. Jest on tu jakby tym wietrzykiem albo ptaszkiem maleńkim na najwyższym wierzchołku góry, co niechęć porusza kuleczkę śniegu, mającą się niezadługo przemienić w lawinę zniszczenia i okropności. Zbrodnie dramatu niniejszego rodzą się wprawdzie z innych zasobów i urastają w monstrualności własną siłą, jako i lawina toczy się z góry własnym ciężarem. Ale jak nie byłoby lawiny, gdyby coś nie było stworzyło pierwszego onęj zawiązku, tak i Balladyna nie byłaby przyszła w pokuszenie zabicia siostry, a w następstwie dalszém popelnienia i innych występków, gdyby sam przypadek nie był jej do tego dał sposobności i zewnętrznej potrzeby.

Co większa, utrzymuję: że nie chciał związku rzeczowego widzieć w budowie Balladyny, jestto odmawiać jej wszelkich zalet artystycznego przyprowadzenia! Mamy tu przed sobą jakby dwie wstęgi, dwie melodie równocześnie płynące. Historia Balladyny i tych którzy ją otaczają, to jedno. Romans Goplany z Grabcem — to drugie. Przypuszczać bytność tych dwóch zawiązków w sztuce — bez wzajemnego wplatania się jednego wątku w drugi — byłoby to odmawiać dziełu temu jednolitości, bez której nie ma ani piękności ani nawet logiki. Według naszego zaś wykładu, cała rola Goplany nie tylko splywa z główną osnową dramatu, lecz owszem stanowi jedno z wewnętrznych własnych jej włókien.

Nastęcza się tu samo przez się porównanie Słowackiego z Szekspirem, który w jednym z utworów swoich w bardzo podobny sposób sceny ludzkich działań przeplata zajściami mającymi miejsce pomiędzy istotami nadzmysłowemi. Ani wątpić o tym nie można,

że „Sen Nocy Letniej” był w tym względzie dla Słowackiego wzorem, a jeżeli wreszcie nie wzorem, to skazówką i materiałem przydatnych dla poety spostrzeżeń.

Pod jednym tylko względem zachodzi zupełne podobieństwo między Balladyną a rzeczoną angielskiego wieszczka komedią. Jako tam, tak i w Śnie Nocy Letniej fantastyczne istoty wpływają na sprawy ludzkie w sposób istotny. U Szekspira okazuje się to nawet o wiele oczywistej, aniżeli u Słowackiego. Role ludzi tej komedii są w ogóle tylko podrzędna i akcesoryalna jej częścią. Postępowanie tychże tak dalece jest kierowane wolą tej niewidzialnej dla nich czarodziejskiej maszyny, że czynią co ta wola im każe, nie tylko w obrębie owej nocy, przez którą się ta cała fantazmagorya jak sen jaki przesuwają, ale nawet sięgają następstwa wpływu tego czarodziejskiego i po za granice rzeczonej nocy. Doprowadzają bowiem do zdarzenia, trwać mającego na zawsze, do którego by nigdy nie było przyszło, gdyby się nie był wmięszal ten świat elfów w zawikłanie ludzi pomiędzy sobą. (Dymitr odzyskuje dawną swą skłonność ku odepchniętej Helenie, w skutek czego przychodzi do ich pobrania się).

Natomiast nie ma żadnego podobieństwa między obydwoma sztukami co do rodzaju i co do wagi takowych. Sen Nocy Letniej może sobie uchodzić za arcydzieło, jako utwór mistrza, który czego się tylko dotknął, wycisnął na tém znamiona swego geniuszu. Ale nie zamierzał on w tym razie nic innego, jak napisać krotofilę i fraszeczkę lekką jak puch, bez uroszczeń do znaczenia sztuki z głębszą i na seryo intencją. Zamiar Słowackiego, podłożony nawet fantastycznej części Balladyny, okazuje się nieskończenie więcej poważnym. Rezultat ostateczny współdziałania jego Goplany przyczynia się do tragicznego obrotu zdarzeń, pomimo że pozorna postać i jej samą i otaczających ją istot bez porównania rzucona jest poetyczniej, powiewniej i idealniej, niż szekspirowska Tytania albo Oberon i służebne ich elfy.

Jeżeli tedy pomysł ten przejęty był z Szekspira, to wynagrodził nasz poeta tę poniekąd nieoryginalność pomysłu zupełnie nowym i głębszym jego przeprowadzeniem. —

-- Dalsze części Balladyny bez porównania są prostsze; nie ma tedy potrzeby zastanawiać się już tak szczegółowo nad wszystkim.

Powiedziałem już wyżej, że zamiarem było poety, przeprowadzić genezę zbrodni. Jej zaród, jej pierwszy objaw, jej rozwielenie się w zakresie całej woli człowieka, jej następstwa nieuniknione, jej wygórowanie nad całym otoczeniem stosunków przy niepodobieństwie zatrzymania nad nimi władzy, jej wreszcie obrócenie się w nicość, zniesienie siebie przez siebie samą: — oto w krótkich słowach streszczenie całej osnowy tragedii, którą mamy przed sobą.

Przedstawicielką tej akcji ujemnej jest przedewszystkiem Balladyna. Charakter czarny, demoniczny, ale włożony w naturę wyższą, niż zwyczajny poziom ludzi w jej położeniu. Czuć to przez całą tragedję, że istota ta godną była lepszego losu. Stara jej matka, która instynktowo czując tę wyższość, przynosi ją we wszystkim nad młodszą córkę, wręcz wypowiada:

„Wszak ona pierwsza w kościele, i wszędzie
Pierwsza — z organem piosenkę zaczyna“...

A i Balladyna sama, przy końcu swego zawodu, rzuca podobne o sobie zdanie:

„Ja o sławę

Nie dbam, a wyższa teraz nad sąd ludu

Będę, czém dawno byłabym, zrodzona

Pod inną gwiazdą“...

Pod złą więc gwiazdą urodziła się Balladyna i wzrosła! Astrologicznie tego poeta oczywiście rozumieć nie mógł. Chciał on tylko wyrazić, że zewnętrzne okoliczności od pierwszego dzieciństwa, i coś wicherzącego w niej samej na spodzie własnego serca, zwichnęły i rozstroiły tę skądinąd kolosalną naturę. Psuła ją ślepą swoją miłością niemądra matka. Zarody demonizmu w niej samej przyszły jej od pierwszej chwili istnienia — może w skutek ciężającej nad wszystkimi w narodzie naówczas klątwy — i rosły bujnie razem z ciałem urodziwem, razem z siłami jej niepospolitego skądinąd ducha.

Na początku zawodu objawia się w Balladynie ten zaród złego przez pomniejsze jeszcze przywary. Egoizm i zarozumiałość — lekceważenie matki — zawiść i prawie wżgarda w stosunku do siostry — brak miłości ku ludziom, nadający całemu jej zachowaniu coś szorstkiego i opryskliwego w obejściu — swywolne miłości z Grabcem po za plecami matki, w których ile wnosić można, dość już daleko zabrnęła — chęć wyjścia z biednego stanu, posunięta do namiętności — kiedy trzeba, obluda i serdeczność udana, np. w stosunku do Kirkora: — to są kolory, którymi odmalowano bohaterkę tragedyi już w expozycji.

Goplana słysząc od Grabca, że on tą dziewczyną zajety, wręcz wypowiada, że Balladyna „złe ma serce“. Grabiec tego nie przyznaje. Podobnie nie przenika tego jeszcze i matka, z zaślepieniem rozmiłowana w swęj córce starszjej. Ludziom zwykle instynkt nie mówi tego, co czują nawet niższe twory w naturze. Iść się to i w tym razie. Kiedy Alina wyjdzie z chatki, to jaśkółki domowe okrażają ją jak wiankiem, i świegotaniem radosném już z oddalenia zapowiadają jej powrót: a przed Balladyną lśniąca jaśkółka „kryje się pod słomą i cicho siedzi“...

Przypadkowa sposobność, o której mówiliśmy już tyle na poprzedzających kartach, stawia Balladynę znienacka na rozdrożu strasznej pokusy. Maluje się przed jej oczyma widok wielkiego szczęścia. Osięgnie je, osiągnie je natychmiast, będzie je miała tylko dla siebie i tylko sobie je zawdzięczając, jeżeli zostawi wolne ręce i pełną władzę demonizmowi, który nurtuje w jej sercu. Zachowa ręce czyste od zbrodni, jeżeli zniesie, że się to szczęście dostanie siostrze... W tej chwili strasznego boju ze sobą samą, nie odgrywa u Balladyny żadnej roli ani miłość, ani nawet chęć wyjścia na wielką panią. Balladyna nie czuje tego, co młodsza siostra. Balladyna nie mogłaby powtórzyć za Aliną:

„Bo widzisz siostrze, że ten malin dzbanek
To moje szczęście, mój mąż, mój kochanek,
Moje sny złote i mój ślubny wianek
I wszystko moje. — Ja kocham Kirkora!
Ach! nie dla tego, że Kirkor bogaty,

Że wielki rycerz, pan możnego dwora,
Że ma karetę złotą, złote szaty“...

Balladyna jeszcze wczoraj kochała Grabca, a teraz jest gotowa porzucić go dla drugiego tylko przeto, że ten drugi „chodzi w złocie i ma miecz jasny i służebnych krocie.“ Balladyna wyjdzie z tej sfery poziomiej, w której się urodziła, i wtedy, kiedy Kirkor nie ją samę, ale Alinę poślubi. Bo słusznie zagaduje ją siostra:

„Bo widzisz rybko, są inni rycerze!
Jak będę panią, to ci znajdzie męża“...

A więc nie oneto znajdujące przystęp i do sere słabszych uczucia powodują Balladyną do wyboru drogi, którą się puszcza. Nie miłość to ją uwodzi, nie żądza to pozioma i pospolita, żeby tylko wydobyć się z barlogu, wiedzie ją na pochyłość występku. Najdemoniczniesza ze wszystkich namiętności — zawiść i duma — to jest sprężyna, która wyrzuca z jej ust owe słowa pełne gniewu i szału, wymówione do Aliny już z nożem zabójczym w rękę:

„Ty będziesz panią? ty? ty!“...

Ale prócz zawistnej dumy była tu i inna jeszcze sprężyna w ruchu. Demonizm jest w stosunku swoim do człowieka dwójaki: w jego własnem wnętrzu — i na około niego. Ten drugi, że tak powiem: z zewnątrz działający demonizm, czynny jest za pośrednictwem złych ludzi, którzy nas otaczają. Jakoż jest i to zużytkowane w tej sztuce, a mianowicie mamy przeprowadzenie tego momentu w Kostrynie. Lecz ze stanowiska ludowej wyobraźni rzecz biorąc (a trzeba brać niejedno w Balladynie koniecznie i z tego stanowiska), wywiera działanie swoje demoniczna potęga także i bezpośrednio: przez niewidome, właściwe swoje narzędzia, w bezpośredniem tychże ze światem ludzkim zetknięciu.

Pustelnik, zamieszkujący tesame puszcze, które były sceną katastrofy wydarzonej między dwiema siostrami, napomyka przygodnie, w jednej z późniejszych sytuacji, że miejsce to nawiedzają złe duchy.

— „W lesie są szatany.

Ja znam się z nimi: nieraz mi do celi

W okna stukają“ —

Otóż zdaje mi się, że było zamiarem poety dać widzieć akt zamordowania Aliny z takiej strony widzowi, iżby temuż ani to było wątpliwem, że w tej sprawie nie sama tylko działała złość Balladyny: że w niej miało swą część i piekło w dosłownym sensie.*) Powtarzam raz jeszcze, że chodziło o przeprowadzenie tego ustępu w duchu ludowych wyobrażeń!..

Tu zagadnąć by mię można: jeżeli taki tu był zamiar poety, to dlaczegoż Pustelnik, dlaczego wreszcie Alina nie podlegają temu szatańskiemu wpływowi, skoro się znajdują w témże miejscu, gdzie rzeczonemu opętaniu Balladyna uległa?

Nie ma w tej pozornej sprzeczności żadnej niekonsekwencji! Na pokuszenie wystawione są z prawdziwem niebezpieczeństwem tylko natury do tego usposobione. Jak w fizycznym świecie ton wydobyty z jednego ciała, wywołuje oddźwięk przez sam fakt swojego brzmienia, tylko z tych ciał okolicznych, które

*) Balladyna szukająca malin po lesie, okazuje się jak gdyby w obłąkaniu. Widzi, czego drugie oczy nie widzą; a nie widzi tego, co jest. Nie ma w owej chwili w niej jeszcze myśli zabicia siostry. Ta myśl rodzi się w niej dopiero później—w ciągu rozmowy z Aliną. („Gdybym cię siostrę zabiła?“...) Jest ona tam jeszcze sama, bez żadnego złego zamiaru, a jednak już rozumieć siebie nie może...

„Jak mało malin, a jakie czerwone!

By krew... Jak mało! — W którą pójdę stronę?

Nie wiem... A niebo jakie zapalone —

Jak krew! — Czemu ty słońce wschodzisz krwawo?

No c wolę ciemną niż taki poranek;

Gdzie moja siostra? Musiała na prawo

Pójść i napełnić malinami dzbanek;

A ja wśród jagód chodzę obłąkana

Jakąś rozpaczą i łzy gubię w rosie.“ itd

Po dokonaniu już zbrodni, pierwsze słowa Balladyny są jakby człowieka, który się budzi ze snu:

„Co moje ręce zrobiły? — O! —“

„Któż zabija za malin dzbanek siostrę?“ itd.

zdołne są zajęknąć takimże tonem: tak i w duchowych sferach przewadze demonizmu poddane bywają tylko natury, noszące zaród jego i w własnym sercu...

Wybornie rzecz tasama jest przeprowadzona i w szekspirowskim Makbecie. Wszakże z czarownicami na ustronnem pustkowiu spotyka się tam nie tylko Makbet, ale i Banko. Jednemu i drugiemu te kuszące istoty oznajmują wielkość w przyszłości. Jednego i drugiego starają się złudnemi obietnicami wciągnąć w to zaczarowane koło występku, z którego nie ma wyjścia. Co większa: i Makbet i Banko daje ucho, i wiarę nawet, czarodziejskim tym przepowiedniom. Obaj całą myślą grzęzną w tym widoku wyniesienia, jakie ich rzekomo czeka... A jednak — tylko sam Makbet staje się w skutek tego zbrodniarzem. Natura Banka stawia go po za praktyczną doniosłością władzy, która tamtego nieuchronnie pod moc swoją zagarnia...

Wróćmy do naszej tragedyi. — Zbrodnia zostaje więc dokonana — Balladyna zabiła siostrę. Ten czyn daje jej w ręce wszystko, czego pragnęła. Opuszcza wioskę jako żona rycerza; zamienia chatę na pyszny zamek. Postanawia sobie... zapomnieć o wszystkiem co się stało, i nie dbać o nic. — „Na niebie jest Bóg. Zapomnę, że jest. Będę żyła, jakby nie było Boga“...

...„Więc mam już wszystko — wszystko. — Teraz trzeba

Używać — pańskich uczyć się uśmiechów

I być jak ludzie, którym spadło z nieba

Ogromne szczęście. — Wszakże tyle ludzi

Większych się nad mój dopuściło grzechów,

I żyją“...

To są znowu — postanowienia ludzkie. W tym kierunku sobie Balladyna swoją przyszłość wytyka.

A cóż na to potęgi, kierujące życiem człowieka?

— Powstaje właśnie z pomiędzy nich najstraszniejsza, najmocniej nieuchronna: Fatalizm. Nie ten ślepy i nierozumny fatalizm, jak go sobie w postaci Przeznaczenia wyobrażali poganie,

albo jak dziś wierzy w niego islamizm. Fatalizm przez Słowackiego użyty za dźwignią zawikłania — jest to ta wewnętrzna i przedmiotowa logika czynów z naszej własnej woli wynikłych, której rozkazom wolność nasza odtąd — mimo żalu, mimo wstrętu, mimo oporu przeciw tej sile coraz wyżej nam po nad głowę rosnącej — z konieczności poddać się musi. Wobec tej władzy, tej potęgi samych stosunków — świat ludzki rzeczywiście nie więcej znaczy, jak w starożytności wolność pojedynczych śmiertelnych, porównana z niecofnioną w wyrokach swoich Ananką.

Jeżeli w akcie pierwszym tragedii główne pole działania przydzielił autor przypadkowości krzyżującej zamysły ludzkie; a w drugim akcie stawil na pierwszym planie demonizm: to począwszy od trzeciego najważniejszą sprężyną akcji staje się właśnie ta fatalność zbrodni, płodzącej z siebie coraz nowe występki. Nie przestają być czynnemi i tamte dźwignie, ale działają odtąd już tylko pomocniczo.

Niewidzialna ręka zbrodni prowadzi Balladynę dalej, mówiąc do niej jej własnym głosem, głosem sumienia...

— „Wiatr goni za mną i o siostrę pyta,
Krzyczy: zabita — zabita — zabita!
Drzewa wołają: gdzie jest siostra twoja?
Chciałam krew obmyć: — z błękitnego zdroja
Patrzała twarz jej blada i milcząca“...

Takie są uczucia Balladyny, bezpośrednio po dokonaniu czynu. Nie przestaje ścigać ją sumienie i na zamku Kirkora.

... „Rankiem głos sumienia nudzi —
Nad wieczorami dręczy i przeraża,
A nocą ze snu okropnego budzi...
O! gdyby nie to!“...

Fantazya ludu lubi temu wszystkiemu, co się kryje na spodzie serca, dawać i wyraz zewnętrzny. Na czole Balladyny pozostała od owiej chwili okropnej w lesie, plama krwawa, której zmyć w żaden sposób nie można. Balladyna zasłania ją na razie

obowiązką, którą jak przed Kirkorem powiada, czoło swoje przesłoniła z powodu jakiegoś ślubu. Ale to fortel — tylko do czasu skuteczny! Maż domaga się koniecznie, żeby ta wstęga była już zdjeta z białej jej skroni, kiedy on wróci z wyprawy, którą podejmuje zaraz nazajutrz po ślubie, nie chcąc żonie wyjawic, jaki powód tego wyjazdu. Balladyna podejrzewa, że on jedzie szukać Aliny, której ciało zostało w lesie. Z swojej strony i matka, przy córce mieszkająca w Kirkorowym pałacu, dręczy Balladynę ciągłymi pytaniami, co to za plama czerwona?... Ten wyjazd tajemniczy męża, te zagadywania matki, to nalegliwe żądanie, żeby zrzucić z czoła przepaskę — wszystko to niepokoi zbrodniarkę. Trzeba koniecznie coś wymyślić, żeby się pozbyć spojrzeń matki; żeby przed mężem — jeśli by tego była potrzeba, znaleźć jakąś obronę... w trzeciej osobie.

Następcza się kusiciel, pochlebca, kłamca, szatan wcielił — w postaci niemieckiego przywłoki. Ku czemu Balladyna dopiero dąży, na tym punkcie stoi już dawno ten prototyp skończonój nieczemności. Genezy złego żadnej dla niego już nie ma! Jednym spojrzeniem zrozumiały się te dwie dusze pokrewne. Przed Kostrynem nie ma Balladyna potrzeby tać ani swego pochodzenia, którego z dumnej próżności żadną miarą nie chciałaby się dawać domyślać ludziom co ją otaczają, ani występku, którego krwawe świadectwo nosi wypisane na czole. W oczach Kostryna taka przeszłość, jak Balladyny — to właśnie najpożądalsza rekomendacya! Następuje tedy, co w danym położeniu i ze strony takiej natury prawie musiało nastąpić: zdrada i wiarołomstwo przeciw mężowi — nielitość i niepo czciwość przeciwko matce, której się jako matki wypiera i na jakiejś ją samotnej wieży osadza, ażeby nie mieć jej ciągle na oczach.

Ale sumienie — w postaci strachu kary wichrzące w myślach zbrodniarki, nie usypia, nie milknie... Te środki ostrożności, te nowe zbrodnie — obiecujące skuteczność, nim zostały przedsięwzięte — po dokonaniu, nie zdają się dawać żadnej rękojmi. Były to tylko półśrodki! Trzeba koniecznie znaleźć skuteczny sposób na zmycie owiej krwawej skazy na skroni! Może

pustelnik, znający siłę wszech roślin i rozdający leki na wszelką słabość, potrafi nastreczyć jaką radę i na to. Biegnie tedy do pustelnika. Nie zastanawia się, co czyni, — na oślep, jakby ją pędziła jaka siła tajemna, bieży na miejsce, w pobliżu którego popełniła morderstwo...

Przekora wszelkich rachub, przypadek,*) i sama natura rzeczy sprawiają, że ta bytność u pustelnika właśnie sprawę pogorsza. Pustelnik wie już o zabójstwie popełnionem w tym lesie. Widział ofiarę... Własne serce Balladyny wydaje teraz, czyjś to ręki ofiara!.. Jest tedy odtąd człowiek na świecie, który wie niewątpliwie, co zaszło! Aż dotąd trwożyła Balladynę obawa że mąż, albo matka, ją może — podejrzewają o sprzątnięcie siostry ze świata. Teraz powiedziano jej to otwarcie i wręcz: Zabiłaś siostrę! Ten, kto to wyrzekł, często widuje się z Kirkorem...

Jeżeli już powyższa okoliczność sprawia wielki przewrót w duchowym tej kobiety nastroju: nie mniej posuwa się naprzód geneza sprawy i z innej strony. Balladyna rzuciła się w objęcia Kostryna, nie z pociągu ku niemu, ale z rachuby. Oddała mu się, ażeby go zrobić swoim narzędziem; ażeby mieć w nim wykonawcę czynów, które wskaże jako konieczne. Ale ten demon wcielony nie poprzestaje na tej roli podrzędnej! Rzecz się obraca na odwrot — i raczej to Balladyna staje się posłusznym narzędziem w jego rękach. Nowy mord, dokonany na gońcu Kirkorowym, na przysłanym z darami do Balladyny Gralonie — to już czyn tylko głowy Kostryna, choć go spełniła ręka Balladyny owdlańniętej przez jego wolę.

Teraz wszystkie już węzły z mężem zerwane! Nie ma nawrotu! Choćby nawet rzecz co do Aliny i co do krwawej plamy na czole pozostała tajemnicą na wieki: zamordowanie Gralona stawia żonę względem męża w tém położeniu, że albo on albo ona — zginąć musi.

*) Pustelnik przywołany został na miejsce zbrodni, zaraz po dokonaniu takowej, przez Skierkę i na rozkaz Goplany; obacz stronę 50 wydania lipskiego.

Podobnie daje Kostryn pobudkę i do ostatecznego wypędzenia matki z zamku kirkorowego. Dotąd wydawała ją Balladyna przynajmniej za swoją mamkę i cierpiała osadzoną w ustronnej części palacu. Na wielkiej uczcie — zagadnięta przez króla o herb swój i pochodzenie, kiedy się jeszcze waha, co na to odpowiedzieć: podsuwa jej co prędzej ówto powiernik złowrogi tę kłamliwą odpowiedź, którą daje rozpowiadając, jakoby była wypędzoną przez wuja swego księżniczką z dalekiego gdzieś świata. Wobec takiej genealogii, stara matka, która się właśnie w tej chwili zjawia pomiędzy biesiadnikami z dojmującymi wyrzutami przeciwko córce, musiała już doznać losu, jaki ją w scenie owęj spotyka.

Tak więc, i to jaskrawe sponiewieranie matki i stanowcze zerwanie z mężem, sąto czyny wynikające właściwie z inicjatywy Kostryna. Pomimo tego nie można ich uważać za uczynki tylko narzucone woli bohaterki dramatu. Kostryn został przez Balladynę dobrowolnie przypuszczony do uczestnictwa w jej tajemnicach i w jej występkach. Wybrała go sobie za powiernika właśnie przeto, że go przenikła jako czarną naturę. Wszystko tedy, do czego on się przyczynia, pada w zakres odpowiedzialności jej samej. —

Jesteśmy na początku czwartego aktu. Aż dotąd, wszystkie winy popełnione przez Balladynę wiążą się z sobą jako ogniwa jednego łańcucha, jako wyniki, coraz nowe, jednej przyczyny. Z osobna biorąc, każdy krok na tej drodze występnej wzbudza w widzach wprawdzie odrazę: w związku wszelako sprawiają one wszystkie razem wrażenie tragicznego toku wydarzeń, a sprawiają je dlatego, że sąto same nieuchronne następstwa pierwszej przewiny.

Począwszy od tego miejsca, urywa się jednakże ten ciąg organiczny tragicznego dotąd działania. Zamordowanie bezbronnego Grabca, przemienionego w czarodziejski sposób w króla z koroną Lecha na głowie, nie może już w żaden sposób uchodzić za wynik poprzednich zdarzeń. Jestto zbrodnia nowa, zgola dobrowolnie przez Balladynę postanowiona i wykonana. Zbrodnia ta,

otoczona całą szpetnością czynu, dokonanego podstępnie i nocną porą, z pogwałceniem gościnności i wszystkich praw natury, odbiera charakterowi bohaterki ostatnie znamię tego czegoś, co ją podnosiło w oczach widzów aż do tej chwili. Zresztą łączy się z całym tym pomysłem tyle różnych, mniej jasnych i w ogóle mniej szczęśliwych okoliczności, że od tej pory trudno już nam iść w ślady za autorem w taki sposób, iżbyśmy się godzili — choćby nawet z jego własnego stanowiska — na rzeczy w akcie czwartym zawarte.

Ażeby zacząć właśnie od tych okoliczności ubocznych: rozumiem ja wprawdzie i uznaję za słuszne, powody, dla których się podobало autorowi uczynić Grabca właśnie, a nie kogo innego, przypadkowym posiadaczem korony wykradzionej pustelnikowi. Jestto figura bezmyślna i prawie zawsze pijana. Tacy ludzie najchętniej się do tego nadają, żeby zostawali pod szczególną i nigdy nieustającą tak protekcją jak ironią przypadkowości. Kto się nigdy własnym nie kieruje rozumem, tego popycha w prawo i w lewo lada zewnętrzne zdarzenie; a suma zdarzeń takich, pozbawionych wewnętrznej wstęgi, stanowi właśnie co zwiemy ślepym trafunkiem. A zatem postąpił sobie autor Balladyny zupełnie odpowiednio poprzednim założeniom, że właśnie Grabcowi fantastyczne owe uosobienia przypadku kładą na głowę odszukaną koronę Lecha, za czém poszło całe owo humorystycznie przedstawione przemienienie tegoż w króla dzwonkowego.

Mniej zato jasnym jest już powód: dlaczego ten król czarodziejski, ten Grabiec od stóp do głów przekształcony w postać siwego starca w koronie, przybywa na zamek Balladyny?... Zapytuje go Skierka zaraz po dokonanej przemianie: —

„Gdzie król jedzie?”

GRABIEC.

Na uczę ślubną do Kirkora.“

Na jaką „ślubną“ uczę? dlaczego właśnie na uczę w domu Kirkora? — o tém ani słowa w dramacie! Tak więc pozostawił poeta własnemu widzów przemysłowi uzasadnienie jednej ze scen najważniejszych w całej tragedyi!

Czy Grabca do tych odwiedzin ciągnie dawna skłonność ku Balladynie? Zdawałoby się, że tak jest. Przynajmniej trudno temu inny powód podłożyć. Ale w takim razie równie też trudno jest pojąć, dlaczego w żadnej scenie następnej nie widzimy wcale tej roli dawnego kochanka w starym królu dzwonkowym? Postępuje on tu sobie, jakby był i wewnętrznie przeczarowanym, jakby w duchu wcale już nie był Grabcem, jakby Balladynę widział pierwszy raz w życiu... Ona tém mniej wiedzieć może, kogo gości w swym domu. Cała tedy tożsamość osoby Grabca z tą ukoronowaną postacią nie została przez poetę wcale spożytkowaną, w żadnym kierunku. A kiedy potem, po ukończonej już uczcie, w nocy przychodzi wreszcie do zamordowania tego bezbronnego i pogrążonego we śnie człowieka: to okoliczność, że nim jest dawny Balladyny kochanek, sprawia — pomimo nieświadomości w jakiej czyn ten ona spełnia, prawdziwie monstrualną odrazę!..

Nie dość na tém. Słaby ten ustęp zmniejsza wartość całej tragedyi i z innej jeszcze przyczyny: z przyczyny zbyt daleko posuniętego tu podobieństwa naszego autora z Szekspirem! Cała ta scena nocna — to żywcem zdjęta kopia tylko i parafraza owego ustępu w Makbecie, w którym Makbet i żona jego zabijają w tenże sam sposób w domu swoim króla, który do nich przybył w gościnę...

Daleki ja wprawdzie jestem od chęci robienia komu z tego zarzutu, że się w dzieło jego wkradło przypadkowym sposobem jakie podobieństwo do wyrażenia, do obrazu, a choćby wreszcie i do pomysłu, użytego już przez którego z dawniejszych autorów. Minęły dzięki Bogu już czasy, gdzie na słowach, na rymach, na zwrotach i tym podobnych drobnostkowych szczegółach pokładano całą wartość dzieła poetyckiego. Dzisiaj idee nowe, całość pomysłu, sposób całego prowadzenia osnowy — to jest, co rozstrzyga o samodzielnej oryginalności poety. Przypadkowe podobieństwa między późniejszymi utworami a dawniejszymi, jeśli dotyczą tylko samych szczegółów, ani dziwić ani razić zbytecznieby nie powinny. Niezmiernie trudną jest rzeczą, żeby ludzie genialni w swoich obserwacjach życia ludzkiego nie mieli się niekiedy spotykać

na jednej drodze. Pod tym względem stanowisko później żyjących wielkim podlega trudnościom w obec mistrzów, co mieli szczęście, wiekiem lub kilka wiekami pierwój przyjsć na świat. A im czasu więćć uplynie, tćm bardzićj ta dla młodszych tak niedogodna niekorzyść bćdzie wzrastała, tak iż przyjdą nakoniec czasy, gdzie bćdzie to prawdziwą sztuką, być rzeczywiście oryginalnym!

Co się tyczy Balladyny, zrobił to spostrzeżenie sām już Słowacki, że można w nićj upatrywać podobieństwo do szekspirowskich utworów. W jednym z listów swoich do matki wskazuje on mianowicie na króla Lira, jako na sztukę, któraby mogła przypominać jego tragedya. — „Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z królem Lirem Szekspira. O! gdyby stała kiedy przy królu Lirze!“ — W samćj istocie sām miejsca i w rzeczonym dziele starego mistrza, które się mimowolnie nasuwają pamięci, kiedy się czyta Balladynę.)*

*) Podobieństwa te dają się ściągnąć do następujących punktów. Lir na samym początku sztuki zapytuje córki swoje, jak go kochają: i otrzymuje od każdćj z nich odpowiedź — odpowiednią ich naturom. Podobnie pyta i Kirkor obydwie siostry, która z nich bardzićj go kocha? Odpowiedź jednak Aliny stanowczo odstępuje od tego, co tam powiada o miłości swojęj Kordelia. Jest zatem i zbliżenie się do Szekspira w tćm miejscu, i jednak niezawisłość od niego. — Podobnie rzecz się ma i co do następującego szczegółu: Niewdzięczność obu starszych córek Lira przeciwko ojcu zupełnie rymuje z niegodziwością, z jaką Balladyna matkę swoję z domu swego wyrzuca. Ale w sztuce Słowackiego jest to szczegół podrzędny, a tam stanowi właśnie główny przedmiot tragedyi. — Dalej: Wypędzony z domu dzieci swoich król u Szekspira, błądząc po burzy i nocy, z oburzenia i rozpaczj utracił rozum. Matka Balladyny, wyrzucona w równie nielitosny sposób na słońce, traci wzrok. Ale prócz tćj mikroskopicznćj analogii, zbliżającćj losy tych dwóch osób ku sobie, nie mają dwie te postaci żadnćj zgody między sobą wspólności. Każda z nich w całości sztuki znaczy zupełnie co innego. — Przewrotna Goneryl zdradza męża swojegó, zawiązując poufale stosunki z bćkartem i podlego charakteru człowiekiem, t. j. z Edmundefm. Podobne stosunki mają ze sobą i Balladyna z Kostrynem. Rzecz jest tasama; ale powody takowćj w każdćj sztuce sām przedstawione inaczej. Wreszcie zachodzi więkšie, niżby sobie życzyć można, podobieństwo w owćj zresztą podrzędnegó znaczenia scenie, w którćj

Takowe jednak dotyczą zawsze rzeczy ubocznych, i nie dostrzeże ich nikt inaczej, jak tylko w zewnętrznym sposobie wystawienia tego lub owego szczegółu. Ani co do założenia, ani co do sprężyn działania, ani wreszcie co do charakterów celniejszych dostrzeć bym ja nie potrafił pokrewieństwa między Lirem a Balladyną. W każdym razie nie jest ono więkšie, jak między Snem Nocy Letnićj a fantastyczną częścią naszćj tragedyi, którato część, jakćśmy to wykazali już wyżej, wewnętrznćj zawisłości od wzoru szekspirowszegó nie ma w niczćm, i tak się różni od niego, jak się duch wyobrażeń gminnych w angielskim narodzie różni od naszćj wyobraźni ludowćj.

Za to przyznaję, że trudnoby było nie widzieć wprawdzie tylko częściowćj, ale też zato bardzo uderzającćj zawisłości Balladyny od innćj sztuki Szekspira — od Makbeta. Pomijam zbliżenie obu tych dramatów do siebie przez całą dążność. Utwór angielski wyłącznie, polski przeważnie polega na tej prawdzie ogólnćj, że zbrodnia raz dokonana prowadzi zbrodniarza dalej, i nie dozwala mu prędzej spocząć na tćj drodze pochyłćj, dopóki nie przemierzy całćj skali występków. Ale takie zbliżenie, takie samćj tylko idei abstrakcyjnćj w dzieło włożonćj dotyczące pokrewieństwo pomiędzy dwoma utworami czyto poetyckimi, czy rysunkowćj sztuki — nie ubliża ani zasłudze późniejszegó artysty ani wartości dzieła dotyczącegó. Prawd ogólnych i wiekuiistych, na których założone sām węgly świata, szczupła tylko jest liczba. A objawów prawd takowych na tle rzeczywistych stosunków czy to w sferze dziejowćj czy potocznej nieskończona jest ilość i nie ma dnia, w którćmby mnogość ona nie powiększała się jeszcze... Pomijam zatem zupełnie tę właśnie stronę analogii między tragedjami, które tu porównujemy. Natomiast nie mogę przejść milczeniem nad podobieństwami w pomysłach poszczegół-

u Szekspira Regan z nienacka mieczem przeszywa sługę, potykającćj się z jćj mężem, z tyłu napadając na niego. Zupełnie tymże sposobem ginie u Słowackiego Gralon, w plecy ugodzony śmiertelnie przez Balladynę, w chwili kiedy z przodu nacierał na niego Kostryn. — To sām wszystkie długie w sztuce niniejszćj zapożyczone z Lira, jeśliby je kto koniecznie chciał za takowe uważać.

na jedną drogę. Pod tym względem stanowisko później żyjących wielkim podlega trudnościom w obec mistrzów, co mieli szczęście, wiekiem lub kilka wiekami pierwój przyjąć na świat. A im czasu więcej upłynie, tém bardziej ta dla młodszych tak niedogodna niekorzyść będzie wzrastała, tak iż przyjdą nakoniec czasy, gdzie będzie to prawdziwą sztuką, być rzeczywiście oryginalnym!

Co się tyczy Balladyny, zrobił to spostrzeżenie sam już Słowacki, że można w niej upatrywać podobieństwo do szekspirowskich utworów. W jednym z listów swoich do matki wskazuje on mianowicie na króla Lira, jako na sztukę, którąby mogła przypominać jego tragedia. — „Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z królem Lirem Szekspira. O! gdyby stała kiedy przy królu Lirze!“ — W samej istocie są miejsca i w rzeczoném dziele starego mistrza, które się mimowolnie nasuwają pamięci, kiedy się czyta Balladynę.*)

*) Podobieństwa te dają się ściągnąć do następujących punktów. Lir na samym początku sztuki zapytuje córki swoje, jak go kochają: i otrzymuje od każdej z nich odpowiedź — odpowiednią ich naturom. Podobnie pyta i Korkor obydwie siostry, która z nich bardziej go kocha? Odpowiedź jednak Aliny stanowczo odstępuje od tego, co tam powiada o miłości swojej Kordelia. Jest zatem i zbliżenie się do Szekspira w tém miejscu, i jednak niezawisłość od niego. — Podobnie rzecz się ma i co do następującego szczegółu: Niewdzięczność obu starszych córek Lira przeciwko ojcu zupełnie rymuje z niegodziwością, z jaką Balladyna matkę swoją z domu swego wyrzuca. Ale w sztuce Słowackiego jest to szczegół podrzędny, a tam stanowi właśnie główny przedmiot tragedji. — Dalej: Wypędzony z domu dzieci swoich król u Szekspira, błądząc po burzy i nocy, z oburzenia i rozpaczury utracą rozum. Matka Balladyny, wyrzucona w równie nielitosny sposób na słotę, traci wzrok. Ale prócz tej mikroskopicznej analogii, zbliżającej losy tych dwóch osób ku sobie, nie mają dwie te postaci żadnej zgody między sobą wspólności. Każda z nich w całości sztuki znaczy zupełnie co innego. — Przewrotna Goneryl zdradza męża swojego, zawiązując poufale stosunki z bękartem i podłego charakteru człowiekiem, t. j. z Edmundefem. Podobne stosunki mają ze sobą i Balladyna z Kostrynem. Rzecz jest tasama; ale powody takowej w każdej sztuce są przedstawione inaczej. Wreszcie zachodzi większe, niżby sobie życzyć można, podobieństwo w owęj zresztą podrzędnej znaczenia scenie, w której

Takowe jednak dotyczą zawsze rzeczy ubocznych, i nie dostrzeże ich nikt inaczej, jak tylko w zewnętrznym sposobie wystawienia tego lub owego szczegółu. Ani co do założenia, ani co do sprężyn działania, ani wreszcie co do charakterów celniejszych dostrzec bym ja nie potrafił pokrewieństwa między Lirem a Balladyną. W każdym razie nie jest ono większe, jak między Snem Nocy Letniej a fantastyczną częścią naszej tragedji, którato część, jakeśmy to wykazali już wyżej, wewnętrznej zawisłości od wzoru szekspirowskiego nie ma w niczem, i tak się różni od niego, jak się duch wyobrażeń gminnych w angielskim narodzie różni od naszej wyobraźni ludowej.

Za to przyznaję, że trudnoby było nie widzieć wprawdzie tylko częściowej, ale też zato bardzo uderzającej zawisłości Balladyny od innej sztuki Szekspira — od Makbeta. Pomijam zbliżenie obu tych dramatów do siebie przez całą dążność. Utwor angielski wyłącznie, polski przeważnie polega na tej prawdzie ogólnej, że zbrodnia raz dokonana prowadzi zbrodniarza dalej, i nie dozwala mu przedź spocząć na tej drodze pochyłej, dopóki nie przemierzy całej skali występków. Ale takie zbliżenie, takie samiej tylko idei abstrakcyjnie w dzieło włożonej dotyczące pokrewieństwo pomiędzy dwoma utworami czyto poetyckimi, czy rysunkowej sztuki — nie ubliża ani zasłudze późniejszego artysty ani wartości dzieła dotyczącego. Prawd ogólnych i wiekui-stych, na których założone są węgly świata, szczupła tylko jest liczba. A objawów prawd takowych na tle rzeczywistych stosunków czy to w sferze dziejowej czy potocznej nieskończona jest ilość i nie ma dnia, w którymby mnogość ona nie powiększała się jeszcze... Pomijam zatem zupełnie tę właśnie stronę analogii między tragedjami, które tu porównujemy. Natomiast nie mogę przejść milczeniem nad podobieństwami w pomysłach poszczegół-

u Szekspira Regan z nienaacka mieczem przeszywa sługę, potykającego się z jej mężem, z tyłu napadając na niego. Zupełnie tymże sposobem ginie u Słowackiego Gralon, w plecy ugodzony śmiertelnie przez Balladynę, w chwili kiedy z przodu nacierał na niego Kostryn. — To są wszystkie długie w sztuce niniejszej zapożyczone z Lira, jeśliby je kto koniecznie chciał za takowe uważać.

nych, konkretnych, całym scenom Balladyny za osnowę służących: a do takich liczę najprzód cały ustęp uczty w Balladynie, pod niejednym względem ułożonej na wzór i podobieństwo sławnej uczty w trzecim akcie Makbeta, gdzie duch Banka, tylko zabójcy swemu widzialny, między biesiadnikami zasiada; a potem — w wyższym jeszcze stopniu poczytuję za zapożyczenie się takie leżącą właśnie przed nami scenę skrytobójstwa dokonanego na Grabcu. W szczegółowym przeprowadzeniu uczty są przynajmniej częściowe ustępy, dokonane samodzielnie i z niezrównaną poetyczną pięknoscia. Ale w tym miejscu zbliżenie się do wzoru szekspirowskiego zdaje się być posunięte daleko po za granice właściwe.

Tym ustępem rzeczywiście ubliżył sobie Słowacki! Cała ta sytuacja, wszystko co tę sytuacją otacza, dekoracyjne do niej przyrządy itd. taką samą są reminiscencją tylko i niczém więcej, chociaż je powleka własną słów szatą, jak jest reminiscencją nawet co do wyrazów ów wiersz, w téjże scenie w usta Balladyny włożony:

„Świecy! — mój cały zamek za błysk świecy!“ *)

Wierzę temu mocno, że w powyższych miejscach, kiedy one były pisane, ani marzyło się Słowackiemu, żeby to były rzeczy niegdyś czytane w Szekspirze. Zapożyczać on się u niego nie chciał, i wcale nie potrzebował tego. Niosła go fantazja, jak uragan niepowstrzymany: — i czując jej potęgę poeta, nie wglądał, z jakich ona zasobów czerpie, czy z krynic własnego ducha, czy z światów — tylko studyami nagromadzonych w pamięci... Wskazuję na to rzadkie w rodzaju swoim zjawisko, albowiem ono u Słowackiego i niejedną inną anormalność tłómaczy. Siłą fantazji przewyższał on niewątpliwie wszystkich naszych poetów. Że jednak fantazji téj nie miarkował reflexyą, nie przenikał rozumem, nie kielznał, nie badał, nie karciał zastanowieniem: dał przez to przodek przed sobą owym wybranym, co łączyli w sobie obojgo...

*) „Konia! konia! Całe królestwo moje za konia!“ w Ryszardzie III Szekspira.

Wracając do głównej rzeczy, zauważyć tu muszę, że na karb téjto właśnie nierównowagi między siłą twórczości a instynktem krytycznym u Słowackiego, złożyć należy i ten nadmiar zawikłania, to przepełnienie okropnościami, od którego wymówić żadną miarą niepodobno końca sztuki obecnej. Przepełnienie to razić stanowczo zaczyna w ciągu aktu czwartego. Autor zapomniał, że miał przed sobą daleko bardziej obowiązek utrzymywać w widzach współczucie dla bohaterki, aniżeli malować czarność jej już na całą wieczność zwicznietego sumienia. I ażeby wyrzeźbić w całej posagowej plastyce te jej słowa rzeczzone do pustelnika, kiedy tenże podsuwał jej myśl żalu, nadzieję zmazania zbrodni, życzenie powrotu do życia zabitej siostry — słowa mówię następujące:

„Gdybym miała trzy wybladłe twarze,
Na każdej twarzy trzy straszniejsze plamy:
Wolę je znosić aż do Boga sądu,
Niż — — “

uwidamia autor zaciętość i niepoprawność téj demonicznej natury w taki sposób, że przy zdarzonych podobnych okolicznościach — pomimo że Balladynę w ciągu rodzenia się w jej głowie tego występnego zamiaru widmo Aliny jak anioł boży przestrzegający od złego nawiedza w ciągu owéj biesiady i przeraża dotykając grozą kary przewidywanej — każe jej iść przebojem i dalej drogą poczetą i popelnąć raz jeden jeszcze tęsamę zbrodnię, jakiej się dopuściła na siostrze.

Akt piąty wypełniają zdarzenia, ściślej znowu powiązane z poprzednimi zajściami, niż sceny czwartego aktu. Jest to akt samych już zgonów. Mnogość ludzi padających ofiarą, mianowicie jeżeli się do niej doda tyle już zabójstw dokonanych w poprzedzających aktach, upoważnia do zarzutu niedarowanej przesady w nagromadzeniu jaskrawych okropności. Skądinąd przyznać jednak trzeba poecie że każdy z tych licznych szczegółów tworzących katastrofę jest uzasadniony przynajmniej lokalną jakąś stąd lub z owad potrzebą. Pustelnik ginie, z rozkazu Balladyny, gdyż jest w posiadaniu tajemnic, które musiałyby ją zgubić, gdyby

zostały wyjawione. Kirkor ginie w walce z hufcami Kostryna, gdyż jestto bój, który po tém wszystkiém, co zaszło, nie może się kończyć inaczej, jak tylko zagładą jednéj lub drugiéj ze stron walczących. Kostryn, po odniesioném zwycięstwie, zostaje trucizną zgładzony z świata, gdyż jest on już teraz niepotrzebném, a bardzo niedogodném dla Balladyny narzędziem.

„Jeżeli zwycięży:

Jak mu nagrodzę? w ziemi całej lonie

Nie znajdę kruszcu na zalanie gardła

Temu Niemcowi“...

Nie pozostał tedy przy życiu żaden współnik, żaden świadek, żaden nawet możliwy oskarżyciel win ciężących na Balladyny sumieniu. Wszystkich, co przeszłość jęj znali, zamknęła w sobie mogiła. Matka stara, ociemniała, poszła gdzieś sobie w strony dalekie. Nie trafi ona do pałaców książęcych, których wnętrza otwierają się właśnie dla jęj córki przez lud okrzykniętęj królową. Nieznana nikomu i nikogo nie widząca nad sobą, doczekała się tedy Balladyna godziny, w której powiedzieć może:

....„Już przeszłość zamknęta

W grobach. — Ja sama panią tajemnicy!“

To sytuacją zmienia.

....„Życie pełne trudu

Na dwie połowy przecięła korona:

Przeszłość odpadła jak od płytkiej stali...“

Druga połowa życia, przyszłość, ma nie mieć żadnej wspólności z krwawą drogą, która tę dziewczynę wiejską aż na wysokość tronu przywiodła.

„Nie dbam o sławę — wyższa nad sąd ludu,

Będę, czém dawno byłabym, zrodzona

Pod inną gwiazdą —

„Kaźcie wojennym brańcom rozkuć pęta,

Zastawie stoły na rynkach stolicy

I dawać co dnia dla żebraków strawę.“ itd.

Przyrzeka sobie tedy łagodne, dobroczynne, łaskawe dla wszystkich rządy, sprawiedliwy wymiar sprawiedliwości, słowem powetowanie uczynków złych i występnych stanowczém wejściem na inną drogę.

I jakąż na te znowu „postanowienia ludzkie“ dają odpowiedź one władze niewidome, potężniejsze niżeli wola człowieka?

Pęd popełnionej zbrodni nie przestaje płynąć i dalej. Wobec tęg przedmiotowęj potęgi, żadnego mieć nie mogą znaczenia okoliczności sztuczne i przypadkowe, że zbrodniarz zasiadł aż na wysokości samego tronu, albo że świadków przeciwko niemu zabrakło pomiędzy żyjącymi. To też działanie fatalizmu tego idzie olbrzymimi krokami naprzód. Za nie wszystkie zapóźne, połowiczne chęci nawrotu, po przeszłości tak dokonanej. Rzeczy tak się same składają, że kiedy nie ma trybunału, wyższego nad Balladynę, to ona sama na siebie wydawać musi wyroki; i skoro nie ma świadectw dość pewnych na to wszystko, co dawniej zaszło, to te minione, prawie zapomniane już nieprawości rodzą więc z siebie teraz, przed oczyma wszystkich, publicznie, taką okropną zbrodnię nową, że na jęj widok krew się ścina i w samej okrucieństwa tego sprawczyni. Na torturach umiera stara jęj matka; umiera za to, że córkę która jęj się zaparła, i teraz jeszcze kocha; że ją i teraz jeszcze śmiercią swoją zasłonić pragnie od kary!..

Po tém wszystkiém wkracza ostatnia i najwyższa ze wszystkich potęg rządzących biegiem spraw ludzkich. Ponieważ wszystkie już ziemskie środki zostały zużyte, a demonizm cofnąć się na drodze swojej nie myśli: więc czas, ażeby się niebo bezpośrednio w mieszało w to zwichnienie moralne natury ludzkiej. Spada piorun z nieba, palec boży widnym się staje w bezpośredniém swoim działaniu i rzeczy świata tego wracają w karby należne.

Takto został wymarzony w poetyckiej wyobraźni epizod, wsunięty w dzieje nasze mityczne, jako ogniwo łączące zamierzchłe czasy Popielów z pewniejszą i prawie już historyczném słońcem oblaną epoką Piastów. Jako ostatnia chwila przeddzieńowego

istnienia, zaludniony on jest przez poetę, krom ludzkich, i fantastycznymi istotami. Fantastyczna ta cudowność jednakże rozwiewa się w mgły nicości wraz z świtem historycznego poranku. Uwzględnił i ten moment autor nasz, i w ostatnim akcie tragedyi wprowadza Goplanę, żegnającą te strony, zabierającą się z żalem do odpływu w zamierzchłą, w snach przedświtu pogrążoną jeszcze krainę — na północ...

„Chodźcie mnie uściskać aniolki,
Bo Goplana na wieki wam znika.
O zaplakane fijołki,
Róże moje, bądźcie zdrowe!..

„Polecę w okropną krainę
Gdzie sosny i śniegi sine,
Gdzie słońce jak gasnący żar“...

Razem z upadkiem Balladyny, razem z końcem balladowego przedbytu Polski, rozwiewa się więc w błękit daleki i ta fantastyczna królowa Gopla — podobna do chmurki za żorawi kluczem płynącej coraz wyżej i coraz dalej po niebie — do chmurki blednącej „jak miesiąc od słońca“, coraz mniejszej i mniejszej dla oka — wreszcie ginącej w oddaleniu...

„Epilog“ nie należy do właściwej osnowy sztuki. Jestto tylko odpowiedź autora na przewidywany zarzut, że jego powieść nie zgadza się z historią. Zapytuje więc poeta: co jest historia? Czy historia, jak bywa, a raczej bywała w dawnych czasach najczęściej traktowana, wnika w skrytości serc ludzkich? czy dochodzi rzeczywistych pobudek zdarzeń, o których gada? czy wie wszystko?...

Martwa uczoność — pedantyczne poleganie na lada pozorach blichtrach — pochlebstwo względem panujących — płytka małoduszność, nie zawsze nawet będąca dobroduszością: — oto zwyczajne przymioty kronikarzy. Z dziejowym wątkiem, nawiniętym przez takich ludzi, godzi się czasem rozminąć intuicyjnym jasnowidzeniem poety. O szczegóły tu nie chodzi — chodzi jedy-

nie o ogólne w zmyśleniach takich, dziejowe i psychiczne idee. Z tej strony wolno pocie iść o lepszą z urzędową historyografią.

Z tym ostatecznym sensem całego epilogu, zdaje mi się, że się wszyscy zgodzimy. Nie poczytamy tego Słowackiemu za uchybienie, że wymyślił sobie do figur, znanych z podań bajecznych, jeszcze jedną królową więcej. W takich obrębach, jak przeddzień jowa mytyczność, twórczości poetyckiej służy cała swoboda. Zato wytknąć mu tu należy inną pomyłkę, to jest: że ogólny koloryt jego obrazu pod ubocznym wprowadzie względem, ale dość ważnym, staje znowu w sprzeczności z powszechnym o tejże rzeczy wyobrażeniem. Mówię o pomieszaniu mytologii pogańskiej z chrześcijaństwem, jakiego znamiona wszędzie się w Balladynie zachodzą. Dziwi mię bardzo, że się to właśnie mogło w tym dramacie najwięcej Krasieńskiemu podobać. Niezawodnie w czasach piastowych oświeślały już jakieś brzaski ewangeliczne tę krainę goplańską. Mieszały się miejscowe, po ojcach odziedziczone wyobrażenia religijne, z promieniami nowej wiary. Lecz tak to być nie mogło, jak jest przeprowadzone przez naszego poetę. Najprzód bowiem nie widzimy u niego innej pogańskiej religii, jak grecką i rzymską, której przecie w tych stronach w żaden sposób nie możemy przypuszczać. Filon np. prawi ciągle o Apollinie, Wenerze, Dyanie itd. Nawet znane mu są takie osobistości wyłącznie greckie, jak Akteon, Endymion itp. Sąto oczywiście rzeczy bardzo niestosowne w tym dziele! Drugie, co mi się widzi jeszcze niestosowniejszym, to owo tak mocne w dotyczących miejscach nałożenie obrazu kolorami chrześcijańskimi. Nie tylko słyszymy ciągle wzmianki o Chrystusie i jego męce, o trzech królach, o Mojżeszu, o księżach, o organach, o odpuszczeniu, spowiedzi, rozgrzeszeniu, ale co gorsza, w akcie ostatnim, w scenie sądowej, tak rzeczy są przedstawione, jakby chrześcijaństwo było już tu panującą, przez cały ogół, a nawet i przez organa rządu wyznawaną religią. To jest przesada, która i prostaczkowi dając się czuć doraźnie, zmniejsza złudzenie tak niezbędne dziełu dramatycznemu. Należało koniecznie inaczej oddać to *chiaroscuro* dawnego stanu i nowego porządku rzeczy, pochwyconych w pierwszej chwili przejścia z jednego w drugie.

Lecz to jest zarzut pomniejszy, gdyż dotyczy ubocznej rzeczy. Ważniejszymi daleko widzą mi się inne niestósowności w tém dziele, które wytknąć musi krytyka mimo całego uznania dla poetyczności i głębokości pomysłu służącego mu za ośnowę. Niestósowności te rażą pod kilku rozmaitymi względami, idą wszelako z jednego źródła: źródło to upatruję w niewłaściwości użytej formy, t. j. w tém, że ręka poety wyrzeźbiła Balladynę w plastycznych kształtach tragedyi.

Dramat, a mianowicie też tragedia — jestto rodzaj poezyi zgoła odrębny. Cała natura téj poetyckiej gałęzi do tego stopnia wymaga żywiołów sobie tylko właściwych, że mało który z przedmiotów, skądinąd stworzonych na to, żeby przyjąć na się kształty poezyi, nadaje się do tych wybrednych i skomplikowanych wymagań. Jeżeli jaki pomysł, to taki jak Balladyny, warunkom tym żadną miarą nie czyni zadość.

Niech mi się będzie wolno przedewszystkiém zapytać: czy ten ton ludowy, ten duch podań i wyobrażeń gminnych, użyty tu że tak powiem za regulatora wyobraźni poety, mógł — choćby nawet i pod piórem Juliusza — znaleźć fortune zastósowanie w dramacie?... Gdyby Balladyna była zwyczajnym poematem: romantyczne pomysły, które w niej przybrały ciało, fantastyczność, bezpośrednie demonizmu działanie, cudowność, słowem wszelkie nadzwyczajne sprężyny, grające tak przeważną rolę w tém dziele, byłyby nie tylko na swoim miejscu, lecz nawet jako nowe i nie-raz głęboko pojęte rzeczy przydawałyby utworowi naszemu nieposzedniej piękności. W dramacie — gdzie wszystko dzieje się przed żywemi oczyma widzów, gdzie złudzenie i prawdopodobieństwo stanowi tak konieczny wszystkich wrażeń warunek, gdzieśmy przywykli już wymagać od poety, ażeby wszelkie przejścia i zwroty działań działy się w imię pojęć, które my dzisiejsi i wszystko rozumem a nie fantazją biorący ludzie uważamy za istotne i rzeczywiste: w dramacie powtarzam dzwignie takie, jak w Balladynie, nie są odpowiednie celowi. Przemiany Grabca to w wierzbę, to w starca — owa cudowna plama krwawa na czole, owe Skierki i Chochliki — wszystko to są przybory, dobre dla poematu, znośne w jakim pospolitym czarodziejskim melodramacie albo

wreszcie balecie; lecz w utworze, w którym się bierze rzeczy na seryo, w dziele mającém za zadanie poruszyć najgłębsze uczucia w widzach, sceny takie nie sprawiają wrażenia. Wolno było Szekspirowi wprowadzić element ten i zużytkować w Makbecie. Publiczność, dla której pisana była ta sztuka, wierzyła w czarownice; a wierzyła w nie tak powszechnie, że i poeta sam nie stanowił w téj mierze wyjątku od ogółu. Dziś inne są czasy i inne warunki sprawiania głębszych wrażeń na wyobraźni. Nasz poeta to czuł. Dlatego też wycisnął on np. na owym świecie fantastycznym znamię znaczenia przez siebie dopiero onemu nadanego, znamię które go miało zbliżyć nieco do naszego stanowiska i podnieść po nad poziom ludowy. Lecz to znaczenie symboliczności nie dało się wlać w ten materiał zbyt powiewny w taki sposób, iżby go przenikało do rdzeni. Przenikło go zaledwie do połowy: reszta jest fantazmagoryą, która w scenicznym utworze raczej razi, niż podobać się może.

Druga niekorzyść, z téjże saméj wynikająca przyczyny, widna jest w tém, że charakter Balladyny, tak jak jest przeprowadzony w tém dziele, okazuje niedostatki, które niedobrze oddziałują na całą wartość sztuki. W poemacie, w powieści, w balladzie itd. mogłaby to być figura, zupełnie czyniąca zadość warunkom pierwszorzędnej osoby. W tragedyi — czarny ten charakter razi niestósowością: wzbudza wstręt, a tragicznych uczuć nie wywołuje.

Trzeciém téj niewłaściwości następstwem jest, że sztuka nasza o wiele przechodzi rozciągłość zwyczajnego dramatu i kiedy by była grana, to musiałaby być skróconą przynajmniej o jedną czwartą. *)

*) Toby się zrobić dało, nie wystawiając przez to zbyt wiele na szwank możności rozumienia całości kompozycji. Mianowicie można by wypuszczać, przedstawiając Balladynę na scenie, następujące ustępy:

W akcie pierwszym: Na stronie (*edycji lipskiej*) 11, od wiersza 16 do str. 12 w. 28. — Na stronie 15, od wiersza 26 do strony 16, wiersza 22. — Na str. 17 wypuścić wierszy 9, poczynwszy od wiersza 24. Na str. 18 od wiersza 21 do wiersza 12 na str. 19. —

Na str. 20 wypuścić wierszy 9, począwszy od wiersza 13; i niżej wierszy 8, począwszy od wiersza 29. — Na str. 21 opowiadanie Goplany trzeba ściągnąć do kilku wierszy. — Na str. 23 wypuścić wierszy 11, począwszy od wiersza 16. — Na str. 26 wierszy 3, począwszy od w. 16. —

W drugim akcie: Na str. 42 wypuścić wierszy 7, począwszy od w. 24. — Na str. 50 wierszy 6, pocz. od w. 28. — Na str. 51 wierszy 10 od samej góry, i niżej wierszy 8, pocz. od w. 27. — Na str. 53 cały ustęp, począwszy od wiersza 17 aż do samego końca tej sceny (na str. 56), można także bez wielkiej szkody odrzucić, jeżeli Balladyna już po monologu na str. 50 zabierze dzban malin z rąk Aliny zabitej, i jeżeli się te wiersze ze strony 53:

„Jutro ty będziesz wolny mój kochanku;

Jutro wymawiać będziesz okrutnicy

Że cię dręczyła z ranka do poranku:“

przeniesie na str. 45 w wiersz jedenasty, dwunasty i trzynasty, i doda potem:

„Ale dziś niech kochanek Balladyny czeka“ itd.

zamiast: „Niechaj teraz kochanek Balladyny czeka“, jak obecnie jest w tekście.

W akcie trzecim: Całą pierwszą scenę wyrzucić. Niemniej cały ustęp z Filonem, począwszy od wiersza 17 na str. 80, aż do w. 11 na str. 82. — Na str. 85 wypuścić wierszy 10, począwszy od w. 17. — Na str. 86 wierszy 23, począwszy od w. 4 — Na str. 88 wierszy 6, począwszy od w. 8; i niżej wierszy 6, to jest 4 ostatnie wiersze na tej stronie i 2 pierwsze na stronie 89. — Na str. 91 wyłączyć ustęp od w. 29 aż do str. 92 wiersza 10. — Na str. 93 wiersz 15ty zepsuty uzupełnić trzeba słowami: „niech ci służy“. — Na str. 94 wypuścić wierszy 6, począwszy od w. 16. — Na str. 95 wierszy 10 pocz. od w. 10.

W czwartym akcie: Cały długi ustęp wyrzucić, począwszy od strony 115 wiersza 8, aż do strony 119 tam gdzie się scena czwarta zaczyna.

W akcie piątym: Wypuścić początek aż do str. 125 wiersza 19. — Na str. 126 wyrzucić wierszy 10 ostatnich. — Na str. 129 wierszy 4, począwszy od w. 18. — Na str. 130 wierszy 19, pocz. od w. 16. — Na str. 131 7 wierszy ostatnich. — Na str. 132 wierszy 13, pocz. od w. 7. — Na str. 133 wierszy 9, pocz. od w. 20. — Na str. 135 wierszy 12, pocz. od w. 22. — Na str. 136, począwszy od wiersza 4 z góry, cały ustęp aż do str. 137 w. 9. — Niżej na str. 137 wyłączyć 9 wierszy ostatnich i 16 wierszy pierwszych na str. 138. — Na str. 143 wierszy 9, pocz. od w. 17. — Cały Epilog także w przedstawieniu pominąć.

Zdaje mi się, że wykreślenia powyższe ożywiłyby dyalog, w którym zaś razie skróciłyby sztukę o dobre 25 stron, co samo jużby

wielce ułatwiało możność należytego odegrania kiedy Balladyny na scenie. Była ona wprawdzie raz już grana we Lwowie w r. 1862 na benefis p. Wilkoszewskiego. Że jednak dano ją wtedy całą, bez żadnych zaokrążeń i skrótów, trwała tedy reprezentacja zbyt długo, a publiczność niecierpliwiła się i odeszła do domu niebardzo zadowolona z tego wieczora. Mogły się do tego przyczynić i rażące niedostatki w dekoracjach i maszyneryi, którą na przódce, bez wielkiego zachodu, przyrządzono z tego, co było pod ręką, nie troszcząc się wcale o to, żeby rzecz podnieść i w tym kierunku. Balladyna potrzebowałaby wielkiego wytworu w tym właśnie względzie w ustępach swoich fantastycznych, jeżeliby takowe podobać się miały widzom. Oprócz baletowej staranności w tych akcesoryach dekoracyjnych, potrzebną byłaby jej koniecznie i muzyka stosowna, towarzysząca działaniu w partyach czarodziejskich czynników akcji. Bez tych pomocy ze strony sztuk pokrewnych, poezya w tym dziele nie potrafi zrobić wrażenia, któreby wynagrodziło śmiałość i powiedzmy otwarcie: zuchowałość poety, dającego taki pomysł w kształtach scenicznych.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Rozbior Lilli Wenedy. — Dany w niej obraz zawiązku w Słowiaństwie państwa lechickiego jak się ma względem prawdy dziejowej? — Jaka rola w dramacie przydzielona Wenedom? Jakie znaczenie „przekleństwa“, wskazującego ich na zagładę? — Przymioty Lecha i zwycięskiej jego drużyny. — Wybitne indywidualności w tragedyi: Derwid — Lelum - Polelum — Róża Weneda — Lilla. Kto właściwym bohaterem sztuki? — Tragiczność idei, na której dramat osnuty. Czy jej wcielenie jest dostateczne? — Przegląd ról poszczególnych: zadanie Róży — i zadanie Lilli. Artystyczne niewłaściwości w przeprowadzeniu pojedynczych szczegółów. — Obejrzenie katastrofy dramatu — ogólne uwagi.

Lilla Weneda wyszła z druku wprawdzie po Balladynie. Co większa, Balladyna i napisana nawet została kilka lat pierwiej, niżeli Lilla. Pomimo tego, jeżeli chodzi o miejsce w szeregu sześciu owych zamierzonych dramatów, z których się miał złożyć cały cykl legend fantastycznych o najdawniejszej Polsce: to pierwsze miejsce w tym cyklu zajmuje właśnie dramat niniejszy. Daje w nim poeta właśnie sam zawiązek, sam zaród społeczeństwa naszego. Drugim ogniwem tego łańcucha miał być Krakus, którego Słowacki stawia jako syna Lecha. Dla Balladyny, jako wsuniętej tuż przed czasy piastowe — więc już po dynastyi Popielów, przypada jedno z miejsc ostatnich, może piąte, lub szóste. Piąte, jeśli miał należeć do tej całości i „Wallenrod“; ostatnie — jeśli ta kreacya miała stanowić dzieło osobne.

W tym stanie rzeczy, jaki obecnie jest, posiadamy tedy tylko sam początek i koniec tej projektowanej kolei legend. Lilla — to nawiązanie, a Balladyna — to dośpiew tej udratyzowanej Epopei przedbytu.

Główny pomysł Juliusza co do zawiązku narodu naszego i zgadza i nie zgadza się z tradycją przekazaną o tém przez kronikarzy. Zgadza się z nią w głównej rzeczy — rozniża w szczegółach. Poeta nasz idąc w szczegółowym rozprawieniu dotyczących okoliczności wbrew tym podaniom i po większej części wbrew też rezultatom ostatnich historyków, stworzył jednakże świat, który w sobie ogólną historyczną prawdę zamyka i nie tylko z poetyckiego, lecz i z historycznego punktu widzenia ostatecznie odpowiada powziętym powszechnie o genezie naszym pojęciom. Bo że porządek rzeczy lechicki, jakkolwiek co do rodu nieobcy, cywilizacyjnie, był czémś odrębnym w słowiaństwie: temu i historia nie przeczy. Że ten porządek zajął tu miejsce dawniejszych, nieco odmiennych, czysto słowiańskich stósunków: tego nauczają i dzieje. W tento jedynie też sposób mógł się tu począć ten żywioł polski, który pod wszelkim względem zawiera w sobie więcej, aniżeli w sobie mieszczą żywioły reszty rozsiadłego na niezmiernych przestrzeniach tu i owdzie słowiaństwa. Historyczna krytyka nie doprowadziła do pewnej konkluzyi, skąd i kiedy i jak te lechickie pierwiastki przybyły między Słowian osiadłych po nad Gopłem i Wisłą. Lelewel, niezmiernie chwiejny w tym punkcie, to uważa w Lechach odcień tylko społeczny, zresztą miejscowy, to ich znowu gotów prowadzić z za Dunaju do Czech, a stąd nad Wartę. Bielowski wywodzi Polan od Daków czyli Traków, zatem z południa. Maciejowski od Swewów, więc z zachodu. Szajnocha od Skandynawów, zatem z północy. Nie brak na takich, którzy ten odłam plemienia przyprowadzają wprost z kolebki całego naszego szczepu, z za Kaukazu, zatem ze wschodu... Te różnice mniemań są tedy. Ale że nastąpiło jakieś przybytkowe wszczepienie latorośli nieco odrębnej w pień miejscowego zaludnienia z dawniejszych czasów: na to się prawie wszyscy piszą jakby na fakt dowiedziony, a tradycya odwieczna o przyjściu Lecha w te strony, także to przypuszczenie potwierdza.

Jednakże historia pojmuje to przybycie nowych żywiołów na ziemię naszą w formie napływu. Przypuszcza napływ idei wyższej, organizacyi odrębnej, może też wreszcie nawet i rasy obcej, lecz w taki sposób, że takowa bez wielkiego oporu potra-

fiła tu dokonać swego domieszania się do miejscowych zasobów i choć nad nimi wzięła przewagę, a następnie i panowanie, to jednak raczej sama się do nich przyswoiła i rozplynęła w ludności, którą napotkała w tych okolicach, niż żeby ją była miała w sposób gwałtowny wyprzeć albo wytępić.

Nasz poeta w tym punkcie zupełnie odstąpił od wyobrażeń utartych. Przedstawia on tę stóśunków przemianę jako podbój, jako krwawe zetknięcie się dwóch przeciwnych sobie pierwiastków, co większa, jako bój dwóch różnych plemion o śmierć prowadzony lub życie w dosłownym wyrazu tego znaczeniu. Przedstawia przyjście Lechitów jako zagładę zupełną dawniejszej tych okolic ludności — na korzyść przybyłej rasy. I wziął sobie właśnie to konanie ustępującego z historii i pokonanego plemienia za główny przedmiot swojej tragedii. Żywił lechicki, zwycięski, dopiero poczynający tu życie — odgrywa w niej rolę tylko deuteragonisty. Prawdziwym bohaterem dramatu jest to ostatnie pokolenie Słowian czyli „Wenedów“ nadgoplańskich, które po długim i rozgłosnym niegdyś istnieniu w szerokich kraju swego granicach, legło pod rolandowym Lecha i rycerzy jego orężem. Jestto zatem per excellentiam tragedia idei, tragedia narodu i społeczeństwa całego — nie osób pojedynczych.

Sztuka się poczyną samym początkiem najazdu. Widzimy tu wprowadzić od razu króla Wenedów, toż obu jego synów w niewoli u Lecha, który już prawie władnie tym krajem; ale ten wielki obrót rzeczy sprawiła jedna bitwa, pierwsze już starcie.

— „Cóż myślisz starcze o ludach zachodnich?

Wczora ty byłeś panem tej krainy:

Dzisiaj do ciebie nie należy głowa,

Która rządziła wczoraj tymi ludy“... itd.

Od tych słów, włożonych w usta Lechowi do Derwida pokonanego, już się poczyną akt pierwszy. —

W poprzedzającym akt ten Prologu, którego czas przypada właśnie na chwilę owę bitwy stanowczej, chociaż się takowa toczy opodal gdzieś po za sceną: daje autor kilka zarysów, charakteryzujących położenie dziejowe. Dowiadujemy się, że We-

nedzi wskazani są na zagładę; że cięży nad nimi jakaś klątwa, z przyczyny której upaść i zaginać muszą.

— „Przekleństwo, przekleństwo. przekleństwo!

Ojczyzna nasza kona — i na wieki

Widzę umarłą“...

— „Na ziemi i w niebie

Lud nasz przeklęty — o biada nam, biada! — “

Słowa te wypowiadają Róża Weneda, starsza córka Derwida, będąca wróżką — i harfiarze, którym jako kapłanom narodowym, odchyłona jest zasłona przyszłych przeznaczeń ojczyzny. Lecz nie oni tylko sami posiadają tę świadomość przyszłości. Myśl ta jak miazmat trujący, zdaje się przesiąkać całą atmosferę obrazu; odzywa się ciągle, przez cały tok dramatu, jak echo jakie złowieszcze. Uczucie to zbliżającego się końca cięży ołowiem na wszystkich osobach, biorących udział w tej ostatniej walce z najeźdźnikami... Poeta nie tłumaczy ani powodów ani bliższych okoliczności owe go przekleństwa, rzuconego na cały szereg Wenedów. Możliwe go tu prawie posadzać o wprowadzenie jakiegoś ślepego fatalizmu. Tém bardziej zaś przypuszczenie czegoś podobnego w tym dramacie mogłoby się zdawać na razie uzasadnionem, że nie widzimy w Lechitach, którzy wszędzie zwyciężają Wenedów, żadnej nad nimi wyższości. Przeciwnie, jestto rasa jakaś i fizycznie karłowata, i duchowo napiętnowana jakimiś oznakami małości, skłonna do nikczemnych okrucieństw, daleka od wszystkiego, co by znamionowało wyższą naturę, rasa niekiedy prawdziwe popełniająca nawet obrzydliwości! Wszakże sam Lech, patrząc na rosłe ciała, na dumne postawy swoich jeńców zakutych w pęta, mówi do żony:

„Gwinono patrzaj, jaki to lud rosły!..

Ja komar — i krew z niego wycodziłem

I wycisnąłem w rękę jak cytrynę!..

Ściągając rzecz do jednego z synów Derwida, dodaje jeszcze:

Że ja maleńki, to on mną pogardza,

A wiem, że mego miecza nie udźwignie!“ —

Zdawałoby się, z tych chępliwych słów wnosząc, że za tę drobność zewnętrzną ciała, natura wynagrodziła Lechitów nie

tylko tęgością nadzwyczajną sił fizycznych, lecz może i mocą duszy, rozumem, wielkością serca? Gdzie tam! Żona Lechowa, Skandynawka z rodu, bynajmniej nie powzięła takich wyobrażeń ani o mężu, ani o jego orszaku. Zręczność w boju — tę im przyznaje, ale prócz tego — nic więcej.

„O jak rycerze ci są łatwowierni!

Najmniejsze kłamstwo, a już ich oszuka.

A choć szychową nie zobaczą, nie chcą

Wyciągnąć z kłębka — jedni przez lenistwo,

Drudzy widzący w tém może pożytek

Albo zabawę: i tak oszukani

Falszu krzewinie rosnać pozwalają!“

Podnosząc tedy w ich charakterze lenistwo, prywatę i lekomyślność jako główne znamiona, zamyka Gwinona w dalszych wierszach ten sąd swój o całym rodzie Lechitów wyrzeczeniem niekoniecznie dla nich pochlebném, że to „lud głupi, z rąk rycerskich ale z głów niemyślących“ złożony, który jeżeli ona go w opiekę swoją nie weźmie — przy lada burzy rozpaść się musi.

Na to samo wychodzi, co w swój znowu sposób i przy innej okoliczności o tej rasie wypowiada pocieszny i głupkowaty Słaz, kiedy go ktoś w przytomności Wenedów za Lechitę ogłosił.

— „Cóż to? Czy mi z oczu

Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,

Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,

Do ukwaszonych ogórków, do herbów?

Zwyczaj przysięgać in „verba magistri“ —

Owczarstwo — czy to wszystko mi do twarzy? —

Jeśli tak, wodą mi zlejcie gorącą —

Niechaj oblezie ze mnie pierwsza skóra.“ itd.

Co dotąd przytoczono, wystarczy, ażebyśmy pozwolili sobie już w tém miejscu wyrzec nawiasową uwagę, że widocznie przydzielił tu Słowacki Lechitom te wszystkie właściwości, które się później okazały przywarami polskiego społeczeństwa, mianowicie w czasach upadku. Przywary te wytykają i teraz jeszcze umysły satyrycznie usposobione polskim szlachcicom, rozumiejąc przez wyraz ten cały ogół mniej światłej masy w łonie wyższego towarzystwa naszego...

Lech sam jest prototypem rzeczonych ułomności. Łączy on w sobie dziwne sprzeczności charakteru. Przy bohaterskich nieraz zapędach, przy błyskliwych powodzeniach oręża: słaby to duch, podległy lada wrażeniu, słowem pospolita natura! Daje wpływać na siebie, bez wyboru i bez różnicy, wszystkiemu i każdemu, kto go tylko otacza. Dopuszcza się co krok dziwnych, nieraz prawdziwie pociesznych niekonsekwencji (np. przez cały ciąg aktu drugiego i trzeciego, gdzie chodzi albo o dotrzymanie obietnicy danej Lilli Wenedzie co do uwolnienia jej ojca, albo też o narażenie się na gniew krzykliwej a tyranizującej go małżonki). Słowem, jestto prawdziwie nieodrodny, jak się sam autor w przedmowie do dramatu wyraził: „praszczur Sobieskiego“ — przy silnej ręce, a molierowskiej w domu słabości. „Kontusz mu włożyć i bóty czerwone, gdy wróci z piorunowej walki, siarką cuchnący i krwią obłany po szyję. Kontusz mu włożyć i żupan! niechaj panuje — bez jutra!“

Otóż zdawałoby się mogło, że skoro z takim wrogiem mieli do czynienia Wenedzi, to chyba ślepy jakiś fatalizm winiłoby o to trzeba, gdyby zagłada ich plemienia, na korzyść takich najezdców, miała rzeczywiście już tak koniecznie być nieuchronną. Przecież słusność jest po stronie tych, którzy bronią swojej ojczyzny. Przewagą liczebną także przewyższając Wenedzi nieskończenie Lechitów. Przymioty szczepowego ich charakteru zmuszają w dramacie często nie tylko do uznania, ale i do współczucia. Sam Gwalbert święty, człowiek obcego pochodzenia, zatem bezstronny, wprowadzony przez autora na scenę jako typ zbliżającego się i do tych już stron chrześcijaństwa, oddaje im świadectwo, „że to był dobry lud, choć nie chrześcijański.“ Dlaczegoż tedy opatrność czy wreszcie szczęście samo łaskawszém byłoby miało dla Lecha i jego szyków, równie jak Wenedzi nie będących jeszcze chrześcijanami, aniżeli dla tej ludności spokojnie mieszkającej u siebie? Jeżeli przeto, że to pokolenie obarczone przekleństwem: to kto je niem obarczył? za jakie wykroczenie? przed czym trybunałem?

Na te wszystkie pytania nie ma w dziele odpowiedzi gotowej; ale całe jego przeprowadzenie i ostateczna katastrofa tragedii staje za wymowne rozwiązanie całej tu poruszonej zagadki.

Przekleństwo Wenedów wynika z nich samych. Jest to tylko symboliczny wyraz, malujący wewnętrzny stan ducha tego narodu. Wenedom zabrakło zupełnie na duchowej sile żywotnej, tak niezbędnej do istnienia ciałom zbiorowym. Stracili wiarę w siebie, stracili serce. Odbiegło ich przekonanie, że potrafią się oprzeć nawet wrogowi, który w stal zakuty od stóp do głowy, poprzędzony sławą nabytą, przyszedł zabrać im ich odziedziczone siedziby. Trzymają jeszcze w rękach harfy, których cudotwórcza muzyka grała ich ojcom niegdyś tryumfalne hasła do zwycięstw: ale z tych dźwięków uleciał duch dający siłę zwycięstwa, a pozostały tylko głuche i puste brzęki. Tych brząków oni już sami nie rozumieją! Pozostały im wróżby, na których budują wszystko, a którym jednak sami nie dowierzają. Poczucie tego duchowego upadku udzieliło się całemu ich pokoleniu. Nikt z nich w przyszłość dalszą nie wierzy; nikt nie ma woli, żądać jej i wy-móc ją — nawet wbrew wszystkiemu, co onęj przeczy. I to jest owo przekleństwo, dla którego muszą ustąpić z widowni.

Wyższość Lechitów na tém właśnie polega, że lubo oni jak się powiedziało, podlegają tylu rozlicznym ułomnościom i niedostatkom moralnym, lubo nieliczni do tego stopnia, że się garstką tylko wydają w porównaniu z tysiącami Wenedów, lubo ciałem od nich mniejsi i słabsi: ufają w siły swoje i gwiazdę swoją i mają serce do boju.

Wśród wyrzutów, które nieraz w dramacie czyni Lechowi wyniosła jego małżonka: że dwa razy już utracił kraje prawie podbite, że się dał bratu Czechowi tak łatwowiernie oszukać, że mu już pozostała tylko jeszcze garstka rycerzy, że nie pamięta o losie dzieci itp. zmuszona ona jest jednakże powiedzieć mu i te słowa, wcale nie będące naganą, a tłómaczące naszą zagadkę:

„Ty zawsze ufasz w szczęście i odwagę

I w tę gorącość krwi, co ciebie rzuca

W niebezpieczeństwo...”

A Róża Weneda kiedy opowiada swoje widzenie w przededniu walki, mającej ostatecznie rozstrzygnąć o istnieniu lub nieistnieniu narodu: to w zupełnie inném świetle malować musi zachowanie się i usposobienie swoich Wenedów. Widziała ich w liczbie

kilkunastu tysięcy, ale z wybladłemi twarzami, w grobowém milczeniu zajmujących miejsca na przyszłym pobojuwisku. Widziała ich w duchu swoim, jeszcze w przededniu bitwy, jako tam stali uszykowani do boju

„Równi, zimni, biali jako groby —

Miecz je walił, gdy piorun był niemy,

Czasem walił piorun i miecz razem.”

Powiada, że kiedy chcąc się przekonać, co się dzieje w pierśiach tych zwątpieniem zatrutych ludzi, zajrzała do wnętrza kilku z tych bohaterów walki jutrzejszej: to znalazła u jednego, „że w nim serce zbladło i tak trzęsło się, jak liść olchowy.” W piersi drugiego znalazła zamiast serca — kłębek robaków. A gdy rozdarła pierś trzecią i spojrzała w nią: — to była pusta! nie było w niej nic miasto serca. I nie zazierała już dalej wróżka natchniona do serc ludzkich swego narodu, bo się dowiedziała o wszystkiém...

Gdzie tak rzeczy się mają, tam i katastrofa gotowa. Gdzie tacy zapaśnicy, tam i wypadek walki z góry wiadomy. Nie byłoby o czém ani z czego i tutaj stworzyć dramatu. Jednakże są jeszcze przynajmniej pojedyncze pomiędzy Wenedami osobistości, które grozę położenia pojmują, nie zapomniały godności narodowej, zachowały choć iskry wiary w skuteczność swoich poświęceń; które czują ciężar obowiązku i mają siłę go dźwigać. Są jeszcze ludzie, którzy jeśli nie więcej, to pragną się bronić, żeby — jeżeli trzeba już legnąć, legnąć przynajmniej bez hańby, i oddać życie — nie bez drogiego okupu i odwetu.

Stawmy przed sobą te wybitne charaktery słowiańskie, podtrzymujące akcją tragedii.

Oto najprzód Derwid, sędziwy król Wenedów. Znekany to starzec, w wysokim stopniu wyobrazający wszystkie braki swego plemienia, ruina, niemoc uosobiona... Ale ruinato zdolna wznieść i w wrogu część dla tego, czém była kiedyś. Mąż królewskiego ducha, który się śmierci ani okrucieństw żadnych nie lęka. Walczy — wprawdzie tylko słowami, ale słowami, które w wroga uderzają jak razy. Ożywia i zapala się — wprawdzie na tylko

znikoma zawsze chwilę, żeby po wysileniu takowem opaść z sił w tém bezbronnejszą bierność. Ale wiary do harfy swojej, tego symbolu narodowego zbawienia, nie traci nigdy i wzniosł się duchem na wysokość, z której dumnie zapowiada wrogowi:

„Że po narodach już wymordowanych
Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą
Ty musisz bladnąć, i ciągle twe lica
Strupiałe nową krwią farbować musisz.“

Są dalej dwaj synowie jego — tak podobni do siebie, a tak jednak różni usposobieniem. Młodszy Lelum — to poeta, marzyciel, to Kordyan tamtych wieków, serce narodu. Starszy Polelum — to tego narodu oręż, grom, jego jedyna siła, która jeszcze zdolnaby była i w czyn rozkwitnąć zbawczy, gdyby to było rzeczą podobną, ażeby jeden stanął za wszystkich; gdyby jedna latorośl zielona mogła ożywić soki w całym drzewie — zwiedniałem!... Lelum-Polelum — dwie nazwy, dwa wyrazy niezrozumiałe dla dzisiejszej epoki, choć przekazane tradycją, połączył poeta w jeden więc pomysł. Skuł dwóch tych braci jednym łańcuchem, zaczepionym jednym końcem do prawej ręki młodszego, drugim do lewej starszego brata. Stawia ich obu jako jednego wodza w tej ostatniej narodowej potrzebie, jako wodza o dwóch głowach, a jednym mieczu i jedną olbrzymią tarczę. Miecz — dzierży prawa ręka Polelum, tarcza — zdana lewej ręce drugiego brata. Tak oni walczą i tak giną na stosie. W tém połączeniu dwóch jestestw, przekazują oni po sobie ostatnie wspomnienie pamięci wieków potomnych. Dwa imiona mytologiczne, dotąd prawie śmieszne, a w każdym razie bezmyślne, nabrały więc w dziele obecnym znaczenia. Znaczenie to nie jest bez ubocznego związku i z charakterem narodowym całych naszych dziejów następnych. Dwie głowy — a jedna ręka! Dwa niestety rozумы — a jedno tylko działanie. Nie jestże to rzeczywiście, jak poeta w przedmowie swojej natrąca, wiekowe, tradycyjne „nieszczeście narodu?“ Nie jestże to przeznaczenie, nie tylko „przewodniczące tamtemu przez Boga potępionemu ludowi,“

ale i owym wojennym spadkobiercom jego krainy, którzy tu dalsze dzieje więcej w jego duchu, niżeli w własnym rozsnułi?

Mamy w dramacie nakoniec dwie córki króla Derwida, Różę i Lille Wenedę. I tutaj uwydatnił Słowacki stanowczy kontrast między obiema siostrami. Starsza jest wróżką, kapłanką i ofiarnicą swego narodu. Nie tylko powołaniem, ale i usposobieniem wyższa nad pleć swoją niewieścią — może sama jedna w pokoleniu owym całym obdarzona jasnowidzeniem tego, co się dzieje w duchu narodu i na co się w nim zanoś: wystaje Róża Weneda w dramacie, w kolosalnych, twardej, ostrych zarysach, po nad wszystkie inne w nim działające figury, i tą surową wielkością duszy zniewala do podziwiania. Na pozór poczyną ona sobie niekiedy jakby istota nieczuła, zdolna tylko krwawych porywów, bez łez i serca dla siostry, dla braci, dla ojca pojmanego w niewolę i powracającego z niej potem z wydartymi oczyma. Zamiast jakby się należało powitać w tej scenie ten tak późny, tak niezupełny powrót rodzica swego do domu, zamiast otoczyć ciemnego starca tym przyjęciem, jakiego się mógł spodziewać ze strony dzieci, a raczej ze strony jedyne go dziecięcia, które nie dzieliło jego niewoli: Róża Weneda zwięźle i ponuro zagaduje Derwida, dlaczego bez swojej harfy powraca? Derwidowi wprawdzie wiadomo, że od tej harfy zawisło ocalenie Wenedów; wiadomo mu, jakie miejsce w społeczeństwie narodowym starsza córka jego zajmuje; wiadomo mu, że ona czuje za naród cały i że tylko to jedno uczucie serce tej dziewczycy zapełnia. A przecież, w takiej chwili, nie rozumie on sam nawet Róży Wenedy. Pojąć tego nie może, żeby na widok wydartych jego oczu, na widok twarzy zlanej temi łzami krwawymi, mogła córka jego, kobieta, myśleć jeszcze o czem więcej, jak tylko... o takim powrocie ojca! I karci, przeklina prawie to na pozór niedobre dziecko:

— „O gadzino!

Czy ty się z harfy mojej urodziłaś,
Że ty mię witasz tak? — Gdym tu przychodził,
Skakały na mnie psy wyjąc z radości,
A ty jak kruka... etc.

„Ty jesteś harfą bez strun, czarownico!
O bogdaj pierwszy z tych pforunów złotych
Pomścił się za mnie!“...

Te wyrzuty starca świadczą jednak więcej przeciw Derwidowi samemu, aniżeli przeciwko Róży. Dowodzą, że król Wenedów jest niezdolny — nie powiem: podzielać, ale nawet rozumieć tego nastroju ducha, do którego w takiej chwili, jak tamta, wznieść by się powinna cała ludność zagrożona zagładą, przedewszystkiem zaś sam panujący, jako bezpośredni wyobraźcieli idei swego narodu. To też bynajmniej się nie miesza kapłanka nasza temi gorzkimi wymówkami rodzica. Czyni co do niej należy z tysamsym spokojem duszy, z jakim to czyniła przed przybyciem Derwida; a na jego wyrzekanie i skargi patrzy w milczeniu pełnem boleści, jak na poczynanie sobie człowieka przeżytego i zdzieciniałego, który nie wie co czyni... W innych miejscach daje też poeta wymownie do rozumienia, że i Róża Weneda ma serce, ale serce do czynów, do walk, do zemsty nareszcie, a nie do łez, które gaszą ogień serdeczny. Jój słowa wyrzeczone do siostry:

„Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy“
określają dostatecznie cały charakter tej roli.

Podczas kiedy starsza siostra działa w dramacie jak Eschyłowska więc Eumenida, która „jednym strasznym czynem zajęta, stąpa po sercach ludzkich i kruszy je pod swemi nogami“: przydzielił poeta naturze młodszej Lilli właściwości całém niebem tamtęj przeciwne. Zamknął w jój piersi uczucia wdzięczne, miękkie, tkliwe, prawdziwie niewieście — uczucia właśnie w tym stopniu zmuszające do miłościwego współczucia, ile natura tamtęj tylko chłodny obudza podziw. Wizerunek ten dziewicy cichęj i łzawęj wykończył Juliusz z całą miłością artysty. Wymarzył sobie tę prawdziwą Antygonę słowiańską, nad nagrobkiem gdzieś w Szwajcaryi kiedyś widzianym, ze starożytnego Rzymu jeszcze epoki datującym, który mu teraz stał przed oczyma ducha, jakby był materialnie obecny. W krótkich ale powiedziałbym magnetycznych wyrazach skarży się tam jakaś młoda męczennica

pogańska na nielitość przeznaczenia swojego. „Julia Alpinula tu leżę — nieszczęśliwego Ojca nieszczęśliwa córka — bogów awentyńskich kapłanka. Wyprosić ojca od śmierci nie mogłam. Nieszczęśliwie umrzeć w losach jego było. Żyłam lat XXIII“... Nowsza filologicznego sceptycyzmu krytyka dowiodła niedawno temu, że ten napis grobowy należy do apokryfów. Mniejsza o to! Napis może sobie być podrobiony: — pomysł jego jednakże nie przestanie dlatego być pomnikiem autentycznej, bo prawdziwej poezji. Z niewielu dat tej lapidarniej kroniki, jak widmo wyziera powieść strasznego jakiegoś zajścia. Żywsha wyobraźnia dosnuć tu sobie potrafi cały poemat poświęcenia i miłości, tragicznie kontrastującej z ciemnym tłem czasów, które pochłonęły tę białą postać dziewicy, zabitej w swojej wiosnie tak rychłej. I nasz poeta z tej wymownej, choć w słowa tak skąpej skargi, z tego jęku właściwie nie nad sobą, ale jedynie nad ojcem, wywołał pomysł swojej idealnej Słowianki. Żeby wydobyć na jaw cały urok tej melodyjnej duszy, przeciwstawił niewieścią jój potulność — spiżową grozie starszej córki Derwida. Róża jest kapłanką bogów rodzinnych, a Lilla — to już chrześcijanka — to pierwsza nawrócona w Słowiaństwie! Tamta — już z natury surowa, ponura, duchem wyłączna, w sobie samej zamknięta, zdolna myślą dźwignąć z posad całe arkanum państwa swojego ojca, a bez zmysłu dla cierpienia jednostek: a ta gibką swoją postacią, jak bluszczu zielonego gałązka, przeznaczenia swojego szuka jedynie około siebie; z uśmiechem na twarzy, ze łąką miłości w oczach zawisa białemi ramionami u szyi ojca, braci, siostry co jój w dzieciństwie zastępowała matkę, i tylko nato żyje, żeby dni drugich umilić, rozjaśnić, szczęściem umaić, dopóki można; żeby je okupić śmiercią swoją, gdy tego trzeba. O losy narodu, jako ogółu, nie pyta. Przyszłości — nie zna. Przeznaczeń — nie bada. Żyje w obecności — i to jój wystarcza; pragnie szczęścia — dla każdego z osobna. Świat się do niej uśmiecha — poznała miłość, jest zaręczoną: ale ta nadzieja szczęścia na ziemi nie więzi jój jednak do ziemi. Pragnie żyć, lęka się śmierci — a jednak bez wahania niesie życie swoje w ofierze, byleby ocalić tych których kocha, od zguby.

Rzecz jasna, że z pomiędzy wszystkich osób wprowadzonych w ramy dramatu, Lilla Weneda ma najwdzięczniejsze i najrzadziej nastrajające zadanie. Jój rola głównie sobie współczucie widza ujmuje. To też jeżeli która z tych pojedynczych postaci, to ona właśnie mogłaby być nazwaną bohaterką tragedii. Rzeczywiście jednakże herosem sztuki naszej jest cały lud Wenedów, o losy którego ostatecznie tu chodzi. W nim głównie poeta uobecniał i uwidomił tragiczność idei, która mu tu dała natchnienie. Nie ma zaiste rzewniejszego obrazu ani tragiczniejszego widoku, nad konanie szlachetnego narodu, jeżeli na konania tego przyczyny złożyły się rozliczne momenta z własnej jego winy wynikłe, nie będące jednak taką skazą na obliczu jego duchowem, żeby sumienie widzów, na ten straszny dramat patrzących, nie miało im mówić, że to kara nieboska, że to katastrofa dla ludzkości bezpożyteczna, że to tryumf nie idei, ale potęg tylko doczesnych, korzystających chytrze i zmyślnie z szczęśliwój dla nich okazji... Takiegoto konania tragicznym wizerunkiem mieli być w tej kreacji Wenedzi. Czy nim są? o tém możnaby sądzić różnie. Mnie się zdaje, że obraz rzeczy tej nie jest w dziele naszym zupełny. Autor zaniedbał wykończyć go z tą plastyką artysty i z tą historyozoficzną mądrością myśliciela, jakiejby tu koniecznie była potrzeba. Odsłonił wszystko, co świadczy o upadku ducha i o rozkładzie siły żywotnej Wenedów. A zapomniał skreślić dodatnie, nawet i teraz jeszcze, strony ich charakteru. Przynajmniej nie wyrzeźbił ich z tą wymową skądinąd właściwą jego utworom, iżbyśmy czuć mogli nie tylko całą wagę i całą prawdę, ale i całą ironią skargi, włożonój w usta ostatniego z rodu Wenedów na końcu sztuki. Jest nim Polelum, stojący już na stosie, ażeby umrzeć na grobie swojej ojczyzny. Spieszą ku niemu dwaj spadkobiercy puścizny pozbawionój swego dziedzica, jak gdyby nieśli ocalenie dla plemienia, które właśnie skończyło. Lech woła: stójcie, bo ja przynoszę wam życie! Gwalbert głosi: stójcie, bo ja wam wiarę przynoszę. Wtedyto wypowiada Polelum te słowa, tłómaczące całą dążność tragedii, i zarazem stawiające jakoby na piedestalu pomnikowój w dziejach wielkości pokolenie owo, w dramacie pokonane:

— „Boże, patrzaj z nieba

Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda

Konającego! Patrzaj na tych ludzi

I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom

Chwilę tryumfu i urągowiska!“...

Widzimy więc, że cała ta sztuka odsłania uprawnienie Wenedów i w owój jeszcze porze do bytu, tylko zatém porównawczo, względnie, pośrednio, t.j. o tyle tylko, że w porównaniu z nimi Lechici duchowo i fizycznie, w indywidualności swoich i w obyczajach, w rodzinie i po za jój obrębem, wyglądają jak karłowate jakieś i pełne ułomności postaci. Ale własne, dodatnie i wprost przemawiające do wyobraźni zalety społeczności Wenedów pozostały po za ramami obrazu, co w każdym razie doniosłość tej kreacji jako tragedii osłabia i bynajmniej nie przyczynia się do wydobywania na jasność istotnego w niej założenia.

Bądź jak bądź, zamiar taki autora, jako zamiar, dostatecznie jednak z dzieła wyziera i wątpliwości nie podlega, że główna rola spoczywa tu na tym właśnie czynniku. Ponieważ wszakże niepodobno było pocie z artystycznych przyczyn rozwinąć akcji dramatu na tém jedynie tle działań i cierpień zbiorowój osoby, jaką jest naród: musiał tedy osobę tę moralną pozostawić w idealnej głębi obrazu, a zapełnić przestrzeń jego konkretną działaniem pojedynczych osób, o ile takowe najpełniej i najwybitniej wyobrażają stan ducha swego narodu. Osobami takimi są głównie obie córki Derwida. Starsza działa w miarę charakteru, jaki jój przydzielono, przedewszystkiem mając na oku cały ogół narodu. O losy jednostek, chociażby sercu najbliższych, nie pyta. Przygotowuje czyn ostatni Wenedów, przepowiadany z dawna w wróżbach jój objawionych w sposób że i tak i owak, jak wszystkie wróżby na świecie, może być wykładany. Ani się zbytecznie ku ufności skłaniając, boć zna usposobienie społeczeństwa swojego, ani też nie rozpaczając stanowczo o tém wszystkim, co przyjdzie: rozsyła harfarzy swoich na wszystkie pokolenia i zwołuje cały naród do walki. Jeśli ocalenie nie jest jeszcze z rzeczy przecho-
dzących wszelki zakres możliwości, to ona siły do niego w Wene-

dach rozbudzi i zmusi ich do odniesienia zwycięstwa. Jeżeli zaś jest już rzeczą konieczną, żeby plemię to w własnej swojej dziedzinie przyjęło na się jarzmo obcego służebnictwa i zakończyło dzieje swoje sromotą: to niechże raczej ginie i skona, byle całe, byle na polu chwały, z orężem w ręku, biorąc do grobu z sobą świadectwo, że uczyniło w obronie swojej, co mogło. Wtedy odwet za to zabicie narodu będzie poruczony przyszłości, choćby najdalszej. Pomsta przyjdzie, choćby ją spłodzić miały zmarłych popioły... Taka jest rola i taki kierunek działania Róży Wenedy.

Tragiczność roli tej w tém jest widna, że chodzi o przeprowadzenie czynu, do którego braknie żywiołów w społeczeństwie. Jestto walka z fatalizmem, przebój żywotności w jednostce z ociężałością i bezdudem ogółu. Na takich sztandarach imię idei nieśmiertelnej jest wypisane. To ich prawo. Ale nie ma komu nieść tych sztandarów. To ich niemoc.

W zupełnie innym kierunku idzie działanie drugiej córki Derwida. Lilla wyobraża żywotność idei słowiańskiej w rodzinie. Jój ideałem — szczęście osób najbliższych sercu. Gdyby można było żyć dla ideału tego, nie pytając o to, co się tam dalej dzieje w narodzie: nie wchodziłaby pewnie i nasza bohaterka w żadne zawikłania z zewnętrznym nieprzyjacielem. Ale związek między rodziną a społeczeństwem jest nadto ścisły! Po wszystkie wieki iści się owo proste a tak głębokie słowo Wajdeloty, powiedziane o Walterze u Mickiewicza: „Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie“... To też i w obecnej tragedii miłość rodzinna prowadzi doraźnie do podjęcia boju na zewnątrz. Jest to bój dziewicy, bój prowadzony o wybawienie tylko trojga pojedynczych osób z niewoli, bój nie na oręż, ale raczej na rozum i na przebiegłe serce, ale zawsze bój straszny: i kończy się równie tragicznie, jak cała walka Wenedów.

Lilla podejmuje na się zadanie, wyprosić z jeństwa ojca i braci, których wzięto w niewolę już w pierwszej z Lechitami potyczce.

„Ja braci moich, ojca mego zbawię.

O pobłogosław ty mi siostró moja —

I wy mi starzy ludzie błogosławcie!

Ale nie prosicie Boga o nic dla mnie,

Tylko o rozum i przebiegłe serce,

Abym zbawiła tych, co są w kajdanach!

O bądźcie zdrowi! nie troszczcie się o mnie —

Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,

Co biały jak ja, swą mię siostrą mniema.

I ten jest za mną, co nad gołębiami

W nieba błękitcie jeszcze wyżej lata:

A gdy mię nazbyt przycisnie nieszczęście,

Gotów odebrać gołębiowi skrzydła

I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła.

Jeśli nie zbawię ojca, umrę młodą —

A wtenczas płaczcie wy biednej dziewczyny!“

W tych kilku wierszach zawiera się cały przebieg tej roli. Jest to rzeczywiście walka słabej gołąbki z sępami, które tylko uznają racją szponów swoich drapieżnych. Smutna, choć wniosła walka miłości i poświęcenia — z egoizmem i nienawiścią... Pomyśl tej właśnie części dramatu należy niezawodnie do najcelniejszych jego piękności. Tém bardziej też żałować tego należy, że wcielenie pomysłu tego w szczegóły, że przeprowadzenie rzeczy w pojedynczych ustępach, dalekiem jest od tego, żeby miało zapakować pod każdym względem.

Lilla przybywa do Gwinony z zamiarem ujęcia jój sobie pokorą. Przy pomocy Matki Bożej, której za radą Gwalberta ślubuje czystość dziewiczą, spodziewa się Lilla Weneda, że potrafi skłonić nieprzyjaciół do prośby, z jaką przychodzi. Przybywa na nieszczęście za późno. Ukazują jój ojca — już z wylupionymi oczyma! To ją wprawia w oburzenie najwyższe. Ufna w opiekę Bogarodzicy, która (jak jój to św. Gwalbert zapewnił) za ślub uczyniony czystości stoi po jój stronie, daje nieogłędnie wyraz uczuciu, jakie w nię wre, i zapowiada żonie Lechowój, że ta cała wściekłość przeciwko bezbronnemu jój ojcu okaże się bezsilną, gdyż potrafi ona go wydrzeć z ręki oprawców, choćby i trzy razy wymyśliła Gwinona dla niego śmierć najokropniejszą... Gwinona złośliwie bierze dziewczynę za słowo. Przyrzeka puścić Derwida na wolność, jeżeli Lilla rzeczywiście tego dokaże, co tak chępliwie wyrzekła, i potrafi na przekorę wszystkiemu co nastąpi, wybawić trzy razy ojca od śmierci. Z tego wywija się dla Le-

chitki pochoop do wymyślania po trzy kroć najwyrafinowańszych okrucieństw na zagładę oślepiętego więźnia, a dla Lilli konieczność trzykrotnego udaremnienia tych usiłowań. Otóż więc w szczególówem przeprowadzeniu tegoż założenia, zapelniającem w każdym razie większą połowę sztuki, upatrywać można jakby sprawdzenie własnych słów autora w przedmowie mimochodem rzucenych o sobie samym, że ile tylko razy przyjdzie mu zetknąć się z rzeczywistemi rzeczami, to opadają mu skrzydła. Wcielenie genialnego pomysłu, środkami artystycznej techniki, w materią zdarzeń i zawikłań pomiędzy ludźmi — to należy w zawodzie poety niewątpliwie do rzeczywistych rzeczy. To też w ustępach, w których się powyższego pomysłu szczegółowe przeprowadzenie zawiera, okazuje zdaniem mojem dramat nieniejszy najslabsze swoje strony.

Pierwsze wskazanie na śmierć Derwida już samo przez się jest zgoła nieodpowiednie warunkom środków scenicznych. Zawieszają starca na drzewie, za siwe jego włosy, nie zbyt wysoko po nad poziom, lecz tak iż stopami ziemi nie tyka. W tej postawie ma pozostać tak długo, dopóki albo nie umrze, albo przez córkę — bezbronną i bezsilną — nie zostanie wybawiony od śmierci... Autor sam czuł niepraktyczność artystyczną tego pomysłu, i przeto usunął widok ten, nawet samym oczom niemiły, po za kulisy, a na scenie daje widzieć tylko cień wiszącego Derwida. Niewiele to jednak rzeczy pomaga! Nie dość na tém. Przychodzi do ocalenia starca z tej napowietrznej pozycji w taki sposób, że jeden z synów jego zmuszony zostaje, wielce problematycznym, bo o sto kroków wymierzonym rzutem ostrego topora, przeciąć tę krótką smugę włosów w odstępie właśnie między głową a gałęzią, na której Derwid wisi. Myśl tę poddaje sama Lilla Weneda. Rzut się wprawdzie udaje, ale jakaż to scena okropna!.. Otóż właśnie okoliczność, że rozpaczliwa ta próba była przez Lillę samą poddana, odbiera rzeczy znaczenie, jakieby miała, gdyby to był wymysł pochodzący ze strony udręczenieli. A remiscencye, zawsze w razach podobnych niekorzystne, które się tu każdemu czytającemu mimowolnie nasuwają, remiscencye mówię

z historii Tella, i skądinąd zbyt znanę i spożytkowaną już nawet i w zakresie poezji — psują do reszty wartość całego tego ustępu.

Drugi zamach na życie Derwida, udaremniony przez jego córkę (osnowa aktu III), wkle się w jeszcze gorszych niewłaściwościach. Na rozkaz Gwinony zostaje starzec wrzucony na spód jakiejs zapadłej wieży, zapelnionej jadowitymi węzami. Ma tam przez nie zostać pożarty. Lilla dowiedziawszy się o tém, porywa za harfę cudowną ojca swego i biegnie do owej wieży. Równocześnie przysyła też i Matka Boska Gwalberta świętego na ratunek ojca i córki.

„Idź, bo stary Derwid kona!

Córka jego, mój gołąbek,

Z bolu umiera!..“

Te słowa usłyszał Gwalbert od objawiającej mu się Bogarodzicy i pospiesza więc Derwidowi na pomoc. Po drodze wyprawia prawdziwie pocieszne a niepotrzebne zupełnie sceny, które go tylko kompromitują. Nie dziw też, że przybywa po czasie. Pomimo tego Derwid jednakże zostaje ocalony! Lilla grając na harfie, wywabiła węze z głębi wieży na wierzch do siebie, tak iż stanęły w krąg koło niej wyprostowane, „jak morska fala wzdęte nad dziewczyną.“ A ojciec jęł na spodzie wieży, nietknięty, mógł sobie zasnąć spokojnie.

Otóż nie wiedzieć, jak sobie cały ten ustęp tłómaczyć. Jeżeli wybawienie Derwida było dziełem harfy cudownej: to na cóż to całe, tak wiele słów kosztujące, a tak niezdarne współdziałanie w tém przedsięwzięciu i Gwalberta świętego? Jeżeli zaś łaską Bogarodzicy rzecz dokonana: to jakież wtedy znaczenie harfy? i czemużto w takim razie nie przychodzi do rzeczywistego uwolnienia starego króla Wenedów? Wrzucają go bowiem zaraz potem do innej wieży, i to wraz ze świętym Gwalbertem (!) gdzie obaj głodem zamorzeni być mają... Bądź jak bądź, czy przyjmujemy jedno, czy drugie: zawsze to wyratowanie Derwida okazuje się być aktem cudu jakiegoś. A dramat cudów, zwłaszcza takich, nie znosi. Ustępowi temu braknie tedy na wszelkich wa-

runkach prawdopodobieństwa. Jestto jakby obrazek ładnie ukoloryzowany, ale bez żadnej poprawności rysunku. —

Podobnie nie wytrzymuje krytyki i trzecie wybawienie od śmierci (w akcie czwartym). Gwinona powzięła zamiar zamorzyć tedy więźnia swojego głodem. Dwa dni już upłynęły, i nie wziął Derwid żadnego do ust pokarmu. Przychodzi przed Gwinonę Lilla, z wieńcem białych wodnych lilii na głowie, cała w łzach się rozpływając, pokorna — i otrzymuje pozwolenie widzenia się z ojcem przed tą śmiercią, teraz już nieuchronną. Idzie do więzienia i — nakarmia Derwida owemi liliami, w które była ubrana. Lilie te bowiem można spożywać i służą one za pokarm ludowi tej okolicy, na czém się nie spostrzegła Gwinona. Owoż wygrany więc i ten trzeci zakład z Lechitką! Podstęp przyodziany w pokorę zwyciężył nad okrucieństwem. — Przeprowadzenie tego ustępu w dramacie należy do najpiękniejszych części... jeżeliby chodziło o precudne wiersze i o niezrównane w rzewności swojej wyrazy (np. cała początkowa scena aktu IV). Jeżeli jednak chodzi i o coś więcej jak o wyrazy i wiersze: to powiedzieć trzeba, że to pozór, że to złuda wybawienia od śmierci, ale nie wybawienie istotne. Lilla tu tylko spletała figła, sztuczkę, ale nie więcej. Człowieka wskazanego na zamorzenie głodem, nakarmić raz: to jeszcze nie jest zabezpieczenie go od śmierci z braku pokarmu! Gdyby Gwinona potrzywać chciała trochę dłużej Derwida w owej ciemnicy podziemnej: coby jemu pomogły owe lilie na raz jeden zjedzone?

Do tego tym razem jednakże na szczęście nie przychodzi. Zaszło zdarzenie tymczasem, które okrutną Gwinonę nastraja trochę łagodniej dla tych jej ofiar. Syn jej Lechon został przez Wenedów schwytany i jest trzymany w niewoli. Ażeby go wybawić od śmierci, która mu tam zagraża, i wydobyć na wolność: Gwinona przyznaje Lilli i to więc trzecie zwycięstwo jako szczęśliwie dokonane, w skutek czego Derwid będzie tedy wypuszczony z jej mocy. Ale ażeby się zapewnić co do powrotu swego syna, stawia Gwinona teraz nowy warunek: albo Lilla, albo harfa

Derwida pozostanie jeszcze w jej rękach — dopóki Lechon żywy i cały nie powróci do domu... Wielkiej piękności jest ustęp ten dramatu, gdzie się Derwid waha, kogo zostawić Gwinonie, córkę czy harfę? Od tej harfy zawisło ocalenie jego królestwa! Nie wybrać jej, nie przenieść jej nad córkę: to tosamo, co zgodzić się na zagładę narodu. A przenieść? cóż się stanie w takim razie z najmilszym jego dziecięciem? Znanie mu przecież okrutne tej Skandynawki instynkt! Prześliczne jest miejsce, gdzie się i w sercu Lilli odbywa walka — między życzeniem, ażeby ojciec wybrał harfę, a obawą, że usłyszy, iż jest więc przecież coś na ziemi, co mu droższe nad Lille! —

Na żądanie Lilli samą, rzecz się kończy na tem, że onato pozostanie w ręku Gwinony! Odprowadzi tylko ojca do domu, a potem dobrowolnie odda się sama w jej ręce — za harfę. Jeżeli wróci z Lechonem: to i harfa i córka zostanie zwrócona Derwidowi. Jeżeli wróci bez Lechona: natenczas — Natenczas harfa wróci wprowadzie do rąk króla Wenedów. Ale córka jego podlegnie losowi, jaki jej zemsta matki zabitego syna naznaczy. Ten układ Gwinona i mąż téjże przyjmują. Derwid wraca do swoich. Wypuszczają na wolność i św. Gwalberta, który (nie wiedzieć właściwie na co) razem z Derwidem był trzymany w więzieniu.

Gdzie się wielkie sprawy ważą między dwiema ostatecznościami, z których żadna w danym razie nie jest przez się niepodobieństwem, tam nieraz drobnostka najmniejszej wagi szale przechyla. Zwyczajnie daje ona przewagę stronie, która i bez tego większe miała nadzieje. Bo komu się już nie wiedzie, na tego się i przypadek nawet sprzysięga. Taką to drobną małością między czynnikami naszej tragedyi jest osobistość Ślaza. Chciał w nim poeta, jak w przedmowie nadmieniam, wyobrazić „mniejsze mrówki ludzkości, pełne kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa“. Przyczepił rolę jego do głównej akcji w sposób nadzwyczaj luźny. Ślaz popelnia w ciągu sztuki różne niedorzeczności, ani szkodliwe, ani też nie pomocne niczyjej sprawie. Jaki cel tego? trudno odgadnąć. Chodziło chyba o to, ażeby były ustępy pocieszne i humorem

owiane między okropnościami — jedno zapewne z następstw studyów Słowackiego nad dramaturgią hiszpańską. Nie powiem, żeby cała ta rola Ślaza była jedną ze stron szczęśliwych Lilli Wenedy. Owoż zaczyna się działanie tej figury do toku właściwego działania — w istotny sposób — w jedyną tylko scenie. Na nieszczęście przypada to na tę chwilę właśnie stanowiącą! Przed powrotem jeszcze Derwida z niewoli, przychodzi w obozie Wenedów do rozstrzygnięcia o losie Lechona. Na widok podłej bojaźni tego młodego Lechity, wzgardliwie i wspaniałomyślnie zarazem postanawia Róża Weneda... darować mu życie i wypuścić na wolność! Wtém przyprowadzają na scenę Ślaza, który właśnie został pojmany jako szpieg lechicki, za jakiego go uważają. Szpiegiem on wprawdzie nie jest; ale jakże tu tego dowieść Wenedom, że on nie sprzyja Lechitom i że tu nie przyszedł na to, żeby szpiegować? Ażeby się wydobyć z trudnego położenia, zaczyna Ślaz rozpowiadać kłamliwe wieści. Opisuje zmyślane przez siebie zamordowanie Derwida i Lilli, jako okropności, na które patrzył. To doniesienie zmienia pierwotne postanowienie co do losu Lechona. Okrucieństwo Lechitów żąda odwetu: więc Lechon ginie! Zaledwie się to stało: przybywają na scenę Derwid i Lilla — po Lechona, żeby w zamian za niego wydobyć z rąk Gwinony ową harfę, przy której graniu zapowiedziały wróżby ostatnie zwycięstwo Wenedów...

Tak więc samym przypadkiem ostatnie nadzieje Lilli w niewecz obrócone zostały. Co zrobiła dotąd, jest niczem! Widzi się zmuszoną wrócić w moc rozjuszonej Gwinony — po harfę, i żeby dotrzymać danego słowa.

Następuje, co musiało w danych okolicznościach nastąpić. Następuje i więcej jeszcze. Gdzie bój między plemionami o śmierć lub życie, tam wszelkie układy z wrogiem tragicznie się kończą zwykły dla tej strony, która w nie wierzy. Takąto wiara jest w roli Lilli Wenedy, od początku aż do samego końca, jej winą, jej obłędem — choć obłędem szlachetnym i wzniosłą winą. To też zostaje za nią ukarana okropnie. Zostaje ukarana nie tylko śmiercią, ale i wiarołomstwem. Gwinona odsyła Derwidowi w cedrowej skrzyni od harfy — za córkę jego, którą w napadzie

mściwości bezlitośnie zamordowała — nie harfę, ale... ciało zamordowanej!...

Wśród najzaciętszego boju, do którego tymczasem w skutek starań Róży Wenedy przyszło i który się między Wenedami a Lechem odbywa, jak było przepowiedziano, w nocy, przy bijących piorunach... w chwili gdzie szale zwycięstwa wprawdzie chwieją się jeszcze na obie strony, lecz już zaczynają się chylić coraz widoczniej na korzyść Lechitów — w chwili spotęgowanych zatem pragnień Wenedów, żeby usłyszeć cudowne przepowiedziane głosy z złotej harfy królewskiej: przychodzi do owej kolosalnej sceny, w której Derwidowi zamiast harfy — ciało jego Lilli podają. Nic okropniejszego, nic poetycznie prawdziwszego nad ową scenę! Jestto rzeczywiście pieśń, zdolna i kamienie do zemsty i do życia poruszyć, którą tu gra rozpacz konającego ojca, kładącego ręce swoje na martwem ciele, na złotych włoskach, na zgasłych różach ust tak niewinnie zamordowanego swego dziecięcia! Takąto pieśń przepowiedziały więc wróżby, jako ostatnie tony, które wydobydnie z cedrowej skrzyni ręka starca ociemniałego. Jeżeli czem, to też właśnie tą pieśnią mogliby najdzielniej wskrzesić ducha swego Wenedzi do zwycięstwa, gdyby... były jeszcze w ich sercu jakie iskry życia i ducha.

Ale życie duchowe plemienia tego należy już do przeszłości, która niepowrotnie minęła. To też widok ów, zamiast zgalwanizować nawet trupi organizm, zabija w Wenedach otuchę do reszty. Ustami zaprzysięgają zemstę, ale schylają karki swoje pod miecze, „które ich rąbią, jak trzodę“. Widzenie Róży Wenedy, oglądane dniem wprzód, iści się całkowicie. Cała ludność wytepiona. Jutrzejsze słońca wznijdzie już nad mogiłą narodu. Młody wódz, ostatni z plemienia, staje na stosie i znajduje dobrowolnie koniec w płomieniach. Pozostaje przy życiu tylko Róża, wróżka — jakby uosobienie światodziejowej Nemezy, cierpliwie a jednak tęsknie wyczekującej odwetu od czasów, co przyjdą kiedyś.

„Kto konając we mnie uwierzy,

Skona spokojny.

Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny,

Lepiej niż sto tysięcy wroga,

Lepiej od Boga!"

Jak tę zapowiedź przyszłości zamierzał autor rozwieść i uściśnić w dalszych dramatach? to bezpośrednio nie jest wiadomem. Pośrednią jednakże odpowiedź na to daje Król - Duch.

— Zdaje mi się, że w powyższém dotknąłem już wszystkich prawie szczegółów, mających istotne znaczenie w składzie tego dramatu. Na zakończenie niech mi będzie wolno dołączyć tu tylko jeszcze jedną ogólną uwagę. Niewątpliwie należy Lilla Weneda do tych utworów Słowackiego, których założenie, idea, dążność, słowem cała idealna czyli wewnętrzna strona kreacji sprawa w myślącym czytelniku imponujące wrażenie i wytrzymuje porównanie z każdym dziełem pierwszego rzędu. Jeżeli pomimo tego nie śmiałyby z nas żaden pewnie zaliczać tragedii téj do skończonych arcydzieł: to przyczyna tego w stanowisku poety i w całym sposobie jego poetyckiej praktyki. I w Lilli Wenedzie widzimy się aż zbyt często w tém położeniu, że godząc się na pomysł, nie przystajemy na jego wcielenie; że przyklaskując intencji (którą właściwie tylko odgadujemy), utyskujemy albo nad niedosć plastyczném téjże intencji przeprowadzeniem, albo nad jednostronném i zbyt jakoś wyłączném wypowiedzeniem takowej. Juliusz pomysły swoje pojmował tylko uczuciem, imaginacją. Jego logika — nie byłato rozumowa, reflexyjna, więc prawdziwa logika. Stądto u niego zawsze między ideałem a cielesném wyrażeniem tegoż ideału — przestrzeń ogromna. Pozostaje we wszystkiém coś niedomówionego. Domysłowi czytelnika otwarte wszędzie pole szerokie, granice tego pola niedojrzane okiem cielesném. Stądto w płodach jego zawsze jakaś irracjonalność, dla której trudno je przekładać że tak powiem z języka poezji na język rozumu, na język zwyczajnój w ścisłym sensie logiki.

Stanowisko, które tu określamy, jestto skutek doprowadzonej do ostatnich swoich kresów zasady romantyzmu, którego typem najwybitniejszym był w poezji naszej właśnie Słowacki.

Tak np. żadną miarą nazwać nie można dość plastycznie przeprowadzonym pomysłu owych harf w rękach Wenedów,

które im daje poeta jako ich tradycyjną, plemienną własność, na zasadzie wzmianek o tém w bizantyńskich kronikach. Wnikamy w jego intencją — pojmujemy z niej wiele: ale nie dociekamy wszystkiego, gdyż się rzecz w niektórych scenach gubi w głębinach symboliki — zamkniętej siedmioma pieczęciami! Poeta ma tu na oku raz stósunki ówczesne, to znowu dzisiejsze stósunki nasze. Przywiązuje do harf to znaczenie poezji jako najwyższej potęgi w narodzie: to znowu myśl, że to broń mdła i bezsilna przeciw ostrzu i przeciw wadze żelaza! I tu jest prawda, i tam jest prawda: — ale jakże te dwie prawdy związać ze sobą? Związaćby je można, ale tego nie uczynił poeta.

Przykład jednostronnego i wyłącznego, a zatem ostatecznie fałszywego wcielenia myśli w sobie może prawdziwej mamy w całej roli owego typu chrześcijańskiej idei, jaką w téj sztuce jest Gwalbert święty. Rola to dziwnie niejasna! W przedmowie czytamy: — „Oto jest stary i święty człowiek, który przyszedł łzawo Chrystusa oliwy zaszczipać na płonkach sosnowych... Lecz o biada! o losy! — Słowo świętego starca miecz Rolandowy wyprzedził, i jeszcze jeden lud kona z wiarą okropną rozpacz w przyszłość i zemstę.“ — Gdyby to założenie przeprowadzone było przez dramat w taki sposób, iżby każdy krok działania Gwalbertowego takie właśnie w widzach wywoływał wyobrażenia: byłaby to jedna więcćj z niepospolitych zalet niniejszego utworu. Ale czy istotnie jest tak oddana Gwalberta rola w Lilli Wenedzie? Zdaje się raczej, jakby tu było autorowi chodziło o odsłonięcie wszędzie niemocy religii w obec prądu rzeczy dziejowych. Toczają się one swoim torem. Krew się leje — zbrodnie i okrucieństwa mnożą się bez końca — niewinne ofiary padają pod brzemieniem swych cierpień. A interwencja religijnej idei przybiera zawsze tak nie w porę, tak bezsilnie, tak na drobiazgi tylko wpływając, a nie dotykając rzeczy ważniejszych — że to na śmieszność zakrawa! Rzeczywiście też święty Gwalbert — mimo jasnej aureoli, która jakby był z obrazka zdjęty otacza jego głowę promieniami — odgrywa w dziele tém rolę głównój figury komicznój. (Ślázowi bowiem ani tego zaszczytu przyznać nie można). Jakież to suche i nieserdeczne u niego pojmo-

wanie cierpień ziemskich ze stanowiska wiary! Jakaż obojętność na mord publiczny narodu, byle tylko religia nie wyszła przy tym bez jakiego takiego zysku!.. Czy zaś ta poziomość osobistości Gwalberta spada tylko na niego, czy na samą ideję, którą on wyobraża? — z tego się autor bynajmniej nie spowiada. Chcielibyśmy chętnie wierzyć, że tu chodziło tylko o skreślenie nieudolności osoby! Czy temu jednak możemy wierzyć, patrząc jak rzecz jest w dziele przeprowadzona?...
 —

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Druga połowa r. 1842 i następne lata aż do 1848. — Wystąpienie Towiańskiego w Paryżu — ogólny sąd o duchu jego doktryny. Mickiewicz uznaje w Towiańskim posłannika bożego. Zawiazanie się koła jego zwolenników. — Stosunek pierwotny Słowackiego do Towiańszczyzny — zdanie o niej autora Przedświtu. — W r. 1842 Słowacki przystępuje do koła — jego korespondencya z matką i z Krasieńskim. Zerwanie się między nimi przyjacielskich stosunków — Stanowisko Słowackiego późniejsze między Towiańszczykami — seysye i utworzenie sobie osobnego kółka.

Nim przystąpię do osoby naszego poety i stosunków jego w ciągu roku 1842: zmuszony jestem w tym rozdziale dotknąć nasamprzód pewnej ubocznej okoliczności, która w czasach owych ważną odgrywała rolę pomiędzy wychodźstwem polskim, o ile takowe gromadziło się w Paryżu. Sprawa ta zrazu poety naszego nie dotyczyła wcale; miała jednak niebawem zwrócić i jego umysł ku sobie, a następnie zdecydować głównie o kierunku dalszego jego życia i działania aż do samego końca.

Mówię o rzeczy niemilój, bolesnej, upokarzającej — o Towiańszczyźnie.

W siedm miesięcy po objęciu katedry słowiańskiej przez Mickiewicza, w miesiącu lipcu 1841 r., stawil się przed nim człowiek aż dotąd nikomu prawie w Emigracyi nieznany i oświadczył mu, że przybywa z polecenia bożego z kraju i ma do niego posłannictwo. Oznajmił mu, że się poczyną nowa era ludzkości; że nadeszły czasy nowej Ewangelii, dni zmiłowania i litości bożej — przedewszystkiem nad nami, a pośrednio przez nas i nad resztą narodów...

Mickiewicz Towiańskiemu uwierzył... uznał w nim proroka,

jeśli nie zbawiciela. Od tej chwili można było uważać doktrynę i sektę Towianizmu za zawiązaną.

Nie mam zamiaru opowiadać tu w wyczerpujący sposób o wszystkich zdarzeniach, tworzących że tak powiem zewnętrzne dzieje tego smutnego w życiu wychodźców naszych ustępu. Moją rzeczą jest tu tylko rzucić kilka ogólnych spostrzeżeń o znaczeniu i o naturze Towianizmu, o ile się takowy odbił na obliczu ówczesnej naszej literatury emigracyjnej. Nie mam wprawdzie bynajmniej uroszczenia do nieomyślności w sądach moich o Towiańskim i jego apostołskich robotach. Wiem, że jeżeli wczém, to w tej rzeczy bardzo mylić się mogę. Patrzę bowiem na tę sprawę z oddalenia i co do miejsca i czasu; patrzę na nią może i przez szkła sztuczne, które przeistaczają rzeczywistą barwę przedmiotu. Rozumiem przez to te wszystkie różnych osób broszury, z których na ich wiarę czerpię o tém wiadomość. Lecz z drugiej strony mam też tę znowu korzyść po sobie, że nie tylko znam materiały przeciw Towiańszczyźnie, ale i niektóre za nią świadczące, a przynajmniej z niej samej wyszłe. Takimi są właśnie pisma J. Słowackiego, pochodzące z tej doby jego życia, pisma nader rozmaitej treści i formy, nieogłoszone nawet w pośmiertnym wydaniu, a już z powodu samej swojej objętości żadną miarą nieobojętne. Mogę tedy porównywać jedne źródła z drugimi, starać się jeżeli nie o co więcej, to o równowagę, o sprawiedliwość pośrednią. I zdaje mi się, że jestem co do tego punktu w każdym razie dalekim od uprzedzeń stronnich.

Powiedzmy coś przedewszystkiém o osobie samegoż sekty założyciela. Jedni, t. j. zwolennicy jego, uważają go za posłańca bożego, za męża nie tylko działającego w najlepszej wierze, ale i będącego w rzeczywistém posiadaniu objawień udzielonych jemu w nadprzyrodzony sposób od Boga. Drudzy znowu go okrzyknęli za oszusta albo w najlepszym razie za marzyciela na umyśle obłąkanego. — Po którejże tedy stronie jest prawda?

Mnie się zdaje, że właściwie po żadnej. Obłąkanego w zwyczajny sposób umysłu nie jest bynajmniej Towiański! Przeciwnie — mądry, przebiegły, wyrachowany to człowiek! Z drugiej strony nie wątpię też i o tém, że co czyni, czyni z przekonania.

nia. To go jednak żadną miarą nie oczyszcza od ciężkich przewinień, jakich się — dodaje śmiało: z świadomością względem narodu swego dopuścił.

Bywają czasem pomiędzy ludźmi natury, w których szczerą wiarą i najobłudniejszy podstęp dziwnie się łączą z sobą ku wzajemnej pomocy. Wyrasza łaciński: *pia fraus* wybornie tę szczególną dwustronność serca ludzkiego wyraża. Człowiek taki chce dobrego i rzeczywiście wierzy najmocniej w to wszystko, co rozciska. Ale ażeby jeszcze bardziej poprzeć sprawę, na korzyść której wystąpił, ucieka się do sztuczek i zmyślonych, świadomie urojonych szczegółami rzecz uzasadnia. Zdaje mu się, że działać tak... nie jest rzeczą niepożądaną: bo wszakże to (wedle jego mniemania) chodzi o prawdy takie, które muszą odnieść zwycięstwo, które się pod każdym warunkiem powinny stać artykułem wiary powszechniej.

Wyznaję wprawdzie, że co do mojej osoby, nawet możności wewnętrznej tego rodzaju wiary ja nie pojmuję. Bo gdzie wiara prawdziwa, tam też — zdaje mi się, byćby powinna i nieograniczona ufność w siłę i tryumf tej prawdy, którą się głosi. Na cóż jej jeszcze pomoce sztuczne, na podstępnych sposobikach oparte? Prawda boża kłamstw ludzkich na sprzymierzenia nie potrzebuje, ażeby się stać czynem i ciałem. Z tém wszystkiém tak doświadczenie jak dzieje niezaprzeczenie tego jednak dowodzą, że w każdej religii i w wieku każdym zdarzały i zdarzają się takowe nadzwyczajne zjawiska w świecie psychicznym. Mahomet np. był jednym z takich fanatyków kalkulujących. Można by i dzisiaj niejednego między nami doszukać się takiego, gdyby się tylko dobrze obejrzyć. Owoż i Towiański zdaniem mojem jest z tego rodzaju ludzi.

Głównym punktem wyjścia w genezie duchowego jego rozwoju było usposobienie jakieś mistyczne, połączone z wielką pochopnością do marzycielstwa. Młodym jeszcze będąc, jak powiadają, bliskim był zupełnej utraty wzroku. Odgradzony przez czas kalectwa od wrażeń i zetknięć z zewnętrznym światem, zamknięty w wnętrzu własnego tylko jestestwa, a przyciśnięty świadomością, że jest ciężkiemi zagrożony nieszczęściem, znalazł

on w tym wyjątkowym stanie aż nadto sposobności do rozwinięcia w sobie tych skłonności do jakiejś extatycznej zadumy, które snąć już mu były wrodzone. Później wyzdrowiał. Ale excentryczność i wiara w przeróżne przywidzenia chorobliwej wyobraźni, które on nazywał wizjami i seryo za takowe uważał, już się u niego przemieniła w drugą naturę. I powiększała się z laty do tego stopnia, że go w kraju, na Litwie, wielu podobno uważało za człowieka o pomieszanych zmysłach. Nawet podobno z tego powodu miał on czas jakiś przebyć w szpitalu jakimś. Obląkanie jego nie szkodziło wszakże nikomu, to go też niebawem wypuszczono na wolność i nie ograniczano jęj w niczem. Zresztą potoczne życie szczególnego tego człowieka niczem się nie różniło od innych. Urzędował sobie, jak drudzy; był regentem przy jakimś sądzie powiatowym na Litwie, później gospodarzył na wsi, we własnej majątności; ożenił się, miał dzieci kilkoro, słowem — był to co do swego zachowania się zewnętrznego, co się zowie „porządny, praktyczny człowiek i obywatel“. Od udziału w wypadkach r. 1831 trzymał się z dala i nie miał zwyczaju mieszanin się do żadnej polityki. Jak się wyrażał, miał on ostrzeżenie z góry, od Matki Boskiej, że się te roboty niedobrze skończą. To też nie tylko sam nie należał do niczego, ale i innych starał się powstrzymywać. A jako nie przesadzał więc w zapędach partyotycznych, tak też wolnym był od zbytecznej żarliwości i w rzeczach religijnych. W téj mierze obojętność jego dochodziła nawet do tego stopnia, że przez cały ciąg lat 20 przed przybyciem swém do Paryża, zupełnie podobno zaniedbywał spowiedzi.

Pomimo tego wszystkiego, człowiek ten przez całe życie miał jednak ciągle do czynienia z cudami i widzeniami, a odbierał objawienia, które, jak rozumiał, przychodziły mu z nieba. Myśl cała jego zajęta była religią; ale nie w taki sposób, ażeby ją wykonywać, lecz ażeby jęj dopełnić i poprawić. W tym przedmiocie — w kraju jeszcze będąc, pracował on i rozmyślał bezprzestannie. Czytać musiał bardzo wiele, najrozmaitszych książek, a mianowicie mistycznych. X. Semeneńko widzi w doktrynie jego wyraźne ślady studyów nad magią i nawet nad kabałą żydowską. Wiele także się podobno zajmował i magnetyzmem. Godzi się

wnosić, że przyswoił on sobie znajomość i wypadków główniejszych w zakresie niektórych istotnych umiejętności w ich nowoczesnym rozwoju; choć z drugiej strony widać i to jak na dłoni, że nie jego to pole! Rozumowa i naukowa strona w rozwinięciu Towiańskiego musiała w ogóle być nad wszelkie wyobrażenie zaniedbaną. Podstawy i zdolności naukowej u niego nie ma. Pojąć coś jasno, wyrazić z precyzją, w trafnych i naturalnych wyrazach — to nie jego rzecz! Słyszał więc o niejednym, co badania umiejętne w ostatnich czasach wykryły, otarł się o jakieś wypadki nauk; ale snąć przyszedł do nich dorywczo i pojął je bałamutnie. Ani zatem nie rozumie dróg, któremi się w sposób należyty do twierdzeń takich przychodzi, ani też jasno istoty ich nie przenika. Wie jednak, że dzwonili, chociaż nie wie, w którym kościele...

Pod wpływem takich tedy okoliczności usnuł sobie Towiański na Litwie jeszcze rodzaj nowęj religii. Nie podejmuje się, jak to wyżej już powiedziałem, odtworzyć wizerunku tego nowego systemu dogmatów. Powiem tylko, że charakterystycznym doktryny Towiańskiego znamieniem zdaje się być w ogóle dążność stworzenia czegoś, coby stało niejako w pośrodku między tą nauką, jaką daje kościół, a stanowiskiem nowoczesnych rezultatów, a raczej kierunków umiejętności, które pod niejednym względem odstępują od rzeczy w kościele za pewniki uznanych. Chodziło mu tedy o zapełnienie tego że tak powiem rozstępu pomiędzy wiarą a wiedzą dzisiejszą, do jakiego pod tym i owym względem w postępie wieków przyszło. Zamierzył zaś tego dokonać łątaniem, eklektycznym sposobem. Co mu się podobało z wypadków wiedzy, to brał za pewnik i podnosił do wysokości dogmatu. Resztę zaś nauki odrzucał z pogardą „jako mądrość świata tego,“ jako wymysły „ziemi“ i dумы ludzkij. W takiż sam sposób przebiegał i pomiędzy artykułami objawienia chrześcijańskiego. Jedne z nich przyjmował, jak są; drugie wykladał po swojemu i tylko je pod tym zatrzymywał warunkiem; a trzecie — milcząc mądrze i skromnie — usuwał na bok, jakby ich wcale nie było. W taki więc sposób powstało coś, co niby godziło z sobą te dwa odrębne światy pojęć i wyobrażeń duchowych, co miało zastąpić i wia-

rę i wiedzę, i religią i mądrość świecką; co miało zbliżyć do siebie tak prostaczki jak mistrze świata tego i stawie ich wszystkich jako zastęp kierowany jednim poczuciem, jedną ideą, jednym popędem — zastęp, przed którym niczem są wszelkie potęgi ziemskie — niewyciężony, bo milionogłowy, a jeden...

Jeżeli z jednej strony, oceniając dążność tego pomysłu, nie można mu nie przyznać pewnego sensu a nawet i godziwego celu: — to z drugiej dziwić się tylko należy nad sposobami, którymi spodziewał się Towiański dokonać swego zamiaru. Bo i cóż to było, co on ludziom w zamian przynosił za to wszystko, co im odbierał?

Spytajmy naprzód: byłż to wiedza, a raczej, byłże to owoc wiedzy? Byłż to rzecz, któraby ludziom zastąpiła ich wyrozumowane pewniki? — Bynajmniej! Doktryna jego zbyt była skażona marzycielstwem, żeby obóz wyłącznie kierujący się myślą, był go mógł przyjąć za swego. W jego mętnym pojmowaniu wszystkiego, o czém bądź prawić zaczynał, a bardziej jeszcze w jego arcynieźgrabnym tłómaczeniu swoich urojeń — obóz ten widział jedynie nieudolność nie uka i jako takiego też go traktował.

A w tym samym znowu stopniu zastęp wiary, hierarchia, kościół — nie mógł nic innego w nim widzieć, jak chyba tylko sekciarza. Wprawdzie Towiański sam dawał się zawsze za najwerniejszego syna kościoła. Nie przyznawał i nie przyznaje się pono dotąd, żeby w czém zbaczał od tradycyjnej nauki chrześcijańskiej. Z tém wszystkiém daremne i tylko wybiegliwe sęto wszystko zapewnienia! Wątpię, żeby on wierzył sam temu — bez przenośni i bez tak zwanęj restrykcji mentalnej. Księża Zmartwychwstańcy dowiedli mu jak na dłoni, że dogmata jego nie są dogmatami kościoła. Nauka Towiańskiego potępiona też została przez stolicę apostolską, jako herezja.

Założyciel nowej religii nie uznaje wprawdzie tego potępienia i na przekorę temu wszystkiemu, co się stało od czasu jego wystąpienia, ciągle się widzi w jedności z kościołem. Pochodzi to stąd jednakże jedynie, że uważa się względem chrześcijaństwa, jak takowe jest reprezentowanem przez kościół, w takim stósun-

ku, w jakim się miał Chrystus do starego zakonu. Chrystus nie na to przyszedł, ażeby dawny zakon obalić, lecz ażeby go dopełnić i wytłómaczyć. Podobnie i Towiański żyje w przekonaniu, a raczej urojeniu, że dopełnia i wyklada tylko dawną naukę kościoła, że ją w swęj doktrynę wciela i podnosi, nie zaś obala ani jęj przeczy. Stąd też to zatrzymuje sekta jego wszystkie katolickie symbole, wyrażenia, godła, obrzędy i praktyki; ale im prawie zawsze poddaje nowe znaczenie i wyciska na nich piętna taką pieczęcią, która nie ma żadnej wspólności z katolickim kościołem.

Rozważmy wreszcie, w imię czego czyni to wszystko Towiański? — Na mocy objawienia i posłannictwa danego sobie z góry. Że zaś chodzi tu o nie mniej ani więcej, jak o przeistoczenie tego porządku rzeczy w religii, której założycielem był Chrystus: więc się Towiański stawia w roli nowego zbawiciela i mesjasza, choć nie ma odwagi nazwać się nim wręcz i otwarcie.

To powiedziawszy o samym Towiańskim i o duchu jego doktryny, spojrzmy teraz na okoliczności, pośród jakich takowa wprowadzona została w życie.

Wystąpienie Towiańskiego jako proroka niedopiero w Paryżu przyszło do skutku. Jeszcze mieszkając na Litwie zaczął on napomykać o swojem objawieniu i posłannictwie. Tu jednakże nie szczególnie się jemu wiodło. Udało mu się wprawdzie znaleźć kilku takich, co w niego uwierzyli i zostali jego uczniami. Należeli do liczby takowych malarz Wańkowicz i doktor Gut, szwagier Towiańskiego. Ci mu też i za granicę w religijnych celach jadącemu towarzyszyli, nie chcąc odstępować już mistrza. Z tém wszystkiém grono zwolenników w kraju jeszcze pozyskanych było nadzwyczaj szczupłe. Oprócz dwóch powyżej wymienionych i chyba rodziny własnej reformatora, która apostolstwo jego może brała na seryo, nikt więcej podobno w kraju nie dał się wciągnąć w tę sprawę.

Wypadło zatem próbować szczęścia w innych prowincjach, a w najgorszym razie na Emigracyi. Jakoż wyjechał Towiański z domu podobno około r. 1837 i najpierw się pojawił w Poznaniu.

Było tu staraniem jego pozyskać dla sprawy swojej przedewszystkiem... głowę całej hierarchii w Księstwie, Arcybiskupa Dunina. Lecz Arcybiskup po niewiele już konferencyach przeniknął człowieka, jako marzyciela, a w każdym razie katolika wątpliwej prawowierności i wzbronil mu dalszego przystępu do siebie. Trzeba więc było szukać sobie gdzieindziej takiej powagi, pod którejby skrzydłami dały się krzewić z pomyślnością plany ukarutowane. Za taką wybrał sobie teraz Towiański generała Skrzyneckiego w Bruxelli. Pojechał do niego, zawiązał z nim stosunki i zrazu była wszelka nadzieja dobrego powodzenia, sprawił bowiem pewno wrażenie na generale, kiedy się przed nim opowiedział wysłańcem bożym do niego! Dla Skrzyneckiego to też napisana była owa „Biesiada“, w którą rzucił Towiański ogólny zarys swoich pojęć religijnych, kładąc przez to niejako pierwsze podwaliny do dzieła. W dalszych stosunkach jednakże nabożny i ściśle po katolicku myślący generał przekonał się o bałamutnej dążności całej owej misji nieznanego sobie człowieka i zerwał z nim.

Teraz dopiero przyszła kolęj na Mickiewicza. Nie powiodło się z głową kościoła, nie powiodło się z wodzem naczelnym: może się powiedzie (pomyślał sobie Towiański) z największym z polskich poetów. Powaga Mickiewicza naówczas stanowiła niejako dyktaturę duchową w całym narodzie. Po zajęciu katedry słowiańskiej imię jego nabrało nowego blasku — i miało znaczenie nawet we Francyi. Idźmyż zatem do niego! Zyskajmy sobie Mickiewicza, a wszystko nasze...

W roku 1841 w miesiącu lipcu przestąpił po raz pierwszy Towiański prógi mieszkania poety. Tym razem próba powiodła się nad wszelkie spodziewanie! —

Zdaje mi się, że kto tylko zastanawiał się nad duchem poezji Mickiewicza i nad jego życiem wewnętrznym, ten się ze mną zgodzi na to, że łączyły się w tym genialnym człowieku jakby dwie zgoła odrębne natury. Zazwyczaj bytło mąż głębokiej myśli, trzeźwo poglądujący na rzeczy — organizacja duchowa zdrowa, realna, zdolna zdać sobie świadomą sprawę ze wszystkiego, co tylko czynił. Takim go też widzimy w jego listach, których zbiór

zamieszczono w obu ostatnich dzieł jego wydaniach, a prócz tego też tu i owdzie po pismach peryodycznych. Ale Mickiewicz miewał w różnych chwilach żywota swego tajemnicze jakieś podrywy i zachwyty, które go przenosiły w stan taki, że tracił niejako z oczu wszystko, co jest rzeczywistém, i wznosił się duchem do excentrycznych krain extazy. Wtedy nie w sensie retorycznej przenosił, lecz literalnie przestawał być poetą, a był wieszczem; z artysty przeistaczał się w narzędzie poezji, nieświadome tego co czyni. Bywał w razach takich czasem duchem jasnowidzącym, niekiedy... marzycielem nie biorącym za nic odpowiedzialności na się.

Tak np. Grażyna, Walenrod, Pan Tadeusz itp. — to były dzieła stworzone w normalnym usposobieniu. Oda do młodości, Dziady, a zwłaszcza Dziadów „Część trzecia“ — to owoc natchnienia, wyższego nad świadomość artysty.

Co się Dziadów tyczy, jest dowiedzioném, przyznaném przez samego poetę, że są tam ustępy, których zupełnego znaczenia on sam nie umiał sobie wyjaśnić.

W podobnie wyjątkowém usposobieniu zostawał Adam od czasu ponownego przybycia swego do Paryża z Lozanny. Zajęcie katedry rozbudziło w nim życie ducha w najwyższej sile. Rehabilitacja ze się tak wyrażę i apoteoza napoleońskiej tradycji i napoleońskiej idei, dopełniona aktem sprowadzenia ciała cesarza z wyspy św. Heleny, na rozkaz samego króla, i to właśnie w czasie, kiedy Mickiewicz miał zająć nowe to stanowisko, rehabilitacja ta mówię sprawy, która u poety naszego stanowiła zawsze artykuł wiary, nie mało się też przyczyniała do nastrojenia jego ducha na jakieś tony mistyczne.

Miewał on w owym czasie przywidzenia, które uważał za widzenia, za objawienia rzeczy, jakich zdaniem jego nie było dano zwyczajnym ludziom oglądać. Te widma extatycznej fantazyi tak dalece nabierały w jego oczach znaczenie przedmiotowego bytu, że je poczytywał za kształty, za ciała — nie przez siebie stworzone.

„W miesiącu grudniu (1840), dnia nie pamiętam (tak pisał o sobie sam Mickiewicz w szesnaście miesięcy później do

Skrzyneckiego), kiedy oglądałem przygotowania do exekwii za Napoleona, miałem w dzień biały widzenie: widziałem człowieka z głębi kraju jadącego wózkami jednokonnym, w biedzie, po błocie i mgłę; i uczułem że ten człowiek wiezie wielkość! wielkie rzeczy! Nie brałem tego za widzenie prorockie, ale za nadzwyczaj żywy obraz poetycki. Chciałem go opisać, ale postrzegłem niepodobieństwo do prawdy i dałem pokój. Po poznaniu się z Andrzejem nie prędko dowiedziałem się o szczegółach jego podróży, i uznałem prawdę widzenia... (z listu z d. 23 marca 1842).

Tesame prądy wstrząsały też Mickiewiczem już w chwili owej improwizacji na wieczorze u p. Januskiewicza.*)

W ciągu roku 1841 przyczyniło się do utrzymania Mickiewicza pod ciągłym wpływem mistyki zapadnięcie żony jego w stan najopłakańszy ze wszystkich, jakie tylko dotknąć mogą rodzinę, w stan obłąkania umysłu. Wypadła potrzeba wśród zajęć najboleśniejszych wysłać ją z Paryża na wieś do jakiegoś zakładu zdrowia — z małą nadzieją, żeby było rzeczą podobną uchylić to nieszczęście w zupełności i na zawsze.

Człowiek przywalony nieszczęściem skłonny jest zawsze dawać wiarę cudowności, gdzie tylko się z nią spotyka; a jeżeli kto, to Mickiewicz był prawdziwie nieszczęśliwy w tym czasie.

*) Z okazji tego wieczoru tak się wyraził Mickiewicz w tymże liście do Skrzyneckiego, który w całości przytoczono w Przeglądzie Poznańskim 1858 r. Tom XXV, półrocze I, zeszyt 2.

„W roku przeszłym kilkudziesiąt Polaków dawało mi ucztę. Czuję się w wielkim podniesieniu ducha i powiedziałem im, „że wszyscy są na złych drogach, że ich rozumowania i zabiegi nigdzie nie doprowadzą; że jeśli Bóg zlituje się nad nami, to przyśle człowieka, który będzie dla nas prawem żywym, którego słowa, czyny i gesta będą artykułami“... Nie pamiętam, pisze dalej Mickiewicz, słów poezji (improwizacji), ale ta była ich treść; zaklinałem, żeby ją pamiętali. Wielu już zapomniało. Kiedy Z. (Zan?) Stefan przyszedł nazajutrz do mnie, powiedziałem ze smutkiem głębokim, że gdyby mi wówczas nie przerwano, wielką bym rzecz oznajmił. Ale już nie byłem nazajutrz w stanie podnieść się do tej wysokości. Przerwano mi wówczas; jedni protestowali w imię rozumu, drudzy myśleli, że mówiłem o X. Czartoryskim, kiedy wołałem, że tylko z takiego meża przeznaczenia mogą wyjść kapłani, królowie i he-tmani“...

Owoż takito zbięg przypadkowych a dziwnych okoliczności mieć tu należy na względzie, ażeby pojąć, że taki człowiek jak Towiański był zdolny wpływ wyrzucić na Mickiewicza i podbić ducha jego pod panowanie swoje. Zresztą były prócz tego wszystkiego i inne jeszcze przyczyny, dla których łatwo było Towiańskiemu wkraść się w zaufanie poety. Albowiem zdaje mi się, że nie prawdziwszego, jak co powiedział Krasiński o stosunku dwóch tych ludzi pomiędzy sobą: — „Pan Adam — to olbrzym, Pan Jędrzej — to magnetyzer, co obudził olbrzyma. To zrobił, co robią kobiety, gdy iskrę śpiącą w łonie męszczyzny zapalają“ (obacz Wyjątki z listów str. 209). — Rzeczywiście! Właściwym twórcą tego, co dziś Towianizmem zowiemy, było sam raczej Mickiewicz. Doktryna Towiańskiego — to tylko odbłyśk i udogmatyzowanie tego wszystkiego, co w różnych chwilach w kształcie urwanych pomysłów jak przelotne iskry przechodziło przez głowę porwanemu prądem natchnienia poecie.

Kiedy się np. czyta „Część trzecią Dziadów“, utyka się co kart kilka na miejscach, które mimowolnie przypominają towianizm. Tasama dziwna niechęć przeciwko wiedzy, zdobytej rzetelną pracą, na korzyść jakichś mistycznych i gotowych skądś pewników; tasama wiara przesadna w siły wewnętrzne pojedynczego człowieka; tasama mesyaniczna dufność w wyjątkową wszechwładzę ludzi, z urodzenia przeznaczonych do władztwa nad resztą społeczeństwa; tesame zachcenia despotycznego zwierzchnictwa w świecie duchowym; tosamo wreszcie przeczuwanie człowieka, który nas przyjdzie zbawić — słowem mesyanizm. Nie brak na miejscach podobnych i w Księgach Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego. —

Owoż przekonaniem jest mojem, że zagłębianie się w znaczeniu takich urywkowych napomknien w dziełach Mickiewicza, niepoślednią czasu swego odgrywać musiało rolę w genezie pomysłów Towiańskiego. Natchnienia Adama jeżeli nie rzuciły pierwszego zarodu w myśli tego marzyciela, to przyczyniły się w każdym razie do znakomitego posunięcia go na drodze, po której szedł. Cały system jego marzeń — byłoby tedy tylko rozwinięcie i dodać można: spaczony, rozmażony rozwinięcie niektórych wieszczów i mi-

stycznie rzuconych słów Mickiewicza. Pomimo jednak niezręczności w ich powiązaniu, było oczywiście pewne pokrewieństwo wyobrażeń pomiędzy nimi, które wzajemne porozumienie się ułatwiało.

A najwięcej je ułatwiło nakoniec rozmyślnie i obliczone podejście dobrej wiary poety, jakiego się Towiański zaraz na samym wstępie dopuścił. Użył bowiem wszelkich sztuczek, ażeby go już w pierwszej chwili przekonać, że to człowiek boży, że to ów przewidywany dawno przezeń zbawca społeczeństwa przyszedł doń go nawiedzić.

Przedewszystkiemi więc powitał go po staropolsku imieniem bożem, tak jak to było przepowiedziano w Dziadach:

„Ty pojedziesz w daleką, nieznaną drogę,
Będiesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie,
Szukaj męża, co więcej niżli oni umie;
Poznasz, bo cię powita pierwszy w imię boże,
Słuchaj, co powie“...

Potem, w dalszej rozmowie, przeszedł na własną przeszłość poety i wyłożył mu, co w własnych jego dziełach mogło być dla niego niezrozumiałem. Wyrażenie w Dziadach:

„On ślepy, lecz go wiedzie anioł pacholę,
zastósował do siebie, boć i on w młodości przez czas jakiś był pozbawiony wzroku. „A imię jego czterdzieści i cztery“ wytłómaczył w taki sposób, że znaczy to hufiec złożony się mający z czterdziestu czterech mężów wybranych, który stanie na czele nowej budowy kościoła i społeczeństwa.“) Wiare Mickiewi-

*) Rzeczywiście zaraz potem uformował się zastęp najwyżej w hierarchii Towianizmu położonych zwolenników tej sekty w liczbie czterdziestu czterech. Kiedy w r. 1842 rząd francuski wydał Towiańskiego z Paryża, najzaufańsi uczniowie jego podali do ministra rodzaj protestacji czy też ubolewania swego nad tém rozporządzeniem rządowem, dając świadectwo nieskazitelnym Towiańskiego postępkom przez cały czas bytności jego we Francji. Akt ten, datowany z d. 7 sierpnia 1842 r. podpisany jest przez 43 mężczyzn i 2 kobiety. A zatem, gdyby do tych 43 podpisujących doliczyć jeszcze samego Towiańskiego, który oczywiście musiał należeć także do grona przodujących, jako jego najwyższy zwierzchnik, byłaby żądana liczba 44. Kobiety, jak się samo rozumie, stanowią osobny poczet i dla tego się tu nie liczą.

cza w Napoleonizm zużytkował w taki sposób, że mu oznajmił, iż wcieleniem nowem ducha Napoleona jest on sam właśnie (Towiański); że zatem posłannictwo jego na tém zależy, ażeby dzieło przez Cesarza poczęte prowadzić dalej i ostatecznie wykonać. Nakoniec oświadczył, że nie tylko dana mu jest moc żonę jego uzdrowić, ale i wyjawić mu najskrytsze zajścia z jego życia uplynionego. Jakoż opowiedział Mickiewiczowi takie zdarzenia z jego przeszłości, o których (jak się później sam poeta wyraził do Franciszka Szemioty) nie mógł wiedzieć nikt, chyba tylko Bóg jeden.

Co do tej okoliczności, wyjaśniło się później, po śmierci już poety, że się oto tak rzeczy miały. Mickiewicz razu jednego, w młodości jeszcze, rozgadał się był o tych niewiadomych nikomu zajściach swojego życia w zaufaniu przed Odyńcem. Było to, kiedy wspólnie podróż odbywali po Niemczech i Włoszech. Następnie Odyńiec, do kraju powróciwszy, komuś trzeciemu, czy też może nawet samemu Towiańskiemu, mieszkającemu wtedy jeszcze na Litwie, opowiadał o tém wszystkiem; tak iż nie trzeba było na to żadnego cudu, ażeby to wiedzieć. Mickiewicz w ciągu czasu zapomniiał, że kiedyś przed Odyńcem spowiadał się z swoich tajemnic; wziął przeto wiadomość o nich u Towiańskiego za rzecz objawioną jemu sposobem nadprzyrodzonym.

Samo nawet uzdrowienie Mickiewiczowej, lubo jest jedynem zdarzeniem w całej tej Towianizmu historii mającém rzetelne pozory cudowności, daleko więcej okazuje ostatecznie w Towiańskim wprawnego psychologa, niż cudotwórcę. Pojechali obydwaj, on i Mickiewicz, do chorąg; pomimo oporu lekarzy odebrali ją z zakładu i zabrali ze sobą. Przybywszy do Paryża, kazał ję Towiański w charakterze proroka, w jakim był już wtedy znany i przez nią, klęknąć na ziemi, klęczącą zgromił surowo za grzechy, a potem kazał ję powstać i iść do spowiedzi. Poszła i — powróciła zupełnie uzdrowiona.

Przyczyny obłąkania były snąć tylko psychiczne. Targnąwszy silnie za wyobraźnię, przywrócił ję jednem skinieniem szczęśliwie zastósowaniem tę równowagę umysłu, której ję zwyczajne leki nie zdołały przywrócić.

Takie to więc były okoliczności, skutkiem których obalamuncy został zdrowy sens wielkiego naszego poety do tego stopnia, że w Towiańskiego uwierzył. Znając je, dziwić się już nie można, że mógł pisać w kilka miesięcy potem do Skrzyneckiego:

„Moja wiara w słowa Andrzeja jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchowych. Ktoby czytał pisma moje, przekonałby się o tém. Nie wspomnę o drobnych w młodości rzuconych w świat pieśniach (Romantyczność — Oda do młodości); późniejsze dzieła, a mianowicie Księgi Pielgrzymstwa i Dziadów część III świadczą, że to co się dzieje, przeczuwał...

...Widzisz także, że uzdrowienie mojej żony nie było powodem mojej wiary. Jeszcze żona moja była w domu chorych, a już na słowa Andrzeja, który jej nie widział był, ogłosiłem krewnym, że będzie zdrową. Wziąłem ją wbrew zdaniu lekarzy, niewzruszony ich zakłęciami, bo zaręczali, że ją trzeba będzie zaraz z użyciem gwałtu napowrót zamknąć. Wziąłem żonę w zupełnym pomieszeniu, w kanikule, w gorąco i w czasie burzy. Tegoż dnia odzyskała przytomność. Dotąd jest zdrowa i coraz pewniejsza zdrowia na przyszłość. Uzdrowieniu mojej żony towarzyszyły okoliczności cudowne. Opisywać je byłoby długo. Bogu wiadomo, że prawdę piszę — wracam dziś z rekolekcji, którą odbyłem u XX. Jezuitów, i po spowiedzi i po przyjęciu P. N. Sakramentu to piszę... (z listu z d. 23 marca 1842 r.) *)

Skoro tylko udało się Towiańskiemu mieć Mickiewicza po sobie: dalsze zabiegi nie spotykały już na żadne trudności. Osoba Adama dawała dostateczną rękojmię, że co rozgłaszano, nie było ani oszukaństwem ani szaleństwem. A na skłonności już gotowej do poddawania się takim wpływom, pomiędzy emigrantami naszymi nie brakowało. W ogóle bowiem wiara jakaś mistyczna we wszystko, co tylko cudowne i tajemnicze — byłoto jedno z celniejszych znamion społeczeństwa naszego tej generacji, jak się o tém przekonać można, spojrzawszy na literaturę naszą owego czasu. Było to naturalne następstwo położenia narodowego...

Nie będę kreślił wyvodu dalszych przebiegów, jakie sprawa ta krok za krokiem przebiegała. Poprzestanę na wzmiance, że pierw-

*) List ten, i drugi podobny, dano w całości w Przeglądzie Pozn. rok 1858, tom XXV. str. 162 i n.

szymi, których na zwolenników zjednano, byli Sobański i poeta Górecki Antoni. Ten jednakże niezadługo zmiarkowawszy, że rzecz nie jest tak prawdziwemu kościołowi i jego nauce wierną, jak się to w pierwszej chwili zdawało, odczepił się od wszelkiej spółki z Towiańskim. W ogóle ludzie silniejszej wiary w duchu ściśle katolickim wyjątkowo chyba przyłączali się do grona, które się zawięzywało. Z tej też przyczyny i Zaleski, choć zagadnięty owym prześlicznym wierszykiem Mickiewicza: „Słowiczku mój“ — odpowiedział wprawdzie dumką niby potakującą i ułożoną na tę samą nutę, ale jednak nie dał im się zwerbować na zwolennika. Inni poeci, śmielszej myśli, niecierpliwi w wyczekiwaniu lepszej przyszłości, jak np. Goszczyński, dali się złudzić stanowczym zapowiadaniami bliskich zdarzeń cudownych. Z wojskowych przyłączył się najrychlejszy i najgorliwiejszy do Towiańskiego pułkownik Różycki. Reszta adeptów rekrutowała się najwięcej pomiędzy Litwinami, ci bowiem i skłonnością swoją do mistycyzmu i stósunkami osobistymi najwięcej byli zbliżeni do Mickiewicza. W przeciągu roku, od chwili pierwszego pojawienia się Towiańskiego w Paryżu aż do czasu, gdzie go z Francji policja paryska wydalila, uformowała się przeto gromadka dość liczna Towiańszczyków, jak ich już odtąd nazywano.

Teraz zwróćmy uwagę naszą na Słowackiego i obaczmy, jaki był jego stósunek do tego wszystkiego, co się wtedy działo wśród emigracji?

Samotne i nieraz przykrości pełne życie jego w Paryżu, usposobienie z natury melancholijne, tęsknota do kraju, wrodzony pociąg do wszystkiego co excentryczne — wszystko to mogło z góry wznęcać żywą obawę, ażeby się ta zaraza nie czepila i jego ducha. Szczęśliwym trafem było wszelako coś, co go na czas jakiś zabezpieczało od tego niebezpieczeństwa. Tą prezerwatywą były niesnaski z Mickiewiczem! Sama ta niechęć do swego antagonisty wystarczała, żeby nie dać mu widzieć w złudnym świetle roboty, w której tenże był ostatecznie głównym czynnikiem. To też przez przeciąg czasu dość długi nie widać w listach

Słowackiego ani śladu, żeby był miał przywiezywać jakie wyższe znaczenie do tych cudów i prorostw, tyle wtedy sprawiających wrzawy między Towiańszczykami. Przeciwnie, usposobienie jego było wówczas więcej towarzyskie i światowe, niż kiedykolwiek.

...„Ja, co dawniej lubilem samotne wieczory (donosił w ciągu pierwszej połowy r. 1842), teraz już sam wysiedzieć nie mogę. Nuda mię ogarnia — nie wystarczam sobie wieczorami, jak dawniej, kiedy w świeczce mojej palily się różne nadzieje tęczowe i brylantowe...

...„Posłałem Ci moje wizerunki — twarz więc sobie będziesz miała oddaną. Teraz wiedz, że ubieram się zawsze z dosyć wielką elegancją, jak to sobie kiedyś przyrzekłem za młodu, bojąc się aby mię zwykle memu zajęciu się zaniedbanie kiedyś nie owałdło. Otóż więc zawsze biorę dobrego krawca, który mi oszczędza niepotrzebnych wydatków. Najczęściej chodzę czarno, ale nigdy prawie zupełnie czarno, bo to ma minę księża. Zawsze tak staram się być ubranym, abym bez przebierania się mógł pójść wszędzie; a nigdy tak, aby wiadano, żem się wystroił umyślnie. Taka jest moja polityka co do ubioru. — Nie jestem wcale tłustszy niż byłem; ale jestem zupełnie weselszy. Jakby po walce z ludźmi odbytęj, używam pewnej spokojności i to mi się w uśmiechu maluje. Muszę Ci także wyznać, że może tracę więcej, niżby należało. Ale cóż robić!“ itd.

W tymże samym prawie czasie musiał Słowacki pisać coś o Towiańskim do Krasińskiego. Listu tego wprawdzie nie mamy; ale z odpowiedzi Krasińskiego, znalezionej między papierami Juliusza, można sobie zrobić wyobrażenie, o co mniej więcej mógł być Zygmunt zapytywany. Odpowiedź rzeczona zasługuje na przytoczenie. Była pisana d. 27 października 1841 r. z Monachium.

„Drogi Julu! W cuda wierzę zawsze i wszędzie — w cudotwórców prawie nigdy; nie znam zaś próżności próźniejszej nad tę, która siebie uważa za konduktorkę płynu cudów. Nie pochodziż to nieco z tój urzędo-namiętności, tyle zawsze burmistrzującej w naszych sercach? — W Piśmie — księga proroków następuje po księdze królewskiej; w dziejach bieżących to samo się objawiło. W sferze niby to widomiej wystąpił tytuł, urząd, zaszczyt — nazwa miasta rzeczy — blichtr miasto istoty — słowem królewskość. W sferze niewidomiej, w kościele, w poezji — awansowano na proroków. Jest to także stopień — dignitas. I znowu tu,

jak tam, tytuł wprost rzecz samę skaził. Kształt obrócił się przeciwko treści — wyniknęła komiczność! — Co za wiek, Julu! — co za świat! — co za kolęj zgubna porwijająca wszystkich do otchłani — nie Dantejskiej, ale stokroć głębszej, bo stokroć dalszej od zmartwychwstań nieba; chcę mówić — do otchłani śmieszności! — Za dni moich widziałem dzieci — ponure — dzikie — jeszcze ssące pierś maniki, a już recytujące wiersze byrońskie i piszczące usteczkami pełnemi mleka: „To piołun!“ — Widziałem piętnastoletnie dziewczynki, wołające Boga na usprawiedliwienie się przed niemi, jak Hiob niegdyś — jak Faust później — i szpilkami grożące gwiazdom. Widziałem olbrzymów ducha, przez czas jakiś zapelniających serca ludzi imieniem swoim — a potem idących na starość do św. Pelagii i głupstwa, brednie, próżnoki same drukujących! — orłów, co w słońce patrzeli, spadłych w staw i przemienionych na pływające pośród pleśni kaczki. — Widziałem za dni moich, acz nie długich — zblaznienie wszystkiego — i zaczyna mi smętno być w duchu. Tęm się jedynie pocieszam, żem zda mi się, doszedł ukrytęj sprężyny tych wszystkich zjawisk: zowie się brakiem dumy, a przesytem próżności. Jak cud jest rodzajem pewnym niepracy w naturze, pieczzonego gołąbka, co spada z nad chmur do gąbki: tak i w duchu ludzkim próżność jest wieczną żądzą chwały bez pracy; kiedy duma wbrew przeciwnie jest wieczną żądzą chwały, lecz za pomocą olbrzymiego trudu. — Kto dumny, ten i pokorny zarazem — a duma połączona z pokorą stanowi wielkość człowieka. Duma bez pokory — to próżność, pokora bez dumy — to podłość. — Na pozór tylko sprzeczne to władze duszy — a w istocie wielkość prawdziwa bez nich obydwoch obejść się nie może!...

...„Teraz mój drogi Julu, o Tobie słów kilka. Ucz się patrzeć, do czego wiodą rozmaite dusz słabości, unikać wszelkiej — nie zapadać w niemoc, bo niemoc nie jest pokorą — ni znów rośnij w dzikie przekonanie, że można jedną strofą wieki przewrócić — bo takie przekonanie nie jest dumą. — Bądź dumny a pokorny! — Lecz kiedy się korzysz, to korz się przed Panem wiekuistym — lub przed wszechświata pięknością, lecz nie przed tą dziwną Madonną, której za podstawę dałeś pierś swoje...

...„Ty wiesz, żem Cię kochał zawždy — Ty wiesz, że Cię kocham — może nie wiesz, ale się dowiesz, że nigdy nie przestanę.“

Pomimo takich przestróg, zejść musiała jednak już w ciągu miesiąca lipca następnego roku (1842) w Słowackim stanowcza zmiana...

Nie umiem opowiedzieć, jakie w szczególności zdarzenie dało do tego powód, że się zbliżył do niego Towiański, czy też on do Towiańskiego. Dość że od owego czasu począwszy, usposobienie naszego poety, co tylko jeszcze tyle światowe, zmieniło się zupełnie, a sądy jego o tém wszystkiém, co się działo około Mickiewicza, ustąpiły miejsca innym wyobrażeniom. Piérwszym objawem tego zwrotu w pojęciach był list pisany do matki dnia 2 sierpnia (1842), zawierający ustępy, do których dawniej nigdy nie podobnego nie pisał.

... „Co do mnie, wiele nadziei zwiędłych boża miłość i łaska ożywiła we mnie. Już nie wyrzekam, ale ufam. Otoczył mnie krąg ludzi kochających, kosztuję nowego stanu duszy — zdaje się, że błogosławieństwo boże jest nademną. Wszystko to podobném jest do snu i do marzenia, i wytlómaczonóm być nie może...

... „Świat glansowanych rękawiczek i woskowanych posadzek zupełnie zniknął z oczu moich, bo cóż z niego można wydobyć? Jestto próżny teatr dla igrających myśli — dla słów ulotnych: a mnie trzeba dziś być wewnętrznym człowiekiem — ile można, doskonałym i dobrym. Wierz mi, droga, że ta przemiana ze źródła płynie głębokiego. Tę zimę jeszcze tu spodziewam się przepędzić... *)

W następnych listach, co miesiąca już teraz pisywanych do matki i do Januszewskich (wuj Juliusza wrócił z wygnania właśnie pod koniec r. 1842), coraz więcej znajdowało się już takich zwierzeń mistycznych. Przerazały one matkę poety. Wieści o zawiązanj sekcie Towiańczyków doszły były tymczasem aż na Wołyń i niemało w całym kraju obudzały zdumienia. Pani Becu nie pojmowała tego stanu, jaki wiał z tajemnicznych wyrazów, kreślonych ręką jej syna. Kiedy to wszystko, co jej teraz pisał o sobie, porównywała z doniesieniami, które zaledwie 3 lub 4

*) Jak wiadomo, Towiańczycy żyli w nadziei, że chwila ich powrotu do kraju już niedaleka. Dlatego i Słowacki tylko jeszcze ową zimę miał przepędzić w Paryżu. Zmienił więc swoje mieszkanie roczne na tymczasowe i zamieszkał wtedy *rue Ponthieu* Nr. 30.

miesiące piérwej otrzymywała jeszcze z rąk jego, a w których aż do dziwnej jak na poetę drobiazgowości posuwał się czasem Słowacki w opisywaniu np. swego ubioru, swojej predylekcy do bókików lakierowanych, do „żółtawo-błado-białych“ rękawiczek, których jedynie jak powiada używał itd. to ta sprzeczność między jej synem ówczesnym a obecnym taka była uderzająca i nagła, że matka w głowę zachodziła rozmyślając, co by to wszystko znaczyło. Zapytywała go z boleścią, z niedowierzaniem, z nieśmiałością, czyby i on miał także należeć „do tych jasnowidzących?“ Badala go, czy nie zamyśla zostać księdzem? czy zaszło co nadzwyczajnego w jego położeniu zewnętrzném? czy go nie spotkały jakie straty? czy mu nie grozi coś, co go trwoży? czy zdrow? „czy mu czoło nie pała?“ dlaczego listy jego takie niezrozumiałe?..

Przypuszczenia takowe drażniły i zasmucały Juliusza. Oto, co jej odpowiadał na takie zapytania:

... „Zasmuciłaś mię bardzo, pisząc mi z trwogą i z pewnością niedowierzaniem, myśląc że ja się jasnowidzącym oddałem i w sny ich uwierzyłem. Nigdy nie byłem tak nisko, żeby mię lada kto mógł wziąć za głowę. Ale drgnięciu wewnętrznemu ducha bożego uwierzyłem, i słowom prostym a bożym dałem się przekonać.“ — — — „Wszyscy, którzy niezdolni są wskrzesić siebie i oddać się nowj, wielkiej pracy, są przeciwko nam z wielkim gniewem i oskarżają nas wynajdując różne fałsze, i stawiają nam różne przeszkody. Wiele więc może próżnych ech dojdzie do Ciebie. Więc jeżeli mi nie uwierzysz, będziesz się smuciła, myśląc, że ja się zapałem rozumu mego i zszedłem z drogi, na której mię witano. Albowiem teraz mi przyznają rozum dawny i prawość dawną, a na teraźniejszego i prostego człowieka utyskują. Ale ja wiem, że mię Bóg nie opuści; bom ja także nie opuściłem żadnej pracy około świata, ale poznałem tylko drogę prowadzącą do niej, i już nie tylko głową, ale całym sobą wojuję, a najwięcej wewnątrz najczystszego czucia. A tak czyniąc, nie tylko za siebie, ale i za tego, który leży w grobie na Rossie *) i wszystkiego jeszcze nie spełnił, ja odrabiam pracę i wiem, że go to raduje“...

„Przebac mi najmiłsza, że tak piszę; ale wiédz, że piszę

*) Mówi to o ojcu swoim Euzebiuszu Słowackim.

po spowiedzi i po przyjęciu Sakramentów, a musiałem szukać prostaczka wielkiego, aby mię rozgrzeszył; bo rozumni wypędzają nas z domu świętego, oskarżając o walenie domu tego przedtém i teraz, a boją się o siebie i nie widzą ani pojąć nie chcą, że to jest odbudowanie jego prawdziwe w czystości i pokorze“... (z listu z d. 17 listop. 1842).

...„Są położenia, że trzeba z miłości własnej zrobić ofiarę, t. j. nie ukrywać się z niczém i być otwartym, choćby serce przeczuwało, że ludzie krzywo tę otwartość osądzą, nazwą ją złością lub zazdrością. Otóż dokompleto- wałem siebie czynem. To jest, spotkawszy mego przeciwnika (Mickiewicz) na wyższym stanowisku, podniesionego ku prawdzie prawdziwie bożej, już nie w jezuityzmie — podałem mu rękę i teraz jesteśmy razem. Jesteśmy — ja, on i jeszcze trzeci... równie zajęci sercami naszych braci, równie pomagający duchem i życiem, ile go który ma w sobie. Życie takie podobne jest do życia aniołów, i nieraz ozłoczone uśmiechem są twarze nasze, a prawie zawsze serca spokojne. Nie miéj więc, o droga, żadnej bojaźni o mnie, bo jeżeli kiedy, to teraz sam nie jestem, a nikt mnie nienawidzić nie może. Bo wszystkich ukochałem i sercem zapragnąłem, i muszą to kiedyś uczuć, choćby już nigdy więcej moich słów nie słyszeli“... (z listu z d. 18 stycznia r. 1843).

...„Nie tracąc chwili odpisuję, abym Cię wyprowadził z trwogi i uspokoił; bo pojmuje ile Cię taki straszny domysł zatrząwać musi. Nie, nie zostanę nigdy księdzem! Onito Faryzeusze miłość udający obrzydzali mi próg kościelny i pokazywali do Boga drogę małą i pełną fałszów, po której tylko robactwo ludzkie pełznąć mogło“... itd. (d. 18 marca 1843).

Wstrzymuję się od wypisywania miejsc takich więcej. We wszystkich listach ich pełno. Natomiast staje się korespondencya Słowackiego od tego czasu nad wszelki opis ubogą w szczegóły o życiu jego potoczném i zewnętrzném. Człowiek ten odtąd przestał prawie już żyć dla otaczającego go świata. Nie go już na nim nie zajmowało. Wszystkie myśli jego krążyły jedynie około pojęcia Boga, Ojczyzny, przyszłości rodu ludzkiego, słowem około zagadnień doktryny; i nie było nic ważniejszego dla niego, o czémby matce donosił, jak ten ciągły rozbiór tych niewielu mistycznych pojęć, około których się cały Towianizm kręci. Przy tém ją jednak ciągle zapewniał, że się czuje bardzo szczęśliwym.

„Uleciał smutek odemnie, powiadał jéj, i wpuszcł więcej niż nadzieję do domu mego. Przybyła także większa prostota — mniej zachceń ziemskich, a więcej prawdziwej żądzy dobrego. Duch mój się podniósł i ciało nabrało więcej mocy, tak że mię ludzie zaledwie poznają. Widzę, że do końca życia mam drogę pełną słońc i też prawdziwych, i to mi wystarczy, choćbym żył najdłuższe lata.“ (z listu z d. 18 marca 1843).

Czasem mu matka robiła wyrzuty, że ją samemi tylko zbywa rozumowaniami, a nie rzeczywistego nigdy nie donosi o sobie. W takim razie odpisywał jéj, jak np. d. 12 sierpnia 1844:

...„Dlaczego Ty droga chcesz szczegółów życia mego i materyalnych okoliczności? Na wszystkie pytania, któreby mi zadał człowiek pospolity, chcąc osądzić, czy jestem szczęśliwy: odpowiedziałbym w taki sposób, że człowiek ten osądziłby, iż mi wszystkiego, co do szczęścia należy, niedostaje. Albowiem jeśli szczęściem jest zabawa — téj ja nie znam; jeśli pieniądze — tych mam tyle, ile mi potrzeba, ale mniéj niżby ich owemu człowiekowi dla szczęścia żądać przyszło; jeśli szczęście jest w pochwałach od ludzi odbieranych i w oczy mówionych, to takich ja nie słyszę, a ile razy słyszę, to wzdygam się, czując niby wstyd jakiś i uczucie upokorzenia. Gdybym Ci opisał droga, życie moje zewnętrzne, Ty sama możebyś wątpiła o szczęściu mojem... możebyś podniosła krzyk ku Bogu, wyrzucając mu, że Ci dziecko twoje nie podług miary obdziela. A jednak, jeżeli Ty prawdziwie szczęścia mego żadasz, to powinnaś mi wierzyć teraz, kiedy mówię, że jestem pełen jakiejś wewnętrznej radości, która się czasem aż w głosie moim, tonem śpiewu przebija — jak gdyby coś we mnie śpiewało, girlandami tonów rzucając przez błękity. W sile ducha mego jest coś, coby chciało się porwać i unosić, jak dziecko w przestachu śmiejące się, bo pewne opieki. — Pytasz mię droga, czy jadłem wielkie święcone? A ja Cię proszę, abyś nie zwracała oczu na ludzi, którzy szynkami karmią tłum niewybrany i potem głośno mówią: daliśmy jadła i słudzy nasi pożarli je... Albowiem nie o jedzenie chodzi, ale o to, aby kto był zdolny duchem nakarmić i sercu przelać ogniem upoiwszy je z palących kielichów — i stawiać ciągle święcone pod nieba błękitem, i takiem jadłem wiązać ludzi, aby więcej nie rozchodzili się, ale zebrani zostali wiecznie, nie mogąc oderwać się od tego, który karmi. Dla wiadomości twojej jednak powiem, że i na

tamtém święconém byłem, ale smętny aż do śmierci, widząc że przeszłość jadła, aby żyła“...

— W ciągu tego samego czasu korespondował też Słowacki, jako już Towiańskiego zwolennik, i z Krasińskim. Widocznie było gorącym życzeniem jego, ażeby dla sprawy nowej doktryny pozyskać tę potęgę duchową. W listach tych znajdują się wydawniejsze, aniżeli w korespondencji do matki, zarysy tego jak on sobie słowa Towiańskiego tłumaczył. Jestto zatem jedno z ważniejszych źródeł do wyrozumienia, o co ostatecznie Towiańszczykom chodziło. Źródeł takich bardzo mało pozostało. Im więcej bowiem osoby po za tą sektą będące były pochopne do rozgłaszania rozmaitych wieści o zajściach, które się wewnątrz koła takowej działy, tem uporeczywsza była niechęć w tych ostatnich powierzenia drukowi jakichkolwiek wiadomości o wewnętrznych tegoż koła stosunkach albo dogmatach. Jak wiadomo, Biesiada, a raczej dwie Biesiady — jest bowiem jedna z r. 1841 (dla Skrzyneckiego pisana), a druga ogłoszona 1845 p. t. „Biesiada z bratem Karolem“ (Różyckim) — stanowią jak dotąd jedyne drukiem rozpowszechnione dokumenta Towianizmu, wydane z samego łona tej szkoły. I z tych atoli dokumentów, choć były ułożone przez samego Towiańskiego, został jeden, t. j. owa Biesiada rychlejsza, w następnych latach o tyle unieważnionym i niejako odwołanym, że Towiański przeciwnikom swoim oświadczył, iż ją pisał jedynie dla wyżej wymienionej osoby, a nie dla wszystkich — i w celu, ażeby ją ustnym dopiero wykładem własnym uzupełnić, nie zaś żeby każdemu służyło prawo wysnuwania z niej wniosków swoich.

Choćby zatem z tego już tylko powodu, że to nowy a autentyczny materiał do wewnętrznych dziejów tej sekty, poczytuje za stosowne przytoczyć tu kilka wyjątków z rzeczonej, skądinąd nieco monotonna korespondencji.

W pierwszym tedy z listów pisanych w tej epoce do Krasińskiego (d. 14 grudnia 1842) — tak się Słowacki odezwał:

...„Otóż wiedz, że jest człowiek, który rozwiązuje duchy i stawia je nad ciałami, wkładając im wszelkomożne korony — wpajając w nie królewską moc — łącząc

z Bogiem, a to wszystko prostą, ożywczą, bożą siłą — jedném słowem, które świat materyalny robi snem w oczach człowieka, a wyciąga z niego dążność ku nieśmiertelności bożej... A nauka jego nie potrzebuje się rozwijać, bo ci, którzy są gotowi, przyjmą ją — a ci, na których czas nie przyszedł, odrzuca — a jednak odrzuciwszy, będą mieli targane sumienia i serca do krwi rozdarte!.. Otóż ta idea w świecie duchowym jest jak systemat naszego Kopernika... Dosyć było powiedzieć któremu uczonemu astronomowi przeszłości, że słońce stało: a on już sam w obserwatorium swoim od lunet i teleskopów dowiedziałby się reszty. Ale gdybyś ty jednak wiedział, jak ten szlachcic litewski wśród sosnowych lasów wyciągnął z myśli bożej wszystko i wszystko odtworzył na nowo, z prostotą pastusza i z pohamowaną w sobie ludzkością: — wziąłbyś go pewnie za Pana i za przewodnika“...

...„Ty, który od dawna jesteś ogniem tych, którzy w okrag Ciebie stoją, musisz koniecznie gotować teraz podobnych nam i przyjść nam z legionem twórczo-duchów w pomoc. Wam wtenczas świat będzie musiał uderzyć czołem, i ja — choć już wśród was bez życia i ruchu — będę się radował ze zwycięstwa nad światem i nademną“...

...„Poganizm cały krzyczy i jeszcze występuje do walki. Palcem posagowym pokazuje wszędy formy swoje — zaslania się niemi i terazniejszej chwili tyłowiekowym głosem wyrzuca niewdzięczność. Jam go przeklął; ale jeszcze nie mogę zapomnieć, że mi był litosnym panem, że jego Diany były mi kochankami, a jego trwałość — prawie wiecznością... Ale zwyciężyły go już piorunowe objawy ducha, a jam resztką czucia rzucił się dopomagać silnym a nieśmiertelnym prawdziwie. W tych kilku słowach jest cała moja historia. W Anhellm ją na końcu przeczułem i oprócz Aniola, co siedział nad trupem i zabraniał budzić go, wszystko się sprawdziło“...

Na to zagadnięcie niezwłocznie nastąpiła odpowiedź. Odpowiedzi tej między listami wprowadzić nie znaleziono. Z pierwszych słów atoli drugiego listu, który zaraz potem napisał do Krasińskiego Słowacki, daje się wnosić, że odpis Zygmunta ułożony być musiał jakoś dyplomatycznie, ani nie przecząc, ani nie potakując.

Początek rzeczzonego listu jest taki:

„Kochany mój! Twój list apokaliptyczny świeci mi jak lampa w gotyckim kościele — jak różycą różnokolorową,

przez którą patrzy słońce — ale rozstępowane, niepewne! Odgadłeś kilka kształtów: i w wzroku, który Adam rzucił na jednego ze swoich uczniów, kiedyś mu o liście Twoim mówił, widziałem że mistrz taksamo tłómaczy niewiastę w słońcu na włosach, z księżycem pod nogami...*) Ale czy to starczy? Czy to jest wszystko? Czy nie czujesz, że ta idea musi być działalną na ziemi, to jest czynioną przez ludzi, nie głoszoną przez usta ludzkie? "...

W dalszym ciągu napotykam jeszcze jeden ustęp godny zastanowienia:

... „Każdego z nas inaczej uderzyło Mistrza słowo i z innej struny każdy wydobywa dźwięk swój, który się w pokornym kole braci układa do harmonii. Co do mnie, najmocniej mnie zajmuje twórczość ducha, który podług słów św. Pawła, jeżeli z Duchem Bożym łączy się, jest jedno. — Uczuciem więc, ogniem miłości, ściągnięciem woli bożej na ziemi możemy odbudować świat i postawić go w kształcie zupełnie nowym. — Praca więc powinna się zacząć w nas samych, to jest powinniśmy w sobie wyrabiać doskonałą moc czucia — zlewać go — spiorunować w sercu: a to wszystko z cichością i prostotą ludzi mocnych i mających wielkie rzeczy do wypełnienia. — Stwórz sobie myślą takiego człowieka, postaw go sobie przed oczyma — niech przemówi do ciebie twarzą pogodną, wewnętrznym uczuciem siły nieśmiertelnej, mocą magnetyczną wyższości prawdziwej: — a ujrzysz nasz ideał. Każdy Duch, z Boga wzięty w organizację, ma misję bożą, to jest przebiecie się przez materię, wyrabiając ją twórczością swoją w coraz doskonalsze kształty — aż będzie mógł ostatecznie powiedzieć słowo przez Chrystusa wykrzyknione na krzyżu: wypełniło się! — Uczucie to skończonej, wypełnionej misji zaczyna nową drogę ducha wyłamanego już z materii, uwolnionego z organizacji. — Wierzmy więc w niedopelnioną pracę ducha i w łańcuch żywotów, które podług tej skazówki wydychowania się uważane, są Ewangelią dowiedzione. — Wierzmy w narodowość, to jest w solidarne misje duchów powiązanych z sobą wspólną odpowiedzialnością; a stąd wypływa, że miłość ojczyzny jest instynktowym uczuciem tej odpowiedzialności; a poświęcenie się za nią nie jest

*) To miejsce służyć by mogło pod pewnym względem za komentarz do tego ustępu Króla Ducha, który jest dany w rapsodzie Iszmy pieśni Iszj strofie 17.

szaleństwem, ale koniecznością ducha w świecie duchowym, tak jak to materyjalne pomaganie sobie, które stworzyło kontrakt socyalny. — Wierzmy i w to, że kogokolwiek duchem zaczepimy, stajemy się duchem odpowiedzialni za ducha. — A tak utworzywszy sobie świat wewnętrzny i zrozumiawszy go, stworzył się nam szereg cnót nowych duchowych i grzechów, które dotąd w konfesyonalach nie były słyszane...

„Wszystko to jest proste i nie do rozumu twojego, ale do serca twojego pisane. Lecz powiedźże, czy sercom nie trzeba było takiej wiary? takiej religii? — Czy ta myśl, że duch — już skończywszy misję i rozwiązany z organizacji — jeszcze jest odpowiedzialny za duchy leniwsze pozostałe w pracy, nie tworzy ci najcudowniejszej kolumny świętych pańskich, którzy muszą podszeptwać, pomagać, a przez łaskę czasem zjawiać się na ziemi wierzącym w nie, aby wypełnienie misji narodowych przyspieszyły?... Zamyśl się z tą myślą, a usłyszysz cudowną harmonię między duchowymi pracami a boleściami ciała, które są chłostą niby bożą i przymusem i nauką duchów. Jednej plagi, jednej choroby nie ma przysłanej napróżno. Narody wydają się jak indywidua, także słusznie karane lub wynagradzane. Historia, ta męka ciała, staje się nauką duchów; wszystko się wyjaśnia: Bóg się pokazuje z każdej mgły, z każdej chmury. Taka więc jest ta metempsychoza, o którą nas księża katolicy oskarżają... (List ten, długi bardzo, datowany jest z d. 17 stycznia 1843 r.). —

Teraz dopiero nastąpił odpis (z Rzymu d. 26 stycznia 1843), o którego treści można dać bliższą wiadomość, jestto bowiem jeden z owych listów dziesięciu. Co w nim szczególnie uderza, to jakaś dziwna wyrozumiałość Krasieńskiego na obłąkanie całego tego grona w Paryżu, chociaż je był rokiem pierwej z takim oburzeniem potępił.

Oto kilka ustępów z rzeczonej odpowiedzi:

... „Czemuż się tak żegnasz na wieki z pięknnością pogańską? Czemu myślisz, że nieśmiertelne umrzeć potrafi? — W arcydziele Pana nic nie ginie, wszystko coraz żywiej żywie, wznosi się i wzmacnia! Nowa, pełniejsza od wszystkich poprzednich poczyną się epoka. Nazwieszli ją królestwem bożym, czy przyjściem Ducha św., czy jeszcze inaczej: — to pewna, że ona być musi epoką nieznaną dotąd — życia czyli czynu! Czyn albowiem, rzeczywistość, życie — to cel, ku któremu ostatecznie wszelkie poprzednie

przygotowanie się garnie. Natura stapała ku człowiekowi — historia stapa ku ludzkości. Dwie sfery przygotowawcze przebiegliśmy dotąd; każda z nich wzięła na się rozwinięcie jednej z jednostronnych części składających całość czyli życie. — Piękność czyli prawdę kształtu pojęło pogaństwo; prawdę czyli piękność myśli, chrześcijańska era upłyniona od dni chrystusowych. A czémże czyn, życie, świat przyszły nasz, jeśli nie doskonałym zlewem tych dwóch jednostronności?“ itd. *)

... „Więc owszem ja ci mówię, że gdy tak prawdziwie pojmujesz czyn, tak głęboko wzdychasz doń, to wcale się nie odsuwasz od tego, co nieśmiertelnem z świata pierwszego ludzkości pozostało — od piękności! Przeciwnie, ty żądasz, by myśl Chrystusowa, która dotąd tylko idealną prawdą była, wcieliła się w widomą rzeczywistość, w kształt powszechny, planetarny, godzący wszystko, organizujący wszystko; a czémże kształt prawdy, jeśli nie piękność? Zatem dążysz ku piękności nie już tylko w marmurach, płótnach, dźwiękach i mierze wierszowej, ale ku piękności żywej, ku najwyższemu stanowisku piękności“...

W dalszym wywodzie wykładu Krasiński swoje własną teorię o ludzkości i składających jęj organizm narodowościach, jako niezbędnych członkach tęg harmonijnej całości, w sposób jak w przedmowie do Przedświtu. I w końcu ten system swę wyobraźni przysadzając Towiańszczykom, zamyka rzecz w następujących słowach:

... „O to kusicie się bracia moi — to waszém jest usiłowaniem! I błogosławieni jesteście za to, żeście pierwsi pojęli to i postarali się to uczynić! Ale pamiętajcie, że wszechstronność pierwszą cnotą waszą być powinna; że nie odrzucać — niczém nie gardzić, ale wszystko wywyższać — wszystkiemu miejsce dać, a piękniejsze i lepsze — powinniście! — O! zaklinam was: nie zważajcie się jako cząstka świata — ale rozszerzcie się jako całość świata! — Bądźcie pełnijsi miłości od tych, którzy twierdzą, że ich rzemiosłem jest miłość! Nie intolerancją walczyć intolerancję! Owszem, wszystko pojmijcie, wszystko pochłońcie — bądźcie jako kopuła, co ziemię widnokreśnię opierścienia. — Miasto gołębicj dawnęj, chciałbym by dziś

*) Cały powyższy ustęprawie żywcem jest wzięty z Cieszkowskiego *Historyozofii*.

taki błękit uznany został za symbol Ducha świętego! Niechże i waszych działań będzie on symbolem!“

A zatém, jak widzimy, Krasiński ostatecznie nie więcęj nie znalazł do wytknięcia mistycznęj owęj doktrynie, jak tylko ten fanatyzm, tęg wyłączność bezmiłośną i jednostronną, tęg do najwyższego stopnia posuniętą intolerancją, jaką znamionowała i słowa i postępk Towiańszczyków, od Mickiewicza począwszy aż do najbezmyślniejszego szeregowca tęg szkoły, we wszystkich ich zetknięciach z światem zewnętrznym.

Ta teoryczna pobrażliwość autora Przedświtu dla Towiańszczyzny nie wystarczała jednak bynajmnięj Słowackiemu, który go pragnął do obozu tęg przeciągnąć. Z tęg przyczyny korespondencya zobopólna się przedłużyła i nadal, ale w taki sposób, że w wyrazach Słowackiego coraz dotkliwięj przebijać zaczął „pevien kwas melancholijny“ przeciwko człowiekowi, którego dawnięj tyle uwielbiał. Na uwagi cierpkie, wstępnybm bojem sobie czynione, Krasiński odpowiadał życzliwie i z miłością, lecz je odpięrał jednakże. Wreszcie się ta rozmowa listowna między nimi urwała... Potém nastąpił (w tymże roku, w jednym z miesięcy latowych) ślub Krasińskiego z Branicką — a następnie napisany i ogłoszony został „Ksiądz Marek“.

Nie można samemu tylko przypadkowi tęg przypisać, że się w tym poemacie znajdują rzeczy, które boleśnię dotknęły Krasińskiego. Są tam wyrażenia i zajścia, ubliżające rodzinom, z których tenże albo pochodził albo z niemi był połączony. Uraza musiała być tęg żywsza, że nie można było niewidzieć, że tu wyraźnie o to tylko chodziło, żeby dokuczyć. Uszczypliwości są po większęj części naciągnięte i w kolorach mocno przesadnych; a to, co się bezpośrednio do Krasińskich odnosi, nazwać należy nawet bezwarunkowo niesprawiedliwém, zwłaszcza że dzieje barbskiej konfederacyi bynajmnięj do tęg nie dawały powodu.

Ta publikacya położyła na zawsze koniec serdecznym stosunkom pomiędzy Słowackim a Krasińskim. Zerwały się one od owego już czasu, a nie dopięro w skutek wiersza „Do Autora trzech Psalmów“, jak to zazwyczaj sobie wyobrażają. W późniejszych latach podali sobie wprawdzie obaj poeci raz jeszcze

ręce do zgody; ale była to już tylko... przyjaźń łamana i chłonna — jak się to opowie w swoim miejscu.

Ażeby zakończyć już ten rozdział sprawie Towianizmu wyłącznie poświęcony, dodaję jeszcze słowo o zachowaniu się Słowackiego względem saméjże szkoły, której był uczestnikiem. Bynajmniej nie należy sobie wystawiać, że to był bierny tylko i potulny wykonawca zleceń mistrza swojego, albo powolny potakiwacz słowom lub też uchwałom drugich. Owa sprężysta samodzielność, owa „odśrodkowa siła negacyi“, którą mu przyznał był już Krasiński w owéj rozprawie swojej z r. 1841, podsycana wrodzoną a teraz okolicznościami spotęgowaną drażliwością umysłu, dawała się i w téj życia jego epoce czuć wszystkim z jego strony przy lada sposobności. Mianowicie zgoda z Mickiewiczem żadną miarą nie była bezwarunkową i długotrwałą.

W pierwszej chwili uwielbienie jego dla Towiańskiego nie miało granic. Pod jednym wierszem, który jako numer V znalazł miejsce w tomie *Iszym Pism* jego pośmiertnych na stronie 71, napisał był takie wyrazy bezpośrednio do niego skierowane.

„Temu, który nie słowy ani nauką, ale przyjściem swoim i zapowiedzeniem sprawy Bożej, ducha mojego z więzów uwolnił i przejściu w krainę wiedzy dopomógł,

Andrzejowi Towiańskiemu,
niniejszy wyraz, jako wywołaną z ducha mego odpowiedź i miarę wyrozumienia Sprawy Bożej, ofiaruję i poświęcam, — narodu mego prosząc o uwagę dla człowieka, który słowa te: że wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, wyrzekłszy, podobnie jak Kopernik, a więcéj jeszcze, bo nie świat fizyczny, ale świat wiedzy, na syntetyzmie zatrzymał i postawił.“ —

Ale już krótko po wyjeździe Mistrza z Paryża, znalazł się Słowacki w konieczności wystąpienia z powszechnego i jedynego jeszcze naówczas koła Towiańszczyków i założenia frakcyi własnej, osobnej. Powód zdarzenia tego nie jest mi wprawdzie wiadomy; ale nie wątpię, że do tego zajścia odnosi się następujący

urywek z listu, którego początek znalazłem na ulotnej kartce pomiędzy luźnymi papierami poety:

„Piszę do Ciebie, Bracie Andrzej, abym Ci wypowiedział z ducha mego słowa, które przed światem uczyniłem dotąd tajemnicą, ciężarem téj tajemnicy obciążwszy samego siebie; abym nie mógł być w żaden sposób przez Ducha Twego oskarżony przed Bogiem, jako odstręczający świat od sprawy Ducha wykryciem zgorszenia. Gdyś zjawił się, świadectwo braci moich o Tobie świadczących przyjąłem; w dobrej wierze połączyłem się z uczuciem ich — w czystość Twoję zawierzyłem, wiernym byłem — w postępach moich starałem się być bez poszlakowania — w pracy mojej pomocnym Tobie — w usługaniu Sprawie pierwszemu — w cielesnym koła porządku ostatniem. Jeżeliś tego nie czuł duchem, dowiaduj się, a ludzie ust prawdziwych przyświadczą, że tak było. Wystąpienie moje z koła ciche, a Tobie bynajmniej nie uwłaczające wywołało z Ciebie sąd pismu powierzony, w którym ducha mojego osądziłeś. Odważnym będąc w sądzie, bezsilnym w osądzeniu“ — — — (dalszego ciągu nie ma).

Podobnych śladów częstych nieporozumień między Słowackim a resztą koła, mógłbym przytoczyć i więcéj. Są nawet protestacye formalne z jego strony przeciwko jakimś krokom czy też zamiarom Mickiewicza i jego zwolenników, których już dzisiaj dokładnie się dorożumieć nie można z powodu tajemniczości? w jakiej się wszystko tam odbywało pomiędzy nimi. Oto jeden z ciekawszych dokumentów tego rodzaju.

„My niżej podpisani, którzyśmy stanęli przy sztandarze sprawy Bożej, z najwyższego ducha miłości i prawdy chcąc wysnuć siły ku zbawieniu Ojczyzny naszej...

„Przekonawszy się, że dotychczasowi wodze nasi, którym z miłości poddaliśmy się i z pokory, nie odpowiedzieli zaufaniu naszemu, ale powiedli koło nasze ku tym idealnym absolutnym celom, na których wszelka różnica czasem i charakterem między narodami położona ginie...

„Nie oskarżając bynajmniej przewodników koła o złą wolę, ale z sumienia naszego czyniąc krok według nas potrzebny i konieczny...

„Zostawiamy odpowiedzialnymi przed Bogiem i przed narodem oweto nasze przewodniki za dalsze ich postępowanie. Sami zaś nie odbierając sztandarowi prawdy i miłości serc i sił naszych, powierzamy obronę“ — —

Dalszy ciąg téj protestacyi jest wydarty w książce, w której się mieści, zawierającej w sobie różne notaty Słowackiego. Ale zaraz na trzeciej stronie dalej w tymże raptularzu jest concept listu, który choć jest bez daty, oczywiście odnosić się musiał do téjże okoliczności:

„Do koła całego tak nazwanych Towiańszczyków, czyli uczniów pewnego Andrzeja Towiańskiego, na ręce zastępcy mistrza onego, Adama Mickiewicza:

„Bracie Adamie!

„Przypominam Ci, że przyjęty za brata w kole Waśm przez Andrzeja Towiańskiego, który publicznie mię bratem być wyznał: w dniu 1 października 1834 roku“ (liczba oczywiście zmylona, zamiast 1844, albo może 1843) „listem do koła braterskiego pisany nie wyrzekłem się bynajmniej braterstwa, ale położyłem Veto z ducha polskiego — przeciwko dążności rosyjskiej, która mszę i nabożeństwo publiczne za ducha nienaszej wiary i nienaszej idei podyktowała.

„Przypominam, że jako pierwój, tak i teraz Veto moje nie zdjęte z koła trwa na wieczność, a témsamém czyni nieprawymi i bezskutecznymi wszelkie kroki, które koło w tymże duchu łączącym nas z Rosyą przedsiębierze.

„I żądam, aby ta nowa protestacya przeciwko ugięciu ducha polskiego przed Cesarzem Mikołajem zakomunikowaną była w kole dla wiadomości.

„Zostawiając sobie dalszą wolność czynienia kroków, które mi się wydadzą potrzebne dla ratunku ducha Ojczyzny mojej —

„W braku aktów, do którychbym wnieść mógł tę protestacyą, oświadczam, że powierzę ją pamięci narodu mojego.

Brat

Juliusz Słowacki.“—

Do któregooby czasu się to wszystko odnosiło, trudno bardzo dzisiaj odgadnąć. Wnoszę jednak z różnych okoliczności ubocznych, że dzieć się to musiało 1844, albo co jeszcze prawdopodobniejsza, w r. 1845.

ROZDZIAŁ SIEDMNASTY.

Dalszy ciąg rozpoczętej materii. Autorska czynność Słowackiego pod wpływem Towianizmu. Książd Marek — Sen Srebrny Salomei. Zdanie matki poety o tych utworach i jego odpowiedź na to. — Znaczenie literackie obu dramatów. — Różne poczye liryczne i ulotne — poemat z dziejów Nowogrodu — Poeta i Natchnienie — Zawisza Czarny — Samuel Zborowski — Genesis z Ducha.

Przystąpienie Słowackiego do koła Towiańszczyków wywarło wpływ przeważny na charakterze jego jako poety. Cały zawód jego autorski otrzymał odtąd inny kierunek. Tém zdarzeniem, życie jego na emigracyi wydaje się jakby przedzielone na dwie połowy. Między pracami jego z przed roku 1842 a potem, mało jest związku organicznego. Sąto dwa osobne działy czynności literackiej, daleko bardziej odgradzone od siebie, aniżeli owe okresy rychlejszej części życia, które przedzieliło w r. 1831 dobrowolne usunięcie się na wygnanie.

Pierwsze następstwo téj tak stanowczej zmiany wyobrażeń, a raczej tego zupełnego przewrotu wszelkich pojęć dawniejszych, okazało się w tém, że Słowacki prace swoje dotychczasowe od téj chwili bardzo mało już cenil. Co było już wydane, tego oczywiście nie było można cofnąć z obiegu. Ale co jeszcze leżało w tece, to też już w niej i na zawsze miało pozostać!... To jest przyczyna, dla czego wszystkie owe w poprzedzających rozdziałach jako fragmenty wymienione utwory Słowackiego, nie tylko nie zostały do druku i do rąk publiczności oddane, ale co gorsza, puszczone w poniewierkę, rzucone między niepotrzebne papiery, do tego stopnia na powolne wystawione były niszczeniu, że największa ich część doszła rąk naszych zaledwie tylko w wurywkach.

Zupełnie mylne byłoby przypuszczenie, że zatrata tyłu wybornych rzeczy zaszła dopiero po śmierci autora w skutek nie dbalstwa spadkobierców, albo też, jak to niektórzy myślą, z powodu, że Słowacki w ostatnich chwilach życia miał żądać, ażeby część jakaś jego literackiej pozostałości była wrzucona w ogień.

„Przeszłego życia mego nie żałuję — pisał do matki d. 18 marca 1843 r. — ani pogardzam tą podstawą, którą sobie wybudowałem i z której mi teraz łatwiej postępować wyżej. Sądzę, że w kwiatach, które mi kwitły, są niektóre wonie prawdziwe i potrzebne stworzeniom oddychającym. Ale dzięki Bogu, żem przez te flety nie wydał całego ducha i nie wylał całej duszy mojej; a to co zostało, nie będzie stracone“... „Módlcie się więc, aby Bóg jak najprędzej raczył spełniać swoje łaskę dla świata i przybliżał czas odkwitu. Każda godzina bowiem teraz jest ważna, a lenistwo ducha grzechem jest“...

A zatem przypuszczał wprawdzie Juliusz, że między dawniejszemi jego dziełami niektóre może są woni prawdziwej i przydatnej oddychającym; lecz od tej pory zadanie swoje pojmował już inaczej. Chodziło o to, aby to, co w nim zostało z ducha i nie było jeszcze straconem, jak najprędzej się dokonało; każda bowiem godzina ważna! Nowe zatem przedsięwzięcia zwróciły na się całą jego usilność. A dawniejsze prace poszły na odstawkę — w zapomnienie...

Jedyny z utworów dokonanych już dawniej, który został ogłoszony po przystąpieniu autora do Towiańszczyzny, byłto:

Książę Niezłomny Calderona. Paryż roku 1844. 12^o str. 172.

Dawniejszy zamiar stworzenia cyklu z sześciu fantastycznych dramatów, osnutych na tle legend z przedhistorycznej narodowej przeszłości, zamiar ten poszedł obecnie w zapomnienie.

Dalsza praca nad Beniowskim postępowała wprawdzie swoim torem i po roku 1842, ale postępowała dorywczo i że tak powiem, targana coraz innym duchem, jaki wrzał wtedy w piersi poety. To jest przyczyna, dlaczego ten poemat przedstawia w drugiej, niedawno ogłoszonej części swojej, postać tak chaotyczną, chociaż ustępy z osobna brane są nieraz niepospolitą siłą i pięknosci. Wreszcie w r. 1843, a najpóźniej 1844, zosta-

ła praca ta zupełnie zarzucona. Natomiast pojedyncze pomysły, które podług pierwotnego planu miały wnieść w skład tej rozległej kreacji, a może też nawet i były już w niej przeprowadzone, zostały teraz podjęte na nowo i wykonane z innego wcale punktu widzenia. Jeden z nich dotyczył chwili samego zgonu owiej proroczej postaci, która tak wydatnie występuje w Beniowskim; drugi polegał na ubocznym epizodzie przygód rodziny Gruszczyńskich. Tak powstały dwa dramaty oddzielne: „Książę Marek“ i „Sen srebrny Salomei“. Odpowiednie pieśni Beniowskiego uległy w skutek tego umyślnemu może teraz zniszczeniu; tak iż tylko dochowane mimo autora woli urywki, odszukane na ulotnych i luźnych kartkach, dostarczają świadectwa, że sceny te już i kiedyś dawniej zaprzętały fantazją Słowackiego — w odmienny sposób.

Książę Marek był pisany w ciągu roku 1843, w miesiącach latowych, najpóźniej w lipcu, — jak to wynika niewątpliwie z zestawienia okoliczności opowiedzianych w rozdziale poprzedzającym, ze wzmiankami niektórymi o tém w listach Słowackiego do matki. Wyjście z druku rzeczzonego dramatu przyszło do skutku w listopadzie onegoż roku. Imię autora było wyrażone na samém czele tytułu:

„Juliusza Słowackiego **Książę Marek.** Poema dramatyczne w 3 aktach.“ Paryż 1843. 12^o, stron 158.

W pierwszych dwóch tygodniach tegoż miesiąca listopada (1843) zaimprovizowany został drugi ów dramat, który wyszedł z pod prasy dopiero w styczniu 1844, pod tytułem:

„Juliusza Słowackiego **Sen srebrny Salomei.** Romans dramatyczny.“ Paryż 1844. 12^o.

W kilka miesięcy po wydaniu tego drugiego utworu znalazł Słowacki sposobność posłania matce przez znajomą osobę obydwóch tych ostatnich dzieł swoich razem; a wyprawiał je tém skwapliwiej, że się spodziewał, iż je matka z radością powita i z dumą będzie odczytywała, jako dzieła, które zdaniem jego podyktowało natchnienie, do wysokości jakiego nigdy on się w dawniejszem swoim życiu jeszcze wznieść nie potrafił. Tymczasem przyjęcie książek tych przez panią Becu było zupełnie inne! Wprawdzie

nieznane mi są względy, pod którymi głównie dramaty te sprawiły niemiłe wrażenie na światłej matce ich autora; listu jej bowiem pisanego o tém (jako i żadnych w ogóle listów matki do syna) nie czytałem. Że uwagi jednakże udzielone Słowackiemu w rzeczonyj chwili o Księdzu Marku i Śnie Salomei musiały być niekorzystne i bynajmniej nie zachęcające autora do dalszych kroków na takiej drodze, o tém przekonywa jego odpis dany wtedy w odpowiedzi na owe uwagi matki. Byłto odpis niezmiernie długi, a jeszcze więcej cierpki i prawiebym powiedział gromiący! Gorycz jego dochodziła do tego stopnia, że napisawszy go, sam Juliusz spostrzegł się wcześniej, że się w rozdrażnieniu za daleko posunął. Czując zatem niewłaściwość tonu, jakiego sobie tym razem względem matki pozwolił, nie oddał listu na pocztę, ale napisał inny, krótszy i spokojniej ułożony; tamten zaś list pozostał u niego między papierami, z których go dopiero po śmierci poety porządkując wszystkie jego rękopisma wydobyto i jako ciekawy dokument dołączono do całego zbioru korespondencji.

Ażeby wyrozumieć ówczesne, nad wszelki wyraz excentryczne usposobienie poety, uważam za stosowne przytoczyć z rzeczzonego listu kilka dłuższych wyjątków.

... „Jest zwyczajem Anglików, zwłaszcza w klasie piwowarów krwistej organizacyi, że co miesiąc używają emetyku, a bez tego zabiegliby krwią, obrośli sadłem, stracili wszelką myśl i energią. Dla tych ludzi Bóg stworzył dawno emetyk; a teraz przysłał doskonalsze lekarstwo, to jest denerwującą muzykę Chopina. — Gdy zobaczysz taką ciężką istotę, nad którą ciało otrzymuje codzienne zwycięstwo, radź jej jedną lub drugą kuracyą. Leczyć lekaj się obu dla ludzi zwiedłych i schorzałych, bo po emetyku część ciała własnego wyrzuca, a po koncercie Chopina część duszy własnej utracą. I Ty droga moja — czuła — dobra — litośna — miłująca — siadłaś pisać do mnie, wyplakawszy się w kacie z duszy całej — wyplakawszy się napróżno, więc grzesznie — wyplakawszy się dlatego, bo Cię semitonami i dyssonancami polonezy Chopina łaskotały po wszystkich nerwach. Wiesz więc, co napisałaś? — Oto list, który dla nerwowego, sentymentalnego człowieka wydalby się pełnym czułości — a dla człowieka prostego, z sercem — jest listem zupełnie

— bez serca pisanym!... Ja także, droga moja, bardziej teraz niż Ty otwartym być muszę, bo tu o duszę Twoją nieśmiertelną chodzi. Otóż powiem Ci, coś napisała. — Zaczynam od prostego wyrzutu, że marnuję moje zdolność, od wyrzutu, że nie piszę tak, jak dawniej pisałem. — Jeżeli ja rzeczywiście byłem kiedyś w szczęściu, a dziś podpadłem, bo bogactwo myśli jest państwem w aniołów krainie; jeżeli więc prawdziwie (a Ty wiesz że bez winy własnej) podpadłem: to powiedz mi, czy to do Ciebie należało, pokazywać mi, że w płaszczu dziurawym ujrzałaś mię w swoim eleganckim szopenowym salonie? — Drugi, gorszy grzech popełniłaś, cytując mi zdanie Adama, które on, umiający dobroduszenie a głęboko uragać, rzucił przed piętnastu laty, przeczuwszy że ta plotka, gorsza stokroć, niż artykuł dowodami wsparty, będzie biegła po kraju. Ludzie leniwi wzięli ją i przyjęli za zdanie powszechne. Przez piętnaście lat stanowiła ona u niejednego niby szacunek mojej osoby. Niejeden już na słowo Adama nigdy nie zajrzał do pustego kościoła poezyi moich. — Jam to wszystko przełamał, upornie idąc krok za krokiem — nie artykułami gazetowymi, ale samem wnętrzem pism moich. Ta plotka jak nietoperz czarna gdzieś ulatywała w kąty niebios: — a Ty mi ją, z całą świeżością, nową oddałaś w liście!... Cóż następuje? Oto rada, abym się nie spieszył z drukowaniem, a ochłonawszy z gorączki odczytał utwor mój, jak gdyby był utworem innego pisarza. — Pomyśl droga, jak ta rada jest złą i fałszywą! Więc Ty chcesz, abym ja przez pryncypium zwyczajne świata, to jest emulacyjną zazdrość, postępował i tę brał za podstawę i duszę moich czynów? To jest: jeżeli przeczytałbym jaki własny poemat a pomyślał: — ach! teraz Adam pęknie z zazdrości — albo Szekspir wróciwszy z grobu omdleje: to w takim razie powinienem być kontent z siebie?... Widziałem raz dziecinę, której na nowy rok bardzo ładne cacko matka kupiła; a ta, uniesiona radością — wykrzyknęła: otóż teraz Józia pęknie z zazdrości! Ta Józia byłato jej przyjaciółeczka, dziecię uboższych rodziców, które tak pięknem cackiem pochwalić się nie mogło... Teraz pomyśl Ty, że natchnienie jest darem aniołów — i zrozum, jakim Ty sposobem zalecasz mi oszacowywać radość moję z podarunku...

„Nareszcie koniec listu jest, że utwory moje dlatego Ci są mile, że w każdym mówię o sobie, a Ty sobie moję postać przypominasz... Powieddze mi droga, jakże

ja do tych przemawiać będę, którzy mi nie są matkami? — Najokropniejszą to jest krytyką wierszy moich, droga moja, że one wszędzie o sobie gadają! — Nareszcie ostatnią prośbą jest, abym się nie gniewał i nigdy za złe Ci nie miał niczego... Boga na świadka biorę, że ten list krytyczny skrytykował duchem, wiedząc dobrze że on nie z głębi Twojej wyszedł, ale z tej nieszczęsnej atmosfery smętnej blakających się teraz dusz najpiękniejszych, które chcą koniecznie, aby im ludzie smętku do smętku dolewali. Chorzy jesteście i chcecie, aby wszyscy podobnie wam jęczeli. Nerwami już, nie sercem czujecie! Lubicie, co wam nerwy rozczula — a wstręt macie do zdrowych pokarmów. — Widziałasze Ty, żeby kto nazajutrz po rozczuleniu wielkiem, przez Chopina muzykę sprawionem, stał się lepszym — piękniejszym — litośnijszym, wyrósł na bohatera? — Jedną mi osobę zacytuj, a wyznam, że nie miał racji potępienia...

...„Jednak i ja nie jestem bez winy — bo winą moja jest użycie imienia świętego; a to wcale mi do głowy nie przyszło, kiedy pisałem...”) Lecz i tu pomyśl Ty droga: gdybym ja napisał np. *Indianę* stylem pani Sand, i tę kobietę dwa razy niewierną — dwa razy splamioną — biegającą po mieście aż do mieszkania amanta, nazwał Twojem imieniem — ale to wszystko nie z prostotą człowieka, ale z Chopinową całą dyssonansowo-kwaśno-melancholiczną potęgą i sztuką drażnienia nerwów i błyskotnością kolorów posłał Tobie...? Rzekłabyś, że cud cudów!! Więc jest jakiś sposób mówienia rzeczy ohydnych, który je zmienia w anielskie?... Droga moja, pomyśl nad tem, nim potępisz którekolwiek z moich wyrażen, nim je nazwiesz niewłaściwymi i nie po polsku!... A te nie po polsku — co za wyrażenia? Więc jest kilka frazesów przyjętych, w które ja koniecznie muszę się ubrać, nim wystąpię? Zamiast powiedzieć krótko: kocham Cię — drukując tosam muszę wyrazić się w bezokolicznym trybie np. posiadasz serce twego syna? — To okragło i pięknie! — Tak gadają i piszą umarłe narody! Piszą językiem, którego potem w mowie potocznej użyć nie mogą. Taką jest literatura włoska. Patrz, jakie cudowne poemata — patrz, jak łatwo Włochowi napisać sonet lub dytyramb: wszystkie frazesy ma gotowe, całe toki mówienia przeżute. Lecz wierz

*) Widać matka Juliusza bynajmniej mu nie dziękowała za to, że takiż właśnie osobie, jak bohaterka w *Śnie srebrnym Salomei*, odważył się dać jej imię chrzestne.

droga, że Włoch tensam listu napisać nie umie! Znajduje się w podobnym razie, jak nasza sawantka, która musi użyć francuskiego języka. — Inni więc krzyczą na użycie francuszczyzny — przeklinają eleganckie salony; a ja staram się inaczej o wyprawienie za drzwi tego jegomościa — to jest daję wam w poezji język gadany, prosty, niewymuszony, który każdą myśl, jak potrawę — ciepłą na stół podaje...

„Słowem, widzisz droga moja, że w tym liście Twoim ani razu nie byłeś opiekuńczym duchem, ale córką moją, która mi zamyślonemu głęboko rady daje, a ja słuchać ich muszę, ale się wewnętrznie uśmiecham... Inaczej było z pierwszym listem! Był on prosto wypowiedzeniem uczucia Twojego serdecznego i był świętym dla mnie... Odrysowałaś w nim poemat, o jakim marzyłaś, a to marzenie było prawdziwie piękne! tak piękne, że nie mogłem własną, jak architekt ogromnym planem budowy podanej mu do wykonania zatrwożony... Widzisz więc droga moja, że nie wtenczas, kiedy Cię wyższą i piękniejszą od siebie samego duchem zobaczę, ja smuć się; ale wtenczas, kiedy Cię widzę za światem gdzieś daleko za mną zostającą, to mię rozpacz bierze! Bo za Tobą wprzód idącą ja zawsze dolecę kiedyś i będę przy Tobie. Ale dla Ciebie wrócić — ani ojczyzna, ani sprawa boża mi nie pozwoli...

...„Biada duchowi Twemu, jeśli Cię ten list obrazi albo zasmuci. Zatrwóż się wtenczas w sobie i pomódl się, i odczytaj go znowu — spokojnie i święcie. Odczytaj mówię, te wyrzuty Twoje i rady — i pomyśl, czyliby one mogły być dane przez Chrystusa? Z tym jednym tonem ewangelicznym możemy równać nasze utwory, aby zobaczyć ich wartość. Otóż ja Ci powiem, że przed Chrystusem nie śmiałybym deklamować z zapalem ani „Szwajcaryi“ ani innych osobistych poematów. Ale deklamowałbym spokojnie opis walki na stepie z trzeciego aktu *Salusi*, albo też Wernyhory dramę w piątym... Więcej Ci powiem: wystaw sobie chłopka bogatego z rodziną już czytać umiejącą — za sto lat — w cichym gdzieś domku pod Krakowem. Odpoczywa po wojnie — szczęśliwy! — ogień pali się w izbie, a przy kalendarzu już i niektóre książki znajdują się na stole. Wystawże go sobie, że czyta *Balladynę*. Ten utwór bawi go jak baśń — a razem uczy go jakiejś harmonii i dramatycznej formy. Bierze *Lillę* — tosam. *Mazepa* trochę mu się już wydaje nadto deklamatorskim. Lecz ujrzał *Godzinę Myśli*, albo *Lambra* —

i rzucił ze wzdargą te melancholiczne skargi dziecka niedorosłego! Otóż dla tego chłopka jest Salomea — Książę Marek — i Książę Niezłomny, ten Książę który mi kości wewnętrzne połamał — gdzie są pioruny poezyi, a z którym Ty nie masz żadnego związku, bo nie na nerwy, ale na samo czyste czucie uderza — nie melancholią, ale boleśń obudza — nie rozhartowywa czytelnika, ale go czyni silnym i podobnym spokojnemu aniołowi. — Proś Boga najwyższego w dzień i w nocy o poezyę dla żywych ludzi... Kto pierwój z taką poezyą przyjdzie, ja mu z wszystkich książek moich postument zrobię i sam się położę pod nogami, aby stał wyżej i prawdę zawsze oglądał z wysoka. A póki takiego nie ma, nie równaj mnie z nikim — ale proś o ducha świętego i z ducha tego dawaj mi rady, a wtenczas będziesz mi prawdziwie opiekunką...

Matka poety załączyła była do listu, na który Juliusz obecnie odpisywał, nie wiem w jakiej właściwie myśli, dwa wizerunki Najświętszej Panny: jeden z nich był kopią jakiegoś artystycznie, wytwornym pędzlem wykonanej Madonny i był przeznaczony dla Juliusza; drugi wyobrażał z całą prostotą obraz Matki Boskiej berdyczowskiej i był tu dołączony jako podarunek dla — Korkora (w Balladynie). Do tychto więc dwóch obrazków ściągało się, co mówi autor w poniżej przywiedzionym ustępie:

„Z listu Twego wypadł naprzód obrazek N. Panny — ale nie ten Twój, tylko ów drugi, rycerzowi mojej tragedyi posłany. O jakże mi widok tej prostej Królowej w koronie... z berłem w ręku i z małym Zbawicielem, a już z dzieciątkiem niby chudym i smutnym — w płaszczu który mi się wydał błękitnym, liliami złotemi uhaftowanym... jak mi ten widok był rozczulającym i rodzinnym!... a napis: „Berdyczowska“ — tasama, która nademną sto dzikich koni niby na skrzydłach anielskich przeniosła, abym był żyw dotąd i służył Bogu...*) o jak to wszystko mi lzy wydarło! Natychmiast w jednej chwili te wszystkie wspomnienia — królewskość jej — w tym sztychu nawet jakaś święta niemoc prostoty — uderzyła na mnie cudowną potęgą... A potem w liście Twoim druga... pięknie

*) To się odnosi do rzeczywistego wypadku, który się zdarzył kiedyś w dzieciństwie Słowackiego, kiedy on razem z matką odbywał jakąś podróż z Krzemieńca do Żytomierza i Berdyczowa.

nabrana, z dzieckiem rumianem, w której nie było świętego, tylko myśl Twoja i chęć Twoja i dotknięcie rąk Twoich. — Wieszcze Ty, kto to jest Najświętsza Panna? Oto przez cztery tysiące lat cała natura — wszystkie ludy przetrwały, że raz przez kobietę rozmiłowaną w Bogu złamane będzie prawo natury najpierwsze... Poeci przecucie to zamieniali w kształt i ciągle o tem gadali; bo przyszłość tego cudu dawała się czuć duchowi świata. Stąd tyle Nymf greckich lub dziewic, które z Bogiem są zamężne. Wielkość tego przecucia zatrzaża — powszechność jego zadziwia! Otóż duch Najświętszej Panny spełnił cud — i ludzkość cała jakby otrzymawszy to czego się spodziewała, przestała marzyć o półniebieskich związkach...*) Jakiżto więc duch był wielki i zdolny cudownej bożej miłości, kiedy zaspokoił serca bijące przecuciem od lat tylu, w tylu ludach! A ta Matka, ściśniona miłością bożą, z jakim strachem i uszanowaniem musiała patrzeć na dziecko własne — ona jedna, która wiedziała, że miłością bożą ducha boskiego wywołała z niebios — i ten duch siedzi na rękach u niej — dzieciątko małe, a już cierpiące nad światem!... Ja, droga moja, byłem w Nazarecie i poszedłszy do lasu oliwnego, siedłem przy studni i czekałem, ażali mi się jaka postać podobna między Nazarenkami po wodę przychodzącymi nie zjawi... Otóż nie podług Twego obrazka oczekiwałem czegoś podobnego do niej — ale podług tej Berdyczowskiej, tylko w tęczy kolorach — z niebieską przezroczystością i blaskiem. Wiem ja, że wizerunek jest niczem — ale jednak powinien być duchem wybrany podług uczucia. A ja chciałem, ażeby uczucie Twoje było srebrne, jak gołębicą. Korkor swój obrazek może nosić na piersiach podczas batalii — i po batalii leżeć z nim, cały krwawy, twarzą do Boga. A ktoby zobaczył, zapłakałby mówiąc: oto święta jakaś z jego ojczyzny przyniesiona... Ja mój obrazek za lustrem zatknąłem i jest mi drogi — ale nie odpowiada memu smutkowi i często bolesnej twarzy... itd.

W tym sporze między matką a synem my czytelnicy dziś podobno będziemy musieli stanąć stanowczo po stronie pierwszej; a możemy to uczynić z tem większą pewnością siebie, że i sam autor, już we dwa lata później, z żalem i wstrętem wspominał —

*) Porównać z tem miejsce w Królu Duchu w tomie Pism pośmiertnych Ilgim na stronie 203 i 204.

wprawdzie nie o obu utworach, których wtedy tak gorąco przed matką bronił, ale o Księdzu Marku. Przytoczę w jednym z dalszych rozdziałów dosłownie, co w tej mierze w r. 1846 Słowacki do Krasińskiego wyrzekł o owym dziele i o stanie duszy, który to dzieło spłodził. Tutaj zaś tylko dodaję, że jeżeli tej gorzkiej krytyki nie rozciągnął wtedy autor nasz i do *Snu Salomei*, to tylko przeto, iż nie było przy owej sposobności żadnej do tego przyczyny, żeby mówić także i o owym drugim utworze. Gdyby go jednakże był kto wtedy zagadnął i o *Sen Salomei*: toby był przyznał pewnie i tutaj poeta „wątpliwość dzieła i niedzę zewnętrzną w wykonaniu“.

Rzeczywiście bowiem miała słusność matka poety, kiedy twierdziła, że obydwa te dzieła jak niebo od ziemi różnią się od wszystkiego, co dawniej pod piórem Słowackiego powstało. Sam już styl i zewnętrzna forma takowych okazuje coś szczególnego. Są to rzeczy niby dramatyczne, a ileż jednak zdarzeń najistotniejszą część osnowy tworzących, jest zbytych tylko w luźnej formie opowiadania. A jakie też nieraz dziwne jest ono opowiadanie! W ogóle dykcyja tu przypomina rozbujalność poezyi wschodniej. Jest ona jakaś nieunoszona i nieujęta jak powódź, a leje się dyalogiem wezbrany nad wszelkie karby prawdopodobieństwa i miary. Po półtora sta, po półtrzecia sta, czasem po cztery sta wierszy z górą jest włożonych w usta jakiej figury perorującej jednym tchem — bez przerwy ze strony ludzi, do których prawi. Szczególna ta gadatliwość osób dramatu nie daje się spostrześć w żadnym z dawniejszych utworów autora Mazepy.

Może niejeden z czytelników zechce tę dziwną rozwlekłość tłumaczyć uwagą, że w owej porze Słowacki szczególnie zajmował się Kalderonem. Zasiadł do Księdza Marka wkrótce po dokonaniu przekładu *El Principe constante*. Wyobrażenia jego nastrojona więc była, że tak rzekę, na ton tego hiszpańskiego poety. — Nie chciałbym żadną miarą przeczyć temu, iż niejedna odrębność formy czy to Księdza Marka czy *Snu Srebnego* składaną być rzeczywiście powinna na karb tego wpływu. Aż do pewnego stopnia mogła niezawodnie ta bujność wyobraźni wysłowienia, ta przewaga opowiadawczych i li-

rycznych żywiołów nad ścisłą akcją, równie być następstwem przejścia się tradycjami sceny hiszpańskiej, jak ów wiersz krótki ośmiozgłoskowy, którym obydwa te dramaty są ułożone, albo jak wreszcie ów podział *Snu Salomei* na „*Zmiany*“, w taki sposób że każda w akcie „*piérwsza zmiana*“ odpowiada scenie drugiej według skądinąd używanej praktyki, a „*druga zmiana*“ znaczy tyle, co *trzecia scena* itd. Mimo to wszystko nie sądzę jednak, żeby wszystko, co nas razi w tych Słowackiego pracach, dało się tłumaczyć samym tylko Kalderonizmem. Poeta nasz w owych latach nie mógł być naśladowcą na oślep obcych zalet i obcych błędów. Zresztą jest też niewątpliwie u niego tych wszystkich rzeczy, co zadziwiają, daleko więcej, aniżeli u Kalderona; a raczej — w tej ostateczności i przesadzie u Kalderona nie ma ich wcale!

Byłżeby Kalderon lub sam autor *Lilli Wenedy* dawniej darował sobie, gdyby mu kto w jego utworze był pokazał taki oto np. ustęp?

„Wtém, o Panie, na ohydne
Cmentarze i uroczyska,
Pod ciemne lip węzowiska,
Od kurhanów na kurhany —
Wiodąc światła złotych roje,
Przez miesiąca ołowiany
Blask — sunąc chorągwi tęczę;
Na wieczności gdzieś pokoje
Snujący złote obręcze
Wąż — pogrzeb wioszczany lichy,
Pachnący czarnym jałowcem,
Wszedł i rzucił nad grobowcem
Trumienkę, bez żadnej pychy
Ale ubraną w kielichy
Narcysowe i w konwalie;
Jasna bo w niej anielica
Ubrana jak na batalie
Z piekłem, w słoneczności lica
I w niewinności ubiory,
I w te ostatnie kolory
Śmiertelnej podobne zorzy,
W ostatni rumieniec przedboży,
Leżała.“ *)

*) Z aktu IVgo sceny piérwszej *Snu Salomei*, str. 284 i

To wszystko jest jedno zdanie! jeden obraz pogrzebu ciągnącego zwolna przez stopy. I mówi to najrozumniejszy człowiek w dramacie, jedyna w nim prawdziwie bohatera natura, rycerz nie gawędzeniem wslawiony, ale dzielnością. Słowem: *S a w a t o* mów! Peroruje zaś tak przed samą bitwą, wśród półtrzecia stawia dalszej gawędy, ujętej w zdania mniej więcej tegoż kalibru!

Żeby takie rzeczy pojąć — u Słowackiego — nie można się zaprawdę zaspakajać odwoływaniem do tych lub owych okoliczności literackich, jak np. do studyów nad Kalderonem. Było raczej skutek przewrotu, jakiemu podległo całe stanowisko poety od pierwszej chwili, kiedy do koła Towiańszczyków przystąpił. Było owoc — że tak powiem: jego nowej wiary.

Od tej pory wyrobił on w sobie bowiem to przekonanie, że wszystko piękne i prawdziwe i wielkie, czego człowiek dokonywa, nie dzieje się jego rozumem, ale się staje jedynie za sprawą jego ducha. Duch zaś wedle niego — to istota najzupełniej odrębna, będąca w ciągłym prądzie działania w wytkniętym ścisłym kierunku. Ciało i cała osobistość człowieka, ze wszystkimi nawet władzami umysłowymi — to tylko doczesny pobyt onego ducha, jakby naczynie, które on zapełnia, ażeby je po zużyciu rzucić i zamieniać po kolei na coraz inne. Ponieważ duch mieszkający w człowieku nie może w ciągu krótkiego życia dopełnić całej misji, dlatego po zgonie albo się rodzi napowrót w nowym jakimś ciele i ciągnie dalej pracę poprzednich żywotów, albo też jako duch nieczrodzony i niewidzialny okraża głowy ludzi mających w sobie pokrewne duchy i wpływa swoją potęgą na nich, ażeby im do ostatecznego spełnienia swojego posłannictwa dopomóc. Im więcej tedy człowiek się poddaje tajemniczemu pchnięciu czy to tego ducha, który przez niego działa, czy też owych duchów, które go okrażają: tém pewniejszym być może, że to co działa, jest jego obowiązkiem istotnym. Przeciwnie, im więcej polega na sobie samym i na własnym swoim zastanowieniu, im więcej ufa swojej w trudzie i znoju pozyskaną wiedzę i bierze

285 wydania lipskiego. Nie jestto bynajmniej miejsce szczególnie upatrzone, lecz wzięte na chybi-trafi.

rzeczy, jak to mówią, na rozum: tém więcej właśnie przez to stawia oporu owym wyższym nieśmiertelnym natchnieniom, a tém samém tém więcej błdzi i grzeszy...

..., Wystaw więc sobie — są słowa poety naszego wyrzeczone w liście do matki z d. 28 lipca 1843 — że duch kaźden ma swoją misję na ziemi; że duch kaźden zawiezuje stósunki z podobnymi duchami bez ciała już będącymi, które także podobną misję miały i o dokończenie jej dbają. Możemy więc uczuciem łączyć się z nimi, a one wtenczas nam dają natchnienia, i według naszej wiary i czystości coraz wyraźniej je mówią do serc, a potem nieraz do uszu i do oczu. Cały więc lud nasz umarły dawno jest z nami — i to jest obcowanie świętych, którego księża nie mogli nam wytłómaczyć, to jest wlać go w wiarę naszą. O! uczuj to droga i wypracuj, a obaczysz, w jakiej my wielkiej rzeczypospolitej żyjemy; obaczysz dla czego ja po morzach wędrował i po pustyniach błdził, a nigdy mi się nic złego nie stało. Bo wiedział duchy, że ja w swoim czasie będę potrzebny... itd.

Przyjawszy tedy powyższe założenie za dogmat, miał poeta nasz to przekonanie, że kiedy chodzi o dobitne a skuteczne przełanie w ludzi tego co im potrzebne jest wiedzieć, czy to za pomocą mowy czy pisma: starać się trzeba o jak najzupełniejsze poddanie całego swego jestestwa tej bezpośredniej mocy ducha, co działa przez nas, a o jak najdalsze od współdziałania usunięcie tych wszystkich władz naszych własnych, któreby kontrolować może chciały to co się czyni z ducha. Będąc tedy autorem, im się bardziej pisał na oślep, jednym tchem, duszkiem: — tém lepiej!

Z této przyczyny znajdujemy często takie oto wyrażenia w jego korespondencji:

„Droga moja! trudność mam wielką w pisaniu tém; albowiem nie jest to pisanie i uwiadomianie Ciebie, ale przelewanie ducha, który mię ożywia, w Twojego ducha“... (d. 18 marca 1843).

..., Jak szalony piszę prędko, chcąc aby jak najwięcej ducha wylało się ze mnie i poszło utwierdzić, żywić Ciebie i rozmiłowywać w Bogu i przywiodło do celu, nie katując mię cielesnie, ale łagodnie prowadząc (*sic*). On staremu memu duchowi,

co już długo musi na świecie żyć, bo wiele sobie instynktowie przypomina z dawnych żywotów, pozwolił teraz dowiedzieć się nareszcie, jak mam dopełnić misji, abym nie potrzebował już wracać i oblekać gorsze lub lepsze ciało, ale abym już poszedł między aniołów i stamtąd jeszcze natchnieniami, miłością dopomagał tym, co za mną idą... Pisałem tak, żem się aż zmęczył, i lękam się odczytać słów napisanych, bez ładu bowiem i z przeładowaniem być muszą. Ale cóż robić! Ty dobra, Ty miła jesteś wielu dobrym duchom tych, co już poszli ze świata; będziesz więc miała wielu tłumaczy i tych, którzy prawdę potwierdzą... (d. 28 lipca 1843).

Zastósujmy to, co tu w liście czytamy, do dzieł poetycznych Juliusza: a będziemy mieli wytłumaczoną całą zagadkę. Pisał on wszystko w tej porze, że tak powiem, jednym pędem, nie zastanawiając się wcale nad tem, co pisał i jak pisał. Nawal pomyśłów i obrazów, cisnących mu się w gorączkowo usposobionej wyobraźni pod pióro, uważał za przysłane sobie z ręki wyższej i nie przebierając robił użytek ze wszystkiego. A napisawszy — nie śmiał już nic wykreślić ani odmienić, ponieważ poczytywał to sobie za podyktowane niejako z góry. Nie był Słowacki tedy już względem utworów swoich artystą, sędzią, twórcą odpowiedzialnym; ale widzimy w nim jedynie ślepe narzędzie w dłoniach czegoś drugiego, coby trudno było sprowadzić do jakiejś nazwy.

W najdosłowniejszém zatem znaczeniu uważać można obydwie dramaty jego ostatnie za prawdziwe improwizacye. Były to improwizacye i ze względu na dykeję, na wiersz, na całe wykonanie zewnętrzne — i ze względu nawet na pomysł. Boć i nad tą wewnętrzną stroną kreacji nie rozmyślał on już odtąd zbyt wiele. Przyszła mu jakaś idea na myśl — uczuł w sobie, jak się zwykł był wyrażać, jakby mocne pchnięcie od Boga do pracy: porywał tedy za pióro w pierwszém natchnieniu i tak — bez artystycznego obmyślenia inwencji — rosły postaci i zdarzenia pod tém piórem jego rozbieglém, aż dzieło stało się całe. Rozumie się, że nie kto inny, tylko poeta je stworzył; ale sprawy on z nich sobie ani zdawał ani chciał zdawać. Nie sądził bowiem, żeby i to jeszcze należało do niego.

... „Teraz Ci powiem, droga moja (pisał d. 30 listopada 1844 r.) że ja sobie żadnego z moich utworów terazniejszych wytłumaczyć nie mogę. Nie wiem bowiem, skąd przychodzą, i dokąd idą; ale czasem względem nich są dziwne okoliczności, które mi dowodzą dziwnego związku tych rzeczy z światem niewidzialnym, a stąd i potrzeby ich dowodzą. Widzisz Ty, jak ja ukochałem Księcia Niezłomnego, w którym Chrystus w Afryce zwycięża, lecz nie przez miecz, ale przez męczeństwo. A ledwom ja to wymalował na nowo i pokazał: odpowiedział mi zaraz Chrystus grzmiotem dział i pokazał różnicę, jaka między jego przeszłemi a przyszłemi zwycięstwami być powinna. W kilka godzin upadło przed nim Tangierskie mocarstwo... W innym rodzaju, ale nie mniej dziwny wypadek był z moim Salmonem z Lilli Wenedy. Oto w istocie w rok potem pewien Salmon zabił jakiegoś Juliusza w lesie — nie dla pieniędzy, ale tak jak w tragedyi, dla wzięcia papierów i nazwiska zabitego człowieka. Zabójstwo to zostało odkryte i ukarane. A dla mnie jest niby rzeczywistą krytyką przez jakieś duchowe władze krwawemi literami napisaną. Mniejszych mnóstwo mógłbym Ci zacytować wypadków. Kurd jeden, który mi konie wynajął w Jerozolimie, gdy jechał do Nazaretu, nazywał się Kirkor — tak samo jak ów Kirkor, który wykrzykuje w tragedyi (w Balladynie), że gdyby był przy męce Chrystusa, to zbawiłby zbawcę itd. Dlaczegoż ten rycerz pokazał mi się w Jerozolimie?... Rzeczy te małe, uważane dowodzą, że spełniamy jakąś misję; że nas trzeba było, kiedyśmy byli; a nie będzie, jak nie będzie potrzeba“...

Po tém wszystkiém, com powiedział, rozumiem, że nie będę się potrzebował tłumaczyć przed czytelnikiem, dlaczego nie uważam za stosowne podejmować właściwego rozbioru Księdza Marka i Snu Salomei. Są to rzeczy, któreby rozbioru szczegółowego wcale nie wytrzymały. W Księdzu Marku znajdują się niewątpliwie tu i owdzie (a szczególnie w akcie I) ustępy genialnie napisane i takiej siły, że mało by który utwor dawniejszy — nie tylko Słowackiego, ale któregośkolwiek z najznakomitszych poetów naszych, potrafił okazać w składzie swoim coś podobnego! Ale całość kompozycji i ogólne autora założenie żadną miarą myślącego człowieka zaspokoić nie mogą. Czytałem przed kilku laty

jakiś nibyto rozbiór tego dramatu, napisany przez jakiegoś bezimiennego, który o nim sądził inaczej*). Argumenta owęj krytyki niestety nie zdołały mi otworzyć oczu na osobliwe piękności, jakie w nim autor szanowny upatruje! Zdaje mi się, że trzeba szczególnego balwochwalstwa dla geniuszu Juliusza, ażeby posunąć się aż do wyrzeczenia słów, że „głęboko pomyślany i mistrzowsko rozproszony jest ten dramat“. Byłbym niemają wdzięczny autorowi, gdyby krótko a węzłowato raczył wypowiedzieć ów pomysł, który mu się w Księdzu Marku wydawał tyle głębokim; i gdyby nie w luźnych słowach, ale w sposób właściwy chciał wskazać objawy upatrywanego w nim mistrzowskiego przeprowadzenia. Możebyśmy przy tej sposobności usłyszeli jakie nowe idee estetyczne, któreby nam przyniosły nowe kryteria piękności w sztuce... Że w Księdzu Marku trafiają się tu i owdzie potężne szczegóły, to sam z góry przyznałem. Takowe jednakże nigdy się z sobą nie kleją i nie tworzą w połączeniu takiego ogólnego obrazu, któryby czytelnika zachwycił i podnosił... Ksiądz Marek ma skądinąd tę jeszcze niepospolitą zaletę, że czuć w nim pęd bezpośredni natchnienia i surową wiarę pisarza w to wszystko, co wypowiada. Widać też i obecność utajoną na dnie serca poety, pewnej żywotnej myśli, o której na jaw z wielkim trudem wydobyć mu chodzi. Myśl ta wszelako zaledwie się znać dopiero była zrodziła w otchłaniach jego ducha. On ję sam nawet jeszcze twarz w twarz nie ogląda! A i my ją w dziele jego zaledwie odgadujemy. Nie przyszło bowiem do tego, ażeby idea zamieszkała w całej osnowie dzieła i była przeprowadzoną jak prąd elektryczny przez wszystkie jego włókna i części.

W ogóle trzebaby być choć do połowy Towiańszczykiem, ażeby mieć zdolność pochwycenia całej intencji autora. Wszystko tu bowiem polega na przypuszczeniach, na które, jeśli się nie jest w tym wirze pojęć, wcale przystać nie można. Każdy krok w ostepie dramatu polega na interwencji władz nadzmysłowych. Od

*) Obacz nieboszczkę Turowskiego *Niewiaścę* (r. 1862. Nr. 13 i następne).

cudownego wystrzału z działa, kiedy ksiądz Marek Krasieńskiego do pozostania w Barze na początku sztuki namawia, aż do śmierci bohatera w samym ję końcu, wszystkie prawie sceny sąto cuda! a co gorsza, cuda nieuzasadnione ze stanowiska poprzednich działań. Takie powiązanie zdarzeń, taka logika faktów — to już sfera, w której człowiekowi być zaczyna duszno i straszno i tak nieswojo, jak na cmentarzu o północnej godzinie.

— „Sen Srebrny Salomei“ nierównie więcej ma okragłości i wykończenia, aniżeli utwor poprzedni. Mimo to jednak i tutaj ostateczny zamiar autora nie jest tak jasny, iżby sam przez się uderzał w oczy. Na pierwsze spojrzenie zdaje się to być tylko prosta udratyzowana powiastka o dwóch małżeństwach, których dojście do skutku stało się podobnym dopiero w skutek różnych nieszczęść i trwóg krajowych, jakie przeszły ludziom ówczesnym nad głowami. Dlatego też zatytułował to dzieło swoje poeta romansem dramatycznym — a więc niejako powiastką, romancą. Z tém wszystkiem przezierają i tutaj pewne ukryte, zaledwie dostrzeżone intencje głębsze, które ze sprawą tych dwojga małżeństw w przypadkowym tylko zostają związku, a dotyczą najżywotniejszych kwestyi całego społeczeństwa narodowego. Gdyby związek między osnową sztuki, stawioną, że tak powiem, na pierwszym planie, a temi ideami ogólniejszego znaczenia był wydatniejszy; gdyby te idee, te wieszczę przekonania poety, te sądy o społecznych narodu naszego winach, fatalnościach a w najdalszej perspektywie wreszcie nadziejach były więcej sformułowane i artystycznie wcielone; gdyby nakoniec nie było ze strony formy tyle powodów do protestacyi: — byłoby to jedno z najznacniejszych arcydzieł naszych. Byłby to pomnikowy wyraz wieszczę teodycei ducha polskiego! Ale właśnie tej pewnej ręki, tej dokonanej myśli artysty i filozofa nie widać w *Śnie Salomei*! Są tu tylko zarody i błyski genialnego pomysłu; ale do rozproszania tego pomysłu i postawienia go na jaw wszem wobec i każdemu z osobna — na nieszczęście nie przyszło! Migają się tedy tylko od czasu do czasu przed oczyma naszymi złudne skazówki, w myśl których idąc, zdaje nam się,

że potrafimy podążyć w ślady za pędem ideału poety. Ale każda taka skazówka przez krótką tylko chwilę wiedzie do celu, a niebawem potem zawodzi. Albo ją bowiem zgoła traciemy z oczu, albo też doprowadza nas ona do takich punktów widzenia, że patrząc z nich na to co się dalej otwiera, nie radziłyśmy szli dłuższą drogą; zdaje nam się bowiem, że błądzimy po jakimś labiryncie, z którego nie ma wyjścia...

Dlatego też jeżeliby się miało określić etyczny sens *Snu Salomei*, trzeba by treść dramatu do połowy prawie zapomnieć. Tylko bowiem z oddalonego spojrzenia na całość tej zawilej i przeładowanej kreacji można odważyć się do robienia wniosków o głównej intencji jej autora. Niejednoby też dopiero trzeba nadłożyć, a i niejedno jako niepotrzebne i zawadzające usunąć, jeżeliby miał stanąć przed nami czysty i cały pomysł poety.

— Po ogłoszeniu *Księdza Marka i Snu Salomei* Słowacki nie ustawał w ciągłej pracy to nad tym, to nad owym przedmiotem. Nowe wyobrażenia, które wstrząsały całym jego jestestwem, nasuwały mu coraz dalsze widoki i zażęgały go do coraz innych przedsięwzięć. Chodziło o poetyckie na jaw wydanie tego wszystkiego. Rzecz była trudna nad wszelki opis. Najodważniejsze pojęcia, najmglistsze filozofematy, najniklejsze błyski w genialnej lecz chorobliwej fantazji, miały się przywdziewać w ciało i przetwarzać w kształty plastyczne. Najczęściej kończyło się też na zamiarach, na planach, na samym tylko wreszcie zaczęciu dzieła. Już to niestósowność w samym wyborze przedmiotu, już przechodząca po za wszelkie granice sztuki przedmiotu tegoż rozległość, już nakoniec i samo to nieustające nasuwanie się coraz nowych projektów wytrącało pocie pióro z ręki nad rzeczami co tylko rozpoczętymi...

W następstwie tych wszystkich wyjątkowych okoliczności pozostało z tej epoki życia Słowackiego wiele pism różnych nośnych wyrażne znamię jego usposobienia w tych latach. Jest między nimi znaczna ilość wierszy ulotnych i lirycznych, po większej części teozoficznej treści. Niektóre z nich świadczą wymownie o dawniej sile tego genialnego poety, niektóre znowu giną zupełnie

w mglistościach mistycyzmu. Z tej też przyczyny zaledwie połowa tego, co się z lirycznych poezji dało wyszukać w papierach po śmierci autora, mogło znaleźć pomieszczenie w pozgonnym zbiorze dzieł jego.

Nie brak także i na dłuższych utworach, najczęściej dramatycznego zakroju, które przypadają na one lata. Wszystkie pisma tej kategorii doszły nas tylko w niewykończonych ustępach i urywkach, które zapewne nigdy nie tworzyły całości. Urywki te jednakże dochodzą niekiedy obszerności kilku set, a czasem kilku tysięcy wierszy.

Jest między nimi np. znaczna część jakiegoś dramatu osnutego na tle starodawnych dziejów *Nowo grodu*. Chodziło, zdaje się, o okazanie despotyzmu Mongołów nad spodlonymi książętami Rusi. Rzecz ta jest bez dokończenia, obejmuje wierszy 628. Jest pisana pod wpływem tradycji kalderonowych, owym dyalogiem długim i przeobitym, któryś już wytknęli przy innej sposobności. Nie zdawało mi się, żeby dzieło to zasługiwało na ogłoszenie; w tym stanie bowiem, w jakim ono pozostało, mało by kogo osnową swoją zajęło. Nad wszystkim góruje tu mistyka i niezrozumiałość.

Do pism tegoż rodzaju i czasu odnoszę fragment liryczno-dramatyczny, który zamieściłem w pierwszym tomie mego wydania pod napisem *Poeta i Natchnienie*. Ze stanowiska ówczesnej doktryny autora, natchnienie nie znaczy podniesionego stanu duszy człowieka, ale istotę odrębną, która go okraża i jest osobnym duchem. Dał mu tu autor nazwę *Atessy*. Utworowi niniejszemu nie można odmówić pewnego wdzięku i artyzmu w oddaniu; chociaż podobać się tylko mogą poszczególne ustępy, a całość jest niezrozumiała. Niezrozumiałości tej nie to przyczynę stanowi, że fragment nie tworzy większej całości, ale że nam tak zupełnie braknie klucza do otworzenia sobie i wglądnięcia w ten cały świat mistycznych wyobrażeń i przypuszczeń, wśród jakich w owym czasie żył wyobraźnią i wiarą swoją Słowacki. Cała treść utworu, o którym tu mówimy, ściąga się do przeszłych żywotów, jakie autor w najodleglejszych epokach przypisywał sobie jako przebyte

przez siebie. Trzebaby przeto te wszystkie marzenia jego ówczesne znać szczegółowo, żeby rozumieć urywkowe aluzje do nich odnośne, których taka obfitość w tym poemacie. A to jest rzeczą tém bardziej niepodobną, że tego rodzaju marzenia ciągle się w duchu Juliusza przeistaczały, jak się to wykaże dowodnie w rozbiórce Króla - Ducha.

Pozostały też fragmenty z nader rozległego jakiegoś przedsięwzięcia, którego przedmiotem miał być **Zawisza Czarny**, ten rycerz bez trwogi i fałszu, słynny w ciągu panowania Władysława Jagielly. Jestto utwor dramatyczny z rodzaju rzeczy nieprzeznaczonych dla sceny. Zawiazek sztuki stanowi zwycięstwo Jagielly nad Krzyżakami pod Grunwaldem. Zachowanie się obłudne cesarza Zygmunta względem króla polskiego, zdaje się, że miało posłużyć za tło dla dalszej osnowy. Wplata się też do tego i romans jakiś. Ale pierwszorzędną potęgą z ducha i sprężyną wszystkich zdarzeń, które się tylko tam dzieją, jest w tym poemacie Zawisza, osobistość tajemnicza, głęboka, nieodgadniona, słowem mesyaniczna — coś nakształt księdza Marka w zakresie konfederacji barskiej, lub Wernyhory pośród scen rzezi humanickiej. — Stan rękopisu mieszczącego w sobie ten utwor daje wnioskować, z jaką trudnością połączony był dla autora, pracującego dawniej z taką łatwością, ten trud wielania w dramatyczne kształty poezji, mętnych i niechwytnych pojęć nowej doktryny. Niektóre części są przemazane po pierwszym rzucie i przerobione inaczej, i to nie tylko po raz drugi, ale niekiedy i trzeci. Wreszcie całe założenie rzeczy snąć się musiało autorowi uprzykrzyć. Porzucił co był napisał, i już potem nigdy nie tknął na nowo tego przedmiotu. Pozostało tedy kilka tylko już to dłuższych już krótszych ustępów, nie stanowiących ani całości ani ciągu. Gdyby je złożyć, zapelnilyby one razem kilka arkuszy druku. O planie zamierzonych całości nie można sobie z tego utworzyć wyobrażenia. Co jest wykonane, okazuje myśl głęboką, ale pracującą pod brzemieniem czegoś chorobliwego. Dlatego też widziałem się zmuszonym wyłączyć poemat piniejszy z liczby rzeczy przeznaczonych do ogłoszenia.

Do tegoż czasu odnieść należy jeszcze jeden utwor takież formy i podobnej osnowy. Mówię o poemacie fantastycznym, pełnym najśmielszej cudowności, który nie wiem jakby mógł być najstósowniej nazwany. Jednym z tytułów, jakie się nasuwają, mógłby być **Samuel Zborowski**. Jest to rzecz niewykończona, wielkich rozmiarów — obejmuje około 3 tysięcy wierszy; pomimo tego daleko tu jeszcze od ostatniego z tychże wierszy do końca. Autor zamierzał tu w poetyckiej szacie ukazać fundamentalne pewniki swojej wiary filozoficzno-społecznej, jako je później wyłożył w traktacie prozą pisany, a zatytułowanym „Geneza z Ducha”. Wyprowadził zatem na scenę w „Samuelu Zborowskim” i ludzi żyjących i duchy umarłych i fantastyczne postaci, wzięte już to z różnych mitologii pogańskich, już ze starego Testamentu. Chodziło mu nasamprzód o okazanie tego wątku twórczego (którym wedle niego jest duch), snującego się genetycznie a nieprzerwanie przez wszystkie stopnie i warstwy rzeczy stworzonych, od najnie-doskonalszej formy do coraz doskonalszej, od najnieudolniejszego jestestwa do coraz wyższych w łańcuchu stworzeń organizacyi zwierzęcych, aż nareszcie do objawienia się wyraźnej już duchowości w człowieku. A dalej zależało poecie także na stawieniu przykładu, jako i odtąd jeszcze duch nieśmiertelny, już w człowieku działający, nie zaprzestaje tego ruchu coraz wyżej go niosącego, lecz zamieszkuje w kolei czasu coraz inne ciała ludzkie, szukając sobie form coraz dogodniejszych i doskonalszych. Przed oczyma tedy naszymi odbywają się w poemacie tym ciągle przeistoczenia i metempsychozy, skutkiem których nieraz jedno i to samo ciało służy coraz innym duchom za szatę, i odwrotnie jeden i tensam duch przybiera sobie po kolei coraz inne ciała za naczynie i narzędzie istnienia. Czytelnik wyrozumie, że już w skutek samego założenia, w skutek samego mówię przedmiotu, poematowi temu zbywać zupełnie musi na jednolitej i jednolitej osnowie. Składa on się z kilku działów bardzo luźnie spojonych z sobą. Dwa między nimi są szczególnie odrębne. Pierwszym z takowych jest wywód, dany tylko w kształcie opowiadania, a nie dialogu, opowiadania mówię włożonego w usta istoty, która sobie wszystko to przypomina, czém kiedykolwiek

była. Wywód ten obejmuje wszystkie przemiany i koleje stworzenia przed przyjściem na świat człowieka, a zatem niejako kosmogonią czyli genezę przyrody martwej i zwierzęcej przed wyłonieniem z materii kształtu ludzkiego. Główną rolę odgrywa w tych ustępach „Lucyper,” który bynajmniej nie występuje tu jako duch zły, lecz tylko jako duch zaprzeczenia i ruchu, a więc — że tak powiem — jako pierwiastek w zakresie natury „rewolucyjny i wiecznie wszechczynający”. Widząc w nim poeta ziarno wszelkiego postępu, czynnik nieznuzonego prądu coraz wyżej w stworzeniu, uważa go za przedwiekowy zaród ducha, który zanim zamieszkał w człowieku, stawał się po kolei wszystkiem, co tylko w świecie stworzonym istnieje, więc wiewem atmosfery, wodą, kamieniem, płazem, itd. itd. Duch ten więc w taki sposób przewlekl się i przewił w tysiącu postaciach i jestestwach przez całe przyrodzenie. — Drugim epizodem, równie stanowiącym pewną całość odrębną, jest w tym utworze spór duchów ludzi, którzy za życia wyznawali wprost sprzeczne sobie ideje, wyznają je z równą wyłącznością i po za grobem i wytaczają ostatecznie ten proces odwieczny zasad przed najwyższą instancją — przed sąd boży... Wprowadzony jest na scenę duch Samuela Zborowskiego i zapożywa przed trybunał samego Boga Jana Zamojskiego, oskarżając go o niesprawiedliwy i występnie zapadły wyrok śmierci, którego na nim kazał dopełnić. Zamojski — jak tylko może — usprawiedliwia swoje postępowanie. Powody jego zdają się być wielkiej wagi. Ale w charakterze „Adwokata” Zborowskiego występuje zrazu znowuż Lucyper, a w dalszym toku wytwarza się z owego Lucypersa samże poeta nasz, gorliwie przemawiający w obronie swego klienta, i ... Samuel wygrywa proces! Dlaczego zaś właśnie ten moment dziejów polskich obrał sobie autor na okazanie światodziejowego swego problemu, z tego się nie tłumaczy.

Przeczyć temu oczywiście nie można, żeby nie miał i w tej kreacji uderzać w tém lub w owém miejscu potężny geniusz poety; całość jednakże smutne sprawia wrażenie! Bezląd — zamęt — brak zupełny tak artystycznego układu, jako i jasnych pojęć — wszystko to zdradza, z jak mętnego stanu ducha dzieło niniejsze

wynikło. Wiersz i dykcja jest z rodzaju Księdza Marka Salomei. Jak owe wywody kosmologiczne zdawać się muszą w oczach prawdziwego znawcy w tym zakresie umiejętności, bałamutną tylko bujną wyobraźnią fantazmagoryą, tak też i wyobrażenia o dziejach naszych i o porządku polityczno-społecznym, rozwinięte w ustępie o Zborowskim — nie wytrzymałyby ani na chwilę historycznej krytyki. Słowacki upatruje w Samuelu typ czegoś bardzo wzniosłego; widzi w nim narzędzie opatrnościowych zamiarów i twierdzi, że go Zamojski na śmierć wskazał nie tylko niesprawiedliwie, ale i ku niepowetowanej szkodzi dla całego powodzenia narodu. Przez tento bowiem wypadek miał się bieg życia politycznego Polaków najfatalniej skrzywić i cofnąć na kilka wieków... Co to jednak za wzniosłość i wielkość była w Zborowskim? i na jakich podstawach opiera się pewność poety, kiedy się tak stanowczo z zdaniem podobnym odzywa? — na to w poemacie odpowiedzi nie znałeś.

Oczywiście w żaden sposób nie można było drukować rzeczy tej razem z innemi Słowackiego dziełami, które objęto w wydaniu lwowskiem.

— To są prace z owiej epoki w zakresie poezji. — Więcej jeszcze pozostało pism treści niby rozumującej i teozoficznej, prozą, pochodzących z tegoż czasu. Pomimo wielkiej takowych ilości, i to są same prawie tylko rzeczy pozaczynane, urywkowe, ledwie wyjątkowo wydatniejszą całość tworzące.

Słowacki w owych latach, jak to widać ze wszystkiego, bardzo wiele musiał rozmyślać. Formułował i budował on sobie z wielkiem wysileniem jakiś powszechny system wiary i wiedzy. Chciał w nim ująć różne swoje pomysły w jednym wywodzie. Brak porządnego naukowego przygotowania, ubóstwo pozytywnej wiedzy, mała wprawa w ścisłym myśleniu, niewielka znajomość życia, serca ludzkiego i tego toku, jakim idą sprawy na świecie — oto przyczyny, które sprawiły, że te usiłowania jego zupełnie mu się nie wiodły. Pomysły jego były czasem, choć bardzo rzadko, błyskami genialnej intuicji. Zazwyczaj były to jednak tylko luźne marzenia, dziwolągi filozoficzne, utopie społe-

czne... W każdym razie atoli przyznać należy, że pracował on w owęj porze umysłem ciężko i wiele. Czytał dzieła w różnych przedmiotach, zaciekał się w poszukiwaniach nad ostatecznymi kwestyami życia, biorąc w pomoc wszelkie nauki, zaglądając nieraz i do dzieł filozoficznych, nawet niemieckich, o ile takowe za pomocą tłumaczeń dla niego były przystępne.

W skutek takiego naprężenia umysłu nad przedmiotami więcej naukowej i praktycznej natury, pozostało w papierach jego notat i najrozmaitszych studyów prozą pisanych z owego czasu tyle, że wnosić można, iż utwory poetyckie, o których co tylko dałem powyżej wiadomość, stanowić musiały wyjątkowe chyba tylko Słowackiego zajęcie poczynawszy od roku 1842. Są to aforyzmy, sentencye, filozofematy, rozmyślania — w zakresie religii, znawstwa przyrody, mitologii, historii i społecznych teorii; wreszcie modlitwy, kazania (miane zapewne w gronie współwyznawców), listy dogmatyczne do niektórych osób w materii przyswojonego sobie systemu, a czasem i dłuższe prace. Ostatnie pisane były zazwyczaj w formie dialogu, na wzór Platónskich dialogów, albo też w kształcie ewangelii i apokalipsy.

Z tych pism wszystkich użytku zrobić nie było można dla świeżo dokonanego dzieła pośmiertnych wydania, ponieważ są to rzeczy, jak się już powiedziało, bez początku i końca i nie doprowadzone też do tego choćby tylko stopnia jasności, iżby dobrze rozumieć można było, co chciał przez nie Słowacki ostatecznie powiedzieć. Pełno tam zawsze bowiem przypowieści, porównań, obrazów poetycznych, słowem najśmielszych rozpędów i zboczeń, które nibyto mają tém lepiej kwestyą rozjaśnić, ale jęj nie rozjaśniają. Zabierają tylko miejsce, rzecz na tém nic nie zyskuje, a to, o co chodziło, tymczasem ulatuje z pamięci...

Jedna pomiędzy temi pracami, nieco później zapewne wykonana, znalazła się w papierach w takim kształcie, że ją uważać można i za syntezę niejako wszystkich owych przygotowań zrazu daremnych i za wysłowienie ostateczne całej wiary i wiedzy poety, na której sformułowaniu i przekazaniu potomności tak bardzo mu zależało. Napis tego utworu: „Genesis z Ducha, Modlitwa.“

Jestto rzecz wielkich rozmiarów, wypowiedziana uroczystie, w formie wyznania wiary, zwróconego ku samemu stwórcy wszech rzeczy, a zatem rzeczywiście w formie modlitwy.

Oto początek tego mistycznego traktatu:

„Na skałach Oceanowych postawiłeś mię Boże, abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego; a jam się nagle uczułem w przeszłości Nieśmiertelnym. Synem Bożym, stwórcą widzialności i jednym z tych, którzy Ci miłość dobrowolną oddają na złotych słońce i gwiazd girlandach.

„Albowiem Duch mój przed początkiem stworzenia był w Słowie, a Słowo było w Tobie—a jam*) był w Słowie.

„A my duchy słowa zażądaliśmy kształtów i natychmiast widzialnymi uczyniłeś nas Panie. pozwoiliwszy, iżemy sami z siebie z woli naszej i z miłości naszej wywiedli pierwsze kształty i stanęli przed Tobą zjawieni.

„Duchy więc, które wybrały za formę światło, odłączyłeś od duchów, które obrały objawienie się w ciemności; i tamte na słońcach i gwiazdach, a te na ziemiach i księżycach rozpoczęły pracę form, z której Ty Panie odbierasz ciągle ostateczny wyrób miłości, dla której wszystko jest stworzone, przez którą wszystko się rodzi.

„Tu gdzie za plecami mojemu palą się złote i srebrne skały nabijane mikowcem, niby tarcze olbrzymie przyśnione oczom Homera, tu gdzie odstrzelone słońce oblewa mi płomieniami ramiona, a w szumie morza słyhać ciągle głos pracującego na formę Chaosu; tu gdzie duchy tasamą, co ja niegdyś drogą wstępują na Jakubową drabinę żywota; nad temi falami, na które duch mój tyle razy puszczał się w nieświadome horyzonty, nowych światów szukając: pozwól mi Boże, że jako dzieciątko wyjąkam dawną pracę żywota i wyczytam ją z form, które są napisami mojej przeszłości.“...

Po takim początku, obejmuje dalsza osnowa Genezy z D u c h a niejako przypomnienie pierwszych początków

*) Jam, nie ja; bo ja osobą jest, a tam osoby nie było jeszcze. (Przyp. Słowackiego).

odwiecznej istności świata, przypomnienie zaczerpnięte z wnętrza własnego ducha, który w tym wszystkim uczestniczył. Jest to więc w kształcie dziejowej opowieści, w kształcie platońskiej anamnezy, obraz kolejnego przeobrażania się i doskonalenia planety naszej, z tym wszystkim co na nią żyje i żyło. — Nie brak w tym dziele rzeczy, które bardzo pięknie i poetycznie pod względem formy rozповіда poeta; jednakże nie można w nim niewidzieć też wielu marzeń i dziwnie przekreślonych pewników naukowych. A główna myśl, którą odsłania jakby objawienie nowe, sobie dopiero odsłonięne, nie jest i nie była już wtedy właściwie niczym nowym w nauce. Mówię tu o tym dziś już powszechnie uznanym założeniu, że wszystkie rzeczy i żywotka w stworzeniu — od kamienia poczynsz aż do organizmu człowieka — stanowią łańcuch nieprzerwany i jednolity. Wszystkie ogniwa tego łańcucha są to jakby stopnie coraz wyższego wyrazu tej siły twórczej, która to wszystko wydobywa z niebytu, z łona materii. Cała „Filozofia Natury“ Hegla (niemniej zresztą w szczegółach balamutna, jak i Geneza Słowackiego) jest już na téjże właśnie idei oparta.

„Genezę z Ducha“ uważał Słowacki za najcenniejsze dzieło swoje, za plód pracy najwięcej zasługujący na ogłoszenie, ze wszystkiego co tylko kiedykolwiek napisał. Twierdzenie niniejsze opieram na następującej okoliczności. Do manuskryptu, bardzo czysto przepisane własną ręką autora, znajduję dodaną kartkę z następującym napisem: Genesis z Ducha, pismo zdaniem autora najważniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek napisał; zawiera bowiem Alfę i Omegę świata.“ Słowa te zanotowane zostały przez przyjaciela i nieodstępного towarzysza poety w jego ostatnich chwilach, o którym w dalszych rozdziałach będzie jeszcze wzmianka osobna.

Dodał potem Słowacki do Genezy, w osobnym urywku, jeszcze i wykład ze swego stanowiska tych pierwszych chwil istnienia na ziemi rodu ludzkiego, których przypomnienia złożone są częścią w mitologii, częścią w księgach starego Testamentu. Bujne i to było pole dla marzącego umysłu! Od chwili jaśniejszej

wiedzy dziejowej, na progu wieków jakokolwiek oświeconych pochodnią historii — rzecz się urywa...

Wszystkich tego rodzaju pism Słowackiego nie objąłem w wydaniu, które ażeby mogło być doprowadzone do skutku, koniecznie musiało być ściągnięte do jak najkrótszych rozmiarów i mieścić w sobie to tylko, co jeżeliby było przypadło, stanowiłoby prawdziwą stratę dla ojczystej literatury. Zresztą uważałem jakby za wykroczenie przeciw ceniom mego poety, ogłaszać rzeczy, które ani jemu sławy ani czytelnikom pożytku nie zdawały się obiecywać. — Genesis z Ducha może być ciekawym materiałem do poszukiwań w zakresie Towiańszczyzny; ale do poszukiwań takich mało kto zapewne znajdzie w sobie ochotę. Ogół czytających szemrałby na wydawcę, gdyby się kosztem znacznie podwyższonej ceny było w taki sposób powiększyło ilość tomów pośmiertnego wydania.

ROZDZIAŁ OŚMNASTY.

Dalszy ciąg rozpoczętej materii. — Rozmowa z Matką Mokryną. — Król-Duch — wykład pierwszych rapsodów tegoż — szczegóły o stanie rękopisu dalszych części Króla-Ducha. — Urywki przekładu Iliady. — Powody do napisania wiersza „Do Autora trzech Psalmów“ — okoliczności chwili owęj towarzyszące — stosunek ówczesny między Krasińskim a Słowackim. — Dwie broszury prozą, w tychże latach wydane.

Wszystkie prace w rozdziale poprzednim wymienione, prócz jednej chyba Genezy z Ducha, zdają się samą swoją powierzchownością świadczyć o tém, że powstały pod wpływem, jak się Słowacki przy pewnej sposobności wyraził, „pierwszego szalu rozbudzonych ducha wnętrzości“. Nie było mi wprawdzie podobno, szczegółowo oznaczyć czasu, kiedy każda z nich mogła być napisana; ale tyle będzie pewnem, że przypadają one wszystkie na pierwsze lata owęj mistycznej doby w jego żywocie. Idee jego były wtedy jeszcze w nieustającym ruchu przekształceń. Sam on jeszcze nie pojmował się w tym nowym swoim względem wszystkiego, co wcielone i niewcielone, stosunku. Przechodziły mu przez myśl zagadnienia olbrzymie, myśli ogniste, które nie tylko dlatego nie dawały się z powodzeniem zużytkować artystycznie, że sobie z nich sam poeta nie umiał jasnej zdać sprawy, ale że i zbyt rozległe to były pomysły. Każda sztuka, a zatém i poezya, wymaga pewnego ograniczenia, skoncentrowania, zawarcia tego, coby się rado w nieskończoność rozplynać, w pewnym ścisłym zakresie. Excentryczność przedmiotu najniebezpieczniejszym bywa szkopułem dla wszystkich przedsięwzięć poetyckich.

Po upływie pewnego czasu Słowacki choć trwał i nadal przy powyższym kierunku i bynajmniej nie opuszczał sztandaru nowęj doktryny, jednakże przetrwał do pewnego już stopnia nowe swoje wyobrażenia i zaczął, że tak powiem, czuć grunt jakiś pod stopami. Utwory jego od tego czasu zaczynają w nim znowu okazywać artystę, artystę pierwszego rzędu i mistrza słowa, jakim był przed rokiem 1842. Otacza je wprawdzie pewna mgła mistycyzmu jeszcze i potem, ale już nie w téj gęstości, żeby wartość ich jako dzieł poetyckich miała cierpieć na tém dotkliwie. Owszem — zdaje się niekiedy, że ten lekki wiew extatycznej zadumy, ten tajemniczy odblask bezdennęj wiary i fantastyczności w autorze przydaje im prawie woni i wdzięku. Można się wtedy nie godzić na ostateczne następstwa, do jakichby uboczne intencje poety, zaledwie dostrzeżone w dziełach jego téj daty, prowadzić mogły. Ale też i nie można utworom tym zaprzeczyć — z ich stanowiska — niepospolitej nieraz głębokości w pomyśle, a niezrównanej z niczém siły w wysłowieniu i rzucie...

Do liczby rzeczy tego właśnie rodzaju nie wahałbym się zaliczyć mianowicie „Rozmowy z Matką Mokryną“. Nie wchodzę w to, czy wszystkie rysy tego obrazu są rzeczywiście wzięte że tak powiem z natury; wiadomo mi, że osoby niektóre, dobrze jak powiadają z całą tą sprawą obeznane, wytykają poematowi temu pod tym właśnie względem miejscami uchybienia; — biorąc wszelako utwor ten jako dzieło sztuki, której zadanie nie polega na odtwarzaniu rzeczywistości niewolniczym nawet w ubocznych i najdrobniejszych szczegółach, lecz na ujęciu ducha zdarzeń, o które chodzi: zdaje mi się, że go można śmiało zaliczyć do arcydzieł w tym rodzaju poezji. Z dawniejszych prac Słowackiego najwięcej zbliża się do niego poemat o Ojcu Zadżumionych, jako podobny obraz strasznęj boleści i grozy. Objawy Towianizmu są w Rozmowie tak nieznaczące, artystyczny jęj układ tak prosty, a moc słowa taka potężna, że zaledwie uwierzyłoby można, że to jest dzieło właśnie lat owych, a nie kiedyś rychlęj stworzone. Że tak jednak jest, tego dowodzi najprzód sam czas wypadku, który dał powód do podjęcia tego przedmiotu, a po-

tém i ta okoliczność, że w rękopisie własnoręcznym poety, w którym się mieści pierwszy rzut tego dzieła, znajdują się w niektórych miejscach, pomiędzy jednym ustępem a drugim, różne — nienależące do osnowy poematu — odezwania do Boga, ułożone w najprostszych wyrazach prozą, jakie pisać po będących pod ręką papierach swoich było w owych dopiero latach zwyczajem i niejako potrzebą duszy naszego poety. Są to różne definicje dogmatów jego doktryny, aforystycznie wyrzeczone w formie modlitwy zwróconej do Boga samego, jako bezpośredni wylów serca wzbierającego wdzięcznością, że mu jest daném mieć świadomość rzetelnej prawdy. Miejsca takie, jak już wspomniałem, wprawdzie nie zostają w żadnym związku z poematem, o którym tu mówimy; ale dają podstawę do najpewniejszych wniosków o czasie, kiedy on powstał, i o usposobieniu ducha, którego był owocem.

Drugim dziełem téj kategorii, ale wykonaném zupełnie znowu w innym rodzaju, jest **Król-Duch**. Część początkowa poematu tego, nazwana „Rapsodem pierwszym“ została ogłoszona za życia jeszcze poety, w r. 1847 (rzeczywiście w końcu 1846) w Paryżu, bezimiennie, bez karty tytułowej, w formacie wielkiej ósemki, stron 24. — Były to tylko trzy pierwsze pieśni, stanowiące poniekąd odrębną całość. Wrażenia one na publiczności żadnego nie wywarły. Mało przez kogo przeczytane do końca, potępione jako dziwactwo, przeszły przez ogół prawie niepostrzeżone. Trudno bo też było z tego ułamku wyrozumieć istotną myśl poety i urobić sobie choćby jakiegokolwiek wyobrażenie o całkowitem założeniu utworu. Byłto ustęp wprawdzie głęboko pomyślany, w pojedynczych działach z wielkiem dokonany mistrzostwem i słowa i w ogóle artyzmu; lecz skądinąd tak oderwany i trudny wtedy jeszcze do zrozumienia, że nie mógł nie zdawać się zagadką wszystkim niewtajemniczonym w mistyczną autora doktrynę.

Tento zupełny brak udziału ze strony czytelników wstrzymał też zapewne Słowackiego od drukowania dalszych rapsody. I tak skończyło się na tém, że do niedawna publiczność nasza nie znała nic więcej z téj olbrzymiej kreacji, jak tylko ów jeden rapsod;

i że do dzisiaj poemat ten cały prawie powszechnie uchodzi za rzecz, która się usuwa z pod wszelkiego rozbioru...

Słowackiego ciąglém marzeniem, od pierwszej chwili przyjęcia doktryny Towianizmu, była myśl przyobleczenia nowych idei w szaty poezyi. Widzieliśmy w powyższém, jak wszystkie prace jego od r. 1842 począwszy, polegały na téj jedynej dążności. Nie chodziło mu już odtąd o tworzenie ideałów fantazyi w zwyczajnym sensie; nie chodziło o artystyczne dokonywanie dowolnych założeń poetycznych. Chciał on podnieść znaczenie i zasługę poezyi daleko wyżej. Miał to być jeden ze sposobów wieszczego objawienia światu istnej, bezpośredniej prawdy, t. j. tajnych dogmatów i tych wszystkich rzeczy zakrytych, których wypowiedzenie w innej formie przewyższałoby może w ludziach zwyczajnych zdolność pojęcia takowych.

Poprzednie próby uczynienia zadość temu ideałowi — nie udawały się autorowi naszemu. Były to wszystko prace o tyle chybione, że osnowa, że tło i ramy zamierzonego dzieła nie były zdolne przyjąć w się i pomieścić całej autora intencji. Były to wszystko jakby naczynia jakieś kruche i szczupłe, niezdolne objąć w sobie wszystkiego, co w nich zawarte być miało. Dlatego też owe zbyt ciasne kształty pacyły się poecie pod ręką; wychodziły z pracowni jego albo jako monstra (X. Marek i Srebrny Sen), albo z niej nie wychodziły wcale, lecz przed dokonaniem pracy nad nimi odkładane bywały na bok, i leżą dziś przed nami jak torsa potwornej rzeźby, która szczegółami obudza podziw, a pomysłem odstręcza...

Wreszcie trafił Słowacki na przedmiot, który stósunkowo najwięcej obiecywał założeniu jego dorównać. Założenie jego polegało tym razem na onym wiary jego artykule naczelnym, że społeczeństwo ludzkie, obrębem pewnej narodowości objęte, jest prowadzone naprzód i coraz dalej mocą duchów wybranych, duchów większych, silniejszych... Każdy naród ma zatem swego niby anioła (może kilku aniołów — punkt ten bowiem nie jest u Słowackiego wypowiedziany jasno), który przez niego działa i prze go ku coraz większemu zbliżeniu się do celu, jaki jest narodowi

temu wytknięty. Działanie jednakowoż owego ducha, przesnuwając się przez cały ciąg dziejów narodowych, nie może być mierzone trwaniem jednego człowieczego żywota. Pokolenia ludzkie zmieniają się i nastają po sobie, jak liście na drzewach, opadające jesienią, a odrastające na wiosnę. Człowiek naczelny w narodzie, człowiek mający w sobie owego ducha - anioła, podlega oczywiście tysamym prawom natury, co cały rodzaj ludzki. Misyja wiekwa ducha, który w nim żyje i przezeń działa, nie może więc być dopełnioną w ciągu znikomego jego życia. Dlatego duch ten potrzebuje więc kilku żywotów, mając działać bezprzestannie; i przeto w kolei czasów odradza się to w tym ciele, to znowu w owym. Na pozór coraz inna osobistość dziejowa, jest on w gruncie rzeczy jednak zawsze tysamym duchem - kierownikiem swojego społeczeństwa, tysamym duchem nad duchami, tysamym... „Królem - Duchem“.

To tedy założenie swoje zamierzył Słowacki uwidomić na przykładzie dziejów ojczystych, wytlómaczonych i okazanych w tym świetle poczynając od pierwszej chwili żywota Polski aż do dni ostatnich. Czyli innemi słowy: poeta nasz wprowadza tę przodującą dziejom naszym osobistość mistyczną, jako bohatera epopei; i z powodów, które niżej odsłoniemy wyraźniej, z powodów nader ważnych, gdyż dotyczących saméjże osoby własnej, osoby Słowackiego: kładzie całą opowieść trudów w tym szeregu wieków przebytych, całą opowieść téj nieśmiertelnej krucjaty — w własne usta Króla-Ducha, zaczynając poemat od owéj strofy, zapowiadającej ogólną treść tego cyklu rapsodów.

„Cierpienia moje i męki serdeczne

I ciągłą walkę z szatanów gromadą,

Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,

Jamy wężową napelnione zdradą

Powiem — wyroki wypełniając wieczne,

Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,

Abym wyśpiewał rzeczy przeminęte

I wielkie duchów świętych wojny święte“*).

*) A więc się poeta identyfikuje z bohaterem swoim.

W pierwszym rapsodzie (wydanym jeszcze r. 1847) odsłonił autor pierwszy doczesny żywot króla-ducha na tle samych społeczności naszej zawiązków. Dalsze rapsody przedstawiają go w późniejszych jego żywotach, w coraz innych osobach, a zawsze w takich, że życie narodowe w każdej epoce od nich jedynie odbierało główny pęd i ruch i kierunek ku przeznaczeniu swojemu.

Przypatrzmyż się teraz nieco bliżej, jak ten pomysł jest wykonany w szczegółach.

W rapsodzie I mamy opowieść pierwszego wcielenia się króla-ducha w postać narodową polską. Nie jestto bynajmniej pierwsze zrodzenie się jego, jako ducha w ogóle. Jako odrębna wiekuista istota, istniał on już i przedtém. Lecz tych że tak powiem, przedsłowiańskich dziejów jego istnienia gdzieindziej — poeta nie odsłania. Ukazuje go nam od razu w postaci Armeńczyka jakiegoś, który jako zmarły już ciało złożony jest na stosie, ażeby być spalonym, a potem się odradza na nowo w indywidualności wenedyjskiej, słowiańskiej...

Armeńczykowi owemu było imię Her. I nazwę tę i cały pomysł przejął Słowacki od Platona. Plato na samym końcu najgłębszego ze wszystkich utworów swoich, na końcu dialogu zatytułowanego „Rzeczpospolita“ zamieścił piękną i pełną znaczenia symbolicznego powieść o jakimś Herze, synu Armeniusowym z Pamfilii, który w walce za ojczyznę poległ i wespół z innymi zabitymi leżał przez dziesięć dni na pobojuwisku. Dziesiątego dnia przyszli ludzie, ażeby trupy zabitych pogrześć. Psuły się one już wszystkie, tylko Hera ciało znalezione zostało w czerstwéj świeżości. Podniesiono wszystkich poległych z ziemi i z czeią wielką zawieziono do miasta. Dwunastego dnia złożono ciała na stosach, albowiem miały być spalone. Kiedy już przykładano ogień do stosa, na którym Her leżał, stało się, iż zmarły otworzył oczy i powstał. I zszedłszy ze stosu oznajmił ziomkom, że duch jego wyszedł był z ciała i był na drugim świecie, gdzie ludzie zmarłych sądzą i karzą i nagradzają — wedle zasługi. Ale kiedy stanął z kolei i on przed sędziami: powiedziano mu, że jemu tylko należy przysłuchiwać się i przypatrywać wszystkiemu,

co się tu dzieje. Albowiem ma on jeszcze wrócić do życia i być do ludzi na ziemi mieszkających zwiastunem z świata drugiego. Opowiadał tedy ów zmartwychwstały z stosu swojego, jako się odbywają sądy dusz zmarłych, jakie im wymierzane bywają kary, jaka ich czeka przyszłość dalsza i jak wreszcie, po upływie oznaczonego czasu, stawają one powtórnie przed potęgami tamtego świata, t. j. przed Ananką i trzema córami onęj, których wspólna nazwa jest Mojry, i które rządzą życiem ludzkim. Tam tedy stają duchy owe w szeregu; a służebnice onych trojga pań zamogilnych kładą po przed nimi mnogość wielką wzorców i wizerunków żywota, tak żywota zwierząt różnych, jako i żywotów ludzkich. Następnie wstępuje czarodziej jakiś na podwyższenie i głosi: „*Sluchajcie słowa dziewicy, córny Ananki, Lachezy! Dusze znikome, oto się poczyną nowy okres śmiertelnego waszego życia. Nie was los wybierać będzie, lecz wy same obierzecie los sobie. Przed kim pierwszy znak padnie, ten niech najprzód wybierze sobie żywot i dolę, od której się potem już nie potrafi oddzielić! Oto cnota jest tu do wzięcia! mniej albo więcej mieć jej będziecie, w miarę ile ją cenicie albo ile jej nie cenicie. Wina będzie po stronie tego, kto wybiera — bóstwo niewinne niczemu*“... To mówiąc, rzuca mąż ów znaki, jakby losy z liczbami, po przed cały zgromadzonych dusz szereg. A każda dusza znak swój podnosi wedle tego jak przy niej upadł, i po kolei, znakiem owym wskazanęj, przystępuje do wyboru sobie żywota z pomiędzy wszystkich owych wizerunków, które w wielkiej mnogości zostały rozłożone przed niemi. Wybór takowy zawisł zupełnie od woli tego, który wybiera. Pomimo tego, bywa to widok i smutny i śmieszny i zarazem dziwny, jak dusze owe wybierają sobie żywoty powodując się najczęściej wrażeniami, które z sobą przyniosły z tej strony grobu, z poprzedniego życia swojego. I tak, dusza Orfeusza — z nienawiści ku całemu rodowi kobiet — wybrała wizerunek życia łabędzia, ażeby się już nie rodzić z kobiety. Dusza łabędzia przeciwnie wybrała sobie żywot ludzki. Dusza Tamyrusa (poety) przeniosła nad wszystkie inne żywot słowika. Ajax silny, a jednak pokrzywdzony przez ludzi, zapragnął teraz życia lwa. Agamemnon, równie zniechęcony do ludzi, sięgnął

ręką po życie orla. Odysseus, po długich trudach walk i wędrówek wyleczony z żądzy sławy i pomny bólów, jakich z jej powodu doznawał, chwycił z radością za wzorzec żywota w spokojnym zakresie prywatnego człowieka; a Atalanta, która już w poprzedniem życiu z tego słynęła, że jej w biegu prześcignąć żaden zapaśnik nie zdołał, wybrała sobie żywot męszczyny, atlety...

Kiedy zaś już każda dusza dokonała wyboru swego, udają się wszystkie razem na dolinę Lety, a idą w skwarze wielkim i spiecu, albowiem na dolinie tej nie ujrzyć ani drzew żadnych, ani żadnego z płodów, które ziemia wydaje. I zasiadają pod wieczer nad tą cudowną rzeką, kojącą troski. Tu dusza każda wypić koniecznie powinna pewną miarę wody; a niektóre, ile rozważy i umiarkowaniem mniej się powodujące, wychylają jej i więcej, w skutek czego też potem zapominają na wszystko (i tak się potem odradzają, jakby nigdy przedtem nie żyły na świecie). Wypiwszy wodę owę, zasypiają wszystkie. Nadchodzi noc, godzina północna bije. Wtedy nagle poczyną się grzmoty wielkie i trzęsienie ziemi. A dusze w górę się rozpierzchuują na wszystkie strony jak gwiazdy spadające, i każda kwapi się, kędy jej przeznaczono urodzić się...

Owoż to wszystko widział na drugim świecie i opowiedział ziomkom swoim ze stosu ów Her z Pamfilii. O sobie samym zaś nie był w stanie powiedzieć, któredy i jakim sposobem wrócił do ciała. Tyle mu tylko było wiadomo, że jemu pić wody z Lety nie dano i że kiedy nagle z rana oczy znowu otworzył, ujrzał się już położonym na stosie. —

Taki jest w najglówniejszych zarysach ów męt Platona, bardzo szczegółowo u niego rozprawdzony, który więc posłużył za punkt wyjścia dla „*Króla-Ducha*“. Jak widzimy, bardzo mało przejął z tego mytu Słowacki. Bo też zamiar jego był inny, jak Platona. Filozofowi greckiemu zależało na dokładnem odmalowaniu tego, co Her widział na drugim świecie; a naszemu autorowi chodziło przeciwnie o dalsze losy samegoż Hera. Stądto zaledwie się w niektórych szczegółach i to obocznych spotykają oni ze sobą. Rozmijają się zaś mianowicie w tym punkcie, że po-

dług mytu greckiego Her na stosie wrócił do życia, ażeby je wieść dalej w dawnych warunkach; Słowackiego zaś Her ciało swoje pozostawia na stosie i kończy tam już swój zawód ziemski. Ciało podlega płomieniom — dusza występuje z niego, aby ulecieć w nadziemską krainę duchów...

Dalsze koleje tej duszy są w poemacie takie:

Po wyjściu z ciała*), ujrzał się Her w ową krainie Platona, „kiedy dusze jasne jak brylanty, swe dobrowolne czyniły wybory“. Jednakże on, „z harmonią obeznany młodą własnego ciała“ (strofa VIII, w której jak i w innych strofach przecinkowanie ciągle błędne), t. j. świadom tego, że to ciało nieskazitelne i wiecznie młode, jakie miał wtedy czystym duchem będąc, najlepiej harmoniuje z jego naturą: „nie chciał odmiany“ ani ciała ani doli ani żywota, i nie pragnąc niczego więcej, jak żeby duchem i nadal już pozostać, nie czynił żadnego wyboru. Siadł tedy razem z drugimi duszami nad brzegiem Lety, lecz wody do ust nie wziął. Same tylko rany swoje nią zmywał, ażeby straciły... pamięć boleści. Wtedyto ukazano mu — gdzieś w wielkiej oddali — „we mgłach letejskiej zapomnienia rzeki“ tajemniczy wid jakiś, zjawienie dziwnej, z niczém nieporównanej piękności, które „jak świt daleki“ uroczu przed oczyma jego wschodziło (strofa IX i następne). „Ani gwiazdźce, co się w morzach palą — powiada w myśl bajecznych podań ludowych poeta — „ani tych gwiazdźce jasność tajemnicza“ nie wywiera tyle trwogi na jestestwach żyjących w morza otchłani, ile jego przeraziło na razie to zagadkowe zjawienie. Była to niewieścia postać jakaś, piękności tak idealnej, że się stworzoną być zdała jakby z blasków słonecznych, z barw tęczyowych, z dźwięków niebiańskich...

„Nad nią dźwięk — duchów girlanda słowicza,

Pod nią... jakoby złote zejścia schody

Na świat daleki i zamglony wiodły“...

*) Strofa V pieśni pierwszej. W trzecim wierszu tej strofy powinno być: „Ani za ciałem płacząca daremnie“ zamiast „Ale za ciałem“..

Dość było duchowi Hera raz spojrzeć na uroczą piękność tego widu idealnego, ażeby w sobie poczuć tajemny węzeł, jaki go miał wiekuiście z nim łączyć, i wiedzieć, że ta postać promienna — to odtąd już... „jego Umiłowana na wieki!“ —

Jeżeli który ustęp w całym poemacie obecnym sprawia czytelnikowi niepokonane trudności, to niezawodnie miejsce właśnie powyższe. Co też poeta rozumiał przez tę aparacyą tak mistycznie tu wprowadzoną?

W pierwszej chwili nasunie się tu każdemu pewnie myśl, że będzie to zapewne druga podobna duchowa indywidualność opatrnościowa, jak sam bohater poematu, ale indywidualność niewieścia: równie jak tamten mająca przed sobą do spełnienia wielkie posłannictwo w wszechświecie; równie jak on przeznaczona przebyć cały szereg żywotów, które — z wyroku tajnych przeznaczeń — zapewne splatać się będą losami swymi z zawodem męskiego króla-ducha w przyszłości. Przypuszczenie to (czytając poemat dalej) zdaje się nabierać prawdopodobieństwa z tej mianowicie przyczyny, że córka Lecha Wanda, w tak obiecujący sposób wprowadzona w osnowę już pierwszej pieśni, a po krótkim zboczeniu w pieśni drugiej, tak przeważnie odzyskująca znowu znaczenie w całym tym pierwszym rapsodzie, mogłaby z wielkim pozorem słuszności być uważaną za takie właśnie doczesne wcielenie owego drugiego ducha, który jako niewiasta ma towarzyszyć na całej przeznaczeń drodze głównemu bohaterowi poematu...

Przy bliższém rozpatrzeniu przypuszczenie powyższe przecież okazuje się mylném. Klucz ten mimo wszystkich swoich pozorów, nie otwiera żadnej z zagadek, jakie się w dalszych spotykają rapsodach. Przeciwnie, tłómaczenie takie wylałoby nas tylko w ciągłych sprzecznościach i prowadziło na bezdroża, żadnej nie pozostawiające możliwości spotkania się z rawnym pomysłem autora.

Słowacki pisząc to dzieło, niewątpliwie surowsze i wznioślejsze podjął zamiary, jak opiewać metempsychozę dwojga duchów,

które na różnych końcach świata i w różnych epokach historyi spotykają się na to tylko ze sobą, aby przy innych nibyto ważniejszych misjach swoich, odgrywać ostatecznie... romans ze sobą na coraz inne sposoby!

Przypomnijmy sobie, że punkt wyjścia i cały początek „Króla-Ducha“ dokonany został pod wpływem platońskich wyobrażeń. Jedną z zasadniczych podwalin całej doktryny Platona jest przypuszczenie, że my ludzie przynosimy ze sobą na ten świat gotową już i tylko przypomnienia czasem potrzebującą świadomość bezcielesnych pojęć i ideałów („ideae innatae“). Platon wyobrażał sobie, że człowiek przed narodzeniem swoim ogląda twarz w twarz owe wiekuiste pierwoksztalty wszystkich rzeczy stworzonych, a nawet i ideały żadnej zmysłowości niezdolne, jak np. cnotę, męstwo itp. w ich czystej postaci czyli w ich prawdziwie bezwzględnej. To właśnie też jest, co sprawia, że chociaż po narodzeniu naszym nie widzimy na ziemi nigdy już ani nadzmysłowych wyobrażeń ani ideałów, ale tylko same rzeczy znikome, doczesne, które będąc tamtych tylko kopiami i odciskami lichymi, są zawsze ułomne i nieudolne: — to jednak posiadamy pomimo tego w pamięci i wyobraźni naszej jakąś świadomość tej najwyższej piękności; zachowaliśmy w sobie jakieś poczucie tych prawd wiekuistych, których ojczyzną są same tylko sfery nadziemskie. —

Otóż jednym z takichto ideałów — wyższych nad wszelkie wcielenie, jedną z takich piękności — niedoścignionych od żadnej z określonych piękności, jednym z takich „widów“ — widnych tylko dla oka ducha, nie ciała, jest właśnie i owa napowietrzna, świetlana postać, która się „we mgłach letejskiej zapomnienia rzeki“ objawiła po śmierci duchowi Hera, jakby świtanie jakie dalekie. Jako duch, wyszły z ciała, znajdujący się właśnie w tej ideałów ojczyźnie, jest Her zdolnym „poznać z oblicza“ ów ideał niebiański, i ogląda go w całej jego piękności. Ponieważ jednak ideał wszelki z natury swojej nigdy w świecie rzeczywistym być odnalezionym nie może; ponieważ przy największym nawet zbliżeniu się do niego, daje się czuć

zawsze w życiu doczesnym brak obecności jego zupełnej: przeto też i bohaterowi naszemu śpiewają jakieś głosy nieznanne:

„Dobrze ją poznaj, bo wkrótce utracisz,

Jak sny, przez dobre duchy malowane;

Żywot — tysiącem żywotów zapłacisz,

A zawsze jedną tę serdeczną ranę

Przyciśniesz w piersi rękami obiema,

Tę jedną smętną ranę — że Jój nie ma!

Ukazany mu przeto jest w mglistej oddali cel przyszłego jego zawodu, widny w całej swojej apoteozie i chwale: ale zarazem i to mu zapowiedzianem zostaje, że ta piękność, ta skończoność, ta boskość tego celu wszystkich jego zapędów istnieje tylko w wyobraźni i w tęsknocie, słowem w ideale; w żywotach zaś rzeczywistych, choćby ich przeżyć i tysiąc, czuć się będzie zawsze tylko to jedno — „że go nie ma“, że go się jeszcze nie osiągnęło, że tysiące przeszkód kładzie się w drodze, które ciągle pokonywać potrzeba, żeby się zbliżyć do niego; słowem że go się tylko pragnie... zawsze nadaremnie!

„Sławę ci damy, lecz tobie obrzydnie —

Serce ci damy, ale spustoszeje!

Przyjdzie do tego, że będziesz bezwstydnie

Urażał w Bogu mających nadzieję“ itd.

Te zapowiedzi, te przestrogi nie zrażają jednakże króla-ducha od tego, żeby się puścić w ślady za tym uroczym obrazem przed oczyma jego zjawionym. „Choćby aż w piekło wiodła — pójdę za nią!“ powiada, i puszcza się w drogę, „choć strzały numidzkimi ranny“, choć niemający jeszcze pewności, co to jest, co go ku sobie tak ciągnie: czy śmierć, czy żywota dziwo, czy Irys? itd. (strofa XII).

Przystąpmyż teraz do drugiego pytania i powiedzmy: jaki to ideał i czego ideał ukazany został w tej bezwzględnej piękności swojej Herowi? Kto jest ta, którą mu wtedy w dalekim ukazano świat, ażeby odtąd była jego Umiłowaną na wieki?

Jestto Ojczyzna, jeżeli wyraz ten weźmiemy w jak najszerszym i jak najwznioślejszym znaczeniu. Nie rozumiem przez

to ani saméj tylko ziemi rodzinnej, ani państwa w jego do-
czesno-utylitarném znaczeniu, ani potęgi politycznej, ani żadne-
go z osobna z tych tysiącznych włókien, które się składają na
ten cudny w języku polskim wyraz, na to wzniosłe w duchu po-
jęć polskich słowo: Ojczyzna...

A jeżeli to czytelnikowi jeszcze nie wystarcza, określmy to
jeszcze inaczej. Oto wstaje w oddali przed oczyma Hera ideał
Polski, t. j. niebiański obraz tego, co naród nasz jako zada-
nie państwa pojmuje i co sobie wyobraża przez ideał narodu.
Staje przed oczyma jego Polska, jaką być ma wedle tego, co
sobie o niej marzą i co przez całą długość jej przeszłości sobie
o ojczyźnie marzyli jej najszlachetniejsi i duchem najwzniolejsi
synowie; a zatem cel ostateczny do którego dzieje nasze dążą;
słowem ideał — w najdalszą przyszłość rzucony — takiej oj-
czyzny-matki, takiej ojczyzny-idei, jaka jest wszystkich
marzeń i usiłowań naszych przedmiotem.

To zatem chciał powiedzieć poeta, kiedy mówi:

„Ukazał się wid — Piękność — córka Słowa,
Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką Judejscy widzieli prorocy.

„Słońce lecąca trzymała nad czołem,

A miesiąc srebrny pod nogami gniotła:

Szła nad lasami i leciała dołem

Nad chaty — jako komeciana miotła.

Tęcze ją ciąglem oskrzydlały kołem;

W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła

I na powietrze rzucała niedbale

Perły-jaśminy i maki-korale. (strofa XVII)

Że tu nie podkładamy słowom poety myśli obcej, do której
by się nie przyznał, gdyby jeszcze był między nami: o tém do-
wodnie mogą się czytelnicy przekonać, jeżeli odczytają wiersz do
K. Ujejskiego, rokiem tylko później przez Juliusza pisany,
któryśmy dali na str. 73 tomu I dzieł pośmiertnych. Znajdujemy
w wierszu rzeczonem prawie tesame obrazy, a znaczenie ich tam
już nie może być wątpliwém.

Pomiędzy aforyzmami prozą, które sobie zwykł był w owych-
że latach Słowacki zapisywać do różnych kartek i zeszytów be-
dących właśnie pod ręką: znalazłem w jednym miejscu ustęp,
który warto tu przytoczyć na dowód, że mój wykład strofy po-
wyższej w Królu-Duchu wychodzi zupełnie z punktu widzenia
autora. Powiada on tam, co następuje:

„Podobnie jak przed światem stworzonym było Słowo czyli
duch, mający się formami objawić widzialnemi, podobnie po-
częcie każdego narodu poprzedzało stworzenie idei,
dla której następnie ludzie, w formę pewną tej
idei właściwą skryształizowani, pracowali. Z takich to
idei powstawała pewna forma agregacyjna, i ta stanowiła naro-
dowość. Ideje takie, wieńcom ognistym podobne, któ-
rymi się fortece obleżone w nocy oświecają, z całą piękno-
ścią ognia ulatujących nad narodami przelatywały
i świeciły. — Wyobrażone nareszcie mniej więcej, usiłowa-
niem czynném rasy, dla której były stworzone, przechodziły
w kształt; ducha piękności i prawdy oddawały formie; same zaś
na niebiosach gasły i wyższym rewelacyjnym ideom miejsca ustę-
pywały“...

Zataić wprawdzie tego nie mogę, że nasunąć się tu nieje-
dnemu może pytanie, czy raczej nie objawia się przed oczyma
Hera obraz mistyczny Bogarodzicy? Gdyż nie tylko skąd inąd
jest przyjętém, w takiej właśnie postaci ten najwyższy z ideałów
chrześcijaństwa malować; ale i sam nawet Słowacki nieraz w tym-
że samym go przedstawiał obrazie. (Obacz np. dokończenie wier-
sza, zamieszczonego w tomie I Pism pośmiertnych, bezpośrednio
przed wspomnianemi co tylko strofami „do Autora Skarg Jere-
miego“). Z tém wszystkiém przypuszczenie takie w tém miejscu
byłoby niewłaściwém. Jakże bowiem miałoby się stosować do Bo-
garodzicy wyrażenie:

„Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką Judejscy widzieli prorocy“ (str. XVI)?

W takim razie nie byłby tu autor położył „jaką“, ale
koniecznie „którą“. A cały wiersz poprzedni byłby wtedy zu-

pełnie niezrozumiały; boć matka Zbawiciela jest panią całego chrześcijańskiego świata, a nie jednego tylko ludu.

Jest zatem wprawdzie niezaprzeczonem, że Słowackiemu te dwa ideały, t. j. ideał całego chrześcijaństwa i ideał nasz narodowy, przed oczyma spływały, i że chcąc mówić o ostatnim, pożyczal form od pierwszego; ale to też już jest wszystko, co w tym kierunku przyznać możemy. Posunąć się choć krok jeden po za to przyznanie dalej — byłoby to tracić na zawsze z oczu ten punkt widzenia, z którego jedynie odsłania się ukryta myśl poematu.

W dalszych strofach kładzie poeta w usta bohaterowi swemu opowiadanie, że kiedy więc ujrzał oczyma ducha swego ową piękność idei, której w życie przeprowadzenie i wyrobienie dziejowe miało stanowić odtąd wiekuiste jego zadanie: natychmiast poczuł w sobie popęd do odzyskania na nowo w warunkach stworzonego istnienia, czyli — co na to samo wychodzi, uczuł w sobie potrzebę opuszczenia tych błogich krain letejskiej beztreściwości i elizejskich odpoczynków po trudach, w którychto krainach zrazu tak gorąco pragnął pozostać już na zawsze, jako duch czysty —

„I całe mego ducha wniebowzięcie
Upadło...“ (str. XVI).

„Więc czego woda letejska nie mogła,
To Ona swoim zrobiła zjawieniem,
Że moja dusza na nowo się wzmogła
Loty — i nowym buchnęła płomieniem. —
A jako pierwszy raz ciało przemogła
I uczyniła swoim wiernym cieniem,
Opowiem.

Ja Her, powalony grzmotem
Nagle gdzieś w puszczy pod wieśniaczym płotem*)
Budzę się“ (str. XIX).

*) W wydaniu lipskim przecinkowanie błędne tej strofy sprawia, że wcale miejsca tego rozumieć nie można. Po „opowiem“ powinien być punkt i zakończenie okresu. Po wyrazie „płotem“ nie powinno być żadnej interpunkcji: i tak też to jest w pierwszym wydaniu, t. j. paryskim z r. 1847.

W strofie tej i następnej opowiada bohater poematu, że kiedy więc dusza jego „przemogła znowu ciało i uczyniła je swoim wiernym cieniem,“ t. j. kiedy się znowu zrodziła w ciele: ujrzał się gdzieś — w lichy chacie „pod płotem wieśniaczym, w dzikiej puszczy“ dziecięciem biednej kobiety: Kobieta ta wzniecała w nim już w latach jego najrańszych instynkt zemsty.

...„Straszna nademną kobieta

Śpiewała swoje czarodziejskie runy.

„Ojczyzna twoja, wrzeszczała, zabita!

Ja jedna żywa, a ty zamiast truny

Miałeś mój żywot. — Popiołem nakryta

I zapłodniona przez proch i popioły,

Wydałam ciebie, abyś był mścicielem,

Synu popiołów nazwany Popiołem!“

Ażeby rozumieć tę strofę, trzeba sobie przypomnieć cały pomysł, przeprowadzony w *Lilli Wenedzie*. Z tym dramatem wiąże się cały ten rapsod „Króla-Ducha“ jak najściślej i jest niejako jego epilogiem: Czytelnicy przypominają sobie, że Słowacki wyszedł w *Lilli Wenedzie* ze założenia, że przyjście Lecha i orszaku jego do Polski odbyło się jako gwałt i rzeź i bój do rażny na śmierć i życie z dawniejszą tej okolicy ludnością. Lechici zwyciężyli, zajęli siedziby nowe, ale nie prędkiej, aż je zamienili w cmentarz plemienia Wenedów, którzy tu przed ich przyjściem mieszkali.

Otóż z tego punktu widzenia tłómacząc strofę, o której wykład tu chodzi, jest rzeczą oczywistą, iż ową „Ojczyznę zabita“, o której matka synowi swojemu mówi, nie może być co innego, jak plemię Wenedów. Samą zaś kobietą ową, czarodziejskie runy nad dziecięciem wygłaszającą, jest oczywiście tasama postać, która się tam w dramacie nazywa *Róża Weneda*.

Cały pomysł obecnego rapsodu *Króla-Ducha* okazuje się zatem już gotowy w *Lilli Wenedzie*. Co się tyczy cudownego z popiołów zrodzenia *Popiela*, wypisuję z dramatu tego dwa miejsca, które to bliżej tłómaczą.

Na końcu Prologu „*Lilli Wenedy*“, włożone są w usta *Róży* między innemi słowa następujące:

„Ja ostatnia zostanę żywa,
 Ostatnia z czerwoną pochodnią!
 I zakocham się w rycerzy popiołach
 I popioły mię zapłodnią,
 A swatami będą dęby z płomieniem na czołach!
 A łożem ślubnym będzie stos rycerzy.
 Kto konając we mnie uwierzy,
 Skona spokojny.
 Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny,
 Lepiej niż sto tysięcy wroga,
 Lepiej od Boga!”

Drugie miejsce, które tu warto przypomnieć, znajdujemy w scenie piątej Aktu III. (str. 285 wydania lipsk.)

Ma tam niezapowiedziany do stanowczej bitwy między Lechem a Wenedami. Goniec staje przed królem, mówi mu o strasznych przepowiedniach, które się szczą między jego nieprzyjaciółmi, i wspominawszy o innych znakach, jakie się ukazać mają, powiada:

„Mówią, że walka będzie oświecona
 Błyskawicami.

LECH.

Dobrze, będzie widno!

GONIEC.

Ta czarownica z góry, zapowiada
 Że po tej walce — martwych popiołami
 Nakryta, za rok porodzi mściciela.

LECH.

To przepowiednia nie dla mnie, nie dla mnie —
 Nim ten popielnik wyrośnie ohydny,
 Ja będę w grobie, a mój syn na tronie.
 Ale to wszystko są na dzieci strachy“. itd.

To cudowne zrodzenie się mściciela, zapłodnionego przez przodków swoich popioły, nie mogło tu oczywiście być przez poetę rozumianem literalnie. Symboliczne znaczenie tego wszystkiego jest jasne. Ponieważ jednak zdawać się niejednemu może, że ta stała przenośnia o zapłodnieniu Popiela przez popioły rycerzy,

zbyt mocnymi jest nałożona kolorami, żeby przez Słowackiego tylko figurycznie miała być rozumiana, a nie dosłownie: prze-
 to wybaczy mi czytelnik jedną jeszcze uboczną tu uwagę.

Aż do pewnej granicy wolno poecie dobierać sobie do wypowiedzenia subtelniejszych pomysłów, form i obrazów ze sfery, z jakiej mu się tylko podoba. Kieruje nim samo jedno tylko poczucie pewnej że tak powiem, miary i przyzwoitości poetyckiej, bez względu na to czy nauka ścisła, np. medycyna, historia naturalna, fizyologia itd. gotowa będzie dać swoje na to wszystko potwierdzenie, co się w symbolicznym sensie jemu spodoba w granicach tej lub owej naukowej dziedziny wyrzec. Nie chodzi tu nigdy o zupełną zgodność z najnowszymi badań naukowych rezultatami, ale tylko o prawdopodobieństwo, o pozór możliwości, że tak to jest. Owoż nasuwa się pytanie, czy Słowacki, w taki sposób wypowiadając ten pomysł, nie posunął się po za granicę owej miary i stosowności, jakąśmy postawili za konieczny warunek trafności przyoblekania pojęć oderwanych w kształty zewnętrzne. — Nie wątpię, że wielu rozstrzygnąć zechce to pytanie na niekorzyść autora naszego. Przenośnia jego wydawać im się będzie posuniętą za daleko. Pomówią go o mistycyzm, o wyobrażenia żadnej nie mające wspólności ze stanowiskiem wyobraźni dzisiejszych ludzi.

A żeby przecież zmniejszyć przynajmniej ten zarzut, zauważyć muszę, że Słowacki i w tym nawet razie jest jeszcze na gruncie pojęć, jeżeli nie całego ogółu, to przynajmniej wyobrażeń ludowych. Nie potrafię w tej chwili rozstrzygnąć, czy w zakresie gadek naszego ludu dałoby się znaleźć coś takiego, co by się okazywało spokrewnionem z tém symbolicznie tu przez niego opowiedzianem pochodzeniem Popiela. Ale pomiędzy ludem czeskim przechowuje się powieść, która z jego pomysłem dziwnie rymuje. Przypominał ją przed niewiele laty Frycz, w prelekeyach swoich miewanych w Pradze.

Lud czeski wierzy, że w czasie ostatecznego niebezpieczeństwa powstaną z martwych z pod góry Blaniku śpiący tam od wieków rycerze, stróżowie ojczyzny. Już dziś co chwila się oni w grobach podnoszą i zapytują jeden drugiego, czyli już pora?

Są to duchy poległych pod Lipanami Taborytów. Lud pojął, że tacy nawet bohaterowie nie mogą się obejść ani bez światła nowych idei, ani bez wodza. To też ażeby nie zatracili poczucia potrzeb i odrodzenia ojczyzny, wysłał świeżo pomarłe znakomitości z poselstwem nowych myśli do skalistych podziemnych mieszkań tych dawnych duchów. Co się zaś tyczy wodza, to legenda ludowa nie daje im za takiego ani żadnego z królów ani z cesarzów, lecz ponieważ wodzem duchów takich zwyczajny śmiertelnik być nie może, naznacza mu cudowne urodzenie.

Pewien grobarz miał córkę, która mu pomagała w pracy. Samotna często dziewczyna wymyśliła sobie żalobną a pobożną zabawę: sztucznie składała kości naśladować ołtarzyki, na których czaszki zastępywały lampy i kielichy. Mała dziewczyna podrosła już i wypiekniała; zdarzyło się wtedy razu pewnego, gdy z cmentarza po wodę wychodziła, że wyrwała się za nią czaszka z kostnicy i powoli toczyć zaczęła. Dziewczyna śmiała podjęła czaszkę, ucałowała, a zapytawszy: „czym cię na niewygodnym położyła miejscu?“ o uspokojenie prosiła i na samym unieśliła ołtarzu. Czaszka jednak od tej pory nie opuszczała stóp dziewczyny, wszędzie się za nią tocząc. Cud ten grobarza przestraszył; kazał czaszkę spalić, a proch polknąć córce. Nim rok minął, powiła ona syna, bohatera. Nowo narodzony dziecinne lata spędzał pod lipą u stóp Blaniku, rozmawiając z duchami śpiących pod górą rycerzy, na których wodza opatrność go przeznaczała...

Otóż widzimy, że autor nasz nie posunął się zbyt daleko po za obręb imaginacji ludowej, dobierając form zresztą cokolwiek dziwnych na wyrażenie pomysłu, który sam przez się nic innego nie znaczy, jak znane owo „Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor!“

Począwszy od strofy XXI daje poeta zarys żywota bohatera swojego, zrodzonego z ostatniej z rodu ujarzmionego, w ubogim stanie, bez świadomości tego wszystkiego, co z duchem jego zaszło przed urodzeniem i co ma stanowić zadanie działań jego w przyszłości — począwszy od lat jego najrańszych. Jestto rzeczywiście wdzięczny przedmiot, głęboko po-

myślany, z psychologicznego punktu widzenia prawdziwie zajmujący. Mamy przed sobą naturę, z własnej rdzeni ducha swojego wzniosłą i między najczystszyimi duchy wybraną. Gdyby to od niej jedynie zależało, żywot jej ziemski byłby pewnie równie szlachetny, równie idealny, jak był ów pęd duszy Hera nad brzegiem Lety zwrócony ku najwznioślejszemu ze wszystkich ideałów. Ale człowiek przychodząc na świat, staje się od razu zawisłym od całego brzemienia okoliczności ubocznych, tradycji dziedzicznych, stosunków miejscowych, jakie zastaje już gotowe w domu, w rodzinie swoim, w społeczeństwie na którego łonie się zrodził, nareszcie w wieku i dążnościach swojej epoki — słowem, rad nie rad musi przyjąć ten spadek nieodzowny przeszłości, te wszystkie zaległe długi i do spłacenia i do ściągnięcia, jakie mu przekazują owe coraz szersze koła i sfery, w obwodzie których żyć mu wypadło. Działają tedy na ducha jego najrozmaitsze potęgi, działają nań czynniki to obce, to pokrewne z jego najwnętrzną naturą: i tych dopiero suma i waga ostateczna stanowi ową siłę, jaka nas wiedzie przez rozłogi naszego życia temi lub owemi drogami, nieraz wbrew naszym lepszym instynktom. Instynkta nasze są w tej wędrówce niezawodnie najważniejszym czynnikiem. Ale i tamten, że tak powiem, fatalizm okoliczności ma wagę nieobliczoną.

Owoż taksamo ma się rzecz i z bohaterem naszego poematu. Do ducha jego, jakim go widzieliśmy na początku pieśni, przylegają już w samej chwili zrodzenia jego inne potęgi, potęgi doczesne i miejscowe. I ten dopiero zlew i wiekuistej dążności i doczesnych porywów — tworzy całą odrębność jego indywidualizmu jako człowieka, jako Popiela. — „Sam jeden jesteś, mówi do niego matka,

„ale cię przymioty

Ojców napelnią, a ja dam dwa duchy:

Na prawo stanąć jeden Anioł złoty,

Na lewo jeden z krwi i zawieruchy;

Ci dwaj — ty trzeci, i mój głos, jak grzmoty

Pędzący w zemstę“... (strofa XXI).

To też nie dziw, że pomimo takiej świętej przeszłości w duchu i mimo postanowienia puścić się w ślady za takim ideałem, jak go mieliśmy odmalowanym na wstępie dzieła: król-*duch*, ów niegdyś Her, o poranku pierwszego żywota swojego powiada, że

„Jeszcze nie dorósł, a już karmem duszy

Zemsta mi była, a nauką zdrada!

Często bywało, że ktoś włos mi ruszy

I we śnie do mnie jak anioł zagada...

Gdy spojrzę — liść się tylko zawieruszy

I w kształt złotego widma wstaje — pada —

Czasem tumanem na pierś moję runie,

Ręka mi zadrży, nóż się sam wysunie.“ (str. XXII)

Strofy XXIV aż do XXXII stanowią ustęp odrębny, względem rzeczy głównej poboczny: autor daje w nim zarys stanu ówczesnego społeczeństwa polskiego pod względem intelektualnym i obyczajowym, za panowania Lecha.*)

Podobnie epizodycznego tylko znaczenia jest następujący zaraz potem ustęp drugi (od strofy XXXIII — XXXVII).

Właściwa akcja poczyną się dopiero od strofy XXXVIII. Pomijając zdarzające się tu i owdzie, w tej części poematu, zaślony w szczegółach, których podejmowanie wyczerpujące rozszerzyłoby dzieło moje daleko po za rozmiar, jaki mu dać zamierzyłem: o głównej osnowie robię tylko to spostrzeżenie, że zwyczajem swoim odstępuje Słowacki i tutaj od tradycyjnych form, w jakich przekazuje nam przeddziejowe czasy naszej historii, i przeprowadza znane o Popielowych nad Polską rządach podanie w sposób zgoła niezawisły od kronikarskich o tém powieści. Bohater jego rapsodu, jako biedak w wieśniaczej zrodzony chacie, a potem niby przybłąda jakiś z dalekiego gdzieś świata — poczyną zawód swój od najniższego szczebla: jest zrazu na dworze

) W ciągu ustępu tego poprawić trzeba w strofie XXX (str. 431 wyd. lips.) pomyłkę drukarską: „Część ducha“ — na „część ducha“; bo inaczej bezsens z tego powodu całą myśl robi niezrozumiałą.

Lecha tylko pacholkiem. Ale choć na tak podrzędnym stanowisku, cele jego odrazu sięgały wysoko.

„Jam oczy groźne miał i ręce czynne

I uwiązany cel do wień wierzchołka.“ (strofa XXXVIII)

Niejedno — niepewne wprawdzie i mętne — przypomnienie z wyjątkowej jego przeszłości niesło myśl jego daleko... w podziemi głębie, w zaświata krańce. Świat obecny cichością swoją i niezmiennym brakiem wszelkiego ruchu dręczył go i zdawał się uragać jego myśli płomienną. Mściwość klóciła go ciągle z ludźmi i z losem. Mimo to jakaś ręka niewidzialna usuwała przed nim wszystkie zawady na świecie. Czego tylko zażądał — wszystko się działo. I wiodło mu się szczęśliwie. Wstępował na coraz wyższe stopnie dostojęństw w kraju. Wyszedł na wodza — został prawą ręką i ulubieńcem księcia — siadł najpierwszym „wojewodą złotym“ nad Gopłem. Wsławił się ze zwycięstw odniesionych nad nieprzyjacielem postronnym. Zjednał sobie serca całego rycerstwa. Aliści przypadkowe zdarzenie, przewidziane wprawdzie dawno wyrocznią, ale dokonane mimo woli a nawet mimo wiedzy Popiela, aczkolwiek jego ręką — ściągnęło na niego podejrzenie — o bunt i nienawiść panującego! Z wojewody i pogromcy w stu bitwach, przyszło mu wrócić do pierwotnego nicestwa. Jako więzien, niewinnie posadzony, został wtrąconym do kaźni. Lecz i teraz siła jakaś niewidzialna, opiekująca się jego losem, nie przestała być mu pomocną. Ręka własnej córki królewskiej (Wandy), otworzyła bramy jego więzienia. Ujechał — tajemnie — w świat daleki, grożąc podniesioną prawicą światu odwetem za krzywdę tak niezasłużenie doznaną. A tém namiętniej zemsty tej pragnął, że był sam jeden i jeszcze wtedy bezsilny...

Na pieśń drugą, bez porównania łatwiejszą do rozumienia, przypada główna waga w całym rapsodzie. Jest to część dzieła wykonana z całym mistrzostwem właściwym Słowackiemu. Dziwna siła wieje tu z każdego pociągu pióra! — Puściwszy się Popiel w strony świata nieznane, bezludne, dzikie — spotyka na jakimś miejscu pustem hufiec Germanów, zwycięsko wracających z prawy przeciw rzymskim legionom. Byli liczni, mówi poeta, jak

gwiazdy na niebie, a straszni jak piorun, kiedy niebo odmyka. A jednak skoro ich tylko spostrzegł, wiedział on naprzód, że zostanie mężów tych wodzem; że to będzie dla rąk jego narzędzie, przez które świat wytnie, jeżeli zechce. I stało się, jako przewidywał. Tłumy te zbrojne po krótkiej walce wszystkich przeciwko jednemu, poznały, że „był jak piorun, gdy lasy druzgoce.“ Okrzyknęli go Kiejzarem swoim... Po różnych przewagach i podbojach, których dokonywał to tu, to owdzie na czele plemienia tego: wtargnął on wreszcie w kraj swoich ojców, w dziedziny księcia Lecha. Był ostrzegany przez wszystkie władze elementarne, ażeby granic onych nie tykał: na przestrogi żadne on atoli nie zważał. Wtargnął zatem do Polski i rozpoczął bój, który zapowiadał zagładę wszystkim kraju tego mieszkańcom. Lech nie żył już wtedy; panowała nad narodem dziewica, córka jego — tasama, która mu otworzyła furty więzienia i dała konia, ażeby przed niebezpieczeństwem uchodził. Po bezskutecznym oporze, po wielu bitwach przegranych — przyszli przedniejsi dostojnicy polscy do obozu nieznanego sobie i z osoby i nawet z imienia herszta najezdców. W imieniu królowej swojej oświadczyli mu gotowość okupienia przymierza z nim ofiarami, jakichby tylko żądał. Prosił go — mówi poeta

„o pokój, i o ziemi bryłę

Taką, że ledwo dla nich — na mogiłę“...

Zwycięzca uniesiony pychą, odprawił posły owe szydyczko. Obiecał im mir żądany i łaskę, lecz pod warunkiem, którego przyjąć nie mogli, gdyż był upokarzający i boleśniejszy, niż ostrze miecza.

„Niech sama Wanda, płaczem i tęsknotą
Zmiękczone, przyjdzie nam do roztruchanów
Nalewać winą! Niech ją złotowłosą
Germany moje na tarczach podniosą!

A gdy przez ludy dzikie okrzykniona
Królową, z tarczy mosiężnej księżycą
Zaspiewa nam pieśń na nowe plemiona
I nasze dzikie dusze pozachwycą:
Ja wtenczas drżące otworzę ramiona,
Aby zleciała w nie, jak gołębicą

I wyprosiła usta różanemi

Co chce — niebiosą całe, czy pół ziemi“... (str. XXII i n.)

Z takąto odpowiedzią odeszli obydwaj wojewodzie do Wandy. Nie powrócili już więcej.

Następującej zaraz potém nocy pożalował Popiel tych słów zuchwałych i obelżywych. Ażeby cofnąć, co mu duma w usta włożyła: nazajutrz, zaraz za świtu, cały w zbroi żelaznej, podążył sam jeden ku zamkowi Wandy nad Wisłą. Zatrąbił u bram — zostały mu otworzone. — „Idź do królowej, rzekł smutnemu wojewodzie, który go wpuszczał do zamku, i powiedz „że mi słów moich wczorajszych szkoda“ —

„Zanadto ostre pokazałem lice!

Niech mi królowa wasza jasna, młoda

Naleje czarę, podniesie przyłbicę:

A może łatwo ten rozkaz wykona

Pieśń mi zaśpiewać — paść w moje ramiona“...

W milczeniu przyjęto te słowa jego. Poprowadzono go na niedaleki brzeg rzeki — ten był cały zapelniony tłumem narodu. Tam ujrzał Wandę, ale już wydobytą z topieli, martwą, położoną na stosie...

Cały ten epizod, zaledwie tu naznaczony w zarysie, przeprowadzony jest po mistrzowsku. Zespolenie mytu o Rytygierze i Wandzie z podaniem o Popielu, w taki sposób że działa w nich obydwóch jedna i tasama osoba, odstępuje wprawdzie od dziejowego przekazu; lecz zyskuje na tém prawdopodobieństwo podania o dobrowolném rzuceniu się Wandy w Wisłę. Zresztą i przez to pomysł ten się zaleca, że daje rzecz z nowej strony, a podobno z poetyczniejszej. —

Po tém wszystkiém czeladka Wandy przystąpiła do oboru nowego księcia. Zebrały się roki walne — i pod wpływem tej dziwnej ironii losu, która tak często isci się w świecie, skończyło się na tém, że okryto purpurą lechową tego właśnie, z którego powodu się Wanda rzuciła w topiel. Dawny pacholek ostatniego księcia siadł więc wreszcie na tronie polskim i rozpoczął

owo panowanie okrutne, którego groza żyje dotąd w podaniach narodowych.

Dokończenie pieśni drugiej i prawie cała pieśń trzecia wypełniona jest opisem najsroźszych, najwyszukańszych męczarni, jakich się ta demoniczna natura od tej chwili dopuszczała na narodzie sobie podległym. Co tylko zapamiętały dzieje o rzymskich imperatorach albo o późniejszych dręczycielach rodu ludzkiego z rodzaju Iwana Groźnego, wszystko to zgromadził autor w ramach panowania bohatera swojego. Opis tej tyranii pod względem artystycznym jest niezrównanej siły i barwy. Jedno tylko przy tym wszystkim nie dość dobitnie zdaje się być dokonaniem. Oto nietatwo jest dociąć, dla czego się ten duch wybrany i o całą nieskończoność wyższy nad ludzi zwyczajnych plamił takimi okrucieństwami?

Rozpatrzywszy się w całym założeniu tej części poematu i łącząc w jedno wszystkie do tego się ściągające, a rozpiechle po różnych miejscach w nim napomknienia: można wprawdzie dać na to zapytanie zupełnie wystarczającą odpowiedź; zawsze wszelako żałować trzeba, że punkt w utworze tak ważny potrzebuje dopiero komentarza i co gorsza, mógłby być nawet przedmiotem sporu.

Żeby myśl autora odgadnąć, zupełnie na bok tu usunąć należy podniętą zemsty. Matka wprawdzie wpajała mu w ducha myśl zemsty, kiedy był jeszcze dziecięciem. Mimo tego jednak nie z tego powodu pastwił się Popiel teraz nad tym narodem, że tenże obarczony był winą zagłady plemienia, z którego on pochodził. Opowiadanie poety, w całej tej części dzieła, niczem a niczem nie potrąca o to uczucie; i nie się też tu zgola takim ogniwem nie łączy z tym wszystkim, co poprzedziło. Co większa — znajdujemy tu jeden punkt, który stanowczo nawet obala podobne przypuszczenie. Wszakże wśród różnych okrucieństw swoich posuwa się Popiel wreszcie i do tej zbrodni, że własną matkę z lasów zwleczoną siepaczem swoim każe rzucić w płomień — z całą zresztą wiadomością, że ta ostatnia z rodu Wenedów nieczem przeciwko niemu nie zawiniła! (strofa LV i następna).

Powody działania jego nie wynikały przeto ze stósunku ras przeciwko sobie zwróconych, ani też z żadnych powodów osobistych. Wynikały one raczej z najogólniejszych, że tak powiem, światodziejowych względów: z potrzeb wieku, w którym Popiel żył, i z natury całej epoki, jaka wtedy trwała nad światem.

Były to czasy zastale, ciekące zwolna, w głuchej zanurzone pomroce, na którą nie spadały jeszcze ani pierwsze nawet błyski przedświtu dziejów, cywilizacyi, religijnych objawień — słowem wszystkiego, co przyjsć dopiero miało w przyszłości. Na pozór — było stan błogi.

„Do gwiazdzie morskich tajemniczej jaśni

Porównywałem to ludu zjawienie,

Który żył w chatach próżen wszelkiej waśni

A miał z jabłoni swój napój i cienie“...

(strofa XXIV Iszėj pieśni).

Lecz dla energii ducha, który nato tylko w tym społeczeństwie się zrodził, ażeby je popchnąć naprzód, było rodzaj bytu nieznosny.

„Sądząc, że nigdy świat się nie odmieni,

Obecność wtenczas mię dręczącą kłamię“. (str. XXXIII).

„I nic! — Urał mi ten świat cichością

I biegiem, co jak zółw za słońcem chodzi!

(str. XXXIV Iszėj pieśni).

Kiedy się bohater poematu wyniósł już na przywódce owego hufca Germanów, z którym przebiegał i nękał ludy ościenne, zależało to od jego już tylko woli, zamącać i przerywać tę głęboką ciszę epoki. Ale od owiej chwili zaczął mu się dawać czuć inny znów niedostatek.

„Z barbarzyńcami — sam — na uroczyskach

Człowiek - duch — pilnie uważałem cuda,

Które się jawią przy ludów kołyskach,

A nikną, gdy się szczep na drzewie uda.

Lecz zaszczepienie przy piorunnych błyskach

Odbyte, a strach w powietrzu i nuda,

Które panują takim chwilom świata,
Trwożą jak pianie kurów u Piłata.

„Zda się, że ciągle ptaki ranne pieją,
A pianie smutne jest, jak krzyk dzieciny.
Przed rannym strachem niebios a ciemnieją,
Więcej wychodzi gwiazd na błękit siny —
Ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją
I przerażeni cichością godziny
Gotowi zaprzecić się bożego ducha,
Obzierają się jak zbójce — czy słucha?..“

(strofy XVI i XVII w II-giej pieśni).

Podnosi tu autor, jako więc znamiona przeddziejowego bytu narodów: owę ciemność i próżnię i nudę duchową, która umysły przygniata, jak strach jakiś całe napęniający powietrze, i tylko być może przyrównaną do długiej a strasznej nocy, o której wiadomo że się kiedyś skończy, ale co po niej przyjdzie, niewiedzieć! Sumienia lękają się owę godzinę brzasku, niezadługo już nadejść mającej. Znaki, które tę godzinę zwiastują, przerażają jak piorun i trwożą jak „pianie kurów u Piłata“, które przypomniały Piotrowi, że się Boga swojego zaparł. Tak w naturze jak w świecie moralnym, im bliższy jest czas poczęcia się brzasku poranka, tém noc zdaje się być ciemniejszą, tém więcej rodzi się zbrodni z jęj łona — „ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją“; tém większa na koniec gotowość w społeczeństwie, postąpić sobie jak Piotr i zaprzecić się ducha bożego.

Owoż tento stan nieznośny, ten stan trapiący całe społeczeństwo, ten brak zupełny wszelkiego moralnego punktu oparcia... to jest to, w czém upatruję bodziec do czynów, jakie autor w poemacie bohaterowi swemu popelniać każe. Ojczyzna nasza w owym czasie religijnych objawień jeszcze nie miała. Były jakieś obrzędy, jakieś kapłaństwa, jakieś dorywcze, mętne przypomnienia wyobrażeń przyniesionych z kolebki jeszcze narodów, z nad brzegów Gangesu.

„Czasami tylko jaki zwyczaj dawny
Indyjski, naksztalt złotego upiora
W lasach powstanie...“ (str. XXIX w pieśni Iszėj).

Ale te mdle błyski zapomnianej dawno religii nie mogły wystarczać potrzebom społeczeństwa. Było tedy — jeżeli nie w narodzie — to przynajmniej w jego panującym pragnieniu, ażeby się ta noc straszna i długa skończyła wreszcie. I stądto powziął Popiel postanowienie — zmusić niebo do objawienia prawd swoich, jeżeli je ma, i jeżeli bóstwo w niem jest...

„Postanowiłem niebios a zatrwożyć,
Uderzyć w niebo, tak jak w tarczę z miedzi;
Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć
I kolumnami praw, na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
Aż się pokaże Bóg w niebiosach — błady.

(str. XLII w pieśni II).

Doświadczyć tedy i przekonać chce się ten nieokiełznany żądniem jeszcze moralnym wędzidłem mocarz zwierzęcego dziejów okresu — czy czuwa wyższa jaka sprawiedliwość i opieka boża nad światem, czy też przeciwnie jest to pole bez właściciela, po którym wolno sile mocniejszego pławić się we krwi bezkarnie. Jeżeli z niebios patrzy oko jakie na ziemię: to go Bóg obliczem swoim w zapędzie zbrodni powstrzyma. A jeżeli go ani obliczem swoim nie przerazi, ani nawet nie ostrzeże żadnym znakiem na niebie: —

„To ludzie są proch — i ja jestem prochem,
Na jeden tu dzień jak miecz ukowany!
A tém straszniejszy — że go własne siły,
Nie duchów ręce z ziemi wyrzuciły.“ (str. XLV).

Przez długi czas umacniało go wszystko już w przypuszczeniu, że co się tu dzieje na świecie, nikogo nie obchodzi tam w górze. Wysyłał gromadami całami najniewinniejszych na stosy; cały swój dowcip zużywał na wymyślaniu najwyrzafinowańszych katuszy. A niebios a? — niebios a ciągle na to wszystko spozierały w milczeniu.

...„Niebios błękitnych framugi,
Jakby o zdjętych nie wiedziały głowach,
Patrzyły na to ciche — obojętne...“ (str. XLVII).

Mysłał, że przynajmniej nocy jego powinnyby być pełne niepokoju i trwogi; rozumiał, że dnie — „jak nocy bez gwiazd“ będą dla niego czarne i klócone jękiem tych ofiar po całym kraju z rozkazu jego ginących... Ale i tego nie było. Nocy jego były ciche — spokojne; dni mu płynęły, jak dawniej.

I nie! — Ten straszny duch, któremu wojnę

Wydałem, dziecko zostawił bezkarne;

A ja podniosłem pierś dumną i twardą,

Gotów do końca walczyć — z bożą wzdardą“. (str. XL)

Jednakże miała ta nierychliwość rządów bożych trwać przecież aż do pewnej tylko granicy. Dopóki Popiel pastwił się tylko nad ciałami; dopóki duchom (jak się poeta w str. LIV wyraża), kruszył tylko „łódź i wiosło“: dopóty znosiły nieba tę tyranią jego cierpliwie. Lecz właśnie przeto posunął on się i dalej jeszcze. Widząc nadaremność usiłowań nad zbadaniem tajemnic, dla odchylenia których puścił się taką drogą; podrażniony odkryciem, że nie ma w niebie nikogo, coby dbał o sprawy ludzkie, a jeśli jest, to chyba jemu uraga, kiedy nie odpowiada jego wyzwaniu: z rosnącą namietnością — z szaleń, jaki tylko poddać może oburzenie i mściwość, zaczął broić teraz już przeciw naturze i przeciw duchowi. Chodziło mu już tylko jakby o ukazanie w całym blasku, owęj nicości i nędzy podobnego ustroju świata! Kiedy więc w tym kierunku doszedł aż do owego kresu, że oddał na mękę i śmierć matkę własną; kiedy potem wysłał siepaczków przeciwko Świtynowi, „którego, jak sam powiada, kochał i szanował jak ojca“ (str. LXVI); kiedy na koniec dopuścił się morderstwa i na natchnionym z ducha harfiarzu, na nieuleknionym, choć cichym i wiernym i upodobanym Bogu Zoryanie: — wtedy dopiero ukazały się na niebie wreszcie owe znaki ogniste, na które czekał... Właśnie w chwili, kiedy i z dumą tryumfatora i zarazem z rozpaczą sieroty — w poczuciu i władzy żadną nieścieśnioną granicą, i całej nędzy swojej moralnej — zawołał do towarzyszy:

„Nic niema na niebie!

Ja sam, jak Pan Bóg, będę sądził siebie!

• • • • •

Tę noc na uczcie! Jutro dzień pokuty

Dla mnie i dla was zbrodni wykonawców!“

(strofa XXV i XXVI w pieśni III)

w tej dopiero chwili obwieścili mu znaki owe na niebie, że niebo zlekło się o świat i kładzie koniec jego bezprawiom.

Owoż takieto, zdaje mi się, były powody, dla których poeta, pomimo tego że tak idealnie stawiał wizerunek bohatera swojego przed wniściem tegoż w żywot cielesny, dał mu potem przeżyć ten żywot w taki sposób zbrodniczy. Z tego też tylko punktu widzenia daje się wyrozumieć, co w jednym miejscu mówi król-
duch o sobie:

„Lecz co dziwniejsza — że tak próchniejący,

Taki upadły i taki zużyty,

Czasem się czułem, jak anioł gorący,

Gotów ukochać świat i nieść w błękity...

(strofa LVIII w pieśni II).

Na tensam wykład całego pomysłu naprowadzają wreszcie i wiersze w jednej z ostatnich strof całego tego rapsodu, w których Popiel powiada:

„Taki był koniec mojego żywota

Śpiewany długo w kraju przez rapsodów,

Którzy nie doszli, w czém była istota

Czynów? w czém wyższość od rzymskich Herodów?

Nademną była myśl słoneczna — złota!

Do niej moc ciemnych, okrwawionych wschodów
Wiodła mnie prosto... itd.

Szedł więc przez życie zbrodniami, ale szedł w górę — do ideału i wiodł społeczność swoją w przyszłość. Że najniższe wschody w tej drabinie wiodącej w górę były „okrwawione i ciemne“, to nie było winą człowieka. Było to wynikiem wieku. Zresztą naród i skądinąd jeszcze potrzebował tej szkoły. Od tego dopiero bowiem też czasu zaczęli synowie tej ziemi umieć i żyć i umierać. „Trwoga śmierci“, „miłość życia“ — nawet za cenę, jakiej to życie nie warto — wymazane zostały od owego

czasu począwszy ze słownika narodowego! Sąto u nas już tylko wyrazy tłómaczone z obcych języków!..

„Idźcie! Już więcéj nie jesteście sługi

Mojéj wściekłości, lecz rycerze twardzi!

Kupiłem naród krwią — i nad jéj strugi

Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi.

(str. XXXIII).

„To też przezemnie ta ojczyzna wzrosła...

I pchnięciem mego skrwawionego wiosła

Dotychczas idzie

Fala ją druga nieraz z drogi zniosła

I duch jéj święty poszedł w kwiaty ciała

Bezwonne, martwe; lecz com ją wycisnął

Pod krwią, tém zawsze zwyciężył, gdy błysnął!“

(str. XL).

Powyższy rapsod był pisany, jak z różnych względów daje się wnosić, w roku 1846. Kiedy wychodził z druku, były już ukończone i dwa dalsze rapsody, czego dowodzą różne skazówki spotykane w dotyczących manuskryptach poety. Ponieważ do ogłoszenia rzeczonych dwóch rapsodów bezpośrednio po ukończeniu takowych nie przychodziło, a autor od pracy dalszej nad poematem tym nie odrywał się: w prostém tedy następstwie tego bywało nieraz, że niezadowolony później ze sposobu, jak to lub owo w pierwszym rzucie wykonał, w dalszych latach zmieniał często plan poematu całego. Co pociągało za sobą konieczność przerabiania coraz inaczej części dawniej już ukończonych.

Nad jednym z dalszych rapsodów (nad tym, który w edycji mojej otrzymał nazwę trzeciego) znaleźliśmy w autografie położoną owę odezwę do Polski, którąśmy z zmianą jednego wyrazu zamieścili na czele całego dalszego ciągu Króla-Ducha, t. j. znaleźliśmy takie słowa:

„Polsko! Ofiaruję ci rapsod drugi Króla-Ducha. Pierwszy leciał szybko, jak wiatr błyskawicy — ten się wlecze jak wół, pracowitym krokiem“... itd.

Okoliczność ta upoważnia do wniosku: najprzód, że była ta odezwa widać pisana w chwili, gdzie autor zabierał się już do ogłoszenia i téj przynajmniej części dzieła swojego, czego później przecież zaniechał; dalej, że było myślą jego naówczas, pozostawić w tece na zawsze i nigdy nie publikować téj pieśni, która w wydaniu naszym dana jest jako rapsod drugi. „Drugim rapsodem“ miało się nazywać opracowanie owéj legendy o Piaście, które stanowi obecnie trzeci rapsod. Tego samego dowodzi i urywek „Planu Króla-Ducha“, dany na końcu lwowskiego tomu IIgo, a niezawodnie napisany w tymże czasie; w tym planie bowiem także nie ma żadnej wzmianki o tamtéj części poematu.

Z powodu, że mimo tego wszystkiego nawet i w owym znowu czasie nie przyszło do oddania rzeczonej części dzieła do druku, stało się że i ten kształt rapsodu o Piaście i Ziemowicie podlegał w dalszych latach nowemu znowu przelaniu. I takie koleje przechodziły prawie wszystkie ustępy szczególnego tego w rodzaju swoim utworu. Prawie zawsze autor, jak ze wszystkiego wynika, odkrywał w nich jakieś niedostateczności czy to pod względem wykonania, czy samego nawet pomysłu; i dlatego nieraz całe partye, a jeszcze częściej mniejsze ustępy wstawiał i przestawiał coraz inaczej.

W skutek tego autograf Króla-Ducha, w tym stanie, jak go znaleziono po zgonie Słowackiego, przedstawia prawdziwy stos najróżniejszych papierów. Postać tego, co one w sobie mieszczą, jest chaotyczna nad wszelkie wyobrażenie. Są w nich i pierwsze rzuty i wszystkie kolejne przerobienia — bez skazówki, co autor ostatecznie za odrzucone, a co za poprawione uważał. Nie przypuszczając oczywiście poeta, żeby nie miało być dano jemu samemu kiedyś uporządkować tego bezliku dopisów, odmian, poprawek i coraz innych redakcyi, nie widział potrzeby dawać w rękopisie swoim skazówek, po którychby i ktoś drugi potrafił się oryentować w tym labiryncie. Dlatego na jednéj i téjsaméj nieraz karcie są strofy tuż po sobie następujące, lub też pisane obok na marginesie, które mimo to nie mają ze sobą żadnego związku, ale się odnoszą do najrozmaitszych pieśni. W braku zewnętrznych znamion, któreby o tém ostrzegały, że to rzeczy różno-

rodne i niespójne ze sobą, sam sens tylko wewnętrzny daje niekiedy odgadnąć, dokąd z nich która należy.

Wspominam o tém wszystkiém z dwóch przyczyn. Raz dla tego, że mi się zdaje, iż warto jest wiedzieć o tém, z jakąto sumiennością i jak mozolnie prowadził Słowacki pracę, przez którą spodziewał się zostawić narodowi trwałą pamięć po sobie. Powtóre mówię o tém dlatego jeszcze, ponieważ chciałbym wytłumaczyć czytelnikowi „Dalszego ciągu“ Króla - Ducha, dlaczego w wielu miejscach znajduje on tam tak nieszczerne i niezręczne połączenie ustępów, a nieraz i luki całe pomiędzy nimi pozostawione otworem. Nader często było tu prawdziwém podobieństwem uczynić zupełnie zadość wszystkim obowiązkom wydawcy. A i to niedostateczne z zadania wywiązanie się, jakie się osiągnąć dało, kosztowało i czasu i trudu nierównie więcej niżby niejednen przypuszczał. Chodziło bowiem o zestawienie przed sobą wszystkich, po całym papierów stosie rozprószonych, a co raz innych redakcyi każdego poszczególnego ustępu; dalej o wybór téj właśnie wersyi, która się z jakiegobądź powodu najwięcej ze wszystkich zalecała; a nakoniec o spojenie ze sobą tych wszystkich wybranych cząstek w jeden nierozzerwany wątek, bez fałszowania myśli poety i nie pozwalając sobie odmienić ani wyrazu! Gdzie zatem już przez samego autora pozostawione były, że tak powiem, szczyrby i wyrwy — do zapelnienia ich później, w chwili ostatecznego wiązania wszystkich szczegółów w całość: tam oczywiście i teraz okazują się próżnie albo przykre przeskokki z jednéj materyi w drugą.

W ciągu tego zajęcia nieraz przypominały mi się domysły filologów o sposobie, jakim do skutku przyjść musiała ostateczna postać Iliady i Odyssei. Ale zadanie Onomakrita było wdzięczniejsze! Mógł on z rozlicznych rapsodyi składać ukończone całości; a nasze dzieło pozostanie na zawsze tylko fragmentem...

Teraz niech mi wolno będzie dołączyć kilka jeszcze uwag z osobna o każdym z rapsodów, stanowiących ogłoszony niedawno temu dopiero Ciąg dalszy poematu.

Rapsod drugi Króla - Ducha obejmuje pieśń tylko jedną. Ma za przedmiot: przedstawić koleje, jakie bohater poematu przechodził wyzuwszy się z ciała Popiela, i podlegając na drugim świecie różnym pokutom i próbom, zanim mu przyszło odrodzić się znowu na ziemi w nowym żywocie. Miał tu poeta przed sobą do zdobycia nieokreślone obszary wyobraźni. W ślady idąc Wirgilego i Danta, mógł być zaludnić te światy zagrobowe całym tłumem typowych istot, niegdyś żyjących na ziemi, a obecnie splacających winy i zbrodnie żywota. Miał sposobność okazania wszystkich bogactw nieznuzonej i nigdy niewyczerpanej swojej fantazyi. Można się było spodziewać w téj części jego utworu tém dramatyczniejszego i fantastyczniejszego obrobienia przedmiotu, że i jemu samemu nie były obce, w dawniejszych przynajmniej latach, chętki zapuszczania się myślą w te światy Styxem i mogiłą odgraniczone od naszego padolu.*) Z tém wszystkiém nie znajdujemy w rapsodzie tym nic zgola, coby odpowiadało podobnym oczekiwaniom. Widocznie Słowacki odsunął stanowczo na bok od siebie wszystkie te pokuszenia, które wyzywać mogły do wysilen samę tylko wynalazczą imaginacyą poety. Nie chodziło mu bynajmniej o zmyślenia, o artystyczne ale dowolne rojenie czegoś, coby tylko bawić mogło czytającego. Chciał jedynie to opowiadać, w co wierzył; i pozostał nawet w téj części poematu wiernym założeniu, jakiemu całe to dzieło swoje poświęcił.

Z téjto przyczyny, ile mi się zdaje, pochodzi, że cały opis cierpień ducha obarczonego winą na drugim świecie i to wszystko, co o pobycie jego tamże autor powiada, zbyte jest zaledwo trzynastu strofami. Są to tylko najogólniejsze i że powiem, olówkowe rysy obrazu. Cały ostateczny sens rzeczonych 13 strofek, umieszczonych na samém czele rapsodu, mieści się oto w tych kilku wierszach:

O téj krainie żaden duch nie gada,
A nawet onych mąk pamięć utracą;
Bo pamiętać taka, choćby jaka blada,
Niweczy ciało gorzej, niżli praca,

*)Poema Piasta Dantyszka o Piekło.

Niż nędza, która wnętrzości wyjada,

Niż przyjaźń, która zdradą się odplaca...

Dla mnie — zniknęło męczarni oblicze

I od świtania w niej... znów czasy liczę.

(strofa XI).

Począwszy od strofy XIV poczyną się też już opis właśnie owego „świtania w męczarniach“. Przysłane zostają do pokutnika naszego dwa duchy, które mu obwieszczają, „że grzechy jego zostały odpuszczone“ i że poruczone mu jest do spełnienia wielkie zadanie w przyszłości, zawsze w obrębie jego ojczyzny (strofa XIX). Ponieważ — dla dopełnienia reszty tych wszystkich przejść bolesnych, jakie mu za karę były odmierzone na tamtym świecie — bohater poematu jako duch, a raczej upiór przytomnym, a nawet współdziałającym i na ziemskiej zdarzeń widowni także być musi przez czasu przeciąg niejaki: zstępuje zatem na ziemię i zjawia się jako widmo Popiela owym 12 wojewodom, którzy rządili po jego zgonie nad Polską. Widok bezprawi, jakie się działy pod tych dwunastu rządami, i za panowania Popiela II, stanowi właśnie jedno z największych udręczeń tej duszy pokutującej. Widzi on bowiem, że to wszystko złe dzieje się właśnie pod jego sztandarem, w jego imię, torem tradycji od niego datujących w narodzie. — Począwszy od strofy 37, świt przebaczenia win jego zaczyna jaśnieć słoneczniej: losy narodu przechodzą pod zarząd kmiotka owego z Kruszwicy, który sam jeden wtedy w ojczyźnie nosił w sobie owo Słowo narodu, które rozwinąć do zupełnej pełni i blasku było ostatecznym króla-ducha zadaniem. Podług założenia poety, owym Piastem byłto nie kto inny, jak Zoryan, ów prorok i harfiarz spalony przez Popiela na stosie. Duch tensam, tylko — jak się autor wyraża: „na nowiej kwitnący lodydze“, t. j. odrodzony w innym żywocie.

Rządy Piasta i najbliższych z jego pokolenia były błogie, kojące rany narodu; ale były bez sławy, bez wielkości, bez rozgłosu. Były to pokorne i tylko potulne tony, wydzielone z tej świetnej i bogatej symfonii, która grała całym chórem za czasów Popielowych — mimo okrucieństwa, które jej harmonią kłóciły. Bez względu na to — choć tak wielce znizony i stłumiony został

nastrój tej społeczności kierowanej ręką Piastów: bohater poematu, duchem już uniżony przed Bogiem, dobrze życzy temu rodowi na tron jego powołanemu i zlewa swoje błogosławieństwo na wszystkie hasła i postęпки jego, na wszystkie drogi, któremi naród pod jego kierunkiem pójdzie, na całą tę pokorę, jakiej znamię Piast dopiero na społeczeństwie wyciska; słowem na wszystkie włókna i atomy, składające całe jestestwo ojczyzny. Po ostatniem, po siódmém błogosławieństwie — „spojrzał Pan na ducha tego litośnie“ — i dał mu wreszcie usnąć po wiekowych trudach i mękach. Ten spokój i odpoczynek po strasznej pracy — to największe szczęście, jakie czasami osiągnęły duchy wybrane.

„Niech nikt nie myśli, że jest upominek

Dla ducha większy jaki — nad spoczynek!“

wyrzekł poeta nasz jeszcze w jednej ze strof rapsodu pierwszego. Otóż dozwala Bóg teraz i temu znękanemu duchowi zasnąć z uśmiechem i z ciszą w myślach, wcieliwszy całe jestestwo jego w ojczyznę. I tak przeminął znowu wiek cały. Ani czuł bohater pieśni, jak wśród wiekowego tego snu i uśmiechu jego w ojczyźnie — owe zrazu tak czyste miody piastowe już znowu mącić i brudzić się zaczynały. W ciągu czasu, który wszystko niweczy, i te tradycje się więc zużyły! Chata kołodzieja z Kruszwicy, niegdyś nawiedzana przez anioły, „zwolna traciła swoje złote goście“ (strofa LVI). Więc wreszcie niepokój i rwanie się do życia znów króla-ducha zaczyna ogarniać; — i przyszła z wyroków bożych godzina, gdzie czynność jego na ziemi stała się koniecznością. Rodzi się jako człowiek śmiertelny — imię mu teraz Mieczysław I...

Aczkolwiek cały ten pomysł rapsodu — z punktu widzenia poety — dokładnie i z konsekwencją jest przemyślany: — zaprzeczyć tego jednak nie można, że wrażenie, jakie sprawia na czytelniku, mniej jest korzystne, aniżeli oczekiwanie, z jakim go się bierze do ręki. Przeprowadzenie pieśni poprzednich jest szczęśliwsze. Więcej tam jest ruchu, różnaitości, zdarzeń przedmiotowych — słowem osnowy. Treść rapsodu drugiego, zamknięta

wylącznie w subiektywizmie opowiadającej osoby, sprawia: że ta część poematu wygląda jakoś i mgliście i ubogo. Ta też okoliczność zapewne była jedyną tego przyczyną, że autor w późniejszych latach odrzucił ten rapsod jako nie zasługujący na ogłoszenie; a natomiast postanowił doczepić do rapsodu ogłoszonego drukiem bezpośrednio ten rapsod trzypieśniowy, który w wydaniu lwowskim zajmuje trzecie miejsce w składzie całego poematu, t. j. powieść wyłącznie za przedmiot swój mającą wspomnienia Piasta. Te kilka wzmianek, które koniecznymi się zdawały o zamogilnych losach bohatera, nieobecnego przez cały ten ciąg czasu na ziemi, miały być w rapsodzie tym rzucone już tylko mimochodem — w ustępach, gdzie się do tego nadarzała sposobność.

Teraz słów jeszcze kilka o wariantach tego rapsodu. Obrobień całkiem odmiennych „Rapsodu IIgo” jest w ogóle trzy. Jedno daliśmy w texcie. Drugie obrobienie dołączyliśmy pomiędzy dodatkami na końcu II tomu dzieł Słowackiego pośmiertnych od strony 343 do 352. To „drugie obrobienie” znalazłem w dwu odrębnych redakcyach, które się jednak w drobniejszych tylko szczegółach różnią od siebie. (Mniej wykończoną redakcją i nie doprowadzoną też do samego końca, dałem drukować w Dzienniku lwowskim Literackim Nr. 85 roku 1865, strona 797 i 798). Widoczną rzeczą jest, że podług tego „drugiego” obrobienia, miała to być pieśń dołożona do rapsodu o Piaście jako jego dośpiew; i rzeczywiście znachodzi się też nad lepszą redakcją tej warianty w autografie napis: „Pieśń dopisana”, któryto wyraz poeta następnie przekreśliwszy, położył natomiast tytuł: „Dokończenie”. — Trzecie nakoniec obrobienie było tylko częściami zaczynane i zawsze urywane wśród pracy: pozostały z niego tylko luźne ustępy, niełączące się w żadną całość. Cały szereg tych oderwanych fragmentów pozostawiłem w rękopisie, wyjąwszy trzy urywki szczególnie godne uwagi, które (na str. 352 — 359) są dołączone do Dodatku tomu IIgo.*)

*)Wszystko z pośmiertnych Słowackiego papierów, co tylko nie mogło znaleźć pomieszczenia w tomach przezemnie wydanych, zosta-

Przystępuję teraz do rapsodu o Piaście, który w wydaniu lwowskim nosi nazwę **Rapsodu trzeciego**. Wykładu wewnętrznej jego osnowy dać nie zamierzam, raz dlatego że byłbym zmuszony zbyt długo zatrzymywać się w tym rozdziale nad tym jednym Słowackiego utworem; a potem i z przyczyny, że co w tym rapsodzie jest jasne i piękne i wykończone, (a nie brak mu na ustępach skończonój, posagowój nieraz piękności): to wyrozumie każdy czytelnik i bez mego komentarza; co zaś jest oczywistą tylko allegorią mistycznych pojęć, to zbyt jest trudnem do tłómaczenia przy zupełnym braku klucza do tych wszystkich symbolicznych wyobrażeń w nim rozwiniętych. Całe np. przedstawienie Pychy słowiańskiej, wykradzenie przez nią ducha Ziemowitowi, pobyt jęj i czarodziejstwa przez nią dokonywane na górze Zober, Wodan — są to wszystko figuryczne jakieś pomysły, w które nam niepodobno jest prawie do rdzeni wnikać — w duchu autora. Mógłbym o tém wprawdzie udzielić moich myśli; nie wiem jednak, czyby podmiotowe moje zdanie o tych ustępach było rzeczą dla kogo pożądaną. Pomijając zatem zupełnie wykład rapsodu trzeciego, poprzestane na udzieleniu tu kilku tylko szczegółów o stanie, w jakim się ta część Króla-Ducha w papierach pozostałych Słowackiego znalazła, i o liczbie wariantów tego rapsodu.

Rapsod niniejszy znalazł się opracowany niemal całkowicie, a zawsze inaczej — cztery razy. Jedno obrobienie, na trzy podzielone pieśni, znalazło pomieszczenie w texcie drukowanej edycji. (Dodano mu tam jednak początek, jako też i zakończenie, wzięte z innych wariantów. Obacz stronę 201, 206 i 225). — Drugie obrobienie, w jednej tylko pieśni objęte, ale zawierające zupełną całość — nie bez wielkich zalet artystycznych — dałem prawie całe między wariantami stanowiącymi Dodatek do tomu II, od str. 360 — 368. (Opuściłem tylko jego początek i koniec, jako mało odmienne od tego, co zostało wzięte do textu. Środek zaś cały rapsodu, będąc i najwięcej odrębny i wy-

ło za zezwoleniem rodziny poety złożone w Bibliotece Ossolińskich. Może kiedyś zrobi kto jeszcze i z tego jaki użytek,

bornie oddany, odbity jest cały na rzeczonych stronicach). Te dwie redakcje zdają mi się być ostatnie. Wnoszę o t $\acute{e}$ m z tego mianowicie, że „drugie obrobienie“, jak je tutaj nazywam, znalazło się już przepisane na czyste r $\acute{e}$ k $\acute{a}$ samego autora; przepisywanie „pierwszego“ podobnie $\acute{z}$ było przez niego samego zacz $\acute{e}$ te, ale ju $\acute{z}$ od siódmej zwrotki zastąpił tu poetę w kopiowaniu młody jego przyjaciel Szcz $\acute{e}$ sny F. Ten odpis wspólny obu przyjaciół zdaje się być późniejszym od powyższego; a więc byłaby to redakcja najpóźniejsza ze wszystkich i dlatego też j $\acute{e}$ to właśnie dałem pierwszeństwo nad innemi). — Trzecie obrobienie także się dzieli na 3 pieśni, ale w nich i rzecz sama i cały sposób przeprowadzenia takowej odstępuje najzupełniej od wszystkich innych redakcyi. (Król-duch wcielony tu jest w Wodana). Obrobienie to w całości dałem oddrukować w lwowskim Dzienniku Literackim r. 1865 Nr. 83—85. Pierwsza zaś pieśń jego, jako najwięcej wykończona i z różnych względów najbardziej godna uwagi, znalazła prócz tego jeszcze miejsce i w wydaniu dzieł Słowackiego między wariantami danymi na końcu II tomu, str. 368—379. Ta „trzecia“, jak ją nazywam, redakcja zdaje się być najrychlejszą ze wszystkich. — Czwart $\acute{e}$ m nakoniec obrobieniem można by nazwać ten cały bezlik urywkowych ustępów, rozproszonych po różnych częściach całego rękopisu, który zwolna powstawał w ciągu lat kilku. Ustępy te żadnych całości nie stanowią, obejmują jednakże niekiedy po kilka i kilkanaście zwrotek. Z t $\acute{e}$ jto kategorii wariantów wzięty jest wstęp i zakończenie, doczepione do rapsodu trzeciego, jak takowy wstawiony został do tekstu.

Tylokrotne przerabianie jedn $\acute{e}$ j i t $\acute{e}$ jsam $\acute{e}$ j rzeczy wskazuje na szczególną trudność przedmiotu. Stanowiła ją ta okoliczność, że w ogóle rapsod ten w budowie całego poematu zajmuje jakieś wyjątkowe poło $\acute{z}$ enie. Podczas gdy zdarzenia w innych rapsodach obj $\acute{e}$ te składają się na żywoty króla-ducha i jako własne jego czyny s $\acute{a}$ też opowiadane zawsze przez niego samego: w tym rapsodzie rzecz jest o Piaście i jego rodzinie, z którą bohater poematu nie tylko nie miał żadn $\acute{e}$ j wspólności, ale nawet nie żył wtedy na ziemi, kiedy się to wszystko działo... Otóż była tu dla poety trudność w t $\acute{e}$ m, że się nie nast $\acute{r}$ ęczała żadna osoba,

k $\acute{t}$ óraby była mogła być snadnie użytą za opowiadającą owe piastowe legendy. Wł $\acute{o}$ żyć rzecz i tutaj w usta królowi-duchowi — to miało swoje znaczne niedogodności. A dać t $\acute{e}$ powieść od siebie, jako po prostu od autora — tego Słowacki nie mógł ju $\acute{z}$ z t $\acute{e}$ j bardzo prost $\acute{e}$ j przyczyny, że z zało $\acute{z}$ enia cał $\acute{e}$ j niniejsz $\acute{e}$ j kreacyi i z najgłębsz $\acute{e}$ j, posuni $\acute{e}$ t $\acute{e}$ j u niego do dogmatyzmu wiary, identyfikował osobę własną z bohaterem dzieła swojego i nie w innym sensie przesuw $\acute{a}$ w ni $\acute{e}$ m w $\acute{a}$ tek całych jego dziejów mistycznych, jak że to jest własna jego odwieczna przeszłość, własna jego coraz się powtarzająca palingeneza, a $\acute{z}$ do obecnego żywota, w k $\acute{t}$ órym mu wypadło iść do posłannictwa swoje w roli poety i walczyć z szatanami epoki — na polu myśli, potęgą słowa...*)

Rapsod czwarty, zatytułowany Miecz a Sława, łączy się bezpośrednio z rapsodem drugim, jako jego najwłaściwszy ciąg dalszy. Legenda o Piaście w trzecim rapsodzie rozrywa z pewną niedogodnością t $\acute{e}$ ścisłą łączność. — W nowym tym rapsodzie daje poeta wizerunek dalszego znowu żywota swojego bohatera. Duch Popiela otrzymawszy przebaczenie od Boga za to wszystko, co zgrzeszył, rodzi się jako człowiek na nowo i zostaje wcielony w osobistość Mieczysława I. Znowu tedy prowadzi dalej opatrznosciowe swoje nad Polską posłannictwo w osobie panującego. Wartość czterech pieśni, na k $\acute{t$ óre się rapsod ten dzieli, nie zawsze ma się do siebie w równym st $\acute{o}$ sunku. Dwie pierwsze pieśni s $\acute{a}$ bez porównania i więcej wykończone i treściwsze, aniżeli obie ostatnie. Młodość Mieczysława — jego ślepot $\acute{a}$ — postrzy $\acute{z}$ yny i odzyskanie wzroku przesł $\acute{e}$ cinnie to wszystko jest opisane. Z wielkim tak $\acute{z}$ e wdziękiem przeprowadzona jest opowieść o swadźbie, o przybyciu do Polski i zaślubieniu Dobrawny czeskiej. Nie bez zalet niepospolitych

*) Kto by się chciał dowodnie o t $\acute{e}$ m przekonać, niech z sobą porówna następujące miejsca w różnych rapsodach Króla-Ducha: W Tomie II strony 202 strofa IV. Strona 204 str. XI. Strona 254 i 255 strofy XXXI—XXXV. Strona 265 str. LXXIV. Str. 268 strofa X. Strona 288 strofa III. Strona 289 strofa IX. Strona 327 strofa VI. Strona 337 strofa II i IV. Strona 356 strofa I.

jest i dalszy ustęp, w pieśni trzeciej, traktujący o rozmaitych wrogach, którzy się równocześnie wala na państwo Mieczysławowe. Ku końcowi pieśni rzeczonyj natchnienie poety słabnie, a raczej przemaga tam znowu owa mglista mistyczność, gubiąca się w abstrakcyach przyswojonej doktryny. Widzenie Mieczysława, mające za przedmiot całe dzieje powszechnie, nie może zająć czytającego. O ile jest podobnym do rozumienia, nie przechodzi granic najzwyczajniejszych wyobrażeń i graniczy prawie z trywialnością. O ile zaś usuwa się z pod możności wykładu, nie może mieć dla nikogo żadnego zgoła znaczenia. Jeszcze gorsze wrażenie sprawia osnowa pieśni czwartej, w której Dobrawna długo i szeroko swoje znowu opowiada wizye Mieczysławowi. Wizye te prawie całkowicie nazwać należy dla czytającego zagadką. A zagadka ta tym więcej sprawia w tym właśnie miejscu niesmaku, że następuje tuż po ustępie takiejże treści, nuży zatem jednostajnością. Sam koniec pieśni czwartej ma znowu rzewne strofy i głębokie nieraz pomysły.

Wariantów w granicach i tego rapsodu okazała się liczba niemała, lecz właściwie tylko w zakresie samej pierwszej pieśni. Odmiennych opracowań tej pieśni, gdybyśmy z nich takie tylko tutaj liczyli, które przynajmniej połowę całej pieśni wynoszą, wykazałoby można siedem. Gdyby zaś zliczyć krótsze odmianki, znachodzące się jako luźne, z kilku tylko złożone strofki urywki, rozrzucone po całym rękopisie: to liczba ta okazałaby się trzy razy większą. Sąto kawałki wielkich niekiedy zalet; odnoszą się to do tego miejsca, to do owego. Różnią się pomiędzy sobą tylko sposobem wyrażenia i w ogóle formą — nigdy zaś rzeczą. Niepodobno z nich jest atoli złożyć całości. Text pierwszej pieśni, zamieszczony w wydaniu mojem, obejmuje w sobie — o ile się to tylko uczynić dało — zestawienie najlepszych poszczególnych wariantów, jakie tylko się znajdowały w tych tak licznych opracowaniach. — Dalsze pieśni tego rapsodu okazują się już więcej z pierwszego rzutu. Pieśń druga miała tylko w jednym miejscu pierwotnie przez kilka oktaf inne rzeczy samej przeprowadzenie, które autor potem przekreślił i odmiennymi szczegółami zastąpił. Obie pieśni ostatnie znalazły się w brulionie bez za-

dných przeróbek i zdają się też być w ogóle zgoła niewykończone. Tak np. koniec pieśni drugiej i początek trzeciej traktują w podobny sposób rzecz zupełnie tęsamę; coby być oczywiście nie mogło, gdyby ta część poematu była otrzymała wykończenie należne. Wydawca musiał to wszystko, jak się samo rozumie, wstawiać w text w tej postaci, jak ją w autografie znalazł — choć nie bez świadomości, że niejednemu ustępowi brakuje związku z całością, jasności i oglady...*)

W Rapsodzie piątym spostrzegamy króla-ducha w nowym znowu żywocie. Duch niegdyś Popiela, później Mieczysława, przechodzi na świat i teraz znowu jako władca narodu, powołany do posunięcia przeznaczeń jego o krok dalej ku wytkniętemu ojczyźnie naszej przez opatrność celowi. Imię mu teraz Bolesław Śmiały. — Rapsod ten obejmuje pieśni cztery, nie jest jednakże ukończony. Zdaje się, że rzecz ta zaledwie doprowadzona została do połowy; urywa się bowiem wątek poematu już na wskrzeszeniu z martwych Piotrowina przez Stanisława świętego. Równie też i każda z czterech jego pieśni z osobna wzięta przedstawia tylko pierwszy rzut kompozycyi, której zupełnie zbywa na tym, co nazywamy ostatnią ręką. Wnosząc z różnych niewątpliwych skazówek, twierdzić można na pewne, że pisane to wszystko być musiało w ostatnich miesiącach, jeżeli nie tygodniach życia

*) W dalszym ciągu, po powyższym rapsodzie, rozpoczął był Słowacki osobną pieśń, w której ukazany w szczegółach być miał bezielesny byt ducha Mieczysława I od chwili jego zejścia ze świata, a równocześnie z temi pozgonnemi jego dziejami miał być dany i wizerunek rządów i przewag w narodzie polskim syna jego, Bolesława Chrobrego. W tymto rapsodzie miał znaleźć pomieszczenie ustępów o słupach wbijanych w Dnieprze, który z małemi zmianami obecnie okazuje się doczepiony przy końcu pierwszej pieśni rapsodu o Bolesławie Śmiałym. Część tę poematu autor dość już daleko był posunął; pomimo tego następnie pomysł jej cały jednak odrzucił. Zbyt fragmentaryczna pieśń tej postaci nie dozwalała udzielić z niej wyjątków w drukowanym wydaniu. —

poety. *) Śmierć zatem tak wczesna była jedyną tego przyczyną, że cały ten dział poematu pozostał w kształtach istotnie pierwszej improwizacji, która zapewne ani już nawet odczytana nie była przez autora, zostawszy w pośpiechu i zamęcie rzuconą tak na papier, jak się zarysowała w pierwszym jego natchnieniu. Stądto znajdujemy w całym tym rapsodzie przy potężnych nieraz ustępach, w porywający opowiedzianych sposób — strofy częstokroć niezwiązane ze sobą, dla niedość zaokrąglonej budowy zdań bardzo trudne do rozumienia, oddane tokiem zawikłanym, urywkowym i tylko jak przez gazetę pomysł poety wydającym na zewnątrz. Pismo nader niewyraźne i wielokrotnie w jednym i témsamém miejscu przemazywane w wszelkich kierunkach — i w wierszach i nad wierszami — przywodziło też niekiedy niemal do rozpaczki wydawcę...

Oczywistym zamiarem Słowackiego było, przeprowadzić w taki sposób cały wątek dziejów ojczystych, przedstawiony jako działanie jednego głównie czynnika, stawionego w tym narodzie na pierwszym zawsze miejscu, albo na tronie, albo na inném skądinąd tak podniosłem w sferze duchowej stanowisku, że czyny, błędy, grzechy, zbrodnie, zasługi i poświęcenia jego oddziaływały na całe powodzenie społeczeństwa narodowego.

Gdybym miał wyrzec ogólne zdanie moje o tém całym dziele ostatniém Słowackiego, powiedziałbym: że sądzić je wypada z dwóch odrębnych zgoła punktów widzenia.

Jako wyraz doktryny, jako pomysł oparty na wierze w przechodzenie duszy z jednego ciała w drugie — jest to przypuszczenie, którego trudno uważać za coś więcej, jak za senne tylko marzenie. Myśl taka sprzeciwia się i wszystkim warownie stoją-

*) W różnych miejscach manuskryptu tego rapsodu znachodzą się między strofami tekstu wtrącone urywkowe ustępy testamentu Juliusza. Wiadomém jest, że pisał on testament swój krótko dopiero przede śmiercią — już w r. 1849. A zatem w pierwszych miesiącach roku owego mógł też być dopiero i ten rapsod pisany.

cym artykułom wiary naszej i naczelnym wypadkom wiedzy dziejszej. Solidarność pewna przeszłości z obecnością nie daje się zaprzeczyć, to prawda. Odsłania się ona widocznie w ciągu pokoleń poszczególnych rodów a rodów, odsłania się i w toku powszechnych dziejów, toż w tradycyi narodu. Wnukowie są z dziadami złączeni pewną niewidzialną wstęgą i krwi i dążeń, i cnót i wad. Ale ażeby zrozumieć to wszystko: nie potrzeba do tego takich mistycznych kluczy. Że założenie Słowackiego w tym poemacie miało w sobie coś sprzecznego ze wszystkiém, czego się tylko tknęło, to już i w tém się okazuje, że praca ta pocie od ręki nie szła. Biedził on się z dziełem tém bardzo, przez lata całe — i nie umiał sobie z niem nieraz prawie dać rady. Mimo pozorów dogmatyzmu i wiary, z jaką przedmiot traktował, chwiał on się ciągle w najgłówniejszych pomysłach, a mianowicie co do tego wcielania się duchów w żywoty ludzkie. I tak Piast w jednym opracowaniu był mu wcieleniem ducha Lecha, w inném redakcyi znów ducha Zoryana (harfiarza), w trzecim wreszcie rzucie (wziętym do tekstu) niema on z nikim innym wspólności. Podobnie i sam bohater poematu, Król-Duch, to się staje Wodanem (synem Piasta), nim mu wypadło następnie zrodzić się w osobie Mieczysława; to znowu przepędza ów czas w krainie zaświatowej, nie będąc wcale śmiertelnym przed swoim zrodzeniem się jako Mieczysław I. Widać w tém wszystkiém jedynie czynność excentrycznej fantazyi, przybierającej mimo to pozory jakiejś intuicyi proroczej z uroszczeniami do nieomyślności, których nie zgoła nie usprawiedliwia...

Lecz to jest sąd o Królu-Duchu wydany z jednego tylko z dwojga owych stanowisk, o jakich nadmienilem powyżej. Obok strony dogmatycznej, ma kreacya ta także i stronę drugą — artystyczną. Jako przeprowadzenie całego szeregu obrazów, zdjętych z kilkunastowiecznego żywota Polski, i jako poczet wizerunków najwydatniejszych osobistości w obrębie dziejów i podań naszych — niezaprzeczenie poemat ten miałby wielkie znaczenie, gdyby był dokończony i wykończony. W tym stanie, w jakim pozostał, zaleca on się tylko mistrzowskiem obrobieniem niektó-

rych chwil narodowej przeszłości, a nadto zmusza nieraz do podziwu i językiem znakomitęj dzielności! Język ten smukły, gibki, zwiezły, a zawsze muskularny stanowi też główną poematu tego ozdobę. Mógłby on przywieść do zazdrości niejednego z poetów, mających skądinąd prawo liczyć się do celniejszych pisarzy naszych!

Teraz wspomnę o innéj pracy Słowackiego, która o tyle się wiąże z poematem powyższym, że z jego tylko powodu została prawdopodobnie podjęta. Przypada ona albo na czasy, kiedy Juliusz Króla-Ducha zaczynał, albo też właśnie go rozpocząć zamyslał. Mówię o Przekładzie kilku ustępów Iliady. Przypyszny to jest przekład! Jeżelibyśmy mieli kiedykolwiek czytać Homera z oną lubością, z jaką go niegdyś czytali Grecy, albo z jaką my dzisiaj naszego Pana Tadeusza czytamy: to tylko chyba w taki sposób musiałby on być spolszczony. Może w tém przyczyna tego, że Słowacki co do wyrazów szczegółowych wcale się oryginału nie trzymał. Nie przekraczał on wprawdzie nigdy granicy sposobu i nastroju starożytnego. Ale w obrębie rzeczonym raczej Homera parafrazował, aniżeli przekładał. Z tém wszystkiém co to za wysłowienie! jaka dzielność i dosadność wyrażen! Wiersz wspaniały, pełen wagi i kolorytu, obfity w zwroty potoczne, a jednak wiejący bohaterską potęgą! Z tych urywków więcej wyrozumieć się daje, że to pisał człowiek genialny, niżeli z niejednego własnego jego utworu! Nie jest to wprawdzie sposób, w duchu którego życzyliby należało w ogóle, ażeby pisarze nasi spolszczali obce, a zwłaszcza starożytne kreacje. Na téj drodze bowiem bardzo łatwo uronić wszelkie znamiona pierwotnego charakteru oryginału. Ale czytając te Słowackiego ustępy, chętnie każdy, jak sędzę, powie mu: *Tibi soli!* i nie pożałuje, że i w taki sposób choć kilka tylko prób téj prastaréj poezyi ukazano w naszym języku.

Nie sędzę, żeby miał być zamierzać kiedy Słowacki zająć się przekładem całej Iliady. O Homera pewnie mu tu nie chodziło. Nie tłómaczył go też z oryginału i niewątpliwie ani nawet nie prze-

łożył nic więcej, jak tylko tyle, ile się właśnie na tych kilkunastu kartkach po śmierci jego znalazło. Najprawdopodobniéj było to tylko jedno z przygotowawczych studyów do poematu o Królu-Duchu. Chodziło poecie o dobranie sobie najwłaściwszego toku i tonu językowego, a więcéj jeszcze o dobór odpowiedniego przedsięwziętemu dziełu rodzaju wiersza i rytmu. W rękopisie Króla-Ducha znaleźliśmy jako warianty nieraz całe ustępy, w innych formach wiersza pisane, jak w tych oktawach jedenastozgłoskowych, w jakich ostatecznie najbardziej lubił wylewać natchnienia swoje Słowacki. Otóż wnosić się godzi, że między innymi przyborami, jakie się robiły przed rozpoczęciem dzieła, rozczytywał on się i w Homerze, tym protoplaście wszystkich epików. A porwany urokiem i pięknoscią kilku celniejszych ustępów, powtórzył je po swojemu w brzmieniu swojej mowy ojczystéj. —

— Wszystkie wymienione aż dotąd prace Juliusza, po roku 1842 powstałe, mają to między sobą wspólnego, że nie noszą na sobie wybitnego znamienia czasu. Skądinąd bywa to uważane za piętno wyższych utworów poetyckich, że takowe — bezpośrednio lub pośrednio, potakując albo przecząc — dążnością swoją towarzyszą zazwyczaj chwilowemu usposobieniu społeczeństwa, w łonie którego powstały. Słowacki w latach owych zostawał względem ogółu narodowego w wyjątkowym stósunku. Natchnienia jego płynęły z źródeł sobie tylko właściwych. Doktryna jego nie przystawała wcale do powszechnego poczucia. Płody jego poetyckie téj doby nie mogły tedy mieć związku z potrzebą chwili i jak wnosić można, nie miały też nawet ani przeznaczenia być tak zaraz oddane do rąk narodu. Z drugiéj strony — od czasu wydania *Snu Salomei* (1844) przestał i kraj już przywiązywać wyższe znaczenie do jego publikacji. Mało kto wtedy już troszczył się o to, co tam pisze, co wydaje Słowacki. Przesłoniła go od narodu owa gęsta chmura mistyki, w jakiej utonął...

Wyjątkowo jest jeden tylko wiersz pochodzący z lat owych, a bijący przeważnie tętnem chwili, co go wydała. Była to smutna chwila w niedawnych naszych dziejach — jedna z poprzedniczek klęsk lutowych roku 1846. Przypadkowa okoliczność wyrwa-

ła wtedy poetę naszego z medytacji, w jakich był zatopiony, i zwróciła uwagę jego na stósunki dnia bieżącego. Spojrzał na nie, źle je pojął — i rzucił kilka strof między otoczenie swoje najbliższe, któreto strofy stały się głosem, posłyszany doraźnie przez cały naród. Głos ten niestety skompromitował autora. Zaszły niebawem wypadki, które zadały fałsz jego hasłom, jego przestrogom i wróżbom, wygłoszonym z wszelkimi pozorami wieszczego natchnienia...

Ażeby zrozumieć, jak mogło przyjść do napisania owego wiersza przeciwko Krasińskiemu, trzeba się myśłą przenieść w ówczesne okoliczności.

W czasie między 1840 a 1846 dochodziła zaciętość w postępowaniu skrajnych stronnictw emigracyjnych najwyższego szczytu swojego. Zaraz w roku 1831 zaczęto sobie wzajemnie wytykać grzechy popełnione w ciągu powstania. Społeczeństwo nasze rozpadło na obozy. Dały się słyszeć zasady, przedtém nigdy tak stanowczo nie wygłaszane. Były one wielkiej doniosłości na przyszłość; były nie mniej ważne i co do sądów o całej dawniejszej narodowej przeszłości. Przyzwano bowiem przed siebie blade postaci przodków i zapytano je, że tu użyję słów poety:

„Zaco życie — w życia chwili
Z taką pychą roztrwonili,
Że potomkom nie zostało
Ni potęgi, ni puścizny,
Jedno w zamian ich ojczyzny
Rozebrane kraju ciało?“...

Analiza taka przeszłości wynikała wprawdzie z kolei rzeczy. Była potrzebna, mogła być użyteczna. Dobrych także owoców można się było spodziewać z tego podniesienia nowych idei, w imię których ożywiło się poczucie ducha narodowego. Niejedna jednostronność, tak w postępkach jak w zamysłach, mogła przez to być usunięta; niejedno uroszczenie na niczém nieoparte mogło teraz być uchylone; niejednen niedostatek w sprawach powszechnych mógł zostać zastąpiony niezużyty i świeżym jeszcze materiałem działania nadal. Lecz jeśli te korzyści miały być osiągnięte,

to nieodzownym tego warunkiem był jasny i rozumny spokój ducha zapuszczającego się w trud takich robot, a niemniej też miłość słuszności i prawdy, większa nad miłość swego obozu. Na nieszczęście, enoty te nie były przymiotem ludzi ówczesnych. Zabrano się do dzieła z zapalem, lecz był chorobliwy to zapal, który przy ciągłych protestacjach ze strony innych obozów aż nadto rychło wyrodził się w namiętność i fanatyzm i terrorizm, prawdziwie godny XVII wieku. Rozbiór przeszłości narodowej pod wpływem takiego ducha nie wydał żadnych pożądanych owoców. Zaczęto przeszłość krzywdzić — obecność zakłócać — przyszłością grozić. Siła i zacność ducha narodowego ucierpiała na tém wszystkiém nierównie więcej, aniżeli na stratach materyalnych roku 1831...

Najjaskrawszym i najszałeńszym może wyrazem całej téj zacieklności wersalsko-poitierskiej były dwa dzieła, pod przybraném nazwiskiem Prawdowskiego właśnie wtedy w obieg puszczone. Jedno miało tytuł: „O prawdach żywotnych narodu polskiego.“ Bruxella, 1844; drugie: Katechizm demokratyczny, czyli opowiadanie słowa ludowego“ Paryż 1845. Książki te były napisane w celu praktycznym, prowokacyjnym. Ogłaszały zasady, żadnej wspólności nie mające z nazwami, których brzękiem się zaślaniały. Nie były to bowiem ani prawdy, ani żywotne, ani wreszcie demokratyczne! Był to już raczej zamach ojcobójstwa względem przeszłości własnej — akt zerwania wszelkich węzłów tradycyi. Wszelka miłość nazwana tu została słabością, powaga hipokryzją, umiarkowanie zdradą. Pół narodu wydziedziczano z czci i odrzucano od posługi krajowej. A wśród tego wszystkiego hałaśliwie zapowiadano, że nadeszła chwila stanowcza, godzina czynu...

Przeciwko takim dążnościom, a przedewszystkiém z powodu obu książek rzeczonych, wystąpił w r. 1845 z Psalmami swymi Krasiński, które wydał pod odpowiedniém sytuacyi nazwiskiem, pod imieniem przybraném Spirydyona Prawdzickiego.

Mówiliśmy już w jednym z rozdziałów poprzedzających o powodach niechęci, jaka wtedy miała miejsce od niejakiemu czasu między Krasińskim a Słowackim. Mógł się przyczynić do większego jeszcze zrażenia Słowackiego ku Krasińskiemu i Przedświt, ogłoszony w roku 1843.

Znajduje się tam niejedno, co Słowackiego niepomalu zadziwiać mogło w ustach, nie tak dawno jeszcze temu, autora... „Komedyi Nieboskiej.“ Stanowisko zajęte przez Krasińskiego w Przedświcie było bardzo bliskie drugiej skrajnej ostateczności. Tylko mimowolny nacisk, bardzo zresztą naturalnej u niego opozycji przeciw centralizacyjnym jak je wtedy nazywano robotom, mógł tu wieszcz naszego popchnąć aż do wyrzeczenia pomysłów, tak wątpliwą oto trafności, jak np. następujące:

„Ty nie szukaj w ojcach winy,
Ty nie wdawaj się w szyderstwo!
Bo to potwarz i bluźnierstwo!

.....
„Łaska boża
Nas weгнаła w te bezdroża:
Niechaj będzie pochwalona!“

.....
„My umarli pośród świata
Z świętej do świata miłości!“ itp.

To są zdania, które niepodobno żeby nie miały się wydawać... bardzo problematycznymi w oczach każdego, komu tylko milsza prawda szczerza, choćby bolesna, aniżeli pocieszająca się w biedzie próżność narodowa i miłość własna! —

Słowacki nie należał do żadnego obozu politycznego, i nie miał nigdy w niczem żadnej wspólności z robotami Centralizacji. Lecz i w jego przekonaniu było to już niejako dogmatem wiary, że się w narodzie naszym grzeszyło i błędziło dawniej w niejednym, co na przyszłość koniecznie odmienić, naprawić, powetować należy. Duch przeszłości — a duch przyszłości: były to rzeczy zupełnie różne w oczach poety naszego. A kiedy widział, że tej prawdzie oczywistej, dziejami kraju naszego, dzisiejszym sta-

nem naszym społecznym tak niewątpliwie popartej, już nawet i Krasiński zaczyna przeczyć bezwarunkowo: to go to koniecznie musiało drażnić w namiętny sposób i wzbudzać w nim uczucia, jakich się doznaje przy każdym bolesnym a niespodzianym rozczarowaniu. Zniechęcony, zgorzkniały — zwątpił od owej chwili do reszty w niepokalaną czystość natchnień dawnego przyjaciela.

Otóż w takiemto będąc przez cały ciąg czasu owego względem niego usposobieniu, ujrzał w r. 1845 wydane trzy pierwsze Krasińskiego „Psalm Przyszłości.“ Nie bacząc na to, że autor Psalmów pod niejednym względem odstąpił tu od skrajności stanowiska, chwilowo tylko zajętego w Przedświcie; nie zwróciwszy na to uwagi, że sama np. strofa następująca:

„Któż zachwycon zdarzeń ściekiem,
Nie popełnił nigdy winy?
Chyba jeden — ten Jedyny,
Co był Bogiem a Człowiekiem!
Jakiż naród — jakiż stan —
Wiekże jaki, z czystym czołem
Krzyknąć może: „jam Aniołem!
Jam nie zadał drugim ran?...“

nie rozważywszy mówię, że to samo jedno przyznanie już wystarczało, ażeby każdego przekonać, iż wieszcz ten podniósł się tu natchnieniem na wysokość, której nie dosięgają żadne samolubne uprzedzenia stronnice: nie zrozumiał, nie dostrzegł, nie umiał ocenić Słowacki w Psalmach Przyszłości tego wszystkiego, co w nich rzeczywiście było wieszczego. Uczepił się natomiast wyrazów, które — jak ów wiersz z przyciskiem wyrzeczony w Psalmie miłości: „Hajdamackie rzućcie noże!“ — miały w jego oczach znaczenie protestacji przeciw katastrofie, do której się właśnie gotowano natenczas. Wziął to za objaw wstrętu przeciw wszelkiemu ruchowi, któryby prowadził do przetworzenia danych stósunków. Naprężenia w społeczeństwie, już gotowego w niektórych częściach kraju, Słowacki nie znał. Zamętu fatalnego w umysłach nie przypuszczał. Sprężyn w działaniach gotujących się do czynu nie oceniał. Z wysokości zawrotną tych mistycznych

kontemplacyi, w których się od dawnego czasu kołysał, spoj-
rzał na rozterk stronnictw — i nie umiał w nim niczego takiego
dostrzec, coby usprawiedliwiało taką zgrogę u drugiego poety.
Dla Słowackiego wszelki ruch w społeczeństwie był pożądanym.
Wierzył w wszechmoc i w wszechobecność potężnych duchów,
spełniających misję swoje za pośrednictwem żyjących osób. Wie-
rzył, że co tylko się stanie i z jakiegokolwiek punktu wyjścia
wyniknie, prędzej czy później zbliży korab wieków do wytknię-
tego mu portu — mniejsza o to, pod czyim sterem, w imię ja-
kich godeł i nawoływań ta żegluga przez wzburzone fale społe-
czne będzie odbyta. Słowacki lękał się tylko jednej rzeczy —
martwoty, zastoju, nieruchomości...

Pod wpływem takiego więc usposobienia, natychmiast po
ukazaniu się Psalmów, napisał z goryczą i z szyderstwem ów
wiersz namiętny, wymierzony przeciwko Krasińskiemu, w którym
obok najszczytniejszych zalet artyzmu, obok niejednego miejsca
napisanego w wielkim ducha podniesieniu, napotykamy tyle rze-
czy jaskrawych i niesprawiedliwych, a w każdym razie... wypo-
wiedzianych nie w porę...

Same okoliczności czasu owego i forma wystąpienia tego
przeciw Psalmom Przyszłości sprawiły, że opinia publiczna przy-
jęła ten głos Juliusza, jako ujęcie się za zaczepionym obozem.
Każdy wedle przekonań i usposobień swoich to się z tego cieszył,
że się autor Beniowskiego do zastępu „ludzi czynu“ przyłączył,
to razem z Przeglądem Poznańskim plód ów z ubolewaniem naj-
wyższem „Herostratowską pieśnią“ nazywał. Tymczasem wiersz
obiegał z rąk do rąk w coraz liczniejszych odpisach, do druku
bowiem nie był oddany. (Wyjście jego nastąpiło dopiero w r. 1848,
a i wtedy nawet bez wiedzy autora).

Nieznadługo doszła o nim wiadomość do matki autora. Pani
Becu, rozżalona, skwapliwie napisała do syna, karcąc go za to,
że przyjaciela zaczepia.

Oto, co jęj odrzekł na to Słowacki:

„Jeżeli mnie zapytasz, czy wart jestem ludzi szacun-
ku i miłości, to Ci z sumieniem odpowiem, iż pracuję ciągle

i krwawo, abym na to oboje zasłużył. Lecz jeżeli będziesz
pytać o ten fakt, czy mnie taki a taki człowiek kocha: na
to Ci odpowiem, że serca są w ręku Bogu, a ja mogę za-
sługiwać na nie, a nie mieć ich. Bolałem więc mocno,
gdy mnie niby strofujesz, że obrażam moje
przyjaciół. Nikogo nie obrażam. Ale praca
moja tysiące ludzi obrazić może. Dla takich
to rzeczy mocniej niż kiedykolwiek boleję nad
rozłączeniem naszym. Czas płynął — jam może szedł
naprzód prędzej, niż ludzie idą, niż nawet Ty sądzisz, że
iść mogą. Bo doszedłem celów ostatecznych, które Zbawiciel
nam jak przeze mgły pokazał.“ itd.

To było pisane d. 2 lutego 1846 r. Z taką więc pewnością
siebie, z taką ufnością w właściwość stanowiska, jakie chcąc nie
chcąc był zajął, mówił o tém Słowacki na kilka dni tylko jeszcze
przed rzezią galicyjską.

Tych dni kilka upłynęło, i katastrofa nadeszła. Wypadki,
jakie z sobą przyniosła, nie były wprawdzie bezpośrednim wyni-
kiem działań stronnictwa, potępionego przez autora trzech Psalmów.
Z jakiegokolwiek jednak strony dany był do tego popęd, ja-
kiekolwiek okoliczności, przez nikogo nieprzewidziane, przyczyni-
ły się do tego, że ten pożar społeczny, w zarodkach dawno tleją-
cy, buchnął teraz właśnie żywym płomieniem i tak daleko rozlał
niezbrodzone fale krwi i zagłady: — wrażenie pierwsze było za-
wsze tego rodzaju, że dążność wiersza, o którym tu mówimy,
zwróciła się, szczególnie w pierwszej chwili, najfatalniej przeciwko
jego autorowi. Lud, tak wysoko postawiony w ową wieszczą im-
prowizacyi, zajął rolę zbrodniarza i bratobójcy. Szlachta zajaśnia-
ła blaskiem jeśli nie nowej zasługi, to w każdym razie nowego,
a niczém niezasłużonego cierpienia. Jęj losy ukazały się na nowo
jako złane nierozłącznie z losami samęj ojczyzny. Śmiało, z pro-
roczem uroszczeniem rzeczono twierdzenia poety, jakoby z owęj
strony nie groziło porządkowi towarzyskiemu, okazały się ma-
rzeniem złudnym i fałszem! Wszystkie roboty, wszystkie kierun-
ki, przeciwne stanowisku Psalmów Przyszłości, podległy teraz po-
tępieniu nieodzownemu. Krasińskiemu nawet przeciwnicy jego nie
mogli teraz już odmawiać smutnej w tym razie, lecz zawsze
chlubnej i świetnej nazwy — prawdziwego wieszca przyszłości.—

Wtedyto wśród upokorzenia, jakiego doznał, pożałował Słowacki wszystkiego, w czem przeciw Krasińskiemu zawinił! Zarzuty, które mu dawniej robił, rozchwiały się teraz w nicość. Stał przed jego oczyma Zygmunt — w tej postaci, z tym pociegiem magnetycznej sympatii, jak kiedyś dawniej, jak w Rzymie, „w willi róż“... Nie tyle jeszcze przykro mu było, że napisał ów wiersz przeciwko Psalmom jego zwrócony. Wiersz ten nie był drukowany, nie miał nigdy być ogłoszony; mógł w porę jeszcze zostać stłumionym i może nigdy (tak sobie wtedy tuszył Słowacki) do wiedzy Krasińskiego nie dojdzie. Tém bardziej zato darować sobie nie mógł ustępów niektórych w Księdzu Marku. Bądź jak bądź, mówiło mu sumienie, że co się źle zrobiło, to naprawić należy.

Wtedyto więc niewątpliwie napisał do Krasińskiego ów list bez daty, który w pierwszym rzucie znaleziono w pozostałych jego papierach i z którego tu przytoczę kilka ustępów. Jak zobaczymy, usprawiedliwiał się w nim Słowacki tylko za Księdza Marka. O drugim zaś wierszu owym nie mówi wcale, choć przypadek dziwny zrządził, że koncept listu tego był pisany właśnie na kartach, mieszczących w sobie pierwszy rzut „Wiersza do autora Trzech Psalmów“, już to na marginesach, już poprzez pierwszego pisma.*)

„Dzisiaj był u mnie Gaszyński (taki początek listu). Mówił mi, że w liście Twoim dopytujesz się o mnie. A gdybym rzekł, iż sam w ostatnim liście zerwałeś ze mną korespondencją, żegnając mnie:**) obiecał uwiadomić Cię o mojej przyjaźni. I wyszedł mówiąc, iż za 10 dni list od Ciebie mieć będę.

Postanowiłem ten list Twój uprzedzić; do mnie bowiem należy rozpoczęcie rozmowy i ton jej. Kochałem Cię, jak dziecko, jak gdybym dzieckiem był, kochałem Ciebie.

Szczerze teraz — Wiem, dlaczego nie piszysz, a sam nie wiem, czy pisać możesz. Jeżeli twój duch stoi na wysokości właściwej jemu, powinienś kochać mnie i szanować; jeśliś dotąd cielesny jest z centaury, z orla i z lwa, jako

*) Ta jedynie okoliczność ułatwia też właśnie domysł, kiedy list, o którym tu mówimy, mógł być pisany.

**) To się odnosi do zajść pomiędzy nimi w roku 1843.

ów człowiek Platońskiej republiki, powinienś jak centaur stratawać, jak orzeł wszpionić, jak lew rozerwać; a ja powinienem Ci się oprzeć jako Ecce Homo dzisiejszy, to jest ducha wyraziwszy ciałem, nie będąc niewolnikiem nawet przyjaźni. Przed Tobą wszakże, jedynym moim w złych czasach przyjacielem, przed człowiekiem, który wtedy niskość mojego ducha podnosił nieraz i stroił, muszę stanąć jako instrument, który chociaż przez anioły niebieskie dziś jest strojony, wszakże kluczowi swojemu dawnemu odpowiada.

Smętną więc rzecz dotknę — tak było:

W pierwszym szale rozbudzonych we mnie ducha wewnętrznego, chcąc koniecznie wytłómaczyć się — nie z idei, bo ta tomów i wieków by potrzebowała — ale z ideału, to jest z pierwszego owocu idei: wpadłem bezmyślnie na jedną figurę historyczną i wypadek, który mógł przez usta moje wytłómaczyć, czego chcę i co pojmuję. Obrąłem księdza — a sama nędza zewnętrzna w wykonaniu świadczy, że w szaleństwie pisał. Jak kochanek, który w bezsennej nocy list skomponował, a nad rankiem sam się dziwi wczorajszej głupocie, podobnie ja aż po napisaniu dramatu obaczyłem wątpliwość dzieła i bolesniejsze jeszcze różne zeń wylatujące strzały, które wszakże, Bóg mi świadkiem, nie w twórczości godzinie, ani przed tą chwilą świętą ze mnie wypadły. — Po napisaniu więc aż, spostrzegłem się na dwóch rozstajnych drogach, ducha i ciała. Z jednej strony mówiły duchy: poemat z nas jest, nam potrzebny — jest formą, z której będą się rozchodzić dzbanki różne, a my je będziemy duchem świętym nalewali. Jako poemat, zrujnuje sławę twoję u ludzi ziemnych, podobnie jak list miłośnika gubi go między starcami, gdy list ten u dziewczyny wykradną i przez okulary czytają. Ale też list tylko taki gada do serca dziewczyny, — właśnie dla głupstwa a jakiejś niewinnej formy przezroczystości leje ogień w jej ducha i zwycięża ją jedną może tajemniczą magnetyczną zgłoską — a kochankowi daje królestwo. Wydadaj więc na wiatry list twój — zgub się jako autor — jeżeli co więcej masz poświęcić, poświęć...

Odpowiedziałem: więcej poświęcić! sto razy więcej!...

A one: — „Co?“ —

Odpowiedziałem: Jest jedno serce, które może będzie myślało, iżem zapomniał o jego bolesnej naturze; jest człowiek, który — jeżeli kiedy o spoczynku i o nagrodzie doczesnej myślałem, to sądził, iż spokojna z nim gdzieś pod lipami wiejskimi jedna godzina, będzie mi nagrodą trudnego i bolesnego żywota. — Teraz to wszystko muszę... Co duchy? —

Była godzina, iż zamilkły. A ja sam z własną wolą zostawiony — wybrałem... Wiesz, co wybrałem. Duchów nie było rozkazu — ofiara jest moją własną, ja za nią odpowiadam.

I tak będzie zawsze. — Ile razy mi przyszło między pełną chata a samotnością i potrzebą wyższą wybierać, zgadzałem się na to, żeby nigdy dzwonek drzwi moich na przyjęście przyjaciela nie dzwonił, a czynilem co muszę. —

Teraz nawet czynię, co muszę. Bolesne rwanie się tego listu świadczy Ci, — ale Ty jesteś wielki duch boży i jeden z aniołów narodu naszego. Zakrwawiać Ciebie i zakrwawionym w sercu zostawiać — byłoby grzechem przeciwko duchowi świata. Zdejm więc z siebie ciężar, ja Ci dopomagam...

Na Boga i wszystkich świętych pańskich! kochać mnie możesz, a szanować nawet powinieś; bo wiesz, iż jako człowiek odpowiadam za pisma moje całą osobą moją ludzom ciała. Ale przed Tobą więcej, niż to — bo jako duch stażę i padam... To wszakże nie dlatego, żebym jako człowiek-duch czuł się winnym, ale przez myśl, iż Ty może — nie rozumiejąc i nie wiedząc, a myśląc o mnie, cierpisz najgorszą z mąk — tłómacząc się Tobie krzykiem: ach! czemużem go kochał?..

...Bez miłości prawdziwej nie pisz, bo zakrwawilbyś serce moje jakim wyrazem mimowolnym. Jeżeliś co przeciwko mnie w tym czasie duchem powiedział: nie tylko Ci to z ducha wymazuję, ale nawet jako za ulgę mi przyniesioną uważam. Nie odpisuj mi na ten akt rozwiązujący. Sumieniem wszystko trzeba rozwiązać... itd.

W takito sposób stósunki życzliwsze znowu się rozpoczęły pomiędzy nimi. Krasiński odpowiedział uprzejmie i rękę sobie podaną ścisnął. Do któregoś z przyjaciół swoich tak się wtedy o tym kroku Słowackiego i o nim samym wyraził.

...„Od Juliusza list miałem bardzo długi. Chciałby się ze mną spotkać. Dziwny stan jego umysłu. Najwyższe tam prawdy dziki stan przyoblekły. Zresztą wiek nasz jest wiekiem olbrzymich zapasów. W tej bójce między życiem a śmiercią świata, nie dziw, że dziwy się rodzą...“*)

Sam zaś Słowacki tyle matce o tém pojednaniu donosił:

*) Do kogo i kiedy to było pisane, nie wiem. Biorę to bowiem z drukowanego zbioru korespondencji Krasińskiego. Tyle tylko tam powiedziano, że list był datowany z Nicei w r. 1846.

... „Z tym, z którym myślałaś mię poróżnionym, jestem w przyjaźni i mam czule listy od niego. Mówię o Zyg-muncie. Nigdy nie myślałem go obrażać ani mu szkodzić... teraz zwłaszcza, gdy radbym kawałkami samego siebie obdarowywać ludzi, aby silniejsi byli i częstką mego szczęścia szczęśliwi... (z listu z d. ? sierpnia — 1846).

To wyrównanie osobistych niesnasek nie mogło oczywiście oszczędzić Słowackiemu goryczy, jakiej doznać musiał, kiedy we dwa lata później (w r. 1848) ujrzał ogłoszone dwa nowe Psalmy Przyszłości, a w pierwszym z nich, w „Psalmie Żalu“, znalazł zwróconą przeciwko sobie, surową, choć poważną i ze wszech miar sprawiedliwą odprawę.

Więcej jeszcze przykreści sprawić mu musiała niedyskretność lipskiej Księgarni Zagranicznej. Bez woli i nawet bez wiedzy autora, pozwoliła ona sobie w tymże czasie wydrukować wiersz ów jego przeciwko Krasińskiemu, i to jeszcze na domiar złego z niezliczoną ilością błędów, przekreślonych wyrazów, koszlawych rymów i tym podobnych odmian pierwotnego tekstu, bałamutnych przełożeń całych ustępów poematu na takie miejsca, do których nie należały, przeistoczeń nawet myśli poety w najfatalniejszy sposób — słowem z bezlikiem bezsensów wszelkiego rodzaju, odbierających wierszowi temu całą wewnętrzną wartość. Małej téj broszurce, bezimiennie w świat puszczonej, dano napis:

Do Autora Trzech Psalmów przez *** Lipsk, nakładem Księgarni Zagranicznej. 1848. 12^o, str. 20.

W téjże postaci odbito rzecz tę powtórnie w r. 1861 na samym końcu czterotomowego zbioru dawniejszych dzieł Słowackiego, któryto zbiór Brockhaus w Lipsku, bez niczyjego upoważnienia, a zatém w nieprawy sposób, sobie tylko samemu zyski z tego zagarniając, a nibyto chęcią przysłużenia się literaturze polskiej powodowany i stąd prawa do wdzięczności nawet narodu naszego sobie roszczący, z niepospolitą co do poprawności tekstu niedbalstwem ogłosić nie wahał i nie wstydził się... Dopiero lwowskie wydanie Pism pośmiertnych, z polecenia krewnych

i spadkobierców poety dokonane, przyniosło wiersz rzeczony w autentycznym i prawdziwym układzie. *)

*) Z powodu mylnych szczegółów o przyjeździe do skutku owego wydania „Wiersza do autora trzech Psalmów“ z roku 1848, udzielonych przez pana Cypryana Norwida w bujnie ułożonym choć drobnym piśmku jego „O Juliuszu Słowackim“, widzę się tu w konieczności dopisać, co następuje:

Pan Norwid podaje wiadomość, jakobyśmy to publiczne ogłoszenia wiersza, o którym mówimy, zawdzięczać mieli p. Edmundowi Chojeckiemu. Pan Chojecki miał być razu pewnego z wizytą u Słowackiego i trafił właśnie na taką chwilę, w której poeta rzucił w płomień plód ten swojej gorączkowej fantazyi. Wyrwał tedy z ognia co prędzej p. Ch. rękopis na zagładę wskazany i wzięwszy go do siebie, kazał go niedługo potem przy zdarzonej sposobności w Lipsku oddać do druku.

— Daruje mi szanowny autor, że się ośmielę powiedzieć mu otwarcie, iż snąc zażartował sobie ktoś z niego, udzielając mu do dzieła jego tę prawdziwie mytyczną wiarogodność bajeczkę. Gdyby publikacja lipska była przyszła do skutku w taki sposób, jak tu podano: to oczywiście byłaby ona tak odbita w druku, jaki był rękopis, a rękopis nie byłby mógł być pofalszowany, skoro miał pochodzić z rąk bezpośrednich samego poety! Tymczasem niech tylko kto porówna wiersz rzeczony w tym autentycznym kształcie, jak go ukazuje wydanie lwowskie z r. 1866, z bałamutną jego redakcją w edycji lipskiej: a przekona się, że wyrazów i nawet zdań całych jak najbezzwzględniej poprzekręcanych jest w redakcyi tej przynajmniej tyle, ile w utworze całym jest wierszy; nie mówiąc już nie o całkowitych ustępach albo zupełnie wypuszczonych, albo też danych w kolei niewłaściwej, to jest takiej, że co miało nastąpić później, idzie naprzód, a co miało dane być pierwój, następuje gdzieś o kilka dopiero stronie zapóźno. Takiego nieładu nie mogło oczywiście być w manuskrypcie owym wrzuconym w ogień. Jeśli to był odpis na czyste, to nieładu w nim być nie mogło tém bardziej. Jeżeliby to zaś miał być brulion: to go mam właśnie przed sobą; gdyż manuskrypt, z którego oddrukowano wiersz ten w mojem wydaniu, jestto właśnie dopiero pierwszy rzut jego, z licznymi wprowadzami mazaninami i poprawkami po różnych miejscach, ale bez tych pomyłek, które wytykam — i bez żadnych też śladów... płomienia, z którego miał rękopis ten być wydobyty przez p. Chojeckiego.

Ja mam z ust wiarogodnych zupełnie inną wiadomość o dziejach wydania tego z r. 1848. Manuskrypt, z którego je zrobiono, przewiozła do Księstwa Poznańskiego z Paryża pani Łubieńska, autorka powieści Niedowiarek — otrzymawszy go tamże od Mickiewicza,

— Oprócz powyższych utworów poetyckich, napisał też Słowacki i wydał w owym czasie dwie broszury prozą, treści poniekąd politycznej. Jedną z nich t. j. list „Do Księcia A.“ (Czartoryskiego) zamieściłem w wydaniu Pism pośmiertnych w tomie Iszym. — Rzecz ta wyszła bezimiennie — w Paryżu — bez oznaczenia roku, w którym została wydana. Że jednak wynikła z pióra naszego poety, jest rzeczą pewną w obec notat i rachunkowych jego zapisków, w których o tej publikacyi jako swojej wspomina. Drukowana ona była na samym początku roku 1846, co także z rzeczonych notat wynika. Powód, dla którego została napisana, nie jest mi wiadomy.

O exystencyi drugiej broszury mam wiadomość tylko ze wspomnianych co dopiero jego zapisków, w których zanotował Słowacki, że ją wydał i także w owym roku. Ma mieć ta broszura napis: „O potrzebie Idei“. Mnie się z nią dotychczas nigdzie spotkać nie zdarzyło.

Natomiast zrobić tu muszę uwagę, że są też niektóre rzeczy, przypisywane naszemu poecie, które nie pochodziły od niego. I tak wyszedł w Lesznie, w roku 1852, pod jego jakby imienia i nazwiska literami początkowemi, utwor prozą:

„Sen, pieśń z niedokończonego poematu, wyjęta z pozostałych rękopismów po ś. p. J. S.“. — Że to

któremu, jak widać, musiał rzecz tę przynieść ktoś trzeci, i to oczywiście ktoś taki, który ją spisał sobie tylko z pamięci, a z pamięci lichej i słabej — nie zaś z rękopisu bezpośrednio pochodzącego z pracowni autora. Od pani Ł. dostał odpisu tego wiersza młody wówczas literat poznański Rychard B., któremu utwor ten do tego stopnia się podobał, że w nim bezsensów nie dostrzegał i nie miał miru, dopóki by się nim nie podzielił z całą publicznością. Przez pośrednictwo jednego z posłów wielkopolskich, na osławiony Sejm niemiecki do Frankfurtu właśnie wtedy jechać zmuszonych, potrafił p. B. przeprowadzić wiersz ów przez zagraniczną prasę — w Lipsku. Słowacki dowiedział się później o tém, kto bezpośrednio spowodował ten krok zupełnie widokom jego przeciwny. Były o to niemile i cierpkie bardzo korespondencye między Paryżem a Poznaniem! Ale co się stało, nie mogło już być odrobione.

jest dzieło Z. Krasieńskiego, to dziś już pewnie jest powszechnie wiadomem.

Oprócz tego pojawiły się bezimiennie, jeszcze w r. 1845 w Paryżu, dwa arcy niemądre i nietrzeźwe wyroby rymotwórcze, jak się zdaje, oba jednego wierszoklety, które w niepojęty dla mnie sposób Przegląd Poznański (r. 1845, IV, str. 390 i n.) czasu owego przysądził Słowackiemu w wyrazach tak stanowczych, jakby już żadnej co do tego nie było wątpliwości. Tytuł tych niezdarłych robót jest taki:

„Dwa Akty“. Paryż 1845.*)

„Szymon Konarski, poema dramatyczne. Obraz I: Śmierć X. Trynkowskiego“. Paryż 1845.

Mogę z całą pewnością wyrzucić twierdzenie, że z temi ramotami Słowacki nie miał nic do czynienia. Nie pisał ich, i nie mógł ich pisać; co też każdy zrozumie, kto tylko je z zastanowieniem przeczyta.

*) Nie wiem, czy nie do téjto publikacji robi Słowacki aluzję w wierszyku danym na str. 92 tomu Igo mego wydania.

ROZDZIAŁ OSTATNI.

Rok 1848 i początek 1849. Zakończenie życiorysu. — Coroczne wycieczki Słowackiego nad brzegi oceanu — przyjaciele jego w ostatnich czasach — Wojciech Stattler — L. Norwid — K. Ujejski — Szczepan F. — Wiosna r. 1848 — „Konfederacja“ — wyjazd do kraju. Poznań — Wrocław — tydzień wspólnie z matką spędzony. — Przymusowe rozstanie. — Kilka tygodni w Ostendzie — powrót do Paryża. — Usposobienie poety w ostatnich czasach — stan zdrowia — tęsknota do kraju — niewątpliwe oznaki zbliżającego się zgonu. Poeta marzy o wyjeździe do Galicji na przyszłą wiosnę i wśród tych projektów kończy życie. — Opis zgonu — nagrobek — „Testament“. —

Przechodzę w tym ostatnim dziele mego rozdziale do potocznego życiorysu poety i chciałbym w nim zamknąć wizerunek tych wszystkich zdarzeń z ostatnich chwil jego życia, które w nim ukazują nie już pisarza, ale człowieka. Zdarzeń takich wprawdzie nie potrafię wiele wymienić. Słowacki w latach owych nie miał prawie wcale téj potocznej strony żywota. Żył głównie myślą, mniej ciałem — i więcej z Bogiem niż z ludźmi...

Cóż Ci mam donieść o sobie? (pisał był do matki jeszcze w r. 1845, d. 15 października). Moje oczy, zupełnie od świata oderwane, a daleko gdzieś zwrócone — moje uszy, ciągle wielkich powiewów bożych i głosów dosłuchujące się, nie widziały i nie słyszały nic domowego. Z téj strony prawie człowiek nie jestem“...

...„Ty wiesz, ja ogień chodzący, ja niegdyś dziecko niepohamowane — teraz żyję, jak gdyby we mnie nic ludzkiego nie było — ani krwi — ani żądz — ani chęci — ani zawrzenia — ani wybuchu. Uśmiechać mi się nawet z ludzi niewolno. Trzeba wszystko zrozumieć — przyjać — ukochać — ożywić — przemienić... i Bogu na ziemi pokazać pracę Anielską“... (z listu z d. 14 grudnia 1846).

... „Droga Matko moja! Zmieniła się moja natura. Jako ciało, ani z rozkoszy żadnej ucieszyć się nie mogę, ani mię boleść cielesna może udrećzyć. Spróbowałem tego ostatniego rwaniem okropnym zęba. Uczyniłem to z zupełną obojętnością, a krzyczeć mi się nie chciało — tylko dla ostrzeżenia dentysty z uśmiechem wewnętrznym krzyknąłem, aby wiedział, że ciągnie. Jadło mi jest obojętne. Z dwóch potraw jem obiad, a często taki, że np. kilka dni temu, byfszytyk był z piaskiem, a ryba nieświeża — więc obiadem mi była filiżanka rosolu i kawałek chleba i piwo. Obiad zaś taki 5 złotych mię kosztuje, bo go jem u siebie; bo wolę nic nie jeść, albo źle jeść, niż duchowi memu ubliżać włócząc go po publicznych traktoryniach, gdzie prawdziwie cierpi godność człowieka, wystawiona będąc jak ulicznica na mieszanie się z ludźmi, którzy domu swego nie chcą wyświęcić, a wolą za jadłem chodzić, tak jak chodzą dorywczo za czém gorszym... (z listu z d. 22 stycznia 1848).

Pod wpływem takiego usposobienia płynęło Słowackiemu życie w czasie tym zmienionej (jak się wyrażał) jego natury, jednostajnie i prawie bym powiedział ascetycznie. Zapelniał je tylko praca. Rozmyślał, rozpamiętywał, czytał bardzo wiele i w najrozmaitszych przedmiotach. Rzeczywistego pożytku ten pracowity tryb życia jednak nie sprawiał. Cała praca bowiem odbywała się w zaklętym kole doktryny, która wszystko, czego się tylko tknął Słowacki, przemieniała w mistykę.

Tę jednostajność pożytku urozmaicały tylko coroczne wyjazdy do wód morskich, które weszły w stały zwyczaj u Słowackiego poczynawszy od roku 1843. Za nadejściem miesiąca sierpnia opuszczał zazwyczaj hałaśliwe mury stolicy i wyruszał do Porycie, małej miejsciny położonej nad samym Atlantykiem. Ocean był szczególnie sympatyczny dla niego.

„Między tęp morzem a mną, powiadał, jest tajemniczy jakiś związek, sympatya — i ta musi być prawdziwa; albowiem nigdy inne morza nie miały dla mnie podobnego uroku. Zapach oceanu, kolor jego zielonawy, brzegi Porycia takie, jak widziałem je w imaginacji czytając Walterszkotowego Pirata, to jest szare, skaliste, okryte chwastami, — natura obca ale znajoma, bo widziana kiedyś przecuciem, zapragniona sercem — a wśród tęp natury tyle rzeczy, które odległe miejsca i czasy przypominały... Czasem motylek,

za którym biegałem nad Wilenką — zupełnie taki sam, a gdy go obejrzałem, to każde oczko na skrzydełku znajome mi, każdy zygzaczek jak litera z dawnego pisma, w dzieciństwie gdzieś w pamięci zapisana... Czasem pliszka nad morzem, zupełnie do tęp podobna, do której niegdyś na dziedzińcu w Mickunach strzelałem — słowem nigdzie od wspomnień uciąć nie można, nigdzie od łez i tęsknoty... A ta cała natura — gdybyś Ty wiedziała, jak ona ciepła, wonna i kochance podobna! otoczyła mię skrzydłami, zapraszała do odpoczynku, do odetchnienia... Jak ona mi wyrzucała, żem się długo gorączkowym myślom oddawał, a o niej zapominał; jak zabraniała myśleć o trudzie, o ciągnięciu tego woza żywota, w którym my jak konie pracujemy... (z listu z d. 2 Października 1843).

Drugą rzeczą, która umilała pocie życie, były to stósunki jego już to utrzymywane listownie, już osobiste z przyjaciółmi. Jak zawsze, tak i pod koniec życia nie wielu on ich liczył. Jedną z osób, zajmujących niepoślednie miejsce w tęp szczupłym gronie osób kochanych przez Słowackiego, był p. Wojciech Korneli Stattler, znany zaszczytnie malarz i profesor niegdyś krakowski. Poznali i zaprzyjaźnili się oni ze sobą jeszcze we Włoszech. Potęp znajomość ta zrobiła się jeszcze ściślejszą, kiedy Stattler w r. 1843 odwiedził Paryż. Od owego czasu korespondowali ze sobą. Śladem tęp serdecznej życzliwości pomiędzy nimi jest kilka listów Juliusza pisanych między 1844 a 1848 do p. Stattlera, których odpis — dzięki uprzejmości tego znakomitego artysty — posiadam. Jest ich wszystkich sześć. Szczególniej zajmującym i charakterystycznym jest list z porządku trzeci. Pisał go Słowacki właściwie nie do samego artysty, lecz nibyto do syna jego, który mu się wtedy właśnie narodził i któremu w dowód i na pamiątkę tęp przyjaźni ojca z poetą naszym, dano na chrzcie także imię Juliusz.

Ścisłe także i bardzo przyjacielskie były stósunki Słowackiego z naszym K. Ujejskim, a to poczynawszy od r. 1847, w którym ten znakomity, choć wtedy dopiero poczynający poeta spędził miesiąc kilka w stolicy Francyi. W owymto czasie napisany był do niego ów wiersz prześliczny Juliusza, któryśmy wcielił do zbioru lirycznych jego poezyi. Korespondowali ze sobą i w późniejszych latach.

Równie dobrze położonym w sercu Słowackiego był także Ludwik Norwid rzeźbiarz. Zbliżała ich do siebie równość dążeń, wyobrażeń i jak sądzę należenie do jednej i téjsamój frakeyi w kole niegdyś zawiązaném przez Towiańskiego. O téj ścisłości stósunków z Norwidem świadczą dwa wiersze liryczne do niego napisane, które są zamieszczone w tomie Iszym Pism wydania lwowskiego.*)

Nikt jednakże podobno nie byłby się mógł w latach owych poczyć takim serdeczném przywiązaniem i zaufaniem ze strony Słowackiego, jak Szczęsny Feliński, obecnie Arcybiskup warszawski — w owym czasie świeckiego jeszcze stanu. Liczył on wtedy lat dopiero około 24. Przybył do Paryża z końcem roku 1847, w zamiarze ukończenia tu nauk. Uczęszczał do Sorbony i do Collège de France, bywając przedewszystkiém na kursach historii i filozofii. Poznał się ze Słowackim na początku r. 1848. Wysoki wtedy nastrój ducha Juliusza — życie surowe, wyłącznie poświęcone jednej, w celu ostatecznym tak szlachetnej dążności — i marząca exaltacya takie sprawiły wrażenie na tym młodym umyśle, że przylgnął do niego całém sercem i duszą. Od owego czasu aż do ostatniej godziny życia był już Szczęsny najmiłszym powiernikiem i nieodstępny poety towarzyszem. Niejedno dzieło jego z pomiędzy wydanych w zeszłym dopiero roku znalazłem przepisane ręką Szczęsnego, pod bezpośrednim nadzorem autora. Niejeden pomysł wykonać się mającego utworu przemarzyli oni tam pewnie obydwaj wspólnie. W listach Słowackiego do matki często bardzo dają się spotykać wzmianki o tym młodym człowieku, będące wymowném tego świadectwem, ile on go musiał kochać i cenić.

„Szczęsny jest ze mną (pisał do niej np. d. 28 marca 1848 r.) Jest on czystym brylantem i skarbem moim. Prawdziwie mi takiego potrzeba było“...

... „Ukochany to jest chłopiec — już z chłopca człowiek! Wszyscy go tu ukochali szanując — postępki jego anielskie — wiedza rozkwitająca — stanie się kiedyś chwałą naszą“... (z listu z dnia 25 sierpnia 1848).

*) Przez pomyłkę dano im tam napis: „Do L. Nabelaka“. W rękopisie były tylko litery: Do L. N., co źle na razie zrozumiano. Nabelaka wtedy nie było wcale w Paryżu.

Zresztą należało i w tym czasie okresie do najgorętszych życzeń Słowackiego — równie jak w pierwszych latach jego pobytu na emigracyi, ażeby się zobaczyć kiedyś z matką kochaną, choćby raz jeszcze w życiu. Zaraz po powrocie z podróży jego wschodniej — było to ich obojga ciąglém marzeniem. Były w tym widoku robione w różnych latach różne projekta. To się zjechać mieli gdzie we Włoszech, to w Dreźnie, to w innych miejscach. Zawsze jednak aż do téj chwili zamiarom tym stawały w drodze jakieś nieprzewidywane przeszkody. W ostatnich miesiącach roku 1847 zapadło wreszcie przedsięwzięcie stanowcze, że się zjechać mieli oboje za nadejściem przyszłej wiosny w Karlsbadzie.

... „Od wczoraj (pisał d. 2 grudnia 1847 r.) przedsięwziąłem potrzebne kroki dla otrzymania paszportu do Karlsbadu. Na wiosnę więc spodziewam się, że z wszelką spokojnością i rozkoszą zjedziemy się tam gdzie Ty zechcesz, i czas jakiś ze sobą pomieszkamy... O! gdyby nie ten kraj, w którym się znajdujesz, a którykolwiek inny! Jużbyś mię dawno widziała wysiadającego z dylizansu. Bo ja tensam, który niegdyś — słysząc żeś Ty chora, we dwa dni przyleciałem do Ciebie i w nocy zastukałem do furtki — i u babuni na sienniku ranka doczekałem. Pamiętajsz?... Zimę tę więc, miłą oczekiwaniem wiosny, łatwiej niż inne zimy przebędę“...

Upłynęło od czasu owego listu półtrzecia miesiąca. Zbliżała się wiosna, pamiętna wiosna 1848! Ani syn, ani matka nie przewidywali wypadków, jakie ta wiosna złudna i rychła — pod każdym względem przedwczesna — przynieść miała ze sobą. Projekt powzięty stał niewzruszenie.

... „Wiosna się zbliża — spodziewam się, że w Kwietniu będziesz mogła do wód wyruszyć. Wielkiego mizeraka syna oddam Ci, zamiast tego, któregoś Ty na świat wysłała — który był dumny i niezupełnie godny Twojej miłości. Zobaczysz droga moja, że ze mną teraz spokojniej czas płynie, a domek, który ja zamieszkam, cichszy jest, niż inne... Ufam, że mi to lato z Tobą w części spędzone sił doda; bo mówię Ci, że smutny. A ta zima bardzo mi złą była. Nie mam nic, w czémby mi teraz ludzie pomogli“...

To było pisane d. 13 lutego r. 1848.

W jedenaście dni po tym liście, zaszły wydarzenia paryskie. Ludwik Filip zniknął z stolicy. Lud paryski na placu Bastylli spalił tron króla episyerów. Dały się słyszeć okrzyki: wolność, równość, braterstwo! Rzeczpospolita zajęła miejsce dawniejszego porządku rzeczy. Na barykadach stanęły masy, z bronią w rękę i wyzywając do walki, co jeszcze wczoraj było potęgą. Za przykładem Paryża poszły niebawem i inne stolicy: Neapol, Rzym, Wiedeń, Berlin. Zdawało się, że się postać Europy przekształca...

Już w dniu 20 Marca rozpoczęły się ruchy w Poznańskim. We wszystkich sercach, pragnących odmian, zaświtała nie już nadzieja, ale pewność pożądaną przyszłości.

U Słowackiego myśl zobaczenia i połączenia się z matką zaczęła się od tej chwili malować w żywszych kolorach. Przyczyniało się do tego niemało i przeniesienie się około tegoż czasu całej jego rodziny z Wołynia do Galicji w okolice Lwowa. Tytułem spadku po dalekiej krewnej, która właśnie w latach owych zesła ze świata, wzięli pp. Januszewscy i p. Becu w posiadanie wieś Ubień, położoną pod Jaryczowem. Więc już teraz mógł się Juliusz spodziewać, że nie nie przeszkodzi jego życzeniu, ażeby się złączyć ze swymi.

„Oto może wkrótce (pisał d. 28 marca) już nie tylko zjadę się z Tobą, droga moja, ale połączę się z Tobą dopełniwszy moich obowiązków i zrzuciwszy się z moich ciężarów...

...„Dziś jeszcze o przyszłości pisać nie mogę — każdy dzień zmienia moje położenie i kierunek nowy moim czynnościom nadaje. Choć się nie ruszyłem z miejsca, wszystko mnie jednak ku Tobie przybliża.

„Cudowna to dla mnie wiosna! Może pączki, które się na drzewach w wiosce Teofila rozwijają, dla mnie w upał letni cień gotują. Może usta moje kawałkiem chleba domowego rodzinnego będą nasyczone i napełnione. Może Hersylia kochana z czareczką jakiego kwasu przyjmie mnie w progu chatki swojej. Choćby to najuboższe było, nie dbajcie! Wspólnie pracować będziemy — byle nową matkę naszą nie być ciężarem. — Co to byłby za raj dla mnie, gdybym uczuł, że mi zupełnie choć na chwilę odpocząć duchem i ciałem wolno“!...

Wzmianka w powyższym liście o obowiązkach i trudach, od których nie sądził Słowacki żeby mu się godziło uważać za zwolnionego, nawet pomimo tego co zaszło, powoduje mnie do dołączenia tu słów kilku, celem wyjaśnienia, jakiej natury były zajęcia jego w tym czasie. Brał on wtedy czynny udział wśród nowego, gwarliwego, namiętnościami i zapalem kipiącego życia Emigracji nagromadzonej w Paryżu. Wystąpienia jego nosiły oczywiście zawsze piętno owęj idealnej, lecz niepraktycznej dążności, w jakiej raz na zawsze się zawarł. Choćby projekta jego i zostały były przyjęte, choćby rady jego były i najpomyślniej w czyn zamienione: skutek działań i wtedy byłby się okazał taki sam, jaki nastąpił. Ale poecie się zdawało, że od formy, że od godła, od nazwy — zależą nieobliczonej doniosłości następstwa.

Dnia 19 marca zebrała się pewna ilość pozostałych jeszcze wtedy w Paryżu Polaków i zamierzała zawiązać klub narodowy. Słowacki stanął pomiędzy nimi i przemówił przeciw wszelkim formom zagranicznym, jako nieprowadzącym do celu. Natomiast przedłożył obecnym projekt zawiązania raczej Konfederacji, gdyż taka tylko forma odpowiada duchowi społeczeństwa naszego i posłużyć może za model dalszej organizacji na wielką skalę, w samychże granicach kraju. — „Albowiem — mówił im — w formowaniu kryształu pierwszy atom i związek, z którego kryształ powstać ma, zachowuje już ten kształt i tę formę, która następnie kształtem i formą całego kryształu staje się i we wszystkich się częściach jego powtarza. Prawo to, z natury wzięte, przewodniczyć powinno i wszelkim organizowaniom się ducha w ludzkości... Pamiętajcie, że formy nasze dawne — sąto żywe i zaczarowane, a snem do trupów podobne olbrzymy, które długo w trumnach leżały“... Z tego tekstu była powiedziana cała ta mowa, która też następnie i wyszła z druku w osobnej broszurce pod tytułem:

Głos brata Juliusza Słowackiego do zgromadzonych i w Klub zawiązać się chcących Polaków, przedstawiający potrzebę przyjęcia nowej formy konfederacyjnej. (19 marca 1848 r.) bez karty tytułowej, 8^o stron 8.

O dalszych losach tego projektu podał niedawno temu, w jednym z pism lwowskich czasowych, przy ubocznej okoliczności, bezimienny pewien świadek naoczny rzeczonyj sceny, wiadomość w następujących wyrazach:

„Každy z obecnych drgnął duchem do słów Juliusza i zapalił się myślą do rzeczy, która wzbudzała pamięć wielkich poświęceń i świetnych czynów barskich konfederatów — i pod takim wrażeniem rozeszliśmy się z tego zebrania.

„Zimniejszy atoli pogląd na sprawę naszą i zbadanie ogólne go usposobienia emigracyi, która już wtedy rozbita niemal na atomy, szumiała tylko bezładną burzą — przekonanie, że myśl zawiazania konfederacyi, potrzebująca organizacyjnych pierwiastków, nie zdoła się już przyjąć wśród anarchicznych żywiołów i usposobień — to wszystko zebrane razem, ochłodziło wkrótce zagrzane dusze Juliusza słowami, i uznano niepodobieństwo przeprowadzenia konfederackich form...

„Lodowe jednak głosy rozwagi nie zdołały przecież zziębnić ognistej Słowackiego fantazyi. Mimo nich spróbował on urzeczywistnienia swego pomysłu, a zebrawszy się w ściślejszym kółku z czterema bezwzględnyimi zwolennikami konfederackiej idei, którzy gorąco a bez obejrzenia się na okół do niej przyłgnęli — akt konfederacyi spisali i wraz z odezwą ogłosili go drukiem...

„Że zaś ten mały zawiązek konfederacki w Paryżu nie miał dalszej przyszłości: więc dla rozwinięcia jego, postanowił Słowacki szukać punktu oparcia na ziemi wielkopolskiej, gdzie już w formujących się obozach wrzało do walki.“ itd.

Owoż takito był powód, że nie do matki, jakbyśmy może oczekiwali, pospieszył Juliusz niedługo potem z Paryża, ale w Poznańskie. Przybył do Poznania około 10 kwietnia. Znalazł gościnne przyjęcie, na cały czas pobytu swego w tém mieście, w domu pp. Bukowieckich. Były to już dni natenczas, gdzie się nadzieje wielkopolskie zaczynały mieć ku schyłkowi. Zjechał był właśnie do Księstwa generał pruski Willisen, jako rozjemca królewski między obozami powstańców a wojskiem pruskiem. Komitet narodowy działać, a przynajmniej kierować sprawą już prze-

stał. Przystępywano właśnie do ułożenia tak zwanój jarosławieckiej konwencyi. Krwawe, rozpaczliwe potyczki pod Książem, Miłosławiem i Wrześnią miały niezadługo nastąpić i można je było już wtedy przewidywać. W takich okolicznościach — samo się rozumie, że o konfederackim projekcie trudno już było myśleć marzycielowi naszemu. To też bawił ciągle w Poznaniu mało gdzie z domu wychodząc, mało komu się udzielając, ile że i siły jego bardzo już były nadwątlone w tym czasie, choć téj myśli o ni- knącym zdrowiu swoim nigdy nie lubił przypuszczać. Oczekiwania jego okazały się zawiedzione z wielu względów. Nie tracił jednak jeszcze nadziei. Jeszcze d. 24 kwietnia pisał oto do matki w wyrazach dających wnosić, z jaką otuchą spoglądał w przyszłość.

„Najdroższa moja! Zdziwisz się zapewne, odbierając ten list z Poznania. Ja sam się dziwię, że tu jestem, że oddycham powietrzem, którego woń dzieciństwo mi moje przypomina; że widzę chłopki polskie na wozach i po kościółkach... Jestem tu na gościnie, w domu jakby rodzinnym przyjęty i traktowany. Nie wiem wcale, jak długo mi tu wypadnie zabawić, a Ty najdroższa wiesz, że dłużej niż potrzeba nigdzie teraz nie zabawię, ale będę spieszył i kierował się tak, abym jak najprędzej u Ciebie stanął. O! jakże spragniony jestem tego łóżka, które mi Ty sporządzić każesz, gdzie się położę jako z długiej pielgrzymki życia wracający, strudzony wędrowiec. Jak blisko ta chwila? nie wiem, bo mam obowiązki, od których tylko sam Bóg uwolnić mnie może. Wszystko tu jeszcze mgliste i nierozjaśnione... Wkrótce jednak spodziewam się czuć rękę Twoję na głowie mojej. Wesela się spodziewam i radości w domu Waszym.“ itd.

W dniu 29 kwietnia, nazajutrz potem i w dniu 2 maja zaszły bitwy decydujące w miejscach powyżej wymienionych. W tychże dniach rozwiązał się komitet narodowy poznański. Partyzanckie oddziały po różnych punktach Księstwa staczały — każdy na własną rękę — utarczki z pojedynczymi komendami wojsk pruskich. Już w pierwszych dniach maja miały miejsce sceny takie, jak w Stęszewie, w Buku i Kcyni. Mierosławski zdał dowództwo nad obozami w inne ręce i ... „ulotnił się“ z pola działania. Z Berlina przybył z nieograniczonym pełnomocnictwem, a gro-

zném względem prowincyi usposobieniem gen. Pfuel. Ogłoszono prawo doraźne. Rozpoczęły się aresztowania na wielką skalę. Pobyt w Poznaniu osób takich, jak Słowacki, stawał się z dniem każdym coraz mniej pewnym...

Wtedy też on — po całomiesięcznej bytności w stolicy Księstwa — opuścił Poznańskie i przeniósł się do Wrocławia. (Najął tam sobie mieszkanie na Neue Schweidnitzer Strasse No 3, na drugim piętrze, dzwonek na prawo). Było to jakoś w połowie maja. Usposobienie jego w tych czasach malują następujące miejsc w liście do matki:

„Od kilku dni jestem w Wrocławiu, tak blisko Ciebie, a jednak rozdzielony nieprzebytą na teraz przestrzenią. Pisać Ci, abys tu przyjechała, nie mogę, bo sam nie wiem, czy mi co chwila rozkaz wyjazdu stąd nie zostanie dany przez władze miejscowe. Wszystko więc rodzinne, a serca dotyczące się zostawiam Bogu, który mnie prowadzi i może w trudach moich choć chwilą szczęśliwą z Tobą przebyta wynagrodzić mnie zechce...

... „Ja tu jak ptaszek uwieczony patrzę na przestwory niebieskie, bo wszędy mam rozsypanych braci moich, i z każdym chciałbym się widzieć co chwila. Oczy moje łez pełne — serce odpowiedzialne przed Bogiem. Mękę wielką czuję. Co chciałem, stało się. Pola przyległe pełne są ruchu. Przy ogniskach nabożne pieśni śpiewają. Ofiarują się. Ciała kładą za ducha nieśmiertelność. Boży czas zaczynają.

... „Miesiąc ten życia mojego pełny cudów. Spotykałem się z ludźmi, z którymi spotkać się było życia mego zadaniem. Ostrzegany byłem przez Boga we wszystkiem. Napelniony zyciem, rozdający siłę, gdy potrzeba. Na czas wszędzie stawałem (?). Wola się moja z dopuszczenia bożego pełniła (?)...

... „Postępowanie ludzi oświeconych w mieście waszém (we Lwowie) jest straszne i ściągające na was okropne nieszczęścia. Dałbym wiele za to, żebym Cię teraz wiedział w dawném Twojem siedzącą miasteczku... Teofila proszę o to tylko, aby niczego nie odkładał na jutro, a nie brał na zdrowy rozsądek, ale stał się w tych czasach jak dzieci, słuchające natchnienia i wichru bożego we włosach. Wróble wszystkie są dziś policzone u Boga i żaden bez jego rozkazu z błękitu nie spadnie...

... „Z Poznania pisałem do Ciebie, iż dobrzeby było, abys miała moje metrykę i dowiodła, że jako syn Twój

mam prawo do kawałka ziemi w Galicyi. Nie jest to wszakże rzecz nader ważna, i spodziewam się, że się stanie niepotrzebną... (z listu z d. 14 maja).

W cztery dni później i ta ostatnia iskra nadziei, która mu wtedy jeszcze świeciła, zagasła. Już teraz nie przypuszczał, żeby mu miało być daném odwiedzić swoich w ich wiejskim domku. Zaczął się lękać, ażeby zamiast zbliżyć się do nich — nie był raczej przymuszony znowu się od nich oddalić. Pisał tedy w takich wyrazach:

„Pomimo to, że lada dzień mogę być stąd wyprawiony, proszę Cię jednak najdroższa Matko! jeżelibyś się na to odważyła, abys siadła do dylżansu i choćby na kilka dni tu przyjechała. Nie tak to jest droga długa dla Ciebie — a ponieważ masz paszport, więc ja możesz odbyć z wszędy kiem bezpieczeństwem. Widzieć się z Tobą, byłoby dla mnie wielkiem szczęściem w tych czasach, w których mi wiele rzeczy boli i udreca. Niech mi więc Bóg pozwoli jeszcze raz wziąć błogosławieństwo Twoje i mieć w pocałowaniu Twojem świętém ochłodzone czoło moje!.. Choćby więc na tydzień, przyjeżdż; a ja Cię będę czekał w dzień oznaczony na drodze żelaznej i postaram się dla Ciebie o mieszkanie... (z listu z d. 18 maja).

Wszystkie te listy, począwszy od poznańskiego, były wysyłane do Lwowa, gdzie Pani Becu bawiła przez cały ten czas, i adresowane poste restante. Nieszczęście chciało, że się na pocztę o listy takie matka Juliusza wcale nie dowiadywała. Nie mając zaś od tak dawna żadnych wiadomości od niego, zachodziła w głowę, co się z nim dzieje. Niepodobno jęj było pisać do niego, nie wiedziała bowiem, dokąd pojechał z Paryża.

Juliusz tymczasem z swojej strony nie pojmował znowu tego tak uporczywego milczenia matki. Wysyłał do niej z Wrocławia, różnemi drogami, pod coraz innym adresem, list za listem, zaklinając o najspieszniejszy przyjazd — wszystko nadaremnie! Ani na obydwu wyżej już wspomniane listy wrocławskie, ani na dwa inne jeszcze, zaraz po nich wyprawione jeden za drugim, odpowiedzi się żadnej nie mógł doczekać. Co się działo w sercu jego, wystawić sobie można, zważywszy zwłaszcza że lada godzi-

nę przewidywał, że mu przysła władze miejscowe rozkaz wyjazdu. Tymczasem d. 9 czerwca (po całomiesięcznym więc nadaremnie wyczekiwaniu w Wrocławiu) otrzymuje niespodzianie od Statlera z Krakowa doniesienie, że matka jego przebywa ciągle we Lwowie; że jest od przeszło 3 miesięcy bez żadnej o nim wieści; że się dręczy wielce i smuci, nie mogąc się z nikąd niczego o nim dowiedzieć.

Natychmiast tedy, za pośrednictwem Statlera, ponowne powtórzenie prośby swojej jęj posłał błagając, żeby ani godziny nie tracąc, przyjechała uściskać go raz jeszcze i pobłogosławić mu na to nowe tulaństwo, które go czeka. Tym razem dopiero list rąk jęj doszedł i odniósł skutek.

W kilka dni potem dożył więc Juliusz chwili, której pragnął tak gorąco i od tak dawna. Mógł się rzucić do nóg kochającej, stroskanęj matce. Mógł się przed nią wypowiadać ze wszystkich zawodów smutnego życia, które spędził opodal od niej...

Ale to wzajemne ich szczęście niedługo trwało. Pani Becu wybrała się wprawdzie w podróż z postanowieniem, żeby albo wrócić do Ubienia razem ze synem, albo też — gdyby miały temu stanąć w drodze nieusunięte zawady, zamierzała spędzić w jego towarzystwie to całe lato w jakimś miejscu kąpielowym w Niemczech lub Austrii. Jednakże twarde czasu tego okoliczności i twardsza jeszcze od nich nielitość ludzi zniweczyła owe widoki. Jeszcze w ciągu tegoż miesiąca czerwca przysłano tak matce, jak synowi rozkaz ze strony władzy miejscowej, ażeby natychmiast opuścili Wrocław i kraje pruskie i wracali każde z nich w stronę, z której przybyli. Było tedy — po tylu latach rozłączenia, po tylu usiłowaniach, zawsze nadaremnych, zjechać się gdziekolwiek — całego ich pobytu w Wrocławiu najwięcej jeżeli tydzień jeden. Rozstanie było tém boleśniesz, że go nie osładzała nadzieja, żeby się wkrótce, żeby się kiedykolwiek jeszcze w życiu znowu mieli zobaczyć. Boć matka była już w latach sędziwych, a zdrowie Juliusza widocznie dogorywało, a nad tém wszystkim malowała się przyszłość polityczna w barwach, odbierających wszelką otuchę.

Juliusz jednak silił się pocieszać matkę przecuciem rychłego znowu zbliżenia się do niej, choć pewnie sam wątpił o możliwości dotrzymania tęg obietnicy.

... „Dziś w sobotę (pisał do niej nazajutrz po jęj odjeździe, było to zaś w ostatnich dniach miesiąca czerwca 1848) — „a zatem o dzień jeden przedtę, niżem się spodziewał, wyjeżdżam z Wrocławia, w którym z wielu względów bawiłbym dłużej nie mógł. Wczoraj wieczorem przechodziłem koło domu, gdzieś mieszkała, i patrzyłem w twoje biedne puste okienka. Twoję tam główki ciekawę nie było... Biedna Ty — i biedny ja! — Dziś o piątę wieczorem jeszcze dalej od Ciebie odjadę. Ale ufaj w Boga i ufaj memu bolesnemu sercu, że się do Ciebie znowu przybliżę... Bądź zdrowa najdroższa — — — Strasznie tu byli rozgniewani ci, którzy mi tu tak długo gościć pozwolili. Teraz każą natychmiast ruszać. Dobrze, że się to pierwę nie stało...

Jak przed 17 laty, tak i tym razem podążył poeta nasz z Wrocławia prosto do Drezna. Tu się zatrzymał tylko dzień jeden, który mu się teraz dziwnie nudnym wydawał. Potem już nigdzie się nie zatrzymywał po drodze, zboczył tylko do Ostendy. Chciał się orzeźwić morską kąpielą i (jak się wyraził) zebrać ducha przed powrotem do tęg Francyi, która bynajmniej go nie nęciła ku sobie. Kąpiele jednak nie bardzo mu posłużyły w tym roku. Parę też tylko tygodni spędził w Ostendzie. Już w końcu lipca znalazł się znowu w smutnym i samotnym mieszkaniu swoim paryskim.

... „Mieszkanie to (pisał d. 1 sierpnia 1848) z niskimi sufitami, zdało mi się dziwnie małeńkie i ciemne. Szerzę mi było i przestronnię w waszych stronach! Miletus mój (sługa Słowackiego od lat kilku, Francuz) dobry i zawsze jednakowy. Przyjaciele moi niezmienni w niczém; ja sam nareszcie już do zwyczajnych prac umysł mój nagięłem. Ale mi smutno! Nie wiem, czemu energii zwyczajnej odzyskać nie mogę. Może to Ty, droga moja, popułaś mię Twoją anielską dobrocią i słodyczą tych ostatnich chwil, w których z taką łagodnością postępowałaś ze mną? Któż mi Ciebie zastąpi? Kto nawet przypomni?..

„Zawsze się lękałem, żeby Ci na oczach stanąwszy nie być boleścią i dni Twoich nie zatruć. Wszystko największe spełniłaś! Zwycięstwo Twoję miłości nademną jest

zupełne. Nie ma we mnie, coby się nie skruszyło w ostatnich słowach Twoich. Błogosławiona bądź za to, żeś to ze mną uczyniła!”

— Za powrotem do Paryża uważali po Juliuszu znajomi i przyjaciele, że był jakoś dziwnie zmieniony. Serce jego było do głębi rozbolełe na to wszystko, co w kraju widział i co wrzało wtedy dokoła na wielkim świecie. Poeta okazywał się odtąd w obejściu swoim codziennym coraz więcej drażliwym i rozstrojonym, ale też i podniesionym duchownie na wysokość, do jakiej ludzie normalnych usposobień rzadko się wznoszą.

W ogóle mógł to każdy z czytelników moich sam zauważyć, czytając te ostatnie rozdziały: że Towianizm dla Słowackiego pod jednym względem nie był bez pewnej korzyści. Wprawdzie sławie jego autorskiej zaszkodził on nieskończenie. Literackie zasługi, jakich się piśmiennictwo narodowe sprawiedliwie spodziewać mogło po tej olbrzymiej zdolności, zmniejszyła ta obłędna doktryna o dobrą połowę. Mimo jednakże tej zgubności pod względem umysłowym, mimo szkód jakich doznał pisarz, poeta: człowiek pod owym wpływem mistycznego wzniesienia ducha niewątpliwie skorzystał. W życiu praktycznym, w zamiarach, w sposobie i kierunkach działania, słowem: etycznie Słowacki w latach owych spoważniał i uszlachetniał stanowczo. Moralnie podniósł się wyżej, niż za najlepszych czasów poprzednio upłynionego życia...

W poprzedzających rozdziałach nie zwracałem nigdy czytelników moich uwagi na moralną wartość postępowania osoby której działaniu autorskiemu głównie jest poświęcone to dzieło. Usilnie i umyślnie starałem się utrzymać pod tym względem na stanowisku zupełnej przedmiotowości. Względem człowieka, którego życie już zgasło, a którego pamięć drogą jest narodowi względem pisarza, którego własne, poufne, prywatne i bynajmniej nie dla wiadomości całego świata kreślone wyznania o samym sobie służyły mi za materiał do jego życiorysu, nie chciałem odgrywać roli sędziego, wyrokującego o nim w doraźnych, surowych sądach i niejako zaocznie. Obowiązkiem moim było z jednej strony złożyć wizerunek jego osobistości z rysów autentycznych, z szczegółów

ile tylko być mogło rzeczywistych i prawdziwych, nie zatajając niczego, co było pomiędzy nimi istotnym. Z drugiej wszelako strony uważałem i to sobie za powinność, ażeby w tym zestawieniu wizerunku poety wynikało ostateczne o nim zdanie, jako o człowieku, ze samych tylko czynów jego, nie zaś z tych zwierzeń listowych. I pozostawiałem wreszcie sformułowanie tegoż zdania raczej drugim, nie sobie... Po tym wszystkiém jednakże, co aż dotąd się powiedziało, zdaje mi się, że wolno mi już będzie zrobić to spostrzeżenie, że było niewątpliwie w dawniejszym życiu Słowackiego, w jego charakterze niejedno, co nie zupełnie rymowało z tą olbrzymią zdolnością poetycką, której błyski podziwiamy w jego kreacyach. W ogóle jeżeli kto, to autor Beniowskiego służyć nam może za przykład i za dowód wymowny, że i genialni ludzie nie są bezwarunkowo stawieni po nad poziom zwyczajny. I oni ostatecznie nie są czém więcej niestety, jak tylko jednostkami ułomnego rodzaju, do którego wszyscy przynależymy..

Takie wrażenie sprawia na nas osobistość Słowackiego aż po rok 1842. Za przystąpieniem do koła Towiańszczyków, wiele bardzo pod tym względem u niego się odmieniło. Wstąpił w niego jakiś duch wyższy, który go już nie opuścił, chociaż się niebawem od Towiańszczyków odstrychnął i na własną rękę rozwijał sobie doktrynę. Było w ciągu całej tej życia jego epoki niezawodnie coś, co nam mimo wszelkiego obłędu imponuje w jego obliczu. Wielka surowość zasad, bezinteresowność do dalekich posunięć granic, obojętność najwyższa nie tylko na wygody i dolegliwości cielesne, ale nawet i na wszelkie błahie względy potocznego i zewnętrznego żywota... miłość ku ludziom gorąca, głęboki duch ofiary, chętne przestawanie na małym, gotowość do wyrzeczenia się najśladzszych pociech życia. Zauważać się daje w tym duchu odtąd nieraz i siła nawet, dziwnie odbijająca od właściwego mu dawniej braku hartu i woli. Uderza w nim niekiedy nawet pewien praktyczny realizm, przedtém obcy najzupełniej idealnej jego naturze...

W ostatnich chwilach życia odbiło się to wszystko najwydatniej w wewnętrznej fizjonomii poety. To też znajdujemy w jego

korespondencyi z czasu owego liczne ustępy, szczególnie pod tym względem uderzające.

Żądała np. razu jednego od niego matka (było to w sierpniu 1848), ażeby jej przysłał znacniejszą jaką ilość odlewów gipsowych znanego medalionu Oleszczyńskiego, a to w celu rozpowszechnienia takowych. Oto, co jej wtedy na to odpisał:

„O medalionach pamiętam, ale szczerze Ci mówię, że jeszcze ich mieć nie mogę; jeden mam tylko — trzebaby odlewać wielką liczbę — trzeba żeby się snycerz na to zgodził, a on nie wiem gdzie. Nie żądam Ty tego tak silnie, co tylko umniejszy mi miłości w ludziach nie znających mnie. Bo i czyn posyłania własnych medalów i wyraz twarzy na medalu wgardliwy i dumny będą mi zarówno serca ludzkie odpychać. Nie jestem już z tych, którzy gwałtem chcą zdobyć pamięć ludzką, a bolesna moja twarz na obrazie Stattlera lepiej mnie teraz przedstawia“...

....„O spokojność i miłość prosz dla mnie Boga, abym w ofierze i pracy wytrwał, a nie dał się skusić temu rozpaczliwemu, wszystko burzącemu pasy duchowi, który mnie nieraz do walki ze światem podmawiał... Cóż robić? Duchy narodu niezdolne są wielkich, z ducha przedsięwziętych czynów — oglądają się na obce rzeczy, upadają z upadającymi i cierpią. Ja cierpię także — ale inaczej — cierpię, że jeszcze się nie zaczęło“... (z listu z d. 25 sierpnia 1848).

....„Właśnie ta część sentymentalno-dumna natury mojej, która mnie względem rzeczy świata pogardliwym czyniła, opadła ze mnie; a ja teraz bliższy jestem poczytywanym ludzi, niż ludzi blichtrzem świecących. A że nie jestem bez miłości sprawiedliwej, dowiodę Ci kiedyś, przyjeżdżasz do domku Twego“... (z d. 9 października 1848).

....„Podobno to mój Teofilu (mówi do wuja) nieszczęście było nasze, żeśmy dotąd szukali nie umiłowanych, ale tylko miłych znajomych. Stąd wysadzaliśmy się na dowcip, na kwieciste konwersacje — z książek i podróży czyniliśmy coś naksztalt kłaków i tém zapychaliśmy próżne serca i głowy napotykanym ludzi. Oni też nas oglądali za dobrych bardzo lekarzy nud — głosili nasze pochwały, tęsknili nawet do nas, ile razy próżnia życia ich czém lepszym zapelniona nie była, a nakoniec z czasem zapominali o nas. Inaczej dziś z tymi, których nkochałem, którym prawdę ważyłem się zawsze powiedzieć, szorstką i bez

żadnej grzeczności w wyrażeniu administrowaniu. Ci, choć dalecy i nieliczni, są mi jednak szczęściem mego żywota. I ciebie proszę, Filu mój, traktuj tak twoich nowych sąsiadów. Nie sil się, abyś ich pozyskał przyjemnością pożycia z tobą, ale prawdą wewnętrzną ducha twego uderzaj ich silnie, tak jak gdybyś dbał tylko o to, aby każdy z nich stał się pożytecznym przyszłości — a choćby na czas nieprzyjacielem nawet twoim. Obaczysz Filu, jak to dobrze tych gniewających się widzieć potem we łzach i rozczulonych, gdy się nam na serca rzucają“... (z listu z d. 4 marca 1849).

Jakże to wszystko odbija od zdań Słowackiego w dawniejszych listach!

Podobnie też inaczej, jak niegdyś, sądził on wtedy o dziełach swoich i o całej swojej autorskiej przeszłości.

....„Przez 5 lat (pisał do Stattlera d. 25 grudnia 1848 r.) pracowałem tak, jak może jeszcze żaden człowiek nie pracował. Skutki tej pracy nie w księgach są, ale w żywych sercach i w duchach, w które je wrzuciłem i posiałem. Małe to są ziarenka i nie wiem nawet, czy Chrystus Pan zechce kiedyś światłością swoją dopomóc, aby wyrosły i kłosi swoje prosiom podobne porodziły. A jednak mam tę wiarę i ufność pewną, że praca moja żywa lepsza jest, niż praca moja umarła — która już w foremkach się swoich glinianych pokazała i nazywa się... poezją moją.“

Kilka miesięcy przed napisaniem słów powyższych posyłał był Słowacki cały zapas dawniejszych nierozprzedanych publikacji swoich na ręce matki do Lwowa, ażeby po cenie zniżonej dostawiła je księgarzowi. Przy tej sposobności taką wyrzekł o dziełach swoich uwagę:

„Przykrego doznaję uczucia, posłać zmuszony te książki, z których wiele chciałbym zatracić. Prawie zrumieniony wydobywam ze składu liczne arkusze, aby je oddać broszurowi. Chciałbym przesłać to wszystko przez rzeszoto i samych tylko kilka ziarenek czystego zboża dać moim miłym na siejbę. Wolałbym, aby niektóre z nich nigdy były nie wyszły. A następną edycją robiąc, starać się będę niektóre z niedokończonych moich poematów zatracić“....

*) Ponieważ o drukowanych a niedokończonych rzeczach tu mowa, stosować się zatem to może tylko do Beniowskiego. Nie odno-

Nadto wysoko waży teraz Ducha polskiego. Wstyd mi wielce melancholii bajrońskich — strach, aby one nie zaraziły innych! Ponieważ jednak rzecz jest dokonana, posłę wszystkie żądane książki... (z listów z d. 1 i 12 sierpnia 1848). —

Do téj zmiany, jak widzimy, istotnej i stanowczej w wyobrażeniach poety przyczyniało się też niepomału i rosnące w nim coraz bardziej uczucie, że go siły fizyczne zaczynają opuszczać, że pasmo życia jego się zrywa... Zdrowie Słowackiego nie było nigdy czerstwe. Był on słabowitym przez całe życie. Zarody piersiowej choroby można było w nim spostrzegać już na kilkanaście lat przede śmiercią. Przywykły jednak od dzieciństwa do mniej pomysłnego stanu pod względem zdrowia, nie bardzo zważał on na to. Owszem prawie we wszystkich listach chwalił się zwykle przed matką, że czerstwość sił, co się zowie, mu dopisuje. Od roku 1843 spędzał co roku kilka tygodni nad oceanem w Pornie i używał z dobrym skutkiem morskich kąpiel. Ale to też już było wszystko, co dla zdrowia swego czynił. Pomocy zaś lekarskiej nawet w razie gwałtowniejszej potrzeby używać nie lubił i podlegał pod tym względem przesądom, które były w związku z jego mistycyzmem.

... „Nie znam żadnego doktora (pisał np. d. 22 stycznia r. 1848 do matki) bo w nich nie wierzę — i nigdy ich nie używałem. We wszystkiem uzdrawia mię duch mój wzniesieniem się i wydobyciem z siebie prawdziwego ruchu. Przekonałem się nawet, że ile razy cielesnie chciałem sobie jakim lekarstwem prostém dopomóc, to zawsze po chwilowej uldze była potem reakcyja ducha, który zdawał mi się mówić: Zwątpiłeś we mnie, przeniósłeś nademnie ducha rośliny — pijże teraz ciągle rumberbarum i bądź sługą dekaktu, kiedyś nie chciał być swoim własnym panem i gospodarzem w domku ciała“...

W r. 1846, zaraz po wypadkach lutowych galicyjskich, zaniemógł był dość niebezpiecznie. Słabość nie trwała długo, mu-

szą się zaś żadną miarą powyższe słowa do Króla-Ducha. Owszem, Słowacki pracował nad nim właśnie w owych miesiącach, w których wyrazi te kreslił, i jak niżej zobaczymy, przywiązywał do niego większe znaczenie.

siała jednak być ciężka, kiedy już wtedy Słowacki układał, jak to widać z pozostałych notat w jego papierach, niektóre ustępy mające znaleźć miejsce w jego testamentie. Powróciwszy do zdrowia, w następujący sposób wspomniał o tém w liście owym do Krasińskiego, którym zawiązał z nim na nowo stósunki przyjacielskie.

„Możesz słyszał, że moczno był chory. Teraz jestem zdrów do czasu — a żyję, póki chcę. To mi Bóg zostawia. W rękę mi dał nie żywota mojego — nie bez łez, jak widzisz, puszcza ją, aby szła jeszcze“...

W następnych latach używał zdrowia, a przynajmniej wystawiał sobie, że go używa. Kto go jednak w r. 1848 widział w Poznaniu, temu się myśl nasuwała mimowolnie, że to człowiek, którego — jeżeli nie dni, to miesiące są policzone... Kąpiele w Ostendzie zamiast go pokrzepić, sprowadziły mu mocny katar piersiowy. W tym stanie powrócił do Francji. Listy jego paryskie z tego roku zawierały wprawdzie znowu doniesienia o jak najlepszym zdrowiu. Ale go parła jednak jakaś dziwna tęsknota do swoich. Nie mógł się już teraz wcale odegnąć myśli powrócenia do kraju, pod jakimibądź okolicznościami, choćby w najgorszym razie miało to być na kilka tylko tygodni. Miało to przyjść niezawodnie do skutku znowu na przyszłą wiosnę.

... „Z najwyższą radością (pisał d. 9 października r. 1848) wybieram się do Was na wiosnę. Wszystko tak urządzam, abym tu już wracać nie potrzebował. Idzie tylko o to, aby mi z tego ciała do wiosny co pozostało, bo mi coś bardzo ucieka“...

Za nadejściem zimy, stan zdrowia się pogorszył. Szczególniej w styczniu i lutym (1849) cierpienie stawało się coraz dotkliwszem. Myśl zbliżającej się śmierci nieraz nawiedzała już Słowackiego. Zaczynał wątpić, żeby mu Bóg dozwolił doczekać się owęj wiosny już niedalekiej, która go miała wrócić rodzinie, matce...

Listy jego z tego czasu znamionuje pewien zwrot myśli ku rzeczywistości. Dawniej idealista, marzyciel — lubił teraz Słowacki najwięcej mówić i wypytywać się o realne stósunki życia tam w kraju. Rozmyślał nad nimi, oceniał je, dawał rady jak działać potrzeba, żeby to, co w nich złego, na lepsze się odmie-

niło. Rady te czasem są niepraktyczne, niekiedy znowu w wysokim stopniu zasługują na to, żeby się zastanowić nad nimi. W każdym razie jest to charakterystycznem w życiorysie tego poety, że zaczął od lekceważenia i niemal wzgardy realizmu żywota, a skończył uznaniem daleko posuniętem znaczenia tegoż realizmu.

Oto na przykład, co pisał w ostatnim z listów swoich do wuja Januszewskiego:

„Proszę Cię, Teofilu kochany, opisz mi, jakim sposobem uprawiasz teraz rolę twoją — wiele gruntu masz — na jakie zasiewy najwięcej rachujesz? Gdzie sprzedajesz swoje zbiory? Bardzobym był ciekawy wiedzieć sposób twego gospodarstwa i mieć wyobrażenie doskonale tego, czém jest teraz wieś w waszych stronach. Sentymentalności wszystkie mało mię obchodzą. Życie ziemskie jako podstawa życia duchowego i jako narzędzie wolności, którego duch używa dla dopełnienia misji swojej, zajmuje mnie. Dlatego nie przyjemnościami i tak nazwaną poezią sielską karm mnie, ale mów o tych rzeczach, które Cię jako człowieka obchodzą; a ja — widząc Cię szczęśliwym lub nieszczęśliwym, rzetelnie wezmę serdeczny udział w twoim smutku lub weselu i pomogę sercu memu w tej miłości, która bez rzetelnej podstawy ludzkiej i bez opromienienia bożego jest tylko głupstwem i półtonem uczuciowym — na nic Aniołom i ludziom“...

Najwięcej zaprzętały myśl jego wtedy trudności, jakie się w Galicyi począwszy od r. 1846 pojawiły w stosunkach między ludem wiejskim a dworem.

... „Boże Narodzenie przeszło (pisał jeszcze w r. 1848, pod koniec grudnia). W wieczór dnia tego byłem samotny i myślałem o Was w lepiance Waszój. Chciałem nawet pisać do Was. List wasz ostatni, zrozpaczony o wioszczanem Waszém położeniu, mocno mię zasmucił. Rozbierałem je w sobie głęboko — czułem je boleśnie; bo wiem, coto jest, mieć opodal gromadę ludzi, złą wolą ku nam wytężonych. Wszakże ufam, że się to opuszczeniem przez Was wioszczki nie skończy.

... „We wszystkiem chcąc wyjść z biedy, trzeba drogę odmienić; trzeba formę wziąć nową. Lecz trzeba to uczynić prędko i energicznie, nie tracąc czasu na zatrzymywaniu rzeczy, które od nas odlatają w przepaść. A pańszczy-

zna i królowanie szlachty polskiej jest jedną z takich rajskich róż, które już Ewa polska na wieki utraciła. A że powinna była to utracić, to świadczy mała miłość, którą sobie u ludzi zyskała. — Ja mieszkam pięć lat w domu jednym, a pewny jestem, że portyer, który mi służy, po mojej śmierci przyjąłby z miłością wielką i weselem Ciebie, Filu, gdybyś na mojem miejscu mieszkać przyjechał; i miałby zaraz dla Ciebie nadskakujące nogi. A wy, którzyście przybyli do wsi, gdzie przez tyle lat wasi poprzednicy byli królami samowładnymi, ukamienowani jesteście!? — Któż winien? — Świadcze się Bogiem, że ten, który miał w ręku los ludzi, mógł mieć i serca tych ludzi na wieki. Kto wam miłości ludzkiej nie zostawił, ten nie zostawił żadnego dziedzictwa“.

... „Myśląc, jak jabym sobie poradził, będąc w Waszém położeniu, myślałem sobie tak: (a przebaczone mi, jeżeli w tém dziecinne moje pomysły). Myślałem, mili moi, że gdyby mi Bóg kiedy pozwolił być oraczem — co jest wielką łaską i dane bywa tylko duchom utrudzonym, którym Bóg wypocząć pozwala... Gdyby więc pozwolił mi Bóg kiedy myśleć tylko o swoim i o moich bliźnich pokarmie, a dał mi kawał ziemi i jakikolwiek dach dla pokrycia głowy mojej, a nie dał nic więcej: — starałbym się dom mój zamienić w dostatnią i zamożną prostego człowieka siedzibę. Nie mając już ludzi pańszczyznę robiących, wziąłbym pewną liczbę (jak to w Polsce pod Warszawą wielu szlachty czyni) parobków z ludu tego, który teraz przez nadanie gruntów gospodarzom został jeszcze uboższym niż przedtém. Parobcy ci, płaceni rocznie po sto lub półtora sta złotych, karmieni przez pana, służyliby mi wiernie i stanowiliby mi niby piekarnianą rodzinę moją — rzeszą i dobrze życzącą. Nierazbym z nimi słodko wieczór przepełdził przy ogniu, zawezwawszy do rozmowy i pastucha, i psa pastuszego przypuściwszy do udziału w tej wieczorynie. A wkrótce — sam choć słaby — wywijając rękami tych ludzi, ująłbym i objął całą rolę swoją. Nie na szerokość jej, ale na dobrą uprawę rachował. Nie na wielość bydła, ale na dobry stan jego i wypas wszystkobyłmłożył. A tak wkrótce stałbym się zdolnym powiększyć moją czeładkę i nie potrzebując już — mógłbym wtenczas istotnie z miłością i z powagą przystąpić do tych wyposażonych gruntem gospodarzy, którzy inaczej — widząc mnie słabym, a wewnątrznie rozgniewanym — coraz gorzejby się pode mnie podsuwali“...

W parę dni po napisaniu tych uwag i wyprawieniu listu, w którym je znachodzimy, odebrał Juliusz z domu nowe utyskiwania nad daremnością wszelkich usiłowań zawiązania jakichkolwiek stósunków znośnych z ludem wioski, w której krewni i matka jego mieszkali. Dała im do tych utyskiwań sposobność także sama właśnie wilia Bożego Narodzenia, o której była wzmianka w danym powyżej wyjątku z korespondencji poety. Wraca tedy do tego punktu Słowacki raz jeszcze w liście, który do nich pisał d. 22 stycznia (1849), i taką ich zagaduje uwagą:

„W dzień Wilii czułem Wasz smutek — czułem Was w domku Waszym. Teraz widzę, jakeście rozeszali po chatach jadło — i siedzicie samotnie, oczekując czyli się nie nawrócą ku Wam serca ludzi. O! nie — nie nawrócą się te duchy! ale z urąganiem będą w brzuchy lać słodkie mleko maków, miodem zasyczone, ale sercem i duchem Chrystusa nieotchnięte, tak aby prawdziwie we wnętrznościach zasmakowało. Nie, siostrzo moja droga, nie przyniesiesz ty ludzi prosem! Trzeba czegoś mocniejszego w ludzkiej naszej naturze, aby nam jednego człowieka z nieprzyjaciela w nagłego brata transfigurowało. — Znałaś miłość dziewczą, paniąską. Miłość zawsze jest jednej natury. Jest to czar, który do nas pociąga, albo jakieś przeklęctwo wewnętrzne, które od nas odpycha. Przełam w sobie to: a nawet choć bić będziesz kijem, ludzie kochać Cię będą... I owszem, jeszcze mocniej nas kochają, gdy moc mamy skarcić, prawdę powiedzieć gorzką — wzgardą naszą, fałszowi każdemu przynależną, uderzyć: a gdy to czyniąc nie czujemy w sobie żadnej wyższości osobistej, tylko miłość rozważną i ojcowską. O braterstwie gadają teraz ludzie, i źle gadają. Bo od Ojcostwa nad dziećmi zacząć potrzeba. Uśmiejnijcie się z dobrocią wśród ludzi, którzy was otaczają, a zwyciężycie wszelką przeciwność. Ale nie pochlebiajcie im i nie zatwardzajcie w głupstwie i w dumie. — Mocno, mocno chciałbym być z Wami! Wypowiedziałem nawet mieszkanie moje w tej nadziei, że można będzie Was odwiedzić. Nie wiem jednak, czy Bóg pozwoli mi spełnić to życzenie moje. Byłoby to rozweselenie serca mego i prawdziwie ziemskie niby lekarstwo na strudzenie ducha mego. Bo co się tyczy ciała, mam się teraz dobrze, a tylko chęciom moim duchowym Was obaczyć i z Wami pożyć potrzeba — a raczej powiem chce się — tak jak się w dzieciństwie chciało Mickun albo innych jakich rajów,

gdzie mi było obszernie, wolno i lubo. Za miszkę jednak soczewicy nie przedam pierworodzeństwa mego anielskiego, choćby mi nawet przyszło i cielesnie w niedostatku przycierpieć. Swobodnie i otwarcie chciałbym być z Wami. W snopku się ukryć i siedzieć już nie czuję mocy. Cóżbym robił? chyba jak świerszczyk pstrykał w której belce, staruszcze matce domku Waszego“...

Uderzającem, jak na Słowackiego, jest jeszcze następujące zdanie jego, powiedziane do p. Januszewskiego (w liście z lutego r. 1849). Chodziło o pytanie, jakby najlepiej użyć jakiegoś kapitału, który mieli w gotowiznie, czy go ulokować w papierach czy obrócić na zakup gruntu.

„Co do kupna i przykupna ziemi, najmocniej się temu oponuję w duchu. Ziemi każdy człowiek potrzebuje mieć kawałek taki, któryby go w ostatecznym złym razie z pracy rąk własnych mógł wyżywić, (literalnie mówię) tylko wyżywić. Szczęście zaś człowieka, zbliżającego się najbliżej do szczęścia duchowego i rajskiego, jest w wolności jego — i w wolności połączonej z potęgą. A ta wolność jest w skrzydłach — a skrzydłami, które nas nad ziemią utrzymują, są kapitały. — Panowie nasi najwięksi ziemni są nędzarzami w porównaniu ze mną, który mam kilka tysięcy franków, lecz tak ruchomych, że ich w każdym dniu mogę na jakibądź czyn użyć i przed wszelką mocą i przemocą zasłonić się nimi. Ziemie obszerne robią cię egoistą, bo nie dbasz o ludzi, ani o naród twój. Gdy przeciwnie w kapitałach mając nadmiar twoich sił cielesnych, dbać musisz o cały kraj, które za nie odpowiada. Mimowolnie musisz dobrze życzyć każdemu ze współżyjących. Gdy cię kto chce ujarzmić, one cię unoszą przed nim i stawiają niby na gwiazdach, z których znowu na ujarzmiczyciela twego piorunujesz. Gdy chcesz kogo uratować, w dniu jednym możesz oddać wszystko, co masz — a twę miłość zadość uczynić. — Mówię więc: kawałek ziemi miej — i to nie wioskę, ale folwarek bardzo obfity i zamożny. Jeżeli trzeba kilku jeszcze takich folwarków, zbuduj i puść chłopom parobkom w dzierżawę — ale nie zapuszczaj się w skupowanie wiosek, ani sądz iż to jest pewne w dzisiejszych czasach. Owszem najniepewniejsze to jest dla nas i w stronach tych, w których teraz mieszkasz, a które lada dzień mogą z tobą wrócić tam, skąd niedawno wyszedłeś...

„Nie, najdroższy mój, nie stawaj się panem klucza, bo się zamkniesz tym kluczem na długo w cielsku i w krwi

i w głupocie ciężkiego szlacheica. A tyś przez cierpienia już godzien wolności.“ —

Lecz wróćmy do osoby autora tych listów. W pierwszych więc miesiącach roku 1849 słabość jego wznagała się coraz bardziej. W lutym i marcu podlegał już Słowacki częstym krwiotokowym atakom, które siły jego nad miarę wycieńczały. Łudził się wprawdzie jeszcze nadziejami niekiedy i przypisywał to swoje osłabienie najwięcej skutkowi wiosny wczesnej i słońca gwałtownego. Mimo to jednak już w końcu lutego uznał za potrzebne spisać wolę swoją ostatnią. Czynności tej dopełnił podług wszelkich formalności w razie takim przepisanych. O zrobieniu testamentu uwiadomił listownie tylko wuja Januszewskiego, zobowiązywał go jednak do sekretu o tém przed matką.

...„Kilka dni temu (pisał do niego) byłem mocno bardzo krwią zaatakowany. Teraz zamknęło się ujęcie i żywot mój w łono powrócił; ale widziałem z bliska Pana mego i Boga mego, który mię już chciał jak żołnierza od was wziąć, a na inne, może trudniejsze jeszcze stanowisko odkomenderować. Gotów byłem i wesół byłem — i teraz, wrócony zdrowiu, znów jestem wesół, że jeszcze z wami zostać mi kazano. —

„Zrobiłem będąc chory testament — krótki, z dwóch paragrafów. W pierwszym zostawiam wszystko, co mam, i przekazuję wszystkie prawa moje... Matce i Tobie Teofilu, mianując Was wspólnie i solidarnie sukcesorami moimi. W drugim paragrafie czynię exekutorem testamentu, względem moich paryskich pozostałości, przyjaciela mojego, człowieka złotego serca, p. Charles Petiniaud...

„Gdybym był umarł, już byłbym z Wami. A tak, trzeba mi będzie jechać do Was — a mam nadzieję, że pojedę...

List ten był pisany d. 4 marca (1849). Byłto ostatni list Słowackiego...

Równocześnie dał znać o sobie też i Szczęsnemu, który całą ową zimę spędzał w Monachium. Dokończył właśnie studyów swoich w uniwersytecie tamtejszym. Niezwłocznie po odebraniu niedobrej téj wiadomości, Szczęsny z Monachium do Paryża podążył i stanął na miejscu jeszcze przed końcem tego miesiąca.

Od téj chwili nie odstąpił już przyjaciela aż do samego zgonu.*) Przy pierwszém powitaniu zagadnął go Słowacki takimi słowy: „Dobrze, żeś przyjechał. Nie będę tak samotny w ostatnich chwilach, bo już wszystko się kończy. Pan Bóg mnie wzywa do siebie“. — Następných dni mało już mówił o swém zdrowiu i chociaż po nocach nie sypiał i często cierpiał mocno, w dzień jednak był rzeźwy i czynny, jak dawniej. Pierwszego kwietnia powiedział Szczęsnemu, że w nocy tak mu źle było, że dnia nie spodziewał się dożyć. Pytał, czy nie zna jakiego ubogiego, któryby chciał sypiać u niego. Szczęsny ofiarował mu sam usługi swoje. Nie przyjął ich jednak, za powód to podając, że mu zajęć jego nie chce przerywać. Zresztą mieli jeszcze później pomówić o tém. „Wreszcie — dodał — może mnie Bóg i tak jakoś przenieść.“ — Nazajutrz mówił Szczęsnemu, że zaczął przepisywać jeden z niewydanych jeszcze swoich poematów, ale tak mało ma siły, że musiał zaprzestać. Szczęsny mu zaproponował, żeby mu dyktował, co też przyjął. I tak napisali jedną pieśń; ale i to Słowackiego męczyło, tak iż resztę odłożyli na później.*)

*) Tu dołączam wiadomość, że pod bezpośredniem wrażeniem smutnych dni, które wtedy razem przeżył z Słowackim, i jako naoczny świadek wszystkiego, co się w dniach owych działo około niego, spisał Szczęsny zaraz po śmierci poety ostatnie chwile jego. Rodzina Słowackiego, dla której wspomnienie owo było pisane, udzieliła go w lat kilkanaście potem jednemu z pism peryodycznych warszawskich, które też ustępy niektóre z niego ogłosiło w kolumnach swoich. Szczegóły te służą mi teraz za źródło, według którego podaję prawie dosłownie, co odtąd następuje w texcie.

**) Przejrzawszy pozostałe papiery, jestem w stanie z wszelką pewnością powiedzieć, coto był za utwór, o którym mowa. Był to rapsod jeden z Króla - Ducha, rapsod ze wszystkich najwięcej wykończony, osnuty na podaniach o Piaście i Ziemowicie. Jest między papierami pośmiertnymi rękopis, z kilku arkuszy listowych zszyty; na pierwszej zeszytu tego stronicy położył poeta tytuł poematu taki: „Z Króla - Ducha — Księgi Legend“. Snać dawał więc rzeczy téj napis jakby całości oddzielnéj i oderwanéj, zwątpiwszy już o możliwości wykończenia całego utworu. Potem następuje 6 strof ośmiowierszowych, własną autora ręką kreślonych. Tu się pismo Słowackiego urywa. Strofa siódma i wszystkie dalsze już są pisane ręką Szczę-

Kiedy miał Szczęsny już odchodzić do siebie, polecił mu Słowacki, ażeby poszedł pytać się księdza, czy będzie mógł przyjść z Sakramentami do niego. Zlecenie to Szczęsny wypełnił. Kiedy dnia następnego przyszedł do Juliusza, zapytując, kiedy się chce spowiadać, zastał u niego przyjaciela jego Petiniaud, który od czasu choroby codziennie Słowackiego odwiedzał. Ten mu powiedział, że chory bardzo źle noc przepędził; a chociaż z rana wstał i chodził, jednak tak go to męczyło, że koło dziesiątej zemgłał i zdawało się, że już skończył. Na zapytanie Szczęsnego, jak się czuje, odrzekł Słowacki, że ma teraz gorączkę, która go utrzymuje przy siłach, ale czuje się bardzo niedobrze. Przyzwano księdza. Ten pomówiwszy z nim trochę, poszedł do kościoła po Sakramenta. — Tymczasem Juliusz widząc przytomnych w rozrzwinięciu, wziął Szczęsnego za rękę i głosem przerywanym, lecz spokojnym rzekł te słowa do niego: „Powiedz mojej matce, że nic do niej nie napisałem, bo tych rzeczy pisać nie można; ale szczęśliwy jestem, że dziś jakby na pożegnanie, wspomnienie jej odebrałem, i z myślą o niej umieram.“ Po chwili milczenia, wniósł oczy w górę i tonem jeszcze uroczystszym mówił dalej: — „Wiara w nieśmiertelność ducha i sprawiedliwość bożą jest wielkim darem Stwórcy nam udzielonym! Ta wiara tylko pozwala spokojnie śmierć przyjąć. Ale dziś ja ufam w sprawiedliwość bożą, bo ją pojmuję; i tak ufam, że gdybym mógł powierzyć ducha mego w ręce matki, aby ona wynagrodziła go stósownie do zasługi, nie oddałbym go z taką ufnością, z jaką go dziś oddaję w ręce Stwórcy. — Wszak prawda? ciągnął dalej, obracając mowę wprost do Szczęsnego: Gdziekolwiek ostatnia godzina cię zastanie, czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym wiejskim domku, czy we własnym dworze: przyjmiesz wolę bożą spokojnie i z godnością, jaka nieśmiertelnemu duchowi przystoi.“ — Wtém ksiądz wszedł; a kiedy po odbytej spowiedzi ofiarował mu przenajświętszy Sakrament, Juliusz wstał o własnej mocy i ukląkł na łóżku, potem przyjął ostatnie namię-

snego, jak o tém na pewne twierdzić mogę, dobrze znając ówczesny kształt jego pisma.

szczenie, z zupełną przytomnością i modląc się ciągle. Po Sakramentach gorączka opuściła go zupełnie, oczy się rozjaśniły i na pogodnej twarzy uśmiech się ukazał tak łagodny i ujmujący, że nie było można oderwać wzroku od tego oblicza cudownie pięknego świętym zachwyceniem. Po chwili takiego wewnętrznego skupienia wyciągnął ręce do przyjaciół i z łagodnym uśmiechem powiedział: — „Niech będą dzięki Stwórcy, że pozwolił mi przed zgonem przyjąć Sakramenta. Myślałem często o tém, czy też tej łaski dostąpię.“ — Potém wypił trochę gorącej herbaty i prosił, żeby go zostawili samego, gdyż chciał spocząć. Wyszli przytomni do drugiego pokoju, ale drzwi były otwarte, i widzieli, jak zamykał oczy na chwilę i jakby lękając się, by to nie był sen ostatni, znowu otwierał je nagle. Oddech jego był trudny i przerywany. Widząc, że nie śpi, przytomni weszli do jego pokoju: prosił o trochę wina czerwonego. Podano wino, ale je już z trudnością przełknął. Potém kazał Szczęsnemu przynieść książkę, z której mu w wilią dnia owego dyktował; i pokazywał mu, w jakim porządku potrzeba dalej przepisywać. Ale nie doszedłszy do końca, zamknął ją mówiąc z uśmiechem: „Wszystko to głupstwo“. Potém prosił, żeby go posadzić w inną pozycję, a kiedy to uskuteczniono, powiedział, zawsze z uśmiechem: „Może to w tém położeniu śmierć mię zastanie“. ... Zamilkł, ale ciągle spozierał na zegarek, jakby chciał wiedzieć, o której godzinie do wieczności się przenosi. Przed samym zgonem wyciągnął ręce i zrobił znak, że chce wstać. Lecz zaledwie go podnieśli, obfity pot zaczął prawie lać się z jego twarzy i całe ciało mocno drząc poczęło — oddech jego był coraz cięższy — coraz powoli słabł — oczy na wpół się zamknęły i mgłą zasłyły. Nacieranie skroni i pulsus eterem nic nie pomogło. Powoli oddech ustał — serce bić przestało — wszystko się skończyło — już nie żył.

Było to dnia 3 kwietnia 1849 r. Liczył poeta wtedy lat czterdzieści niespełna.

We dwa dni potém wioził wóz skromny zwłoki zmarłego do kościoła św. Filipa du Roule, a stąd na cmentarz Montmartre. Nie było mu tedy dano spocząć w tym śnie nieprzespanym na miejscu, na którym dawniej, w pełni jeszcze żywota swego, ma-

rzył nieraz, że spocznie kiedyś na wieki. Miało to być w ojczyźnie, na cmentarzu krzemienieckim, pod cieniem znanj czereśni, która tam grób dziada i babki jego ocienia. — Orszak żałobny, postępujący za trumną, składał się z malj garstki samych tylko rodaków, po większj części współtowarzyszów w tułactwie. Adama Mickiewicza nie widziano pomiędzy nimi. Nad grobem nie odezwało się żadne słowo ostatniego pożegnania na tę daleką drogę wieczności. Ponure milczenie przerywały tylko grudki obcój ziemi, które z głuchym stukiem z rąk przyjaciół spadały na wieko trumny...

W kościele akademickim św. Anny w Krakowie, w pobocznj nawie po lewój stronie, wzniesiony jest skromny nagrobek Juliusza Słowackiego. Wystawiła mu go strapiona matka.*) Położono na nim jako napis następujące wyrazy:

Pamięci
Juliusza Słowackiego
syna Euzebiusza
urodzonego w Krzemieńcu
zmarłego w Paryżu,
który walję poezji
ku odrodzeniu się ducha i
uczucia ludzkości
po chrześcijańsku
w dniu 3 kwietnia 1849 r.
zakończył
w żalu nieutulona matka
poświęca. —

Lepiej aniżeli te słowa określają cały charakter życia i działania Słowackiego strofy przez niego samego krótko napisane przed zgonem, pod napisem:

*) Nadmieniam dodatkowo co do p. Becu, że przeznaczone jēj było żyć jeszcze po stracie syna lat 6. Zakończyła życie w miesiacu lipcu 1855 r.

„Testament mój“.

Żyłem z Wami — cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i dalej idę w cię — z duchami —
A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica
Ani dla mojej lutni ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla ojczyzny sterał moje lata młode,
A póki okręt walczył — siedziałem na maszcie,
A gdy tonał — z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
Mojej biednej ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spala w aloesie,
I tēj, która mi dała to serce, oddadzą —
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siedą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biędę...
Jeżeli będę duchem, to im się pokażę,
Jeśli Bóg nie uwolni od męki — nie przyjdę...

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec!..

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu družbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć — nieplakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
 Iść?... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
 Być sternikiem duchami napelnionej łodzi,
 I tak cicho odlecieć — jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
 Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
 Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
 Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi. —



20893

SPIS RZECZY

W TOMIE DRUGIM ZAWARTYCH.

ROZDZIAŁ X.

Druga połowa roku 1837 i cały 1838. — Przybycie do Liworno — kwarantana — smutna wiadomość z domu. — Poeta osiada we Florencyi — przywiązane do miasta tego wspomnienia Danta — towarzyskie stósunki. — Wiersz „Do Księgarza“ — Poema Piasta Dantyszka o piekle — „Podróż na Wschód.“ — Znajomość z księżną Survilliers — mania muzykalna we Włoszech. — Niespodziewany epizod w życiu — p. Aniela M. — Sonety. — Zygmunt Krasiński w Florencyi — korespondencya Słowackiego z matką na czas dłuższy przerwana — wyjazd jego do Francyi. — Na kilka miesięcy przedtém druk Anhellego, jako też Poematu o Piekale. — Rozbiór krytyczny Anhellego

strona

1

ROZDZIAŁ XI.

Rok 1839 i 1840. — Poeta osiada w Paryżu i wydaje Trzy Poemata, toż Balladyne. — Korespondencya z Krasińskim. — Kilka słów mimochodem rzuconych o wartości wydania „Wyjątków z listów Z. Krasińskiego“. — Słowa Krasińskiego o Mickiewiczu, Słowackim i Cieszkowskim. — Stósunki Juliusza z matką zawięzują się na nowo. — Życie jego w Paryżu — stósunek do Emigracyi — Amnestya. — Wychodzi z druku Mazepa i Lilla Weneda. Powstają nowe dzieła: Krakus — Wallenrod — Beatryx Cenci — dramat Benio-wski i niektóre pomniejszych rzeczy, to wierszem, to prozą pisane

40

ROZDZIAŁ XII.

Zdanie o wierszu „W Szwajcaryi“ — uwagi o Wacławie — granica aż do której służy poecie prawo traktowania historii podług swojej fantazyi. — Myśl autora w „Ojcu Zadżumionych“ — niewłaściwość wykładu dzieł poetyckich z allegorycznego punktu widzenia — Maza: dawniejsze sądy o tym utworze — jego wprowadzenie na scenę — jego rozbiór. Niejednokrotnie nad nim praca odbija się w jego budowie — brak tragiczności w roli głównej daje powód do mylnego pojmowania dramatu. Rzut oka na Szekspirowego Otella — na Lira. — Cechy i konieczne warunki charakteru bohaterów tragicznych — z tego punktu widzenia rozbiór roli Amelii. Konkluzja o wartości całego dzieła.

66

ROZDZIAŁ XIII.

Rok 1841 i pierwsza połowa 1842go. — Stósunek między Słowackim a Mickiewiczem. Słowackiego zdanie o Panu Tadeuszu. — Mickiewicz profesorem w Lozanie. W r. 1840 otrzymuje katedrę w Collège de France w Paryżu. Wieczór artystów i poetów — improwizacye — wymówki. Nowa niechęć z okazji ofiarowanego Mickiewiczowi puharu — bezimienny artykuł w Tygodniku Poznańskim — odpowiedź w Trzecim Maju — Beniowski. Wrażenie tej publikacyi — dalsze takowej następstwa — pojedynek. Artykuł Kasińskiego w Tygodniku Poznańskim burzę poniekąd ucisza. — Wracają spokojniejsze stósunki — otucha i rezygnacya — czynność autorska wzrasta. Dalszy ciąg Beniowskiego — Niepoprawni — Złota Czaszka — Książę Niezłomny.

101

ROZDZIAŁ XIV.

Rozbiór Balladyny. — Skąd pochop do podjęcia pomysłu takiej tragedyi? Analogie z tragikami starożytnymi — o ile duch wieków naszych przedhistorycznych żyje w płodach wyobraźni ludowej? „Maliny“ A. Chodźki i „Lilie“ Mickiewicza. — Główne idee w Balladynie — jak się takowe zbiegają w ostatecznym węźle dramatu? Znaczenie ustępów fantastycznych — jaki ich związek z całością sztuki? Rzut oka na „Sen Nocny Letni“ Szekspira. Rozbiór charakteru bohaterki dramatu — rozwój jej roli — kolej działających na jej wolę pobudek. Analogie Balladyny z Lirem Szekspira — zapożyczenia z Makbeta. — Ogólne zdanie o tej sztuce.

137

ROZDZIAŁ XV.

Rozbiór Lilli Wenedy. — Dany w niej obraz zawiązku w Słowiaństwie państwa lechickiego jak się ma względem prawdy dziejowej? — Jaka rola w dramacie przydzielona Wenedom? Jakie znaczenie „przekleństwa“, wskazującego ich na zagładę? — Przymioty Lecha i zwycięskiej jego drużyny. — Wybitne indywidualności w tragedyi: Derwid — Lelum — Polelum — Róża Weneda — Lilla. Kto właściwym bohaterem sztuki? — Tragiczność idei, na której dramat osnuty. Czy jej wcielenie jest dostateczne? — Przegląd ról poszczególnych: zadanie Róży — i zadanie Lilli. Artystyczne niewłaściwości w przeprowadzeniu pojedynczych szczegółów. — Obejrzenie katastrofy dramatu — ogólne uwagi.

178

ROZDZIAŁ XVI.

Druga połowa r. 1842 i następne lata aż do 1847. — Wystąpienie Towiańskiego w Paryżu — ogólny sąd o duchu jego doktryny. Mickiewicz uznaje w Towiańskim posłannika bożego. Zawiązanie się koła jego zwolenników. — Stósunek pierwotny Słowackiego do Towiańszczyzny — zdanie o niej autora Przedświt. — W r. 1842 Słowacki przystępuje do koła — jego korespondencya z matką i z Kasińskim. Zerwanie się między nimi przyjacielskich stósunków — stanowisko Słowackiego późniejsze między Towiańszczykami — scysye i utworzenie sobie osobnego kółka.

203

ROZDZIAŁ XVII.

Dalszy ciąg rozpoczętej materii. Autorska czynność Słowackiego pod wpływem Towianizmu. Książd Marek — Sen Srebrny Salomei. Zdanie matki poety o tych utworach i jego odpowiedź na to. — Znaczenie literackie obu dramatów. — Różne poezye liryczne i ulotne — poemat z dziejów Nowogrodu — Poeta i Natchnienie — Zawisza Czarny — Samuel Zborowski — Genesis z Duchą

233

ROZDZIAŁ XVIII.

Dalszy ciąg rozpoczętej materii. — Rozmowa z Matką Mokrą. — Król Duch — wykład pierwszych rapso-

dów tegoż — szczegóły o stanie rękopisu dalszych części Króla-Ducha. — Urywki przekładu Iliady. — Powody do napisania wiersza „Do Autora trzech Psalmów“ — okoliczności chwili owęj towarzyszące — stosunek ówczesny między Krasińskim a Słowackim. — Dwie broszury prozą, w tychże latach wydane. . . 260

ROZDZIAŁ XIX.

Rok 1848 i początek 1849. Zakończenie życiorysu. — Coroczne wycieczki Słowackiego nad brzegi oceanu — przyjaciele jego w ostatnich czasach — Wojciech Stattler — L. Norwid — K. Ujejski — Szczęsny F. — Wiosna r. 1848 — „Konfederacya“ — wyjazd do kraju. Poznań — Wrocław — tydzień wspólnie z matką spędzony. — Przymusowe rozstanie. — Kilka tygodni w Ostendzie — powrót do Paryża. — Usposobienie poety w ostatnich czasach — stan zdrowia — tęsknota do kraju — niewątpliwe oznaki zbliżającego się zgonu. Poeta marzy o wyjeździe do Galicyi na przyszłą wiosnę i wśród tych projektów kończy życie. — Opis zgonu — nagrobek — „Testament“. 319